

# KARIN Slaughter

Slaughter *znaczy rzeź*



## UPADEK

*Jeśli mnie nie kochasz, spróbuj mnie nienawidzić!*



# UPADEK KARIN SLAUGHTER

Przełożył  
Andrzej Niewiadomski



Warszawa 2013

Tytuł oryginału **Fallen**

Redakcja **Maciej Fliger**

Korekta **Anna Lewandowska**

Projekt graficzny i okładka **Krzysztof Kielbasiński**

Skład **TYPO**

Copyright © 2011 by Karin Slaughter

All rights reserved

© Copyright by GWF sp. z o.o., Warszawa 2013

ISBN 978-83-7881-269-2



Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.

00-372 Warszawa, ul. Foksal 17

tel. 22 828 98 08, 22 894 60 54

[www.gwfoksal.pl](http://www.gwfoksal.pl)

Skład wersji elektronicznej **Michał Olewnik** / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)

i **Michał Latusek** / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

*Wszystkim bibliotekarzom na świecie,  
w imieniu dzieci, którym pomogli  
wyrosnąć na pisarzy*

# Sobota

## Rozdział 1

Faith Mitchell wysypała zawartość torebki na prawy fotel swojego mini. Szukała czegoś do przegryzienia, ale oprócz mechatej drażetki gumy do żucia oraz fistaszka wątpliwego pochodzenia nie było tam nic choćby z grubsza jadalnego. Pomyślała o paczce batonów energetycznych w kuchennej spiżarni, na co jej brzuch zareagował dźwiękiem przywodzącym na myśl zgrzyt zardzewiałych zawiasów.

Seminarium komputerowe, w którym brała udział od rana, w założeniu miało trwać trzy godziny, ale przeciągnęło się do czterech i pół, bo jakiś skończony osioł w pierwszym rzędzie bez przerwy zadawał bzdurne pytania. Żadna inna agencja w regionie nie szkoliła swoich agentów tak często jak GBI, czyli Biuro Śledcze Georgii. Nieustannie wbijano im do głów dane statystyczne dotyczące przestępczości. Musieli być na bieżąco z wszelkimi nowinkami technologicznymi. Dwa razy w roku zaliczali strzelnicę. Sprawdzian obejmował pozorowane naloty oraz strzelanie dynamiczne, i to tak intensywne, że potem przez dobry tydzień Faith sprawdzała cienie za drzwiami, kiedy w środku nocy wstawiała do łazienki. Zazwyczaj doceniała starania agencji, dziś jednak myślała wyłącznie o swoim czteromiesięcznym dziecku i o tym, że obiecała matce wrócić z pracy najpóźniej w południe.

Kiedy zapalała silnik, zegar na tablicy rozdzielczej wskazywał dziesięć po trzynastej. Zaklęła pod nosem, wyjeżdżając z parkingu przed komendą główną przy Panthersville Road. Za pomocą Bluetooth wybrała numer matki. Ale z głośników w samochodzie popłynął tylko elektroniczny szum. Przerwała połączenie i zadzwoniła ponownie. Tym razem linia była zajęta.

Bębniąc palcami po kierownicy, słuchała popiskiwanego sygnału. Matka miała pocztę głosową. Jak wszyscy. Faith nie pamiętała, kiedy ostatnio słyszała sygnał „zajęty”. Niemal zdążyła już zapomnieć, jak brzmi. Prawdopodobnie nastąpiła jakaś awaria na linii. Rozłączyła się i spróbowała po raz trzeci.

Wciąż zajęte. Trzymając kierownicę jedną ręką, Faith sprawdziła w blackberry, czy nie dostała od matki e-maila. Zanim Evelyn Mitchell przeszła na emeryturę, przez blisko czterdzieści lat była policjantką. I chociaż policji miejskiej Atlanty można było zarzucić różne rzeczy, to na pewno nie to, że jest zacofana. Evelyn zawsze miała przy sobie telefony komórkowe, nosiła je już w tych czasach, gdy rozmiarami przypominały damskie torebki. Nauczyła się korzystać z poczty elektronicznej wcześniej niż córka. Z blackberry nie rozstawała się od niemal dwunastu lat.

Dziś jednak nie wysłała żadnej wiadomości.

Faith odsłuchiwała pocztę głosową w swojej komórce. Miała nagraną wiadomość od dentysty w sprawie ustalenia terminu wizyty na czyszczenie zębów, ale nie było niczego nowego. Zadzwoiła więc do domu, z nadzieją, że może matka wróciła po coś dla dziecka. Domy Faith i Evelyn stały przy tej samej ulicy. Może zabrakło pieluszek dla Emmy. Może potrzebowała jeszcze jednej butelki. Faith nasłuchiwała sygnału telefonu w swoim domu, po czym usłyszała własny głos, proszący rozmówcę o nagranie wiadomości.

Rozłączyła się. Bez namysłu zerknęła przez ramię na tylne siedzenie. Zobaczyła wystającą zza plastiku różową podszewkę.

– Idiotka ze mnie – mruknęła pod nosem. Zadzwoiła na komórkę matki. Wstrzymując dech, wysłuchiwała trzech sygnałów, po których włączyła się poczta głosowa Evelyn.

Musiała odchrząknąć, zanim zdołała się odezwać. Zdawała sobie sprawę, że jej głos drży.

– Mamo, jestem w drodze do domu. Domyślałam się, że wyszłaś z Em na spacer... – Włączając się do ruchu na autostradzie, spojrzała na niebo. Do Atlanty miała ze dwadzieścia minut jazdy, ale już stąd widziała chude szyje wieżowców, spowite pierzastymi białymi chmurami, otulającymi je niczym szaliki. – Oddzwoń – zakończyła, czując narastający niepokój.

Sklep spożywczy. Stacja benzynowa. Apteka. Matka miała w samochodzie fotelik dziecięcy, identyczny z tym, jaki na tylnym siedzeniu swojego mini woziła Faith. Prawdopodobnie wyszła załatwić coś na mieście. Faith była spóźniona o ponad godzinę.

Evelyn pewnie wzięła dziecko i... zostawiła córce wiadomość, że wyjechała. Niemal całe dorosłe życie spędziła pod telefonem, wiecznie gotowa na wezwanie. Nawet wychodząc do toalety, informowała, dokąd się wybiera. W dzieciństwie Faith i jej starszy brat Zeke nabijali się z matki z tego powodu. Zawsze wiedzieli, gdzie jest, nawet jeśli tego nie chcieli. Zwłaszcza wtedy, kiedy woleli nie wiedzieć.

Faith gapiała się na telefon w rękę, jakby mógł jej powiedzieć, co się dzieje. Zdawała sobie sprawę, że zapewne nakręca się bez powodu. Może wysiadła linia naziemna. Matka nie zorientowałaby się, dopóki nie spróbowałaby zadzwonić. Komórkę mogła wyłączyć, zostawić na ładowarce, albo jedno i drugie. BlackBerry mógł zostać w samochodzie, w torebce czy gdziekolwiek, skąd nie usłyszałaby charakterystycznych wibracji. Faith przenosiła wzrok z szosy na swoje blackberry i z powrotem, pisząc e-mail do matki i na głos czytając wystukiwane słowa.

– Już-jadę. Przepraszam-za-spóźnienie. Zadzwon.

Wysławszy e-mail, rzuciła telefon na siedzenie, na którym walała się zawartość torebki. Po chwili wahania wzięła do ust drażetkę gumy i zaczęła ją żuć, nie przejmując się kłaczkami, które kleiły się do języka. Włączyła radio i natychmiast je zgasiła. Im bliżej miasta, tym mniejszy był ruch na szosie. Chmury się rozstały, przepuszczając ostre promienie słońca. W samochodzie zrobiło się gorąco jak w piecu.

Dziesięć minut przed dojazdem na miejsce Faith wciąż miała nerwy napięte jak postronki i była zlana potem. Uchyliła szyberdach, żeby wpuścić trochę powietrza do parówki w samochodzie. To pewnie zwyczajny syndrom rozłąki. Wróciła do pracy nieco ponad dwa miesiące temu, ale zostawiając dziś rano Emmę pod opieką matki, nadal czuła się, jakby lada chwila czekał ją atak. Wszystko widziała jak przez mgłę. Serce chciało wyskoczyć z piersi. Szumiało jej w głowie, jakby do uszu wleciał milion pszczoł. W pracy była bardziej drażliwa niż zwykle, zwłaszcza wobec swojego partnera, Willa Trenta, który albo miał anielską cierpliwość, albo wyrabiał sobie wiarygodne alibi, wiedząc, że w końcu pęknie i ją zadusi.

Faith nie pamiętała, czy tak samo niepokoiła się o Jeremy'ego – syna, który właśnie rozpoczął pierwszy rok studiów. Miał trzy lata, kiedy jako osiemnastolatka zapisała się do akademii policyjnej. Uczepiła się pomysłu wstąpienia do służby niczym ostatniego koła ratunkowego na „Titanicu”. Dwie minuty w ostatnim rzędzie kina oraz pomyłka w ocenie sytuacji, zapowiadająca beznadziejne wiązanie się z nieodpowiednimi mężczyznami w przyszłości, wystarczyły, żeby Faith przeskoczyła z wieku dorastania w macierzyństwo, z pominięciem tradycyjnych etapów pośrednich. Mając osiemnaście lat, cieszyła się na myśl o stałej pensji, która pozwoli jej wyprowadzić się od rodziców i wychowywać syna w sposób, jaki sama uzna za stosowny. Codzienne chodzenie do pracy było pierwszym krokiem w kierunku niezależności. Oddawanie syna do żłobka wydawało się niewygórowaną ceną.

Teraz, mając trzydzieści cztery lata, obciążony hipoteką dom, raty za samochód do spłacenia i kolejne dziecko na utrzymaniu, niczego nie pragnęła tak bardzo jak powrotu pod dach matki, żeby to ona mogła się wszystkim zająć. Chciała otwierać lodówkę i widzieć, że jest pełna jedzenia, którego nie musiała sama kupować. Chciała włączać latem klimatyzację, nie martwiąc się o wysokość rachunku za prąd. Chciała sypiać do południa, a potem przez cały dzień oglądać telewizję. A co tam, skoro już o tym mowa, chciałaby wskrzesić ojca, który zmarł jedenaście lat temu, żeby robił jej naleśniki na śniadanie i stale powtarzał, jaka jest śliczna.

Marzenia ściętej głowy. Evelyn chyba z przyjemnością odgrywała na emeryturze rolę niani, a jednak Faith nie miała złudzeń, że dzięki pomocy matki życie stanie się łatwiejsze. Do emerytury pozostawało jej niemal dwadzieścia lat. Jeszcze przez trzy lata miała spłacać swoje mini, które dużo wcześniej straci gwarancję. Najbliższe osiemnaście lat, jeśli nie więcej, zajmie jej karmienie i strojenie Emmy. A to już nie te czasy, kiedy mogła ubierać małego Jeremy'ego w skarpetki nie do pary i używane ciuszki z wyprzedaży. Dzisiaj dzieciom należało zapewniać starannie dobrane ubranka, butelki z plastiku niezawierającego BPA oraz ekologiczny mus jabłkowy z certyfikatem pochodzenia z upraw amiszów. Jeżeli Jeremy dostanie się na



architekturę na politechnice, Faith czeka kolejne sześć lat kupowania podręczników i opierania syna. A co najgorsze, Jeremy wdał się w poważny związek. Ze starszą od siebie dziewczyną o krągłych biodrach i z tykającym zegarem biologicznym. Niewykluczone, że zanim Faith skończy trzydzieści pięć lat, zostanie babcią.

Gdy próbowała wybić sobie ten pomysł z głowy, zalała ją niemila fala gorąca. Nie przerywając jazdy, jeszcze raz sprawdziła zawartość torebki. Guma do żucia nie pomogła, nadal burczało jej w brzuchu. Wyciągnęła rękę i otworzyła skrytkę. Nic. Mogłaby wprowadzić zjechać do przydrożnego baru i wziąć przynajmniej coca-cole, miała jednak na sobie przepisowy strój – brązowe khaki oraz niebieską koszulę z błyszczącym żółtym napisem GBI na plecach. Pracownicy organów ścigania starali się omijać tę część miasta. Na ich widok ludzie zwykle rzucali się do ucieczki, a wtedy trzeba ich było gonić, co raczej nie pozwoliłoby jej wrócić do domu o rozsądnej porze. Poza tym coś jej podpowiadało – wręcz nakazywało – żeby jak najszybciej zobaczyć się z matką.

Wzięła telefon i zadzwoniła do niej po raz kolejny. Na numer domowy, na komórkę, a nawet na blackberry, którego matka używała wyłącznie do wysyłania e-maili. Pod żadnym nikt nie odebrał. Faith poczuła skurcz żołądka, w jej głowie kotłowały się najgorsze scenariusze. Kiedy jeszcze jeździła na patrolu, często wzywano ją do poważnych incydentów, bo płacz dziecka zaalarmował sąsiadów. A to matka pośliznęła się w wannie, a to ojciec przypadkiem się zranił albo dostał zawału serca. Tymczasem maluch leżał i czekał bezradnie, aż ktoś się zorientuje, że coś jest nie tak. Nic bardziej nie chwyta za serce niż płacz dziecka, którego nie można ukoić.

Faith zganiła się w duchu za to, że przywołuje te straszne wspomnienia. Zawsze miała skłonność do zakładania wszystkiego co najgorsze, jeszcze zanim została policjantką. Matce raczej nic złego się nie stało. O wpół do drugiej po południu Emma zazwyczaj zasypiała. Prawdopodobnie jej babcia wyciszyła telefon, żeby dzwonek nie zbudził dziecka. Możliwe, że wyszła do skrzynki na listy i spotkała sąsiadkę albo zajrzała do mieszkającej obok starej pani Levy, żeby pomóc jej wynieść śmieci.

Mimo to dłonie Faith ślizgały się na kierownicy, gdy skręcała z autostrady w bulwar. Pociła się, choć jak na marzec było stosunkowo chłodno. Nie miało to jednak nic wspólnego z córką, matką ani nawet z wyjątkowo płodną dziewczyną Jeremy'ego. Niecały rok temu u Faith stwierdzono cukrzycę. Bezwzględnie przestrzegano mierzenia poziomu cukru oraz prawidłowej diety i zawsze dbała o to, żeby mieć pod ręką coś do przegryzienia. Ale nie dzisiaj. Prawdopodobnie właśnie dlatego błądziła myślami wokół niemiłych tematów. Po prostu szybko musiała coś zjeść. Najlepiej w obecności matki i córki.

Jeszcze raz zajrzała do schowka, by się upewnić, czy jest pusty. Jak przez mgłę przypomniawszy sobie, że ostatni baton energetyczny dała wczoraj Willowi, kiedy czekali przed sądem. Miała do wyboru albo to, albo patrzeć, jak wdycha zapach lukrowanej drożdżówki z automatu. I chociaż marudził, że baton jest niesmaczny, zjadł go do końca. A teraz płaciła za swój błąd.

Śmignęła na żółtym świetle, pędząc z maksymalną prędkością, na jaką się odważyła na tej częściowo zamieszkaną ulicą. Przy Ponce de Leon jezdni się zwężała. Faith minęła ciąg usytuowanych w rzędzie restauracji ze śmieciowym jedzeniem i sklep z żywnością ekologiczną. Wskazówka szybkościomierza przesunęła się w prawo, gdy samochód przyśpieszył na serpentynach i wirażach okalających park Piedmont. Kiedy po raz kolejny przejechała skrzyżowanie na żółtym, w lusterku wstecznym zobaczyła błysk fotoradaru. Wdusiła hamulec, żeby przepuścić jakiegoś marudę, który w niedozwolonym miejscu włókł się na drugą stronę ulicy. Obok mignęły jeszcze dwa sklepy spożywcze, a dalej były już ostatnie światła na skrzyżowaniu – na szczęście zielone.

Matka nadal mieszkała w tym samym domu, w którym Faith wychowała się ze starszym bratem. Parterowy, w stylu ranczo, stał w okolicy zwanej Sherwood Forest, wciśnięty między Ansley Park, jedną z najbogatszych dzielnic Atlanty, a autostradę międzystanową I-85, która w zależności od tego, skąd wieje wiatr, nieustannie atakowała okolicznych mieszkańców hałasem – raz z jednej, raz z drugiej strony. Dzisiaj wiało wyjątkowo przyjemnie. Opuściwszy

szybę, by zaczerpnąć świeżego powietrza, Faith usłyszała znajomy warkot, towarzyszący jej niemal przez całe dzieciństwo, dzień w dzień.

Jak wszyscy, którzy większość życia spędzili w Sherwood Forest, żywiła głęboko zakorzenioną nienawiść do projektantów tej dzielnicy. Osiedle powstało po drugiej wojnie światowej: parterowe domy z cegły, zasiedlone przez wracających do kraju żołnierzy, którzy skorzystali z nisko oprocentowanych kredytów dla kombatantów. Nie przejmując się interesem mieszkańców, planiści otoczyli teren osiedla ulicami. Faith wzięła ostry zakręt w lewo, w Lionel, przejechała Friar Tuck, skręciła w prawo w Robin Hood Road, przemknęła rozwidlenie drogi przy Lady Marian Lane, obrzuciła wzrokiem podjazd swojego domu na rogu Doncaster i Barnesdale i w końcu podjechała pod dom matki, niedaleko Little John Trail.

Beżowy chevy malibu Evelyn stał pod wiatą, zaparkowany tyłem. Przynajmniej to było normalne. Faith nigdy nie widziała, żeby matka wjeżdżała na miejsce postojowe przodem. Zostało jej to z czasów pracy w policji. Samochód zawsze należało parkować w taki sposób, żeby po otrzymaniu wezwania móc jak najszybciej ruszyć w drogę.

Faith nie miała czasu na roztrząsanie nawyków matki. Wjechała na podjazd i zaparkowała mini nos w nos z malibu. Kiedy wysiadła z auta, zaboląły ją nogi – od dwudziestu minut wszystkie mięśnie ciała miała napięte jak postronki. Słyszała dolatujący z domu ryk muzyki. Nie ulubieni Beatlesi matki, tylko heavy metal. Po drodze do drzwi kuchennych Faith dotknęła maski malibu. Silnik był zimny. Może gdy dzwoniła, Evelyn akurat brała prysznic. Może nie sprawdziła e-maili ani wiadomości w komórce. Albo się skaleczyła. Na drzwiach widniał krwawy odcisk dłoni.

Faith stanęła jak wryta, nie wierzyła własnym oczom.

Krwawy odcisk zostawiła lewa ręka. Mniej więcej czterdzieści pięć centymetrów nad klamką. Drzwi nie były zatrzaśnięte, a jedynie przymknięte. Przez szparę między nimi a futryną przebijało światło, pewnie z okna nad zlewem w kuchni.

Faith wciąż nie mogła poskładać w całość tego, co widzi. Uniosła rękę do odcisku na drzwiach, niczym dziecko przykładające dłoń do

dłoni matki. Evelyn miała drobniejsze dłonie. Szczupłe palce. Czubek jej serdecznego palca nie dotknął drzwi. W tym miejscu została tylko zakrzepnięta krew.

Muzyka ucichła w pół taktu. W nagłej ciszy Faith usłyszała znajomy, nasilający się gulgot, poprzedzający głośnie wycie. Dźwięk odbił się echem pod wiatą; przez chwilę myślała, że wydobywa się z jej ust. Gdy jednak rozległ się znowu, odwróciła się, wiedząc, że to Emma.

Niemal wszystkie domy w Sherwood Forest zostały wyburzone albo przebudowane i tylko dom Mitchellów wciąż wyglądał z grubsza tak samo jak wtedy, gdy go postawiono. Jego rozkład był prosty – trzy sypialnie, salon, jadalnia oraz kuchnia z drzwiami wchodzącymi na wiatę dla samochodów. Za wiatą Bill Mitchell, ojciec Faith, zbudował komórkę na narzędzia. Była solidna – jej ojciec niczego nie robił na pół gwizdka – z zaryglowanymi metalowymi drzwiami i szybą ze zbrojonego szkła w jedynym oknie. Dopiero w wieku dziesięciu lat Faith zrozumiała, że tak pancerna konstrukcja nie pasuje do czegoś tak zwyczajnego jak buda na narzędzia. Zeke, z typową dla starszego brata delikatnością, uświadomił ją, do czego naprawdę służy szopa: „To tam mama trzyma swoją broń, durna pało”.

Faith puściła się biegiem obok samochodów i spróbowała otworzyć drzwi komórki. Były zamknięte na klucz. Zajrzała przez okno. Przed oczami miała pajęczynę metalowych pręcików wpuszczonych w szybę. Widziała stół z donicami oraz starannie ułożone pod nim worki z ziemią. Narzędzia wisiały na przeznaczonych do tego hakach. Sprzęt do pielęgnacji trawnika był na swoim miejscu. Pod stołem stał czarny metalowy sejf z szyfrowym zamkiem, przyśrubowany do podłogi. Otwarty. Rewolwer Evelyn, marki Smith & Wesson, z rękojeścią z drewna wiśniowego, zniknął. Podobnie jak zwykle stojące obok niego pudełko amunicji.

Znów rozległ się gulgot, tym razem bliżej. Sterta koców na podłodze pulsowała jak serce. Evelyn okrywała nimi rośliny podczas niespodziewanych przymrozków. Zazwyczaj leżały złożone na górnej półce, teraz jednak były zwalone na kupę obok sejfu. Faith ujrzała wystający z za szarych koców różowy kłaczek, a potem krzywiznę

plastikowego zagłówka – to musiał być fotelik samochodowy Emmy. Koc znów się poruszył. Ukazała się wierzgająca stópka – jasnożółta skarpetka z bawełny, wykończona koronką powyżej kostki. Następnie spod koca przebiła się maleńka piąstka. A w końcu Faith zobaczyła twarz Emmy.

Córeczka uśmiechnęła się do niej, jej górna warga ułożyła się w nieznaczny trójkąt. Znów zagulgotała, tym razem z radości.

– Rany boskie! – Faith bezskutecznie szarpała się z zamkniętymi drzwiami. Drżącymi rękami macała górną część futryny, szukając klucza. Posypał się kurz. Palec przebiła jej ostra drzazga. Faith jeszcze raz zajrzała przez okno. Emma, uspokojona widokiem matki, klaskała, ale Faith nigdy w życiu nie czuła tak panicznego strachu. Na dworze było gorąco, w szopie panował upał. Emmie groziło, że się przegrzeje. Mogła się odwodnić. I umrzeć.

Przerażona Faith padła na kolana. Na czworakach szukała dalej, sądząc, że klucz spadł, może wsunął się pod drzwi. Zobaczyła, że spód fotelika Emmy, wciśnięty między ścianę a sejf, jest zgięty. Córka była ukryta pod kocami. Utknęła za sejfem.

Sejf ją chronił.

Faith przerwała poszukiwania. Ścisnęło ją w piersi. Mięśnie twarzy napięły się, jakby miała zdrutowaną szczękę. Usiadła powoli. Na betonie przed sobą ujrzała krople krwi. Powiodła po nich wzrokiem – prowadziły do drzwi kuchennych. Do krwawego odcisku dłoni.

Emma jest zamknięta w komórce. Broń Evelyn zniknęła. Do domu prowadzi ślad krwi.

Faith wstała i popatrzyła na otwarte drzwi do kuchni. Słyszała tylko swój ciężki oddech.

Kto wyłączył muzykę?

Wróciła truchtem do samochodu. Spod fotela kierowcy wyjęła glocka. Sprawdziła magazynek, przypięła kaburę do pasa. Jej telefon leżał na przednim siedzeniu. Złapała go, a potem otworzyła bagażnik. Zanim została rządową agentką specjalną, pracowała w policyjnym wydziale zabójstw w Atlancie. Jej palce automatycznie wystukały z pamięci zastrzeżony numer alarmowy. Nie dając dyspozytorce czasu na odezwanie się, Faith wyrecytowała swój dawny numer służbowy,

jednostkę i podała adres matki.

Przerwała na chwilę, a potem rzuciła:

– Kod trzydzieści.

Omali nie zadusiła się tymi słowami. Kod trzydzieści. Dotychczas ani razu nie użyła tego określenia. Oznaczało ono, że policjant wymaga natychmiastowej pomocy. Czyli że kolega po fachu, inny gliniarz, jest w poważnym niebezpieczeństwie, może nawet nie żyje.

– Moje dziecko jest zamknięte w komórce za domem – wyjaśniła. – Na betonie są ślady krwi, a na drzwiach kuchennych krwawy odcisk dłoni. Sądzę, że moja matka jest w domu. Słyszałam muzykę, ale ktoś ją wyłączył. Matka to emerytowana policjantka. Moim zdaniem ona...

– Jej gardło ścisnęło się jak pięść. – Pomocy. Proszę. Przyślijcie pomoc.

– Kod trzydzieści, przyjęłam – odparła dyspozytorka wysokim, napiętym głosem. – Proszę zostać na dworze i czekać na wsparcie. I za nic, powtarzam, za nic nie wchodzić do domu.

– Zrozumiałam. – Faith rozłączyła się i rzuciła telefon na tylne siedzenie auta. Przekręciła kluczyk w zamku blokady, którą przypięta była w bagażniku jej strzelba.

GBI wydaje każdemu agentowi co najmniej dwie sztuki broni. Pistolet samopowtarzalny glock 23, kaliber 40, mieszczący trzynaście nabojów w magazynku plus jeden w komorze, i strzelbę powtarzalną remington 870, mającą w magazynku rurowym cztery łuski śrutu o podwójnej grubości. Egzemplarz Faith miał sześć dodatkowych łusek w ładownicy montowanej do komory zamkowej. Jedna łuska zawierała osiem śrucin, rozmiarem przypominających kule kalibru 38.

Za każdym pociągnięciem spustu glock wystrzeliwał jedną kulę. W remingtonie każdy strzał jednorazowo wyrzucał ich osiem.

Zasady agencji nakazywały wszystkim agentom wprowadzanie jednego naboju do komory pistoletów, co w sumie dawało czternaście kul. Ich glocki nie miały standardowego bezpiecznika. Prawo zezwalało agentom na użycie śmiertelnej broni zawsze, kiedy zagrożone było ich życie bądź życie innych ludzi. Za spust pociąga się tylko wtedy, gdy chce się wystrzelić, a jeśli już się strzela, to po to,

żeby zabić.

Ze strzelbą sprawa miała się nieco inaczej, chociaż końcowy rezultat był taki sam. Bezpiecznik znajdował się z tyłu osłony spustu – rygiel z krzyżowym nacięciem, którego przesunięcie wymagało dużej giętkości mięśni. Nie wprowadzało się zawczasu naboju do komory. Chodziło o to, żeby wszyscy w pobliżu słyszeli ten przejmujący odgłos ładowania strzelby typu pompka. Już sam ten dźwięk pozwolił Faith rzucić na kolana siedmiu dorosłych mężczyzn.

Odsuwając bezpiecznik, obejrzała się na dom. W oknie od frontu drgnęła zasłona. W korytarzu przemknął cień.

Podchodząc do wiaty, jedną ręką przeładowała pompkę. Donośny szczęk odbił się echem od betonu. Płynnym ruchem przycisnęła kolbę strzelby do ramienia, celując wprost przed siebie. Kopniakiem otworzyła drzwi i pewnie trzymając broń, krzyknęła:

– Policja!

Słowo zadudniło po całym domu jak grzmot pioruna. Wydobyło się z mrocznych głębin trzewi Faith, o których usiłowała nie pamiętać, z obawy, że otworzy furtkę, której nie da się zamknąć.

– Wyjdź z podniesionymi rękami!

Nikt się nie pojawił. Usłyszała jakiś dźwięk dobiegający z tyłu domu. Kiedy wchodziła do kuchni, jej wzrok się wyostrzył. Krew na blacie. Nóż do krojenia chleba. Na podłodze jeszcze więcej krwi. Wysunięte szuflady, otwarte drzwi szafek. Wiszący na ścianie telefon wyglądał jak ukrecony stryzyk. BlackBerry i komórka Evelyn leżały na podłodze, roztrzaskane w drobny mak. Faith szła z wycelowaną przed siebie strzelbą, trzymając palec z boku spustu, żeby nie popełnić głupiego błędu.

Powinna myśleć o matce albo Emmie, a jednak po głowie chodził jej tylko jeden zwrot: „ludzie i drzwi”. Dwa największe zagrożenia czyhające podczas przeszukiwania domu. Należało się zorientować, gdzie są ludzie – obojętne, czy ci dobrzy, czy źli – oraz wiedzieć, co grozi za kolejnymi drzwiami.

Błyskawicznie odwróciła się w bok, celując w kierunku pralni. Zobaczyła mężczyznę, leżącego twarzą w dół na podłodze. Czarne włosy. Woskowożółta skóra. Ręce zasłaniające pierś, jak u dziecka,

którym inne dzieci kręcą na początku gry w ciuciubabkę. Mężczyzna nie miał przy sobie broni, nie było jej nigdzie w pobliżu. Z tyłu jego głowy została krwawa miazga. Mózg zbryzgał pralkę. Faith zobaczyła dziurę w ścianie, którą zostawiła kula wylatująca z czaszki zabitego.

Określiła się na pięcie, stając twarzą w stronę kuchni, połączonej okienkiem z jadalnią. Przykucnęła i wyjrzała zza ścianki.

Pusto.

Przed oczami, jak na wykresie, stanął jej rozkład domu. Po lewej był salon. Po prawej – wielki otwarty hol. Z przodu korytarz, a dalej łazienka. Dwie sypialnie po prawej. Jedna po lewej – ta należąca do matki, z małą łazienką oraz drzwiami wychodzącymi na patio za domem. Wszystkie drzwi w korytarzu były otwarte, z wyjątkiem tych do pokoju Evelyn.

Faith ruszyła w ich kierunku, lecz zatrzymała się w pół kroku.

Ludzie i drzwi.

Oczywiście wyobraźni ujrzała wyryte w kamieniu słowa: „Nie zbliżaj się do kolejnego niebezpieczeństwa, dopóki się nie upewnisz, że teren za tobą jest czysty”.

Przykucnięta, obróciła się w lewo i weszła do salonu. Obrzuciła wzrokiem ściany, sprawdziła przesuwane szklane drzwi, prowadzące na podwórko za domem. Rozbite szkło. Zastony powiewały na wietrze. Ktoś splądrował pokój. Widocznie czegoś szukał. Wyłamane szuflady. Wybebeszone poduszki. Ze swojego punktu obserwacyjnego zajrzała za kanapę – fotel był przesunięty o dobry metr. Bez przerwy obracała głowę, spoglądając to na pokój, to na korytarz, dopóki nie upewniła się, że może ruszyć dalej.

Pierwsze drzwi prowadziły do jej dawnej sypialni. Tutaj też ktoś szperał. Szuflady w starym biurku Faith sterczały niczym wywalone języki. Materace pocięto. Łóżeczko Emmy połamano na kawałki, kołdrę przecięto na pół. Telefon komórkowy wiszący nad głową córki przez wszystkie miesiące jej życia został wdeptany w dywan jak grudka ziemi. Faith zdusiła narastającą wściekłość. Zmusiła się, żeby przejść dalej.

Szybko przeszukała szafy, zajrzała pod łóżko. To samo zrobiła w pokoju należącym kiedyś do Zeke'a, w którym matka urządziła



sobie gabinet. Usiana papierami podłoga. Szuflady biurka ciśnięte pod ścianę. Zajrzała do łazienki. Odsunięta zasłona prysznic. Bieliźniarka otwarta na oścież. Ręczniki i pościel wyrzucone na podłogę.

Stanąwszy z lewej strony drzwi sypialni matki, Faith usłyszała pierwszą syrenę. Dźwięk dobiegał z daleka, ale wyraźnie. Powinna zaczekać na wsparcie.

Kopniakiem otworzyła drzwi i przykucnięta, obróciła się w lewo i w prawo. Oparła palec na spuście. U podnóża łóżka ujrzała dwóch mężczyzn. Jeden z nich klęczał. Latynos, w samych dżinsach. Skóra na jego piersi wisiała w strzępach, jakby ktoś wysmagał go drutem kolczastym. Całe ciało błyszczało od potu. Na żebrach widniały czarne i czerwone sińce. Ramiona i tułów pokrywały tatuaże; największy, na piersi, przedstawiał zielono-czerwoną gwiazdę Teksasu z owiniętym wokół niej węzem. A zatem ten człowiek należał do Los Mexicanos, meksykańskiego gangu, który od dwudziestu lat kontrolował handel narkotykami w Atlancie.

Drugi mężczyzna był Azjatą. Żadnych tatuaży. Jasnoczerwona hawajska koszula, brązowe spodnie z drelichu. Stał nad członkiem Mexicanos, z przystawioną do jego skroni lufą broni. Pięciostrzałowy smith & wesson, z rękojeścią z drewna wiśniowego. Rewolwer Evelyn.

Faith wycelowała strzelbę w pierś Azjaty. Miała wrażenie, że zimny, twardy metal jest przedłużeniem jej rąk. Czowała łomotanie napompowanego adrenaliną serca. Każdy mięsień jej ciała marzył o tym, żeby pociągnąć za spust.

– Gdzie moja matka? – syknęła przez zaciśnięte zęby.

– Jeśli do mnie strzelisz, trafisz też w niego – wycedził. Przeciągły nosowy akcent zdradzał, że pochodzi z południowych stanów.

Miał rację. Faith stała w korytarzu, nieco ponad półtora metra od nich. A oni byli za blisko siebie. Nawet strzał w głowę groził tym, że zbłąkana kula trafi – i najpewniej zabije – zakładnika. Nie spuszczała jednak palca ze spustu i wciąż celowała w Azjatę.

– Mów, gdzie ona jest – rozkazała.

Tamten mocniej przycisnął lufę do skroni Latynosa.

– Rzuć broń – polecił.

Syreny zawodziły coraz głośniejsze. Dobiegały ze Strefy Piątej, od

strony Peachtree.

– Słyszysz ten dźwięk? – spytała Faith. Wyobraziła sobie trasę radiowozów przez Nottingham i oceniła, że dotrą za niecałą minutę. – Mów, gdzie jest moja matka, albo przysięgam, że cię zastrzelę, zanim się tu zjawia.

Azjata uśmiechnął się i tylko mocniej ścisnął rewolwer.

– Dobrze wiesz, po co tu przyszliśmy. Oddaj nam to, a wtedy ją puścimy.

Faith nie miała bladego pojęcia, o czym on mówi. Jej matka była sześćdziesięcioletnią wdową. Najcenniejszą rzeczą, jaką posiadała, była ziemia, na której stał dom.

Tamten uznał brak odpowiedzi za unik.

– Naprawdę chcesz stracić matkę z powodu tego brudasa?

– To takie proste? – rzuciła Faith, udając, że rozumie, o co chodzi.

– Pójdiesz na wymianę?

Wzruszył ramionami.

– To jedyny sposób, żebyśmy oboje wyszli stąd cało – skwitował.

– Gówny prawda.

– Nie gówny prawda, tylko uczciwa zamiana. – Syreny wyły coraz głośniej. Na ulicy zapiszczały opony. – No już, zdziro. Czas ucieka. Umowa stoi?

Łgał jak pies. Dopiero co zabił człowieka. I groził następnemu. Kiedy dotrze do niego, że Faith blefuje, pośle jej kulkę w serce.

– Stoi – przytaknęła, lewą ręką rzucając strzelbę przed siebie.

Instruktor na strzelnicy nie rozstawał się ze stoperem, który mierzył czas z dokładnością do dziesiątych części sekundy, dlatego Faith wiedziała, że osiem dziesiątych sekundy to dokładnie tyle, ile potrzebuje na wyciągnięcie glocka z kabury na biodrze. Zrobiła to w tej samej chwili, kiedy Azjatę rozproszyła upadająca na podłogę strzelba – wyszarpnęła pistolet, oplotła spust palcem i wypaliła intruzowi w głowę.

Wyrzucił ręce w górę. Upuścił rewolwer. Zmarł, zanim jeszcze runął na podłogę.

Drzwi frontowe rozpadły się w drzazgi. Faith odwróciła się do holu w chwili, gdy do domu wdarła się ekipa szturmowa w pełnym

rynsztunku bojowym. Kiedy wróciła wzrokiem do sypialni, zobaczyła, że Meksykanin zniknął.

Drzwi na patio były otwarte. Faith wybiegła na dwór – Latynos właśnie przeskakiwał przez drucianą siatkę. W ręku miał rewolwer Evelyn. Na podwórku za domem pani Johnson bawiły się jej wnuczki. Widząc pędzącego ku nim uzbrojonego mężczyznę, podniosły wrzask. Był jakieś siedem metrów od nich. Sześć. Meksykanin uniósł broń, wycelował w kierunku dziewczynek i strzelił nad ich głowami. Na ziemię posypał się imitujący cegłę siding. Przerażonym dzieciakom odjęło głos, nie były w stanie się ruszyć, szukać ratunku. Faith zatrzymała się przy siatce, wymierzyła starannie i pociągnęła za spust.

Mężczyznę szarpnęło, jakby ktoś pociągnął za sznurek, którym był obwiązany. Przed dobrą sekundę stał prosto, po czym kolana się pod nim ugięły i padł na wznak na ziemię. Faith przeskoczyła przez ogrodzenie i pognęła ku niemu. Przydeptała obcasem jego nadgarstek, aż w końcu wypuścił smith & wesson. Dziewczynki znów podniosły raban. Pani Johnson wyszła na ganek i zagoniła je do domu, tak jak kaczką zagania swoje młode. Zamykając drzwi, posłała Faith pełne grozy, przerażone spojrzenie. Gdy Zeke i Faith byli mali, przeganiała ich, polewając z ogrodowego węża. U siebie czuła się bezpieczna.

Faith schowała glocka do kabury, a rewolwer matki wsadziła za spodnie na plecach. Chwyciła Meksykanina za ramiona.

– Gdzie jest moja matka? – zapytała kategorycznym tonem. – Co oni z nią zrobili?

Otworzył usta, spomiędzy srebrnych plomb w zębach popłynęła krew. Uśmiechał się. Ten gnojek się uśmiechał!

– Gdzie ona jest? – Przycisnęła dłoń do jego sponiewieranej piersi, czując, jak połamane żebra ustępują pod naciskiem palców. Gdy wrzasnął z bólu, nacisnęła mocniej, aż kości zazgrzytały o siebie. – Gdzie ona jest?!

– Agentko! – Młody policjant przytrzymał się siatki, przeskoczył przez ogrodzenie i ruszył ku niej z opuszczoną bronią. – Proszę odsunąć się od więźnia.

Faith przysunęła się bliżej Meksykanina. Czuła bijący z jego ciała

żar.

– Gadaj, gdzie moja matka.

Z jego strunami głosowymi było wszystko w porządku. Nie czuł już bólu. Żrenice miał wielkie jak dziesięciocentówki. Jego powieki trzepotały, drgały mu kąciaki ust.

– Gadaj, gdzie moja matka! – Z każdym kolejnym słowem w jej głosie brzmiała coraz większa rozpacz. – Na miłość boską... proszę... powiedz, gdzie ona jest!

W jego oddechu wyczuwało się lepkość, jakby miał płuca sklezione taśmą. Poruszył ustami. Wyszeptał coś, ale nie mogła rozróżnić słów.

– Co? – Przysunęła ucho do jego warg, tak blisko, że obryzgała ją tryskająca z jego ust ślina. – Powiedz – szepnęła. – Powiedz mi, proszę.

– Almeja.

– Co? – powtórzyła Faith. – Coś ty powiedział?

Otworzył usta. Zamiast słów, popłynęła z nich krew.

– Coś ty powiedział?! – wrzasnęła. – Powtórz!

– Agentko! – krzyknął znów policjant.

– Nie! – Nacisnęła dłońmi pierś Meksykanina, próbując zmusić jego serce, by znów zaczęło bić. Zacisnęła pięść i zaczęła grzmocić go z całej siły, waliła jak w bęben, z nadzieją, że przywróci go do życia. – Mów! – ryknęła. – Gadaj!

– Agentko! – Poczwała, że czyjeś ręce obejmują ją w talii. Gliniarz oderwał ją od ziemi.

– Puszczaj! – Walnęła stojącego za nią policjanta łokciem, tak mocno, że puścił ją jak kamień. Gramoląc się w trawie, brnęła w stronę świadka. Zakładnika. Mordercy. Jedynej pozostałej przy życiu osoby, która mogła wyjawić, co, do cholery, stało się z jej matką.

Złapała Meksykanina za głowę, gapiąc się w jego oczy, z których uszło życie.

– Proszę cię, powiedz mi – błagała, choć wiedziała, że jest już za późno. – Proszę.

– Faith? – Po drugiej stronie ogrodzenia stał detektyw Leo Donnelly, jej dawny partner z policji miejskiej. Był zasapany. Zaciskał

dłonie na górnej krawędzi siatki. Wiatr rozwiewał poły marynarki jego taniego brązowego garnituru. – Emmie nic się nie stało. Ślusarz już tu jedzie. – Powolne, gęste słowa sączyły się powoli jak przecedzana przez sito melasa. – Chodź, dziecko. Emma potrzebuje matki.

Faith przeniosła wzrok za niego. Wszędzie roило się od gliniarzy – przeczesywali dom i sprawdzali podwórze. Przed oczami migwały jej granatowe mundury. Przez okna widziała, jak ekipa szturmowa z gotową do strzału bronią przesuwają się z jednego pokoju do drugiego. Nikogo nie znajdując, co pewien czas krzyczeli: „Pusto!”. Słysząc było zawołanie rywalizujących ze sobą syren. Radiowozów. Karet pogotowia. Wozu straży pożarnej.

Zjawili się na jej wezwanie. Kod trzydzieści. Policjant wymaga natychmiastowej pomocy.

Trzech zastrzelonych mężczyzn. Dziecko zamknięte w komórce. I ani śladu po matce.

Faith przysiadła na piętach. Drżącymi rękami złapała się za głowę, zmuszając się, żeby nie wybuchnąć płaczem.

## Rozdział 2

– A on mi nawija, że wymieniał olej w samochodzie, w garażu było gorąco, więc ściągnął spodnie...

– Uhm – mruknęła Sara Linton. Gmerwała widelcem w sałacie, udając zainteresowanie.

– No to mu mówię: „Słuchaj, kolego, jestem lekarzem. Osądzać cię będzie kto inny, to nie moja sprawa. Możesz mi szczerze wyznać...”.

Sara patrzyła, jak Dale Dugan porusza ustami. Na szczęście jego głos mieszał się z typowym dla pory lunchu gwarem pizzerii. Z cichą muzyką. Śmiechem klientów. Brzękiem talerzy w kuchni. Opowieść Dale’a nie była szczególnie zajmująca ani nowa. Sara pracowała jako pediatra na pogotowiu Szpitala Grady’ego w Atlancie. Wcześniej przez dwanaście lat prowadziła prywatną praktykę, jednocześnie dorabiając sobie na pół etatu jako patomorfolog w małym, acz tętniącym życiem miasteczku uniwersyteckim. Z biegiem lat widziała już wszelkie możliwe przybory, narzędzia, sprzęty domowe czy szklane figurki, które utkwily w ludzkim ciele.

Dale jednak nudził dalej:

– Na to wchodzi pielęgniarzka z przenośnym rentgenem.

– No, no – bąknęła, starając się wykrzesać z głosu choć trochę zainteresowania.

Dale uśmiechnął się. Między środkowymi siekaczami utkwiał mu kawałek sera. Sara próbowała go nie oceniać. Dale Dugan był całkiem miły. Może nie przystojny, ale też nie straszył wyglądem, a wiele kobiet uznawało, że jest atrakcyjny, kiedy już dowiedziały się, że ukończył medycynę. Jednak Sarze niełatwo było zaimponować. W dodatku umierała z głodu, ponieważ przyjaciółka, która bez sensu umówiła ją na tę randkę w ciemno, doradziła jej wybór sałaty zamiast pizzy – bo podobno to stwarza korzystniejsze wrażenie.

– No więc włączam rentgen i co widzę?

Klucz nasadowy, pomyślała, zanim w końcu doszedł do puenty.

– Klucz nasadowy! Dasz wiare?

– No nie! – Zmusiła się do śmiechu, który zabrzmiał jak pisk

wydobywający się z nadmuchiwanej zabawki.

– A on cały czas powtarzał, że tylko się pośliznął.

Cmoknęła z podziwem.

– To się nazywa trafić w dziesiątkę – skwitowała.

– Prawda? – Znów się uśmiechnął, a potem ugryzł solidny kęs pizzy.

Sara międziła w ustach sałatę. Cyfrowy zegar nad głową Dale'a wskazywał drugą dwanaście plus całkiem sporo sekund. Czerwone cyfry na elektronicznym wyświetlaczu boleśnie przypomniały jej, że powinna teraz siedzieć w domu, oglądać mecz koszykówki i składać czekającą na kanapie górę prania. Wymyśliła sobie grę – sprawdzała, jak długo zdoła nie zerkać na zegar, zanim się złamie, siła woli ją opuści i znów spojrzy na niewyraźne cyferki przeskakujące na sekundniku. Dotychczasowy rekord wynosił trzy minuty dwadzieścia dwie sekundy. Nabierając do ust kolejną porcję sałaty, poprzysięgła sobie, że pobije ten wynik.

– A więc studiowałaś na Emory? – Dale zmienił temat.

Przytaknęła ruchem głowy.

– A ty skończyłeś Duke?

Jak mogła się spodziewać, wdał się w rozwlekłą relację o swoich dokonaniach podczas studiów, nie pomijając opublikowanych w prasie fachowej artykułów ani wystąpień na rozmaitych konferencjach. Sara znowu udawała zainteresowanie, zmuszając się, żeby nie spoglądać na zegar, i przeżuwasz sałatę wolno jak krowa na pastwisku, żeby Dale nie poczuł się zobligowany do zadania kolejnego pytania.

Nie była to jej pierwsza randka w ciemno, za to – niestety – dość uciążliwa. Dzisiaj problemy zaczęły się w szóstej minucie, co Sara sprawdziła na zegarze. Jeszcze zanim złożyli zamówienie, migiem uporali się ze wstępnymi ceregielami. Dale był rozwiedziony, bezdzietny, miał dobre relacje z byłą żoną, a w wolnym czasie w szpitalu grywał w koszykówkę w naprędce zorganizowanych meczach. Sara pochodziła z niewielkiej miejsciny na południu Georgii. Miała dwa charty oraz kota, który jednak wybrał mieszkanie u jej rodziców. Jej mąż został zabity cztery i pół roku temu.

Ta ostatnia informacja przeważnie skutecznie kończyła dalszą rozmowę, ale Dale beztrąsko uznał ją za drobiazg bez znaczenia. W pierwszej chwili zarobił u Sary dodatkowe punkty, ponieważ nie dopytywał się o szczegóły, potem jednak uznała, że nie pyta, bo jest za bardzo pochłonięty sobą, a w końcu zganiała się za to, że jest dla niego zbyt surowa.

– Czym się zajmował twój mąż?

Zaskoczył ją tym pytaniem, gdy miała usta pełne sałaty. Kiedy już ją pogryzła i przełknęła, odparła:

– Był policjantem. Naczelnikiem policji hrabstwa.

– To dosyć niezwykle – odparł, a widząc jej urażoną minę, dodał czym prędzej: – Niezwykle dlatego, że nie jest lekarzem. A raczej nim nie był. Domyślam się, że nie pracował jako umysłowy.

– Umysłowy? – Zdawała sobie sprawę z oskarżycielskiego tonu, ale nie potrafiła się pohamować. – Mój ojciec jest hydraulikiem. Razem z siostrą pracowałyśmy z nim, żeby...

– Hej, spokojnie! – Podniósł ręce, jakby się poddawał. – Źle mnie zrozumiałaś. Chciałem powiedzieć, że praca fizyczna ma w sobie coś szlachetnego. Nie sądzisz?

Sara nie wiedziała, jaka jest specjalizacja doktora Dale'a; ona w swoim fachu co dzień musiała pracować fizycznie.

Nieświadomy tego lekarz przybrał poważny ton.

– Mam wiele szacunku dla policjantów. I innych, którzy pełnią służbę. No wiesz, dla żołnierzy. – Nerwowo otarł usta serwetką. – To niebezpieczny zawód. Czy twój mąż zginął w trakcie wykonywania obowiązków?

Kiwnęła głową, zerkając na zegar. Trzy minuty dziewiętnaście sekund. O mały włos, a pobiłaby rekord.

Dale wyciągnął z kieszeni komórkę i spojrzął na wyświetlacz.

– Przepraszam, muszę być pod telefonem. Chciałem sprawdzić, czy mam tu zasięg.

Przynajmniej nie skłamał, że ma wyłączony dźwięk, ale Sara i tak była pewna, że wkrótce uda, że odbiera telefon przestawiony na wibracje.

– Przepraszam, że się uniosłam – powiedziała. – To dla mnie trudny



temat.

– Współczuję ci śmierci męża. – Z tonu, jakim to powiedział, zorientowała się, że nabrał w tym wprawy na ostrym dyżurze. – Na pewno było ci ciężko.

Ugryzła się w język. Nie przychodziła jej do głowy żadna w miarę uprzejma odpowiedź, a zanim wpadła na to, żeby przejść do rozmowy o pogodzie, minęło tyle czasu, że rozmowa stała się jeszcze bardziej niezręczna.

– Mniejsza z tym – rzuciła w końcu. – A może byśmy...

– Przepraszam – wpadł jej w słowo. – Muszę wyjść do toalety.

Wstał tak gwałtownie, że omal nie wywrócił krzesła. Sara patrzyła, jak szybkim krokiem idzie na tył lokalu. Może to wyobraźnia płatała jej figle, ale odniosła wrażenie, że mijając wyjście przeciwpożarowe, Dale wyraźnie się zawahał.

– Idiotka. – Rzuciła widelec na talerz.

Znów sprawdziła godzinę na zegarze. Druga piętnaście. Jeżeli Dale w ogóle wróci, pewnie uda się jej zakończyć to spotkanie przed drugą trzydzieści. Przyszła tu z mieszkania pieszo, więc uniknie tego przedłużającego się, koszmarnego milczenia, jakie panowałyby między nimi, gdyby odwoził ją do domu. Rachunek zapłacili w kasie, składając zamówienie. Spacer do domu zajmie jej piętnaście minut, więc przed meczem koszykówki zdąży wyskoczyć z sukienki i przebrać się w dres. Poczwała, że burczy jej w brzuchu. A może by udać, że idzie do domu, a potem wrócić tu i zamówić pizzę?

Zegar odmierzył kolejną minutę. Sara zlustrowała wzrokiem parking. Samochód Dale'a wciąż tam stał, bo zielony lexus z tablicą rejestracyjną DRDALE niewątpliwie należał do niego. Nie była pewna, czy przyjęła to z ulgą, czy z rozczarowaniem.

Według zegara upłynęło następne trzydzieści sekund. Jeszcze przez dwadzieścia trzy sekundy korytarz prowadzący do toalety był pusty. Potem zjawiała się w nim człapiąca z balkonikiem staruszka. Nikt za nią nie szedł.

Sara zwiesiła głowę i ukryła twarz w dłoniach. Dale nie był złą partią. Zrównoważony, w miarę zdrowy, miał stałą pracę, prawie nie łyssał i pomijając ser między zębami, sprawiał wrażenie kogoś, kto

dba o higienę. To jednak nie wystarczało. Sara zaczynała podejrzewać, że to w niej tkwi problem. Powoli stawała się tutejszym odpowiednikiem pana Darcy'ego z Dumy i uprzedzenia Jane Austen. Jeżeli straci dobrą opinię, nigdy jej nie odzyska. Łatwiej zmienić kurs parowca niż to, co sobie wbiła do głowy.

Powinna bardziej się starać. Nie miała już dwudziestu pięciu lat, tylko czterdziestkę na karku. Do tego metr osiemdziesiąt wzrostu, co skutecznie ograniczało krąg potencjalnych partnerów. Nie wszystkim mężczyznom podobały się jej rude włosy i blada cera. Pracowała do późna. Nie miała zielonego pojęcia o gotowaniu. Najwyraźniej straciła też umiejętność rozmawiania na niezobowiązujące tematy, a wzmianka o zmarłym mężu potrafiła doprowadzić ją do szewskiej pasji.

Może za wysoko postawiła sobie poprzeczkę. Jej małżeństwo nie należało może do idealnych, ale i tak było wyjątkowo udane. Kochała męża nad życie. Kiedy go zabrakło, omal nie umarła. Jednak Jeffrey odszedł niemal pięć lat temu i szczerze mówiąc, doskwierała jej samotność. Tęskniła za towarzystwem mężczyzn. Tęskniła za ich sposobem myślenia i jakże zaskakująco miłymi komplementami, które potrafili prawić. Brakowało jej szorstkiego dotyku ich skóry. A także czegoś więcej. Niestety, kiedy ostatnim razem wywracała oczami za sprawą mężczyzny, robiła to, umierając z nudów, a nie wijąc się z rozkoszy.

Musiała spojrzeć prawdzie w oczy i przyjąć do wiadomości, że jeśli chodzi o randki, jest koszmarnie, kompletnie, przeraźliwie do niczego. Nie miała kiedy nabrać wprawy. Odkąd wkroczyła w wiek dojrzewania, była seryjną monogamistką. Po raz pierwszy zadurzyła się w liceum i ten związek przetrwał do końca szkoły; następnie przez całe studia na akademii medycznej chodziła z kolegą z roku; a potem poznała Jeffreya i odtąd nie spojrzała już na innego mężczyznę. Jeśli nie liczyć katastrofalnej przygody na jedną noc, od śmierci męża nie miała nikogo. Nie przychodził jej do głowy nikt, kto wywoływałby u niej choćby dreszcz podniecenia... z wyjątkiem jednego mężczyzny. Tamten miał jednak żonę. Gorzej – był żonatym gliną.

A najgorsze, że stał właśnie przy kasie, zaledwie trzy metry od

Sary.

Will Trent był ubrany w czarne spodenki do biegania i czarną koszulkę z długimi rękawami, która korzystnie uwypuklała jego szerokie bary. Jasnoblond włosy miał dłuższe niż przed kilkoma miesiącami, kiedy się ostatnio widzieli. Prowadził wtedy dochodzenie, w które uwikłany był dawny pacjent Sary z kliniki dziecięcej w jej rodzinnym mieście. Do tego stopnia wpakowała nos w sprawy Willa, że z braku wyboru musiał dopuścić ją do udziału w śledztwie. Połączyło ich wówczas coś w rodzaju flirtu, a kiedy dopiął śledztwo na ostatni guzik, wrócił do domu, do żony.

Will był niezwykle spostrzegawczy. Wchodząc do lokalu, musiał zauważyć Sarę siedzącą przy stoliku. A jednak teraz stał odwrócony do niej plecami i wczytywał się w ulotkę przypiętą do tablicy informacyjnej na ścianie. Nie musiała spoglądać na zegar, żeby policzyć wpływające sekundy, kiedy czekała, aż zwróci na nią uwagę.

Tymczasem on przeniósł wzrok na następną ulotkę.

Sara wyjęła spinę z włosów, bujne loki opadły jej na ramiona. Wstała i podeszła do Willa Trenta.

Wiedziała o nim to i owo. Był wysoki, miał co najmniej metr dziewięćdziesiąt wzrostu, smukłą sylwetkę biegacza i najpiękniejsze męskie nogi, jakie widziała. Zanim skończył rok, jego matka padła ofiarą zabójstwa. Wychował się w domu dziecka, nie trafił do adopcji. Został agentem specjalnym GBI. Należał do najmądrzejszych ludzi, jakich spotkała, wiedziała jednak, że z powodu poważnej dysleksji jego umiejętność czytania była na poziomie co najwyżej ucznia drugiej klasy podstawówki.

Sara stanęła tuż obok niego i spojrzała na ulotkę, która tak go zainteresowała.

– Ten zapowiada się całkiem nieźle – rzuciła.

Próbował udawać, że zaskoczył go jej widok, ale zupełnie mu to nie wychodziło.

– Doktor Linton – wydukał. – Właśnie miałem... – Oderwał kawałek ulotki z namiarami. – Zastanawiam się nad kupnem motocykla.

Zerknęła na reklamę z wiernym rysunkiem harleya davidsona pod nagłówkiem namawiającym do zapisania się do klubu.

– „Lesby na dwóch kółkach”? Nie sądzę, żeby taka jazda była w twoim guście.

Skwitował to krzywym uśmiechem. Przez całe życie próbował ukrywać swoją ułomność, więc mimo że Sara i tak się zorientowała, wciąż nie chciał się przyznać, że czytanie sprawia mu kłopot.

– To świetna metoda na poznawanie kobiet – odparł.

– Czyżbyś chciał się spotykać z kobietami? – spytała.

Przypomniała sobie kolejną cechę Willa – miał niesamowity dryg do trzymania buzi na kłódkę, kiedy nie wiedział, co powiedzieć. W rezultacie często zapadała niezręczna cisza, przy której randki Sary wyglądały na rozpasane gadulstwo.

Na szczęście zamówiona przez Willa pizza była już gotowa. Sara usunęła się na bok, kiedy odbierał pudełko od młodej kelnerki z mnóstwem tatuaży i kolczyków w najdziwniejszych miejscach. Spojrzenie, jakim go obrzuciła dziewczyna, można by określić jako pełne zachwyty. Will najwyraźniej nie zdawał sobie z tego sprawy – zaglądał do pudełka, sprawdzając, czy dostał to, co zamówił.

– No cóż – mruknął, obracając kciukiem obrączkę na palcu. – Powinienem się zbierać.

– W porządku.

A jednak stał w miejscu. Sara również. Na zewnątrz rozszczękał się pies, piskliwy skowyt docierał do lokalu przez otwarte okna. Sara wiedziała, że przed wejściem stoi miska wody oraz słupek, do którego klienci restauracji mogli przywiązywać swoje zwierzęta. Wiedziała również, że żona Willa ma małą suczkę, Betty, tyle że przeważnie to on musiał się nią zajmować.

Ujadanie było coraz głośniejsze. A jednak Will nie kwapił się do wyjścia.

– Na moje ucho to chyba chihuahua – powiedziała Sara.

Przez chwilę wsłuchiwał się w szczekanie, a potem skinął głową.

– Chyba masz rację.

– Tu jesteś. – Dale wrócił wreszcie z toalety. – Posłuchaj, dzwonili ze szpitala... – Spojrzał na Willa. – Cześć.

– Dale Dugan, a to jest Will Trent – dokonała prezentacji Sara.

Will sztywno skinął głową. Dale zrewanżował się tym samym.

Pies nie przestawał ujadać, piskliwie, ze strachem. Z miny Willa Sara wyczytała, że prędzej by umarł, niż przyznał się, że ta suczka należy do niego.

Wykrzesła z siebie trochę litości.

– Dale, wiem, że musisz jechać do szpitala. Wielkie dzięki za lunch.

– Nie ma sprawy. – Schylił się i bezceremonialnie pocałował ją w usta. – Zadzwoń.

– Świetnie – bąknęła, powstrzymując chęć otarcia warg. Patrząc, jak ci dwaj żegnają się kolejnymi sztywnymi skinieniami głów, poczuła się jak jedyny słupek na wybiegu dla psów.

Podczas gdy Dale przemierzał parking, skomlenie Betty jeszcze bardziej się nasiliło. Will mruknął coś pod nosem i otworzył drzwi. Trzymając pewnie pudełko z pizzą, drugą ręką odwiązał smycz i podniósł psa. Betty natychmiast przestała szczekać. Wtuliła pysk w jego pierś i wywalila język.

Sara pogłaskała suczkę po głowie. Chudy grzbiet Betty przecinała siatka świeżych szwów.

– Co jej się stało? – spytała.

Wciąż miał zaciętą twarz.

– Pamiątka po zatargu z Jackiem Russellem – odparł.

– Co ty powiesz? – Żaden pies nie mógłby spowodować takich obrażeń, terier Jack Russel zamiast pazurów musiałby mieć nożyce.

Will wskazał na Betty.

– Powinienem ją zabrać do domu.

Sara nigdy nie była w jego domu, ale wiedziała, przy której ulicy mieszka.

– Nie idziesz w prawo? – zdziwiła się. – Tamtędy?

Nie odpowiedział. Wyglądał, jakby się zastanawiał, czy jeśli ją okłamię, ujdzie mu to na sucho.

– Nie mieszkasz już koło Linwood? – naciskała.

– Do ciebie idzie się w przeciwnym kierunku – zauważył.

– Mogę pójść na skróty przez park. – Ruszyła, nie dając mu wyboru.

W milczeniu szli Ponce de Leon. Hałas przejeżdżających obok samochodów skutecznie wypełniał ciszę, ale nawet wyziewy spalin nie przesłaniały aury pięknego wiosennego dnia. Ulicą spacerowały

trzymające się za ręce pary. Matki pchały dziecięce wózki. Biegacze śmigali między czterema rzędami pojazdów. Poranne zwały chmur przesunęły się na wschód, odsłaniając niebieskie jak dżinsy niebo. Wiał rzeński wietrzyk. Sara splotła ręce na plecach i spojrzała na popękany chodnik. Rozsadzające beton korzenie drzew wyglądały jak powykęcane ze starości palce stóp.

Spojrzała na Willa. Jego czoło lśniło w słońcu od potu. Na twarzy miał dwie blizny, ale nie wiedziała, czemu je zawdzięcza. Jedna – kiepsko zszyta po przecięciu górna warga – nadawała jego ustom nieco łajdacki wygląd. Druga szrama biegła wzdłuż zuchwy i ginęła pod kołnierzykiem. Kiedy się poznali, Sara przypuszczała, że to pamiątki po dziecięcych psotach, jednak gdy poznała jego historię i dowiedziała się, że dorastał w domu dziecka, zaczęła podejrzewać, że za tymi bliznami kryje się jakaś mroczna tajemnica.

Uciekła wzrokiem, kiedy na nią spojrzał.

– Ten Dale wygląda na sympatycznego faceta – zauważył.

– Bo jest sympatyczny.

– Domyślam się, że to lekarz.

– Owszem.

– Zdaje się, że nieźle całuje.

Uśmiechnęła się.

Will przesunął Betty w rękę, żeby nie spadła.

– Spotykasz się z nim, prawda?

– To była nasza pierwsza randka.

– Odniosłem wrażenie, że łączy was głębsza zażyłość.

Sara przystanąła.

– Jak tam twoja żona, Will? – spytała.

Nie odpowiedział od razu. Utkwił wzrok w czymś ponad jej ramieniem.

– Nie widziałem jej od czterech miesięcy.

Sara poczuła się tak, jakby ją zdradził. Nie zadzwonił do niej, mimo że żona odeszła.

– Jesteście w separacji?

Przesunął się w bok, ustępując miejsca jakiemuś biegaczowi.

– Nie.

– Przepadła bez wieści?

– Niezupełnie.

Przy krawężniku zatrzymał się autobus sieci MARTA; przeciągły pomruk silnika zagłuszył inne dźwięki. Sara poznała Angie Trent niecały rok temu. Śródziemnomorska uroda i krągła figura Angie były ucieleśnieniem tego, o czym myślą matki ostrzegające synów przed rozwiązłymi kobietami.

Autobus odjechał.

– Gdzie ona się podziewa? – spytała Sara.

Will odetchnął głęboko.

– Często mnie zostawia. Taka już jest. Odchodzi i wraca. Potem zostaje na jakiś czas i znowu znika.

– Gdzie?

– Nie mam pojęcia.

– Nie pytałeś jej?

– Nie.

Nawet nie próbowała udawać, że rozumie.

– Dlaczego?

Spojrzał na jezdnię, na przejeżdżające samochody.

– To dosyć skomplikowane.

Oparła rękę na jego przedramieniu.

– Więc mi wyjaśnij.

Spojrzał jej w oczy. Z maleńkim psem w jednym ręku i pudłem z pizzą w drugim wyglądał nieco śmiesznie.

Sara przesunęła rękę wyżej, zmniejszając dystans między nimi. Pod koszulą wyczuła twarde mięśnie i żar bijący z jego ciała. W sennym blasku słońca oczy Willa były niesamowicie niebieskie. Miał delikatne rzęsy, jasne i miękkie. Na szczęście zostały ślady zarostu – widać niezbyt dokładnie się ogolił. Sara ustępowała mu wzrostem o ponad dziesięć centymetrów. Stała na palcach i spojrzała mu prosto w oczy.

– Mów – ponagliła.

Wciąż milczał. Omiótł wzrokiem jej twarz, nieco dłużej zatrzymał się na ustach, a potem znów popatrzył jej w oczy.

– Lubię cię z rozpuszczonymi włosami – odezwał się w końcu.

Sara nie miała okazji odpowiedzieć, bo raptem na środku ulicy zahamował czarny SUV. Zatrzymał się siedem metrów przed nimi i szarpnął na biegu wstecznym. Opony zapiszczały na asfalcie. W powietrzu rozniósł się swąd palonej gumy. SUV stanął dokładnie przed nimi. Szyba zjechała w dół.

– Wsiadaj! – krzyknęła Amanda Wagner, szefowa Willa.

Sara i Will zamarli w bezruchu, osłupiali. Pośród trąbienia klaksonów i wygrażających pięści Sara poczuła się jak na planie filmu sensacyjnego.

– Rusz się! – rozkazała Amanda.

– Mogłabyś... – wydukał Will, ale Sara już odbierała od niego Betty i pudełko z pizzą. Sięgnął do skarpetki i wyciągnął klucz do domu. – Trzeba ją zamknąć w wolnym pokoju, żeby...

– Will! – Amanda zdecydowanym tonem dała do zrozumienia, że powinien się pośpieszyć.

Sara wzięła klucz. Metal wciąż zachował ciepłość ciała Willa.

– Jedź – powiedziała.

Nie musiała powtarzać dwa razy. Wskoczył do samochodu, szorując podeszwą buta o jezdnię, gdy Amanda ruszyła od krawężnika. Zatrąbiły kolejne klaksony. Czterodrzwiowy sedan zatańczył na jezdni. Na tylnym siedzeniu Sara ujrzała nastolatkę. Dziewczyna przyciskała dłonie do szyby, z przerażenia rozdziawiała usta. Nadjeżdżający z tyłu samochód akurat przyśpieszał, ale w ostatniej chwili ominął sedana. Sara zdążyła spojrzeć w oczy młodej dziewczyny, zanim pojazd wyrównał tor jazdy i odjechał.

Betty cała się trzęsła, a Sara była w niewiele lepszym stanie. Zmierzając do ulicy, przy której mieszkał Will, próbowała uspokoić suczkę, tuliła ją, muskała ustami jej łeppek. Ich serca łomotały jak szalone. Sara nie wiedziała, co było gorsze – rozmyślanie o tym, do czego mogło dojść między nią a Willem, czy fakt, że Amanda Wagner omal nie spowodowała poważnego wypadku.

Po powrocie do domu będzie musiała obejrzeć wiadomości, żeby dowiedzieć się, co się stało. Dokądkolwiek pojechał Will, niewątpliwie śledził go wóz telewizyjny. Amanda była zastępcą dyrektora GBI. Nie jeździła po mieście w poszukiwaniu swoich



agentów tylko dlatego, że nie miała nic lepszego do roboty. Sara wyobrażała sobie, że Faith, partnerka Willa, prawdopodobnie też właśnie pędzi jak szalona na miejsce zbrodni.

Zapomniała go spytać o numer domu, na szczęście szczegóły znalazła na przywieszce u obroży Betty. Zresztą i tak od razu zauważyła czarne porsche Willa, zaparkowane na podjeździe na końcu ulicy. Był to starszy model, w pełni odrestaurowany. Will musiał umyć swój samochód nie dalej jak dzisiaj. Felgi lśniły, a kiedy przechodziła przed samochodem, jej postać odbijała się od długiej maski auta.

Na widok domu Willa Sara się uśmiechnęła. Parterowy, z czerwonej cegły i z dobudowanym garażem, miał pomalowane na czarno drzwi wejściowe, osadzone w kremowożółtych futrynach. Na starannie utrzymanym trawniku królowały fikuśnie przyszczyżone krzewy. Rosnące od frontu drzewo mimozy otaczał kwietny gazon. Sara zastanawiała się, czy Angie Trent ma dobrą rękę do roślin. Bratki to niby nic wielkiego, ale i tak wymagają podlewania. Z tego, co słyszała o pani Trent, takie rzeczy nie leżały w jej naturze. Sara nie była pewna, jaki ma do tego stosunek, ani czy w ogóle to rozumie. Wciąż jednak po głowie chodziły jej słowa matki: „Żona nie przestaje być żoną, nawet jeśli jest nieobecna”.

Kiedy weszła na ścieżkę prowadzącą do domu, Betty zaczęła się wiercić. Sara przytrzymała ją mocniej. Tego tylko brakowało, żeby zgubiła psa należącego do żony mężczyzny, którego dopiero co pragnęła pocałować na środku ulicy.

Pokręciła głową, wchodząc po schodkach od frontu. Nie powinna myśleć o Willu w ten sposób. Powinna raczej być wdzięczna Amandzie za to, że im przeszkodziła. Wkrótce po ślubie Jeffrey zdradził Sarę. Omal się nie rozstali z tego powodu, a odbudowanie związku wymagało lat ciężkiej pracy. Will dokonał wyboru, na dobre i na złe. Jego romans z Angie nie był zresztą nieodpowiedzialnym wyskokiem, wychowywali się razem. Poznali się za młodu w domu dziecka. Ta znajomość trwała już niemal dwadzieścia pięć lat. Sara nie miała prawa stawać między nimi. I w żadnym razie nie zamierzała przysparzać innej kobiecie takiego bólu, jaki poczuła na własnej

skórce, nawet jeśli pozostałe perspektywy malowały się w czarnych barwach.

Klucz gładko wszedł do zamka w drzwiach frontowych. W progu powitał Sarę chłodny przeciąg. Postawiła Betty na podłodze i odpięła jej smycz. Uwolniony pies jak po sznurku popędził na tył domu.

Rozglądając się po pomieszczeniach od frontu, Sara nie mogła powstrzymać ciekawości. Will miał zdecydowanie męski gust. Jeśli jego żona przyłożyła rękę do wystroju wnętrza, to nie było tego widać. W jadalni honorowe miejsce, dokładnie pod szklanym żyrandolem na środku, zajmował automat do gry we flippery. Will najwyraźniej go reperował – na podłodze, obok otwartej skrzynki z narzędziami, leżały starannie ułożone elektroniczne bebechy urządzenia. W powietrzu unosił się zapach smaru.

Ciembrozowa kanapa ze sztucznego zamszu, stojąca w salonie, miała wielki podnózek z takim samym obiciem. Ściany pomalowano na jasny beż. Na wprost wiszącego na ścianie pięćdziesięciocalowego telewizora plazmowego, pod którym ustawiono wieżę z elektroniką, stał elegancki czarny fotel z odchylanym oparciem. Wszystko tu było na swoim miejscu. Ani śladu kurzu czy bałaganu, żadnej sterty prania piętrzącej się na kanapie niczym Everest. Niewątpliwie jako pan domu Will spisywał się lepiej niż Sara. No ale w tej dziedzinie większość ludzi biła ją na głowę.

W kącie głównego pomieszczenia, tuż przy wejściu do holu, stało biurko. Z chromowanego metalu. Sara przesunęła palcem po oprawce okularów, których Will używał do czytania. Papiery wokół laptopa i drukarki ułożono w równe pliki. Na stosie kolorowych teczek leżał zestaw kolorowych mazaków. Stały tam również małe metalowe pojemniki z gumkami i spinaczami, posegregowanymi według barw i wielkości.

Sara już kiedyś widziała taki schemat. Will potrafił czytać, ale przychodziło mu to z trudem i niewątpliwie zajmowało dużo czasu. Za pomocą kolorowych pisaków i spinaczy zaznaczał więc interesujące go miejsca, żeby nie musiał znów sylabizować tekstów na kartkach czy w broszurach. Zgrabna sztuczka, którą zapewne wymyślił już za młodu. Sara nie miała wątpliwości, że należał do tych

dzieciaków, co to siadają w ostatniej ławce, wsłuchują się w każde słowo nauczyciela i wkuwają je na pamięć tylko po to, żeby podczas sprawdzianu nie móc – albo nie chcieć – przelać ich na papier.

Zaniosła pudełko z pizzą do kuchni, utrzymanej, podobnie jak cały dom, w różnych odcieniach brązu. W przeciwieństwie do kuchni Sary, tutaj granitowe blaty były czyste i niezagracone, stały na nich jedynie telewizor i ekspres do kawy. Za to lodówka była równie pusta – tylko karton mleka oraz pojemniczki budyniu. Położyła pizzę na górną półkę, a potem przeszła na tył domu, szukając Betty. Najpierw trafiła do sypialni dla gości. Górne światło było zgaszone, Will zostawił jednak zapaloną stojącą lampę za skórzanym fotelem. Obok było posłanie dla psa, w kształcie szezlongu, i dwie miski w kącie – z wodą i karmą. Na ścianie wisiał jeszcze jeden telewizor, a poniżej stała składana ruchoma bieżnia.

W pokoju, pomalowanym na ten sam ciemnobrązowy kolor co salon, było ciemno. Sara zapaliła górne światło. O dziwo, wszystkie ściany zajmowały półki z książkami. Przesuwając palcem po tytułach, Sara rozpoznała klasykę literatury oraz nieco tekstów feministycznych, czytanych głównie przez poważne młode kobiety na pierwszym roku studiów. Sfatygowane grzbiety świadczyły o tym, że do książek często zaglądano. Do głowy by jej nie przyszło, że Will może mieć w domu bibliotekę. Przy jego dysleksji lektura grubej powieści zakrawała na syzyfową pracę. Większy sens miałyby audiobooki. Sara uklękła i spojrzała na stos płyt kompaktowych obok już na pierwszy rzut oka drogiego odtwarzacza firmy Bose. Will miał zdecydowanie bardziej ambitny gust niż ona – mnóstwo literatury faktu oraz pozycji historycznych, które Sara zalecałaby swoim pacjentom cierpiącym na bezsenność. Pod odlepiającą się naklejką na jednej z książek zobaczyła napis: „Własność Biblioteki Hrabstwa Fulton”.

Kiedy z korytarza dobiegł cichy stukot pazurków Betty, Sara spiekła raka niczym przyłapana na gorącym uczynku. Wstała, żeby złapać psa, ale suczka zaskakująco zwinnie uciekła. Sara ruszyła za nią i minawszy łazienkę, weszła do drugiego pokoju – sypialni Willa.

Zasłane łóżko, pokryte granatową narzutą w kolorze pościeli,

z jedną poduszką, z braku wezglowia opartą o ścianę. Jeden nocny stolik. Jedna lampka.

W przeciwieństwie do reszty domu, tutaj panowała atmosfera funkcjonalności. Sara wolała nie wnikać w to, dlaczego ten brak aury romantyzmu przyjęła z ulgą. Białe ściany, nieobwieszane obrazami. Na komodzie, obok jeszcze jednego telewizora, leżały zegarek i portfel Willa. Na ławie u stóp łóżka – złożone džinsy i koszulka. Do tego para zwiniętych czarnych skarpetek. Pod ławą stały buty. Sara wzięła do ręki koszulkę. Bawełniana. Z długimi rękawami. Czarna. Taka jak ta, którą miał na sobie dzisiaj.

Pies wskoczył na łóżko, pociągnął za poduszkę i ułożył się na niej niczym ptak w gnieździe.

Sara złożyła koszulkę i odłożyła na miejsce obok džinsów. To już graniczyło z napastowaniem. Dobrze chociaż, że jej nie obwąchała ani nie grzebała w szufladach. Wzięła Betty na ręce, myśląc o tym, że powinna ją zamknąć w pokoju gościnnym i się wynosić. Właśnie miała to zrobić, gdy rozległ się dzwonek telefonu. Włączyła się automatyczna sekretarka. Sara usłyszała dobiegający z sypialni głos Willa.

– Saro? Proszę, odbierz, jeśli tam jesteś.

Wróciła do jego pokoju i podniosła słuchawkę.

– Właśnie wychodziłam.

W jego głosie wyczuwała napięcie. W tle słyszała płacz małego dziecka i czyjeś krzyki.

– Musisz tu natychmiast przyjechać – powiedział. – Do Faith. A raczej do domu jej matki. To ważne.

Poczuła, że nagły przyływ adrenaliny wyostrzył jej zmysły.

– Nic jej się nie stało? – spytała.

– Nie – odparł zwięźle. – Możesz zapisać adres?

Bez namysłu wysunęła szufladę nocnego stolika, zakładając, że znajdzie w niej kartkę i długopis. Tymczasem ujrzała pisemko z rodzaju tych, które jej ojciec trzymał na dnie skrzynki z narzędziami w garażu.

– Saro?

Szuflada nie chciała się domknąć.

– Zaczekaj, poszukam czegoś do pisania.

Will był chyba jedynym człowiekiem w Stanach Zjednoczonych, który nie posiadał telefonu bezprzewodowego. Sara rzuciła słuchawkę na łóżko, znalazła na biurku długopis i kartkę i wróciła.

– Dyktuj.

Will odczekał, aż ktoś przestanie się drzeć. Podając Sarze adres, zniżył głos.

– To w Sherwood Forest, na tyłach Ansley. Wiesz gdzie?

Ansley było oddalone o pięć minut jazdy.

– Trafie.

– Weź mój samochód. Kluczyki wiszą na kołku obok tylnych drzwi w kuchni. Wiesz, jak się posługiwać manualną skrzynią biegów?

– Tak.

– Są tu już dziennikarze. Złap pierwszego z brzegu policjanta, powiedz mu, że to ja cię wezwałem, wtedy cię przepuszczą. Z nikim innym nie rozmawiaj. Zgoda?

– Zgoda. – Odłożyła słuchawkę na widełki i oburącz domknęła szufladę nocnego stolika. Wzięła na ręce Betty, która wróciła na poduszkę, i już miała wyjść. Rozmyśliła się w ostatniej chwili. Kiedy rozstawała się z Willem, miał na sobie szorty. Pewnie wolałyby dzinsy. Schowała jego zegarek i portfel do tylnej kieszeni. Nie wiedziała, gdzie trzyma broń, ale wystarczająco już szperała w jego rzeczach i nie zamierzała więcej tego robić.

– Mogę pani w czymś pomóc?

Sarę zalała fala panicznego strachu. W progu sypialni stała oparta o drzwi Angie Trent, z ręką spoczywającą niedbale na futrynie. Ciemne loki opadały falami na jej ramiona. Miała perfekcyjny makijaż. Perfekcyjnie zrobione paznokcie. W tej króciutkiej spódniczce i głęboko wyciętym topie spokojnie załapałaby się na okładkę pisemka leżącego w szufladzie Willa.

– Ja... ja... – wydukała Sara. Nie jąkała się od dwunastego roku życia.

– My się już znamy, prawda? Pani pracuje w szpitalu?

– Tak. – Sara cofnęła się od łóżka. – Will dostał nagłe wezwanie. Prosił, żebym przywiozła tu pani psa...

– Mojego?

Sara poczuła wibracje w piersi Betty, zapowiadające, że suczka zaraz zacznie warczeć.

Angie skrzywiła się z niesmakiem.

– A tej co się stało?

– Ona... – Stojąc tak, Sara poczuła się głupio. Wzięła pod pachę dzinsy Willa. – Zaniose ją do pokoju gościnnego i już mnie nie ma.

– Jasne. – Angie zagradzała drzwi. Przepuściła Sarę dopiero po chwili, a potem poszła za nią do pokoju gościnnego i patrzyła, jak Sara kładzie psa na posłaniu i wychodzi.

W drzwiach frontowych Sara przypomniała sobie, że musi wziąć kluczyki do wozu Willa.

– Kazał mi przywieźć jego samochód – powiedziała, starając się, żeby w jej głosie nie było słyhać drżenia.

Angie splotła ręce pod biustem. Nie nosiła biżuterii na palcach, jeśli nie liczyć srebrnej obrączki na kciuku.

– Jakoś mnie to nie dziwi – prychnęła.

Sara poszła do kuchni. Twarz miała czerwoną jak burak, cała spływała potem. Obok stołu leżała płócienna torba, której wcześniej tam nie było. Kluczyki do samochodu Willa wisiały na kołku przy tylnych drzwiach, tak jak mówił. Chwyciła je i wróciła do pokoju, mając świadomość, że Angie z korytarza obserwuje każdy jej ruch. Jak najszybciej ruszyła do wyjścia. Serce podchodziło jej do gardła, lecz Angie Trent ani myślała ułatwiać rywalce sytuacji.

– Od dawna się z nim pieprzysz? – rzuciła.

Sara potrząsnęła głową. To się nie dzieje naprawdę.

– Pytałam, od jak dawna rzniesz się z moim mężem.

Sara wstydziła się na nią spojrzeć, więc wbiła wzrok w drzwi.

– To jakieś nieporozumienie, naprawdę.

– Zastaje cię w moim domu, w mojej sypialni, którą dzielę z mężem. Masz mi coś do wyjaśnienia? Umieram z ciekawości.

– Mówiłam pani, ja tylko...

– Kręcą cię gliniarze? Czy o to chodzi?

Sara poczuła, że serce jej zamiera.

– Twój zabity mąż też był gliną, dobrze mówię? Rajcują cię takie

rzeczy? – Angie parsknęła szyderczym śmiechem. – Słonko, on nigdy mnie nie zostawi. Znajdź sobie innego fiuta do zabawy.

Sara nie była w stanie wykrztusić odpowiedzi. Koszmar sytuacji był nie do opisanego. Sięgnęła do klamki.

– Pochlastał się przeze mnie – oświadczyła Angie. – Mówił ci o tym?

Sara próbowała opanować drżenie dłoni na tyle, by zdołać otworzyć drzwi.

– Przepraszam, muszę już jechać – odparła.

– Patrzyłam, jak podcina sobie brzytwą żyły na przedramieniu.

Dłoń Sary nie chciała się ruszyć. Jej umysł na próżno usiłował przetworzyć to, co słyszy.

– W życiu nie widziałam tyle krwi. – Angie przerwała na chwilę. – Mogłabyś chociaż na mnie patrzeć, kiedy do ciebie mówię.

Wbrew własnej woli Sara zdołała się odwrócić.

Angie mówiła beznamytnie, ale z jej oczu ziała taka nienawiść, że trudno było na nią patrzeć.

– Przez cały czas go trzymałam – podjęła. – Opowiadał ci o tym? Mówił ci, jak go wtedy tuliłam?

Sarze odebrało głos.

Angie uniosła lewą rękę, pokazując gołą skórę. Nieznośnie wolno przesunęła palcem wskazującym prawej ręki od nadgarstka do łokcia.

– Podobno brzytwa weszła tak głęboko, że zadrapała kość – powiedziała. Uśmiechnęła się, jakby wspomnienie tej chwili sprawiało jej przyjemność. – Zrobił to dla mnie, ty zdiro. Myślisz, że byłby gotów powtórzyć to dla ciebie?

Kiedy już Sara na nią spojrzała, nie mogła oderwać od niej oczu. Mijała chwila za chwilą. Pomyślała o zegarze na ścianie restauracji i o zamazanym sekundniku. W końcu odchrząknęła, choć nie wiedziała, czy uda jej się wydusić choćby słowo.

– Nie ta ręka – wychrypiała.

– Że co?

– Blizna – wyjaśniła Sara, z przyjemnością obserwując wyraz zaskoczenia na twarzy Angie. – Ma ją na drugiej ręce.

Dłonie miała tak spocone, że ledwo zdołała przekręcić klamkę.

Wybiegła na dwór skulona, obawiając się, że Angie popędzi za nią albo, co gorsza, zarzuci jej kłamstwo.

Prawdę mówiąc, Sara nigdy nie widziała blizny Willa, ponieważ nie miała okazji zobaczyć jego gołego przedramienia. Zawsze nosił koszule z długimi rękawami. I nigdy ich nie podwijał ani nie rozpiął. Zaryzykowała jednak domysł i trafiła w dziesiątkę. Will był leworęczny. Gdyby chciał się zabić na oczach zagrzewającej go do tego, pełnej nienawiści żony, to podciąłby sobie żyły na prawym przedramieniu, nie na lewym.



## Rozdział 3

Will gmerał przy kołnierzyku koszuli. W ruchomym centrum dowodzenia panował nieopisany upał, upchani w pojeździe agenci po cywilnemu oraz mundurowi powodowali, że można się było udusić. Równie nieznośny był hałas. Dzwoniły telefony. Piszczwały blackberry. Na ekranach komputerów leciały relacje na żywo z trzech lokalnych stacji telewizyjnych. Kakofonię dodatkowo wzmagiała Amanda Wagner, która od kwadransa wydzieriała się na obecnych na miejscu trzech dowódców stref. W drodze był już szef policji Atlanty, a także dyrektor GBI. Wkurzająca przepychanka o to, kto ma większe kompetencje, dopiero miała osiągnąć apogeum.

A tymczasem właściwie nikt nie zajmował się śledztwem.

Will otworzył drzwi. Do ciemnego wnętrza wdarły się promienie światła. Amanda uciszyła się na kilka sekund, lecz gdy tylko zamknął za sobą drzwi, znowu zaczęła wrzeszczeć. Odetchnął głęboko świeżym powietrzem, rozglądając się ze szczytu metalowych schodków. Zamiast uwijać się jak zwykle na miejscu szokującej zbrodni, wszyscy snuli się dookoła, czekając na rozkazy. Detektywi w nieoznakowanych samochodach sprawdzali e-maile. Wyloty ulicy blokowało po sześć radiowozów. Sąsiedzi wylegli na werandy i gapili się na cały ten rozgardiasz. Zjawił się furgon z ekipą techników policyjnych. Przed domem Mitchellów wciąż stał wóz straży pożarnej. Ratownicy medyczni siedzieli na tylnym zderzaku karetki, paląc papierosy. Kilku mundurowych z różnych służb opierało się o swoje pojazdy; gawędzili, udając, że nie obchodzi ich to, co dzieje się w centrum dowodzenia.

A jednak wszyscy łypali na Willa nienawistnym wzrokiem, gdy schodził na ulicę. Wokół nic, tylko zacięte miny. Splecione na piersi ręce. Ktoś zaklął pod nosem. Ktoś inny splunął na chodnik.

Wśród policjantów Atlanty Will raczej nie miał przyjaciół.

Rozległ się grzmot wirujących rotorów. Will zadarł głowę. Nad miejscem zbrodni zawisły dwa śmigłowce stacji telewizyjnych. Wkrótce powinny dotrzeć następne. Co dziesięć minut przelatywał

czarny MD 500 antyterrorystów ze SWAT. Na dziobie przypominającej komara maszyny zamontowano kamerę na podczerwień, która zaglądała przez gęste korony drzew oraz dachy, wyłapując ciepłość ciał i wskazując szukającym, gdzie się skryli przestępcy. Zdumiewające urządzenie, ale zupełnie nieprzydatne w dzielnicach mieszkalnych, gdzie w każdej chwili kręciły się tysiące ludzi niemających na sumieniu żadnej zbrodni. W najlepszym wypadku pokazywało jarzące się na czerwono sylwetki domowników siedzących na kanapach przed telewizorami, które z kolei pokazywały wiszący nad nimi śmigłowiec jednostki SWAT.

Will wypatrywał w tłumie Sary, chciał, żeby się wreszcie zjawiała. Gdyby w ogóle był w stanie myśleć w chwili, kiedy Amanda zatrzymała się na ulicy, kazałby Sarze zabrać się z nimi. Powinien był przewidzieć, że Faith przyda się pomoc. Byli partnerami. Miał się nią opiekować, ściągnąć ją z powrotem do służby. A teraz mogło już być za późno.

Nie miał pojęcia, jakim cudem Amanda tak szybko dowiedziała się o strzelaninie, w każdym razie zjawili się na miejscu w ciągu kwadransa od ostatniego strzału. Kiedy podjeżdżali pod dom, ślusarz właśnie otwierał drzwi do komórki. Czekając, aż uwolnią jej dziecko, Faith krążyła wte i wewte jak zwierzę w klatce, i chodziła tak jeszcze długo po tym, jak już trzymała Emmę na rękach. Na widok Willa od razu zaczęła paplać – o sąsiadce, pani Johnson, o swoim bracie Zeke’u, o komórce, którą jej ojciec zbudował, kiedy była mała, oraz o milionie innych rzeczy, tyle że w wersji, w jakiej łączyła jedno z drugim, nie miało to najmniejszego sensu.

W pierwszej chwili Will pomyślał, że Faith jest w szoku, ale wtedy nie chodziłaby tam i z powrotem i nie gadała od rzeczy, jak stuknięta. Ludziom w szoku ciśnienie spada tak szybko, że ledwo trzymają się na nogach. Dyszą jak zziajane psy. Gapią się tępo przed siebie pustym wzrokiem. Mówią powoli, a nie tak szybko, że z trudem można ich zrozumieć. Tu chodziło o coś innego, ale Will nie wiedział, czy to tylko załamanie nerwowe, czy może cukrzyca albo inne lichy.

Co gorsza, wtedy już stało dookoła dwudziestu gliniarzy, którzy dokładnie wiedzieli, jak powinien wyglądać ktoś, komu przydarzyło

się coś potwornego. Faith nie pasowała do profilu. Nie płakała. Nie trzęsa się. Nie była zła. Po prostu zachowywała się jak wariatka, kompletnie jej odbiło. W tym, co bajdurzyła, nie było za grosz sensu. Nie potrafiła im powiedzieć, co się stało. Nie potrafiła oprowadzić ich po miejscu zbrodni i wyjaśnić, jak doszło do tej jatki. Była bezużyteczna, nie mieli z niej najmniejszego pożytku, ponieważ wszelkie odpowiedzi na ich pytania tkwiły zamknięte w jej głowie.

Właśnie wtedy jeden z gliniarzy mruknął, że Faith chyba jest pijana. Na co ktoś inny zaproponował, że skoczy do samochodu po alkomat.

Amanda natychmiast przysłała z pomocą. Wywlokła Faith przez trawnik od frontu, zastukała do drzwi sąsiadki – nie do pani Johnson, która miała na podwórku trupa mężczyzny, tylko do staruszki nazwiskiem Levy – i kazała jej zabrać Faith gdzieś, gdzie mogłaby dojść do siebie.

Tymczasem zajechał furgon z ruchomym centrum dowodzenia. Amanda czym prędzej przeszła na tył pojazdu, żądając bezzwłocznego przekazania śledztwa GBI. Wiedziała, że nie wygra terytorialnej walki z dowódcami stref. Zgodnie z prawem GBI nie mogło przejąć śledztwa tak po prostu. O pomoc władz stanowych zazwyczaj zwracał się lokalny patomorfolog, prokurator okręgowy bądź szef policji, ale występowali o to jedynie wtedy, kiedy sami nie dawali sobie rady albo nie chcieli im się marnować pieniędzy i ludzi na sprawdzanie tropów. Wyłącznie gubernator mógłby odebrać śledztwo policji atlanckiej, lecz każdy polityk doskonale zdawał sobie sprawę, że zadzieranie ze stolicą stanu to wyjątkowo kiepski pomysł. Amanda wydzieriała się jedynie ze względów taktycznych. Jeśli naprawdę była zła, nie okazywała tego krzykiem. Mówiła wtedy cicho, niemal burczała, i trzeba było dobrze nastawiać uszu, żeby dosłyszeć obelgi padające z jej ust. Teraz tylko próbowała zyskać na czasie. Dać czas Faith.

Szychy z policji miejskiej nie uważały już Faith za policjantkę. Dla nich była świadkiem. Podejrzaną. Osobą wartą zainteresowania, więc chcieli z nią pogadać o facetach, których zabiła, i o tym, dlaczego porwano jej matkę. Policja Atlanty to nie zgraja kmiotów, tylko jedna

z najlepszych służb w kraju. Ale gdyby Amanda się na nich nie wydarła, Faith wyładowała by już na posterunku i obrabialiby ją jak terrorystkę w Guantanamo.

Will nie miał im tego za złe. W dzielnicy takiej jak Sherwood Forest nikt nie spodziewa się wybuchu strzelaniny w piękne sobotnie popołudnie. O rzut beretem leżał Ansley Park. Gdyby zarzucić sieć nieco dalej, trafiłoby do niej około osiemdziesiąt procent dochodów miasta z podatku od nieruchomości – domów wielomilionowej wartości, z kortami tenisowymi i osobnymi apartamentami dla opiekunek do dzieci. Bogacze nie należą do ludzi, którzy pozwalają, żeby nikt nie ponosił odpowiedzialności za ewentualne zło. Ktoś musiał zapłacić za tę jatkę. Jeżeli Amandzie nie uda się temu zapobiec, prawdopodobnie cała wina spadnie na Faith. A Will nie miał bladego pojęcia, co z tym fantem zrobić.

Podszedł do niego detektyw Leo Donnelly, szurając nogami po asfalcie. Z kącika ust zwisał mu papieros. Zamrugał, żeby odpędzić dym, który napływał mu do oczu.

– Za nic nie chciałbym słuchać tej zołzy w łóżku – oświadczył.

Miał na myśli Amandę. Wciąż wrzeszczała, ale przez zamknięte drzwi trudno było rozróżnić jej słowa.

– A zresztą, bo ja wiem? – ciągnął Leo. – Może gra jest warta świeczki. Z tych starszych babek wychodzą prawdziwe tygrysy, jak już się je zaciągnie do wyrka.

Will zdołał się powstrzymać i nie wzdrygnąć – zbrzydziło go nie to, że Amanda była dobrze po sześćdziesiątce, tylko fakt, że Leo bez dwóch zdań na poważnie rozważał możliwość pójścia z nią do łóżka.

– Ona wie, że nie wygra, dobrze mówię? – spytał Leo.

Will oparł się o jeden z policyjnych radiowozów. Leo przez sześć lat był partnerem Faith, ale to na nią zwał większość najcięższych zadań. Nie był stary, miał dopiero czterdzieści osiem lat, lecz pracując w policji, mocno się posunął. Przeciążenie wątroby sprawiło, że jego skóra pożółkła. Wygrał walkę z rakiem prostaty, jednak kuracja nie przeszła bez echa. W gruncie rzeczy był z niego porządny facet, tyle że leniwy, co dla handlarza używanych samochodów pewnie nie stanowi problemu, ale dla gliniarza może być śmiertelnie

niebezpieczne. Faith miała szczęście, że udało jej się od niego uwolnić.

– Nie widziałem takiego zbiegowiska od czasu ostatniej sprawy, którą prowadziłem razem z tobą – powiedział Leo.

Will rozejrzał się po otoczeniu – szum generatora w centrum dowodzenia mieszał się z metalicznym terkotem dobiegającym z wozów transmisyjnych. Dookoła stali gliniarze, z kciukami wetkniętymi za paski. Strażacy plotkowali między sobą. Jedna wielka beczyność. Will doszedł do wniosku, że powinien pogadać z Leo.

– Naprawdę? – rzucił.

– Ten, jak mu tam, Charlie... to jeden z twoich detektywów? – Leo pokiwał głową. – Tak ich zbajerował, że go wpuścili do środka.

Agent specjalny Charlie Reed, szef ekipy dochodzeniowo-technicznej GBI, był gotów na wszystko, byleby się dostać na miejsce zbrodni.

– Zna się na swojej robocie – odparł Will.

– Jak wielu z nas. – Leo też oparł się o radiowóz, metr od Willa. Zaczekał. – Nie wiedziałem, że Faith lubi sobie golnąć.

– Bo nie lubi.

– Prochy?

Will spiorunował go wzrokiem.

– Wiesz, że będę musiał z nią pogadać – ciągnął Leo.

– A co, prowadzisz tę sprawę? – Will nie zdołał ukryć drwiny w głosie.

– Nie bądź taki pewny swego – odciął się Leo.

Will nie strzepił języka na próżno. Leo nie zagrzeje długo miejsca w świetle reflektorów. Gdy tylko dotrze tu szef policji Atlanty, każe mu spadać na drzewo i zbierze własną ekipę. Leo będzie miał szczęście, jeżeli pozwolą mu przynosić im kawę.

– A tak poważnie, Faith jakoś się trzyma? – spytał Leo.

– Nic jej nie jest.

Leo zaciągnął się papierosem i rzucił niedopałek na ziemię.

– Sąsiadka nieźle się wkurzyła. Na własne oczy widziała, jak omal nie zastrzelili jej wnuczek.

Will próbował zachować kamienną minę. Wiedział co nieco o tym,

co tu się stało, ale w sumie niewiele. Chłopcy z ekipy szturmowej, którzy po pięciu minutach czekania wciąż nie mieli się dokąd włamać, stali znudzeni. Szczegóły z miejsca zbrodni przeciekały jak sito. Zwłoki dwóch osób w domu i jednej na podwórku sąsiadki. Faith miała przy sobie dwie sztuki broni – glocka i smith & wessona. Jej strzelba leżała na podłodze sypialni. Will przestał słuchać tych plotek, gdy usłyszał, jak gliniarz, który dopiero co dotarł na miejsce, opowiadał, że widział Faith na własne oczy i że była nawalona jak messerschmitt.

Dla niego jedynie dwie rzeczy nie ulegały wątpliwości: że nie ma bladego pojęcia, co naprawdę się stało w tym domu, oraz że Faith postąpiła tak, jak należy.

Leo odchrząknął i splunął flegmą na asfalt.

– No więc babcia Johnson twierdzi, że usłyszała dochodzące z podwórka krzyki – ciągnął. – Wyjrzała przez okno w kuchni i zobaczyła zabójcę... jakiegoś Meksykańca... jak celuje do jej wnuczek. Wypalił raz i odłupał cegły ze ściany domu. A Faith podbiegła do ogrodzenia i kropnęła go na amen. Ocaliła dziewczynkom życie.

Will poczuł, że kamień spada mu z serca.

– Miały szczęście, że Faith była na miejscu.

– A ona ma szczęście, że sąsiadka jest wiarygodnym świadkiem.

Will próbował schować ręce do kieszeni – zapomniał, że jest w spodenkach do biegania.

Leo zachichotał.

– Podobają mi się te wasze nowe mundury. Odstawiasz glinę z kapeli Village People?

Will splótł ręce na piersi.

– Los Mexicanos – rzekł Leo. – Gość na podwórku był członkiem tego gangu. Miał całą klatę i ramiona w tatuażach.

– A pozostali dwaj?

– Azjaci. Obaj. Nie mam pojęcia, czy należeli do gangów. Nic na to nie wskazuje. Inaczej ubrani. Ciała czyste... zero tatuaży. – Leo bez pośpiechu przypalił następnego papierosa. Wydmuchał gęstą chmurę dymu. – Scott Shepherd – podjął, ruchem głowy wskazując młodego

mięśniaka w stroju szturmowym – mówi, że rozstawił swoich ludzi na zewnątrz domu i czekał na wsparcie. Usłyszeli strzał. W grę wchodziło przetrzymywanie zakładnika, no nie? W środku jedna policjantka... dwie, jeśli liczyć Evelyn. Bezpośrednie zagrożenie życia. Więc wywalili drzwi. – Zaciągnął się papierosem. – Scott widzi, że Faith stoi w holu, z szeroko rozstawionymi nogami i wycelowanym glockiem. Ona też go widzi, ale bez słowa wpada do sypialni. Tamci biegną za nią i na dywanie zastają zwłoki faceta. – Dotknął palcem czoła. – Wpakowała mu kulkę dokładnie między oczy.

– Widocznie miała powód.

– Chętnie bym go poznał. Gość nie miał przy sobie spluwy.

– Miał ją ten drugi. Ten, który uciekł na podwórko i strzelał do dzieciaków.

– Racja. Miał gnata.

– Odciski palców?

– Pracujemy nad tym.

Will założyłby się o własny dom, że znajdą odciski palców dwóch osób – Azjaty oraz Meksykanina.

– A gdzie znaleźliście trzeciego? – zapytał.

– W pralni. Jedna kulka w łeb. Paskudny strzał, oderwał mu pół czaszki. Ze ściany wyjęliśmy kule z trzydziestkiósemki.

Glock Faith miał kaliber czterdzieści.

– Czy do smith & wessona pasuje kaliber trzydzieści osiem?

– Ehe – przytaknął Leo. – O matce na razie ani słyhu. Szuka jej kilka naszych ekip. Kiedyś kierowała brygadą narkotykową, ale o tym sam przecież wiesz, łapsie łapsów.

Will powstrzymał się, żeby nie zazgrzytać zębami. Jeżeli w ogóle Leo był w czymś dobry, to w graniu ludziom na nerwach. Właśnie z powodu sprawy Evelyn koledzy po fachu łypali na Willa spode łba i się na niego boczyli. Wszyscy obecni tu gliniarze wiedzieli, że to przez Willa Trenta Evelyn Mitchell zmuszono do przejścia na emeryturę. W GBI obarczono go paskudnym zadaniem tropienia korupcji w policji. Przed czterema laty zebrał twarde dowody przeciwko brygadzie antynarkotykowej Evelyn. Sześciu detektywów wylądowało w pudle, bo kradli forszę podczas nalotów na handlarzy

narkotyków i brali łapówki za przymyknięcie oka, ale kapitan Evelyn Mitchell wymigała się od kary, zachowała pełną emeryturę, a jej reputacja specjalnie nie ucierpiała.

– Powiedz małej, że daję jej góra dziesięć minut, ale potem musi się wziąć do kupy i ze mną pogadać – rzekł Leo. Nachylił się do Willa. – Słyszałem jej rozmowę z dyspozytorką. Kazano jej się trzymać z dala od domu. Musi nam jasno wyjaśnić, dlaczego mimo wszystko weszła.

Już miał odejść, lecz zatrzymało go pytanie Willa:

– Jak brzmiała?

Odwrócił się.

– Podczas rozmowy z dyspozytorką – sprecyzował Will. – Jak wtedy brzmiała?

Jak należało się spodziewać, wcześniej Leo nie zastanawiał się nad tym. Teraz zamyślił się i zaczął kiwać głową.

– Może i była trochę wystraszona, ale mówiła do rzeczy. Była spokojna. Opanowana.

Will również pokiwał głową.

– Cała Faith – przyznał.

Leo błysnął zębami w uśmiechu, ale Will nie potrafił orzec, czy to wyraz ulgi, czy jak zwykle po prostu udaje mądrałę.

– Rozbawiły mnie te twoje szorty, stary – wyjaśnił Leo i klepnął go w ramię. – Postaraj się, a może pokażą te twoje super nogi w telewizji.

Pomachał ręką do reporterów stojących za żółtą taśmą policyjną. Jak jeden mąż naparli do przodu, sądząc, że Leo zamierza wygłosić oświadczenie. Jego odejście skwitowali chóralnym jękiem. Gliniarze trzymający taśmę odepchnęli ich tylko dlatego, że mogli. Will wiedział, że powstrzymywanie tłumu mają gdzieś. Wciąż strzelali oczami w kierunku centrum dowodzenia, jakby oczekiwali wypowiedzi z samej góry. Zależało im na informacji o tym, co właściwie się stało, nie mniej niż dziennikarzom. A może nawet bardziej.

Kapitan Evelyn Mitchell służyła w policji miejskiej Atlanty przez trzydzieści dziewięć lat. Dochrapała się gwiazdek, zaczynając od samego dołu. Zaczynała jako sekretarka, z czasem awansowała



i sprawdzała parkomaty, potem przeszła do drogówki, aż wreszcie dostała dwudziestkę dwójkę i prawdziwą, a nie plastikową blachę. Należała do grupy znanej jako „te pierwsze”: pierwsze kobiety jeżdżące w pojedynkę na patrole, pierwsze w stopniu detektywa. Evelyn została pierwszą kobietą w randze porucznika, a później kapitana policji w Atlancie. Bez względu na powód przejścia na emeryturę miała więcej medali i wyróżnień niż wszyscy zebrani tutaj gliniarze razem wzięci.

Will już dawno przekonał się, że policjantów cechuje ślepa lojalność. Dowiedział się również, że w kwestii lojalności istnieje ściśle określona kolejność dziobania. Przypomina ona piramidę, której dół stanowią wszyscy gliniarze na świecie, a szczyt zajmuje nasz partner. Faith od początku pracowała w policji Atlanty, ale kiedy dwa lata temu przeniosła się do GBI, została partnerką Willa, on zaś raczej nie był powszechnie lubiany. Leo może i częściowo trzymał jej stronę, jednak w powszechnym przekonaniu funkcjonariuszy policji Faith straciła swoje miejsce w piramidzie. Zwłaszcza że pierwszy glina, który się zjawiał na miejscu, w ekspresowym trybie trafił na chirurgię, bo Faith łokciem wbiła mu jajka w mózg.

Willowi mignęło przed oczami coś żółtego, gdy ktoś uniósł taśmę. Sara zebrała włosy i spięła w ciasny kok. Przebrała się w lnianą sukienkę, która wyglądała fatalnie. Pod pachą niosła zwinięte dzinsy. W pierwszej chwili Will pomyślał, że jest zdezorientowana, ale w miarę, jak się zbliżała, coraz wyraźniej widział, że jest zła, wręcz wściekła. Oczy miała podkrążone, policzki nabiegłe krwią.

Podążyła mu dzinsy.

– Po co mnie tu ściągnęłaś?

Ujął ją pod rękę i odciągnął od dziennikarzy.

– Chodzi o Faith.

Splotła ręce pod biustem, trzymając się od niego na dystans.

– Jeżeli potrzebuje lekarza, powinieneś ją zawieźć do szpitala.

– Nie możemy. – Próbował nie zwracać uwagi na jej lodowaty ton.

– Jest teraz u sąsiadki. Mamy mało czasu.

– Słyszałam przez radio, co tu się stało.

– Podejrzewamy związek z narkotykami. Ale zatrzymaj to dla

siebie. – Will przystanął. Począł, aż Sara na niego spojrzy. – Faith dziwnie się zachowuje. Ma mętlik w głowie, plecie coś bez sensu. Chcą z nią porozmawiać, ale... – Nie bardzo wiedział, co powiedzieć. Amanda kazała mu zadzwonić po Sarę. Wiedziała, że Sara była kiedyś żoną gliniarza, więc założyła, że jej lojalność nie umarła wraz z mężem. – Faith jest w kiepskiej sytuacji. Zabiła dwóch ludzi. Porwano jej matkę. Będą ją maglować z wielu różnych powodów.

– Czy zareagowała nieadekwatnie do zagrożenia?

– Gość wziął zakładnika. Dzieciaki sąsiadki znalazły się na linii ognia. – Pomiął brakujące szczegóły. – Jednemu facetowi strzeliła w głowę, drugiemu w plecy.

– Dzieciom nic się nie stało?

– Nic, ale...

Tylne drzwi centrum dowodzenia otworzyły się z trzaskiem. Ze schodków zeskoczył naczelnik Mike Geary, dowódca strefy Ansley i Sherwood Forest. Miał na sobie mundur z szorstkiego granatowego poliestru, zbyt ciasno opinający jego wydęty brzuch. Kiedy zamrugał w ostrym słońcu, na jego mocno opalonym czole pojawiła się głęboka zmarszczka. Jak większość starej gwardii, strzygł się na wojskową modłę, na jeża. Włożył czapkę i odwrócił się, wyciągając dłoń do Amandy. Coś go jednak powstrzymało i opuścił rękę, zanim zdążyła ją uścisnąć.

– Trent! – warknął. – Chcę pogadać z twoją partnerką, i to natychmiast. Idź po nią. Zabieramy ją na posterunek.

Will zerknął na Amandę, która na wysokich szpilkach ostrożnie schodziła po chwiejnych schodkach. Wykonała przeczący ruch głową. Nic więcej nie mogła zrobić.

Ku jego zdziwieniu uratowała ich Sara.

– Najpierw muszę ją zbadać – oświadczyła.

Napotkawszy na opór, Geary nie był zachwycony.

– A pani to kto? – burknął.

– Jestem psychoterapeutką z ostrego dyżuru Szpitala Grady'ego. – Sara zręcznie pominęła nazwisko. – Mam ocenić stan psychiczny agentki Mitchell pod kątem tego, czy jej ewentualne zeznania byłyby dopuszczone przez sąd. – Przekreśliła głowę na bok. – Jestem pewna,

że pan nie posuwa się do wymuszania zeznań.

– Nikt jej do niczego nie zmusza – prychnął Geary.

Sara uniosła brew.

– Czy to pańskie oficjalne stanowisko? Bo inaczej z przykrością musiałabym zeznać, że z pańskiego polecenia przesłuchanie odbyło się pod przymusem, wbrew zaleceniom lekarza.

Gniew Geary'ego przyćmiło zmieszanie. Zazwyczaj lekarze bardzo chętnie pomagają policji, w każdej chwili mogą jednak uniemożliwić przesłuchanie, jeśli sądzą, że byłoby szkodliwe dla pacjenta. Mimo to nie rezygnował.

– Jakiego rodzaju opieki lekarskiej potrzebuje? – zapytał.

Sara się nie ugięła.

– Nie powiem panu tego, dopóki jej nie zbadam – odparła. – Ona może być w szoku. Albo ranna. Kto wie, czy nie wymaga hospitalizacji. Może od razu powinnam ją zabrać do szpitala i zlecić badania.

Odwróciła się, żeby wezwać ratowników medycznych z pogotowia.

– Chwileczkę – powstrzymał ją Geary. Zaklął pod nosem, po czym zwrócił się do Amandy: – Odnotowałem pani idiotyczną grę na czas, pani wicedyrektor.

Przyjęła jego słowa z promiennym, słodkim, acz udawanym uśmiechem.

– Zawsze to miło, kiedy ktoś docenia nasze starania.

– Macie pobrać jej krew i zlecić pełne badanie toksykologiczne w niezależnym laboratorium – oświadczył Geary. – Da pani sobie z tym radę, pani doktor?

Sara skinęła głową.

– Oczywiście.

Will znów wziął ją pod rękę i poprowadził w kierunku domu sąsiadki.

– Dziękuję – rzucił, gdy tylko znaleźli się poza zasięgiem słuchu pozostałych.

Kiedy szli podjazdem, ponownie odsunęła się od niego. Zanim dotarli do werandy od frontu, wyprzedziła go o dobry metr, ale odnosił wrażenie, że dzieli ich przepaść. To już nie była ta sama Sara

co pół godziny wcześniej. Może sprawiła to sceneria, lecz przecież Will widział ją już na miejscu zbrodni. Swego czasu Sara pełniła funkcję koronera. Z całą pewnością nie czuła się nieswojo. Will nie bardzo wiedział, jak ma zareagować na tę zmianę. Całe życie strawił na ocenianiu nastrojów innych ludzi, ale tej kobiety nie potrafił rozgryźć.

Otworzyły się drzwi. Pani Levy spojrzała na nich przez grube okulary. Miała na sobie żółtą podomkę z wystrzępionym kołnierzykiem i zawiązany na chudej talii biały fartuch z drepczącymi na brzegach małymi gąskami. Jej pięty wystawały z żółtych rannych pantofli. Była już po osiemdziesiątce, lecz wciąż myślała jasno i najwyraźniej lubiła Faith.

– Czy to jest ta lekarka? – spytała. – Powiedziano mi, że mam nie wpuszczać nikogo oprócz lekarki.

– Tak, proszę pani – odparła Sara. – To ja.

– No, no, ładniutka jesteś. Wchodźcie. To był zwariowany dzień. – Pani Levy odsunęła się na bok, otwierając drzwi na oścież, by mogli wejść do holu. Oddychając, świszczała przez sztuczne zęby. – Dzisiaj po południu miałam więcej gości niż przez cały ostatni rok.

Salon, do którego schodziło się po kilku stopniach, wyglądał pewnie tak samo jak w dniu, kiedy pani Levy kupiła ten dom. Podłogę pokrywała włochata wykładzina w kolorze pszenicznego złota. Kanapa o barwie musztardy składała się z kilku twardych poduch. Jedyne nowe elementy wystroju stanowił fotel z opuszczanym oparciem, wyposażony w mechaniczny podnośnik, który ułatwiał siadanie i wstawanie. Całe oświetlenie pokoju stanowił migotliwy blask padający z wstawionego do szafki telewizora. Faith leżała bezwładnie na kanapie, przyciskając do piersi Emmę. Straciła ochotę do paplania, a wraz z nią animusz. Nie tego Will się spodziewał, kiedy usłyszał, że jego partnerka jest zamieszana w strzelaninę. Gdy była naprawdę zmartwiona, przeważnie pogrążała się w milczeniu. Ale teraz w jej zachowaniu coś nie grało.

Była zbyt spokojna.

– Faith? – odezwał się. – Przyszła doktor Linton.

Nie odpowiedziała, gapiła się na wyciszony telewizor. W pewnym

sensie wyglądała gorzej niż jeszcze przed chwilą. Usta miała białe jak resztę błyszczącej od potu twarzy. Potargane blond włosy kleiły się do głowy. Oddychała płytko. Emma zagruchała, lecz Faith nie zwróciła na to uwagi.

Sara zapaliła górne światło, a potem uklękła przed agentką.

– Faith? Spójrz na mnie.

Faith nie odrywała wzroku od ekranu. Will skorzystał z tego i włożył na szorty dzinsy. Czując wybrzuszenie tylnej kieszeni, wyjął z niej zegarek i portfel.

– Faith? – powtórzyła Sara głośniejszym, bardziej stanowczym głosem. – Spójrz na mnie.

Agentka powoli odwróciła głowę.

– Możesz mi dać Emmę? – powiedziała Sara.

– Z-zasnęła – wybełkotała Faith.

Sara objęła dziecko w talii i delikatnie oderwała je od matki.

– No proszę, ale urosła. – Pobieźnie zbadała dziewczynkę, zaglądając jej w oczy, sprawdzając palce rąk i nóg, a potem działa. – Moim zdaniem jest trochę odwodniona.

– Naszykowałam butelkę, ale Faith nie pozwoliła mi jej podać – wtrąciła się pani Levy.

– Proszę ją przynieść. – Sara przywołała Willa ruchem reki. Wziął od niej Emmę. Mała była zaskakująco ciężka, więc oparł ją sobie na ramieniu. Jej główka opadła mu na szyję niczym mokry worek mąki.

– Faith, jak się czujesz? – Sara mówiła zwięźle, jak do staruszki.

– Zawiozłam ją do lekarza.

– Masz na myśli Emmę? – Sara oburącz ujęła jej twarz. – I co powiedział lekarz?

– Nie wiem.

– Możesz patrzeć na mnie?

Faith poruszyła ustami, jakby żuła gumę.

– Co dzisiaj mamy, skarbie? Powiesz mi, jaki jest dzień tygodnia? – zapytała Sara.

Faith odsunęła głowę.

– Nie.

– W porządku. – Sara na siłę uniosła powieki agentki. – Kiedy

ostatnio coś jadłaś?

Faith nie odpowiedziała. Tymczasem pani Levy wróciła z butelką. Podała ją Willowi, a on ułożył Emmę w ramionach tak, by mogła pić.

– Faith? Kiedy ostatnio coś jadłaś? – zadała kolejne pytanie Sara.

Agentka spróbowała ją odepchnąć. Nie udało jej się, więc naparła mocniej.

Sara wciąż mówiła, przytrzymując ręce Faith.

– Czy to było dziś rano? Zjadłaś dzisiaj śniadanie?

– Zostaw mnie.

Sara odwróciła się do pani Levy.

– Pani nie choruje na cukrzycę?

– Nie, złotko, ale mój mąż był cukrzykiem. Będzie już prawie dwadzieścia lat, jak zmarł, Panie świeć nad jego duszą.

– To reakcja na brak insuliny – wyjaśniła Sara Willowi. – Gdzie jej torebka?

– Nie miała jej, kiedy ją tu przyprowadzili – odpowiedziała za niego pani Levy. – Może zostawiła ją w samochodzie.

Sara znów zwróciła się do Willa:

– Powinna mieć w niej zestaw na wypadek zapaści. Plastikowy. Z boku widnieje napis „Glukagon”. – Wyglądała, jakby szukała czegoś w pamięci. – Jest podłużny, mniej więcej wielkości oprawki wiecznego pióra. Jasnoczerwony albo pomarańczowy. Przynieś mi go, proszę.

Will, z dzieckiem na rękach, podbiegł do drzwi wyjściowych i wypadł na dwór. Podwórka w Sherwood Forest były przeważnie większe niż w innych dzielnicach, ale czasami zamiast kwadratowych trafiały się wąskie i długie. Spod wiaty na samochód u pani Levy Will miał doskonały widok na łazienkę Evelyn Mitchell. Zobaczył stojącego w długim korytarzu mężczyznę. Po raz kolejny zaczął się zastanawiać, jakim cudem pani Levy nie usłyszała strzelaniny w sąsiednim domu. Nie byłaby pierwszym świadkiem, który woli się nie mieszać, a jednak zaskoczyła go powściągliwość tej kobiety.

Dopiero gdy znalazł się o metr od mini, przyszło mu do głowy, że samochód Faith również stanowi część miejsca zbrodni. Po drugiej stronie auta stało dwóch gliniarzy, a czterech kolejnych pod wiatą.

Will dyskretnie zajrzał do wnętrza wozu. Zobaczył opisany przez Sarę plastikowy pojemnik, leżący na prawym siedzeniu pośród rozmaitych babskich szpargałów.

– Muszę coś zabrać z samochodu – zwrócił się do gliniarzy.

– No to masz przesrane – zadrwił jeden z nich.

Will wskazał Emmę, która przysłała się do butelki, jakby miała za sobą piętnastokilometrowy bieg.

– Trzeba jej dać gryzak – wyjaśnił. – Ona ząbkuje.

Gliniarze przyglądali mu się bacznie. Will zastanawiał się, czy przypadkiem nie dał ciała. Mieszkając w domu dziecka, wielokrotnie zmieniał maluchom pieluchy, ale nie miał pojęcia, kiedy zaczynają im wyrastać ząbki. Emma miała cztery miesiące. Odżywiała się wyłącznie pokarmem matki albo mlekiem z butelki. Z tego, co wiedział, raczej nie musiała niczego gryźć.

– Bez jaj – rzucił, podnosząc Emmę tak, żeby mogli zobaczyć jej różową buzię. – Przecież to jest niemowlę.

W końcu jeden z gliniarzy ustąpił.

– No dobra – burknął. Obszedł samochód i otworzył drzwi. – Gdzie to jest?

– To ten czerwony plastikowy pojemnik. Wygląda jak oprawka pióra.

Gliniarz nie dostrzegł w tym nic dziwnego. Wziął zestaw i wyciągnął go w stronę Willa.

– Nic jej nie jest? – zainteresował się.

– Nie, tylko chce jej się pić.

– Mówię o Faith, jełopie.

Will sięgnął po pojemnik z insuliną, ale tamten go nie puszczał.

– Czy ona z tego wyjdzie?

Will uświadomił sobie, że gliniarzowi chodzi o coś więcej.

– Tak – zapewnił go. – Nic jej nie będzie.

– Brad obiecuje, że znajdziemy jej matkę. Przekaż to Faith. – Glina puścił pojemnik i zatrzasnął drzwi samochodu.

Will nie czekał, aż tamten się rozmyśli. Wrócił truchtem do domu, próbując nie trząść dzieckiem. Pani Levy, która stała na straży za drzwiami, otworzyła, zanim zdążył zapukać.

Sceneria w środku się zmieniła. Faith leżała teraz na kanapie. Sara podtrzymywała jej głowę i zmuszała do picia coca-coli z puszki.

Z miejsca wsiadła na Willa.

– Przede wszystkim od razu powinieneś wezwać ratowników medycznych – objechała go. – Ma za niski poziom cukru we krwi. Jest zamoczona, poci się. Jej serce wali jak szalone. To nie zabawa. – Wzięła od niego pojemnik i otworzyła. W środku znajdowała się strzykawka z bezbarwnym płynem oraz fiolka białego proszku, który podejrzenie przypominał kokainę. Sara oczyściła igłę bawełnianym wacikiem namoczonym w alkoholu, który niewątpliwie dostała od pani Levy. – Zakładam, że od śniadania nie miała nic w ustach – mówiła, wbijając igłę do fiolki i wstrzykując płyn. – Adrenalina spowodowana wydarzeniami w domu dała jej potężnego kopa, ale potem nastąpiło jeszcze gorsze zejście. W świetle tego, co tu się stało, dziwię się, że nie zapadła w śpiączkę.

Chciała, żeby jej słowa go zaboląły, i tak też się stało. Powinien był wezwać ratowników medycznych pół godziny temu, nie zważając na to, co mówiła Amanda. A tymczasem przejmował się karierą Faith, zamiast martwić się o jej życie.

– Wyjdzie z tego? – zapytał.

Sara potrząsnęła fiolką, mieszając zawartość przed nabraniem jej do strzykawki.

– Wkrótce się okaże – odparła. Zadarła koszulę Faith i przemyła tamponem kawałek skóry na jej brzuchu. Will patrzył, jak igła zagłębia się w ciało, a gumowy koniec tłoka przesuwają się w plastikowej rurce w miarę wstrzykiwania płynu. – Martwisz się, że uznają, że zastrzeliła tych dwóch w stanie zaburzenia czynności ruchowych?

Nie odpowiedział.

– Zapaść prawdopodobnie nastąpiła szybko i gwałtownie. Pewnie bełkotała, sprawiała wrażenie, jakby była odurzona. – Sara oczyściła i schowała na miejsce zestaw do iniekcji. – Powiedz im, żeby przyjrżeli się faktom. Jednego trafiła w głowę, drugiego w plecy, przypuszczalnie z daleka, mimo że na linii ognia znajdowały się dwie niewinne, przypadkowe osoby. Absolutnie wykluczone, żeby ktoś



z zaburzeniami mógł oddać takie strzały.

Will rzucił okiem na panią Levy, która raczej nie powinna tego słuchać. Ale ona rozproszyła jego niepokój.

– Nie martw się o mnie, kochaniutki. Ostatnimi czasy niewiele już pamiętam. – Wyciągnęła ręce po Emmę. – Pozwolisz, że zajmę się naszą owieczką?

Will ostrożnie podał dziecko staruszce, a ta przeszła na tył domu. Ranne pantofle głośno kłapały o jej wysuszone pięty.

– A co z cukrzycą? – zwrócił się do Sary. – Czy mogą zrzucić winę na jej chorobę?

– Jak się zachowywała, kiedy tu dotarłeś? – spytała rzeczowo.

– Wyglądała... – Pokręcił głową, myśląc, że już nigdy nie chciałby oglądać Faith w takim stanie. – Sprawiała wrażenie, jakby postradała zmysły.

– I uważasz, że ktoś niezrównoważony psychicznie albo pod wpływem środków chemicznych mógł zabić dwóch mężczyzn, oddając do każdego tylko po jednym strzale? – Sara oparła dłoń na ramieniu agentki. Jej głos złagodniał. – Proszę cię, Faith, usiądź. Zrób to dla mnie.

Faith wolno uniosła się do pozycji siedzącej. Wydawała się półprzytomna, jakby właśnie wyrwano ją z głębokiego snu, ale jej cera odzyskała zdrowy kolor. Złapała się za głowę i skrzywiła.

– Ból głowy minie, ale dopiero za jakiś czas – poinformowała ją Sara. – Pij tyle wody, ile tylko zdołasz. Potrzebny nam twój tester, żeby sprawdzić poziom cukru.

– Mam go w torebce.

– Spróbuję załatwić nowy z karetki. – Sara wzięła z podręcznego stolika butelkę wody i odkręciła nakrętkę. – Przerzuć się na wodę. Nie pij więcej coli.

Wyszła, nie oglądając się na Willa. Patrząc na jej plecy, odnosił wrażenie, że widzi ścianę lodu. Nie bardzo wiedząc, co z tym zrobić, po prostu udał, że tego nie dostrzega, i dalej siedział przy stoliku naprzeciwko swojej partnerki.

Faith pociągnęła solidny haust wody.

– Głowa mi pęka – odezwała się. Nagle wspomnienie tego, co się

stało, poraziło ją niczym uderzenie pioruna. – Gdzie moja matka? – Spróbowała wstać, lecz Will ją przytrzymał. – Gdzie ona jest?

– Szukają jej.

– A te dziewczynki...?

– Nic im się nie stało. Proszę cię, nie ruszaj się stąd przez chwilę, zgoda?

Rozejrzała się coraz bardziej podminowana.

– Gdzie Emma?

– Pod opieką pani Levy. Zasnęła. Zadzwoń na uczelnię Jeremy'ego...

Otworzyła usta. Will widział, że Faith błyskawicznie wraca do życia.

– Jak mu to przekazałeś? – spytała.

– Rozmawiałem z Victorem. Wciąż jest dziekanem do spraw studenckich. Wiedziałem, że nie chciałabyś, żebym wysyłał gliniarza po Jeremy'ego w trakcie zajęć.

– Z Victorem... – Zaciśnęła usta. Przez jakiś czas spotykała się z Victorem Martinezem, ale niecały rok temu zerwali ze sobą. – Błagam, powiedz, że nie wspomniałeś mu o Emmie.

Will nie pamiętał, co dokładnie powiedział Victorowi, domyślił się jednak, że Faith nie zdobyła się na to, żeby przyznać się swojemu byłemu do urodzenia córki.

– Wybacz.

– Nieważne. – Odstawiła butelkę wody. Dłonie drżały jej tak, że rozlała trochę na dywan. – Co poza tym?

– Próbuje namierzyć twojego brata. – Doktor Zeke Mitchell służył jako chirurg w siłach powietrznych, stacjonował gdzieś w Niemczech. – Amanda dotarła do znajomego w bazie lotniczej Dobbins – dodał Will. – Pomoże jej się przebić przez biurokrację.

– Moja komórka... – Najwyraźniej uświadomiła sobie, gdzie ją zostawiła. – Mama trzyma jego numer obok telefonu w kuchni.

– Pójdę po niego, jak tylko skończymy – obiecał Will. – Opowiedz mi, co tu się stało.

Jej oddech stał się urywany. Will patrzył, jak Faith zмага się ze świadomością tego, co zrobiła.

– Zabiłam dwóch ludzi – oznajmiła.

Ujął jej dłonie. Miała zimną, lepka skórę. Drżała lekko, ale nie przypisywał tego obniżeniu poziomu cukru we krwi.

– Faith, uratowałaś dwie małe dziewczynki – przypomniał jej.

– Ten mężczyzna w sypialni... – Urwała. – Nie rozumiem, co tu się stało.

– Znów płaczą ci się myśli? Mam wezwać doktor Linton?

– Nie. – Kręciła głową tak długo, że mimo wszystko miał jednak ochotę wezwać Sarę. – Will, ona nie jest zła. Mama nie jest umoczona w korupcję.

– Nie musimy teraz rozmawiać o...

– Owszem, musimy – przerwała mu z naciskiem. – Zresztą nawet gdyby jako glina zesła na złą drogę, a tak nie jest, to przecież pięć lat temu przeszła na emeryturę. Już nie pracuje w policji. Nie bywa na zbiórkach pieniędzy ani na innych imprezach. Nie rozmawia z nikim z tamtych czasów. W piątki grywa w karty z paniami z sąsiedztwa. W środy i niedziele chodzi do kościoła. Kiedy jestem w pracy, opiekuje się Emmą. Jeździ pięcioletnim samochodem. Właśnie spłaciła ostatnią ratę kredytu na dom. W nic nie jest zamieszana. Nikt nie miał powodu podejrzewać jej o... – Usta Faith zadrżały. Wyglądała, jakby lada chwila mogła wybuchnąć płaczem.

Will przekazał jej najważniejsze konkrety.

– Przed domem zorganizowali ruchome centrum dowodzenia. Obserwujemy wszystkie autostrady. Zdjęcie Evelyn pokazują w każdej stacji telewizyjnej. Mają je radiowozy patrolujące teren metropolii. Przyciskamy naszych informatorów, sprawdzamy, czy coś o tym słyszeli. Twoje telefony są na podsłuchu, monitorujemy je na wypadek, gdyby ktoś zgłosił się z żądaniem okupu. Amanda wpadła w szal, ale i tak umieścili u ciebie jednego ze swoich detektywów, żeby kontrolował korespondencję i telefony. Jeremy jest w twoim domu. Przydzielili mu do ochrony dwóch tajniaków. Ty też dostaniesz obstawę.

Faith zajmowała się już kiedyś porwaniami.

– Naprawdę sądzisz, że wystąpią z żądaniem okupu? – spytała.

– Niewykluczone.

– Należeli do Mexicanos. Czegoś tu szukali. To dlatego zabrali ją ze sobą.

– Czego mogli szukać? – zainteresował się Will.

– Nie wiem. Przewrócili cały dom do góry nogami. Ten Azjata mówił, że wymienią moją matkę w zamian za to, czego nie znaleźli.

– Azjata proponował wymianę?

– Tak. Celował do członka gangu Mexicanos... tego na podwórku za domem.

– Zaczekaj. – Zabrali się do tego od złej strony. – Współpracuj ze mną, Faith. Potraktuj swoje wspomnienia jak scenę zbrodni. Zaczynij od początku. Rano miałaś szkolenie pracowników, zgadza się? Coś na temat komputerów?

Pokiwała głową.

– Byłam spóźniona, od dwóch godzin powinnam już być w domu. – Zrelacjonowała mu szczegółowo cały swój dzień, od rana aż do teraz. Opowiedziała, jak próbowała się dodzwonić do matki, jak po wyjściu z samochodu usłyszała grającą w domu muzykę. Nie miała pojęcia, że coś jest nie tak, zorientowała się długo po tym, jak muzyka ucichła. Will nie przerywał jej opowieści... o splądrowanym domu, o znalezieniu zwłok mężczyzny i o tych dwóch, których zabiła.

Kiedy skończyła, jeszcze raz odtworzył sobie wszystko w pamięci – widział Faith, stojącą pod wiatą obok komórki i wracającą do auta. Wyglądało na to, że choć jeszcze kilka minut temu miała kłopoty ze zdrowiem, teraz pamięta wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Połączyła się z dyspozytorką, a potem wróciła po broń. To akurat nie dawało mu spokoju. Faith wiedziała, że tego dnia miał zostać w domu. Rozmawiali o tym poprzedniego dnia. Skarżyła mu się, że musi jechać na szkolenie komputerowe, a on powiedział jej, że zamierza umyć samochód i zająć się ogrodem. Mieszkał trzy i pół kilometra od miejsca, w którym się znajdowali. Mógł tu dotrzeć w niecałe pięć minut.

A jednak do niego nie zadzwoniła.

– O co chodzi? – spytała. – Coś pominęłam?

Odchrząknął.

– Jaka piosenka leciała z domu, kiedy przyjechałaś?

– AC/DC – odparła. – Back in Black.

Dziwne.

– Czy twoja mama słuchała takiej muzyki?

Pokręciła głową. Najwyraźniej wciąż była w szoku, uciekała myślami od tego, co się stało.

Złapał ją za ramiona, próbując zmusić, żeby się skupiła.

– Przemyśl to sobie, zgoda? – Odczekał, aż na niego spojrzy. – W domu są dwaj martwi mężczyźni. Obaj to Azjaci. Człowiek za domem jest Meksykaninem. Członkiem gangu Los Mexicanos.

Skoncentrowała się.

– Azjata w sypialni... ten w krzykliwej hawajskiej koszuli. Mówił jak południowiec. – Chodziło jej o akcent mężczyzny. – Celował z pistoletu do Texicano. Groził, że go zabije.

– Mówił coś jeszcze?

– Zastrzeliłam go. – Jej usta znów zadrżały.

Will dotychczas nie widział płaczącej Faith i teraz też nie miał ochoty tego oglądać.

– Facet w koszuli celował w głowę kogoś innego – przypomniał jej.

– Texicano był już pobity, prawdopodobnie go torturowano. Bałaś się o jego życie. I dlatego pociągnęłaś za spust.

Kiwnęła głową, ale w jej oczach dostrzegł cień wątpliwości.

– Kiedy ten w hawajskiej koszuli padł, Texicano wybiegł za dom, zgadza się? – ciągnął.

– Zgadza.

– Pobiegnął za nim, a kiedy uniósł broń, wycelował w te dwie dziewczynki i strzelił, ty wypaliłaś do niego, tak?

– Tak.

– Broniałaś zakładnika w sypialni oraz tych dwóch dziewczynek na placu za domem sąsiadki, dobrze mówię?

– Owszem – przytaknęła silniejszym głosem. – Tak było.

Szybko dochodziła do siebie. Will przynajmniej na chwilę poczuł ulgę. Puścił jej ręce.

– Faith, pamiętasz, jakie wytyczne nas obowiązują. Mamy prawo uciec się do śmiertelnych metod wtedy, kiedy zagrożone jest życie nasze albo innych ludzi. Dzisiaj zrobiłaś to, co do ciebie należało.

Musisz tylko wyraźnie powiedzieć, co sobie wtedy myślałaś. Kilku ludziom groziło niebezpieczeństwo. Strzelałaś, żeby ich ocalić. A jeśli strzelasz, to po to, żeby zabić, nie zranić.

– Wiem.

– Dlaczego nie zaczekałaś na wsparcie?

Nie odpowiedziała.

– Dyspozytorka kazała ci czekać na zewnątrz. Nie posłuchałaś jej.

Faith wciąż milczała.

Will przysiadł na stole, dłonie wsunął między kolana. Może mu nie ufała? Nigdy szczerze nie porozmawiali o sprawie, jaką wytoczył jej matce, wiedział jednak, że zdaniem Faith, to detektywi z jednostki byli umoczeni, a nie dowodząca nimi pani kapitan. Przy całej swej bystrości, w kwestii polityki firmy wciąż prezentowała zaskakującą naiwność. Will już dawno zauważył, że w każdej sprawie korupcyjnej, którą prowadził, spadały wyłącznie głowy tych, którzy nie mieli złotych gwiazdek na kołnierzykach. Faith była o wiele za nisko w łańcuchu pokarmowym, żeby korzystać z tego rodzaju osłony.

– Na pewno usłyszałaś dochodzące z domu dźwięki – podjął. – Krzyk? Wystrzał?

– Nie.

– A widziałaś coś?

– Zobaczyłam, że rusza się zasłona, ale to dopiero po tym, jak...

– Świetnie, bardzo dobrze – przerwał jej. Znów się nachylił. – Zobaczyłaś kogoś w środku. Sądziłaś, że może tam być twoja matka. Czując, że grozi jej bezpośrednio niebezpieczeństwo, weszłaś, żeby zabezpieczyć teren.

– Will...

– Posłuchaj mnie, Faith. Wielu gliniarzom zadawałem te same pytania i wiem, jak powinny brzmieć odpowiedzi. Słuchasz, co do ciebie mówię?

Skinęła głową.

– Zobaczyłaś kogoś w domu. Uznałaś, że twojej matce grozi śmiertelne niebezpieczeństwo...

– Zobaczyłam krew na dywanie. I na drzwiach. Był na nich krwawy odcisk dłoni.

– No właśnie. To dobrze. Dzięki temu miałaś powód, żeby wejść do środka. Ktoś został ciężko ranny. Chodziło o ludzkie życie. A cała reszta wydarzyła się dlatego, że zostałam wplątana w sytuację, w której zastosowanie środków ostatecznych było usprawiedliwione.

Pokręciła głową.

– Dlaczego przygotowujesz mnie, jak mam zeznawać? Przecież nie znosisz, kiedy gliniarze się okłamują.

– Ja nie kłamię za ciebie. Chcę się tylko upewnić, że nie stracisz pracy.

– W nosie mam robotę. Zależy mi jedynie na odzyskaniu matki.

– Więc trzymaj się tego, o czym mówiliśmy. Jeśli wylądujesz w pudle, nikomu na nic się nie przydasz.

W oczach Faith dostrzegł szok. Nie przyszło jej na myśl, że skoro sprawy wyglądają tak kiepsko, może być jeszcze gorzej.

Rozległo się głośne pukanie do drzwi. Will chciał wstać, lecz pani Levy okazała się szybsza. Wolno ruszyła korytarzem, wymachując rękami. Domyślił się, że położyła Emmę do łóżka, i miał tylko nadzieję, że pomyślała o zabezpieczeniu jej poduszkami przed upadkiem.

Najpierw wszedł Geary, za nim Amanda, a na końcu dwaj starsi mężczyźni – jeden biały, drugi czarny. Obaj starannie ogoleni, mieli krzaczaste brwi, a na piersiach rząd baretek z rodzaju tych, które świadczą o wspaniałej karierze za biurkiem. Przyszli tu wyłącznie dla dekoracji, żeby przydać ważności Geary’emu. Gdyby był gwiazdą rapu, mogliby uchodzić za jego paczkę. A że był dowódcą strefy, nazywali się „personelem pomocniczym”.

– Uszanowanie – bąknął Geary do pani Levy, zdejmując czapkę. Tamci poszli w jego ślady i podobnie jak ich szef, włożyli czapki pod pachę. Geary skierował się do Faith, ale pani Levy zastąpiła mu drogę.

– Mogę zaproponować panom herbatę i ciasteczka? – spytała.

– Prowadzimy śledztwo – warknął Geary. – Nie wpadliśmy tu na herbatkę.

Pani Levy nie przejęła się tym.

– Szkoda. Wobec tego proszę się rozgościć. – Zanim odwróciła się

i zniknęła w głębi korytarza, puściła oko do Willa.

– Agentko Mitchell, proszę wstać – rozkazał Geary.

Gdy wykonała polecenie, Will poczuł skurcz żołądka. Nie było widać, że jest rozdygotana, jak jeszcze przed chwilą, ale koszula wystawała jej ze spodni, a włosy miała w nieładzie.

– Jestem gotowa złożyć zeznanie, jeżeli... – odezwała się.

– Twój prawnik i przedstawiciel związku czekają na posterunku – wtrąciła się Amanda.

Geary przeszył ją wściekłym wzrokiem. Było jasne, że ma w nosie, czy Faith reprezentuje adwokata.

– Agentko Mitchell, kazano pani czekać na wsparcie. Nie wiem, jakie zwyczaje panują w GBI, ale w policji ludzie wykonują rozkazy.

Faith rzuciła okiem na Amandę, po czym odpowiedziała spokojnie:

– Na drzwiach kuchennych była krew. Zauważyłam, że ktoś jest w domu. Smith & wesson mojej matki gdzieś przepadł. Obawiałam się, że jej życie jest w niebezpieczeństwie, więc weszłam do domu, żeby wyeliminować zagrożenie. – Nie wyraziłaby tego lepiej, nawet gdyby Will dał jej to na kartce.

– Mężczyzna w kuchni? – zapytał Geary.

– Nie żył, kiedy weszłam do środka.

– A ten w sypialni?

– Celował z rewolweru mojej matki w głowę innego mężczyzny. Ratowałam życie zakładnika.

– A ten człowiek na podwórku?

– Zakładnik. Zabrał rewolwer, kiedy strzeliłam do pierwszego z nich. Moją uwagę odwróciło wyłamywanie frontowych drzwi. Tamten wybiegł z bronią na podwórko i strzelił do dwóch małych dziewczynek. Mogłam oddać czysty strzał, więc zrobiłam to, żeby je ocalić.

Geary zerknął na swoją teatralną obstawę w taki sposób, jakby się zastanawiał, co dalej. Obie szychy wyraźnie nie wiedziały, co robić, w każdym razie były gotowe bezwarunkowo poprzeć swojego szefa. Will się spiął – nastąpił moment, w którym albo wszystko się układa, albo bierze w łeb. Geary wybrał łagodne podejście, być może przeważała jego lojalność wobec Evelyn Mitchell.



– Któryś z moich ludzi zawiezie panią na posterunek – oznajmił Faith.

Już wkładał czapkę, gdy zatrzymała go Amanda.

– Mike, czuję, że powinnam ci o czymś przypomnieć. – Posłała mu równie słodki uśmiech jak poprzednio. – W tym stanie z mocy prawa wszystkie śledztwa związane z narkotykami podlegają GBI.

– Chcesz mi powiedzieć, że macie dowody, jakoby ta strzelanina miała coś wspólnego z narkotykami?

– Ja w ogóle nie mam ci wiele do powiedzenia – odcięła się.

Wkładając czapkę, łypał na nią wilkiem.

– Niech ci się nie zdaje, że nie odkrywę, po kiego marnowałeś mój czas! – burknął.

– Grunt to delegować swoich ludzi do tego, co najważniejsze.

Geary pomaszerował do wyjścia; jego sługusy powlokły się za nim. Na zewnątrz Sara akurat wchodziła na werandę. Szybko złożyła ręce za plecami, ukrywając pożyczony tester do pomiaru poziomu cukru we krwi.

– Doktor Linton. – Geary znów zdjął czapkę. Obstawy poszły w jego ślady. – Przepraszam, że wcześniej nie skojarzyłem pani nazwiska. – Pewnie dlatego, że mu się nie przedstawiła, pomyślał Will. Widocznie ktoś mu doniósł, kim jest Sara. – Znałem pani męża. Dobry był z niego policjant. I dobry człowiek.

Sara nadal trzymała ręce za plecami, międląc plastikowy tester. Will znał spojrzenie, jakim obrzuciła dowódcę strefy – nie miała ochoty na pogaduszki. Zdobyła się jednak na to, żeby rzucić Geary'emu:

– Dziękuję.

– Proszę dać znać, gdybym mógł pani jakoś pomóc.

Kiwnęła głową. Geary włożył czapkę, a tamci dwaj powtórzyli ten gest jak meksykańska fala na stadionie.

– Texicano na podwórku powiedział mi coś przed śmiercią – oznajmiła Faith, zaledwie zamknęły się za nimi drzwi. Poruszyła ustami, przypominając sobie, co usłyszała. – „Alma” czy „al-mej”.

– Almeja? – podsunęła Amanda, wymawiając to z egzotycznym akcentem.

Faith potwierdziła ruchem głowy.

– Zgadza się. Wiesz, co to znaczy?

Sara otworzyła usta, ale zanim zdążyła się odezwać, wyręczyła ją Amanda.

– Po hiszpańsku to „małż”, ale w meksykańskim slangu oznacza forszę. Myślisz, że szukali tu pieniędzy?

Faith pokręciła głową, wzruszając ramionami.

– Nie wiem. Nic o tym nie wspominali. Ale na mój gust to ma sens. Los Mexicanos sprzedają narkotyki. Narkotyki to pieniądze. Moja mama robiła w narkotykach. Może uważali, że ona... – Zerknęła na Willa. Czytał w jej myślach jak w otwartej księdze. Po sprawie, którą wytoczył Evelyn Mitchell, wielu uważało, że należała do tych gliniarzy, co to chomikują po domach kupę lewej forsy.

– Czas na mnie – oznajmiła Sara, korzystając z tego, że zapadło milczenie. Podała Faith miernik poziomu cukru. – Musisz bezwzględnie przestrzegać zaleceń. Stres tylko pogarsza twój stan. Zadzwoń do swojego lekarza, porozmawiaj z nim o dawkach leku, może trzeba je zmienić. Spytaj, na jakie objawy powinnaś zwracać uwagę. Wciąż chodzisz do doktor Wallace? – upewniła się, na co Faith skinęła głową. – Wracając do domu, zostawię jej wiadomość w poczcie głosowej. Opowiem, co się stało, ale sama musisz z nią pogadać przez telefon, i to jak najszybciej. Przeżywasz teraz stresujący okres, ale nie wolno ci zmieniać rozkładu dnia. Rozumiemy się?

– Dziękuję. – Faith niełatwo przychodziło wyrażanie wdzięczności i Will, jak dotąd, nie słyszał, żeby powiedziała coś z głębi serca, tak jak teraz.

– Zrobisz te badania toksykologiczne dla Geary’ego? – zwrócił się do Sary.

Odpowiedź skierowała do Amandy.

– Faith pracuje u pani, nie w policji. Żeby pobrać jej krew, musieliby zdobyć nakaz, a domyślam się, że pani nie zechce zwracać sobie tym głowy.

– A tak czysto hipotetycznie, co wykazałaby toksykologia? – spytała Amanda.

– To, że żadna z substancji, które podlegają badaniu, ani nie odurzyła Faith, ani nie upośledziła jej zdolności oceny sytuacji. Chce pani, żebym pobrała jej krew?

– Nie, pani doktor. Jestem wdzięczna za pomoc.

Sara odeszła bez słowa, nawet przelotnie nie zerknęła na Willa.

– Może byś tak pogadał z wesołą wdówką? – podsunęła Amanda.

W pierwszej chwili Will pomyślał, że chodzi jej o Sarę, jednak w końcu odezwała się logika. Przeszedł więc na tył domu, w poszukiwaniu pani Levy, ale najpierw odczekał, aż Amanda mocno przytuli Faith. Jak na kobietę, która instynktem macierzyńskim dorównywała psu dingo, był to doprawdy niezwykle gest.

Will wiedział, że Faith i Amandę łączy przeszłość, o której nigdy nie mówiły, nawet się do niej nie przyznawały. Kiedy Evelyn Mitchell przecierała szlaki dla kobiet w policji Atlanty, Amanda Wagner robiła to samo w GBI. Były mniej więcej w tym samym wieku i miały ten sam charakter modliszki. Łączyła je także wieloletnia przyjaźń – Amanda spotykała się nawet ze szwagrem Evelyn, stryjcem Faith, ale jakoś zapomniała wspomnieć o tym drobiazgu Willowi, zlecając mu dochodzenie w sprawie brygady antynarkotykowej dowodzonej przez swoją starą przyjaciółkę.

Zastał panią Levy w sypialni na tyłach domu, najwyraźniej pełniącej rolę graciarni, w której staruszka gromadziła wszystko, na co akurat przyszła jej ochota. Znajdowało się tam stanowisko do tworzenia ozdobnych albumów z wycinkami, które rozpoznał tylko dlatego, że kiedyś prowadził śledztwo w sprawie strzelaniny na przedmieściach – młoda matka została wówczas zamordowana w trakcie naklejania fotografii z wakacji nad morzem na kolorowy karton. Były tam też wrotki z czterema kółkami. W kącie stała oparta o ścianę rakietka tenisowa. Na kozetce leżały rozmaite aparaty fotograficzne, w tym kilka cyfrowych, lecz większość stanowiły staroświeckie modele na klisze. Sądząc z czerwonego światła nad drzwiami ściennej szafy, Will domyślił się, że staruszka sama wywołuje zdjęcia.

Pani Levy siedziała na drewnianym bujaku przy oknie. Na kolanach trzymała Emmę, owiniętą jej fartuchem jak kocem. Gąski wokół rąbka

były odwrócone na lewą stronę. Emma z zamkniętymi oczami przyssała się do butelki. Wydawała przy tym dźwięki, które Willowi skojarzyły się z niemowlakiem z Simpsonów.

– Proszę, niech pan siądzie – zaproponowała staruszka. – Emma ciągnie jak złoto.

Will przycupnął na łóżku, uważając, żeby nie potrącić aparatów fotograficznych.

– Dobrze, że przypadkiem miała pani dla niej butelkę – rzekł.

– Prawda? – przytaknęła pani Levy, uśmiechając się do małej. – Przez całe to zamieszanie biedna owieczka nawet nie pospała.

– Ma pani też dla niej łóżeczko?

Staruszka zachichotała ochryple.

– Zakładam, że zaglądał pan już do mojej sypialni.

Wprawdzie się na to nie odważył, ale skorzystał z zaproszenia do pogawędki na ten temat.

– Często się pani nią zajmuje?

– Przeważnie kilka razy w tygodniu.

– A ostatnio?

Puściła do niego oko.

– Łebski pan jest.

Może i był łebski, ale tym razem po prostu miał fart. Wydało mu się dziwne, że pani Levy miała pod ręką butelkę dla Emmy akurat wtedy, kiedy należało ją nakarmić.

– Czy Evelyn była w coś zamieszana? – zapytał.

– A czy ja, według pana, wyglądam na wścibską babę, która nic, tylko wtyka nos w nie swoje sprawy?

– I co ja mam odpowiedzieć, żeby pani nie urazić?

Roześmiała się i, o dziwo, ustąpiła.

– Evelyn nigdy mi o tym nie mówiła, ale podejrzewam, że miała fatyganta.

– Od dawna?

– Od trzech, czterech miesięcy? – Powiedziała to tak, jakby pytała samą siebie. Znalazła odpowiedź i pokiwała głową. – To się zaczęło zaraz po narodzinach Emmy. Zaczynali powoli, spotykali się raz na tydzień, może co dwa tygodnie. Moim zdaniem, dopiero w ciągu

ostatnich dziesięciu dni umawiali się znacznie częściej. Odkąd przeszłam na emeryturę, nie używam kalendarza, ale w ubiegłym tygodniu Ev trzy dni z rzędu co rano prosiła mnie, żebym zajęła się Emmą.

– Zawsze rano?

– Zwykle od jedenastej do mniej więcej drugiej po południu.

Trzy godziny to wystarczająco dużo czasu na randkę.

– Czy Faith o nim wiedziała? – dopytywał się dalej.

Pani Levy pokręciła głową.

– Jestem pewna, że Ev wolałaby, żeby dzieci o niczym się nie dowiedziały – odparła. – Za bardzo kochały ojca. Ona zresztą też go kochała, niech pan sobie nie myśli, ale będzie już dobre dziesięć lat, jeśli nie więcej, jak odszedł. Trudno wytrzymać tak długo bez towarzystwa.

Will domyślił się, że staruszka wie o tym z własnego doświadczenia.

– Mówiła pani, że pani mąż zmarł dwadzieścia lat temu – rzekł.

– Owszem, ale ani ja za nim nie przepadałam, ani on za mną – odparła, głaszcząc Emmę kciukiem po policzku. – A Evelyn kochała Billa. Mieli lepsze i gorsze dni, ale jeśli się kocha, to zupełnie co innego. Odejście kogoś takiego rozbija człowiekowi życie. Potrzeba strasznie dużo czasu, żeby je sklecić z powrotem.

Will na moment zadumał się nad Sarą. Prawdę mówiąc, nigdy nie przestał o niej myśleć. Była niczym wiadomości podawane w telewizji na pasku, podczas gdy na ekranie pokazywano główny temat – jego życie.

– Czy wie pani, jak się nazywa ten adorator?

– Ależ skąd, nie ośmieliłabym się pytać. Wiem tylko, że jeździł bardzo pięknym cadillakiem CTS-V. Sedanem, nie coupé. Czarna karoseria, czarna tapicerka, atrapa ze stali nierdzewnej. I okropnie głośny silnik V8. Słysząc go było z odległości kilku ulic.

Will ze zdumienia przez chwilę nie mógł wydusić słowa.

– Pani się pasjonuje samochodami?

– Ależ skąd. Sprawdziłam ten model w Internecie, bo byłam ciekawa, ile za niego zapłacił.

Will czekał na ciąg dalszy.

– Moim zdaniem, około siedemdziesięciu pięciu tysięcy dolarów – zdradziła mu staruszka. – Myśmy kupili z mężem ten dom za mniej niż połowę tej sumy.

– Czy Evelyn nie wyjawiała pani jego nazwiska?

– W ogóle się do niego nie przyznawała. Wbrew temu, co wy, mężczyźni, sobie o nas myślicie, kobiety nie plotkują wyłącznie na wasz temat.

Will pozwolił sobie na uśmiech.

– Jak on wyglądał? – zapytał.

– No cóż, łysy – odparła takim tonem, jakby należało się tego spodziewać. – I trochę brzuchaty. Przeważnie nosił dżinsy. Koszule często miał wygniecione i podwijał rękawy, co mnie zdziwiło, bo Evelyn zawsze lubiła elegancko ubranych mężczyzn.

– Na ile lat go pani ocenia?

– Przez ten brak włosów trudno powiedzieć. Dałabym mu mniej więcej tyle lat co Evelyn.

– Sześćdziesiąt kilka.

– O! – Była wyraźnie zaskoczona. – Myślałam, że Evelyn jest po czterdziestce, chociaż to bez sensu, skoro Faith ma ponad trzydzieści lat. Nie jest już małym dzieckiem, prawda? – Zniżyła głos, jakby się bała, że ktoś może ich podsłuchać. – To już będzie ze dwadzieścia lat, ale takiej ciąży się nie zapomina. Kiedy jej brzuch się zaokrąglił, wybuchł prawdziwy skandal. Ludzie zachowywali się tak, że żal było patrzeć. Wszyscy czasami się z kogoś podśmiejemy, ale jak wtedy tłumaczyłam Evelyn, kobieta szybciej biega z zadartą kiecką niż chłop z opuszczonymi gatkami.

Will nie zastanawiał się nad sytuacją nastoletniej Faith, dziwił się tylko, że zatrzymała dziecko, ale zdawał sobie sprawę, że ciężarna czternastolatka w tak wytwornej okolicy prawdopodobnie nieźle wstrząsnęła dzielnicą. Obecnie było to na porządku dziennym, wówczas jednak dziewczęta w tak kłopotliwym położeniu jak Faith zazwyczaj wysyłano nagle do opieki nad jakąś wcześniej nieznaną chorowitą ciotką albo na – jak to eufemistycznie określano – usunięcie wyrostka robaczkowego. Garstka pechowych bękartów

kończyła w domu dziecka, z takimi jak Will.

– A zatem ten mężczyzna z drogim samochodem ma ponad sześćdziesiąt lat? – zapytał. A kiedy staruszka skinęła głową, dorzucił:

– Czy zauważyła pani między nimi oznaki bliższej zażyłości?

– Nie, ale Evelyn nie obnosiła się z uczuciami. Wsiadała do jego samochodu i odjeżdżali.

– Nawet nie cmokali się w policzek?

– Niczego takiego nie widziałam. Ale proszę nie zapominać, że nie poznałam go osobiście. Evelyn podrzucała mi Emmę tutaj, a potem wracała do siebie i czekała na niego.

Will przetrwał te informacje.

– Wchodził czasami do jej domu? – spytał.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Dzisiaj ludzie zachowują się inaczej. Za moich czasów mężczyzna pukał do drzwi kobiety i prowadził ją do swojego samochodu. A nie zajeżdżał przed dom i trąbił klaksonem.

– On tak robił? Trąbił?

– Nie, synu, to tylko figura retoryczna. Podejrzewam, że Ev wyglądała przez okno, bo wychodziła natychmiast, kiedy parkował przed domem.

– Wie pani, dokąd jeździli?

– Nie, ale jak już mówiłam, przeważnie znikali na jakieś dwie, trzy godziny, więc zakładałam, że wybierali się do kina albo na lunch.

Prawdziwi kinomani.

– Czy dzisiaj ten mężczyzna też się pojawił?

– Nie, zresztą nie zauważyłam na ulicy nikogo. Żadnych aut, ani żywego ducha. Dopiero kiedy zaczęły się zjeżdżać pojazdy na sygnale, zorientowałam się, że coś się stało. Potem, ma się rozumieć, usłyszałam strzały... najpierw jeden, a z minutę później drugi. Umiem rozpoznać odgłos wystrzału. Mąż był myśliwym, w tamtych czasach wszyscy policjanci polowali. Zabierał mnie ze sobą, żeby miał im kto gotować. – Wzniosła oczy do nieba. – Kawał gaduły, ale nudny jak flaki z olejem, Panie świeć nad jego duszą.

– Miał szczęście, że trafił na taką kobietę jak pani.

– A ja na szczęście raz na zawsze mam go z głowy. – Z trudem wstała z bujaka, pewnie trzymając dziecko na rękach. Butelka była

pusta. Odstawiła ją na stół i podała Emmę Willowi. – Potrzyj ją pan przez chwilę?

Oparł dziewczynkę o ramię i poklepał ją po plecach. Beknęła nadspodziewanie łatwo.

Pani Levy zmrużyła oczy.

– Pan już zajmował się niemowlakami – powiedziała.

Nie zamierzał się wdawać w opowieść o swoim życiu.

– Łatwo się z nimi rozmawia – mruknął.

Dotknęła jego ramienia, po czym ruszyła do ściennej szafy. Will miał rację – w tym ciasnym pomieszczeniu urządzono ciemnię. Stał w drzwiach, uważając, żeby nie zasłaniać staruszce światła, podczas gdy wertowała plik fotografii dużego formatu. Jej dłonie nieco drżały, ale stała całkiem pewnie.

– Mąż nigdy nie przywiązywał wagi do moich zainteresowań, ale kiedyś wezwano go na miejsce zbrodni, a tam pytali, czy ktoś nie zna dobrego fotografa – wyjaśniła. – Płacili dwadzieścia pięć dolarów... po prostu za robienie zdjęć! Stary drań nie mógł się oprzeć takiej okazji. Zadzwoił do mnie i kazał mi przyjść z aparatem. A ponieważ nie zemdlałam na widok jatki... tam doszło do strzelaniny... to powiedzieli, że mogę pracować dla nich na stałe. – Ruchem głowy wskazała łóżko. – Ten brownie szesnastka w dużej mierze zapewniał nam dach nad głową.

Wiedział, że miała na myśli aparat skrzynkowy Kodaka. Widać było, że jest mocno zużyty, ale wychuchany.

– Później przeszłam do prowadzenia inwigilacji. Wtedy już mąż rozpił się tak, że wyleciał z roboty, a ja oczywiście jestem kobietą, więc dosyć długo trwało, zanim zrozumieli, że nie jestem tam po to, żeby mieli z kim poflirtować i kogo przelecieć.

Will poczuł, że się czerwieni.

– Pracowała pani w policji miejskiej Atlanty? – upewnił się.

– Przez pięćdziesiąt osiem lat! – Wydawała się równie zaskoczona jak Will, że wytrzymała tam tyle czasu. – Teraz została ze mnie sama skóra i kości, ale swego czasu Geary i jego wazeliniarze smaliliby do mnie cholewki, a nie traktowali jak brud na swoich wyblyszczonych butach. – Zaczęła przeglądać kolejny plik dużych odbitek. Will ujrzał



czarno-białe zdjęcia ptaków i różnych zwierząt domowych; wszystkie wykonano z takiej perspektywy, jakby zwierzaki były obserwowane, nie podziwiane. – O, ten sukinkot grzebał w moich klombach. – Pokazała Willowi zdjęcie szaro-białego kota z ubabranym ziemią nosem. Było czarno-białe i oświetlone tak ostro, że brakowało tylko tabliczki na piersi kocura z jego imieniem i numerem więziennym. – Jest! – W końcu znalazła to, czego szukała. – Oto on. Fatygant Evelyn.

Will spojrzał nad jej zgarbionymi plecami. Zdjęcie było ziarniste, niewątpliwie wykonane z zaciągniętych żaluzji w oknie od frontu. Obiektyw aparatu rozchyłał cienkie plastikowe listwy. Wysoki starszy mężczyzna stał oparty o czarnego cadillaca, trzymając ręce na masce. Auto stało na jezdni, z przednimi kołami skreconymi w stronę krawężnika. Will zaparkował w ten sam sposób. Atlanta, położona na wzgórzach, rozciągała się u podnóży Appalachów. Ci, którzy mieli samochody z ręczną skrzynią biegów, zawsze parkowali tak, żeby koła opierały się o krawężnik, co zapobiegało stoczeniu się samochodu.

– Co to jest? – W drzwiach stanęła Faith. Will podał jej dziecko, ale ją bardziej interesowało zdjęcie. – Coś pani zauważyła?

– Pokazywałam panu rośliny w ogrodzie. – Staruszka wykonała sztuczkę godną szulera. Fotografia mężczyzny zniknęła, a jej miejsce zajął grzebiący w klombach kocur.

Emma poruszyła się na rękach Faith, najwyraźniej udzielił jej się niepokój matki. Faith szybko cmoknęła ją kilka razy w policzki i zaczęła stroić miny, aż wreszcie dziewczynka się uśmiechnęła. Will zdawał sobie sprawę, że jego partnerka robi to tylko na pokaz. Oczywiście miała pełne łez. Mocniej przytuliła niemowlę do piersi.

– Evelyn to twarda sztuka – odezwała się pani Levy. – Nie złamię jej.

Faith kołysała się z dzieckiem na rękach, tak jak to odruchowo robią matki.

– Niczego pani nie słyszała?

– Kochana, przecież wiesz, że gdybym coś usłyszała, zaraz bym tam wpadła z armatą. – Will wiedział, że to slangowe określenie broni palnej dużego kalibru. – Ev wyjdzie z tego cała i zdrowa. Ona zawsze

spada na cztery łapy. To pewne jak w banku.

– Ja tylko... – Głos Faith się załamał. – Gdybym dotarła tu szybciej albo... – Pokręciła głową. – Dlaczego do tego doszło? Wiesz, że mama nie była zamieszana w nic złego. Po co ktoś miałby ją porywać?

– Czasami, ni z tego, ni z owego, ludzie robią najrozmaitsze głupoty. – Staruszka nieznacznie wzruszyła ramionami. – Wiem tylko, że się zagryziesz na śmierć, jeżeli wciąż będziesz się zadrećzać tym, co by było gdyby. – Grzbietem palców dotknęła policzka Faith. – Z całego serca Bogu zaufaj, już on się o nią zatroszczy. „Nie polegaj na swoim rozsądku”<sup>1</sup>.

Faith uroczyście skinęła głową, chociaż Will nigdy nie sądził, że jest religijna.

– Dziękuję – powiedziała.

W korytarzu zastukały obcasy Amandy.

– Dłużej nie dam rady grać na zwłokę – zwróciła się do Faith. – Przed domem czeka radiowóz, zawiezie cię na posterunek. Postaraj się trzymać język za zębami i rób, co ci każe adwokat.

– Ja mogę się zaopiekować małą – zaproponowała pani Levy. – Nie musisz jej zabierać na ten obskurny komisariat, a Jeremy nie ma pojęcia, jak zmieniać pieluchy.

Widać było, że Faith chętnie skorzystałaby z propozycji, a mimo to próbowała się wykręcić.

– Nie wiem, jak długo mi tam zejdzie – powiedziała.

– Wiesz, że ze mnie jest nocny marek – odparła staruszka. – To żaden kłopot.

– Dziękuję pani. – Faith niechętnie podała córeczkę starowinie. Przygładziła gęste kasztanowe włosy Emmy i pocałowała ją w czubek głowy. Jej usta zastygły na kilka sekund na główce małej, a potem wyszła bez słowa.

Gdy tylko zamknęły się za nią drzwi wejściowe, Amanda od razu przeszła do rzeczy.

– Co macie? – rzuciła.

Pani Levy wyjęła zdjęcie spod fartucha.

– Evelyn często odwiedzał pewien mężczyzna – wyjaśnił Will.

Pani Levy miała dobrą pamięć: ten człowiek był łysy,

w workowatych dżinsach i wygniecionej koszuli z podwiniętymi rękawami. Zapomniała jedynie o dużo ważniejszym szczególe: że to Latynos. Tatuż na jego przedramieniu był niewyraźny, lecz Will bez trudu rozpoznał symbol przynależności do Los Mexicanos.

Amanda złożyła zdjęcie na pół i schowała do kieszeni żakietu.

– Czy mundurowi już z panią rozmawiali? – spytała panią Levy.

– Jestem pewna, że z czasem zabiorą się i za miłe staruszki.

– Zakładam, że jak zwykle będzie pani chętna do współpracy.

Pani Levy uśmiechnęła się.

– Nie bardzo wiem, co mogłabym im powiedzieć, ale upiekę świeże ciasteczka. A nuż jednak się zjawią.

Amanda roześmiała się.

– Uważaj na siebie, Roz.

Wychodząc z pokoju, skinęła ręką na Willa, żeby poszedł za nią.

Sięgnął po portfel, wyciągnął wizytówkę i podał ją pani Levy.

– Tu ma pani wszystkie numery do mnie. Proszę dzwonić, gdyby coś się pani przypomniało albo gdyby potrzebna była pani pomoc przy dziecku.

– Dziękuję, synu. – Jej głos stracił nieco z uprzejmości starszej pani, ale schowała wizytówkę do kieszeni fartucha.

Zanim Will dogonił Amandę, była już w połowie korytarza. Nie wspomniała słowem o zdjęciu, o stanie Faith ani o tym, jak licytowała się z Gearym, kto kogo bardziej wkurzy. Od razu zaczęła mu wydawać rozkazy.

– Masz przejrzeć wszystkie swoje akta ze śledztwa. – Nie musiała mu tłumaczyć, o które śledztwo jej chodzi. – Weź pod lupę zeznania świadków, raporty detektywów, łabędzi śpiew kapusiów z mamra, co do jednego. Chcę wiedzieć o nawet najbardziej duperelnych szczegółach. – Urwała. Will wiedział, że przypomniała sobie o jego kłopotach z czytaniem.

– Nie ma problemu – odparł spokojnie.

Ona jednak nie dała mu się wykręcić tak łatwo.

– Dorośnij, Will. Jeśli potrzebujesz pomocy, powiedz mi o tym teraz, żebym mogła coś zorganizować.

– Chcesz, żebym zabrał się za to od razu? Pudła z aktami mam

w domu.

– Nie. Najpierw musimy załatwić co innego. – Zatrzymała się w holu i podparła pod boki. Była szczupła, zadbana i Will przypominał sobie o jej niskim wzroście przeważnie dopiero wtedy, gdy widział, jak zadziera głowę, żeby na niego spojrzeć. – Kiedy Geary odstawiał swój napad szалу, udało mi się zdobyć trochę informacji. Ten Texicano za domem był łaskaw przedstawić nam się jako Ricardo, dzięki temu wielkiemu tatuazowi na plecach. Nazwiska jak dotąd nie znamy. Dwadzieścia kilka lat, jakiś metr osiemdziesiąt wzrostu, siedemdziesiąt siedem kilogramów. Azjata w sypialni miał około czterdziestki i był ciut niższy i chudszy od swojego latynoskiego kolesia. Podejrzewam, że nie był z tych stron. Może przysłali go tu specjalnie do tej roboty.

Will coś sobie przypomniał.

– Faith twierdziła, że mówił z akcentem z Południa – powiedział.

– To pomoże zawęzić krąg poszukiwań.

– Poza tym miał na sobie krzykliwą hawajską koszulę. To nie pasuje do gangstera.

– Dopiszemy to do listy jego zbrodni. – Zerknęła w głąb korytarza i z powrotem spojrzała na Willa. – Z tym Azjatą w pralni to też dziwna historia, o czym wiemy dzięki portfelowi znalezionemu w jego kieszeni. Hironobu Kwon, lat dziewiętnaście. Student pierwszego roku na Uniwersytecie Stanowym Georgii. Poza tym syn tutejszej nauczycielki, Miriam Kwon.

– Należy do jakiegoś gangu?

– Nic nam o tym nie wiadomo. Policja zgarnęła mamuszkę Kwon, zanim do niej dotarliśmy. Musimy ją odszukać jutro z samego rana i zobaczyć, czy coś wie. – Wycelowała palec w Willa. – Byle delikatnie. Na razie oficjalnie nie prowadzimy jeszcze tej sprawy. Dopóki nie uda mi się jej przejąć, zajmujemy się tym tylko we dwoje.

– Faith chyba uważa, że ci Texicanos czegoś szukali – powiedział Will. Próbował wyczytać coś z miny Amandy. Zazwyczaj oscylowała gdzieś między rozbawieniem a złością, teraz jednak nic nie wyrażała.

– Ricarda pobito na kwaśne jabłko. Przystawiono mu lufę do głowy. On tam niczego nie szukał, chciał tylko wyjść z tego cało. Powinniśmy

najpierw pogadać z Azjatami.

– To brzmi całkiem logicznie.

– Ale prowadzi do dużo większego problemu – ciągnął. – Potrafię zrozumieć Mexicanos, natomiast czego ci Azjaci chcieli od Evelyn? W co oni grają?

– Pytanie za milion dolarów.

– Evelyn dowodziła brygadą antynarkotykową – walnął prosto z mostu. – Handel narkotykami w Atlancie kontrolują Los Mexicanos. Już od dwudziestu lat.

– Robią to, bez dwóch zdań.

Willa ogarnęło znajome uczucie, że wali głową w mur. Amanda zawsze zwodziła go w ten sposób, jeśli dysponowała informacjami, którymi nie zamierzała się z nim dzielić. Tym razem było o tyle gorzej, że nie tylko mieszała mu w głowie – ochraniała starą przyjaciółkę.

Mimo wszystko próbował dalej.

– Powiedziałaś, że faceta w hawajskiej koszuli prawdopodobnie przysłali tu specjalnie do „tej roboty”. Co to za robota? Urowadzenie? Znalezienie czegoś, co Evelyn ukrywała w swoim domu?

– Moim zdaniem dzisiaj już nikt nie znajduje tego, czego szuka. – Zamilkła na chwilę, żeby dotarł do niego podtekst. – Charlie pomaga lokalnym glinom na miejscu zbrodni, ale nie są tak podatni na jego urok, jak bym sobie tego życzyła. Ma bardzo ograniczony dostęp do informacji i stale patrzy mu na ręce. Twierdzą, że udostępnią nam wyniki badań z laboratorium. Ale ja mam wątpliwości co do ich lekarza sądowego.

Mówiła o lekarzu sądowym hrabstwa Fulton.

– Przyjechał już? – spytał Will.

– Wciąż przeczesuje spalone mieszkanie w People's Town. – Cięcia budżetowe przetrzebiły biuro lekarza sądowego. Jeżeli w obrębie miasta dochodziło do więcej niż jednego poważnego przestępstwa w tym samym czasie, detektywi musieli się uzbroić w cierpliwość. – Chciałabym, żeby Pete się tym zajął.

Miała na myśli lekarza sądowego GBI.

– A nie mógłby zadzwonić tu i tam? – zasugerował Will.

– Wątpię – odparła. – Pete nie narzeka na nadmiar przyjaciół. Sam wiesz, jaki to dziwak. Przy nim nawet ty wydajesz się normalny. A Sara?

– Potrafi trzymać język za zębami.

– Wiem o tym, Will. Widziałam te wasze zaloty na ulicy. Chodziło mi o to, czy twoim zdaniem zna kogoś w biurze lekarza sądowego.

Wzruszył ramionami.

– Zapytaj ją – poleciła Amanda.

Will wątpił, żeby Sara ucieszyła się z jego telefonu, skinął jednak głową.

– A co z wyciągami z kart kredytowych Evelyn i billingami? – zapytał.

– Kazałam je ściągnąć.

– Czy ma GPS w samochodzie? Albo w telefonach?

Nie odpowiedziała mu wprost.

– Jak już mówiłam, korzystamy z nieformalnych dojeżdżeń. Nie do końca uczciwie.

– Przecież to, co powiedziałaś Geary’emu, to prawda. Zgodnie z jurysdykcją, śledztwa w sprawach narkotyków podlegają nam.

– Z faktu, że Evelyn kierowała brygadą antynarkotykową, wcale nie wynika, że ta historia ma coś wspólnego z narkotykami. O ile mi wiadomo, nie znaleziono dragów ani w domu, ani przy żadnym z zabitych.

– A ten zastrzelony Texicano, Ricardo? Z gangu powiązanego z narkotykami?

– Czysty przypadek.

– A co powiesz o żywym, dychającym i powiązanym z prochami Texicano, jeżdżącym czarnym cadillakiem, do którego Evelyn Mitchell bez skrupułów wsiadała i udawała się na przejażdżki?

Udała, że jest zaskoczona.

– Sądysz, że należy do gangu? – spytała.

– Na fotografii zauważyłem tatuaż. Od co najmniej czterech miesięcy Evelyn spotykała się z Texicano. – Will starał się złagodzić swój ton. – Jest od niej starszy. Na pewno stoi dużo wyżej

w hierarchii organizacji. Pani Levy twierdzi, że dziesięć dni temu jego wizyty stały się częstsze. Jeździli dokądś jego samochodem, przeważnie wyruszali o jedenastej, a wracali o drugiej.

I znów Amanda zlekceważyła jego argumenty i wysunęła własne.

– Zapuszkowałeś sześciu detektywów z brygady Evelyn. W zeszłym roku dwaj zostali zwolnieni warunkowo za dobre zachowanie. Obaj wynieśli się ze stanu... jeden do Kalifornii, drugi do Tennessee, i byli tam dziś po południu, kiedy porwano Evelyn. Dwaj siedzą w Valdosta, więzieniu stanowym o złagodzonej rygorze. Mają jeszcze cztery lata do odsiadki i zero widoków na warunkowe. Jeden przedawkował dragi i zmarł, co nazywam karmą ludzi myślących. Ostatni czeka w kolejce do tańca w Coastal.

Coastal, więzienie stanowe Georgii. Cela śmierci.

– Kogo zabił? – spytał Will z ociąganiem.

– Strażnika i współwięźnia. Udusił rękami faceta skazanego za gwałt... to akurat żadna strata... ale potem gołymi rękami zatłukł na śmierć strażnika. Jak twierdził, w obronie własnej.

– Bronił się przed strażnikiem?

– Gadasz jak prokurator na jego rozprawie.

Will nie dawał za wygraną.

– A Evelyn? – naciskał.

– Co ona ma do tego?

– Przeciwno niej również prowadziłem śledztwo.

– Nie da się ukryć.

– Ale przymykamy oko i udajemy, że nie ma sprawy?

– Nie ma sprawy? Na miłość boską, Will, popatrz na ten cały cyrk.

– Otworzyła drzwi frontowe. Światło słoneczne przecięło mrok w domu jak nożem.

Idąc przez trawnik na miejsce zbrodni, Amanda włożyła okulary przeciwsłoneczne. Do domu pani Levy szło dwóch mundurowych. Łypnęli spode łba na Willa i pozdrowili Amandę sztywnym skinieniem głowy.

– Najwyższy czas, żeby się wzięli do roboty – mruknęła do Willa, jakby to nie ona spowodowała tę zwłokę.

Zaczekał, aż mundurowi zaczną się dobijać do drzwi frontowych.

– Domyślam się, że znasz panią Levy z czasów, kiedy pracowałaś w policji miejskiej Atlanty? – odezwał się.

– Z GBI. Przesłuchiwałam ją jako podejrzaną o zabójstwo męża. – Wyraźnie napawała się jego przerażoną miną. – Nie zdołałam jej tego udowodnić, ale jestem pewna, że go otruła.

– Ciasteczkami? – domyślił się.

– Taka była moja robocza hipoteza. – Na jej ustach zaigrał pełen uznania uśmieszek, gdy brnęła przez trawę. – Roz to szczwana bestia. Widziała więcej zbrodni niż my wszyscy razem wzięci i nie wątpię, że przez cały czas robiła notatki. Na twoim miejscu nie wierzyłabym w połowę tego, co od niej usłyszałeś. Pamiętaj... Diabeł umie, gdy mu to potrzebne, cytować Pismo<sup>2</sup>.

Amanda miała rację, a raczej miał ją Szekspir. Mimo to Will nie omieszkał jej przypomnieć:

– To pani Levy powiedziała mi, że Evelyn odwiedza ten Texicano. I to ona zrobiła mu zdjęcie.

– Ano właśnie.

Will odebrał tę uwagę, jakby dała mu po łapach. Zważywszy, że staruszka ograniczała talent artystyczny głównie do niekorzystnych ujęć zwierząt domowych, wydawało się dziwne, że przypadkiem miała pod ręką zdjęcie Texicano, stojącego obok swojego czarnego cadillaca. Była kuta na cztery nogi. Szpiegowała go nie bez powodu.

– Powinniśmy wrócić i jeszcze raz z nią pogadać – zaproponował.

– Naprawdę sądzisz, że powie nam coś pożytecznego?

W duchu przyznał jej rację. Pani Levy najwyraźniej lubiła takie gierki, ale skoro Evelyn porwano, nie mieli na nie czasu.

– Czy Evelyn wiedziała, że ona zabiła męża? – spytał.

– Ależ oczywiście.

– I mimo to oddawała Emmę pod jej opiekę?

Dotarli do mini Faith. Amanda osłoniła oczy rękami i zajrzała przez szybę do środka.

– Roz zabiła sześćdziesięcioletniego, agresywnego alkoholika, a nie czteromiesięczne niemowlę – odparła.

Will domyślił się, że są na świecie ludzie, do których przemawia taka logika.



Amanda skierowała się do domu. Pod wiatą stał Charlie Reed i rozmawiał z grupką innych techników badających miejsce zbrodni. Niektórzy palili papierosy. Jeden z nich opierał się o maskę brązowego malibu zaparkowanego przodem do wyjazdu, nos w nos z mini Faith. Wszyscy mieli na sobie białe kombinezony ochronne Tyvek, w których wyglądali jak różnej wielkości zleżące cukierki ślazowe. Charliego od starannie ogolonych mężczyzn odróżniały jedynie podkrecone do góry wąsy. Na widok Amandy oderwał się od grupki.

– Oprowadź mnie, Charlie – poleciła.

Obejrzał się przez ramię na tęgiego, śniadego mężczyznę, którego tusza powodowała, że kombinezon ochronny niekorzystnie opinał się w strategicznych miejscach. Grubas jeszcze raz zaciągnął się papierosem, oddał go koledze, a następnie przedstawił się Amandzie; mówił z typowo brytyjskim akcentem.

– Doktor Wagner, jestem doktor Ahbidi Mittal.

Wskazała Willa.

– A to jest doktor Trent, mój współpracownik.

Will uściśnął tamtemu rękę, próbując nie okazywać obrzydzenia na łatwość, z jaką Amanda podała jego stopień naukowy, choć oboje doskonale wiedzieli, że uzyskał go w podejrzanej uczelni internetowej.

– Z uprzejmości zawodowej gotów jestem oprowadzić państwa po miejscu zbrodni – zaproponował Mittal.

Amanda posłała Charliemu kąśliwe spojrzenie, jakby miał coś do powiedzenia w tej sprawie.

– Dziękuję – odparł Will, wiedząc, że nikt się nie zdobędzie na podziękowania.

Mittal podał im po parze białych ochraniaczy na buty. Amanda wsparła się o ramię Willa, zrzuciła szpilki i włożyła ochraniacze na stopy w pończochach. Will musiał sobie radzić sam i podskakiwać na jednej nodze. Nawet bez butów miał za duże stopy, więc wyglądał jak pani Levy, której pięty wystawały z rannych pantofli.

– Proponuję zacząć stąd. – Mittal nie czekał, aż przyjmą jego zaproszenie. Obszedł malibu i zaprowadził ich do domu przez otwarte

wejście od kuchni. Will odruchowo schylił się, wchodząc do niskiego pomieszczenia. Charlie wpadł na niego od tyłu i wybąkał przeprosiny. Kuchnia, za ciasna dla czterech osób, miała kształt podkowy, która wychodziła na pralnię. Will poczuł wyraźny odór zardzewiałego żelaza, charakterystyczny dla krzepnącej krwi.

Faith miała rację – intruzi czegoś tu szukali. Dom przedstawiał obraz nędzy i rozpacz. Pod nogami walało się srebro stołowe oraz wyrzucone szuflady. W ścianach wyrąbano dziury. Na podłodze leżały telefon komórkowy i stary model blackberry, oba doszczętnie rozbite. Telefon ścienny zerwano i potłuczono. Pomijając czarny proszek do zbierania odcisków palców oraz żółte plastikowe znaczniki zostawione przez techników, wszystko wyglądało dokładnie tak, jak w chwili gdy Faith weszła do domu. Nawet zwłoki w pralni wciąż leżały na miejscu. Faith musiała być przerażona, nie wiedząc, co czai się za następnym rogiem, i pewnie umierała ze strachu, że jej matka jest ranna... albo że spotkał ją gorszy los.

Will powinien być tu razem z nią. A Faith powinna wiedzieć, że jest jej partnerem, którego może wezwać bez względu na okoliczności.

– Nie przystąpiłem jeszcze do pisania raportu, ale gotów jestem podzielić się moją roboczą hipotezą – oznajmił Mittal.

Amanda ponagliła go ruchem ręki.

– Niech mi pan powie, co macie.

Mittal nabzdyczył się, słysząc jej rozkazujący ton.

– Zakładam, że do przestępstwa doszło, kiedy kapitan Mitchell szykowała lunch – oświadczył. Na blacie leżały opakowania pieczeni na zimno i wędlin, obok noża i deski, na której Evelyn najwyraźniej kroila pomidory. Zlew zatykało foliowe opakowanie po pieczywie tostowym Wonder Bread, które już dawno wyskoczyło z tosterka. Cztery kromki. Evelyn pewnie wiedziała, że Faith po powrocie będzie musiała coś zjeść.

Normalny obrazek, nawet całkiem miły, gdyby nie fakt, że wszystko na blacie było zbryzgane albo upaćkane krwią. Toster, pieczywo, deska do krojenia. Ściekająca na podłogę krew utworzyła kałuże na terakocie. Na białej porcelanie widniały zachodzące na siebie czerwone odciski butów dwóch osób – znak, że doszło tu do

walki.

– Kapitan Mitchell, zaskoczona hałasem, zapewne brzękiem rozbijanego szkła w rozsuwanych drzwiach, prawdopodobnie zraniła się w palec nożem, którym kroїła pomidory – ciągnął Mittal.

– Coś za dużo tej krwi jak na zwykłe skaleczenie – zauważyła Amanda.

Widać było, że Mittal nie życzy sobie takich komentarzy. Przez chwilę milczał.

– Mała Emma zapewne była tutaj – podjął w końcu. Wskazał blat obok lodówki, na wprost miejsca, gdzie Evelyn szykowała lunch. – A tu znaleźliśmy kropelkę krwi. – Pokazał blat przy starym modelu odtwarzacza CD. – Ślady krwi prowadzą do komórki i z powrotem, więc najprawdopodobniej kapitan Mitchell, wychodząc z kuchni, krwawiła. Potwierdza to odcisk jej dłoni na drzwiach.

Amanda pokiwała głową.

– Evelyn słyszy hałas, więc chowa małą, żeby nic jej się nie stało, a potem wraca z rewolwerem.

– Na pewno owinęła skaleczone miejsce papierowym ręcznikiem, ale szybko przesiąkł. – Słowa Charliego popłynęły ciurkiem, jakby nie mógł dłużej utrzymać języka za zębami. – Zostawiła krew na drzwiach kuchni i na rękojeści smith & wessona.

– A co z fotelikiem do samochodu? – zapytał Will.

– Czysty – odparł Charlie. – Widocznie niosła go zdrową ręką. Są ślady krwi prowadzące od wiaty do komórki, w której ukryła Emmę, i z powrotem. To krew Evelyn. Ludzie Ahbidiego już ją oznaczyli, dzięki temu możemy wysnuć takie wnioski. – Zerknął na Mittala. – Wybacz, Ahbi, mam nadzieję, że nie wchodzę ci w paradę.

Mittal wielkopańskim gestem zatoczył ręką łuk, pozwalając mu kontynuować.

Will wiedział, że to jest to, co Reed najbardziej lubi w tej robocie. Charlie zamaszystym krokiem podszedł do otwartych drzwi, składając dłonie przed twarzą tak, jakby trzymał rewolwer.

– Evelyn wraca do domu – podjął. – Odwraca się, widzi faceta numer jeden zaczajonego w pralni i strzela mu w łeb. Siła rażenia obróciła go jak bączka. Tutaj widzicie ranę wylotową z tyłu jego

głowy. – Odwrócił się, unosząc ręce w klasycznej pozie Charliego Angela, która gwarantowała, że zarobi się kulkę w pierś. – Na to wchodzi facet numer dwa, prawdopodobnie stamtąd. – Wskazał na okienko łączące kuchnię z jadalnią. – Dochodzi do walki. Evelyn gubi broń. Widzicie?

Will spojrział w ślad za jego wyciągniętym palcem, na plastikowy marker na podłodze. Dopiero teraz, zasugerowany przez Charliego, zauważył ledwo widoczny, krwawy zarys rewolweru.

– Evelyn chwyta nóż z blatu. Jej krew jest na rączce, ale nie ma jej na ostrzu – ciągnął Charlie.

– Na nożu jest nie tylko jej krew? – przerwała mu Amanda.

– Właśnie. Z teczki osobowej Evelyn wynika, że ma grupę zero plus. Na ostrzu noża i tutaj, obok lodówki, znaleźliśmy krew B minus.

Wszyscy spojrzeli na kilkanaście wielkich okrągłych kropli krwi na podłodze.

– Ta krew tylko skapywała – wyjaśnił Mittal. – Nie doszło do uszkodzenia tętnic, inaczej mielibyśmy tu rozbryzgi. Wszystkie próbki wysłano do laboratorium na badanie DNA. Spodziewam się otrzymać wyniki za jakiś tydzień.

Na ustach Amandy, kiedy patrzyła na krew, zaigrał uśmiezek.

– Dzielna dziewczynka z naszej Ev. – W jej głosie zabrzmiała triumfalna nuta. – Czy któryś z zabitych miał grupę B minus?

Charlie znów zerknął na Mittala, a ten przyzwalająco skinął głową.

– Azjata w tej koszmarnej koszuli miał zero plus, ta grupa występuje powszechnie u ludzi wszystkich ras. To także grupa Evelyn. I moja. Facet, którego z powodu tatuażu nazywamy Ricardo, miał B minus, ale jest jedna zagwozdzka... na jego ciele nie ma ran kłutych. To znaczy, trochę krwawił. Torturowali go, to jasne. Ale krwi, którą tu widzimy, jest o wiele więcej niż...

– A więc gdzieś tam jest człowiek z raną kłutą i grupą krwi B minus – znów przerwała mu Amanda. – Jak rzadka jest ta grupa?

– W Stanach Zjednoczonych grupę B minus ma mniej niż dwa procent populacji białych, około jednego procenta Latynosów i zaledwie pół procenta Azjatów – wyjaśnił Charlie. – Krótko mówiąc, to niezwykle rzadka grupa krwi, a więc możliwe, że nasz martwy

Ricardo B minus jest spokrewniony z tym zaginionym i rannym B minus.

– Czyli szukamy rannego mężczyzny z grupą krwi B minus – podsumowała Amanda.

Choć raz Charlie ją wyprzedził.

– Rozesłałem już komunikat do wszystkich szpitali w promieniu ponad stu pięćdziesięciu kilometrów, żeby informowali o wszystkich przypadkach ran kłutych wśród kobiet i mężczyzn, białych, czarnych i pomarańczowych. W ciągu ostatnich trzydziestu minut wykluczyliśmy już trzy takie rany odniesione na skutek przemocy domowej. Nie zdawałem sobie sprawy, że ludzie tak często się dźgają.

Mittal odczekał chwilę, a upewniwszy się, że Charlie skończył, wskazał krew rozmazaną na podłodze.

– Te odciski butów wskazują na walkę między niską kobietą a mężczyzną średniego wzrostu, ważącym przypuszczalnie około siedemdziesięciu kilogramów. Zmiana barwy odcisku od jasnej do ciemnej mówi nam o rotacji śródstopia, czyli supinacji.

Amanda przerwała mu ten wykład.

– Wróćmy do rany kłutej – powiedziała. – Czy była śmiertelna?

Mittal wzruszył ramionami.

– Opinię na ten temat wyda pani biuro lekarza sądowego. Jak już mówiłem, nie ma rozbryzgów krwi na ścianach ani suficie, dlatego zakładamy, że nie doszło do uszkodzenia żadnej tętnicy. A zatem te krople mogą pochodzić z urazu głowy, powodującego znaczny krwotok przy minimalnym uszczerbku dla zdrowia. – Spojrzał na Charliego. – Zgodzi się pan ze mną?

Charlie przytaknął ruchem głowy, lecz dodał:

– W ten sposób mogłaby też krwawić rana brzucha. Nie jestem pewien, jak długo można by z nią żyć. Jeśli wierzyć filmom, niedługo. Gdyby miał przebite płuco, zostałaby mu góra godzina, a potem by się udusił. Nie ma ani śladu tryskania krwi tętniczej, czyli że krew sączyła się z rany. Nie podważam możliwości rany głowy, o której mówił doktor Mittal... – Wzruszył ramionami, po czym jednak się z nim nie zgodził. – Ostrze noża było zakrwawione od czubka po rękojeść, co świadczyłoby o tym, że nóż cały zagłębił się w ciało. –

Jednak widząc marsową minę Mittala, wycofał się czym prędzej. – Z drugiej strony, możliwe, że ofiara chwyciła za nóż, skaleczyła się w rękę, a krew spłynęła na całe ostrze. – Wyciągnął otwartą dłoń. – W takim razie ten z grupą B minus miałby też ranę dłoni.

Amanda nigdy nie pojmowała wieloznaczności wyników badań na miejscu zbrodni. Woląca sprowadzać je do konkretów.

– A więc łajdak B minus walczy z Evelyn – podsumowała. – Na to pojawia się pewnie drugi łotr, Azjata w hawajskiej koszuli, który potem pada trupem w sypialni. Udało im się poskromić Evelyn i odebrać jej broń. Jest jeszcze trzeci, Ricardo, który najpierw był zakładnikiem, później strzelał, a w końcu, dzięki szybkiej reakcji agentki Mitchell, zginął, zanim zdołał kogoś skrzywdzić. – Odwróciła się do Willa. – Idę o zakład, że Ricardo maczał w tym palce, pal licho, czy był torturowany, czy nie. Udawał zakładnika, żeby wywrzeć nacisk na Faith.

Mittalowi wyraźnie nie podobał się jej kategoryczny ton.

– To tylko interpretacja – zastrzegł się.

Charlie spróbował załagodzić sytuację.

– Istnieje również możliwość, że...

Rozległ się dźwięk przypominający huk tropikalnego wodospadu. Mittal rozpiął kombinezon ochronny, pogrzebał w kieszeniach spodni i wyciągnął komórkę.

– Przepraszam na moment – rzucił, po czym wrócił do garażu.

– Jakież konkrety? – zwróciła się Amanda do Charliego.

– Nie dopuszczają mnie do wszystkiego, ale jak dotąd nie mam powodu nie zgadzać się z tym, co mówił Ahbi.

– Więc?

– Nie chciałbym wyjść na rasistę, ale nieczęsto się zdarza, żeby Meksykanie współpracowali z Azjatami – zaczął Charlie. – Zwłaszcza Los Mexicanos.

– Młodsze pokolenie nie ma tego rodzaju uprzedzeń – wtrącił się Will, choć wątpił, czy posuwa to sprawę do przodu.

Amanda zignorowała obie uwagi.

– Coś jeszcze? – spytała.

– Lista obok telefonu. – Charlie wskazał żółtą kartkę zapisaną

nazwiskami i numerami. – Pozwoliłem sobie zadzwonić do Zeke’a. Zostawiłem mu wiadomość, żeby się z panią skontaktował.

Amanda spojrzała na zegarek.

– A co z resztą domu? Technicy coś znaleźli?

– Nic mi o tym nie mówili. Ahbi nie jest jawnie niegrzeczny, ale sam z siebie o niczym mnie nie informuje. – Charlie zamilkł na chwilę, po czym dodał: – Wydaje się oczywiste, że tamci nie znaleźli tego, czego szukali, inaczej wynieśliby się, gdy tylko Faith zajechała przed dom.

– A my organizowalibyśmy teraz pogrzeb Evelyn. – Amanda nie rozwodziła się nad tą ewentualnością. – Ciekawe, czego tu szukali... Twoim zdaniem, jakiej wielkości mógł być ten tajemniczy przedmiot?

– Trudno powiedzieć – przyznał Charlie. – Najwyraźniej szukali wszędzie... w szufladach, szafach, poduszkach. Pocięli materace na łóżkach, rozbili zabawki dziecka. Z ich działań przebija wściekłość.

– Ilu ich było?

– Przepraszam, doktor Wagner. – Mittal wrócił do pokoju. Schował telefon do kieszeni spodni, ale nie zapiął białego kombinezonu. – Dzwonił lekarz sądowy. Zatrzymało go odkrycie jeszcze jednych zwłok w spalonym mieszkaniu. Jak brzmiało pani pytanie?

Wyreczył ją Charlie, czując, że jej ton mógłby doprowadzić do tego, że ich stamtąd wywalą.

– Pytała, ilu ludzi przeszukiwało dom, pańskim zdaniem.

Mittal pokiwał głową.

– Zaryzykowałbym twierdzenie, że trzech albo czterech.

Will zobaczył, że Amanda krzywi się z niesmakiem. Musiało ich być więcej niż trzech, inaczej oznaczałoby to, że wszyscy podejrzani nie żyją, a Evelyn Mitchell uprowadziła się sama.

– Nie nosili rękawiczek – ciągnął Mittal. – Zapewne sądzili, że kapitan Mitchell podda się bez walki. – Amanda parsknęła śmiechem, co Mittal skwitował wypracowanym przez lata milczeniem. – Zdjęliśmy odciski palców z większości przedmiotów i oczywiście prześlemy je do GBI.

– Dzwoniłem już do laboratorium – oznajmił Charlie. – Dwóch naszych techników jest w drodze, zrobią zapis cyfrowy i wrzucą go do

naszej bazy danych. A wtedy raz-dwa dowiemy się, czy mamy ich w systemie.

Amanda wskazała na kuchnię.

– Od tego miejsca zaczęli poszukiwania, kiedy już obezwładnili Evelyn. Zagląдали do szuflad, a więc szukali czegoś, co może zmieścić się w szufladzie. – Spojrzała na Charliego, a potem na Mittala. – Jakież ślady opon? Odciski butów?

– Nic, co by się przydało. – Mittal podszedł do kuchennego okna i zaczął wskazywać to, co już sprawdzono za domem. Will tymczasem oglądał połamane płyty kompaktowe na podłodze. Beatlesi. Sinatra. Nie zauważył AC/DC. Odtwarzacz w białej plastikowej obudowie był utyłłany czarnym proszkiem do zbierania odcisków palców. Will nacisnął kciukiem klawisz wyrzucający płytę. Szuflada była pusta.

Znowu usłyszał głos Amandy:

– Gdzie przetrzymywali Evelyn, kiedy przeszukiwali dom?

Mittal ruszył w kierunku salonu. Charlie i Amanda poszli za nim przez pobjowisko, a Will zamykał pochód. Rozkład pomieszczeń w domu był taki sam jak u pani Levy, pomijając obniżony salon. Ścianę na wprost kanapy i fotela z odchylanym oparciem zajmowały półki z książkami oraz mały telewizor plazmowy; pośrodku widniał szeroki na trzydzieści centymetrów prześwit. Większość książek wałała się na podłodze. Kanapę i krzesła wybebeszono, ramy połamano. Na półce obok telewizora stał staroświecki sprzęt stereo, z gramofonem, tyle że głośniki były pocięte, a ramię gramofonu wyrwane. Niewielki stos winyli najwyraźniej został przez kogoś potraktowany twardym obcasem.

Wyglądało na to, że jedynym nietkniętym przedmiotem w pokoju jest stojące pod ścianą krzesło w stylu Thoneta, z giętego drewna. Tapicerowane siedzenie, podrapane nogi. Mittal wskazał miejsca, w których zdarto lakier.

– Zdaje się, że użyli taśmy izolacyjnej – powiedział. – Znalazłem ślady kleju tam, gdzie mogły być nogi kapitan Mitchell. – Podniósł krzesło i odsunął je od ściany. Obok ciemnej plamy położono żółty plastikowy marker z numerem. – Plamy krwi na wykładzinie pozwalają wnioskować, że ręce kapitan Mitchell zwisały. Skaleczony



palec wciąż krwawił, ale to bez znaczenia. Mój kolega zapewne ma rację, twierdząc, że owinęła ranę papierowym ręcznikiem.

Amanda schyliła się, żeby się przyjrzeć plamie krwi, ale Willa bardziej interesowało krzesło. Evelyn miała ręce związane na plecach. Przechylił nogą krzesło do przodu, chcąc od spodu obejrzeć tapicerkę siedzenia. Zobaczył znak – wymalowany krwią grot strzały.

Rozejrzał się po pokoju, próbując odgadnąć, na co wskazywała strzałka. Kanapa naprzeciwko krzesła została wybebeszona, podobnie jak stojący obok fotel. Goła podłoga z twardego drewna – a więc niczego nie ukryto pod dywanem. Czyżby Evelyn wskazywała coś na podwórku za domem?

Usłyszał syknięcie przez zęby. Spojrzał w górę, zobaczył, że Amanda przeszywa go wściekłym wzrokiem, więc niewiele myśląc, cofnął stopę i krzesło opadło na miejsce. Szefowa ledwie dostrzegalnie pokręciła głową na znak, że ma trzymać gębę na kłódkę. Zerknął na Charliego. On również dostrzegł strzałkę pod krzesłem, a tymczasem niczego nieświadomy Mittal z godną poety elokwencją rozprawiał o różnicach w skuteczności zbierania odcisków palców z powierzchni gładkich i porowatych.

Charlie otworzył usta i już miał się odezwać, lecz Amanda nie dopuściła go do głosu.

– Doktorze, czy pańskim zdaniem szklane drzwi rozbito czymś, co znaleziono na miejscu, na przykład kamieniem albo jakąś ozdobą z ogrodu? – zwróciła się do Mittala, piorunując Charliego wzrokiem. Will pomyślał, że gdyby jego szefowa potrafiła strzelać z oczu laserami, zasznurowałaby usta Charliemu na amen. – Zastanawiam się, na ile dokładnie zaplanowali ten atak. Czy wzięli ze sobą coś do stłuczenia szkła? Czy otoczyli dom? A jeśli tak, to czy znali zawczasu rozkład tej posesji?

Mittal skrzywił się; na żadne z tych pytań nie potrafił udzielić odpowiedzi.

– Doktor Wagner, rozważanie takich scenariuszy nie leży w gestii medycyny sądowej.

– Więc pokombinujemy sami, zobaczymy, co nam z tego wyjdzie. Czy szkło rozbito cegłą?

Charlie pokręcił głową. Will zrozumiał, że targa nim konflikt wewnętrzny. Czy się to komuś podobało, czy nie, miejsce zbrodni podlegało Mittalowi, który przegapił znajdujący się pod krzesłem dowód rzeczowy... być może niezwykle ważny. Charlie wyraźnie czuł się rozdarty. Mając do czynienia z Amandą, zazwyczaj musiał wybierać między tym, jak należało postąpić, a tym, co mu kazała. Każda z tych decyzji pociągała za sobą konsekwencje.

Mittal również kręcił głową, ale to dlatego, że Amanda plotła od rzeczy.

– Doktor Wagner, przeszukaliśmy każdy centymetr kwadratowy miejsca zbrodni i zapewniam, że nie znaleźliśmy żadnych istotnych śladów poza tymi, o których już wspomniałem.

Will doskonale wiedział, że nie sprawdzili każdego centymetra kwadratowego.

– Czy ktoś zbadał malibu? – zapytał.

Pytanie oderwało myśli Charliego od kłopotów. Zmarszczył czoło. Will popełnił ten sam błąd z mini Faith. Do przemocy doszło wewnątrz domu, mimo to samochody również stanowiły część miejsca zbrodni.

Pierwsza ruszyła się Amanda. Podeszła do wiaty i otworzyła drzwi malibu od strony kierowcy, zanim ktoś wpadł na pomysł, żeby ją spytać, co robi.

– Przepraszam, jeszcze nie skończyliśmy... – bąknął Mittal.

Zmiażdżyła go wzrokiem.

– Wpadliście na to, żeby zajrzeć do bagażnika? – warknęła.

Za odpowiedź wystarczyło jego osłupiałe milczenie. Amanda otworzyła bagażnik. Will, stojąc w drzwiach kuchni, mógł obserwować wszystko z góry. W bagażniku leżało kilka plastikowych reklamówek ze spożywczego; ich zawartość przygniatało leżące na wierzchu ciało. Podobnie jak w kuchni, także i tu wszystko spływało krwią, która wsiąkała w pudełko płatków śniadaniowych i ściekała po foliowym opakowaniu z hamburgerami. To były zwłoki wielkiego faceta, musieli go zgiąć wpół, żeby się zmieścił do środka. Głęboka rana łysej czaszki odsłaniała odłamki kości i fragmenty mózgu. Miał marszczone dzinsy. Podwinięte rękawy koszuli ukazywały tatuaż Los

Texicanos na przedramieniu.  
Amant Evelyn.

## Rozdział 4

Więzienie stanowe Coastal znajduje się w Jackson, mniej więcej godzinę jazdy na południe od Atlanty. Zwykle bez problemu docierało się tam autostradą międzystanową I-75, teraz jednak drogówka zorganizowała akurat jakieś pokazy, przez co samochody wlokły się w żółwym tempie. Niezrażona tym Amanda szarpała ostro kierownicą, co chwila zjeżdżając na pobocze, żeby wyminąć grupki ślamazarnych pojazdów, i wracając na szosę. Koła SUV-a brzdąkały, ocierając się o tarkę, mającą powstrzymać kierowców przed zjechaniem z drogi. Will poczuł, że hałas w połączeniu z wibracjami niespodziewanie przyprawił go o chorobę lokomocyjną.

W końcu przebili się przez największy korek. Przed zjazdem z autostrady Amanda po raz ostatni zapuściła się na pobocze i wróciła na szosę. Koła zabuksowały. Zatrzęsa się karoseria. Will opuścił szybę i zaczerpnął świeżego powietrza, żeby uspokoić żołądek. Wiatr smagnął jego twarz z taką siłą, że poczuł, jak marszczy mu się skóra.

Amanda westchnęła głęboko, nie odrywając wzroku od szosy. Jedną rękę trzymała swobodnie na kolanie, drugą mocno ścisnęła kierownicę. Jej strój tradycyjnie podkreślał władzę – jasnoniebieska spódnica i taki sam żakiet, a pod nim jasna bluzka. Buty na wysokim obcasie były w dokładnie tym samym odcieniu co garsonka. Paznokcie miała krótko obcięte, ale starannie wypielęgnowane. Fryzura w kolorze soli z pieprzem jak zwykle przypominała hełm. Amanda przeważnie prezentowała więcej energii niż wszyscy mężczyźni z jej zespołu razem wzięci. Teraz wydawała się zmęczona. Will zauważył, że zmarszczki pod jej oczami są głębsze niż zwykle.

– Opowiedz mi o Spiveyu – poleciła.

Spróbował wrócić myślami do starego śledztwa, które prowadził przeciwko ekipie Evelyn Mitchell. Boyd Spivey, były główny detektyw brygady antynarkotykowej, obecnie czekał na swoją kolej w celi śmierci. Will rozmawiał z nim tylko raz, później adwokaci poradzili Spiveyowi, żeby trzymał język za zębami.

– Jestem skłonny uwierzyć, że zatłukł kogoś na śmierć gołymi

rękami. To był wielki facet, wyższy ode mnie, cięższy o dwadzieścia parę kilogramów i składał się z samych mięśni.

– Pakował na siłowni?

– Moim zdaniem jechał na sterydach.

– Jak to się objawiało?

– Wybuchami niepohamowanej wściekłości – przypomniał sobie Will. – Nie jest taki cwany, jak mu się zdaje, ale może ja też nie jestem, skoro nie udało mi się go nakłonić, żeby się przyznał.

– Przecież to ty wpakowałeś go za kratki.

– Sam się wpakował. Miał spłacony dom w mieście. I domek nad jeziorem, też spłacony. Trójkę dzieciaków posłał do prywatnych szkół. Jego żona pracowała raptem dziesięć godzin tygodniowo, a woziła się najdroższym modelem mercedesa. Kochanka miała bmw. Na jej podjeździe trzymał swoje nowusieńkie porsche dziewięćset jedenaście.

– Mężczyźni i te ich samochody – mruknęła. – Na mój gust nie wygląda na cwaniaka.

– Nie spodziewał się, że ktoś się tym zainteresuje.

– Oni nigdy się nie spodziewają.

– Spivey potrafił trzymać język za zębami.

– Jeśli dobrze pamiętam, każdy z nich potrafił.

Miała rację. Typowa strategia w sprawach o korupcję polega na znalezieniu najłabszego ogniwa i przekonania go do wydania reszty spiskowców w zamian za łagodniejszy wyrok. Sześciu detektywów z brygady antynarkotykowej Evelyn Mitchell okazało się odpornych na tę metodę. Żaden nie chciał wsypać pozostałych i wszyscy jak jeden mąż twierdzili, że kapitan Mitchell nie miała nic wspólnego z ich rzekomymi przestępstwami. Wychodzili ze skóry, byleby chronić szefową. Było to godne podziwu, a zarazem cholernie irytujące.

– Spivey pracował w brygadzie Evelyn dwanaście lat... dłużej niż ktokolwiek z nich – rzekł Will.

– Ufała mu.

– Owszem – przytaknęła. – Dobrali się jak w korcu maku.

Amanda zmierzyła go ostrym spojrzeniem.

– Licz się ze słowami.

Will zacisnął zęby tak mocno, że rozbolała go szczęka. Nie mógł zrozumieć, co zyskają na ignorowaniu najważniejszej części tamtego śledztwa. Amanda równie dobrze jak on wiedziała, że jej przyjaciółka była umoczniona po uszy. Evelyn nie żyła wprawdzie na wysokiej stopie, ale podobnie jak Spivey, na swój sposób również wykazała się głupotą.

Ojciec Faith, makler ubezpieczeniowy solidnie zakorzeniony w klasie średniej, miał długi takie jak większość ludzi: raty za samochód, hipotekę, karty kredytowe. A jednak w trakcie śledztwa Will wykrył założone w innym stanie konto na nazwisko Billa Mitchella, który wówczas nie żył już od sześciu lat. Saldo rachunku oscylowało wokół dziesięciu tysięcy dolarów, ale po śmierci Mitchella co miesiąc dokonywano wpłat, w sumie na niemal sześćdziesiąt tysięcy dolarów. Niewątpliwie konto służyło do ukrywania dochodów, co prokuratorzy traktują jako niezbity dowód winy. A skoro Bill nie żył, jedynym dysponentem była Evelyn. Wypłacane pieniądze zasilały jej kartę płatniczą w oddziale banku w Atlancie. Ktoś w celu ograniczenia ryzyka lokował pieniądze na różnych rachunkach, w dodatku pilnując, żeby wpłaty nigdy nie przekraczały kwoty, powyżej której w Departamencie Bezpieczeństwa Krajowego biją na alarm. I na pewno nie był to zmarły małżonek Evelyn.

Z tego, co wiedział Will, Evelyn Mitchell nigdy nie zapytano o to konto. Sądził, że temat wypłynie w trakcie procesu, tyle że ona nie stanęła przed sądem. Zwołała konferencję prasową, na której ogłosiła, że przechodzi na emeryturę... i było po sprawie.

Aż do teraz.

Amanda opuściła osłonę przeciwsłoneczną. Trzymała za nią dwa żółte kwity, na oko z pralni chemicznej. Ostre światło działało na jej niekorzyść. Nie wydawała się już zmęczona, wyglądała, jakby padała z nóg.

– Coś cię gryzie – rzuciła.

Pohamował się, żeby nie odciąć się najbardziej sarkastycznym „Co ty powiesz?” w historii ludzkości.

– Nie o tym mówię – dodała, jakby potrafiła czytać w jego myślach.

– Faith nie zadzwoniła do ciebie po pomoc, bo wiedziała, że to, co

zamierza zrobić, jest złe.

Will wyrzwał przez okno.

– A ty byś ją zmusił, żeby zaczekała na wsparcie – ciągnęła Amanda.

Nienawidził siebie za to, że jej słowa sprawiły mu ulgę.

– Zawsze była uparta jak osioł – orzekła.

Uznał, że musi zaprotestować.

– Ona nie zrobiła nic złego – powiedział.

– To rozumiem – pochwaliła go.

Patrzył, jak drzewa wzdłuż autostrady zlewają się w morze zieleni.

– Myślisz, że zażądatają okupu? – zapytał.

– Mam nadzieję. – Oboje wiedzieli, że żądanie okupu świadczy o tym, że zakładnik żyje; w każdym razie pozwalało domagać się dowodu na to, że nie zginął.

– To mi wygląda na porachunki osobiste – oświadczył.

– Dlaczego?

Pokręcił głową.

– Chodzi mi o tę demolkę w domu. Jest w niej jakieś szaleństwo, furia – wyjaśnił.

– Nie wyobrażam sobie, żeby starsza pani siedziała i spokojnie przyglądała się, jak grzebią w jej rzeczach.

– Pewnie masz rację – przyznał. Evelyn Mitchell nie była Amandą Wagner, a jednak bez trudu potrafił sobie wyobrazić, jak szydziła z ludzi rozwalających jej dom. To nie z powodu uprzejmości jako jedna z pierwszych kobiet została kapitanem policji w Atlancie. – Najwyraźniej szukali pieniędzy.

– Skąd taki wniosek?

– Małże... ostatnie słowo Ricarda, jakie wypowiedział do Faith przed śmiercią. Mówiłaś, że po hiszpańsku to slangowe określenie pieniędzy. Czyli że właśnie tego szukali.

– W szufladzie ze sztucami?

Kolejna celna uwaga. Gotówka ma niewątpliwy urok, ale jest nieporęczna. Ilość, dla której warto by uprowadzić była panią kapitanem policji, zajęłaby kilka szuflad na sztuce.

– Strzałka wskazywała na podwórko za domem – powiedział.

– Jaka strzałka?

Will zdusił jęk. Zazwyczaj Amanda była bardziej subtelna.

– Strzałka wymalowana krwią Evelyn pod krzesłem, do którego ją przywiązano taśmą. Wiem, że ją widziałeś. Syknełaś na mnie jak sprężarka.

– Powinieneś popracować nad swoimi metaforami. – Zamilkła na sekundkę, prawdopodobnie obmyślając najbardziej pokrętny sposób, żeby go wyprowadzić w pole. – Uważasz, że Evelyn zakopła skarb w swoim ogródku?

Musiał przyznać, że to mało prawdopodobne, zwłaszcza że wszyscy sąsiedzi, głównie emeryci, mieli doskonały widok na ogródek Mitchellów i aż nadto czasu na podglądanie. Poza tym nie potrafił sobie wyobrazić matki Faith wychodzącej w środku nocy, z łopata i latarką w ręku. Z drugiej strony, nie mogła wpłacić tych pieniędzy do banku.

– Skrzynka depozytowa – zaryzykował. – Może szukali klucza.

– Żeby się do niej dostać, Evelyn musiałyby osobiście pójść do banku. Porównaliby w komputerze jej podpis, poprosili o dokument tożsamości. A nasz porywacz niewątpliwie zdawał sobie sprawę, że natychmiast po porwaniu jej zdjęcia ukażą się we wszystkich stacjach telewizyjnych.

Will w duchu przyznał jej rację. Poza tym wciąż pozostawałby ten sam problem. Tak wiele gotówki zajmuje dużo miejsca. Brylanty i złoto nadają się dla Hollywood. W prawdziwym życiu za skradzione precjoza dostaje się marne grosze.

– A co powiesz o miejscu zbrodni? – spytała. – Sądysz, że Charlie dobrze je opisał?

Will wszedł w rolę adwokata.

– Głównie mówił Mittal – zauważył.

– No dobra, uratowałeś tyłek Charliego. A teraz odpowiedz mi na pytanie.

– Ten członek Los Mexicanos w bagażniku malibu, absztyfikant Evelyn. On nam wszystko wywraca do góry nogami.

Skinęła głową.

– Nie miał rany kłutej. Zginął od strzału w głowę, a poza tym ma



grupę krwi B plus. Czyli wciąż gdzieś tam się kręci nasz B minus, ten paskudnie poharatany.

– Nie to miałem na myśli. – Pohamował się, żeby nie dodać: „I świetnie o tym wiesz”. – Amanda nie tylko wiązała mu ręce. Zakładała mu opaskę na oczy i prowadziła na skraj przepaści. Nie potwierdzając niechlubnej przeszłości Evelyn i odmawiając wszelkich rozmów na ten temat, nie dość, że nie pomagała Faith, to wręcz gwarantowała, że matka jej agentki za cholere nie wróci w jednym kawałku. Evelyn robiła w narkotykach. Nie ulegało wątpliwości, że utrzymywała niemal codzienny kontakt z wysoko postawionym członkiem Los Mexicanos, gangu nadzorującego handel narkotykami w Atlancie. Will i Amanda powinni wrócić do miasta, gadać z różnymi grupami gangu i składać do kupy ostatnie tygodnie życia Evelyn, a nie telepać się na darmo do faceta, który nie miał nic do stracenia i słyszał z tego, że uparcie odmawia zeznań.

– No już, doktorze Trent. Nie zmuszaj mnie, żebym wyciągała to z ciebie po kawałku – zadrwiła Amanda.

Will jeszcze przez kilka sekund zmagął się z własnym ego.

– Ten adorator Evelyn – powiedział w końcu. – Nie miał przy sobie portfela. Ani żadnego dowodu tożsamości czy pieniędzy. W jego kieszeniach był tylko klucz do malibu Evelyn. Widocznie mu go dała.

– Mów dalej.

– Szykowała lunch dla dwóch osób. W tosterze były cztery kromki chleba. Faith się spóźniła. Evelyn nie wiedziała, o której wróci córka, ale zakładała, że Faith zadzwoni, kiedy już będzie w drodze. W bagażniku malibu znaleziono zakupy ze sklepu spożywczego Krogera. Według paragonu Evelyn zapłaciła za nie kartą debetową o dwunastej zero dwie. Wysłała swojego adoratora, żeby je przyniósł, a sama zajęła się lunchem.

Amanda uśmiechnęła się.

– Często zapominam, jaki jesteś mądry, i dopiero w sytuacjach takich jak ta uświadamiam sobie, dlaczego cię zatrudniłam.

Will puścił ten dwuznaczny komplement mimo uszu.

– A więc Evelyn szykuje lunch. Zaczyna się zastanawiać, gdzie się podział jej adorator. Wychodzi i w bagażniku znajduje jego zwłoki.

Bierze Emily i szybko ukrywa ją w komórce. Gdyby ją zabrała po tym, jak skaleczyła się w dłoń, co sugerował doktor Mittal, na foteliku z auta znaleźlibyśmy krew. Evelyn jest silna, ale to nie Herkules. Fotelik samochodowy nawet bez dziecka jest dosyć ciężki. Nie dałaby rady podnieść czegoś takiego z blatu jedną ręką, musiałyby go podtrzymać od spodu drugą. Emma jest mała, ale swoje waży.

– Evelyn spędziła w komórce trochę czasu – dorzuciła Amanda. – Przenosiła koce, ale nie ma na nich śladów krwi. Kręciła pokrętłami zamka szyfrowego w sejfie. Na nich też nie ma krwi. Również podłoga jest czysta. Evelyn zaczęła krwawić dopiero po zamknięciu komórki.

– Nie jestem ekspertem od wypadków przy pracy w kuchni, ale krojąc coś, zwykle nie kaleczymy się w serdeczny palec. Przeważnie w kciuk albo w palec wskazujący.

– I znów celna uwaga. – Amanda zerknęła w lusterko wsteczne, po czym zmieniła pas ruchu. – No dobra, a co robiła potem?

– To, co mówiłaś. Ukrywa dziecko, potem wyjmuję rewolwer z sejfu, wraca do domu i strzela do Kwona, który zasadził się na nią w pralni. Następnie obezwładnia ją drugi facet, prawdopodobnie nasz tajemniczy B minus. Podczas szamotaniny Evelyn gubi broń. Dźga gościa B minus nożem, ale jest jeszcze trzeci, ten w hawajskiej koszuli, który podnosi rewolwer Evelyn z podłogi i przerywa walkę. Pyta, gdzie jest to, po co przyszli. Ona odsyła ich do diabła. Więc przywiązują ją taśmą izolacyjną do krzesła, a sami przeszukują dom.

– To całkiem prawdopodobne – przyznała.

Raczej zagmatwane. Podejrzanych było tak wieku, że Will tracił rachubę. Dwaj Azjaci, jeden, a prawdopodobnie dwóch Latynosów... i może jeszcze mężczyzna nie wiadomo jakiej rasy... którzy szukali w domu Bóg wie czego, a do tego zaginiona sześćdziesięcioletnia emerytowana policjantka z workiem tajemnic.

Nasuwało się też poważniejsze pytanie, ale Will był za mądry, żeby się z nim wychylać: dlaczego Evelyn nie wezwała pomocy? O ile wiedział, miała przynajmniej dwie okazje, żeby zadzwonić po pomoc albo uciec – od razu po usłyszeniu hałasu oraz po tym, jak zastrzeliła w pralni Hironobu Kwona. A mimo to została na miejscu.

– O czym tak myślisz?

Wiedział, że szczerą odpowiedź byłaby błędem.

– Zastanawiam się, w jaki sposób wywieźli ją z domu tak, że nikt nic nie zauważył – odparł.

– Ty wciąż zakładasz, że Roz Levy niczego nie ukrywa – rzekła Amanda.

– A co, uważasz, że jest w to zamieszana?

– Uważam, że to cwana raszpla, które nie naszczałaby na ciebie, nawet gdybyś się zajął ogniem.

Sądząc z jadu w jej tonie, z doświadczenia wiedziała, o czym mówi.

– Oni nie działali pod wpływem chwili – ciągnęła Amanda. – To było zaplanowane. Nie przyjeźli tam pieszo. Gdzieś na pewno stał jakiś samochód, może furgonetka. Od Little John Trail odchodzi zakręcająca alejka. Dostali się nią od tyłu, na podwórze za domem Evelyn. Wystarczy pójść wzdłuż siatki między sąsiednimi posesjami i w dwie minuty jest się na miejscu.

– Jak sądzisz, ilu ich w sumie było?

– Zastaliśmy trzy trupy. Do tego dochodzi ten z grupą krwi B minus i co najmniej jeden krzepki facet. Nie ma mowy, żeby Evelyn dała się wywieźć bez walki. Prędzej zaryzykowałyby, że ją zastrzelą. Musieli mieć kogoś na tyle silnego, żeby zdołał ją związać albo obezwładnić.

Will nie dodał, że równie dobrze mogli ją ranić bądź zabić i pozbyć się zwłok.

– Dowiemy się, kiedy sprawdzimy odciski palców – powiedział. – Każdy z nich na pewno czegoś dotykał.

Nagle Amanda zmieniła temat.

– Czy kiedykolwiek rozmawialiście z Faith o śledztwie, które prowadziłeś przeciwko jej matce?

– Właściwie nie. Nie powiedziałem jej o tym konczie w banku, bo nie widziałem powodu. Ona uważa, że się myliłem. Wielu tak sądzi. Ta sprawa nigdy nie trafiła do sądu. Evelyn odeszła, zachowując pełne uprawnienia emerytalne. Nietrudno wyciągnąć z tego prawidłowe wnioski.

Pokiwała głową, jakby się z nim zgadzała.

– Pogadajmy o tym facecie w bagażniku. Tym, którego nazywasz

adoratorem Evelyn – zaproponowała.

– Fakt, że kazała mu przynieść zakupy, świadczy o łączącej ich zażyłości.

– To całkiem możliwe.

Will zastanowił się nad tym facetem. Gość zarobił kulkę w tył głowy. Brakowało przy nim nie tylko portfela i dokumentu tożsamości. Nie miał telefonu komórkowego. Ani wielkiego złotego zegarka, który nosił na zdjęciu zrobionym przez panią Levy. Ubranie nic o nim nie mówiło – niki z wkładkami ortopedycznymi Scholla, dżinsy J. Crew oraz koszula marki Banana Republic, która niewątpliwie kosztowała kupę forsy, skoro nawet nie wymagała prasowania. Wśród czarnego zarostu w postaci koziej bródki srebrzyła się pierwsza siwizna. Szczecina na jego świecącej czaszce dowodziła, że goli się na zero, żeby ukryć zakola łysiny, a nie dla podkreślenia swojego stylu. Gdyby nie gwiazda Los Texicanos na przedramieniu, mógłby uchodzić za maklera giełdowego, przeżywającego kryzys wieku średniego.

– Rozmawiałam z antynarkotykowym – podjęła Amanda. – Chodzą słuchy, że Azjaci próbują przejąć handel kokainą. Jest do wzięcia, odkąd padła RCM.

RCM, Rodzina Czarnej Mafii. Kiedyś kontrolowała przerzut koki z Atlanty do Los Angeles, z przystankiem w Detroit.

– W grę wchodzi poważne pieniądze – powiedział Will. – Rodzina zgarniała rocznie setki milionów dolarów.

– Karty rozdawali Los Texicanos. Zawsze byli dostawcami, nie zajmowali się dystrybucją. Sprytnie się ustawili. Tylko dzięki temu przetrzymali tyle lat. Wbrew temu, co Charlie sądzi o uprzedzeniach rasowych, mają gdzieś, czy diler jest czarny, brązowy czy fioletowy, byleby szmal był zielony.

Will nigdy nie prowadził poważnego śledztwa związanego z narkotykami.

– Niewiele wiem o ich organizacji – przyznał.

– Los Texicanos zaczęli działać w połowie lat sześćdziesiątych, w więzieniu federalnym w Atlancie. W tamtych czasach etniczny profil skazańców był niemal dokładną odwrotnością tego, co mamy

obecnie... siedemdziesiąt procent białych, trzydzieści czarnych. Crack zmienił to z dnia na dzień. Działał szybciej niż wymuszona integracja rasowa. W pudle siedziała raptem garstka Meksykanów, więc musieli się trzymać w kupie, żeby nie wylądować z poderżniętym gardłem. Wiesz, jak to działa.

Will skinął głową. Prawie wszystkie gangi w Ameryce, obojętne czy irlandzkie, żydowskie, czy włoskie, zaczynały jako mniejszości, które skrzykiwały się w grupy, żeby mieć szanse przeżycia. Zwykle już po dwóch latach robili gorsze rzeczy, niż zaznali od innych.

– Jaka jest ich struktura? – zapytał.

– Dość luźna. Nikt nie wytyczał planów jak w MS Trzyńście.

Miała na myśli gang, który często określano jako najgroźniejszy na świecie. Jego struktura organizacyjna nie ustępowała wojskowej, a z powodu niezłomnej lojalności członków nigdy nie udało się ich skutecznie zinfiltrować.

– Na początku działalności Los Mexicanos byli na pierwszych stronach wszystkich gazet, dzień w dzień, czasami nawet w wydaniach porannych i wieczornych – tłumaczyła dalej Amanda. – Strzelaniny na ulicach, heroina, trawka, nielegalny hazard, prostytutka, kradzieże. Ich wizytówką było piętnowanie dzieci. Nie ograniczali zemsty tylko do tego, kto im wszedł w paradę. Załatwiali jego córki, synów, bratanice, siostrzeńców. Cięli im twarze – w poprzek czoła i pionowo, wzdłuż nosa do brody.

Will odruchowo dotknął blizny biegnącej od szczęki w dół.

– Na pewnym etapie śledztwa w sprawie morderstw dzieci w Atlancie Los Mexicanos byli na szczycie naszej listy. To było jesienią siedemdziesiątego dziewiątego, kiedy zaczynałam karierę. Byłam wtedy cenioną asystentką głównego łącznika z hrabstwami Fulton, Cobb i Clayton. Evelyn służyła w oddziałach specjalnych policji miejskiej. Głównie parzyła kawę, do śledztw dopuszczali ją dopiero wtedy, kiedy trzeba było zrzucić na kogoś obowiązek rozmowy z rodzicami tych zamordowanych dzieci. Powszechnie uważano, że Mexicanos próbowali w ten sposób wysłać swoim klientom wyraźny sygnał. Teraz to się wydaje niedorzeczne, ale wówczas mieliśmy nadzieję, że to ich robota. – Wrzuciła migacz i zmieniła pas. – Miałeś

wtedy ze cztery lata, więc nie pamiętasz, ale to były nerwowe czasy. Całe miasto żyło w panicznym strachu.

– Wyobrażam sobie – mruknął, zdziwiony, że Amanda zna jego datę urodzenia.

– Było już długo po sprawie morderstw dzieci, kiedy w trakcie wewnętrznej wojny załatwiono jednego z głównych Mexicanos. Oni nie puszczają pary z gęby. Nigdy się nie dowiedzieliśmy, jak do tego doszło ani kto przejął po nim władzę, wiemy tylko, że ten nowy był znacznie bardziej nastawiony na biznes. Skończyła się przemoc dla samej przemocy. On na pierwszym miejscu stawiał interesy i ograniczał zbędne ryzyko. Jego motto brzmiało: „Stały dopływ koki i zero krwi na ulicach”. Kiedy zeszli do podziemia, z przyjemnością przestaliśmy się nimi interesować.

– Kto teraz jest ich szefem?

– Mamy tylko jedno nazwisko, Ignatio Ortiz. Reprezentuje gang na zewnątrz. Jest jeszcze dwóch innych, ale ci się nie wychylają i nikt nigdy nie spotka tej trójki razem w jednym miejscu. Uprzedzając twoje pytanie, Ortiz odsiaduje trzeci rok z siedmiu, jakie mu wrzepili za usiłowanie zabójstwa, bez prawa do zwolnienia warunkowego.

– Usiłowanie? – To zgoła niepodobne do gangstera.

– Wrócił do domu i zastał żonę baraszkującą z jego bratem. Ponoć specjalnie spudłował.

Will przypuszczał, że Ortiz bez trudu może prowadzić interesy z więzienia.

– Warto z nim gadać? – zapytał.

– Nawet gdybyśmy mogli wytoczyć mu proces, nie usiadłby z nami w jednym pokoju bez obecności adwokata, a ten upierałby się, że jego klient jest zwykłym biznesmenem, którego poniosła zazdrość.

– Był wcześniej aresztowany?

– Kilka razy, za młodu, ale chodziło o drobiazgi.

– A zatem gang nadal się nie wychyla?

– Pokazują się co jakiś czas, żeby szkolić młodych. Pamiętasz zeszłoroczne morderstwo w Dzień Ojca w Buckhead?

– Faceta, któremu poderżnięto gardło na oczach dzieci?

Skinęła głową.

– Trzydzieści lat temu jego dzieciaki też by zabili. Można by rzec, że na starość złagodnieli.

– Złagodnieli? Ja bym tego tak nie nazwał.

– W pierdłu na Mexicanos mówią: ci, którzy podrzynają gardła.

– Ten adorator w kufrze stał wysoko w łańcuchu pokarmowym.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Ma tylko jeden tatuaż – odparł.

Młodzi członkowie gangów zwykle traktują swoje ciała jak płótna ilustrujące ich życie. Każde morderstwo upamiętniają wytatuowaną łezką pod okiem. Od łokcia w górę dziargają sobie pajęczyny, taki rysunek oplatający ramię to znak, że siedzieli w mamrze. Tatuaze zawsze wykonują niebieskim atramentem utoczonym z długopisów, tak zwanym tuszem więziennym, i każdy rysunek opowiada jakąś historię. Chyba że ich historia jest aż tak paskudna, że nie ma potrzeby jej opowiadać.

– Ciało bez tatuazy oznacza forszę, władzę, kontrolę – wyjaśnił Will.

– Ten facet jest dość stary, prawdopodobnie po sześćdziesiątce. To by go lokowało wśród pierwszej generacji Mexicanos. Już sam jego wiek przynosi mu zaszczyt. W tej branży długowieczność należy do rzadkości.

– Głupota nie pomaga dożyć sędziwego wieku – prychnęła.

– Przynależność do gangu też nie.

– Miejmy nadzieję, że policja zechce nam podać jego tożsamość, kiedy już ją ustalą.

Will zerknął na Amandę. Patrzyła prosto przed siebie, na szosę. Nie mógł się pozbyć uporczywego wrażenia, że ona już wie, kim był ten mężczyzna i jakie konkretnie miejsce zajmował w hierarchii Mexicanos. Było coś dziwnego w tym, jak składała zdjęcie od pani Levy w kieszeni, i nie miał wątpliwości, że jakimś szyfrem przekazała staruszce, żeby to, co wie, zatrzymała dla siebie.

– Słuchasz czasem kapeli AC/DC? – zapytał.

– Czy ja wyglądam na taką?

– Grają metal. – Nie tłumaczył jej, że stworzyli jeden z najlepiej sprzedających się albumów w historii muzyki. – Mają taką piosenkę, Back in Black. Lecią w chwili, kiedy zjawiała się Faith. Sprawdziłem

płyty w domu. Evelyn jej nie miała, a kiedy zajrzałem do odtwarzacza, był pusty.

– O czym jest tekst?

– Jak zwykle. O powracaniu. O noszeniu się na czarno. Nagrali ją po tym, jak ich pierwszy wokalista poszedł w tango, przedawkował prochy i gorzałę i umarł.

– Banalna śmierć zawsze jest smutna.

Will zastanowił się nad tekstem, który akurat znał na pamięć.

– Piosenka mówi o zmartwychwstaniu. O transformacji. O tym, jak po powrocie z jakiegoś paskudnego miejsca zapowiadamy ludziom, którzy nas nie doceniali albo się z nas nabijali, że dość tego dobrego. Że teraz jesteśmy spoko. Bo się nosimy na czarno. Jesteśmy naprawdę wredni i gotowi walczyć, jeśli ktoś nam podskoczy. – Nagle uświadomił sobie, dlaczego jako nastolatek grał tę płytę dopóty, dopóki się całkiem nie zdarła. – Coś w tym rodzaju. – Przełknął ślinę. – Ale różnie można ją odczytywać.

– Hm – skwitowała.

Zabębnił palcami w podłokietnik.

– Jak poznałaś Evelyn? – zapytał.

– Chodziłyśmy razem do szkoły czarnych.

Will omal nie zadławił się własnym językiem.

Jego reakcja na ten niewątpliwie ograny tekst wywołała u niej chichot.

– W epoce kamienia łupanego tak to się nazywało... Szkoła Drogówki dla Czarnych Kobiet – wyjaśniła. – Kobiety i mężczyźni uczyli się oddzielnie. Mieliśmy sprawdzać parkomaty i wystawiać mandaty za parkowanie w niedozwolonych miejscach. Czasami pozwalano nam gadać z prostytutkami, ale wyłącznie za zgodą chłopaków, a i wtedy zwykle towarzyszyły temu grubiańskie żarty. W grupie trzydziestu kobiet, które zaliczyły kurs tamtego roku, tylko Evelyn i ja byłyśmy białe. – Na jej ustach zaigrał czuły uśmiešek. – Byłyśmy gotowe zmieniać świat.

Will świetnie wiedział, że nie powinien zdradzić się z tym, co myśli, mianowicie, że Amanda jest o wiele starsza, niż na to wygląda.

Najwyraźniej czytała w jego myślach.



– Zejdź ze mnie, Will. Wstąpiłam do policji w siedemdziesiątym trzecim. Atlantę, jaką znasz dzisiaj, wywalczyły kobiety po tamtych kursach. Czarnym funkcjonariuszom przyznano prawo aresztowania podejrzanych dopiero w sześćdziesiątym drugim. Nie mieli własnego budynku na posterunek. Musieli się gnieździć w YMCA przy Butler Street i czekać, aż ktoś łaskawie zechce ich wezwać. Kobiety miały jeszcze gorzej... mogły czekać w nieskończoność. – Spoważniała. – Dzień w dzień toczyłyśmy walkę o to, żeby zrobić coś dobrego, chociaż wszystko przemawiało przeciwko nam.

– Wygląda na to, że ty i Evelyn przeszłyście próbę ogniową.

– Nawet sobie tego nie wyobrażasz.

– Więc opowiedz mi o tym.

Znów się roześmiała, tym razem z powodu jego niezdarnej próby wyciągnięcia informacji.

– Doktorze Trent, czy pan próbuje mnie przesłuchiwać?

– Ja tylko zastanawiam się, dlaczego unikasz rozmowy o tym, że Evelyn niewątpliwie utrzymywała zażyłe, intymne stosunki ze starej daty Texicano, którego zamordowano i upchano do bagażnika jej auta.

Patrzyła na szosę przed sobą.

– Dziwnie to wygląda, nie sądzisz? – odparła.

– Jak mamy pracować nad tą sprawą, jeżeli nie zamierzamy nawet przyznać, co właściwie się stało? – Nie odpowiedziała. – To zostanie między nami, zgoda? Nikt inny nie musi o tym wiedzieć. Ona jest twoją przyjaciółką. Potrafię to zrozumieć. Sam też spędziłem z nią dużo czasu. Wydała mi się bardzo miła, a poza tym niewątpliwie kocha Faith.

– Wyczuwam w tym jakieś „ale”.

– Brała pieniądze od pozostałych członków swojej brygady. Na pewno znała Texicanos z...

Amanda wpadła mu w słowo.

– Skoro już jesteśmy przy Texicanos, wróćmy do Ricarda.

Will zacisnął pięści, miał ochotę w coś przywalić.

Pozwoliła mu przez chwilę gotować się w środku.

– Znam cię kupę czasu Will – powiedziała w końcu. – Musisz mi

zaufać w paru sprawach.

– A mam wybór?

– Niespecjalnie, ale właśnie daję ci okazję do rewanżu za to, że przez te wszystkie lata wciąż wierzyłam ci na słowo.

Korciło go, żeby jej powiedzieć, gdzie może sobie wsadzić tę okazję, ale nie należał do ludzi, którzy bez namysłu plotą, co im ślina na język przyniesie.

– Traktujesz mnie jak psa na smyczy – rzekł tylko.

– To jedna z interpretacji. – Zamilkła na chwilę. – Nie przyszło ci do głowy, że w gruncie rzeczy cię chronię?

Podrapał się po szczęce, dotykając blizny, która naznaczyła jego twarz wiele lat temu. Z zasady unikał introspekcji, ale nawet ślepy by zauważył, że wszystkie związki w jego życiu były dziwnie dysfunkcyjne. Faith zachowywała się niczym apodyktyczna starsza siostra. Amanda jak najgorsza z możliwych matek, choć nigdy nie miał matki. Angie łączyła w sobie cechy ich obu, co z oczywistych względów było niepokojące. Bywały podłe, próbowały go kontrolować, a szczególnie okrutna była dla niego Angie, ale o żadnej z nich nawet przez chwilę nie sądził, że naprawdę źle mu życzy. Zresztą przynajmniej w tej jednej kwestii Amanda miała rację – zawsze chroniła Willa, z rzadka ryzykując nawet dla niego własną karierę.

– Musimy obdzwonić wszystkich dilerów Cadillaca w obrębie aglomeracji Atlanty – powiedział. – Ten adorator nie jeździł hondą. To droga bryka. Niewiele takich cadillaców jest na ulicach. Zdaje się, że ma ręczną skrzynię biegów. W czterodrzwiowych limuzynach to rzadkość.

– Dobry pomysł – odparła ku jego zdziwieniu. – Zajmij się tym.

Sięgnął do kieszeni i dopiero ponieważ przypomniał sobie, że nie ma telefonu. Ani broni i blachy. Czy samochodu, skoro już o tym mowa.

Amanda rzuciła mu swoją komórkę i nawet nie muskając pedału hamulca, skręciła w zjazd z autostrady.

– Co cię łączy z Sarą Linton? – spytała.

Otworzył klapkę telefonu.

- Przyjaźnimy się – odparł.
- Kilka lat temu pracowałam nad jedną sprawą z jej mężem.
- To miło.
- Niełatwo będzie zająć jego miejsce, przyjacielu.

Will połączył się z informacją i poprosił o numer najbliższego dilerka Cadillaca na Atlantę.

Idąc za Amandą korytarzem prowadzącym do celi śmierci, Will musiał przyznać – aczkolwiek tylko w duchu – że nie znosi odwiedzin w więzieniach, i to nie tylko w Coastal, ale i w każdym innym. Radził sobie ze świadomością wiecznego zagrożenia przemocą, przez które zakłady karne przypominają kipiący garnek, zbyt długo stojący na ogniu. Znosił zgiełk, brud i obstrzał martwych spojrzeń. Natomiast nie potrafił znieść poczucia bezradności, wynikającego z odosobnienia.

Więźniowie handlowali prochami, prowadzili różne lewe interesy, koniec końców jednak nie decydowali o podstawowych rzeczach, które czyniłyby z nich ludzi. Nie mogli wziąć prysznicza, kiedy przyszła im na to ochota. Nie mogli się załatwić bez publiczności. W każdej chwili groziło im przeszukanie na golasa, włącznie z zagłębieniem do otworów ciała. Bez specjalnego zezwolenia nie mogli pójść na spacer ani wypożyczyć książki z biblioteki. Ich cele na okrągło sprawdzano w poszukiwaniu kontrabandy, do której zaliczano wszystko, od pism motoryzacyjnych po szpulkę nici dentystycznej. Jadali zgodnie z rozkładem narzuconym przez kogoś innego. Światło gaszono według czyjegoś widzimisie. Ale najgorszy był sposób, w jaki ich traktowano. Strażnicy bez przerwy ich dotykali – wykręcali ręce na plecach, klepali po głowach podczas odliczania, popychali, szarpali. Do więźniów nie należało nic, nawet własne ciała.

Przypominało to pobyt w najgorszej rodzinie zastępczej pod słońcem, tyle że tu było więcej krat.

Jako największe więzienie w Georgii Coastal między innymi pełniło rolę jednego z głównych ośrodków przyjmowania skazańców trafiających do stanowego systemu karnego. Dysponowało ośmioma blokami z celami wyposażonymi w jedną albo dwie prycze, a także ośmioma salami sypialnymi, w których umieszczano nadmiar przyjętych. W ramach wstępnych przygotowań wszyscy więźniowie

przechodzili ogólne badania lekarskie, ocenę stanu psychicznego, test behawioralny, a także klasyfikowano ich pod kątem zagrożenia, co decydowało o tym, gdzie trafiali – na oddziały o zaostrowym, średnim czy złagodzonym rygorze.

Jeśli mieli szczęście, procedura diagnostyczna i klasyfikacja zajmowały około sześciu tygodni; następnie przewożono ich do innych zakładów karnych albo zamykano w którymś ze stałych oddziałów w Coastal. Zanim to nastąpiło, więźniowie przez dwadzieścia trzy godziny na dobę przebywali pod kluczem – pomijając godzinę dziennie, byli zamknięci w celach. Bez dostępu do papierosów, kawy i napojów gazowanych. Wolno im było kupić jedną gazetę na tydzień. Obowiązywał zakaz czytania książek, nawet Biblii. Nie mieli telewizorów. Zero słuchania radia. Zero telefonów. Na spacerki wypuszczano ich trzy razy w tygodniu, pod warunkiem, że pogoda dopisywała, i tylko na taki czas, jaki pozostał z przysługującej godziny poza celą w danym dniu. Odwiedziny gości przysługiwały jedynie tym, którzy przebywali tam od dawna, odbywały się jednak w pomieszczeniu przedzielonym metalową siatką, w którym trzeba było wrzeszczeć, żeby przekrzyczeć innych. Bez dotykania. Bez przytulania. Zero kontaktu fizycznego.

Maksymalne środki bezpieczeństwa.

Nie bez powodu samobójstwa popełnia się trzykrotnie częściej za kratkami niż na wolności. Na myśl o warunkach bytowych skazańców kroilo się serce, dopóki ktoś nie zapoznał się z ich aktami. Zgwałcenie nieletniej. Stosunek analny przy użyciu kija bejsbolowego. Przemoc domowa. Porwanie. Napad z bronią w rękę. Zabójstwo. Pobicie. Okaleczenie. Zakłucie nożem. Poderżnięcie gardła. Poparzenie.

Ci najgorsi siedzieli w celach śmierci. Dopuścili się zabójstw tak odrażających, że władze stanowe nie widziały innego wyjścia, jak tylko pozbawić ich życia. Byli odseparowani od reszty skazańców. Podlegali jeszcze większym ograniczeniom niż nowo przyjęci więźniowie. Cały czas pod kluczem. W totalnej izolacji. Ani godziny dziennie na słońcu. Bez wspólnych posiłków. Nie wychodzili za żelazne kraty zamykające ich cele, pomijając cotygodniowy wypad pod prysznic. Całymi dniami nie słyszeli ludzkiego głosu. Latami nie

czuli dotyku innego człowieka.

Właśnie tam przebywał Boyd Spivey. W takim miejscu mieszkał ten wielokrotnie odznaczany były detektyw, oczekując na śmierć.

Gdy zamknęła się za nimi brama prowadząca do cel śmierci, Will poczuł, że kuli ramiona. Więzienie zbudowano na planie szerokich, otwartych korytarzy, gdzie bez trudu można by zastrzelić uciekiniera z karabinu z odległości stu metrów. Zakręcały one ostro pod kątem dziewięćdziesięciu stopni, co miało zniechęcać maruderów. Wysokie sufity miały więzić żar, nieustannie bijący z wielu spoconych ciał. Wszystko było zabezpieczone drucianą siatką albo kratami – okna, drzwi, górne oświetlenie, wyłączniki.

Mimo że była wiosna, temperatura w środku oscylowała wokół trzydziestu stopni. Will natychmiast pożałował, że jego spodenki do biegania są z przepuszczalnej tkaniny – najwyraźniej nie nadawały się do noszenia pod grubymi dżinsami. Amanda, jak wszędzie, czuła się jak u siebie w domu; nie przeszkadzały jej ponure kraty ani przyciski alarmowe rozmieszczone co trzy metry na wszystkich ścianach. Stali pensjonariusze Coastal mieli status brutalnych przestępców. Wielu z nich nie miało nic do stracenia, a dzięki rozmyślnym aktom przemocy mogło zyskać wszystko. Zabicie zastępczyni dyrektora GBI każdemu poczytano by za nie lada osiągnięcie. Will nie wiedział, jak traktowali tu gliniarzy, którzy załatwiali swoich kolegów po fachu, ale nie sądził, żeby więźniom chcącym podnieść swój prestiż robiło to jakąś różnicę.

I właśnie dlatego eskortowali ich dwaj strażnicy o posturach przypominających gabarytami lodówki przemysłowe. Jeden szedł przed Amandą, a drugi za Willem, który czuł się przy nim jak wymoczek. Nikomu nie wolno było wnosić broni palnej na teren więzienia, ale strażnicy mieli przy pasach cały arsenał: gaz pieprzowy, stalowe pałki i – co najgorsze – pęki kluczy, których brzęk z każdym krokiem obwieszczał, że jedyna droga na zewnątrz prowadzi przez trzydzieści par zaryglowanych drzwi.

Skrećwszy za róg, ujrzeli mężczyznę w szarym garniturze, stojącego przed kolejnymi zamkniętymi drzwiami. Jak przy wszystkich drzwiach w tym więzieniu, także i tu obok futryny

umieszczono wielki czerwony przycisk alarmowy.

Amanda wyciągnęła rękę.

– Naczelniku Peck, dziękuję, że tak szybko załatwił pan nam tę wizytę.

– Zawsze do usług, pani dyrektor – odparł grobowym, starczym głosem, który doskonale pasował do jego spalonej przez słońce i wiatr mahoniowej twarzy i bujnych, zaczesanych do tyłu siwych włosów. – Wystarczy jeden pani telefon.

– Czy sprawiłoby panu kłopot wydrukowanie listy wszystkich osób, które odwiedzały Spiveya, odkąd trafił za kratki?

Peck pewnie uważał, że to istotnie kłopot, ale nie dał tego po sobie poznać.

– Spivey siedział w czterech zakładach karnych. Będę musiał zadzwonić tu i tam.

– Bardzo dziękuję za fatywę. – Amanda wskazała Willa. – To agent Trent. Musi zostać w pokoju technicznym. W przeszłości miał dosyć burzliwe relacje z osadzonym.

– Załatwione. Powinienem panią ostrzec, że w zeszłym tygodniu dostaliśmy zawiadomienie o terminie egzekucji Spiveya. Zostanie stracony pierwszego września.

– Czy już o tym wie?

Peck ponuro pokiwał głową. Will widział, że naczelnik nie lubi tego aspektu swojej pracy.

– Mam zasadę udzielać więźniom jak najwięcej informacji i tak szybko, jak to możliwe. Ta wiadomość bardzo go uspokoiła. W takiej chwili oni zwykle robią się potulni jak baranki, ale proszę nie dać się zwieść pozorom i nie czuć się bezwarunkowo bezpieczną. Gdyby choć przez moment poczuła się pani zagrożona, proszę wstać i natychmiast opuścić pokój. Niech go pani nie dotyka. Proszę się trzymać poza zasięgiem jego rąk. Dla bezpieczeństwa będziemy obserwować panią przez kamery, a jeden z moich ludzi przez cały czas będzie czuwał za drzwiami. Zwracam uwagę, że ci ludzie są niezwykle szybcy i nie mają nic do stracenia.

– W razie czego po prostu muszę być szybsza. – Puściła do niego oko, jakby szła na imprezę w akademiku, na której chłopcy mogą się

rozbrykać. – Jestem gotowa.

Willa zaprowadzono do pokoju technicznego, sąsiadującego z pokojem przesłuchań. Było to małe pomieszczenie bez okien, coś w rodzaju więziennego biura, które spokojnie można by wziąć za kanciapę. Na metalowym biurku stały trzy monitory, pokazujące z różnych stron Boyda Spiveya w sąsiednim pokoju. Był przykuty do krzesła, niewątpliwie przyśrubowanego do podłogi.

Przed czterema laty Spivey nie należał może do przystojniaków, ale nosił się z policyjną butą, którą maskował swoje niedostatki. Miał opinię kawalarza, ale i dobrego gliny – uchodził za faceta, którego w razie poważnych kłopotów chciałoby się mieć przy sobie. Jego akta pękały od pochwał. Nawet po tym, jak przyznał się do winy w zamian za złagodzenie wyroku, wielu policjantów z jego posterunku wciąż nie chciało uwierzyć, że był umoczony w korupcję.

Teraz wyglądał jak uosobienie skazańca. Wydawał się twardy jak naostrzony granit. Skórę miał pokrytą bliznami, ciało obrzmiałe. Na plecach zwisały mu zebrane w koński ogon długie, skołtunione włosy. Jego przedramiona i szyję zdobiły więzienne tatuaże. Grube nadgarstki miał przykute do chromowanej sztaby, przyspawanej na środku stołu. Siedział ze skrzyżowanymi w kostkach nogami, napinając łączący kajdany łańcuch. Will domyślił się, że dla zabicia czasu Boyd całymi dniami ćwiczy w celi. Jasnopomarańczowy kombinezon pękał w szwach na nadmiernie umięśnionych ramionach i szerokiej klacie.

Will był ciekaw, czy w obliczu nieuchronnej egzekucji dodatkowa waga wyjdzie temu mężczyźnie na dobre, czy przeciwnie. Po kilku makabrycznych wpadkach z krzesłem elektrycznym – włącznie z tym, że kiedyś pewnemu człowiekowi klatka piersiowa zajęła się ogniem – stanowy sąd najwyższy Georgii nakazał w końcu przenieść „starego elektryka” na emeryturę. Teraz skazańców już nie golono, nie faszrowano bawełną i nie palono na wiór, tylko przypinano do stołu, a następnie aplikowano im serię specyfików, po których ustawało oddychanie, bicie serca i wreszcie życie. Boyd Spivey prawdopodobnie dostanie większą dawkę niż inni. Uśmiercenie tak olbrzymiego chłopca będzie wymagało potężnej dawki środków.

Z maleńkich głośników na biurku dobiegł zakłócany trzaskami kaszel. Will widział, jak w sąsiednim pokoju Boyd patrzy wprost przed siebie na Amandę, która nie skorzystała z krzesła naprzeciw więźnia, po drugiej stronie stołu, tylko stała oparta o ścianę.

Jak na mężczyznę o takiej posturze, Boyd mówił zaskakująco piskliwym głosem.

– Boi się pani usiąść przede mną?

Will nigdy nie widział, żeby Amanda okazała po sobie strach, i teraz też nie zrobiła wyjątku.

– Nie chcę być niemila, Boyd, ale paskudnie cuchniesz – odparła.

Spuścił wzrok na stół.

– Puszczają mnie pod prysznic tylko raz na tydzień – usprawiedliwił się.

– Takie okrucieństwo jest zgoła niezwykle – rzuciła żartobliwie, śpiewnym tonem.

Will spojrzał w obraz kamery wycelowanej w twarz Boyda. Na ustach więźnia zaigrał uśmiezek.

W betonowym pokoju rozbrzmiał echem stukot szpilek Amandy, kiedy podchodziła do stołu. Metalowe krzesło zazgrzytało o podłogę. Usiadła, skromnie skrzyżowała nogi w kostkach i oparła dłonie na kolanach.

Boyd nieśpiesznie otaksował ją wzrokiem.

– Dobrze wyglądasz, Mandy – powiedział.

– Mam urwanie głowy w pracy.

– Z czym?

– Słyszałeś o Evelyn?

– Tutaj nie mamy telewizji.

Roześmiała się.

– Pewnie wiedziałeś, że się u ciebie zjawię, zanim jeszcze się na to zdecydowałam. Tu wieści rozchodzą się tak szybko, że moglibyście wysiudać z interesu CNN.

Wzruszył ramionami, jakby nie miał na to żadnego wpływu.

– Jak się miewa Faith? – zapytał.

– Wspaniale.

– Słyszałem, że zdmuchnęła obu tych facetów jak świece.



Zdmuchnęła jak świece, czyli położyła ich trupem jednym strzałem.

– Jednemu wpakowała kulę w łeb – poinformowała go Amanda.

– Auć! – Skrzywił się teatralnie. – A jak tam Emma?

– Strasznie psoci. Przepraszam, że nie przyniosłam ci jej zdjęcia. Zostawiłam torebkę w samochodzie.

– Pedofile i tak by je ukradli.

– Za grosz przyzwoitości, wierzyć się nie chce.

Pokazał w uśmiechu zęby. Wyszczerbione, połamane – pamiątkę po bójkach, w których wszystkie chwytaki są dozwolone.

– Pamiętam dzień, w którym Faith dostała złotą odznakę – rzekł, opierając się na krzesło; kajdany przesunęły się po blacie stołu. – Ev promieniała jak latarka.

– Tak jak my wszyscy – przyznała Amanda, a Will uświadomił sobie, że jego szefowa zna Boyda Spiveya bez porównania lepiej, niż by wynikało z tego, co mu zdradziła w samochodzie. – Co u ciebie, Boyd? Traktują cię przyzwoicie?

– Ujdzie. – Znów się uśmiechnął, lecz nagle się zreflektował. – Przepraszam za te zęby. Nie widziałem sensu, żeby je leczyć.

– Nie są tak okropne jak ten smród.

Zerknął na nią, zmieszany.

– Od tak dawna już nie słyszałem głosu kobiety – mruknął.

– Niełatwo mi się do tego przyznać, ale od roku nie słyszałam z ust mężczyzny czegoś równie miłego.

Roześmiał się.

– Znaczą się, oboje mieliśmy kiepski okres.

Amanda nie odpowiedziała, nie chcąc burzyć nastroju.

– Chyba powinniśmy przejść do powodu twojej wizyty – rzekł w końcu.

– Możemy robić, co zechcesz. – Ton jej głosu sugerował, że jest gotowa rozmawiać z nim cały dzień, ale Boyd zrozumiał przesłanie.

– Kto ją porwał? – zapytał.

– Uważamy, że grupa Azjatów.

Zmarszczył czoło. Nawet w pomarańczowym kombinezonie i w tym piekle, które nazywał domem, Boyd Spivey zachował w sobie coś

z gliniarza.

– Żółtki nie mają zaczepienia w mieście. Brązowi od jakiegoś czasu ugłaskują czarnych, żeby znów tańczyli, jak im zagrają – rzekł.

– Brązowi są w to jakoś umoczeni, ale nie wiem jak.

Skinął głową na znak, że rozumie, chociaż nie wie, co o tym sądzić.

– Brązowi nie lubią brudzić sobie rak – powiedział.

– Więc zwalają brudną robotę na podwładnych.

– Wysłali jakiś sygnał? – Miał na myśli dowód, że Evelyn żyje. Amanda zaprzeczyła ruchem głowy. – Na co chcą ją wymienić?

– Ty mi to powiedz.

Milczał.

– Oboje wiemy, że Evelyn była czysta, ale może ktoś chciał się zemścić? – naciskała Amanda.

Zerknął w obiektyw kamery i spuścił wzrok na dłonie.

– Nie kupuję tego – odparł. – Miała nad sobą parasol ochronny. Bez względu na to, co się stało, chłopaki z brygady jak jeden mąż, sztuka w sztukę, oddaliby za nią życie. Rodziny nie zostawia się na lodzie.

Will zawsze uważał, że Evelyn miała zapewnioną ochronę po obu stronach prawa. Teraz, kiedy na własne uszy usłyszał potwierdzenie swoich domysłów, jakoś nie odczuł pociechy.

– Wiesz, że Chuck Finn i Demarcus Alexander już wyszli? – zwróciła się Amanda do Boyda.

Skinął głową.

– Chuck został na południu. Demarcus wyjechał do Los Angeles, gdzie mieszka rodzina jego matki – powiedział.

– Nie pakują się w żadne kłopoty? – spytała Amanda, chociaż na pewno znała już odpowiedź.

– Chuckowi siadają bebechy, bo wali z popitką. – Znaczyło to, że najpierw wstrzykuje sobie heroinę, a potem dla poprawy pali crack. – Koleś wróci do pierdła, no chyba że wcześniej odwali kitę na ulicy.

– Może kogoś wkurzył?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Mandy, on pakuje w kanał resztki ze zużytych wacików. Za najgorsze badziewie zerznąłby własną matkę.

– A Demarcus?

– Przypuszczam, że jest czysty na tyle, na ile może być czysty ktoś,

za kimś się ciągnie długa odsiadka.

– Słyszałam, że próbuje zrobić papiery na elektryka.

– To dobrze. – Boyd wydawał się autentycznie zadowolony. – Gadałaś z Humpem i Hopem? – Miał na myśli Bena Humphreya i Adama Hopkinsa, swoich kolegów z policji, którzy nadal siedzieli w więzieniu stanowym Valdosta.

– A powinnam z nimi porozmawiać? – spytała Amanda, ważąc słowa.

– Warto spróbować, chociaż wątpię, żeby byli na bieżąco. Zostały im cztery lata odsiadki. Nie pakują się w kłopoty i nie sądzę, żeby mieli ochotę ci pomóc, skoro przyłożyłaś rękę do tego, że siedzą. – Wzruszył ramionami. – Ja nie mam nic do stracenia.

– Słyszałam, że wyznaczyli ci termin.

– Na pierwszego września. – Zapadła taka cisza, jakby z pokoju wyszło całe powietrze. Boyd odchrząknął. Jego grdyka podskoczyła. – To pozwala nabrać dystansu do wielu rzeczy.

Amanda pochyliła się.

– Na przykład jakich?

– Na przykład takich, że nie zobaczę, jak dorastają moje dzieci. Nigdy nie wezmę na ręce wnuków. – Jego grdyka znów zadrgała. – Ależ ja uwielbiałem robić na ulicy, ścigać tych drani. Którejś nocy miałem taki sen. Jechaliśmy furgonetką na akcję. Evelyn puszczała tę durną piosenkę... pamiętasz ją jeszcze?

– Would I Lie to You?

– Annie Lennox. Zimna jak ryba. Kiedy się obudziłem, wciąż brzmiała mi w uszach. Tłukła mi się po głowie, chociaż nie słuchałem muzyki od... bo ja wiem?... czterech lat. – Ze smutkiem pokręcił głową. – To działa jak narkotyk, no nie? Wywalamy drzwi, wymiatamy całą tę hołotę, a następnego dnia budzimy się i zaczynamy od początku. – Rozłożył ręce, na ile pozwalały mu kajdany. – I oni jeszcze nam za to płacili? Bez jaj, to my powinniśmy im płacić.

Amanda pokiwała głową, a tymczasem Will myślał o tym, że sami zdołali zapewnić sobie wypłaty na tysiące różnych sposobów.

– Podobno byłem porządnym facetem – ciągnął Boyd. – Ale tu... –

Rozejrzał się po pokoju. – Tutaj dusza staje się mroczna.

– Gdybyś się w nic nie wpakował, już dawno byś wyszedł – przypomniała mu Amanda.

Gapił się tępo na ścianę za jej plecami.

– Mają to na taśmie... jak się rzuciłem na tych facetów. – W uśmiechu, który zaigrał na jego ustach, nie było krzty wesołości, jedynie pustka i strata. – Ja to zapamiętałem całkiem inaczej, ale podczas procesu odtworzyli nagranie. Taśma filmowa nie kłamie, zgadza się?

– Owszem.

Odchrząknął dwukrotnie, zanim znów zdołał się odezwać.

– No więc facet okładał strażnika pięściami, zacisnął kołesowi ręcznik na szyi. Oczy błyszczały mu jak jakiemuś dziwadłu na pokazie osobliwości. Wył jak sakramenckie zwierzę. Przypomniałem sobie, jak pracowałem na ulicy. Wszystkich drani, których zabiłem, wszystkich tych gości, których miałem za potworów, a potem spojrzałem na tego faceta na filmie, tego potwora zabijającego strażnika, i zdałem sobie sprawę, że to ja. – Teraz mówił niemal szeptem. – To ja biłem tamtego człowieka. To ja zabijałem dwóch ludzi... I z jakiego powodu? Wtedy mnie olśniło: stałem się jednym z tych, których zwalczałem przez te wszystkie lata. – Pociągnął nosem. W jego oczach zalśniły łzy. – Stajemy się tym, czego nienawidzimy.

– Czasami.

Will nie potrafił stwierdzić, czy Boyd żałował ludzi, których zabił, czy raczej uważał się nad sobą. Prawdopodobnie jedno i drugie. Każdy wie, że prędzej czy później umrze, ale Boyd Spivey znał dokładną datę i godzinę swojej śmierci. Znał procedurę. Wiedział, o której zje ostatni posiłek, o której po raz ostatni się wysra i zmówi ostatnią modlitwę. A potem przyjdą po niego, więc będzie musiał wstać i o własnych siłach przejść do pomieszczenia, w którym po raz ostatni złoży głowę.

Boyd znów musiał odchrząknąć, żeby odzyskać głos.

– Słyszałem, że żółtki gnieżdżą się przy autostradzie. Powinnaś pogadać z Ling-Lingiem w Chambodży. – Nazwisko Willowi nic nie mówiło, wiedział tylko, że Chambodża to potoczne określenie odcinka

autostrady Buford przebiegającego w granicach miasta Chamblee. Była to mekka imigrantów z Azji oraz Ameryki Łacińskiej. – Do żółtków nie możesz sobie wejść ot tak. Trzeba mieć zaproszenie. Powiedz Ling-Lingowi, że Spivey radzi mu się nie wychylać. – Czyli ma trzymać gębę na kłódkę. – Uważaj na siebie. Na mój gust cała ta sprawa wymyka się spod kontroli.

– Coś jeszcze?

Will zobaczył, że Boyd poruszył ustami, ale nie dosłyszał słów.

– Wiesz, co on powiedział? – zwrócił się do strażnika.

Tamtén pokręcił głową.

– Nie mam pojęcia. Chyba „amen” czy coś w tym stylu.

Will chciał zobaczyć reakcję Amandy – potakiwała głową.

– No dobra. – Ton Boyda świadczył o tym, że skończyli. Śledził wzrokiem Amandę, kiedy wstawiała z krzesła. – Wiesz, czego brakuje mi tu najbardziej?

– Czego?

– Wstawania, kiedy kobieta wchodzi do pokoju.

– Zawsze miałaś nienaganne maniery.

Uśmiechnął się, prezentując zepsute zęby.

– Uważaj na siebie, Mandy. Dopilnuj, żeby Evelyn wróciła do domu, do dzieci.

Obeszła stół i zatrzymała się niecały metr od więźnia. Will poczuł skurcz żołądka. Stojący obok niego strażnik spiął się, chociaż nie było powodu do niepokoju. Amanda dotknęła policzka Boyda, a potem wyszła.

– Chryste! – mruknął strażnik. – Szurnięte babsko.

– Uważaj, co mówisz – ostrzegł go Will. Możliwe, że Amanda była szurniętym babskiem, ale jeśli nawet, to tylko on mógł ją tak nazywać. Otworzył drzwi i spotkał się z nią w korytarzu. Kamery nie pokazywały jej twarzy, więc dopiero teraz zorientował się, że w ciasnym, dusznym pomieszczeniu była złana potem. A może to Boyd wywołał w niej taką reakcję.

Dwaj strażnicy wrócili na posterunek, zajmując miejsca po bokach Amandy i Willa. Will zobaczył nad jej ramieniem Boyda, z przyciśniętą do piersi głową i skutymi nogami. Prowadził go tylko

jeden strażnik, mały człowieczek, którego dłoń ledwo obejmowała ramię skazańca.

Amanda odwróciła się. Obserwowała Boyda, dopóki nie zniknął za rogiem.

– Przez takich jak on marzę o przywróceniu „starego elektryka” – powiedziała.

Strażnicy wybuchnęli gromkim śmiechem, który odbił się echem w korytarzu. Amanda potraktowała Spiveya wyjątkowo łagodnie, więc musiała im wmówić, że robiła to tylko na pokaz. Przedstawienie, jakie dała w tym ciasnym pokoju, było wyjątkowo przekonujące. Nawet Will na chwilę dał się zwieść, choć słyszał kiedyś, jak zapytano Amandę o jej stosunek do kary śmierci. Odpowiedziała wówczas, że przeszkadza jej wyłącznie to, że nie zabijają skazańców dostatecznie szybko.

– Proszę pani? – odezwał się jeden ze strażników, wskazując bramę na końcu korytarza.

– Dziękuję. – Amanda ruszyła za nim do wyjścia. Spojrzała na zegarek, po czym zwróciła się do Willa: – Dochodzi czwarta. Jeśli nam się poszczęści, powrót do Atlanty zajmie półtorej godziny. Valdosta leży dwie i pół godziny jazdy na południe, ale jeżeli utkniemy w korku, zrobią się z tego cztery. Nie zdążymy w porze odwiedzin. Niby mogłabym pociągnąć za sznurki, ale nie znam nowego naczelnika, a nawet gdybym go znała, raczej nie byłby aż tak głupi, żeby późną nocą ściągać dwóch więźniów z oddziału o zaostrzonym rygorze. – Więzienia funkcjonują zgodnie ze stałymi procedurami i najmniejsze odstępstwo od nich grozi wybuchem przemocy.

– Nadal chcesz, żebym przejrzał swoje akta ze śledztwa? – spytał Will.

– Oczywiście. – Powiedziała to takim tonem, jakby nie ulegało wątpliwości, że porozmawiają o dochodzeniu, które zmusiło Evelyn Mitchell do przejścia na emeryturę. – Spotkamy się w biurze jutro o piątej rano. Pogadamy o sprawie w drodze do Valdosta. To z grubsza trzy godziny w każdą stronę. Na rozmowach z Benem i Adamem zejdzie nam najwyżej po pół godziny... jeżeli w ogóle

zechcą gadać. Czyli że najpóźniej w południe wrócimy do miasta, żeby porozmawiać z Miriam Kwon.

Will niemal zapomniał o zabitym chłopaku w pralni. Pamiętał za to, że Amanda zrećnie pominęła przed nim fakt, iż zna Boyda Spiveya na tyle dobrze, by mógł nazywać ją „Mandy”. Musiał więc założyć, że Ben Humphrey i Adam Hopkins są z nią na równie dobrej stopie, co oznaczało, że Amanda po raz kolejny w ramach śledztwa prowadzi jakąś własną grę.

– Zadzwońię do nadzoru zwolnień warunkowych w Memphis i w Los Angeles, żeby dotarli do Chucka Finna i Demarcusa Alexandra – poinformowała go. – Możemy jedynie przekazać im wiadomość, że Evelyn ma kłopoty, więc chętnie ich wysłuchamy, gdyby mieli nam coś do powiedzenia.

– Oni wszyscy byli wobec niej bardzo lojalni.

Zatrzymali się przy bramie, czekając, aż strażnik znajdzie klucz.

– Tak, to prawda – przyznała Amanda.

– Kim jest Ling-Ling?

– Dojdziemy do tego.

Will już miał się odezwać, gdy naraz rozległ się przeszywający pisk alarmu. Rozbłysły światła alarmowe. Jeden ze strażników złapał Willa za ramię. Will wyrwał mu się odruchowo, podobnie jak Amanda drugiemu strażnikowi, tyle że ona na tym nie poprzestała. Popędziła korytarzem, stukając obcasami o kamienną posadzkę. Will potruchtał za nią. Skręciwszy za róg, omal jej nie staranował, bo zatrzymała się jak wryta.

Nie odezwała się. Nie jęknęła ani nie krzyknęła. Złapała go tylko za ramię, wbijając paznokcie w cienką bawełnianą koszulkę.

Na końcu korytarza leżał Boyd Spivey, martwy. Głowę miał wykręconą pod nienaturalnym kątem. Obok niego wykrawiał się strażnik z poderżniętym gardłem. Will podszedł do niego, przyklęknął i przycisnął dłonie do rany, próbując zatamować krwotok. Za późno. Kałuża krwi na podłodze utworzyła coś w rodzaju koślawej aureoli. Strażnik spojrzał na Willa z przerażeniem, lecz po chwili w jego oczach malowała się już tylko pustka.

## Rozdział 5

Faith za kierownicą mini zwolniła, podjeżdżając do domu. Było już po dwudziestej. Przez ostatnie sześć godzin na okrągło opowiadała o tym, co się zdarzyło w domu matki, powtarzając to samo słowo w słowo, podczas gdy jej adwokat, przedstawiciel związków zawodowych, trzech gliniarze z Atlanty oraz agent specjalny GBI zadawali jej pytania, sporządzali notatki i ogólnie rzecz biorąc, robili wszystko, żeby czuła się jak przestępca. Ich przekonanie, że Faith jest zamieszana w sprawę, w związku z którą uprowadzono jej matkę, w jakiejś mierze miało sens. Evelyn była policjantką. Faith również. Evelyn śmiertelnie postrzeliła człowieka. Faith zastrzeliła dwóch mężczyzn, dwóch potencjalnych świadków, i najwyraźniej zrobiła to z zimną krwią. Evelyn zaginęła. Gdyby Faith siedziała po drugiej stronie stołu, zapewne zadawałaby te same pytania.

Czy ma jakichś wrogów? Czy kiedykolwiek wzięła łapówkę? Czy proponowano jej zrobienie czegoś sprzecznego z prawem? Czy przyjęła pieniądze albo podarunki w zamian za przymknięcie oka?

Ale Faith nie siedziała po drugiej stronie stołu i chociaż łamała sobie głowę, nie potrafiła wymyślić powodu, dla którego ktoś chciałby porwać jej matkę. Najgorszą stroną uwięzienia w pokoju przesłuchań było to, że każda upływająca minuta przypominała Faith, że pięciu krzepkich funkcjonariuszy traci czas w tym dusznym pomieszczeniu, zamiast poszukiwać jej matki.

Kto mógł ją porwać? Czy Evelyn miała wrogów? Czego u niej szukali?

Faith nie miała bladego pojęcia, była teraz równie skołowana, jak na początku przesłuchania.

Zaparkowała przy krawężniku przed domem. W środku paliły się wszystkie światła, na co nigdy sobie nie pozwalała. Dom wyglądał jak bożonarodzeniowa choinka. Bardzo droga choinka. Na podjeździe stały cztery samochody. Rozpoznała starą impalę Jeremy'ego, którą odkupiła od matki, kiedy ta sprawiła sobie malibu, ale dwóch ciężarówek oraz czarnej corvetty nie знаła.



– Ciii... – uciszyła Emmę, która była nerwowa od chwili, gdy się zatrzymały. Na przekór zdrowemu rozsądkowi i przepisom Faith wiozła dziecko obok siebie, na przednim siedzeniu. Droga od pani Levy zajęła raptem kilka minut, ale Faith chciała mieć córeczkę pod ręką nie z lenistwa, tylko z konieczności. Teraz podniosła Emmę i przytuliła ją mocno. Poczowała na piersi kojące staccato serduszka małej. Jej oddech był tak delikatny, tak znajomy, jak chusteczki higieniczne.

Faith brakowało matki. Pragnęła oprzeć głowę na ramieniu Evelyn, poczuć, jak żyłaste, silne ręce głaszczą ją po plecach, usłyszeć szept, że wszystko będzie dobrze. Chciała obserwować, jak mama przekomarza się z Jeremym na temat jego długich włosów i jak podrzuca Emmę na kolanie. A przede wszystkim chciała pogadać z nią o tym okropnym dniu, poradzić się, czy zaufać przedstawicielowi związku, który odradzał jej korzystanie z adwokata, czy pójść za radą prawnika, który tłumaczył, że związkowiec jest za bardzo związany z atlancką policją.

– O Boże! – wyszeptała w szyję Emmy. Naprawdę potrzebowała teraz matki.

Łzy napłynęły jej do oczu, lecz tym razem nie próbowała z nimi walczyć. Po raz pierwszy, odkąd wiele godzin temu weszła do domu matki, została sama. Miała ochotę się załamać. To jej było potrzebne. Ale Jeremy również potrzebował matki. Dla niego powinna być silna. Syn musiał uwierzyć w jej słowa, że za wszelką cenę sprowadzi babcię zdrową i całą.

Sądząc z liczby pojazdów, Jeremy'emu towarzyszyło w środku nie mniej niż trzech gliniarzy. Gdy zadzwoniła do niego z posterunku, płakał – był dezorientowany, zmartwiony i bał się zarówno o babcię, jak i o nią. Faith przypomniała sobie ostrzeżenie Amandy. W salonie pani Levy Amanda zaskoczyła ją uściskiem, ale nie wyszeptaną na ucho przestrogą: „Masz dwie minuty, żeby wziąć się w garść. Jeśli ci faceci zobaczą, że płaczesz, do końca kariery pozostaniesz dla nich tylko bezużyteczną babą”.

Czasami Faith uważała, że szefowa toczy bój w wojnie, którą rozpoczęto dawno temu, ale czasem uświadamiała sobie, że Amanda

ma rację. Grzbietem dłoni otarła oczy. Otworzyła drzwi samochodu, zawiesiła torebkę na ramieniu. Zaskoczona zimnym podmuchem Emma poruszyła się. Faith poprawiła jej kocyk i przycisnęła usta do czubka głowy córeczki. Emma była ciepła. Delikatne włoski łaskotały Faith w usta, kiedy szła podjazdem do domu.

Myślała o nawale obowiązków, jakie ją czekają, zanim będzie się mogła położyć. Bez względu na okoliczności, trzeba ogarnąć dom. Położyć Emmę do łóżeczka. Dodać otuchy Jeremy'emu, a pewnie podać mu też kolację. W jakimś momencie będzie musiała porozmawiać z bratem. Jeśli Zeke ma za grosz przyzwoitości, powinien być teraz nad Atlantykiem, w samolocie z Niemiec, więc dzisiaj raczej nie uda im się porozmawiać. Między nimi nigdy się nie układało. Na szczęście Amanda zajęła się odbieraniem telefonów, bo inaczej straciłaby całe popołudnie na awanturę z bratem, zamiast rozmawiać z policją. Z niejaką ulgą weszła na schody. Wszystko było lepsze niż perspektywa rozmowy z bratem, nawet ostatnie sześć godzin przesłuchania. Sięgała właśnie do klamki, kiedy drzwi stanęły otworem.

- Gdzieś ty się podziewała, do cholery?!
- Faith opadła szczęką; wlepiła wzrok w brata.
- Jakim cudem...
- Co się stało, Faith? Coś ty zrobiła?
- Jak ci się... – Nie była w stanie dokończyć zdania.
- Wyluzuj, człowieku. – Jeremy przecisnął się obok wujka i wziął Emmę od Faith. – Wszystko gra, mamó?
- Nic mi nie jest – odparła, nie spuszczać wzroku z brata. – Przyleciałeś z Niemiec?
- On teraz mieszka na Florydzie – wyręczył go Jeremy. Wciągnął matkę do domu. – Jadłaś? Może ci coś naszykuje?
- Tak... to znaczy, nie. Nie jestem głodna. – Na chwilę przestała się przejmować bratem i skupiła się na synu. – A ty się trzymasz?
- Kiwnął głową, lecz widziała, że tylko nadrabia miną.
- Próbowała go przytulić, ale opierał się, prawdopodobnie dlatego, że Zeke śledził każdy ich ruch.
- Chcę, żebyś dzisiaj został ze mną w domu – zapowiedziała

synowi.

Wzruszył ramionami. Na znak, że nie ma sprawy.

– Jasne – bąknął.

– Odzyskamy ją, Ptaszku. Obiecuję.

Jeremy spojrział na Emmę, wiercącą mu się na rękach. Evelyn nazywała go „Ptaszkiem” dopóty, dopóki pewnego dnia nie usłyszeli tego wszyscy uczniowie podstawówki i nabijając się z niego, doprowadzili go do łez.

– Ciocia Mandy powiedziała mi to samo, kiedy zadzwoniła. Że sprowadzi babcię do domu – odparł.

– No widzisz. Wiesz, że ciocia Mandy nie kłamie.

Spróbował obrócić to w żart.

– Nie chciałbym być w skórze tych facetów, kiedy ich dopadnie.

Faith dotknęła policzka syna. Wyczuła zarost, czyli coś, do czego nigdy się nie przyzwyczai. Jej syn był od niej wyższy, ale wiedziała, że nie jest równie silny jak ona.

– Babcia jest twarda – uspokoila go. – Wiesz, że nigdy się nie poddaje. I wiesz, że zrobi wszystko, co w jej mocy, byleby wrócić do ciebie. Do nas.

Zeke odchrząknął z niesmakiem, na co Faith spiorunowała go wzrokiem nad ramieniem syna.

– Victor chce, żebyś do niego zadzwoniła – powiedział. – Chyba pamiętasz Victora, co?

Victor Martinez był ostatnią osobą pod słońcem, z którą miałyby teraz ochotę rozmawiać.

– Położysz Emmę do łóżka? – zwróciła się do Jeremy’ego. – Zrób to dla mnie. I pogaś trochę światel. Zakład energetyczny nie musi kasować całej mojej pensji.

– Mówisz zupełnie jak dziadek.

– Idź.

Jeremy zerknął na Zeke’a; wyraźnie nie chciał zostawić go sam na sam z matką. Instynktownie zawsze bronił Faith.

– No już – popędziła go, delikatnie popychając w stronę schodów.

Zeke zachował na tyle przyzwoitości, żeby poczekać, aż Jeremy znajdzie się poza zasięgiem słuchu. Splótł ręce na piersiach, przez co

wydawał się jeszcze większy.

– W coś ty wpakowała mamę, do ciężkiej cholery?

– Ja też się cieszę, że cię widzę. – Przcisnęła się obok niego i ruszyła korytarzem do kuchni. Wbrew temu, co powiedziała synowi, nie jadła nic treściwego od czternastej, więc czuła znany pulsujący ból głowy i fale mdłości, zapowiadające, że coś jest z nią nie tak.

– Jeśli mamie coś się stanie...

– To co? – Okręciła się na pięcie i spojrzała mu w oczy. Zawsze tyranizował słabszych i jak wszystkich jemu podobnych, tylko jawny opór mógł go powstrzymać. – Co mi zrobisz? Wyrzucisz moje lalki? Zrobisz mi pokrzywkę?

– Ja nie...

– Przez ostatnie sześć godzin maglowały mnie gnojki, które sądzą, że najpierw zorganizowałam porwanie matki, a potem wpadłam w morderczy szal. Nie zamierzam wysłuchiwać takich samych bzdur od niewydarzonego braciszka.

Odwróciła się od niego i przeszła do kuchni. Przy stole siedział młody mężczyzna o rudych włosach, bez marynarki. Z kabury pod jego pachą sterczał, niczym wywalony czarny język, smith & wesson MP – standardowe wyposażenie policji i wojska. Koszula wydymała mu się pod ciasno zapiętą uprzężą na piersi. Facet przeglądał katalog Land's End, który nadszedł wczorajszą pocztą, i udawał, że nie słyszał, jak Faith darła się na całe gardło. Gdy weszła do kuchni, wstał.

– Agentko Mitchell, jestem Derrick Connor – przedstawił się. – Policyjny negocjator.

– Dziękuję, że pan się do nas pofatygował. – Miała nadzieję, że zabrzmiało to szczerze. – Domyślam się, że nikt nie dzwonił?

– Nie, proszę pani.

– Są jakieś nowe wieści?

– Nie, ale jeśli coś się pojawi, pani dowie się pierwsza.

Faith miała co do tego poważne wątpliwości. Zadanie rudzielca nie ograniczało się do odbierania telefonów. Dopóki góra nie postanowi inaczej, nad głową Faith wisiały czarne chmury.

– Jest tu jeszcze jakiś funkcjonariusz? – spytała.

– Detektyw Taylor. Właśnie robi obchód terenu. Mogę go zawołać,

jeśli pani sobie...

– Dziękuję, ale chciałabym zostać sama.

– Tak jest, proszę pani. Gdyby mnie pani potrzebowała, będę za drzwiami. – Connor skinął głową Zeke’owi, po czym wyszedł przez rozsuwane szklane drzwi.

Siadając przy stole, Faith jęknęła. Czuła się, jakby godzinami była na nogach, chociaż większość dnia spędziła na siedząco. Zeke wciąż stał ze złożonymi na piersi rękami. Zagradał drzwi, jakby się bał, że siostra zerwie się i ucieknie.

– Wciąż słyszysz w siłach powietrznych? – spytała.

– Cztery miesiące temu przeniesiono mnie do Eglin.

Mniej więcej wtedy, gdy urodziła się Emma.

– Na Florydzie?

– O ile wiem, nic się w tej sprawie nie zmieniło. – Pytania Faith najwyraźniej podsycaly tylko jego gniew. – Oddelegowali mnie na dwa tygodnie do szpitala dla kombatantów przy Clairmont. Dobrze się stało, że przypadkiem jestem w mieście, inaczej Jeremy przez cały dzień byłby sam.

Faith przyglądała się bratu. Zeke Mitchell zawsze wyglądał tak, jakby stał na baczność. Nawet w wieku dziesięciu lat zachowywał się niczym major sił powietrznych, innymi słowy był urodzonym sztywniakiem.

– Czy mama wie, że wróciłeś do Stanów?

– Oczywiście. Byliśmy umówieni na kolację jutro wieczorem.

– Ale mnie nie zamierzałeś o tym poinformować?

– Nie chciałem żadnych dramatów.

Faith westchnęła głęboko i oparła się na krześle. Dramat – słowo najlepiej określające ich stosunki. Gdy Zeke chodził do ostatniej klasy szkoły średniej, spowodowała dramat w jego życiu, zachodząc w ciążę. Jej osobisty dramat zmusił go do przerwania nauki tuż przed maturą i zaciągnięcia się do wojska, gdzie stracił dziesięć lat. Kolejny dramat wywołała, decydując się na urodzenie Jeremy’ego, a już najbardziej dramatycznie zakończył się pogrzeb ich ojca, na którym płakała bez opamiętania.

– Oglądałem wiadomości. – Wygłosił te słowa jak oskarżenie.

Faith odepchnęła się od blatu stołu i wstała.

– Wobec tego wiesz, że zastrzeliłam dzisiaj dwóch ludzi.

– Gdzie się podziewałaś?

Jej ręce drżały, kiedy otwierała szafkę i wyjmowała z niej baton energetyczny. Rzuciła te słowa, jakby nigdy nic – „zastrzeliłam dzisiaj dwóch ludzi”. Podczas przesłuchania zauważyła, że im dłużej mówi na ten temat, tym bardziej uodparnia się na istotę tego, co zrobiła, więc powtarzając to teraz, czuła się po prostu otepiała.

– Zadałem ci pytanie, Faith. Gdzie się podziewałaś, kiedy mama cię potrzebowała? – powtórzył Zeke.

– A gdzieś ty się podziewał? – odparła pytaniem, rzucając baton na stół. Znów zakreśliło jej się w głowie. Zanim coś zje, powinna sobie zmierzyć poziom cukru we krwi. – Bo ja byłam na szkoleniu.

– Spóźniłaś się.

Założyła, że strzelał na oślep.

– Wcale nie.

– Rozmawiałem dzisiaj z mamą.

Poczuła, że jej zmysły się wyostrzyły.

– O której? – spytała. – Mówiłeś o tym policji?

– Oczywiście, że im mówiłem. Rozmawiałem z nią mniej więcej w południe.

Faith dotarła do domu matki niecałą godzinę później.

– Jak brzmiała? – dopytywała się. – Co mówiła?

– Narzekała, że znowu się spóźniasz, jak zawsze. Tak to wygląda. Cały świat musi się naginać do twojego rozkładu zajęć.

– Chryste! – szepnęła. Nie miała teraz siły na takie rozmowy. Zawiesili ją w obowiązkach, Bóg jeden raczy wiedzieć, na jak długo. Możliwe, że matka nie żyła. Syn był zdruzgotany, a brat ani na chwilę nie chciał zejść jej z oczu. Pomijając stres, odnosiła wrażenie, że głowę ma uwięzioną w imadle. Pogrzebała w torebce, szukając glukometru. Zapadnięcie w śpiączkę, choć w tym momencie wydawało się kuszące, nie rozwiązałyby jej problemów.

Położyła glukometr na stole. Nie znosiła mierzyć poziomu krwi na oczach innych, jednak Zeke najwyraźniej nie zamierzał zapewnić jej choć trochę prywatności. Wymieniła strzykawkę, rozpakowała

sterylny tampon. Zeke nie spuszczał z niej wzroku. Był lekarzem. Faith niemal słyszała, jak rejestrował w głowie wszystkie błędy, jakie popełniała w trakcie tej procedury.

Wycisnęła kroplę krwi na pasek. Rozbłysły cyfry. Pokazała bratu wyświetlacz, wiedząc, że i tak ją o to zapyta.

- Kiedy ostatnio coś jadłaś? – zapytał.
- Na posterunku dostałam krakersy z serem.
- To za mało.

Wstała, otworzyła lodówkę.

- Wiem.
- Poziom jest za wysoki. Pewnie z nadmiaru stresu.
- O tym również wiem.
- Jakie miałaś ostatnio HbA1c?
- Sześć koma jeden.

Usiadł przy stole.

– Bardzo przyzwoite – orzekł.

– Fakt – przyznała, wyjmując insulinę z drzwi lodówki. Właściwie taki wynik o włos przewyższał docelowy, a zatem był cholernie dobry, zwłaszcza że Faith niedawno rodziła.

– Naprawdę wierzysz w to, co mówiłaś? – spytał brat i zamilkł. Faith widziała, że to pytanie wiele go kosztowało. – Sądzisz, że uda się ją odzyskać?

Usiadła.

- Nie wiem – przyznała.
- Jest ranna?

Pokręciła głową, jednocześnie wzruszając ramionami. Policja nie udzielała jej żadnych informacji.

Pierś Zeke falowała ciężko.

– Po co ktoś miałby ją porywać? Czy ty... – Choć raz postanowił okazać wrażliwość. – Czy jesteś w coś umoczone?

– Czy zawsze musi z ciebie wychodzić taki drań, Zeke? – Nie liczyła na odpowiedź. – Mama przez piętnaście lat kierowała brygadą antynarkotykową. Narobiła sobie wrogów. To nieuchronnie wiązało się z jej pracą. Słyszałeś o śledztwie. Wiesz, dlaczego musiała przejść na emeryturę.

- To było cztery lata temu.
- W takich sprawach ograniczenia czasowe nie obowiązują. Może ktoś uznał, że czegoś od niej chce.
- Na przykład czego? Pieniądzy? Ona jest bez grosza. Mam wgląd we wszystkie jej konta. Dostaje emeryturę od miasta, część emerytury po ojcu, i tyle. Nie ma jeszcze nawet ubezpieczenia społecznego.
- Widocznie to rezultat dochodzenia. – Faith nabrała insuliny do strzykawki. – Cała jej ekipa wylądowała w pudle. Wielu kryminalistów nieźle się wkurzyło, kiedy przekupni gliniarze, których opłacali, wypadli z gry.
- Myślisz, że mają z tym coś wspólnego ludzie mamy?
- Faith pokręciła głową. Zawsze nazywali brygadę Evelyn „ludźmi mamy”, głównie dlatego, że tak było łatwiej.
- Nie mam pojęcia, kto maczał w tym palce i dlaczego.
- Przeglądacie akta ich starych spraw i maglujecie sprawców?
- Maglujemy? Skąd żeś wziął takie określenie? – Faith zadarła koszulę na tyle, by wbić igłę w brzuch. Nie poczuła kopa od razu, to lekarstwo nie działa w ten sposób. Zamknęła jednak oczy, marząc o tym, żeby minęły nudności. – Zawiesili mnie, Zeke. Odebrali mi broń i odznakę i kazali spadać do domu. Powiedz, co chcesz, żebym zrobiła?
- Splótł dłonie na stole i wbił wzrok w kciuki.
- Mogłabyś zadzwonić tu i tam? Przepytać informatorów? Nie znam się na tym, Faith. To ty od dwudziestu lat służysz w policji. Przypomnij się tym, którzy są ci winni przysługę.
- Od piętnastu lat, i nie mam do kogo zadzwonić. Zabiłam dziś dwóch ludzi. Nie zauważyłeś, jak ten gliniarz na mnie patrzył? Oni uważają, że jestem w to zamieszana. Nikt nie wyświadczy mi żadnej przysługi.
- Poruszył szczęką. Przyzwyczał się do tego, że jego rozkazy są wykonywane bez szemrania.
- Mama wciąż ma przyjaciół.
- Którzy pewnie srają teraz ze strachu, że skoro narozrabiła i w rezultacie została porwana, to i oni mogą oberwać.
- To mu się nie spodobało. Przycisnął brodę do piersi.



– W porządku. Rozumiem, że nic nie możesz zrobić. Jesteśmy bezradni. Tak jak mama.

– Amanda tego nie odpuści.

Zeke prychnął z niedowierzaniem. Nigdy nie lubił Amandy. Mógł znieść, że młodsza siostra próbuje nim rządzić, ale nie pozwoliłby się tak traktować nikomu spoza rodziny. Było to o tyle dziwne, że i on, i Faith, jak również Jeremy za młodu pieszczotliwie nazywali Amandę „ciocią Mandy”. Inna sprawa, że gdyby dziś Faith zwróciła się do niej w ten sposób, jak nic wyleciałaby z roboty. Zawsze jednak traktowali Amandę jak członka rodziny. Łączyła ją z Evelyn tak głęboka zażyłość, że czasami wręcz zastępowała im matkę.

Z drugiej strony była szefową Faith i trzymała ją na dystans, jak zresztą wszystkich, którzy dla niej pracowali. Którzy się z nią zetknęli. Albo uśmiechnęli się do niej na ulicy.

Faith rozpakowała baton energetyczny i ugryzła spory kęs. Jej chrupanie było jedynym odgłosem wśród panującej w kuchni absolutnej ciszy. Miała ochotę zamknąć oczy, lecz bała się tego, co zobaczy. Związaną matkę z kneblem w ustach. Zacerwienione oczy Jeremy’ego. Spojrzenie, jakim obrzucali ją dzisiaj gliniarze – jakby od ciągnącego się za nią smrodu winy robiło im się niedobrze.

Zeke odchrząknął. Faith pomyślała, że nie jest już do niej wrogo nastawiony, ale jego postawa świadczyła o czymś wręcz przeciwnym. Jeżeli w jej życiu był jakiś stały element, to tylko niezmiennie poczucie moralnej wyższości brata.

Chciała jak najszybciej mieć to z głowy.

– Co jest? – burknęła.

– Ten cały Victor wydawał się zaskoczony, kiedy usłyszał o Emmie. Pytał, w jakim jest wieku, kiedy się urodziła.

Zakrzusiła się, próbując przełknąć batonik.

– Victor był tutaj? W moim domu?

– Ktoś musiał zostać z Jeremym pod twoją nieobecność, dopóki tu nie dotarłem.

Faith cisnęła się na usta taka wiązanka przekleństw, jakiej Zeke nie słyszał nawet od żołnierzy, których cerował w Ramstein.

– Jeremy pokazał mu jej zdjęcie – dodał.

Znów spróbowała przełknąć, lecz miała wrażenie, że w gardle utkwiły jej zardzewiałe gwoździe.

– Emma ma jego odcień skóry – zauważył.

– Jeremy’ego?

– Tobie to już chyba weszło w krew. Podoba ci się rola samotnej matki?

– Czy zapomnieli cię uświadomić po powrocie, że Ronald Reagan nie jest już prezydentem?

– Jezu, Faith. Choć raz bądź poważna. Facet ma prawo wiedzieć, że jest ojcem.

– Uwierz mi na słowo, Victora nie interesuje rola tatusia. – Gość nie pamiętał nawet o zbieraniu brudnych skarpetek z podłogi ani o opuszczaniu deski sedesowej. Bóg jeden wie, o czym mógłby zapomnieć przy dziecku.

– Ma prawo wiedzieć – powtórzył Zeke.

– No to właśnie się dowiedział.

– Jasne, Faith. Przecież liczy się tylko to, żebyś to ty była szczęśliwa.

Po takiej tyradzie każdy normalny człowiek by się zmył, ale Zeke Mitchell nigdy nie unikał walki. Siedział i gapił się na siostrę, prowokując ją, żeby mu odpyskowała. Faith uciekła się do starych metod. Skoro postanowił się zachowywać jak dziesięciolatek, to ona również. Nie zwracając na niego uwagi, przewertowała katalog Land’s End i wyrwała kartkę z majtkami, które podobały się Jeremy’emu, żeby mu je zamówić.

Potem zaczęła oglądać koszulki termoaktywne, a Zeke rozparł się na krześle i bujając się, zaczął wyglądać przez okno.

Takie napięcie między nimi trwało od wielu lat. Ulubioną stałą śpiewką Zeke’a był egoizm Faith. Jak zwykle, traktowała tę dezaprobatę jako część pokuty. Miał bardzo konkretny powód, żeby jej nienawidzić. Osiemnastolatkowi, który dowiaduje się, że czternastoletnia siostra jest w ciąży, świat wali się na głowę. A odkąd Jeremy podrośł i Faith przekonała się, że bycie nastolatkiem to nie bułka z masłem – jak jej się wydawało, kiedy sama miała kilkanaście lat – zaczęła mieć wyrzuty sumienia z powodu tego, co zrobiła bratu.

Ojciec Faith, którego poproszono o rezygnację z biblijnej męskiej grupy dyskusyjnej, a także jej matka, którą niemal wszystkie kobiety w sąsiedztwie zaczęły bojkotować, ciężko odczuli niespodziewaną ciążę córki, ale Zeke przeżywał prawdziwe piekło. Przynajmniej co tydzień wracał ze szkoły z rozkwaszonym nosem albo podbitym okiem. Kiedy pytali go, co się stało, odmawiał odpowiedzi. Przy kolacji uśmiechał się do siostry szyderczo. Gdy przechodziła obok jego pokoju, patrzył na nią z niesmakiem. Nienawidził jej za to, co zrobiła rodzinie, a z drugiej strony spuszczał łomot każdemu, kto ośmielił się powiedzieć o niej złe słowo.

Niewiele już pamiętała z tamtych czasów. Nawet teraz uważała, że było to jedno długie pasmo rozpaczliwego użalania się nad sobą. Trudno uwierzyć, jak wiele się zmieniło w ciągu dwudziestu lat, jednak Atlanta, przynajmniej ta, w której żyła Faith, przypominała wtedy zapadłą dziurę. Ludzie wciąż odnosili sukcesy na fali konserwatyizmu epoki Reagana i Busha. Zachodząc w ciążę, Faith była rozpuszczoną, samolubną nastolatką. Skupiała się wyłącznie na tym, jaka to jest nieszczęśliwa. Ciąża była rezultatem jej pierwszej – i, jak wówczas przysięgała, ostatniej – przygody seksualnej. Rodzice ojca dziecka natychmiast wywieźli go do innego stanu. Faith nie miała przyjęcia z okazji piętnastych urodzin. Przyjaciele ją opuścili. Ojciec Jeremy'ego nigdy do niej nie napisał ani nie zadzwonił. Musiała chodzić do lekarzy, którzy penetrowali ją paluchami i obmacywali. Była wiecznie zmęczona i marudna, doskwierały jej hemoroidy i bóle krzyża, zresztą przy każdym ruchu wszystko ją bolało.

Ojciec Faith rzadko bywał w domu, nagle zaczęto go wysyłać w interesach, choć wcześniej wyjazdy nie należały do jego obowiązków. Jego życie toczyło się wokół Kościoła, lecz odebrano mu to zniechęca, z chwilą gdy pastor poinformował go, że stracił moralne prawo do sprawowania funkcji diakona. Matka zrezygnowała z pracy, żeby być z córką, do tej pory jednak nie wyjaśniła, czy odeszła dobrowolnie, czy ją do tego zmuszono.

Faith utkwilo w pamięci tylko to, że codziennie przesiadywały z matką w domu, jadały śmieciowe jedzenie, od którego tyły, i oglądały telenowełe, po których płakały. Evelyn radziła sobie ze

wstydem, jakim okryła się córka, prowadząc pustelniczy żywot. Jeśli nie musiała, nie wychodziła z domu. W poniedziałki wstawiała o brzasku i jechała do spożywczego na drugim końcu miasta, żeby nie natknąć się na kogoś znajomego. Nie przesiadywała z Faith na podwórku za domem nawet wtedy, gdy wysiadła klimatyzacja i w salonie było gorąco jak w piecu. Zażywała ruchu wyłącznie podczas spacerów po okolicy, ale robiła to albo późną nocą, albo nad ranem, zanim wzeszło słońce.

Ich sąsiadka, pani Levy, zostawiała im na schodach ciasteczka, nigdy jednak nie wchodziła do domu. Od czasu do czasu ktoś wrzucał do ich skrzynki na listy broszury religijne, które Evelyn paliła później w kominku. W owym czasie odwiedzała ich jedynie Amanda, która nie zamierzała wykreślić swojej nieomal szwagierki z grona towarzyskiego. Siadała z Evelyn w kuchni i rozmawiały tak cicho, że Faith nie mogła ich podsłuchać. Po wyjściu Amandy Evelyn zamykała się w łazience i płakała.

Nic dziwnego, że pewnego dnia Zeke wrócił ze szkoły nie z rozbitą wargą, tylko z papierami na zaciąg do wojska. Do końca nauki zostało mu pięć miesięcy. Służba w szkole przyszłych oficerów rezerwy oraz wyniki egzaminów przedwstępnych na studia zapewniały mu stypendium do Rutgers. A jednak niemal rok przed terminem zdał egzamin końcowy i poszedł na kurs przygotowawczy dla studentów medycyny.

Jeremy poznał wujka Zeke'a w wieku ośmiu lat. Krążyli wokół siebie nieufnie jak koty i dopiero kiedy zagrali w kosza, ich relacje się poprawiły. Jednakże Faith dobrze znała syna i widziała, że z rezerwą odnosi się do człowieka, który jego zdaniem nie traktował jego matki jak należy. Niestety, z biegiem lat miał aż nadto okazji do utwierdzania się w tej niechęci.

Zeke przestał się bujać na krześle, wciąż jednak nie patrzył na siostrę.

Faith bez pośpiechu żuła baton energetyczny, mimo narastającej fali mdłości zmuszając się do jedzenia. W przesuwanych oszklonych drzwiach zobaczyła odbicie kuchennego stołu oraz siedzącego sztywno jakby kij połknął brata. Za szkłem ujrzała czerwony błysk –

któryś z detektywów palił papierosa.

Kiedy zadzwonił telefon, wszyscy podskoczyli. Faith rzuciła się do słuchawki aparatu bezprzewodowego w chwili, gdy z podwórka za domem wrócili detektywi.

Usłyszała głos Willa.

– Nie mam nic nowego. Chciałem się tylko zameldować.

Faith ruchem reki odprawiła policjantów. Przeszła ze słuchawką do salonu.

– Gdzie jesteś? – spytała Willa.

– Dopiero co wróciłem do domu. Ciężarówka stanęła w poprzek drogi i zablokowała szosę trzy sześć pięć. Ściągali ją trzy godziny.

– Coś ty tam robił?

– Wraciałem z Coastal.

Faith poczuła, że żołądek podchodzi jej do gardła.

Will nie bawił się w pogaduszki o niczym. Opowiedział o wizycie w więzieniu i zamordowaniu Boyda Spiveya. Faith złapała się za pierś. Kiedy była młodsza, często zapraszali Boyda na rodzinne kolacje albo grilla w ogrodzie. To on nauczył Jeremy'ego jeździć na rowerze. Potem jednak tak jawnie zaczął flirtować z Faith, że jej ojciec powiedział mu, żeby znalazł sobie inny sposób na spędzanie weekendów.

– Czy wiedzą, kto go zabił?

– Kamera monitoringu w tym sektorze przypadkiem wysiadła. Więźniom nakazali powrót za kraty. Wywracają wszystkie cele do góry nogami. Ale naczelnik wątpi, żeby to coś dało.

– Pomógł w tym ktoś z zewnątrz – powiedziała. Na pewno któryś ze strażników wziął w łapę. Żaden skazaniec nie miałby dość czasu na uszkodzenie kamery w więziennym korytarzu.

– Przesłuchują personel, ale na miejscu są już prawnicy. Tu nie chodzi o tradycyjnych podejrzanych.

– Czy Amandzie nic się nie stało? – spytała Faith i zawstydyła się własnej głupoty. – Oczywiście, że jest cała i zdrowa.

– Dopięła swego. To zabójstwo otworzyło nam furtkę, teraz mamy wgląd w akta śledztwa przeciwko twojej mamie.

Wszystkie dochodzenia w sprawie śmierci, do których doszło na

terenie więzień w całym stanie, podlegały GBI.

– Przypuszczam, że to dobra wiadomość – bąknęła Faith.

Will milczał. Nie zapytał jej, jak się czuje, bo przecież z góry znał odpowiedź. Faith przypomniała sobie, jak po południu trzymał ją za ręce i zmuszał, żeby się skupiła, kiedy instruował ją, jak ma zeznawać. Ten przejaw czułości z jego strony był tak niespodziewany, że musiała przygryźć aż do krwi wewnętrzną stronę policzka, żeby się nie załamać i nie wybuchnąć płaczem.

– Wiesz, że nigdy nie zauważyłem, żeby Amanda wychodziła do łazienki? – zapytał nagle i ugryzł się w język. – Rzecz jasna, nie mówię o podglądaniu. Chodzi o to, że kiedy wracaliśmy z więzienia, zajęła na stację benzynową i weszła do środka. Nigdy nie widziałem, żeby zatrzymywała się z takiego powodu. A ty?

Faith przywykła do tego, że Will niespodziewanie zmienia temat.

– Nie, raczej nie – odparła. Amanda także bywała na rodzinnych kolacjach i grillach z Boydem Spiveyem. Przekomarzała się z nim tak, jak to robią gliniarze... podważała jego męskość, chwaliła za postępy w pracy, pomimo braków intelektualnych. Nie była jednak tak całkiem z kamienia. Bycie świadkiem śmierci Boyda musiało ją dużo kosztować.

– To było wyjątkowo krępujące – rzekł Will.

– Wyobrażam sobie. – Faith stanęła przed oczami Amanda, która wchodzi do ubikacji na stacji benzynowej, zamyka drzwi i przez dwie minuty oplakuje człowieka, który kiedyś wiele dla niej znaczył. Potem prawdopodobnie poprawiła makijaż, przeczesała włosy, a oddając klucz pracownikowi stacji, zapytała, czy dlatego zamykają toaletę, żeby nikt nie mógł jej sprzątnąć.

– Pewnie uważa oddawanie moczu za oznakę słabości – dodał Will.

– Jak większość ludzi. – Faith usiadła na kanapie. Will dał jej najlepszy prezent, jaki mogła teraz dostać: pozwolił jej się oderwać od kłopotów. – Dziękuję – powiedziała.

– Za co?

– Za to, że tu dziś wpadłeś. Że sprowadziłeś Sarę. Że tłumaczyłeś mi, co mam... – Przypomniała sobie, że telefon jest na podsłuchu. – Za to, że tłumaczyłeś mi, że wszystko dobrze się skończy.

Odchrząknął. Przez chwilę panowała cisza. W takich sytuacjach Will był beznadziejny, niemal równie do kitu jak ona.

– Zastanawiałaś się, czego szukali? – spytał w końcu.

– O niczym innym nie myślę. – Usłyszała odgłos otwieranych i zamykanych drzwi lodówki. Prawdopodobnie Zeke sporządzał wykaz żywności, której nie powinna mieć. – I co dalej?

Zawahał się.

– Mów – ponagliła go.

– Z samego rana jedziemy z Amandą do Valdosty.

Więzienie stanowe Valdosta. Ben Humphrey i Adam Hopkins. A więc rozmawiają ze wszystkimi członkami dawnej brygady Evelyn. Faith powinna się tego spodziewać, ale wiadomość o śmierci Boyda wytrąciła ją z równowagi. Powinna wiedzieć, że Will zechce wznowić śledztwo.

– Nie mogę blokować tej linii, na wypadek gdyby ktoś zadzwonił – powiedziała.

– W porządku.

Odłożyła słuchawkę; nie mieli sobie nic więcej do powiedzenia. Will wciąż uważał, że jej matka była winna. Przez niecałe dwa lata bliskiej współpracy musiał dostrzec, że Faith jako policjantka zawsze postępuje, jak należy, ponieważ tak wychowała ją matka, ale nadal sądził, że Evelyn Mitchell była skorumpowana.

W drzwiach stanął Zeke.

– Kto dzwonił? – spytał.

– Z pracy. – Wstała z kanapy. – Mój partner.

– Ten gnojek, który próbował wsadzić mamę do pudła?

– Ten sam.

– Nie pojmuję, jak możesz pracować z tym draniem.

– Uzgodniłam to z mamą.

– Ale nie ze mną.

– A dokąd miałam wysłać podanie? Do Niemiec czy na Florydę?

Patrzył na nią bez słowa.

Faith ani myślała tłumaczyć się przed bratem. To na polecenie Amandy została partnerka Willa, od matki zaś usłyszała, żeby zrobiła wszystko, co pomoże jej w karierze. Nie musiała wyjaśniać, że

odejście z policji miejskiej Atlanty, gdzie zmuszenie Evelyn do przejścia na emeryturę jedni uważali za odstawkę, a inni za zbrodnię, było wcale niegłupim pomysłem.

– Czy mama rozmawiała z tobą kiedyś o tym śledztwie?

– O to powinnaś raczej pytać swojego partnera.

– Pytam ciebie! – warknęła. Evelyn nie chciała z nią rozmawiać o szczegółach sprawy, i to nie tylko dlatego, że mogli wezwać Faith na świadka. – Jeśli ci coś powiedziała, a zwłaszcza jeśli wspomniała o czymś, co było nie w porządku, ale wtedy o tym nie pomyślałaś...

– Mnie się mama nie zwierza. To twoja rola.

W jego głosie zabrzmiała oskarżycielska nuta, jak gdyby siostra miała władzę pozwalającą odnaleźć ich matkę, tylko z wygodnictwa nie chciała z niej skorzystać. Faith spojrzała na ścienny zegar. Dochodziła dwudziesta pierwsza – za późno na takie gierki.

– Idę do łóżka. Jeremy znieś ci pościel. Ta kanapa jest całkiem wygodna.

Pokiwał głową, a Faith zasalutowała i odmeldowała się. Była już w połowie schodów, gdy Zeke odezwał się:

– To dobry chłopak.

Odwróciła się.

– Jeremy. To dobry chłopak – powtórzył.

– To prawda – potwierdziła z uśmiechem. Kiedy znalazła się na szczycie schodów, Zeke zrzucił drugą bombę:

– Mama dobrze się spisała.

Nie dała się złapać na przynętę, szła dalej. Zajrzała do Emmy. Mała mlasnęła, gdy Faith nachyliła się i pocałowała ją w czoło. Spała tak głęboko i błogo, jak tylko dzieciom jest to dane. Faith upewniła się, że elektroniczna niania jest włączona. Przesunęła ręką po ramieniu córeczki, aż malutkie paluszki zacisnęły się na jej placu.

Za ścianą, w pokoju Jeremy'ego, łóżko było puste. Faith postąpiła chwilę w progę. Nie zmieniła nic w pokoju syna, chociaż miło byłoby mieć własny gabinet. Na ścianach wciąż wisiały jego plakaty – mustanga GT z pochyloną nad maską blondynką w bikini, kolejny z półnągą brunetką upozowaną na karoserii camaro, a trzeci i czwarty przedstawiały samochody koncepcyjne, z nieodłącznymi piersiastymi



modelkami. Faith wciąż pamiętała, jak kiedyś po powrocie do domu ujrzała te skarby, wiszące na miejscu plakatów z mostami z południa Stanów Zjednoczonych. Jeremy do tej pory był przekonany, że udało mu się oszukać matkę i wmówić jej, że w wieku dorastania zaczął się nagle interesować samochodami.

– Jestem tutaj.

Zastała go w swoim pokoju. Jeremy leżał na brzuchu, z głową w stopach łóżka, z uniesionymi nogami i iPhone'em w ręku. Ściszył dźwięk w telewizorze, włączył tylko napisy.

– Wszystko w porządku? – spytała.

Odwrócił iPhone'a – najwyraźniej w coś grał.

– No.

Faith przypomniała sobie tę jego boginię płodności. Dziwne, że jej nie zastała. Zwykle była zrosnięta z Jeremym niczym bliźniaki syjamskie.

– Gdzie Kimberly? – zapytała.

– Rozstaliśmy się – odparł. Omal nie rozplakała się z poczucia ulgi.

– Słyszałem, że darliście się na siebie z Zeke'em.

– Kiedyś musi być ten pierwszy raz.

Odwrócił telefon ekranem w górę.

– Zawsze marzył mi się taki model – powiedziała. Zrozumiał aluzję i schował aparat do kieszeni. – Wiem, że słyszałeś, jak ktoś dzwonił. To był Will. Pracuje z ciocią Amandą.

– No i dobrze – bąknął, nie odrywając wzroku od telewizora.

Faith zabrała się do rozwiązywania sznurówek jego trampek. Z typową logiką nastolatka uważał, że skoro trzyma stopy nad łóżkiem, to błoto z butów nie spada na pościel. – Opowiedz mi, co tu się działo od przyjazdu Zeke'a.

– Robił z siebie pajaca.

– Wytlumacz mi to tak, jakbym była twoją matką.

W świetle padającym z ekranu telewizora zobaczyła, że się lekko zaczerwienił.

– Victor został ze mną. Mówiłem mu, że nie musi tu siedzieć, ale powiedział, że chce, więc...

Faith rozwiązała drugi trampek.

– Pokazałeś mu zdjęcie Emmy?

Wciąż wpatrywał się w telewizor. Jeremy naprawdę lubił Victora, zapewne miał dla niego więcej sympatii niż Faith, a to była tylko część problemu.

– Nic się nie stało – zapewniła go.

– Zeke traktował go jak gówno... znaczy się, niegrzecznie.

– A konkretnie jak?

– No, szturchał go paluchem w pierś, dyrygował nim.

Cały Zeke.

– Ale do niczego nie doszło?

– E tam, Victor jest z innej bajki.

Faith sama się tego domyśliła. Victor Martinez pracował w gabinecie, czytał „The Wall Street Journal”, nosił szykowne garnitury i szesnaście razy dziennie mył ręce. Był równie namiętny jak ameba. Taki już los Faith, że zakochiwała się wyłącznie w facetach noszących T-shirty i bijących jej brata po pysku.

Zsunęła trampek Jeremy’emu i skrzywiła się na widok stanu jego skarpetki.

– Palce powinny być w środku, studenciku – zwróciła mu uwagę. Zapisała sobie w pamięci, żeby zamawiając dla syna bieliznę, dokupić też skarpetek. Jego dzinsy również były już wyświechtane. A na koncie zostało jej ledwie trzysta dolarów. Bogu dzięki, że zawieszenie w pracy nie pociągało za sobą utraty pensji. Jeśli nie chce, żeby syn wyglądał jak włóczykij, będzie musiała sięgnąć po zaskórniaki.

Jeremy odwrócił się na plecy i spojrzał na nią.

– Pokazałem Victorowi zdjęcie Emmy ze świąt wielkanocnych – powiedział.

Przełknęła ślinę. Victor był mądry, ale nie trzeba geniusza, żeby dodać dwa do dwóch. A zresztą Faith była blondynką o jasnej cerze, Emma zaś odziedziczyła po ojcu ciemną karnację i ciemnobrązowe oczy.

– To, na którym ma przyczepione uszy królika?

Jeremy pokiwał głową.

– Ładne. – Faith widziała, że poczucie winy wzbiera w nim jak woda w zatkanym kiblu. – Nic się nie stało, Jay. I tak prędzej czy

później by się dowiedział.

– Wobec tego czemu sama mu nie powiedziałaś?

Dlatego, że u Faith opóźnienie w rozwoju emocjonalnym szło w parze z przeświadczeniem, że sama powinna panować nad wszystkim; Jeremy się dowie, na czym polega taka mieszanka, kiedy jego przyszła żona wykrzyczy mu to prosto w twarz.

– Nie zamierzam dyskutować z tobą na ten temat – ucięła.

Usiadł, zwrócony twarzą do niej.

– Babcia lubi Willa – rzekł.

Faith domyśliła się, że podsłuchał jej rozmowę z Zeke'em.

– Wiesz to od niej?

Przytaknął ruchem głowy.

– Powiedziała, że on jest w porządku. Traktował ją uczciwie. Dostał do wykonania paskudną robotę, ale się nie wyżywał.

Faith nie wiedziała, czy Evelyn próbowała rozproszyć obawy Jeremy'ego, czy może wyraziła swoją prawdziwą opinię. Znając matkę, podejrzewała, że i jedno, i drugie.

– Czy wyjaśniła ci kiedyś, dlaczego przeszła na emeryturę? – spytała.

Zaczął skubać wystającą z narzuty nitkę.

– Powiedziała, że to jej wina, że jako szefowa nie zauważyła, co jest grane.

To i tak więcej, niż kiedykolwiek wyznała Faith.

– Coś jeszcze?

Pokręcił głową.

– Cieszę się, że Will pomaga cioci Amandzie. Sama nie dałaby rady zajmować się wszystkim. A to naprawdę bystry gość.

Złapała Jeremy'ego za rękę i przytrzymała, dopóki na nią nie spojrział. Jedyne światło w pokoju padało z ekranu telewizora. W jego blasku twarz chłopaka wydawała się zielona.

– Wiem, że się martwisz o babcię, i wiem, że nic, co powiem, nie poprawi ci nastroju – rzekła.

– Dzięki. – Nie rzucił tego na odczep. Zawsze doceniał szczerłość.

Podniosła go z łóżka i objęła. Był wąski w ramionach. Wyglądał jak tyczka, dopiero miał się stać mężczyzną, mimo że codziennie jadał

wyłącznie makaron zapiekany z serem.

Pozwolił się tulić dłużej niż zwykle. Pocałowała go w głowę.

– Wszystko będzie dobrze.

– Babcia zawsze mówiła tak samo.

– I zawsze miała rację. – Uścisnęła syna jeszcze mocniej.

– Mamo, udusisz mnie!

Puściła go, acz niechętnie.

– Przyniesź pościel dla wujka Zeke'a. Będzie spał na kanapie.

Jeremy włożył trampki.

– Czy on zawsze był taki? – zapytał.

Faith nie udawała, że nie wie, o co mu chodzi.

– Kiedy był mały i musiał puścić baka, czekał z tym, aż dobiegnie do mojego pokoju.

Jeremy parsknął śmiechem.

– A potem zagroził, że jeśli na niego doniosę, nazre się grochu i sera, przytrzyma mi głowę i pierdnie prosto w twarz.

Tego już Jeremy nie wytrzymał. Zgiął się wpół i trzymając się za brzuch, zaczął rzeć jak koń.

– I co, zrobił to?

Faith przytaknęła ruchem głowy, co wywołało u niego jeszcze większy atak śmiechu. Przez jakiś czas dała mu się napawać swoim upokorzeniem, a potem szturchnęła go w ramię.

– Czas spać.

Otarł łzy z oczu.

– Kurde, muszę tak zrobić z Hornerem.

Horner był jego współlokatorem w akademiku. Faith wątpiła, czy w ich pokoju ktokolwiek zwróciłby uwagę na jeszcze jeden odrażający zapach.

– Weź poduszkę z szafy dla Zeke'a. – Wypchnęła go z pokoju. Idąc korytarzem, wciąż zanosił się śmiechem. Zapłaciła niewielką cenę za to, żeby zobaczyć, jak zmartwienie choć na chwilę znika z twarzy syna.

Odchyliła kołdrę na łóżku, upapraną ziemią sypiąca się z tenisówek Jeremy'ego. Była zbyt zmęczona, żeby zmieniać pościel. Nie miała nawet siły włożyć koszuli nocnej ani umyć zębów. Zrzuciła tylko buty

i położyła się w tym samym mundurze GBI, który włożyła o piątej rano.

W domu panowała cisza. Faith była tak spięta, że odnosiła wrażenie, jakby leżała na desce. Z elektronicznej niani dobiegało ciche pochrapywanie Emmy. Faith wpatrzyła się w sufit. Zapomniała zgasić telewizor. Światło z filmu akcji, który oglądał Jeremy, błyskało niczym stroboskop.

Nie potrafiła pogodzić się z myślą, że Boyd Spivey nie żyje. To był kawał chłopa, wielki jak dąb, jeden z tych gliniarzy, po których spodziewano się, że odejdą w blasku chwały. Stanowił przeciwieństwo swojego partnera, Chucka Finna. Chuck był zgorzkniały, wszystko widział w czarnych barwach i żył w wiecznym strachu, że polegnie na służbie. Jego linia obrony podczas śledztwa jako jedyna trafiała Faith do przekonania. Chuck twierdził, że tylko wykonywał rozkazy. Tym, którzy go znali, wydawało się to ze wszech miar wiarygodnie. Detektyw Finn był uosobieniem człowieka ślepo spełniającego polecenia, a ludzie tacy jak Boyd Spivey doskonale wiedzieli, jak wykorzystać ten typ osobowości dla swoich celów.

W tym momencie Faith nie miała jednak ochoty rozmyślać o Boydzie, Chucku ani o reszcie brygady matki. To śledztwo zabrało jej pół roku życia. Sześć miesięcy bezsennych nocy. Sześć miesięcy zamartwiania się, że matka dostanie ataku serca, wyląduje w pudle, a może jedno i drugie.

Zmusiła się, by zamknąć oczy. Chciała pomyśleć o dobrych czasach spędzonych z mamą, przywołać chwile czułości, przypomnieć sobie radość z przebywania w jej towarzystwie. Zamiast tego ujrzała sypialnię matki, a w niej mężczyznę z czarną dziurą na środku czoła, po kuli, którą w niego wpakowała. Podrzucił ręce do góry. Zakładnik gapił się na Faith z niedowierzaniem. Rozdziawił usta. Zobaczyła na jego zębach srebrny aparat korekcyjny oraz srebrny kolczyk w języku.

Powiedział: Almeja.

Pieniądze.

Faith usłyszała skrzypienie podłogi w korytarzu.

– Jeremy? – Wsparła się na łokciu, włączyła lampę na stoliku nocnym.

Spojrzał na nią ze zmieszaniem.

– Przepraszam, wiem, że jesteś zmęczona.

– Chcesz, żebym sama zaniósła pościel Zeke’owi?

– Nie, nie o to chodzi. – Wyciągnął z kieszeni iPhone’a. – Coś się pojawiło na mojej stronie na Facebooku.

– Sądziłam, że już z niej nie korzystasz, odkąd zmusiłam cię, żebyś mnie przyjął do grona przyjaciół. – Faith nie zaliczała się do rodziców, którzy bezwarunkowo ufają swoim dzieciom. Jej rodzice popełnili ten błąd, i proszę, jak na tym wyszli. – Coś się stało?

Odpowiadając, przesuwiał kciukiem po ekranie.

– Nudziło mi się. Znaczy się, może nie nudziło, ale nie miałem nic lepszego do roboty, więc...

– W porządku, synu. – Usiadła na łóżku. – O co chodzi?

– Odezwało się mnóstwo ludzi. Pewnie usłyszeli o babci w wiadomościach.

– To miło – odparła, choć uważała, że jest to nieco upiorne i, używając słownictwa jej brata, „dramatyczne”. – I co piszą?

– Głównie, że są myślami ze mną, i takie tam. Ale jest też to. – Odwrócił telefon i podał go matce.

Faith odczytała wiadomość na głos:

– „Hej, Ptaszku, mam nadzieję, że wszystko gra. Dranie zostaną wskazani palcem, jak nic. Pamiętaj tylko, co mawiała twoja babka: trzymaj gębę na kłódkę i miej oczy otwarte”. – Sprawdziła nadawcę. – DobryRycerz92. Czy to ktoś, z kim chodziłeś do Grady? – Maskotką jej syna w liceum był rycerz, a Jeremy urodził się w 1992 roku.

Wzruszył ramionami.

– Nigdy o nim nie słyszałem.

Faith zwróciła uwagę, że wiadomość nadeszła o czternastej trzydzieści dwie, niecałą godzinę po uprowadzeniu Evelyn.

– Kiedy przyjął cię do grona znajomych? – spytała, siląc się na bez troski ton.

– Dzisiaj, podobnie jak mnóstwo innych ludzi. Pojawili się jak grzyby po deszczu.

Oddała mu telefon.

– Co podał w swoim profilu?

– Tylko tyle, że mieszka w Atlancie i robi w dystrybucji. – Przesunął kciukiem po ekranie i pokazał go matce.

Była tak zmęczona, że obraz rozpląwał jej się przed oczami. Przysunęła telefon bliżej, by móc odczytać tekst. W opisie nie było nic więcej, brakowało nawet zdjęcia. Jeremy był jedynym przyjacielem użytkownika DobryRycerz. Policyjna intuicja podpowiadała Faith, że coś tu jest nie tak, ale jakby nigdy nic, oddała telefon. – To na pewno ktoś, z kim chodziłeś do Morningside. Tak ci tam dokuczali z powodu tego „Ptaszka”, jak cię nazywała babcia, że wyblagałeś, żebym cię przeniosła do innej szkoły.

– Ale przyznasz, że to trochę dziwne.

Nie chciała, żeby się zamartwiał.

– Większość twoich przyjaciół jest dziwna.

To go nie uspokoiło.

– Skąd wiedział, co powtarzała mi babcia?

– To popularne powiedzenie. Język za zębami, oczy otwarte. Mój instruktor musztry w akademii miał to niemal wytatuowane na czole.

– Starala się mówić lekkim tonem. – Daj spokój. To nic takiego. Pewnie to dziecko jakiegoś gliniarza. Wiesz, jak to działa. Jeśli dzieje się coś złego, wszyscy stajemy się jedną rodziną.

W końcu dał się uspokoić. Nieraz musiał odwiedzać szpitale albo domy nieznanym, gdy jakiś policjant został ranny albo zabity. Teraz schował telefon do kieszeni.

– Wszystko w porządku? – spytała go.

Kiwnął głową.

– Jeśli chcesz, możesz spać tutaj – zaproponowała.

– To dopiero byłoby dziwne, mamó.

– W razie czego mnie obudź. – Położyła się, wsuwając rękę pod poduszkę. Dotknęła czegoś mokrego. Znajomego.

Jeremy natychmiast zauważył, że coś jest nie tak.

– Co się stało? – spytał.

Faith ścisnęło w piersi, nie mogła oddychać. Milczała, w obawie, że głos ją zawiedzie.

– Mamó?

– To zmęczenie – wykrztusiła. – Po prostu jestem zmęczona. – Jej

płuca domagały się tlenu. Czuła, że od stóp do głów oblewa się potem. – Znieś tę pościel, inaczej Zeke jest gotów przyjść tu na górę.

– Czy...

– Mam za sobą ciężki dzień, Jeremy. Muszę się przespać.

Wciąż się ociągał.

– Jak chcesz – burknął.

– Zamknij za sobą drzwi. – Wątpiła, żeby zdołała zwlec się z łóżka, nawet gdyby tego chciała.

Zamykając drzwi, Jeremy jeszcze raz obrzucił ją zatroskanym wzrokiem. Faith usłyszała trzask zamka, a potem ciche kroki syna, kiedy szedł korytarzem do pralni. Dopiero gdy usłyszała skrzypnięcie trzeciego stopnia od dołu schodów, ośmieliła się wyciągnąć rękę spod poduszki.

Otworzyła pięść. Ostre ukłucie strachu ustąpiło, teraz zaślepiła ją wściekłość.

Wiadomość w telefonie Jeremy'ego. Jego liceum. I rok urodzin.

„Trzymaj gębę na kłódkę i miej oczy otwarte”.

Jej syn leżał na tym łóżku, ze stopami o kilka centymetrów od tego, co znalazła.

„Dranie zostaną wskazani palcem, jak nic”.

Te słowa nabrały sensu dopiero wtedy, gdy Faith wzięła do ręki odcięty palec matki.



## Rozdział 6

Wstręt do samej siebie nie był dla Sary Linton niczym nowym. Wstydziała się, kiedy ojciec przyłapał ją na kradzieży batonika w kościele – wzięła go sobie za darmo z pudła, do którego za każdy łąkość należało wrzucić datek. Czuła się upokorzona, gdy odkryła, że mąż ją zdradza. Miała poczucie winy z powodu tego, że okłamywała siostrę, zapewniając ją, że lubi szwagra. Z zażenowaniem wysłuchiwała przytyków matki, że jest za wysoka do noszenia spodni do połowy łydki. Nie uważała, by nosiła się szmirowato, więc świadomość, że jest nie lepsza od bohaterek telewizyjnych reality show, dotknęła ją do żywego.

A teraz, wiele godzin po fakcie, twarz wciąż paliła ją na myśl o scysji z Angie Trent. O ile pamiętała, tylko raz zdarzyło jej się, żeby jakaś kobieta potraktowała ją tak jak Angie – kiedy przyłapała matkę Jeffreya, paskudną pijaczkę, w stanie kompletnego upojenia. Z tą jednak różnicą, że Angie miała pełne prawo nazwać Sarę zdzirą.

Matka Sary użyłaby słowa „rozpustnica”.

No ale Sara nie zamierzała jej o tym opowiadać.

Wyłączyła dźwięk w telewizorze, hałas działał jej na nerwy. Spróbowała poczytać. Spróbowała wysprzątać mieszkanie. Przycięła pazury psu. Zmyła naczynia i poskładała ubrania, które tak długo leżały na kanapie, że najpierw musiała je wyprasować, żeby zmieściły się do szuflad.

Dwukrotnie ruszała do windy, chcąc odstawić samochód Willa pod jego dom. I dwukrotnie zawracała. Miała kłopot z kluczami. Nie mogła ich zostawić w samochodzie, a za żadne skarby nie zamierzała pukać do drzwi i oddawać ich Angie. Wrzucenie ich do skrzynki na listy również nie wchodziło w rachubę. Dzielnica, w której mieszkał Will, nie zaliczała się do najgorszych, ale w końcu leżała w samym centrum metropolii. Zanim Sara zdążyłaby wrócić pieszo do siebie, samochód zniknąłby bez śladu.

Dlatego wciąż wynajdywała sobie nowe zajęcia, przez cały czas bojąc się przyjazdu Willa jak borowania zęba. Co ma mu powiedzieć,

kiedy wreszcie zjawi się, żeby odebrać samochód? Nie potrafiła znaleźć stosownych słów, choć w duchu ćwiczyła bez liku wykładów na temat moralności i honoru. Głos w jej głowie przemawiał głosem kaznodziei baptysty. To było wstrętne. Tak nie można. Nie zamierzała odgrywać żalostnej roli tej drugiej. Nie zamierzała również kraść cudzego męża, nawet gdyby nie miał nic przeciwko temu. Nie chciała wdawać się w pyskówki z Angie Trent. A przede wszystkim nie miała ochoty mieszać w ich niewiarygodnie dysfunkcyjnym związku.

Trzeba być prawdziwym potworem, by przechwalać się, że mąż próbował popełnić samobójstwo. Na samą myśl o tym Sarze robiło się niedobrze. Nasuwało się też istotniejsze pytanie: jak bardzo stoczył się Will, skoro uznał, że nie ma innego wyjścia, niż podciąć sobie żyły? Jak głęboką obsesję miał na punkcie Angie, skoro zrobił coś tak strasznego? I jak pokopana była ona, skoro podtrzymywała go, kiedy się chlastał?

Takie pytania nadawały się w sam raz dla psychiatry. To jasne, że w dzieciństwie Will nie miał lekko. Już sam ten fakt mógł się odbić na jego psychice. Dysleksja stanowiła dla niego poważny problem, ale raczej nie uniemożliwiała normalnego życia. Miał swoje dziwactwa, to prawda, lecz były urocze, nie odstręczające. Czy w końcu udało mu się pokonać skłonności samobójcze, czy tylko skutecznie je ukrywał? A jeśli ten etap życia miał już za sobą, to dlaczego wciąż był z tą koszmarną kobietą?

Z drugiej strony, skoro Sara postanowiła, że do niczego między nimi nie dojdzie, to dlaczego traciła czas, zastanawiając się nad tymi sprawami?

Will nawet nie był w jej typie. Zupełnie nie przypominał Jeffreya. W przeciwieństwie do jej męża nie obnosił się z kolosalną pewnością siebie. Pomimo wysokiego wzrostu Will nie zastraszał ludzi posturą. Jeffrey niegdyś grał w futbol. Potrafił dowodzić drużyną. Will miał naturę samotnika, chętnie wtapiał się w tło i robił swoje, chodząc na pasku Amandy. Nie pragnął chwały ani uznania. Wprawdzie Jeffrey również nie zabiegał o popularność, jednak wprost niewiarygodnie polegał na tym, co sobą reprezentuje i na czym mu zależy. W jego towarzystwie kobiety mdlały z zachwytem. Prawie wszystko potrafił

zrobić jak należy i był to jeden z wielu powodów, dla którego, wbrew wszelkiej logice, Sara za niego wyszła. I to dwukrotnie.

Może zresztą Will Trent tak naprawdę wcale jej nie interesował. Może Angie Trent miała częściowo rację. Sarze odpowiadała rola żony gliniarza, choć nie z perwersyjnych powodów, jak sugerowała Angie. Od zawsze podobało jej się czarno-białe widzenie świata przez stróżów prawa. Rodzice wychowali ją w duchu pomagania innym, a któż bardziej pomaga ludziom niż policjant? Poza tym pociągał ją element łamigłówek, związany z każdym śledztwem. Uwielbiała rozmawiać z Jeffreyem o jego pracy. Pracując w kostnicy jako koroner hrabstwa, znajdując poszlaki i dostarczając mężowi informacji, które mogły mu pomóc w śledztwie, czuła się pożyteczna.

Jęknęła. Czyż bycie lekarzem samo w sobie nie jest pożyteczne? Może Angie Trent miała jednak rację co do perwersji. Jeszcze trochę i Sara zacznie sobie wyobrażać Willa w mundurze.

Zrzuciła z kolan dwa charty, żeby wstać. Billy ziewnął. Bob dla wygody przeturlał się na grzbiet. Sara rozejrzała się po mieszkaniu. Podenerwowanie wzięło górę. Czuła przemożne pragnienie dokonania jakiejś zmiany, jakiegokolwiek, by znów uwierzyła, że panuje nad swoim życiem.

Zaczęła od kanap, ustawiając je na skos w stosunku do telewizora, podczas gdy psy patrzyły, jak podłoga przesuwana się pod nimi. Niski stolik okazał się za duży do nowego rozkładu wnętrza, więc przestawiła wszystko raz jeszcze, lecz i ten układ nie wzbudził jej uznania. Zanim zrolowała dywan i przepchnęła meble na dawne miejsce, była złana potem.

Na górze ramki na zdjęcie, stojącej na stoliku pod ścianą, zebrał się kurz. Sara wyjęła środek do pielęgnacji mebli i ponownie zaczęła sprzątać. Powierzchni do odkurzania miała bez liku. Mieszkała w budynku przerobionym z przetwórnicy mleka – ściany z czerwonej cegły, wysokie na ponad sześć metrów sufity. Wszystkie instalacje biegły na widoku. Drzwi wewnętrzne wykonano ze sztucznie postarzonego drewna, klamki pochodziły z wrót stodoły. Tego typu industrialne lofty występowały dość powszechnie w Nowym Jorku, ale Sara zapłaciła za swój zdecydowanie mniej niż dziesięć milionów

dolarów – bo tyle taki lokal kosztowałby na Manhattanie.

Zdecydowała się na to mieszkanie głównie dlatego, że wszyscy jej to odradzali, uważali, że się dla niej nie nadaje. Po przeprowadzce do Atlanty marzyła o skrajnym przeciwieństwie prostego parterowego domu, który zostawiła za sobą. Ostatnio jednak nachodziły ją myśli, że może trochę przesadziła. Pomieszczenie bez ścianek działowych wydawało się przeogromne. Kuchnia, wyposażona w sprzęty z nierdzewnej stali i blaty z czarnego granitu, była równie droga, co bezużyteczna dla kogoś takiego jak Sara, która słyszała z tego, że potrafi przypalić zupę. Umeblowanie było zbyt nowoczesne. Wykonany z jednego kawałka drewna stół na dwanaście osób stanowił absurdalny luksus, skoro korzystała z niego wyłącznie do sortowania poczty i odkładania pudełek z pizzą, kiedy płaciła dostawcy.

Odłożyła płyn do czyszczenia do mebli. Problem nie tkwił w kurzu. Powinna się przeprowadzić. Znaleźć sobie mały domek w którejś z mieszkalnych dzielnic Atlanty i pozbyć się niskich skórzanych kanap oraz równie niskich szklanych stolików. Potrzebowała puszystych sof i szerokich foteli, na których można by się wygodnie umościć do czytania. Przydałaby jej się kuchnia z niewyszukanym zlewem, z której przez otwarte na oścież okna miałyby pogodny widok na podwórko za domem.

Powinna zamieszkać w czymś takim jak dom Willa.

Jej uwagę przykuł telewizor. Na ekranie przewijała się tablica z zapowiedziami wieczornych wiadomości. Przed więzieniem stanowym Coastal stał reporter z grobową miną. Więźniowie nazywali ten ośrodek po prostu „Coastal”, doskonale wiedząc, że w stanie Georgia właśnie tutaj wykonuje się wyroki śmierci. Sara widziała kiedyś dokument o dwóch zamordowanych tu mężczyznach i pomyślała wtedy to samo, co teraz – że to kolejny powód, by się nie wiązać z Willem Trentem.

Pracował nad sprawą Evelyn Mitchell. Dziś prawdopodobnie nie zbliżał się do tego więzienia, a jednak z chwilą, gdy Sara usłyszała o zamordowanym funkcjonariuszu, serce podeszło jej do gardła. Nawet kiedy podano jego nazwisko, jak również nazwisko zabitego

więźnia, jej serce wciąż szalało. Dzięki Jeffreyowi wiedziała, jakie to uczucie, gdy w środku nocy niespodziewanie dzwoni telefon. Pamiętała, jak to jest, kiedy na każdy temat w wiadomościach, na każdą najmniejszą plotkę ścisła ją ze strachu, że mężowi przydzielą kolejne śledztwo, podczas którego znów znajdzie się w niebezpieczeństwie. Była to forma nerwicy pourazowej. Dopiero po śmierci męża Sara uświadomiła sobie, że przez te wszystkie lata żyła w wiecznym strachu.

Zabrzączał domofon. Billy warknął bez przekonania, ale ani on, ani Bob nie zwłóknął się z kanapy. Sara włączyła mikrofon.

– Tak?

Usłyszała głos Willa:

– Cześć. Przepraszam, ja...

Nacisnęła przycisk otwierający bramę. Porwała z blatu kluczyki, po czym uchyliła drzwi wejściowe. Ani myślała zapraszać go do środka. Nie chciała, żeby przeproszał ją za to, co powiedziała Angie, bo Angie Trent miała pełne prawo wyrazić swoje zdanie, a co więcej, w wielu punktach Sara nie mogła odmówić jej racji. Zamierzała mu więc powiedzieć, że miło było go poznać i że oby udało mu się dogadać z żoną.

Jeżeli w ogóle tu dotrze. Windzie jakoś się nie śpieszyło. Sara obserwowała cyfrowy wyświetlacz – kabina zjeżdżała z czwartego piętra na parter. Minęła kolejna wieczność, zanim cyferki zaczęły wzrastać. Odliczała na głos: „Trzy, cztery, pięć”. W końcu zabrzączał dzwonek na szóstym piętrze.

Rozsunęły się drzwi windy. Will wyjrzał zza piramidy złożonej z dwóch pudeł na akta, białego opakowania ze styropianu oraz torby pączków Krispy Kreme. Charty, które łaskawie zauważały obecność Sary wyłącznie w porze kolacji, wybiegły mu na spotkanie.

Zakłęła pod nosem.

– Przepraszam za późną porę. – Odwrócił się bokiem, żeby Bob go nie przewrócił.

Sara złapała charty za obroże, przytrzymując drzwi stopą, żeby Will mógł wejść do środka. Odstawił pudła na stół w jadalni i od razu zaczął się bawić z psami. Lizwały go jak dawno utraconego przyjaciela,

merdając ogonami i drapiąc pazurami drewnianą podłogę. Determinacja Sary, jeszcze kilka sekund temu niezłomna, wyraźnie osłabła.

Will zadarł głowę.

– Zerwałem cię z łóżka? – zapytał.

Stosownie do nastroju ubrała się w stare spodnie od dresu oraz bluzę z logo drużyny futbolowej Grant County Rebels. Włosy związała w tak ciasny kok, że czuła, jak ściąga jej skórę na karku.

– Proszę, twoje kluczyki – powiedziała.

– Dzięki. – Strząsnął psie włosy z piersi. Wciąż miał na sobie tę samą czarną koszulkę co po południu. – Hej! – Odciągnął Boba, który zaczął się dobierać do Krispy Kremes.

– Czy to krew? – Na prawym rękawie koszulki widniała ciemna, wyschnięta plama. Sara odruchowo chciała go złapać za rękę.

Cofnął się o krok.

– Nie ma o czym mówić. – Opuścił rękaw. – Rezultat dzisiejszego zajścia w więzieniu.

Sara poczuła jakże znajomy ucisk w piersi.

– Byłeś tam.

– Nie mogłem mu pomóc. Może ty byś... – Zawiesił głos. – Lekarz więzienny orzekł, że rana była śmiertelna. Boyd Spivey stracił mnóstwo krwi. Po powrocie do domu powinienem zmienić koszulę, ale mam mnóstwo roboty, a u mnie jest teraz prawdziwe pobojuwisko.

A zatem był w domu. Nie wiadomo dlaczego, Sara przez chwilę łudziła się nadzieją, że nie widział się z żoną.

– Powinniśmy porozmawiać o tym, co się stało – rzekła.

– Hm... – Najwyraźniej postanowił udawać, że nie wie, o co chodzi.

– Nie bardzo jest o czym mówić. Facet nie żyje. Nie należał do najporządniejszych ludzi, ale dla jego rodziny to na pewno ciężki cios.

Sara mierzyła go wzrokiem. Miał minę niewiniątka. Może Angie nie wspomniała mu o zajściu. Albo mu powiedziała, on zaś próbował udawać, że nic się nie stało. Tak czy owak, coś ukrywał. Ale po kilku godzinach doprowadzania się do stanu, w którym odchodziła od zmysłów, nagle Sarze było wszystko jedno. Nie chciała już o tym

rozmawiać. Nie chciała tego analizować. Była pewna tylko jednego – nie chciała, żeby sobie poszedł.

– Co jest w tych pudłach? – spytała.

Najwyraźniej zauważył zmianę w jej stosunku do niego, ale postanowił się z tym nie zdradzać.

– Teczki z aktami starego śledztwa. Może ma coś wspólnego ze zniknięciem Evelyn.

– Nie z porwaniem?

Jego uśmiech dowodził, że dał się przyłapać.

– Do piątej rano muszę poznać zawartość wszystkich tych teczek – powiedział.

– I przyda ci się pomoc?

– Nie. – Odwrócił się, żeby podnieść pudła. – Dzięki, że odwiozłaś Betty do domu.

– Dysleksja to nie wada charakteru.

Odstawił pudła na stół i odwrócił się. Nie odpowiedział od razu. Patrzył na nią w taki sposób, aż pożałowała, że nie chciało jej się wykąpać.

– Chyba wolałem, jak się na mnie wściekałaś – odezwał się w końcu.

Nie odpowiedziała.

– Chodzi o Angie, prawda? – spytał. – To przez nią się denerwujesz?

Ta podstępna zmiana tematu stanowiła dla niej nowość.

– Zdaje się, że ignorowaliśmy jej istnienie – rzekła.

– Chciałabyś, żeby nadal tak było?

Wzruszyła ramionami. Nie wiedziała, czego właściwie chce. W gruncie rzeczy powinna mu powiedzieć, że to koniec ich niewinnego flirtu. A potem otworzyć drzwi i kazać mu wyjść. Jutro rano powinna zadzwonić do doktora Dale'a i umówić się z nim na następną randkę. Powinna dać sobie spokój z Willem i z biegiem czasu zapomnieć o nim na dobre.

Tyle że problem nie leżał w jej pamięci. Chodziło o ten ucisk w piersi, gdy pomyślała, że mógł się znaleźć w niebezpieczeństwie. O to poczucie ulgi, kiedy przekroczył próg jej mieszkania. I o to, że

będąc w pobliżu niego, czuła się szczęśliwa.

– Angie i ja nie jesteśmy ze sobą od ponad roku... nie żyjemy pod jednym dachem. – Zamilkł, żeby miała szansę przetrwać te słowa. – Od czasu, kiedy cię poznałem.

– Och. – Nic więcej nie zdołała wykrztusić.

– Kilka miesięcy temu, kiedy umarła jej matka, widziałem ją przez jakieś dwie godziny, a potem zniknęła. Nawet nie przysłała na pogrzeb. – Znów zamilkł, najwyraźniej ta rozmowa dużo go kosztowała. – Trudno wyjaśnić łączące nas relacje. W każdym razie trudno wyjaśnić je tak, żebym nie wyszedł na żalostnego idiotę.

– Nie musisz mi się tłumaczyć.

Schował ręce do kieszeni i oparł się o stół. Górne światło padło na nierówną bliznę nad jego ustami. Na różowej skórze cienka linia oddzielała górną wargę od nosa. Sara nie potrafiłaby zliczyć, ile czasu straciła, zastanawiając się, jak by to było poczuć tę bliznę na swoich ustach.

Zmarnowała zbyt wiele czasu.

Will odchrząknął. Spojrzał na podłogę, a potem znów na Sarę.

– Wiesz, gdzie dorastałem i jak się wychowywałem.

Skinęła głową. Miejski sierociniec zamknięto wiele lat temu, lecz opuszczony budynek wciąż stał niecałe siedem kilometrów od miejsca, gdzie się znajdowali.

– Dzieciaki często zabierano. Władze próbowały przekazać jak najwięcej z nas do rodzin zastępczych. Przypuszczam, że tak wypadało taniej. – Wzruszył ramionami, jakby należało się tego spodziewać. – Z tymi starszymi zwykle się nie udawało. Wytrzymały najwyżej kilka tygodni, czasami tylko parę dni. Wracaly odmienione. Pewnie się domyślasz dlaczego.

Pokręciła głową. Wolala sobie tego nie wyobrażać.

– Do ośmiolatka, który nie potrafił zdać do trzeciej klasy, nie ustawiała się kolejka chętnych. Ale Angie była piękną dziewczynką, więc zabierano ją bardzo często. – Znów wzruszył ramionami. – Chyba przywykłem do czekania na jej powrót i chyba nauczyłem się nie pytać, co się z nią działo na zewnątrz. – Odepchnął się od stołu i wziął pudła. – I to by było na tyle. Żalostne i głupie.



– Nie. Will...

Zatrzymał się przy drzwiach, trzymając pudła przed sobą, jak tarczę.

– Amanda prosiła, żebym cię zapytał, czy znasz kogoś w biurze lekarza sądowego Fulton – powiedział.

Chwilę trwało, zanim mózg Sary przestawił się na właściwy bieg.

– Pewnie tak. Kiedy zaczynałam, odbywałam tam szkolenie.

Przełożył pudła, żeby mu było wygodniej.

– To prośba Amandy, nie moja. Chciałaby, żebyś zadzwoniła tu i tam. Nie musisz tego robić, ale...

– Czego chce się dowiedzieć?

– Wszystkiego, co wyszło podczas sekcji. Nie udostępnią nam wyników. Chcą sami prowadzić to śledztwo.

Stał odwrócony do drzwi, czekał. Spojrzała na jego szyję, na cienkie włosy na karku.

– Dobrze – powiedziała.

– Masz numer Amandy. Jeśli się czegoś dowiesz, zadzwoń do niej. A jeśli nie, też zadzwoń. Jest niecierpliwa. – Stał, czekając, aż otworzy mu drzwi.

Sara poświęciła większość dnia na rozmyślanie, jak pozbyć się go ze swojego życia, teraz jednak nie mogła znieść, że wychodzi.

– Amanda się myli – oświadczyła.

Odwrócił się i spojrzał na nią.

– Chodzi o to, co dziś powiedziała. Myli się.

Udał, że jest w szoku.

– Chyba nigdy nie słyszałem, żeby ktoś ośmielił się powiedzieć to na głos – zażartował.

– Almeja. Ostatnie słowo umierającego. Dosłownie rzeczywiście oznacza „małże”... ale to nie jest slangowe określenie pieniędzy – wyjaśniła. – W każdym razie nie w takim znaczeniu je słyszałam.

– A co to oznacza w slangu?

Nienawidziła tego słowa, a jednak odpowiedziała:

– Pizda.

Zmarszczył czoło.

– Skąd wiesz?

– Pracuję w dużym szpitalu publicznym. Nie ma tygodnia, żeby ktoś mnie nie obrzucił jakąś wariacją tego słowa.

Will z powrotem odłożył pudła na stół.

– Kto cię tak nazwał?

Pokręciła głową. Wyglądał, jakby chciał się bić z wszystkimi jej pacjentami.

– Chodzi o to, że tamten po prostu obraził Faith. Nie mówił o pieniądzach.

Will założył ręce na piersi. Był wyraźnie wściekły.

– Ricardo – podpowiedział. – Facet, który strzelał za domem do tych dziewczynek... Miał na imię Ricardo. – Patrzyła mu prosto w oczy, kiedy mówił dalej: – Ten zastrzelony w pralni to Hironobu Kwon. O starszym Azjacie nic nie wiemy, poza tym, że lubił hawajskie koszule i mówił z przeciągłym akcentem południowca. I była jeszcze jedna osoba, która odniosła rany, prawdopodobnie podczas walki na noże z Evelyn. Kiedy wrócisz do pracy, w szpitalu pewnie zobaczysz ogłoszenie. Grupa krwi B minus, prawdopodobnie Latynos, rana kłuta brzucha i być może skaleczenie dłoni.

– Doborowa obsada – zauważyła.

– Wierz mi, trudno się w nich połapać, zresztą wcale nie jestem pewny, czy któryś z nich rzeczywiście jest powodem całej tej historii.

– Jak to?

– Wyczuwam w tym jakiś element osobisty, jakby gra szła o coś innego – wyjaśnił. – Nie czeka się przez cztery lata, żeby kogoś okraść. Tu musi chodzić o coś więcej niż pieniądze.

– Mówią, że to najczęstszy powód zbrodni. – Mąż Sary zawsze skłaniał się do motywów finansowych, a wiedziała z doświadczenia, że zwykle miał rację. – Ten ranny... ten z raną kłutą brzucha. Czy należy do gangu?

Will przytaknął ruchem głowy.

– Przeważnie korzystają z własnych lekarzy, są całkiem nieźli – ciągnęła Sara. – Napatrzyłam się na ich robotę na izbie przyjęć. Ale leczenie ran brzucha jest dość skomplikowane. Musieliby mieć krew, a o grupę B minus wcale nie jest łatwo. Potrzebna by im była sterylna sala operacyjna i leki, których nie dostanie się w aptecę na rogu.

Takie są dostępne wyłącznie w aptekach szpitalnych.

– Możesz mi zrobić ich wykaz? Je także zawiadomimy.

– Oczywiście. – Poszła do kuchni po papier i jakąś podkładkę.

Will został przy stole w jadalni.

– Jak długo można żyć z raną brzucha? – zapytał. – Na miejscu było mnóstwo krwi.

– Zależy. To kwestia godzin, może kilku dni. Można nieco zyskać na czasie, ale przeżycie tygodnia zakrawałoby na cud.

– Pozwolisz, że zjem kolację, kiedy będziesz pisała? – Otworzył pojemnik ze styropianu. Sara zobaczyła dwa długie na stopę hot-dogi, pływające w chili. Powąchał je i się skrzywił. – Zdaje się, że facet na stacji benzynowej wyrzucił je nie bez powodu – mruknął, a jednak wziął jednego hot-doga.

– Ani się waż! – rzuciła.

– Wygląda nieźle.

– Siadaj. – Wyjęła z szafki patelnię, a z lodówki karton jajek. Will usiadł przy blacie po drugiej stronie płyty kuchennej, osadzonej w stali nierdzewnej. Obok siebie postawił styropianowy pojemnik. Bob trącił go nosem, po czym wycofał się.

– Czy to naprawdę twoja kolacja... dwa hot-dogi i pączek Krispy Kreme? – spytała.

– Cztery pączki.

– Jak wygląda twój cholesterol?

– Pewnie jest biały, taki jak w reklamach.

– Bardzo śmieszne. – Owinęła styropianowy pojemnik folią aluminiową i wyrzuciła go do śmieci. – Dlaczego sądzisz, że matka Faith nie została porwana?

– Nic takiego nie powiedziałem. Po prostu wiele rzeczy mi tu nie gra. – Patrzył, jak Sara wbija jajka do miski. – Nie sądzę, żeby wyszła z domu dobrowolnie. Nie zrobiłaby czegoś takiego swojej rodzinie. Ale myślę, że znała porywaczy. Że wcześniej łączyły ich sprawy zawodowe.

– Jakie?

Wstał, podszedł do stołu w jadalni i z jednego z pudeł wyciągnął kilka żółtych teczek. Zanim usiadł z powrotem przy kuchennym

blacie, wziął jeszcze torbę z pączkami.

– Boyd Spivey – powiedział, otwierając teczkę na wierzchu stosu. Pokazał Sarze policyjne zdjęcie.

Poznała twarz i nazwisko, które widziała w wiadomościach.

– To ten człowiek, którego zabito dzisiaj w więzieniu – rzekła.

Will skinął głową. Otworzył kolejną teczkę.

– Ben Humphrey – oznajmił.

– Kolejny glina?

– Ehe. – Otworzył następną teczkę. W środku miała nalepioną żółtą gwiazdę. – A to jest Adam Hopkins. Był partnerem Humphreya. – Kolejna teczka, tym razem z fioletową gwiazdą. – Chuck Finn, partner Spiveya, a ten tutaj... – Otworzył ostatnią teczkę. Zielona gwiazda. – To Demarcus Alexander. – Zapomniał o jednej żółtej teczce, więc wrócił po nią do stołu. Ta miała czarną gwiazdę, kolor jakże celnie zwiastujący to, co zaraz powiedział: – Lloyd Crittenden. Trzy lata temu zmarł na skutek przedawkowania narkotyków.

– To sami gliniarze?

Skinął głową, pakując do ust połowę pączka.

Sara wylała jajka na patelnię.

– Powinnam jeszcze o czymś wiedzieć?

– Evelyn Mitchell była ich szefową.

Omam nie zrzuciła patelni na podłogę.

– Matka Faith? – Podeszła i z uwagą jeszcze raz przyjrzała się mężczyznom na zdjęciach. Wszyscy mieli ten sam arogancki wyraz twarzy, jak gdyby obecne kłopoty w ogóle ich nie dotyczyły. Zerknęła na raport z aresztowania Spiveya, próbując rozszyfrować literówki. – Ciężkie przestępstwo powiązane z kradzieżą. – Cofnęła się o stronę i przeczytała szczegóły. – Spivey rozkazał swojej ekipie, żeby zabierali dziesięć procent gotówki skonfiskowanej podczas każdego nalotu na handlarzy narkotyków, jeżeli suma przekraczała dwa tysiące dolarów.

– Uzbierało się tego.

– Ile?

– Księgowość oszacowała, że w ciągu dwunastu lat ukradli około sześciu milionów dolarów.

Sara gwizdnęła cicho.

– Wypada po niecały milion na głowę, wolny od podatku. Choć raczej przestał być wolny. Jestem pewna, że Wuj Sam dopadł ich już pierwszego dnia pobytu za kratkami.

Nawet pieniądze z kradzieży podlegają opodatkowaniu. Większość skazańców dostaje wezwanie z urzędu skarbowego w ciągu tygodnia od osadzenia w więzieniu.

Sara obejrzała pierwszą stronę raportu z aresztowania. Ujrzała znajome nazwisko.

– To ty prowadziłeś tę sprawę.

– Nie było to moje ulubione zajęcie. – Wpakował do ust resztę pączka.

Spojrzała na akta, udając, że czyta. Literówki nie stanowiły jeszcze powodu do niepokoju. Każdy raport policyjny, jaki czytała, roił się od błędów gramatycznych i ortograficznych. Jak większość dyslektyków, Will traktował sprawdzanie pisowni niczym świętość. Pozamieniał więc słowa, które w kontekście raportu nie miały sensu, a następnie podpisał się u dołu strony. Sara uważnie obejrzała podpis – ot, jakiś gryzmoł biegnący ukośnie nad czarną linią.

Will obserwował ją bacznie. Uświadomiła sobie, że powinna go o coś zapytać.

– Za czyją sprawą wszczęto śledztwo?

– GBI dostało anonimowy donos.

– Dlaczego nie postawiono zarzutów Evelyn?

– Prokurator odmówił wniesienia sprawy do sądu. Pozwolono jej odejść, z zachowaniem pełnego uposażenia. Nazwano to przejściem na wcześniejszą emeryturę, chociaż Evelyn miała za sobą grubo ponad trzydzieści lat służby. Ona nie pracowała dla pieniędzy. W każdym razie nie dla tych, które płaciło jej miasto.

Sara zamieszała jajka łopatką. Will w dwóch kęsach pochłoniął następnego pączka. Na blat z czarnego granitu posypał się cukier puder.

– Mogę cię o coś spytać? – powiedziała.

– Śmiało.

– Jak Faith może z tobą pracować, skoro prowadziłeś śledztwo przeciwko jej matce?

– Uważa, że byłem w błędzie. – Wrócił Bob. Oparł nos na blacie, a Will zaczął go głaskać po łbie. – Wiem, że dostała zgodę matki, ale poza tym nigdy na poważnie o tym nie rozmawialiśmy.

Gdyby usłyszała to od kogoś innego, nigdy by nie uwierzyła, ale w tym wypadku łatwo potrafiła sobie wyobrazić, jak to działało. Faith nie miała zwyczaju rozprawiać o swoich uczuciach, a Willa, z tą jego cholerną przyzwoitością, nie sposób było posądzać o ukryte nieczne motywy.

– Jaka jest Evelyn? – zapytała.

– Ze starej szkoły.

– Jak Amanda?

– Niezupełnie. – Wyjął z torby kolejnego pączka. – To znaczy, też jest twarda, ale nie aż tak zasadnicza.

Sara zrozumiała, co miał na myśli. W tamtych czasach kobiety nie miały wielu możliwości pokazania mężczyznom na podobnych stanowiskach, na co je stać. Amanda z wyraźną lubością obrała metodę trzymania ich za jaja.

– Pojawiły się równocześnie – ciągnął Will. – Razem wstąpiły do akademii, a potem razem przeszły wszystkie szczeble kariery w policji i w GBI. Przyjaźnią się do dziś. Amanda chyba spotykała się z bratem czy szwagrem Evelyn.

Trudno o bardziej oczywisty konflikt interesów, pomyślała Sara.

– I to Amanda była twoją przełożoną, kiedy prowadziłeś śledztwo przeciw Evelyn?

– Aha. – Pochłonął kolejnego pączka.

– Czy wtedy o tym wiedziałeś?

Pokręcił głową i wypychając policzek kawałkiem pączka tak, jak wiewiórka chomikuje orzeszek, zapytał:

– Wiesz, że nie włączyłaś palnika?

– Szlag by to trafił! – To tłumaczyło, dlaczego jajka wciąż były płynne. Przekreśliła gałkę, aż buchnął płomień.

Will otarł usta grzbietem dłoni.

– Ja też lubię, żeby się trochę odstały – powiedział. – Nabierają leśnego posmaku.

– To E. coli. – Sprawdziła toster, zastanawiając się, dlaczego nie

wyskoczyły grzanki. Pewnie dlatego, że był pusty. Will uśmiechnął się, patrząc, jak wyjmuje z szafki pieczywo tostowe. – Marna ze mnie kucharka – wyznała.

– Mam się tym zająć?

– Masz mi opowiedzieć o Evelyn.

Rozparł się na krześle.

– Polubiłem ją już od pierwszego spotkania. Wiem, że w tych okolicznościach brzmi to dziwnie. Pewnie powinienem jej nienawidzić, ale nie możesz postrzegać tego w ten sposób. Ja pracuję dla rządu. Czasami śledztwo wszczyna się bez dostatecznych powodów i nagle siedzisz na wprost kogoś, kogo przymknięto za to, że powiedział coś niewłaściwego albo naraził się jakiemuś politykowi.

– Mówiąc to, zgarniał rozsypany cukier puder na kupkę. – Evelyn była niezwykle uprzejma. Pełna szacunku. Miała za sobą lata nienagannej służby. Traktowała mnie jak kogoś, kto wykonuje swoją robotę, a nie jak pedofila, bo tak przeważnie się do nas odnoszą w takiej sytuacji.

– Może wiedziała, że nigdy nie stanie przed sądem.

– Myślę, że się o to martwiła, ale przede wszystkim chodziło jej o córkę. Naprawdę ze wszystkich sił starała się trzymać Faith od tego z daleka. Zresztą poznałem Faith dopiero wtedy, kiedy Amanda mi ją przydzieliła na partnerkę.

– Przynajmniej jest dobrą matką.

– To kobieta z klasą. Poza tym jest mądra, silna, twarda. W tej sprawie nie stawiałbym przeciwko niej.

Sara zapomniała o jajkach. Zdrapała je łyżką z dna patelni.

– Kiedy przeszukiwali dom, Evelyn była przymocowana taśmą do krzesła – ciągnął Will. – Na spodzie siedzenia znalazłem wymalowaną strzałkę. Wykonała ten rysunek własną krwią.

– Na co wskazywała?

– W głąb pokoju. Na kanapę. Na podwórze za domem. – Wzruszył ramionami. – Kto wie? Niczego nie znaleźliśmy.

Sara zastanowiła się nad tym.

– Tylko grot strzały? Nic więcej?

Rozsypał cukier puder z powrotem i narysował kształt.

Sara przyglądała się symbolowi, zastanawiając się w duchu, co

zrobić. W końcu uznała, że nie ma innego wyjścia, niż powiedzieć prawdę.

– Na mój gust to wygląda na „V”. Na literę „V” – orzekła.

Znaczące milczenie Willa zmieniło atmosferę w pokoju. Sara pomyślała, że pewnie zmieni temat albo obróci to w żart, ale odparł:

– Rysunek nie był idealny. Trochę zamazany u góry.

– W ten sposób? – Dodała jedną kreskę. – Jak w literze „A”?

Popatrzył na jej dzieło.

– Chyba jednak Amanda nie udawała, twierdząc, że nie ma pojęcia, o czym mówię – powiedział.

– Ona też to widziała?

Strząsnął cukier puder na dłoń i wsypał go do torby z ostatnim pączkiem.

– Ehe.

Postawiła przed nim talerz z jajecznicą. Z tosterka wyskoczyły grzanki. Były prawie czarne.

– No nie! – bąknęła. – Tak mi przykro. Nie musisz tego jeść. Mam ci wyjąć te hot-dogi ze śmieci?

Wziął od niej spaloną grzankę i upuścił na talerz. Rozległ się dźwięk przywodzący na myśl cegłę szorującą po betonie.

– Przydałoby się trochę masła.

Miała margarynę. Will nabrał ją na nóż i smarował pieczywo tak długo, aż nasiąkło do tego stopnia, by mógł je złożyć w rękę. Jajka nie były żółte, tylko szarobrazowe, ale i tak zaczął je pałaszować.

– Na „A” zaczyna się imię Amanda. Almeja również jest na „A” – zauważyła Sara. – Evelyn mogła namalować od spodu krzesła literę „A”.

Odłożył widelec. Zmiotł wszystko z talerza do czysta.

– Almeja brzmi podobnie do Amanda – ciągnęła. – Tyle samo sylab. Pierwsze i ostatnie litery również są takie same. – Will na pewno nie zwrócił uwagi na te aliteracje. Większość dyslektyków nie potrafi zrymować dwóch słów, nawet gdyby im przystawić lufę do skroni.

Odsunął talerz.

– Amanda nie mówi mi wszystkiego. Nie chce nawet przyznać, że tamta sprawa korupcyjna ma coś wspólnego z obecną sytuacją



Evelyn.

– Ale kazała ci przejrzeć wszystkie akta śledztwa.

– Albo potrzebuje informacji, albo próbuje mnie czymś zająć. Wie, że zejdzie mi na tym cała noc.

– Nie, jeśli ci pomogę.

Wziął talerz i podszedł do zlewu.

– Chcesz, żebym pozmywał, zanim wyjdę?

– Chcę, żebyś mi dokładnie opisał miejsce zbrodni.

Oplukał talerz, a potem zaczął myć ręce.

– Ten jest od zimnej – rzuciła Sara. Nie miało sensu wyjaśniać mu, że ponieważ jest leworęczna, przestawiła kran z gorącą wodą na prawą stronę, więc nachyliła się i wyregulowała temperaturę.

Will wystawił otwartą dłoń, żeby mogła wycisnąć mu na nią trochę mydła.

– Dlaczego pachniesz cytrynowym płynem do czyszczenia mebli? – spytał.

– Dlaczego mi mówiłeś, że Betty to pies twojej żony?

Wtarł mydło w dłonie.

– Pewne tajemnice nigdy nie zostaną wyjaśnione – odparł.

Uśmiechnęła się.

– Opowiedz mi o miejscu zbrodni – poprosiła.

Will powiedział jej, co zastali: przewrócone krzesła oraz rozbite zabawki. Następnie przeszedł do pani Levy i adoratora Evelyn, teorii Mittala na temat śladu krwi oraz własnego, zupełnie innego zdania w tej sprawie. Zanim doszedł do odnalezienia zwłok adoratora w bagażniku, Sarze udało się posadzić go z powrotem przy stole w jadalni.

– Sądzisz, że Boyda Spiveya zabito dlatego, że rozmawiał z Amandą? – spytała.

– Niewykluczone, chociaż mało prawdopodobne – odparł, po czym wyjaśnił: – Zastanów się nad kwestią czasu. Amanda zadzwoniła do naczelnika więzienia dwie godziny przed naszym przyjazdem. Lekarz więzienny stwierdził, że użyto ząbkowanego noża. Czegoś takiego nie da się wykonać ze szczoteczki do zębów. Kamerę uszkodzono poprzedniego dnia, co oznacza, że zabójstwo zaplanowano co

najmniej dwadzieścia cztery godziny wcześniej.

– A więc wszystko było skoordynowane. Porywają Evelyn. Kilka godzin później zabijają Boyda. Czy pozostali członkowie jej grupy są bezpieczni?

– Dobrze pytanie. – Wyjął z kieszeni telefon komórkowy. – Pozwolisz, że zadzwonię w parę miejsc?

– Oczywiście. – Wstała od stołu, żeby nie krępować go swoją obecnością. Patelnia wciąż była gorąca, więc zalała ją zimną wodą. Jajka przywarły do metalu. Próbowwała zedrzyć skorupę paznokciem, lecz szybko zrezygnowała i wstawiła patelnię na górną półkę zmywarki.

Znów otworzyła akta Boyda Spiveya. Will oznaczył je różową gwiazdą, zapewne w ramach dowcipu. Wszystko wskazywało na to, że Spivey należał do grupy skorumpowanych gliniarzy. Okrągła jak księżyc twarz zdradzała, że brał sterydy. Miał świdrujące spojrzenie i ledwo dostrzegalne źrenice. Wzrostem i wagą przypominał futbolistę.

Przeglądając raport z aresztowania Spiveya, jednym uchem słuchała, jak Will rozmawia z kimś z więzienia stanowego Valdosta. Zastanawiali się, czy nie należy przenieść Bena Humphreya i Adama Hopkinsa do izolatek, w końcu jednak uznali, że wystarczy wzmożony monitoring.

Druga rozmowa Willa była bardziej skomplikowana. Sara doszła do wniosku, że naradzał się z kimś w GBI, jak namierzyć pozostałych dwóch mężczyzn za pośrednictwem ich kuratorów.

Poszperała w teczce Spiveya. Pod raportem z aresztowania znalazła dane osobowe. Wczytała się w szczegóły dotyczące jego kariery zawodowej. Spivey trafił do akademii prosto ze szkoły średniej. Na studiach wieczorowych na Uniwersytecie Stanowym Georgii zrobił licencjat z kryminalistyki. Miał troje dzieci oraz żonę, która pracowała w holenderskim konsulacie na przedmieściach Atlanty.

Awans do zespołu Evelyn był dla Spiveya nie lada gratką. Jej brygada antynarkotykowa zaliczała się do najbardziej elitarnych w kraju. Dysponowała najnowocześnieszą bronią i wyposażeniem, a w okolicach Atlanty działało dostatecznie wielu przestępców

grubego kalibru, by członkowie ekipy byli obsypywani pochwałami, a poza tym stale występował w telewizji, co szczególnie cieszyło właśnie Spiveya. Will zebrał wycinki prasowe o najważniejszych akcjach brygady. Mimo że grupą dowodziła Evelyn, wszystkie artykuły koncentrowały się głównie wokół osoby Spiveya. Do jednego ze zdjęć pozował starannie ogolony, z taką liczbą baretek na piersi, że można by nimi przyozdobić dziewczynski rower.

A jednak to mu nie wystarczało.

– Hej.

Sara oderwała się od lektury. Will skończył rozmawiać przez telefon.

– Przepraszam – powiedział. – Ale woląłem się upewnić, że są bezpieczni.

– Nie ma za co. – Nie zamierzała udawać, że go nie słuchała. – Nie zadzwoniłeś do Amandy.

– Nie.

– Daj mi kolejne akta do poczytania.

– Nie musisz tego robić.

– Ale chcę. – Teraz już nie przemawiała przez nią grzeczność ani pragnienie przebywania w jego towarzystwie. Chciała się dowiedzieć, dlaczego ktoś taki jak Boyd Spivey stał się zwykłą szumowiną.

Will przyglądał jej się tak długo, aż zaczęła się obawiać, że odmówi. Nagle jednak otworzył jedno z pudeł. Na stercie kaset audio leżał przedpotopowy walkman. Taśmy były niepodpisane, oznaczone tylko kolorowymi nalepkami w kształcie gwiazdy.

– To komplet nagrań z przesłuchań, jakie przeprowadziłem z wszystkimi podejrzanymi – wyjaśnił. – Na początku żaden nie był zbyt rozmowny, ale w końcu wszyscy chcieli się dogadać, byleby uzyskać zmniejszenie wyroku.

– Kablowali na siebie?

– W życiu. Ale mieli do sprzedania coś na kilku lokalnych radnych. Dzięki temu mogli pertraktować z prokuratorem.

Sara nie udawała, że zaszokowała ją informacja o politykach nadużywających narkotyków.

– Ile to było warte? – spytała.

– Dość, żeby rozwiązać im języki, ale za mało, żeby wsypać grubą rybę. – Otworzył drugie pudło i zaczął wyjmować teczki. Jak wszystko inne, one również były oznakowane kolorami. Najpierw podał jej zielone. – Zeznania świadków oskarżenia. – Ułożył w stos czerwone, których było dużo mniej. – Świadcowie obrony. – Wyjął niebieskie. – Naloty, w których wchodziła w grę duża forsa... wszystkie, w których zgarnięto powyżej dwóch tysięcy dolarów.

Sara z miejsca wzięła się do pracy. Uważnie przeczytała kolejną teczkę personalną. Ben Humphrey należał do gliniarzy pokroju Boyda Spiveya – solidnej postury, fachowy, łasy na rozgłos w mediach i wreszcie do cna skorumpowany. Adam Hopkins i Demarcus Alexander byli dokładnie tacy sami – obaj otrzymali pochwały za odwagę podczas ostrzału, do którego doszło w trakcie napadu na bank, i obaj kupili za gotówkę domy letniskowe na Florydzie. Lloyd Crittenden dostał blachę po tym, jak przekoziółkował sześć razy radiowozem, ścigając faceta, który ostrzelał z obrzyna jakąś spelunkę. On również miał na koncie czarne plamy. Dwukrotnie dostał pisemną naganaę za niesubordynację, jednak w dorocznych raportach Evelyn jawił się jako świetlana postać.

Od nich wszystkich odstawał tylko Chuck Finn, w porównaniu z kolegami intelektualista. Kiedy go przymknęli, był na etapie pisania doktoratu z malarstwa włoskiego renesansu. Nie żył tak rozrzutnie jak pozostali. Nieuczciwie zdobyte środki przeznaczał na doksztalcanie się i podróże po świecie. Widocznie w subtelny sposób uzupełniał ekipę. Evelyn Mitchell nie bez powodu osobiście wybrała każdego z nich. Jedni najwyraźniej byli przywódcami, inni – jak Chuck Finn – wykonawcami rozkazów. Wszyscy wpasowywali się w ten sam profil – ludzie z ponadprzeciętnymi osiągnięciami, znani w wydziale z tego, że zawsze robią to, co trzeba. Trzej byli biali. Dwaj czarni. Jeden miał w sobie krew Indian ze szczepu Irokezów. I każdy poświęcił wszystko dla lewej forsy.

Will zmienił stronę kasy w walkmanie. Siedział z zamkniętymi oczami i słuchawkami w uszach. Sara słyszała skrzypienie kółek w odtwarzaczu.

Następny plik teczek zawierał szczegóły wszystkich dokonanych

przez ekipę nalotów, podczas których latami zgarniano – i zapewne kradziono – poważne sumy. Sara obawiała się, że te akta będą najtrudniejsze do przebrnięcia, tymczasem okazały się zupełnie nieciekawe. Nielegalny handel narkotykami miał to do siebie, że kiedy ludzie Evelyn trafili za kratki, większość tych, których aresztowali, albo siedziała już w pudle, albo nie żyła. Ci nieliczni, którzy pozostali na ulicy, najwyraźniej wciąż działali. Sara rozpoznała kilka nazwisk, które słyszała w wieczornych wiadomościach. Dwa zapowiadały się nawet obiecująco. Odłożyła teczki dla Willa.

Spojrzała na zegarek. Było już dobrze po północy, a wcześniej rano musiała być w pracy. Jak na zawołanie ziewnęła tak szeroko, że szczeka omal nie wypadła jej z zawiasów. Zerknęła na Willa, sprawdzając, czy niczego nie zauważył. Przed sobą wciąż miała wielki stos teczek. Przejrzała dopiero połowę, ale choćby chciała, nie była w stanie się powstrzymać. To przypominało składanie elementów układanki w powieści kryminalnej. Ci dobrzy byli równie zepsuci jak przestępcy. Ale łajdacy najwyraźniej uważali dawanie w łapę za nieodłączną część prowadzenia interesów. Prawdopodobnie i jedni, i drudzy mieli długą listę argumentów na usprawiedliwienie swoich nielegalnych poczynań.

Rzuciła się na następny stos teczek. Sześciu ludzi z brygady Evelyn nigdy nie stało przed sądem, ale widocznie dopiero zaczynali, gdy dobijano targów z prokuraturą. Potencjalni świadkowie oskarżenia zostali gruntownie prześwietleni, nie bardziej jednak niż ci powołani przez obronę. Will z pewnością znał te nazwiska, mimo to Sara uważnie przeczytała wszystkie akta. Przez bitą godzinę porównywała zeznania, po czym przeszła do ostatniej teczki, którą zachowała sobie na koniec jako nagrodę za to, że nie zrezygnowała.

Zdjęcie z aresztowania Evelyn Mitchell przedstawiało zadbaną kobietę o nieprzeniknionym wyrazie twarzy. Z pewnością czuła się upokorzona zatrzymaniem i poddaniem całej tej procedurze, skoro latami zasiadała po drugiej stronie stołu, ale nie było tego po niej widać. Usta miała zaciśnięte w cienką kreskę. Patrzyła obojętnym wzrokiem przed siebie. Blond włosy, takie jak córki, posiwiały na skroniach. Niebieskie oczy, waga sześćdziesiąt trzy kilogramy, metr

siedemdziesiąt sześć wzrostu – była nieco wyższa od Faith.

Ten rodzaj kariery zawodowej zapewniał nagrody za pionierskie osiągnięcia od miejscowego Klubu Kobiet – kapitan Mitchell zgarnęła to wyróżnienie dwukrotnie. Awans na detektywa zawdzięczała roli negocjatorki w sprawie zakładników – doprowadziła do uwolnienia dwojga dzieci i śmierci seryjnego pedofila. Porucznikiem została niemal dziesięć lat po zdaniu egzaminu z najwyższym wynikiem w historii. Stopień kapitana wywalczyła, składając pozew o dyskryminację ze względu na płeć do Komisji do spraw Równouprawnienia Kobiet.

Pięła się w górę dzięki ciężkiej harówce, w tym pracy na ulicy. Miała dwa dyplomy wyższych uczelni, oba z wyróżnieniem, w tym z politechniki stanowej Georgii. Była matką, babką i wdową. Jej dzieci – w przekonaniu Sary – pełniły służbę: jedno na rzecz społeczeństwa, drugie dla kraju. Mąż miał solidną, szanowaną pracę jako agent ubezpieczeniowy. Pod wieloma względami przypominała Sarze własną matkę. Cathy Linton nie należała do kobiet noszących broń palną, ale została do tego zmuszona, kiedy uznała, że będzie to z korzyścią dla niej i dla całej rodziny.

Jednak nigdy w życiu nie przyjęłaby łapówki. Cathy była szczerą aż do bólu, gotowa nadłożyć drogi i wrócić osiemdziesiąt kilometrów do mekki turystów na Florydzie, bo wydali jej za dużo reszty. Być może to tłumaczyło, dlaczego Faith potrafiła pracować z Willem. Gdyby ktoś powiedział Sarze, że jej matka ukradła milion dolarów, zabiłaby go śmiechem. Taki pomysł należało włożyć między bajki. Faith po prostu uważała, że nie myli się co do matki. Uznała, że jej nowy partner ma urojenia.

Will zmienił kasetę.

Sara pokazała mu ruchem ręki, żeby zdjął słuchawki.

– To się nie trzyma kupy – oświadczyła.

– Niby co?

– Mówiłeś, że każdy z członków grupy zgarnął na czysto prawie milion dolarów. Na koncju otwartym w innym stanie na nazwisko Billa Mitchella doliczyłeś się raptem sześćdziesięciu tysięcy. Evelyn nie rozbijała się porsche. Nie posyłała dzieci do prywatnych szkół,

a swoje jedyne wakacje spędziła z wnukiem na Jekyll Island.

– Nie trzymało się kupy aż do dziś – przypomniał jej. – Temu, kto porwał Evelyn, chodzi o forszę.

– Ja tego nie kupuję.

Większość gliniarzy broniła spraw, które prowadzili, równie zażarcie jak swoich dzieci.

– Dlaczego? – spytał Will zwięźle.

– Przeczucie. Instynkt. Po prostu tego nie łykam.

– Faith nic nie wie o tamtym koncju.

– Ja jej o tym nie powiem.

Wyprostował się na krześle, zakładając ręce na piersi.

– Odsłuchiwałem moje dawne przesłuchania Evelyn. Mówiła głównie o mężu.

– O Billu, tak? Był agentem ubezpieczeniowym.

– Zmarł kilka lat przed wszczęciem śledztwa w jej sprawie.

Sara przygotowała się na pytanie na temat wdowy, lecz Will poszedł w innym kierunku.

– Przed śmiercią Bill został oskarżony przez posiadaczy polisy, którzy nie dostali należnych świadczeń. Zarzucali mu nieprawidłowe wypełnienie dokumentów. Ojciec trojga dzieci miał rzadkie schorzenie serca. Firma odmówiła pokrycia kosztów leczenia.

Dla Sary nie była to pierwszyczna.

– Stwierdzili, że chorował na to już przed zawarciem umowy – rzekła.

– Tyle że tak nie było... w każdym razie niczego takiego nie zdiagnozowano. Rodzina wynajęła adwokata, ale było za późno. Gość umarł tylko dlatego, że na formularzu zaznaczono nie ten kwadracik. Trzy dni później wdowa dostała list, w którym firma ubezpieczeniowa informowała ją, że jej przedstawiciel, Bill Mitchell, pomylił się w wypełnianiu druków i że zgadza się na pokrycie kosztów leczenia.

– Paskudna sprawa.

– Bill ciężko to przeżył. Był niezwykle skrupulatny. Reputacja wiele dla niego znaczyła, miała wpływ na jego pracę. Ze zmartwienia dostał wrzodów żołądka.

W zasadzie nie stąd bierze się owrzodzenie żołądka, ale Sara rzuciła

tylko:

– Mów dalej.

– Ostatecznie uwolniono go od odpowiedzialności. Znalazły się oryginalne formularze. To firma ubezpieczeniowa dała ciała, nie Bill. Ktoś, kto wprowadzał dane, odhaczył nie tę kratkę, co trzeba. Nie było w tym złej woli, jedynie niekompetencja. – Will lekceważąco machnął ręką. – Tak czy owak, Evelyn powiedziała, że Bill nigdy się z tym nie pogodził. Doprowadzał ją do szału, bo nie chciał odpuścić. Stale się o to kłócili. Uważała, że on zwyczajnie się nad sobą użalał. Zarzucała mu, że wpada w paranoję. On z kolei twierdził, że zmienił się stosunek kolegów z pracy do niego. Wielu uważało, że tak naprawdę to przez jego błąd firma musiała uderzyć się w pierś.

Sara podeszła do tego sceptycznie.

– Firma ubezpieczeniowa musiała uderzyć się w pierś? – zdziwiła się.

– Ludziom przychodzą do głowy różne zwariowane pomysły – rzekł Will. – W każdym razie Bill miał wrażenie, że ta sprawa zmasowała wszystko, czym się zasłużył firmie przez lata. Evelyn powiedziała, że kiedy dostał raka... zmarł na nowotwór trzustki, trzy miesiące po zdiagnozowaniu... według niej nie był w stanie walczyć z chorobą z powodu wyrzutów sumienia. I że nigdy nie wybaczyła mu tego, że nie próbował pokonać choroby. Po prostu pogodził się z nią i tylko czekał na śmierć.

Z rakiem trzustki trudno jest wygrać. Szanse przeżycia wynoszą niecałe pięć procent.

– Taki stres niewątpliwie osłabia system immunologiczny – przyznała Sara.

– Evelyn obawiała się, że z nią będzie tak samo.

– Że zachoruje na raka?

– Nie. Że to śledztwo zniszczy jej życie, nawet jeśli zostanie oczyszczona z zarzutów. Że ta sprawa już zawsze będzie się za nią ciągnęła. Wyznała, że od śmierci męża nigdy nie pragnęła mieć go z powrotem tak bardzo jak tego dnia, bo chciała mu powiedzieć, że w końcu go rozumie.

Sara zastanowiła się nad doniosłością tego stwierdzenia.



- Właśnie coś takiego powiedziała by ktoś niewinny – rzekła.
- To prawda.
- Czy to znaczy, że skłaniasz się do zmiany swojego pierwotnego wniosku?
- Miło z twojej strony, że sformułowałaś to tak dyplomatycznie. – Uśmiechnął się szeroko. – Sam nie wiem. Moje śledztwo zamknięto, zanim zdążyłem je zapiąć na ostatni guzik. Evelyn podpisała papiery i przeszła na emeryturę. Amanda nawet nie raczyła mnie poinformować, że już po ptakach. Dowiedziałem się o tym z porannych wiadomości... wielokrotnie odznaczana policjantka rezygnuje ze służby, żeby móc poświęcić więcej czasu rodzinie.
- Uważasz, że uszło jej to na sucho.
- Jedna rzecz wciąż nie dawała mi spokoju: skoro kierowała grupą, która ukradła tyle forsy, to albo przymykała oko, albo nie była tak dobra, jak o niej pisała prasa. – Skubnął kawałek plastiku, którym sklejo no taśmę magnetofonową. – Do tego dochodzi kwestia konta. W porównaniu z milionami sześćdziesiąt tysięcy to niby niewiele, ale to też kawał grosza. W dodatku rachunek założono na nazwisko męża, nie jej. Dlaczego po jego śmierci nie przepisała konta na siebie? Dlaczego wciąż trzymała je w tajemnicy?
- Trafne spostrzeżenia.
- Milczał przez chwilę; w pokoju słychać było jedynie szelest jego kciuka ocierającego o plastikową taśmę klejącą.
- Kiedy to się stało, Faith do mnie nie zadzwoniła. Nie miałem przy sobie komórki, więc i tak nic by to nie dało, ale nie zadzwoniła. – Urwał. – Sądziłem, że mi nie ufa, bo chodziło o jej matkę.
- Wątpię, żeby wtedy o tym myślała. Sam wiesz, że w takich sytuacjach mamy kompletne zaćmienie. Pytałeś ją o to?
- Ma teraz na głowie inne sprawy niż trzymanie mnie za rękę. – Roześmiał się autoironicznie. – Może powinienem opisać to w swoim pamiętniku. – Zaczął pakować pudła. – No nic, kładź się do łóżka. Znalazłaś coś, o czym powinienem wiedzieć?
- Sara wzięła dwie teczki, które wcześniej odłożyła na bok.
- Tym dwóm chyba warto się bliżej przyjrzeć – powiedziała. – Obaj brali udział w nalotach, w których zgarniano duże sumy. Jeden z nich

figuruje na liście świadków obrony Spiveya. Zaznaczyłam go, bo ma na koncie porwania w ramach walki z konkurencyjnym gangiem.

Otworzył górną teczkę.

– Ignatio Ortiz – podpowiedziała mu Sara.

Will jęknął.

– Siedzi w więzieniu stanowym Phillips, za usiłowanie zabójstwa.

– Więc łatwo można go znaleźć.

– To on jest szefem Los Mexicanos.

Sara słyszała o tym gangu. Zajmowała się wieloma dzieciakami, które należały do tej organizacji. Niewielu z nich opuściło ostry dyżur w jednym kawałku.

– Jeżeli Ortiz jest w to umoczony, nie zechce z nami gadać – rzekł Will. – A jeśli nie ma z tym nic wspólnego, też nie puści pary z gęby. Tak czy siak, jadąc do więzienia, zmarnujemy tylko trzy albo i cztery godziny.

– Mieli go wezwać jako świadka obrony Spiveya.

– Zdumiewająco wielu łajdaków chciało poświadczyć, że Boyd nie tknął ich pieniędzy. Przestępcy stali w kolejce, żeby zeznawać na korzyść brygady Evelyn.

– A w więzieniu udało ci się wyciągnąć coś z Boyda?

Zmarszczył czoło.

– Przesłuchiwała go Amanda. Porozumiewali się czymś w rodzaju szyfru. Wyłapałem tylko tyle, że według Boyda Azjaci próbują odciąć Meksykanów od dostawców.

– Los Mexicanos – sprecyzowała Sara.

– Amanda powiedziała, że ich ulubioną metodą jest podrzynanie gardeł.

Sara złapała się za szyję, powstrzymując dreszcze.

– Myślisz, że Evelyn nadal prowadziła interesy z tymi dilerami? – spytała.

Will zamknął teczkę Ortiza.

– Jakoś tego nie widzę. Bez odznaki jest nikim. Nie wyobrażam jej sobie w roli rozgrywającej, no chyba że jest socjopatką. Za dnia poczciwa babcia, w nocy baron narkotykowy.

– Mówiłeś, że Ortiz siedzi w więzieniu za usiłowanie zabójstwa.

Kogo próbował zabić?

– Brata. Przyłapał go w łóżku ze swoją żoną.

– Może to jest ten brat. – Sara otworzyła drugą teczkę. – Hector Ortiz – poinformowała Willa. – Na papierze nic na niego nie mają, ale był na liście świadków obrony. Wyciągnęłam go, bo nosi to samo nazwisko co Ignatio.

Will odczepił zdjęcie policyjne, żeby się lepiej przyjrzeć.

– Czy intuicja wciąż ci podpowiada, że Evelyn jest niewinna? – spytał.

Sara spojrzała na zegarek. Za pięć godzin powinna być w pracy.

– Moja intuicja poszła spać. A o co chodzi?

Podniósł zdjęcie Hectora Ortiza. Przedstawiało łysego mężczyznę z siwiejącą kocią bródką. Miał wygniecioną koszulę. Stał z podniesioną ręką, pokazując do obiektywu aparatu tatuaż – zielono-czerwoną gwiazdę Teksasu z owiniętym wokół niej grzechotnikiem.

– Poznaj adoratora Evelyn – powiedział Will.

# Niedziela

## Rozdział 7

Bicie po twarzy „z liścia” zastąpiły ciosy pięścią. Kilka godzin temu? A może dni? Evelyn nie była pewna. Siedziała z zawiązanymi oczami, w kompletnych ciemnościach. Coś kapało – woda z kranu, z rynny albo krew – ale nie wiedziała co. Jej ciało przeszywał taki ból, że nawet zamykając oczy, by odciąć się od wrzasku naderwanych mięśni i połamanych kości, odnosiła wrażenie, że wszystko ma pogruchotane.

Zdobyła się na urywany śmiech. Z jej ust trysnęła krew. Odcięty palec – to była ta jedyna niepołamana kość, jedyny nieposiniaczony fragment ciała.

Zaczęli od dołu, bijąc ją w podeszwy stóp ocynkowaną rurą. Najwyraźniej podpatrzyli ten rodzaj tortur na filmie – poznała to po tym, że któryś z nich usłużnie podpowiedział: „Tamten ziomal brał większy zamach, o tak”. To, co czuła Evelyn, trudno nazwać bólem. Raczej wrażeniem rozszarpywania ciała, które krew, niczym ogień, rozprowadzała po całym ciele.

Jak większość kobiet, zawsze najbardziej obawiała się gwałtu, teraz jednak przekonała się, że istnieją dużo gorsze rzeczy. Gwałciciele przynajmniej kierują się jakąś bestialską logiką, natomiast te bydlaki nie czerpały przyjemności z zadawania jej bólu. Dla nich nagrodą były owacje kumpli. Próbowali zaimponować sobie nawzajem, starali się udowodnić swoją wyższość – wygrywał ten, przez kogo krzyczała najgłośniej. A krzyczała, i to jak! Wrzeszczała tak, że omal nie zerwała sobie strun głosowych. Darła się z bólu. Darła ze strachu. Darła z gniewu, wściekłości, poczucia porażki. A przede wszystkim darła się dlatego, że wszystkie te walczące o pierwszeństwo uczucia podchodziły jej do gardła niczym rozpalona lawa.

W pewnym momencie wdali się w rozwlekłą dyskusję na temat tego, którądy przebiega jej nerw błędny. Trzej z nich na zmianę tłukli ją mniej więcej w okolice nerek, aż w końcu któryś, z radością dziecka rozbijającego świąteczną piniatę, zadał Evelyn, niczym owej

kuli z łakociami, złoty strzał. Zanosili się niepohamowanym śmiechem, podczas gdy Evelyn zwiwała się z bólu jak porażona prądem. Ogarnął ją zwierzęcy strach. Nigdy w życiu nie czuła, że jest tak blisko śmierci. Zsikała się w majtki. Krzyczała w ciemności, aż w końcu z jej ust przestały się wydobywać jakiegokolwiek dźwięki.

Potem złamali jej nogę. Nie było to proste złamanie, lecz skutek nieustannego okładania ciężką metalową rurą dopóty, dopóki nie rozległ się donośny dźwięk pękającej kości.

Jeden z nich ucisnął miejsce złamania i zionąc nieświeżym oddechem, wyszeptał jej do ucha:

– Tamta głupia suka tak samo potraktowała Ricarda.

Tamtą głupią suką była jej córka. Nie mieli pojęcia, jak bardzo te słowa napełniły Evelyn nadzieją. Ogłuszyli ją i wywieźli tuż po tym, jak Faith zajęła samochodem przed dom. Evelyn ocknęła się w furgonetce. W uszach dudnił jej warkot silnika, lecz wyraźnie usłyszała dwa strzały, które padły w odstępie co najmniej czterdziestu sekund.

Teraz poznała odpowiedź na jedyne pytanie, które nie pozwalało jej się poddać. Faith żyła. Uciekła. Od tej pory Evelyn nie przejmowała się choćby i najgorszymi cierpieniami, jakie jej zadawali. Pomyślała o Emmie w ramionach swojej córki, o Jeremym, który jest razem z matką. Zeke też się pojawi. Przepełniał go gniew, ale zawsze troszczył się o siostrę. Policja Atlanty osłoni ich jak kokon. Will Trent wypruje sobie żyły, byleby ochronić Faith. Amanda poruszy niebo i ziemię, żeby sprawiedliwości stało się zadość.

– Almeja... – wychrypiała Evelyn w tej ciasnocie.

Mogła jedynie żywić nadzieję, że dzieci są bezpieczne. Bo jej nikt nie mógł z tego wyciągnąć. Obietnica zbawienia nie istniała. Amanda nie przebije się ze słowami przez ten ból. Mąż nie zjawi się na białym koniu, żeby ją uratować.

Jak mogła być aż tak głupia? Jeden błąd sprzed wielu lat. Jeden koszmarny, głupi błąd.

Wypluła złamany ząb. Ostatni trzonowy z prawej. Boleśnie odczuła ostrą reakcję odsłoniętego nerwu na panujący ziąb. Oddychając przez usta, próbowała zakryć to miejsce językiem. Musiała udrażniać drogi

oddechowe. Złamali jej nos. Gdyby, mając krew w gardle, przestała oddychać albo zemdląca, zadusiłaby się na śmierć. Teoretycznie powinna przyjąć to z ulgą, a jednak perspektywa śmierci wciąż ją przerażała. Zawsze miała naturę wojownika. Im bardziej ktoś ją przypierał do muru, tym bardziej się opierała. A jednak poczuła, że stopniowo pęka – nie tyle z bólu, ile z krańcowego zmęczenia. Odnosiła wrażenie, że determinacja ucieka z niej niczym woda wyciekająca przez sito. Jeżeli się podda, tamci osiągną swój cel. Zacznie poruszać ustami, zacznie mówić, choć umysł nakazywał jej milczeć.

I co wtedy?

Będą musieli ją zabić. Wiedziała, kim są, mimo że zawiązali jej oczy i nosili maski na twarzach. Znała ich głosy. Nazwiska. Zapachy. Wiedziała, co zamierzają zrobić i co już mają na sumieniu.

Hector...

Znalazła go w bagażniku swojego samochodu. Nawet używając tłumika, nie da się wystrzelić bezgłośnie. Evelyn dwa razy w życiu słyszała ten dźwięk, więc natychmiast rozpoznała urwany szmer gazów prochowych, przelatujących przez metalowy cylinder.

Przynajmniej zdołała ochronić Emmę. Przynajmniej dopilnowała, żeby dziecku jej córki nic się nie stało.

Faith...

Matki nie powinny faworyzować żadnego z dzieci, ale wybór Zeke'a sam się nasuwał. Syn za wszelką cenę dążył do wytyczonego celu. Był mądry. Kompetentny. Lojalny. Był jej pierworodnym, w dzieciństwie tak nieśmiały, że gdy w domu zjawiali się obcy, czepiał się spódnicy matki. Jako berbecę przesiadywał w kuchni, kiedy Evelyn gotowała kolację, i uwielbiał chodzić z nią do sklepu, by móc jej pomagać nosić zakupy. Objuczony torbami, dumnie wypinał pierś, błyskając zębami w radosnym uśmiechu.

A jednak to Faith obdarzała najsilniejszym uczuciem. Faith, która popełniła tyle błędów. Faith, której zawsze wszystko wybaczała, bo patrząc na nią, widziała w niej swoje odbicie.

Czas, który spędziły razem. Uwięzane w domu. Miesiące wymuszonego odosobnienia. Wymuszona banicja. Wymuszona

niedola.

Bill nigdy tego nie rozumiał, no ale wybaczenie błędów nie leżało w jego naturze. Jako pierwszy zauważył, że brzuch córki się zaokrąglił. On pierwszy zapytał ją wprost, czy zaszła w ciążę. Przez dziewięć długich miesięcy znosił to ze stoickim spokojem, przekonany o swojej nieomyślności, i Evelyn nagle zrozumiała, skąd te same cechy wzięły się u Zeke'a. W najtrudniejszym okresie ni mniej, ni więcej tylko zniknął z ich życia. Nawet kiedy już było po wszystkim, a Jeremy opromienił ich byt niczym słońce, które w końcu weszło po letniej burzy, Bill nigdy nie wrócił do swego dawnego ja.

Z drugiej strony, Evelyn także się zmieniła. Jak wszyscy. Faith próbowała się uczyć, jak wychowywać dziecko. Zeke, który od małego niczego nie pragnął tak bardzo jak uwagi matki, uciekł od niej na drugi koniec świata. Strata ukochanego chłopczyka rozdarła jej serce na pół.

Dalsze rozmyślanie o tym było nie do zniesienia.

Evelyn wyprostowała się w krzyżu, próbując zmniejszyć ucisk na przeponeę. Dłużej tak nie wytrzyma. Zaczynała pękać. Ci młodzi ludzie, ze swoimi grami wideo i fantazjami rodem z filmów, mieli do dyspozycji niewyczerpane źródło pomysłów. Bóg raczy wiedzieć, co tym razem strzeli im do głowy. Bez trudu mogli zdobyć dowolne narkotyki. Barbiturany. Etanol. Skopolaminę. Pentotal sodu. A każdy z nich działał jak serum prawdy. Każdy mógł wydusić prawdę z jej ust.

Już sam koszmarnie powolny upływ czasu mógł zmusić ją do mówienia. I ten nieustający ból. Bombardowanie gradem oskarżeń. Byli tak wściekli, tak wrogo nastawieni.

Barbarzyńcy...

Evelyn czekała śmierć. Od chwili, gdy ocknęła się w furgonetce, wiedziała, że tak to się musi skończyć. Początkowo myślała, że to oni zginają z jej ręki, ale szybko uświadomiła sobie, że będzie odwrotnie. Panowała już jedynie nad ustami. A jednak podczas tortur ani razu nie poprosiła, żeby przestali. Nie błagała o zmiłowanie. Nie dała im władzy wynikającej ze świadomości, że tak głęboko wniknęli w jej umysł... że za każdą jej myślą czaił się jakiś podtekst.

A gdyby tak powiedziała im prawdę?

Ukrywała tę tajemnicę od tylu lat, że już sama myśl o zrzuceniu ciężaru z piersi napawała ją spokojem. Ci dranie byli jej oprawcami, a nie spowiednikami, ale w obecnej sytuacji nie mogła się czepiać takich szczegółów. Być może śmierć zapewniłaby jej rozgrzeszenie. Być może przez chwilę poczułaby ulgę, nareszcie mogąc wyjawić oszustwo, które latami leżało jej na sercu.

Nie. Nigdy by jej nie uwierzyli. Musiałaby ich okłamać. Prawda sprawiłaby im bowiem zawód. Była zbyt pospolita.

Musiałaby wymyślić wiarygodne kłamstwo, na tyle atrakcyjne, żeby zabili ją, nie czekając na potwierdzenie. Miała do czynienia z prawdziwymi twardzielami, lecz brakowało im doświadczenia. Tacy przestępcy nie mieli cierpliwości do użerania się ze starą babą, która tak długo im się przeciwstawiała. Zabicie jej potraktują jako niezbity dowód swojej męskości.

Żałowała tylko, że nie zobaczy ich min, kiedy się przekonają, że wyprowadziła ich w pole. Miała nadzieję, że jej śmiech z piekła będzie ich prześladował do końca nędznego, żalosego życia.

Roześmiała się, chcąc usłyszeć ten dźwięk i pobrzmiwającą w nim desperację.

Otworzyły się drzwi. Spod żaluzji błysnął promyk światła. Evelyn usłyszała ciche głosy oprawców. Rozprawiali o innym programie telewizyjnym – jakimś filmie prezentującym techniki, które chcieli wypróbować.

Głęboko zaczerpnęła powietrza, chociaż z każdym oddechem połamane żebra wbijały się w jej płuca. Chciała uspokoić łomotanie serca. Modliła się o siłę do Boga, z którym przestała rozmawiać w dniu, kiedy umarł jej mąż.

– I jak, szmato, będziesz gadać? – zapytał ten z cuchnącym oddechem.

Evelyn wzięła się w garść. Nie mogła pokazać, że poddaje się zbyt łatwo. Musiała znów dać się pobić, wzbudzić w nich przekonanie, że w końcu wygrali. Nieraz już pozwalała mężczyznom wierzyć, że panują nad nią bez reszty, nie ulegało jednak wątpliwości, że teraz zrobi to po raz ostatni.

Bandyta ucisnął jej złamaną nogę.



– Gotowa na kolejną porcję bólu?

Uda się. Musi się udać. Evelyn odegra swoją rolę, a jej śmierć zakończy sprawę; dzięki temu zmyje swoje grzechy. Faith nigdy się nie dowie. Zeke nie dojdzie prawdy. Jej dzieci i wnuki będą bezpieczne.

Bezpieczne... no chyba że...

Zamknęła oczy i w duchu wysłała wiadomość Roz Levy. Modliła się, żeby starsza pani z niczym się nie wygadała.

## Rozdział 8

Faith leżała z zamkniętymi oczami, ale nie mogła, nie chciała zasnąć. Noc wlokła się w żółtym tempie, ciągnęła się jak płaszcz kostuchy po podłodze korytarza w przytułku dla chorych bez nadziei. Faith godzinami nasłuchiwała skrzypienia i trzasków domu, licząc na to, że z dołu dobiegną ją odgłosy świadczące o tym, że Zeke wreszcie się obudził.

Odcięty palec matki ukryła w prawie pustym pudełku plastrów w szafce na lekarstwa. Zapakowała go w szczelną torebkę z folii, którą znalazła w starej walizce. Długo zastanawiała się, czy nie obłożyć go lodem, ale na myśl o konserwacji palca matki żołądek podszedł jej do gardła. Poza tym nie chciała schodzić na dół, bo mogłaby się natknąć na brata, na detektywów siedzących przy kuchennym stole albo na syna, który niewątpliwie by do nich dołączył, słysząc, że matka wciąż nie śpi. Wiedziała, że na ich widok wybuchłaby płaczem, a wtedy szybko by się zorientowali, skąd te łzy.

„Trzymaj gębę na kłódkę i miej oczy otwarte”.

Właśnie tak postępowała, chociaż jej policyjny instynkt krzyczał, że wykonywanie rozkazów porywaczy to koszmarny błąd. Nie wolno im ustępować na krok. Za nic nie należy się zgadzać na ich żądania, jeśli nie dostaje się czegoś w zamian. Faith dziesiątki razy wbijała do głowy te podstawowe zasady rodzinom porwanych. Teraz przekonała się, że kiedy zagrożenie dotyczy kogoś, kogo się kocha, sprawa wygląda zgoła inaczej. Gdyby porywacze Evelyn kazali Faith oblać się benzyną i podpalić, zrobiłaby to bez wahania. W obliczu realnej perspektywy, że nigdy więcej nie zobaczy matki, wszelka logika szła w odstawkę.

A jednak jej policyjna natura domagała się konkretów. Można by przeprowadzić badania w celu ustalenia, czy Evelyn żyła w chwili, gdy obcinano jej palec. Inne badania mogły definitywnie rozstrzygnąć, czy ten palec w ogóle należał do Evelyn, czy nie. Wyglądał na kobiecy, ale Faith nie przyglądała się specjalnie dłoniom matki. Nie było na nim obrączki, Evelyn nie nosiła jej od kilku lat.

Była to jedna z tych rzeczy, których Faith nie zauważała od razu. A może matka potrafiła kłamać jak z nut? Gdy Faith spytała ją o brak obrączki, Evelyn roześmiała się tylko i odparła: „Och, zdjęłam ją sto lat temu”.

Czy jej matka kłamała? Oto kluczowe pytanie. Faith okłamywała syna bez przerwy, ale dotyczyło to spraw, na temat których matki nie powinny mówić dzieciom prawdy – randek; tego, co działo się w pracy; stanu zdrowia. Natomiast Evelyn nawet jej nie powiedziała, że Zeke'a przeniesiono z powrotem do Stanów Zjednoczonych. Prawdopodobnie dlatego, że chciała utrzymać pokój, a poza tym bała się, że niechęć syna do siostry popsuje radosny nastrój z okazji narodzin Emmy.

Tego typu kłamstwa się nie liczyły. Wynikały z troski, nie ze złej woli, która ropieje jak drzazga wbita pod skórą. Czy Evelyn okłamała Faith w istotnej sprawie? Ukrywała coś ważnego, coś, czego nie widać na pierwszy rzut oka. Opowiadał o tym stan jej domu. Okoliczności porwania układały się w rozdziały i akapity. Posiadała coś, czego chcieli ci dranie. Istniał związek z narkotykami. Zamieszany był w to co najmniej jeden gang. Evelyn robiła w narkotykach. Czyżby przez cały ten czas siedziała na kupie forsy? Miała gdzieś ukryty sejf? Czy po odczytaniu testamentu matki Faith i Zeke nagle dowiedzą się, że tak naprawdę była bogata?

Nie, to niemożliwe. Evelyn wiedziała, że jej dzieci nie przyjęłyby nielegalnie zdobytych pieniędzy, bez względu na to, jak bardzo ułatwiłyby im życie. Spłatę hipoteki. Rat za samochód. Pożyczek studenckich. Nie rozwiązałyby tych problemów w ten sposób. Ani Zeke, ani Faith nigdy w życiu nie wzięłyby trefnej forsy. Evelyn za dobrze ich wychowała.

I wychowała Faith na dobrą policjantkę, zbyt dobrą, by siedziała na tyłku przez całą noc, czekając na wschód słońca.

Gdyby Evelyn była tu teraz, czego by oczekiwała od córki? Odpowiedź nasuwała się sama – żeby zadzwoniła do Amandy. Zawsze trzymały się razem. „Sroczi nierozłączki”, mawiał Bill z upodobaniem, aczkolwiek bez czułości. Kiedy wujek Faith, Kenny, postanowił robić z siebie durnia, podrywając młode dziewczyny na

plażach Florydy, Evelyn postawiła sprawę jasno – przy świątecznym stole zasiądzie z całą rodziną Amanda, a nie Kenny Mitchell. Porozumiewały się swoim własnym szyfrem, niczym wracający z wojny żołnierze.

Jednakże telefon do Amandy obecnie nie wchodził w rachubę. Przyjaciółka matki zaczęłaby się zachowywać jak słoń w składzie porcelany. Wywróciłaby dom Faith do góry nogami. Ściągnęłaby antyterrorystów ze SWAT. Po takiej demonstracji siły porywacze doszliby do wniosku, że łatwiej wpakować kulkę w łeb zakładnicze, niż negocjować z kobietą pałającą żądzą zemsty. A właśnie tak by to rozegrała Amanda. Nigdy niczego nie załatwiała na spokojnie. Albo coś robiła na sto procent, albo wcale.

Will preferował łagodne metody. Opanował tę technikę w sposób zgoła mistrzowski. Poza tym był jej partnerem. Powinna do niego zadzwonić albo przynajmniej przesłać mu wiadomość. Ale co miałaby mu powiedzieć? „Potrzebna mi twoja pomoc, ale nie możesz nic mówić Amandzie, w dodatku nie wiadomo, czy nie złamiemy prawa. Tylko proszę, o nic mnie nie pytaj.” Takie argumenty były nie do obrony. Wczoraj nagiął dla niej zasady, ale nie mogła go prosić, żeby je złamał. Nie знаła nikogo innego, komu mogłaby zaufać, uwierzyć, że ją wesprze, jednak jego poczucie dobra i zła bywało irytujące. W głębi duszy obawiała się, że jej odmówi. A jeszcze bardziej się bała, że wpakuje go w kłopoty, z których Will się nie wykaraska. Sama spokojnie mogła machnąć ręką na swoją karierę. Nie miała jednak prawa żądać od Willa tego samego.

Ukryła głowę w dłoniach. Nawet gdyby chciała zadzwonić, to przecież telefony były na podsłuchu, na wypadek gdyby ktoś zgłosił żądanie okupu. Poczte elektroniczną wysyłała ze swojego konta na serwerze GBI, które z pewnością monitorowano. Prawdopodobnie słuchali również jej rozmów przez komórkę.

I wszystko to robili faceci stojący po stronie prawa. Kto wie, do czego zdołali się posunąć porywacze? Znali przezwisko Jeremy'ego, jego rok urodzenia, nazwę szkoły. Wysłali mu ostrzeżenie na profil na Facebooku. Możliwe, że również założyli podsłuch w jej domu. Sprzęt do inwigilacji można kupić przez internet. Żeby się upewnić, czy nikt

jej nie podsłuchuje, Faith musiałaby pozrywać gniazdzka w ścianach i rozebrać aparaty telefoniczne. A jeśli zacznie się zachowywać jak paranoiczka, rodzina od razu się zorientuje, że coś jest nie tak. Nie mówiąc o detektywach z policji miejskiej, którzy śledzili każdy jej ruch.

W końcu usłyszała z dołu odgłos spuszczonej wody w toalecie. Kilka sekund później otworzyły się i zamknęły drzwi frontowe. Pewnie Zeke wyszedł pobiegać albo detektywi postanowili zaczerpnąć świeżego powietrza przed, a nie za domem.

Gdy opuściła nogi na podłogę, ścięła jej łydek przeszył ból. Tak długo leżała skulona, że kompletnie zdrętwiała. W nocy zajrzała tylko do Emmy, ale nie ośmieliła się chodzić po domu w obawie, że Zeke zajrzy na górę i zacznie się dopytywać, co ona, u licha, wyrabia. Dom był stary, deski podłogowe skrzypiały, a brat miał lekki sen.

Zaczęła od szuflad. Wysuwała je po kolei i przeglądając bieliznę, koszulki i szlafroki, sprawdzała, czy ktoś coś ruszał. Wyglądało na to, że wszystko jest na swoim miejscu. Potem zajęła się szafą. Ubrania do pracy składały się głównie z czarnych żakietów i spodni na gumkę, by rano nie musiała tracić czasu na zapinanie guzików. Stroje ciężowe schowała do pudła na dolnej półce. Przysunęła sobie krzesło i sprawdziła, czy taśma nie została zerwana. Leżąca obok sterta dzinsów wydawała się nietknięta. Mimo to przeszukała wszystkie kieszenie, a następnie to samo zrobiła z żakietami.

Nic.

Wróciła do krzesła i stanęła na nim na palcach, by sięgnąć na górną półkę po karton z pamiątkami Jeremy'ego z dzieciństwa. Omal nie spadły jej na głowę. Złapała je w ostatniej chwili, wstrzymując dech w obawie, że narobiła hałasu. Usiadła na podłodze, z pudłem między nogami. Nie było zaklejone, taśma sama odpadła dawno temu. Będąc w ciąży z Emmą, Faith obsesyjnie przeglądała rzeczy, które jej syn zatrzymał z dzieciństwa. Na szczęście mieszkała sama, inaczej ktoś pewnie by uznał, że jest emocjonalnie niezrównowazona. Na widok zakonserwowanych brązem jego pierwszych bucików czy maleńkich dzierganych kapciuszków zanosila się niepohamowanym płaczem. Jego świadectwa. Wypracowania. Rysowane kredkami kartki z okazji

Dnia Matki. Walentynki, które wycinał malutkimi, stępionymi nożyczkami.

Gdy otwierała pudło, łzy zapiekły ją w oczy.

Na świadectwie Jeremy'ego z dwunastej klasy leżał kosmyk jego włosów. Niebieska wstążka wyglądała jakoś inaczej. Faith podniosła ją do światła. Z upływem czasu pastelowy kolor jedwabiu wyblakł, brzegi spłowieły. Włosy pociemniały, stały się złocistobrązowe. Faith odniosła wrażenie, że coś jest nie tak. Nie potrafiła stwierdzić, czy ktoś zawiązał kokardę od nowa, czy sama się rozluźniła. Nie pamiętała, czy ułożyła świadectwa od pierwszej klasy do dwunastej, czy odwrotnie. Ostatnie spoczywało na wierzchu, co na pozór kłóciło się z logiką, zwłaszcza że leżał na nim kosmyk włosów. A może wszystko było jak należy i tylko nakręcała się bez powodu.

Podniosła plik świadectw i zajrzała pod spód. Wypracowania leżały nietknięte. Zobaczyła pokryte brązem buciki, kapciuszki i karty świąteczne z kolorowej tektury, które syn robił w szkole.

Na pozór wszystko było na swoim miejscu, a jednak nie mogła się pozbyć wrażenia, że w tym pudle ktoś grzebał. Czyżby przeglądał rzeczy Jeremy'ego? Czy widział serduszka, które jej syn narysował na zdjęciu Pana Billingham'a, swojego pierwszego psa? Czy szperał w jego świadectwach i nabijał się, że pani Thompson, nauczycielka z czwartej klasy, nazywała go aniołkiem?

Faith zamknęła pudło. Uniosła je ponad głowę i wsunęła na półkę. Zanim odstawiła krzesło na swoje miejsce, trzęsła się ze złości na myśl, że czyjeś brudne łapska dotykały rzeczy jej synka.

Następnie poszła do pokoju Emmy. Mała zwykle nie przesypiała całej nocy, jednak poprzedni dzień był niezwykle długi i pełen wrażeń. Kiedy Faith zajrzała do łóżeczka, Emma wciąż spała, mlaskając przez sen. Faith dotknęła jej piersi. Poczuła, że serce córeczki trzepocze jak serce schwytanego w pułapkę ptaka. Cichutko przeszukała szafę, małe pudło z zabawkami, pieluchy i zapas różnych kosmetyków dla dziecka.

Nic.

Jeremy wciąż spał, ale i tak weszła do jego pokoju. Żeby jakoś usprawiedliwić swoją obecność, pozbierała rozrzucone ubrania

z podłogi. Najchętniej stałaby tam i patrzyła na niego. Leżał na brzuchu, z prawą nogą zwisającą poza łóżko i lewą ręką zgiętą w łokciu nad głową – uważał, że w tej pozycji wygląda jak John Travolta. Chude łopatki sterczały jak skrzydła kurczaka. Prawie całą twarz zakrywały włosy. Na poduszce Faith zauważyła plamę śliny – wciąż sypiał z otwartymi ustami.

Jeszcze wczoraj w pokoju panował nienaganny porządek, lecz obecność syna zmieniła wszystko. Biurko było zarzucone papierami. Na podłodze wałała się zawartość plecaka. Po dywanie ciągnęły się kable do różnych sprzętów komputerowych. Laptop Jeremy'ego, na który oszczędzała przez sześć miesięcy, leżał otwarty ekranem w dół, jak rzucona książka. Przed wyjściem popchnęła komputer stopą, by znalazł się we właściwej pozycji. Potem wróciła jeszcze z korytarza i zakryła ramiona syna kołdrą, żeby się nie przeziębził.

Rzuciła ubrania Jeremy'ego na wierzch pralki, po czym zeszła na dół. Detektyw Connor siedział na swoim stałym miejscu przy stole kuchennym. Miał na sobie inną koszulę niż wczoraj, a kabura już nie opinała się tak ciasno na jego piersi. Potargane ryże włosy świadczyły o tym, że pewnie spał z głową na stole. Faith w duchu nazywała go „Rudy”, więc teraz bała się otworzyć usta, żeby nie wymknęło jej się to przewisko.

– Dzień dobry, agentko Mitchell – powitał ją.

– Brat wyszedł pobiegać?

Policjant skinął głową.

– A detektyw Taylor wyskoczył kupić coś na śniadanie. Mam nadzieję, że jada pani rzeczy z McDonalda.

Na samą myśl o jedzeniu Faith znów zrobiło się niedobrze, ale rzuciła:

– Dziękuję.

Połowa zawartości lodówki zniknęła, przypuszczalnie za sprawą Jeremy'ego i Zeke'a, którzy wciąż obżerali się jak osiemnastolatki. Faith wyjęła sok pomarańczowy. Karton był pusty. Ani jej syn, ani brat nie lubili soku pomarańczowego.

– Czy któryś z was pił sok? – spytała Rudego.

– Nie, psze pani.

Potrząsnęła kartonem. Nadal był pusty. Nie sądziła, żeby Rudy okłamał ją w takiej sprawie. Mówiła przecież obu detektywom, żeby się częstowali wszystkim, na co mają ochotę. Sądząc po uszczuplonym zapasie dietetycznej coli, nie krępowali się korzystać z tej oferty.

Zadzwonił telefon. Faith spojrzała na zegar na piecyku. Była dokładnie siódma rano.

– To pewnie moja szefowa – powiedziała Rudemu. On jednak czekał, aż sama podniesie słuchawkę.

– Żadnych nowych wieści – oznajmiła Amanda.

Faith odprawiła detektywa ruchem ręki.

– Gdzie jesteś?

Amanda nie odpowiedziała na pytanie.

– Jak się trzyma Jeremy? – zainteresowała się.

– Tak, jak można się spodziewać. – Faith nie wdawała się w szczegóły. Upewniwszy się, że Rudy wyszedł do salonu, otworzyła szufladę na sztućce. Łyżki leżały zwrócone w przeciwną stronę, z rączkami po prawej, a nie lewej. Widelce również przekreślono. Ich zęby były skierowane do przodu szuflady, nie do tyłu. Faith zamrugła, nie wierzyła własnym oczom.

– Słyszałaś o Boydzie? – spytała Amanda.

– Dowiedziałam się wieczorem od Willa. Przykro mi. Wiem, że miał sporo na sumieniu, ale to był...

Amanda nie dała jej skończyć zdania.

– Owszem – ucięła.

Faith wysunęła szufladę na rupiecie. Zniknęły wszystkie długopisy. Trzymała je związane czerwoną gumką, na samym dnie w prawym rogu. Leżały w tej szufladzie od zawsze. Poszperała w gąszczu kuponów rabatowych, nożyczek i zapasowych kluczy od nie wiadomo czego. Po długopisach ani śladu.

– Wiedziałaś, że Zeke wrócił do kraju? – spytała.

– Matka próbowała cię chronić – odparła Amanda.

Faith otworzyła drugą szufladę na szpargały.

– Coś mi się zdaje, że próbowała mnie chronić przed wieloma rzeczami – burknęła. Sięgnęła w głąb szuflady i znalazła długopisy. Spinająca je gumka była żółta. Czyżby ją zmieniła? Jak przez mgłę



pamiętała, że jakiś czas temu gumka pękła, mogłaby jednak przysiąc na wszystkie świętości, że użyła czerwonej, zdjętej z brokułów, które kupiła tego samego dnia.

– Faith, co z tobą? – rzuciła zwięźle Amanda. – Czy coś się stało?

– Nie, nic takiego. Tylko... – Szukała jakiejś wymówki. A jednak to robiła... zaparła się, że za nic nie powie Amandzie, że porywacze nawiązali kontakt. Że zostawili jej pod poduszką kawałek ciała matki. Że mieli stanowczo za dużo informacji o jej synu. Że grzebali w jej sztućcach. – Jest wcześniej. W nocy prawie nie spałam.

– Musisz dbać o siebie. Dobrze się odżywiać. I wysypiać się do woli. Pij dużo wody. Wiem, że to trudne, ale w tej chwili nie możesz opaść z sił.

Faith poczuła, że się gotuje ze złości. Nie wiedziała, czy Amanda udziela jej tych rad jako szefowa, czy jako ciocia Mandy, ale tak czy siak Amanda mogła ją pocałować w dupę.

– Potrafię sama zadbać o siebie – warknęła.

– Cieszę się, że tak uważasz, chociaż ja akurat bardzo w to wątpię.

– Mandy, czy ona się w coś wpakowała? Czy mama wpadła w kłopoty, bo...

– Chcesz, żebym do ciebie zajrzała?

– A nie jesteś teraz w Valdosta?

Amanda milczała. Najwyraźniej Faith przesadziła. A może jej szefowa uświadomiła sobie, że rozmowa jest nagrywana. Chwilowo Faith miała to gdzieś. Gapiła się na żółtą gumkę, zastanawiając się, czy postradała zmysły. Pewnie miała niski poziom cukru. Widziała trochę niewyraźnie. Czowała suchość w ustach. Ponownie otworzyła lodówkę i sięgnęła po karton soku pomarańczowego. Nadal był pusty.

– Pomyśl o matce – powiedziała Amanda. – Chciałaby, żebyś była silna.

Gdyby tak wiedziała, że Faith dostaje kręćka z powodu żółtej gumki recepturki.

– Nic mi nie jest – wymamrotała.

– Odzyskamy ją i dopilnujemy, żeby sprawcy zapłacili za wszystko. Masz to jak w banku.

Faith otworzyła usta, chcąc powiedzieć, że w nosie ma zemstę, lecz

Amanda już się rozłączyła.

Faith rzuciła karton po soku do śmieci. W szafce na wszelki wypadek trzymała torebkę cukierków. Wyciągnęła ją i jolly ranchers wysypały się na podłogę. Ktoś rozdarł opakowanie od spodu.

Wrócił Rudy. Schylił się, pomagając jej zbierać cukierki.

– Wszystko w porządku?

– Tak. – Faith rzuciła garść cukierków na blat i wyszła z kuchni. Pstryknęła włącznik światła w salonie. Bez skutku. Jeszcze raz trąciła przełącznik w dół, a potem w górę. Wciąż nic. Sprawdziła żarówkę w lampie. Obróciła ją i zapaliło się światło. To samo zrobiła z żarówką w drugiej lampie. Poczowała, jak rozgrzane szkło przypala jej palce.

Opadła ciężko na krzesło. Jej wściekłość narastała i opadała falami, niczym wygrywane na fortepianie gamy. Wiedziała, że musi coś zjeść, zbadać krew i wziąć leki. Dopóki nie wyrówna poziomu cukru, nie zacznie myśleć trzeźwo. Ale skoro już usiadła, nie miała siły się podnieść.

Naprzeciwko niej stała kanapa. Zeke złożył pościel w równiutką kostkę i zostawił na poduszce. Zobaczyła czerwoną plamę na beżowym obiciu, po oranżadzie z proszku, którą Jeremy wylał piętnaście lat temu. Wiedziała, że po odwróceniu poduchy znalazłaby niebieską plamę po lizakach z ponczem, który upuścił dwa lata później. Gdyby odwróciła poduszkę, na której siedziała, zobaczyłaby rozdarcie – ślad po jego piłkarskim korku. Na dywanie widniały ślady wydeptane przez nią i syna w drodze do kuchni i z powrotem. Jasnożółte ściany były rezultatem ich wspólnej pracy podczas wiosennych ferii Jeremy'ego w zeszłym roku.

Poważnie zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem nie postradała zmysłów. Jeremy był za duży na takie gierki, a Zeke nigdy nie przepadał za wojną psychologiczną. Prędzej by zatłukł Faith na śmierć, niż wykręcił dwie żarówki. Poza tym żaden z nich nie miał nastroju do żartów. To nie była wina niskiego poziomu cukru we krwi. Długopisy, sztuczce, lampy... drobiazgi, na które wyłącznie ona mogła zwrócić uwagę. Takie, że gdyby komuś o nich powiedziała, uznałby ją za wariatkę.

Spojrzała na sufit, po czym powędrowała wzrokiem w dół, na półki zamontowane na ścianie za kanapą. Jej ojciec kolekcjonował kicz. Z Hawajów przywiózł młynki do soli i pieprzu w kształcie tancerek hula. Miał okulary słoneczne z wizerunkiem Mount Rushmore, koronę ze Statui Wolności z pianki, a także komplet emaliowanych srebrnych łyżek z obrazkiem najbardziej znanego fragmentu Wielkiego Kanionu. Najbardziej cenił swoją kolekcję śnieżnych kul. Z każdej wyprawy, gdy tylko gdzieś wyjeżdżał, obojętne czy samochodem, czy samolotem, zawsze starał się przywieźć nową szklaną kulę, by upamiętnić to wydarzenie.

Po śmierci ojca nikt w rodzinie nie miał wątpliwości, że kolekcja należy się Faith. Jako dziecko uwielbiała potrząsać kulami i patrzeć na opadający śnieg. Jak z ładu powstaje chaos. Dzieliła tę pasję z ojcem. W rzadkim przypływie rozrzutności zamówiła na kule specjalne półki i tak nastraszyła Jeremy'ego, żeby nie ważył się ich stłuc, że przez dobry miesiąc nakładał drogi do kuchni, byleby przypadkiem nie otrzeć się o te zbiory.

Teraz, siedząc wcześniej rano w salonie, Faith spojrzała na półki i stwierdziła, że wszystkie trzydzieści sześć kul odwrócono frontem do ściany.

## Rozdział 9

Sara zastanawiała się, czy to przypadłość dzieci z Południa, że zapadają na choroby akurat w ciągu półgodziny dzielącej lekcje w szkółce niedzielnej od mszy. Tego dnia rano większość jej pacjentów zjawiała się o tej pięknej porze. Bóle brzucha, uszu, ogólnie złe samopoczucie – nic, co by się dało ustalić za pomocą badania krwi czy prześwietlenia, za to bez trudu można było wyleczyć, dając dziecku książkę do kolorowania albo puszczając kreskówkę w telewizji.

Około dziesiątej jednak zrobił się z tego poważny problem. Co chwila zjawiali się kolejni pacjenci z przypadłościami, których Sara nienawidziła, bo łatwo można ich było uniknąć. Jeden dzieciak zjadł trutkę na szczury, znalezionej w kuchennej szafce. Inny nabawił się poparzeń trzeciego stopnia, dotknąwszy stojącej na ogniu patelni. Trafił się nastolatek, którego przymusowo musiała umieścić na oddziale zamkniętym, ponieważ po pierwszym upaleniu się marychą wpadł w stan psychotyczny. Potem zjawiała się siedemnastolatka z pękniętą czaszką. Najwyraźniej wracając rano samochodem do domu, wciąż była pijana w trupa. W rezultacie jej auto owinęło się wokół stojącego autobusu linii Greyhound. Nadal leżała na stole operacyjnym, ale Sara podejrzewała, że jeśli nawet poradzą sobie z opuchlizną mózgu, ta dziewczyna już nigdy nie będzie taka jak kiedyś.

O jedenastej Sara marzyła tylko o tym, żeby wrócić do łóżka i zacząć ten dzień od nowa.

Praca w szpitalu to nieustające negocjacje. Wysysa z człowieka życie dopóty, dopóki jej się na to pozwoli. Przyjmując etat w Szpitalu Grady'ego, Sara zdawała sobie z tego sprawę, upajała się tym, bo po śmierci męża odechciało jej się żyć. Od roku jednak starała się coraz rzadziej pracować w izbie przyjęć. Utrzymanie stałych godzin pracy wymagało żmudnej codziennej walki, ale nie ustawała w wysiłkach.

W zasadzie kierował nią instynkt samozachowawczy. Każdy lekarz nosi w sobie cmentarz. Pacjenci, którym mogła pomóc – mała

dziewczynka, której w czas zaordynowała płukanie żołądka czy berbecę uratowany od amputacji poparzonego palca – to były tylko chwilowe przebłyski. Ale w pamięci zostawali jej głównie ci, których straciła. Dziecko, powoli i w bólach umierające na białaczkę. Dziewięciolatek, konający przez szesnaście godzin po zatruciu płynem do odmrażania szyb. Jedenastolatek, który złamał kark, skacząc na główkę do płytkiego basenu. Wszystkich ich nosiła w sobie, jako nieustanne memento, że choćby nie wiadomo jak ciężko harowała, czasami – a raczej często – to i tak nie wystarczy.

Usiadła na kanapie w pokoju lekarskim. Powinna nadrobić zaległości w wypełnianiu kart pacjentów, ale potrzebowała chwili dla siebie. W nocy udało jej się złapać zaledwie cztery godziny snu. Will tylko pośrednio przyczynił się do tego, że jej mózg za nic nie chciał się wyłączyć. Bez przerwy krążyła myślami wokół Evelyn Mitchell i jej bandy skorumpowanych kumpli. Kwestia ewentualnej winy tej kobiety leżała Sarze na sercu. Co chwila powracały do niej słowa Willa: albo Evelyn Mitchell była marną szefową, albo brała w łapę. Innego wyjścia nie było.

I pewnie dlatego Sara nie znalazła rano czasu, żeby zadzwonić do Faith Mitchell i zapytać, jak się czuje. Na swój sposób uważała się odpowiedzialna za partnerkę Willa, chociaż formalnie rzecz biorąc Faith była pacjentką Delii Wallace. Gnębiło ją to dokładnie tak samo, jak ostatnio gnębiły ją myśli o Willu.

Sama nuda, zero przyjemności.

Na kanapę obok Sary klapnęła Nan, jedna z praktykantek ze szkoły pielęgniarstwa. Rozmawiając, cały czas przesuwała coś na ekranie blackberry.

– Opowiadaj o tym ciachu, z którym byłaś na randce – rzuciła.

Sara zmusiła się do uśmiechu. Kiedy rano dotarła do szpitala, w pokoju lekarskim czekał na nią olbrzymi bukiet kwiatów. Dale Dugan chyba wykupił cały zapas różowych goździków w mieście. Wszyscy w izbie przyjęć gratulowali jej, zanim jeszcze zdążyła się przebrać w fartuch. Najwyraźniej kibicowali romansowi wdowy, której zawrócił w głowie lekarz.

– Jest bardzo miły – odparła.

– On mówi o tobie to samo. – Nan uśmiechnęła się chytrze, pisząc e-maila. – Wpadłam na niego w laboratorium. Jest mega przystojny.

Obserwując ruchy kciuków dziewczyny, Sara poczuła się, jakby miała trzysta lat. Nie pamiętała, czy kiedykolwiek była taka młoda jak Nan. Nie potrafiła też wyobrazić sobie Dale’a Dugana, który przysiada się do tej roztrzepanej młodej pielęgniarki na niezobowiązujące plotki.

Nan oderwała się w końcu od blackberry.

– Mówił, że jesteś fascynująca, że wspaniale się bawiliście i że wasz pocałunek był bardzo przyjemny.

– To do niego teraz pisałaś?

– Nie. – Dziewczyna wzniosła oczy do nieba. – Powiedział mi to w laboratorium.

– Pięknie! – prychnęła Sara. Nie wiedziała, co zrobić w sprawie Dale’a, który albo żył złudzeniami, albo był patologicznym kłamcą. Tak czy siak, prędzej czy później musi się z nim rozmówić. Kwiaty, które jej przysłał, stanowiły bardzo zły znak. Powinna jak najszybciej zerwać z tą fikcją. Z drugiej strony mimowolnie zastanawiała się, jak to jest, że mężczyzna, którego pożądała, był zajęty, a tego, który był wolny, nie chciała. W ten sposób nadal robiła wszystko, żeby zmienić swoje życie w telenowelę.

Nan znów zaczęła wystukiwać tekst.

– Co chcesz, żebym mu przekazała? Że co powiedziałaś?

– Nic nie mówiłam.

– Ale mogłabyś.

– Uch! – Sara wstała z kanapy. Takie rzeczy najłatwiej załatwiało się, wsuwając karteczkę do czyjejś szafki. – Chwilowo mamy spokój, więc idę na lunch.

Nie skierowała się jednak do stołówki, tylko skręciła w lewo, w kierunku wind. Omal nie skosił jej pędzący korytarzem wózek. Rana kłuta. Z piersi pacjenta wciąż sterczał nóż. Ratownicy medyczni głośno podawali najważniejsze informacje. Lekarze ostro wydawali polecenia. Sara nacisnęła przycisk w dół i czekała na windę.

Szpital, założony w ostatniej dekadzie dziewiętnastego wieku, czterokrotnie zmieniał siedzibę, aż w końcu na dobre zadomowił się

przy Jesse Hill Jr. Drive. Nieustanne błędy kierownictwa, korupcja i zwykła niekompetencja powodowały, że placówce tej od początku groziło, że w każdej chwili może pójść na dno. Gmach zbudowany na planie litery U rozbudowywano, przerabiano, wyburzano i odnawiano tyle razy, że zdaniem Sary nikt by już tego nie zliczył. Teren wokół szpitala opadał ku Uniwersytetowi Stanowemu Georgii, z którym mieli wspólne parkingi. Miejsca dla karettek pogotowia, cofnięte ku autostradzie, znajdowały się na tak zwanym Zakręcie Grady'ego, o dobre piętro powyżej głównego wejścia od ulicy. W latach polityki segregacji rasowej ośrodek powszechnie zwano „U Gradych”, ponieważ oddziały dla białych ulokowano po stronie z widokiem na miasto, a te dla czarnych po przeciwnej, bez żadnych widoków.

To tutaj przywieziono na sygnale Margaret Mitchell, autorkę *Przeminęło z wiatrem*, którą przejechał pijany kierowca na Peachtree. Pięć dni później zmarła. To tu leczono ofiary zamachu bombowego w Parku Olimpijskim Centennial. Grady wciąż dysponował najlepszą urazówką w okolicy. Zwożono tu na operacje najciężej rannych, ludzi, których życie wisiało na włosku, i dlatego biuro lekarza sądowego Fulton miało system lokalizacji satelitarnej, ułatwiający przewóz zmarłych do kostnicy. W dowolnym momencie na transport czekały zwłoki kilku osób. Gdy Sara zatrudniła się jako koroner hrabstwa Grant, szkoliła się w centrum miasta, w biurze lekarza sądowego przy Pryor Street. Wiecznie brakowało im rąk do pracy. Wiele przerw na lunch poświęcała na wysyłkę ciał do Grady.

Otworzyły się drzwi i z windy wysiadł George, strażnik. Korytarz wypełniło pokaźne brzuszysko. Swego czasu grał w futbol, dopóki zwichnięcie kostki nie zmusiło go do obrania innej drogi kariery.

– Doktor Linton. – Przytrzymał jej drzwi.

– George.

Puścił do niej oko, co skwitowała uśmiechem.

W kabinie stała para młodych ludzi. Tulili się do siebie, gdy winda zjeżdżała piętro w dół. Praca w szpitalu wiązała się z czymś jeszcze – na każdym kroku wpadało się na ludzi przeżywających jeden z najgorszych dni w życiu. Może właśnie to Sara powinna zmienić w swoim życiu – nie sprzedawać mieszkania ani nie przenosić się do

przytulnego parterowego domku, tylko wrócić do prywatnej praktyki, gdzie największy problem stanowiło podjęcie decyzji, któremu z przedstawicieli firm farmaceutycznych pozwolić się zaprosić na lunch.

Dwa piętra niżej, w podziemiach, było znacznie chłodniej. Mijając archiwum, Sara zapięła fartuch. Teraz nikt nie musiał stać w kolejce po karty pacjentów, jak w dawnych czasach, kiedy pracowała tu na internie. Wszystko skomputeryzowano, dane pacjentów znajdowały się na wyciągnięcie ręki, w tabletach połączonych z wewnętrzną siecią szpitalną. Klisze rentgenowskie oglądało się na dużo większych ekranach komputerów w salach, a wszystkie zapisane leki pacjenci mieli zakodowane na opaskach na rękach. Jako ostatni publiczny szpital w Atlancie Grady nieustannie stał na skraju bankructwa, ale przynajmniej próbował upaść z klasą.

Sara zatrzymała się przed grubymi dwuskrzydłowymi drzwiami, które odgradzały kostnicę od reszty szpitala. Przesunęła kartę przed czytnikiem. Izolowane stalowe drzwi rozsunęły się, czemu towarzyszył syk gwałtownie zmieniającego ciśnienia powietrza.

Pracownik kostnicy z zaskoczeniem powitał ją w swoich progach. Wyglądał jak got, na ile to możliwe w niebieskim szpitalnym kitlu. Nosił się tak, jakby demonstracyjnie chciał pokazać, że jest zbyt odlatowy na takie stanowisko. Farbowane na czarno włosy miał zebrane w kucyk. Jego okulary wyglądały na pożyczone od Johna Lennona. Podkreślone kredką kontury oczu kojarzyły się z filmem o Kleopatrze. Wydęty brzuch i wąsy à la Fu Manchu powodowały, że zdaniem Sary przypominał Spike'a, brata Snoopy'ego.

– Zabłądziła pani? – spytał.

– Junior – odczytała z przywieszki na jego fartuchu. Był młody, pewnie w wieku Nan. – Jestem ciekawa, czy zaglądał tu ktoś z biura lekarza sądowego Fulton.

– Larry. Właśnie pakuje zwłoki na zapleczu. Jakiś problem?

– Nie, chcę tylko, żeby podzielił się ze mną swoją wiedzą.

– Wiedzą? No to nie wróżę powodzenia.

Z zaplecza wyszedł chudy Latynos. Fartuch wisiał na nim jak szlafrok. Był mniej więcej w wieku Juniora, innymi słowy jeszcze



kilka tygodni temu nosił pewnie pieluchy.

– Świetny dowcip, jefe. – Szturchnął Juniora w ramię. – Czego pani trzeba, pani doktor?

Nie tak to sobie zaplanowała.

– Nic takiego. Przepraszam, że zawracałam wam głowę. – Chciała wyjść, lecz Junior ją zatrzymał.

– Pani jest ta nową dziewczyną Dale’a, mam rację? Mówił, że jest wysoka i ruda.

Sara przygryzła wargę. Dlaczego Dale zadawał się z tymi dziesięciolatkami?

Junior rozdziawił usta w uśmiechu.

– Doktor Linton, jak sądzę?

Skłamałaby, gdyby nie przywieszka na jej żakiecie. I nazwisko, wyhaftowane na górnej kieszeni. Nie mówiąc o tym, że w szpitalu nie pracowała inna rudowłosa lekarka.

– Z przyjemnością pomogę nowej lasce Dale’a – wyrwał się Larry.

– Ja myślę! – przytaknął Junior.

– Skąd znacie Dale’a? – spytała Sara z przyklepionym uśmiechem.

– Z kosza, dziecino. – Larry udał, że rzuca piłkę hakiem. – No więc, co cię tak przypiliło?

– Wcale mnie nie przypiliło – odpowiedziała mu, zanim się zorientowała, że robi sobie jaja. – Chciałam się spytać o tę wczorajszą strzelaninę.

– O którą?

Tym razem nie żartował. W Atlancie pytanie o strzelaninę to tak, jakby się pytać o pijaków na meczu futbolu.

– Tę w Sherwood Forest. W której brała udział agentka GBI.

Larry pokiwał głową.

– Ja cię kręcę, to pokopana sprawa. Gość miał bebechy pełne hery.

– Heroiny? – upewniła się Sara.

– Zapakowanej w baloniki. Kula rozerwała je jak... – Odwrócił się do Juniora. – Kurde, stary, jak się nazywa to coś z cukrem w środku?

– Dip stick?

– Nie.

– Chodzi ci o czekoladę?

– Nie, facet, o te cukierki, co wyglądają jak słomki do picia.  
– Pixie sticks? – podsunęła.  
– No, właśnie. Koleś miał kosmiczny odlot.  
Sara odczekała, aż tamci skończą stukać się pięściami.  
– To był ten Azjata?  
– Nie, Portorykaniec. Ricardo. – Wymawiał „r” w egzotyczny sposób.  
– Myślałam, że to Meksykanin.  
– Jasne, bo wszyscy wyglądamy tak samo, co nie?  
Sara nie wiedziała, co odpowiedzieć.  
Larry parsknął śmiechem.  
– Spoko, tylko cię wkrecałem. To Portorykaniec, tak samo jak moja mama.  
– Czy ustalili jego nazwisko?  
– Nie. Ale miał na dłoni tatuaż Nety. – Wskazał na skórę między swoim kciukiem a palcem wskazującym. – Serce z literą „N” w środku.  
– Nety? – Dotychczas nie spotkała się z tą nazwą.  
– Neta to gang Portorykańczyków. Te świry chcą się oderwać od Stanów Zjednoczonych. Kiedy wyjechaliśmy, mama siedziała w tym po uszy. Nic, tylko: „Musimy się wyrwać spod panowania kolonialnych najeźdźców”. A jak już się tu znalazła, to nagle: „Muszę sobie sprawić taki wielki telewizor plazmowy, jaki ma twoja ciotka Frieda”. Słowo. – Znowu wymienili z Juniorem żółwika.  
– Jesteś pewny, że takie „N” w środku serca to symbol gangu?  
– Jednego z wielu. Każdy, kto do nich wstępuje, musi zwerbować kolejnych członków.  
– Jak wiccanie – podpowiedział Junior.  
– Właśnie tak. Wielu odpada i przenosi się gdzie indziej. Ten cały Ricardo nie był wysoko w hierarchii. Nie miał palców. – Larry znowu uniół dłoń, tym razem ze skrzyżowanymi palcami wskazującym i środkowym. – Przeważnie ten tatuaż wygląda w ten sposób, a do tego wokół nadgarstka biegnie portorykańska flaga. Oni tylko walczą o niepodległość. A przynajmniej tak twierdzą.  
Sara przypomniała sobie, czego się dowiedziała od Willa.

– Myślałam, że Ricardo miał na piersi tatuaż Los Mexicanos.  
– No, jak mówiłem, wielu z nich odpada i przenosi się do innych. Neta nie ma tu takich wpływów jak Mexicanos. – Syknął przez zęby. – Z Mexicanos nie ma żartów. Oni się nie cackają.  
– Czy biuro lekarza sądowego wie o tym?  
– Wysłali zdjęcia tym od zwalczania gangów. Neta to reklamiarze jak mało kto. Na pewno są w biblii.  
Biblia Gangów to księga, w której policjanci odnotowują symbole i działalność poszczególnych grup.  
– Macie coś o Azjatakach? Tych pozostałych ofiarach?  
– Jeden to student. Jakiś geniusz matematyczny czy coś w tym stylu. Zgarnął wszelkie możliwe nagrody i inny szajs.  
Sara przypomniała sobie zdjęcie Hironobu Kwona, pokazywane w wiadomościach.  
– Myślałam, że chodził na stanowy? – powiedziała. Uniwersytet Stanowy Georgii nie był złą uczelnią, ale matematycznie uzdolnione cudowne dzieci trafiały na stanową politechnikę.  
– Nic więcej nie wiem. Teraz zajmują się tym drugim. Przez ten pożar mieszkania mamy opóźnienie jak cholera. Sześć ciał. – Pokręcił głową. – I dwa psy. Kurde, nie znoszę, jak giną psiaki.  
– Ja też, bracie – wtrącił się Junior.  
– Dzięki – rzuciła Sara. – Dziękuję wam obu.  
Junior uderzył się bokiem pięści w pierś.  
– Bądź dobra dla naszego Dale’a – powiedział.  
Wyszła, zanim tamci zrobili kolejnego żółwika. Idąc korytarzem, sięgnęła do kieszeni po komórkę. Większość pracowników nosiła przy sobie tyle urządzeń elektronicznych, że wszystkim groziła pewnie śmierć od napromieniowania. Sara miała blackberry, którym odbierała dane z laboratorium i szpitalne komunikaty, oraz iPhone’a na użytek osobisty. Jej komórka służbowa, model z klapką, należała wcześniej do kogoś o wyjątkowo lepkich dłoniach. Do górnej kieszeni miała przypięte dwa pagery – jeden z ostrego dyżuru, drugi z oddziału pediatrycznego. Swój prywatny telefon, niezwykle cienki, przeważnie znajdowała na samym końcu – i tak też było tym razem.  
Przewinęła listę kontaktów, zatrzymała się na nazwisku Amandy

Wagner, po czym wróciła do Willa Trenta.

Odebrał po drugim dzwonku.

– Trent.

Nie wiadomo czemu na dźwięk jego głosu nie mogła wykrztusić słowa. W milczeniu słuchała wycia wiatru i odgłosów bawiących się dzieci.

– Halo? – powiedział.

– Cześć, Will... przepraszam. – Odchrząknęła. – Dzwonię, bo rozmawiałam z kimś od lekarza sądowego. Tak jak prosiłeś. – Poczowała, że się oblewa rumieńcem. – Jak prosiła Amanda.

Wymamrotał coś, prawdopodobnie do Amandy.

– I co odkryłaś? – spytał.

– Ten zabity Texicano, Ricardo. Nie znają jeszcze nazwiska, ale chyba był Portorykańczykiem. – Poczekała, aż przekaże tę wiadomość szefowej. Ta zapytała o to samo, o co wcześniej dopytywała się Sara. – Na prawej dłoni miał tatuaż Nety, to gang portorykański – ciągnęła. – Człowiek, z którym rozmawiałam, powiedział, że po przyjeździe do Atlanty Ricardo pewnie przyłączył się do konkurencji. – Znów odczekała, aż Will poinformuje Amandę. – Poza tym miał brzuch pełen heroiny.

– Heroiny? – Ze zdumienia podniósł głos. – Ile?

– Nie jestem pewna. Człowiek, z którym rozmawiałam, twierdził, że proszek był zapakowany w balony. Kiedy Faith strzeliła do Ricarda, heroina się uwolniła. Już samo to by go zabiło.

Will przekazał to swojej szefowej, po czym odezwał się do słuchawki:

– Amanda ci dziękuje, że się tym zajęłaś.

– Przykro mi, że nie zdobyłam nic więcej.

– I tak spisałaś się świetnie. – I natychmiast się poprawił: – To znaczy, dziękuję, pani doktor. Te informacje bardzo nam się przydadzą.

Wiedziała, że Will nie może rozmawiać w obecności Amandy, ale nie chciała go puścić.

– A tobie jak leci?

– W więzieniu kłapa. Teraz stoimy przed domem Hironobu Kwona.

Mieszkał z matką w Grant Park. – A zatem Will był niecałe piętnaście minut jazdy od szpitala. – Sąsiadka mówi, że jego matka powinna wkrótce wrócić. Przypuszczam, że załatwia pogrzeb. Mieszka naprzeciwko zoo. Musieliśmy zaparkować półtora kilometra dalej. A raczej ja parkowałem. Amanda kazała się wysadzić przed domem. – W końcu przerwał dla nabrania oddechu. – A co u ciebie?

Sara uśmiechnęła się. Wyglądało na to, że podobnie jak ona, on też nie chce się rozłączać.

– Spałeś w nocy choć trochę? – spytała.

– Niewiele. A ty?

Próbowała coś wymyślić, chciała, żeby jej odpowiedź zabrzmiała zalotnie, ale bąknęła tylko:

– Niewiele.

Głos Amandy był zbyt stłumiony, by mogła zrozumieć, co mówi, lecz dotarł do niej jej ton.

– No nic, pogadamy później – rzucił Will. – Jeszcze raz dziękuję, pani doktor.

Przerywając połączenie, Sara czuła się głupio. Może jednak powinna wrócić do pokoju lekarskiego i poplotkować z Nan.

A może raczej powinna się rozmówić z Dale'em Duganem i zdusić to w zarodku, zanim oboje postawią się w jeszcze bardziej żenującej sytuacji? Wyjęła swoje szpitalne blackberry, znalazła adres e-mailowy Dale'a i zaczęła go wpisywać do iPhone'a. Umówi się z doktorem w stołówce, żeby obgadać ich relacje. A może lepiej zaproponować parking? Po szpitalu krążyło już dostatecznie dużo plotek, wołała nie dawać powodu do następnych.

Przed sobą usłyszała brzdęk dzwonka windy i zobaczyła Dale'a. Zaśmiewał się z czegoś z jakąś pielęgniarzką. Sara stchórzyła. Pchnęła najbliższe mijane drzwi – przypadkiem prowadziły do archiwum. Przy biurkach zarzuconych kartami pacjentów siedziały dwie starsze panie z identycznymi trwałymi na głowach. Stukały zawzięcie w klawiatury komputerów i ledwie raczyły na nią spojrzeć.

– Pomóc w czymś? – spytała jedna z nich, przewracając kartkę w leżących obok aktach pacjenta.

Przez chwilę Sara stała, nie bardzo wiedząc, co robić. Niejasno

zdała sobie sprawę, że odkąd wsiadła do windy, myślała o aktach. Wsunęła iPhone'a do kieszeni.

– O co chodzi, moja droga? – dopytywała się kobieta. Teraz już obie przyglądały się Sarze.

Pokazała swoją legitymację szpitalną.

– Szukam starej karty pacjenta, z tysiąc dziewięćset... – Szybko porachowała w głowie. – Siedemdziesiątego szóstego, chyba.

Kobieta wręczyła jej papier i podkładkę.

– Podaj mi nazwisko. To ułatwi sprawę.

Zapisując nazwisko Willa, Sara wiedziała, że źle postępuje, i to nie tylko dlatego, że łamiąc federalne prawo dotyczące ochrony danych osobowych, ryzykuje natychmiastowe zwolnienie z pracy. Will od małego przebywał w miejskim domu dziecka. Musiał się nim zajmować jakiś lekarz domowy. Wszystkie jego problemy zdrowotne przechodziły przez Szpital Grady'ego. Trzymano tu więc całe jego dzieciństwo, a ona korzystała ze szpitalnego etatu, żeby się dostać do tych danych.

– Nie ma drugiego imienia? – spytała kobieta.

Sara zaprzeczyła ruchem głowy. Bała się, że głos odmówi jej posłuszeństwa.

– Daj mi chwilkę. Tych akt nie ma jeszcze w komputerze, inaczej mogłabyś je ściągnąć na swój tablet. Za lata siedemdziesiąte dopiero się zabraliśmy. – Wstała i zanim Sara zdążyła ją powstrzymać, znikła za drzwiami z napisem: „Kartoteki”.

Druga kobieta wróciła do pisania; jej długie, pomalowane na czerwono paznokcie wydawały dźwięki przywodzące na myśl kota pędzącego po kamiennej posadzce. Sara spuściła wzrok na swoje buty, poplamione Bóg wie czym – śladami po porannych przypadkach. W myślach próbowała zidentyfikować winowajców, nie mogła się jednak pozbyć uczucia, że właśnie robi niewątpliwie najbardziej nieetyczną rzecz w życiu. A co gorsza, absolutnie nadużywa zaufania Willa.

Nie, nie mogła tego zrobić. Nie chciała.

Nie postępowała w ten sposób. Zazwyczaj była prostolinijna. Skoro chciała się czegoś dowiedzieć o próbie samobójczej Willa albo poznać

szczegóły z jego dzieciństwa, powinna zapytać go wprost, a nie przeglądać akta lekarskie za jego plecami.

Kobieta wróciła.

– Nie ma Williama, ale znalazłam Wilbura. – Pod pachą niosła teczkę. – Tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty piąty.

Sara przez większość życia korzystała z kartotek na papierze. W przypadku zdrowych dzieci, zanim skończyły osiemnaście lat, ich akta zawierały około dwudziestu stron. Teczki chorowitych miewały do pięćdziesięciu. Teczka Willa miała trzy centymetry grubości. Spłowiąłe żółte i białe kartki złączono sparciałą gumką recepturką.

– Bez drugiego imienia – powiedziała kobieta. – Jestem pewna, że kiedyś je miał, ale w tamtych czasach dane wielu z tych dzieci przeciekały przez sito.

– Ci z Ellis Island i Tuskegee trafili do jednego worka – dorzuciła jej koleżanka.

Sara sięgnęła po teczkę, lecz jej nie wzięła. Zastygła z ręką w powietrzu.

– Dobrze się czujesz, moja droga? – Kobieta obejrzała się na koleżankę i znów przyjrzała się Sarze. – Może usiądziesz?

Sara opuściła rękę.

– W sumie chyba nie potrzebuję tych danych. Przepraszam, że zawracałam pani głowę.

– Jesteś pewna?

Sara skinęła głową. Nie pamiętała, kiedy ostatnio czuła się tak paskudnie. Nawet scysja z Angie nie wywołała u niej takich wyrzutów sumienia.

– Bardzo przepraszam.

– Nie ma za co. Miło było wstać i rozprostować kości. – Kobieta włożyła teczkę pod pachę, a wtedy sparciała gumka pękła i papiery rozsypały się po podłodze.

Sara odruchowo schyliła się, żeby jej pomóc. Zebrała dokumenty w plik, zmuszając się, żeby ich nie czytać. Były tam wydrukowane na drukarce igłowej dane z laboratorium, tony kart medycznych oraz coś, co wyglądało na przedpotopowy raport policji miejskiej Atlanty. Modliła się, żeby nie odczytać choćby jednego zdania czy słowa.

– Popatrz na to.

Zadarła głowę. Postąpiła jak najbardziej naturalnie. Kobieta trzymała wyblakłe zdjęcie z polaroida, przedstawiające zbliżenie ust dziecka. Obok rany przecinającej całą rynienkę podnosową – pionowe zagłębienie biegnące od nosa do górnej wargi – widniała mała srebrna linijka. Obrażenie nie było skutkiem upadku ani zderzenia, tylko ciosu na tyle silnego, że rozerwał ciało, odsłaniając zęby. Ranę spinały grube czarne szwy. Ciało było opuchnięte, skóra podrażniona. Sara widywała tego rodzaju prymitywne szwy w kostnicy, ale nie na twarzy dziecka.

– Założę się, że brał udział w testach tych poly-coś tam – rzekła kobieta. Pokazała zdjęcie koleżance, która wyjaśniła Sarze:

– Kwas poliglikolowy. W Grady prowadzono pilotażowe badania różnych rodzajów szwów wchłaniających, nad którymi pracowali na politechnice. Wygląda na to, że to jedno z dzieci, u których wystąpiła reakcja alergiczna. Biedactwo. – Wróciła do pisania. – Przypuszczam, że to i tak lepsze niż przystawianie mu pijawek.

– Skarbie, dobrze się czujesz? – spytała Sarę druga z nich.

Sara miała wrażenie, że zaraz zwymiotuje. Wyprostowała się i wyszła z pokoju. Zatrzymała się dopiero wtedy, gdy pokonawszy pędem dwa piętra po schodach, wybiegła na dwór, by zaczerpnąć świeżego powietrza.

Chodziła tam i z powrotem przed zamkniętymi drzwiami. Miotają ją gniew i wstyd. Will był małym dzieckiem. Przyjęli go do szpitala na kurację, ale zamiast go leczyć, prowadzili na nim eksperymenty jak na zwierzęciu doświadczalnym. Prawdopodobnie do dziś nie miał pojęcia o tym, co mu zrobili. Sama też wolałaby tego nie wiedzieć, lecz dostała nauczkę, żeby nie wściubiać nosa w nie swoje sprawy. W żadnym razie nie powinna prosić o te akta. A jednak zrobiła to i teraz nie mogła się pozbyć tego widoku – jego pięknych ust, barbarzyńsko zacerowanych szwami, które nie spełniały podstawowych warunków do uzyskania oficjalnego atestu.

Spłowiące zdjęcie z polaroida zachowa w pamięci do końca życia. Ale sama się o to prosiła.

– Hej, ty tam!



Sara odwróciła się szybko. Obok niej stała młoda, przeraźliwie chuda blondynka. Tłuste włosy opadały jej do pasa. Podrapała świeże ślady po ukłuciach na ramionach.

– Pani jest lekarką?

Sara odruchowo schowała się za tarczą. Po szpitalu kręciło się wielu ćpunów, niektórzy uciekali się do przemocy.

– Jeśli potrzebna ci jest opieka medyczna, wejdź do środka – odparła.

– Nie chodzi o mnie. Tylko o tego tam. – Dziewczyna wskazała śmietnik w rogu za szpitalem. Nawet za dnia cień budynku pograżał to miejsce w półmroku. – Leżał tu przez całą noc. Chyba nie żyje.

– Wejdźmy do środka, porozmawiajmy o tym – zaproponowała Sara łagodniejszym tonem.

Ćpunka przeszła ją wściekłym wzrokiem.

– Słuchaj no, ja tylko próbuję zachować się, jak należy. Więc nie traktuj mnie z góry, dobra?

– Ja wcale nie...

– Obyś złapała od niego HIV-a, mendo! – warknęła blondynka i złorzecząc pod nosem, powlokła się dalej.

– Chryste! – jęknęła Sara, zastanawiając się, co gorszego może ją jeszcze spotkać. W Atlancie brakowało jej dobrego wychowania ludzi z prowincji, gdzie nawet ćpuny mówiły do niej „proszę pani”. Zawróciła w kierunku szpitala, lecz nagle zatrzymała się. Możliwe, że dziewczyna mówiła prawdę.

Podeszła do śmietnika – nie za blisko, na wypadek gdyby w środku czaił się wspólnik blondynki. W weekend nie wywożono śmieci. Na ziemi walały się pudła i plastikowe reklamówki, które wysypały się z metalowego pojemnika. Sara zbliżyła się o krok. Pod niebieską torbą ktoś leżał. Zobaczyła rękę. Wnętrze dłoni przecinała głęboka otwarta rana. Zrobiła jeszcze jeden krok, po czym stanęła. Praca w Grady nauczyła jej przesadnej ostrożności. To jednak mogła być pułapka. Nie podeszła więc do ciała, tylko zawróciła i pobiegła na parking karetek po pomoc.

Stali tam trzej ratownicy medyczni, pogrążeni w rozmowie. Kiedy kazała im pójść na tyły szpitala, ruszyli za nią z noszami. Rozgarnęła

śmiesi. Mężczyzna oddychał, lecz był nieprzytomny. Miał zamknięte oczy. Pożółkła brązowa skóra wyglądała jak wosk. T-shirt nasiąknął krwią, niewątpliwie wypływającą z głębokiej rany podbrzusza. Sara przyłożyła palce do tętnicy szyjnej mężczyzny i na jego szyi ujrzała znajomy tatuaż – gwiazdę Teksasu z owiniętym wokół niej węzłem.

Brakujący osobnik B minus Willa.

– Ładujemy go – polecił jeden z ratowników medycznych.

Gdy wieźli rannego do szpitala, biegła obok noszy. Słuchając ratowników, którzy na bieżąco analizowali jego stan, odchyliła bandaż. Rana wlotowa brzucha była wąska, zapewne od kuchennego noża. Ząbkowanego, o czym świadczyły poszarpane krawędzie. Niewielka ilość świeżej krwi wskazywała na krwotok wewnętrzny. Wzdęty brzuch oraz charakterystyczny odór gnijącego mięsa mówiły Sarze, że niewiele będzie w stanie dla niego zrobić.

Obok niej truchtał wysoki mężczyzna w ciemnym garniturze.

– Wyliże się z tego? – zapytał.

Sara rozejrzała się, szukając strażnika George'a. Nigdzie go nie zauważyła.

– Proszę nie przeszkadzać – odparła.

– Pani doktor... – Podniósł otwarty portfel. Przed oczami mignęła jej złota odznaka. – Jestem z policji. Czy on się wyliże?

– Nie wiem – odparła szczerze, przesuwając bandaż na miejsce. Po czym, na wypadek gdyby pacjent ich słyszał, dodała: – Może.

Gliniarz został z tyłu. Kiedy się obejrzała, w korytarzu już go nie było.

Natychmiast pojawiła się ekipa z urazówki. Rozcięli ubrania mężczyzny, pobrali mu krew, podłączyli go do rozmaitych urządzeń. Ustawili tacę z narzędziami do operacji. Otworzyli paczki tamponów. Pojawił się wózek chirurgiczny.

Sara kazała podłączyć pacjentowi dwie grube kroplówki w celu uzupełnienia płynów. Sprawdziła podstawowe funkcje: tchawica była drożna, oddychanie w porządku, krążenie na tyle dobre, na ile to możliwe. Zwróciła uwagę, że wszyscy przestali się śpieszyć, kiedy uświadomili sobie, z czym mają do czynienia. Zespół się przerzedził. W końcu została tylko ona i jedna pielęgniarka.

– Brak portfela – poinformowała pielęgniarka. – W kieszeniach nie ma nic, same klaczkki.

– Proszę pana? – powiedziała Sara, otwierając oczy mężczyzny. Rozszerzone źrenice miał utkwione w jeden punkt. Sprawdziła, czy nie doznał urazu głowy, delikatnie obmacując jego czaszkę zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Na kości potylicznej wyczuła pęknięcie z odłamkami wbijającymi się w głąb czaszki. Spojrzała na swoją dłoń w rękawiczce. Z rany nie wypływała świeża krew.

Pielęgniarka zaciągnęła zasłonę, żeby zapewnić pacjentowi nieco intymności.

– Prześwietlenie? Tomografia jamy brzusznej? – spytała.

Formalnie rzecz biorąc, Sara pełniła funkcję stałej asystentki.

– Możesz ściągnąć Krakauera? – odpowiedziała pytaniem.

Kiedy pielęgniarka odeszła, Sara wróciła do badania pacjenta, choć była pewna, że Krakauerowi wystarczy jeden rzut oka, by się z nią zgodzić. Nie było powodów do pośpiechu. Ten człowiek nie miał prawa przeżyć ani znieczulenia, ani takich ran. Co najwyżej mogli go naszpikować antybiotykami i czekać, aż czas zadecyduje o jego losie.

Ktoś odsunął zasłonę. Do środka zajrzał młody mężczyzna – starannie ogolony, w czarnej ocieplanej kurtce i czarnej bejsbolówce, nasuniętej nisko na czoło.

– Tu nie wolno wchodzić – powiedziała Sara. – Jeśli szuka pan...

Pchnął ją w pierś tak silnie, że padła na podłogę. Ramieniem strąciła jedną z tac. Wokół niej zagrzechotały metalowe narzędzia – skalpele, kleszcze, nożyce. Młody człowiek wycelował pistolet i z bliska wypalił w głowę pacjenta.

Sara usłyszała wrzask. To ona krzyczała. Dźwięk wydobywał się z jej ust. Przerwała, gdy napastnik skierował lufę broni na nią. Ruszył w jej stronę. Na oślep macała dookoła, szukając czegoś do obrony. Jej dłoń zacisnęła się na skalpeli.

Tamten był coraz bliżej, stał już niemal nad nią. Czy zamierzał ją zastrzelić, czy może chciał wyjść? Nie dała mu czasu do namysłu. Zamachnęła się i trafiła go ostrzem w wewnętrzną stronę uda. Facet z jękiem wypuścił pistolet z ręki. Rana była głęboka. Z tętnicy udowej tryskała krew. Opadł na kolano. Oboje w tym samym momencie

zauważyli pistolet. Sara odtrąciła broń kopniakiem. Napastnik rzucił się więc na nią, chwytając rękę, w której trzymała skalpel. Próbowwała się oswobodzić, lecz on jeszcze mocniej ścisnął jej nadgarstek. Gdy zdała sobie sprawę, o co mu chodzi, wpadła w panikę. Ostrze zbliżało się do jej szyi. Oburącz próbowała odepchnąć napastnika, a skalpel był coraz bliżej.

– Proszę... Nie...

Położył się na niej, przyciskając ją ciałem do podłogi. Spojrzała w jego zielone oczy. Białka przecinała siatka czerwonych żyłek. Usta miał zaciśnięte w wąską kreskę. Drżał tak, że czuła jego dygotanie w kręgosłupie.

– Rzuć to! – Strażnik George stał z wycelowanym przed siebie rewolwerem. – Ale już, gnojku!

Sara poczuła, że napastnik wzmacnia uścisk. Ich zwarte w walce ręce drżały.

– Rzuć broń, natychmiast!

– Proszę... – błagała Sara. Mięśnie odmawiały jej posłuszeństwa. Traciła siły.

Znienacka uścisk ustał. Sara patrzyła, jak skalpel śmiga w górę, ostrze zagłębia się w ciało napastnika, a on, wciąż mocno trzymając jej rękę, raz za razem wbija sobie skalpel w szyję.

## Rozdział 10

Will tak długo siedział uwięziony w samochodzie z Amandą, że obawiał się, iż wystąpi u niego syndrom sztokholmski. I tak już zmiękł, zwłaszcza po tym, jak Miriam Kwon, matka Hironobu Kwona, napluła Amandzie w twarz.

Na obronę pani Kwon można by powiedzieć, że Amanda nie była wobec niej zbyt delikatna. W gruncie rzeczy zasadzili się na nią na trawniku przed jej domem. Najwyraźniej wracała po przygotowaniach do pogrzebu syna, ściskając plik ulotek z wyrysowanym krzyżem. Na całej ulicy stały samochody, więc musiała zaparkować nieco dalej. Była wyraźnie wyczerpana i słaba, jak każda matka, która dopiero co wybierała trumnę dla swojego jedyne go syna.

Amanda, w imieniu GBI, wybąkała zdawkowe kondolencje, po czym od razu uderzyła w najczulsze miejsce. Pani Kwon – Will stwierdził to, sądząc po jej reakcji – nie spodziewała się, że ktoś w ten sposób skala imię jej syna, zmarłego przecież w co najmniej nikczemnych okolicznościach. Lokalne stacje telewizyjne w Atlancie miały zwyczaj traktować każdego zmarłego mężczyznę poniżej dwudziestego piątego roku życia jako wzorowego studenta, dopóki nie dowiedziono, że jest inaczej. Jeśli wierzyć kartotece policyjnej, akurat ten wzorowy student był amatorem oxycontin. Hironobu Kwona dwukrotnie aresztowano za handel tym narkotykiem. Przed wieloletnią odsiadką uchroniły go osiągnięcia akademickie. Trzy miesiące temu sędzia skierował go na odwyk. Jak widać, nie odniosło to spodziewanego skutku.

Will sprawdził na wyświetlaczu komórki, która godzina. Po niedawnej zmianie czasu na letni telefon samoczynnie przestawił się na format dwudziestoczworogodzinny i Will za cholere nie potrafił tego cofnąć. Na szczęście była dwunasta trzydzieści, dzięki czemu nie musiał liczyć na palcach jak mała.

Inna sprawa, że nie brakowało mu czasu na matematyczne zagwozдки. Mimo że od rana przejechali blisko osiemset kilometrów, nie mieli się czym pochwalić. Evelyn Mitchell jak nie było, tak nie

było. Minęła prawie doba od jej uprowadzenia. Trupy się mnożyły, a jak dotąd jedyny trop Willa i Amandy stanowiła informacja pochodząca z ust oczekującego na karę śmierci więźnia, którego zamordowano, zanim zdążyło go zabić państwo.

Równie dobrze mogli sobie darować tę wyprawę do więzienia stanowego Valdosta. Detektywi Adam Hopkins i Ben Humphrey, kiedyś członkowie brygady antynarkotykowej, traktowali Amandę jak powietrze. Will nie spodziewał się niczego innego. Kiedy przed laty zajrzał do każdego z nich z osobna, żaden nie chciał z nim gadać. Lloyd Crittenden nie żył. Dotarcie do Demarcusa Alexandra i Chucka Finna było zapewne równie niemożliwe. Natychmiast po zwolnieniu z więzienia obaj byli detektywi wyjechali z Atlanty. Ubiegłego wieczoru Will rozmawiał z ich kuratorami. Alexander próbował rozpocząć nowe życie na Zachodnim Wybrzeżu. Finn przebywał w Tennessee, gdzie wiódł nędzny żywot narkomana.

– Heroina – odezwał się Will.

Amanda odwróciła się i spojrzała na niego takim wzrokiem, jak gdyby zapomniała o jego obecności. Jechali autostradą międzystanową 85 do kolejnego przestępcy, który bez dwóch zdań również nie zechce z nimi rozmawiać.

– Boyd Spivey mówił, że Chuck Finn szprycował się heroiną – wyjaśnił Will. – Według Sary, Ricardo był wypchany tym narkotykiem.

– To dość naciągane skojarzenie.

– Oto następne: oxy zwykle prowadzi do uzależnienia od heroiny.

– Chwytasz się bardzo cienkiej słomki. W dzisiejszych czasach gdzie rzucić okiem, widać narkomana. – Westchnęła. – Szkoda, że nie mamy więcej oczu.

Will przebierał palcami po udzie. Od świtu czekał na dogodny moment, mając nadzieję, że zaskoczy Amandę i wydusi z niej prawdę. Więc dlaczego nie miałyby spróbować teraz?

– Adoratorem Evelyn był Hector Ortiz – oznajmił.

Kącik ust Amandy powędrował w górę.

– Co ty powiesz?

– Był bratem Ignatia Ortiza, ale sądząc z twojej miny, nie jest to dla

ciebie nic nowego.

– Kuzynem Ignatia – sprostowała. – Czy zawdzięczasz te nowiny pani doktor Linton?

Will poczuł, że jeszcze trochę, a zacznie zgrzytać zębami.

– Już wcześniej wiedziałaś, kim był.

– Wolisz zmarnować najbliższe dziesięć minut na rozczulanie się nad sobą, czy wziąć się do roboty?

Przez najbliższe dziesięć minut miałby ochotę ją dusić, jednak postanowił się z tym nie zdradzać.

– Dlaczego Evelyn zadawała się z kuzynem faceta, który rządzi handlem koką na całym południowym wschodzie kraju? – zapytał.

– W gruncie rzeczy Hector był dilerem samochodów. – Zerknęła na niego ukosa. W jej oczach błysnęło coś na kształt rozbawienia. – Handlował cadillacami.

To tłumaczyło, dlaczego sprawdzając samochody, Will nie natknął się na jego nazwisko. Facet jeździł samochodem firmowym.

– Hector miał na przedramieniu tatuaż Mexicanos – obstawał przy swoim.

– Za młodu wszyscy popełniamy błędy.

Will nie ustępował.

– A co z tą literą „A”, którą Evelyn wymalowała na spodzie krzesła?

– Zdaje się, że mówiliśmy o strzałce?

– Almeja brzmi podobnie do Amanda.

– A jeśli nawet?

– W slangu to znaczy „pizda”.

Roześmiała się.

– Will, czyżbyś chciał mi nawrzucać od pizd?

Gdyby tylko wiedziała, ile razy go to korciło!

– Chyba należy ci się ode mnie nagroda za dobrą policyjną robotę.

– Wyjęła zza osłony przeciwslonecznej złożoną kartkę i mu ją podała.

– Wykaz rozmów telefonicznych Evelyn za ostatnie cztery tygodnie.

Przebiegł wzrokiem dwie strony.

– Często dzwoniła do Chattanooga – zauważył.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem. W rewanżu spiorunował ją wzrokiem. Potrafił czytać, tyle że bardzo wolno i nie wtedy, kiedy

ktoś patrzył mu na rękę. Ale w Chattanooga mieścił się wschodni oddział terenowy Biura Śledczego Tennessee. Pracując na północy Georgii, nieustannie wydzwaniał do nich, żeby koordynować akcje przeciwko handlarzom metamfetaminy. Na wykazie rozmów Evelyn prefiks 423 pojawiał się przynajmniej kilkanaście razy.

– Chciałaś coś powiedzieć? – zapytał.

Choć raz powstrzymała się od komentarza.

Wyciągnął telefon komórkowy i zaczął wybierać numer.

– Nie wygłupiaj się – przerwała mu. – To Healing Winds, ośrodek odwykowy.

– Po kiego tam wydzwaniała?

– Zadałam to samo pytanie. – Wrzuciła kierunkowskaz i zmieniła pas. – Nie wolno im udzielać informacji na temat pacjentów.

Will porównał numery telefonów z datami. Evelyn dzwoniła do ośrodka dopiero od dziesięciu dni, czyli odkąd – według pani Levy – zaczęła się częściej spotykać z Hectorem Ortizem.

– Chuck Finn mieszka w Tennessee – powiedział.

– W Memphis – uściśliła. – To pięć godzin jazdy z Healing Winds w Chattanooga.

– Jest poważnie uzależniony od narkotyków. – Zamilkł, licząc na odpowiedź, a skoro się nie doczekał, dorzucił: – Niektórzy po wyjściu z pierdla chcą zrzucić ciężar z piersi. Może Evelyn się bała, że zacznie sypać?

– Cóż za ciekawa teoria.

– A może Chuck przejrzał na oczy i zrozumiał, że Evelyn wciąż trzyma łapę na jego działce. Z taką przeszłością jak on trudno znaleźć robotę – naciskał. – Wywalili go ze służby. Kilka lat siedział w pudle. Musi walczyć z nałogiem. Nawet jeśli jest czysty, nikt nie pójdzie mu na rękę i go nie zatrudni. Nie w obecnej sytuacji gospodarczej.

Amanda rzuciła mu następny ochłap informacji:

– W domu Evelyn znaleziono osiem zestawów odcisków palców, nie licząc jej i Hectora. Zidentyfikowano trzy osoby. Jedna to Hironobu Kwon, druga to Ricardo, kurier przewożący heroinę, a trzeci zestaw należał do amatora hawajskich koszul. Nazywa się Benny Choo. Ma czterdzieści dwa lata i jest cynglem Żółtych



Buntowników.

– Żółtych Buntowników?

– Gang azjatycki. Nie pytaj, skąd wzięli taką nazwę. Na mój gust są niezwykle dumni, że robią za prostaków. Zresztą większość z nich to rzeczywiście buraki.

– Ling-Ling – domyślił się Will. To właśnie do niego jechali. – Spivey radził, żebyś z nim pogadała.

– Z Julią Ling.

– To kobieta? – zdziwił się.

– Kobieta, a jakże. Cie cholera, jak ten świat się zmienia. – Zerknęła w lusterko wsteczne i śmignęła na sąsiedni pas. – Ksywa wzięła się z poglądu, teraz już obalonego, że nie jest za mądra. Jej szef lubi rymowanki. Dlatego „Ding-a-ling”, innymi słowy przygłup, zmienił się w „Ling-a-Ling”, skrócone do „Ling-Ling”.

Will nie miał pojęcia, o czym Amanda mówi, ale przytaknął:

– To ma sens.

– Pani Ling jest szefową Żółtych Buntowników, tyle że trzyma się na uboczu. Od środka za sznurki pociąga jej brat, Roger, ale na co dzień to ona wszystkim kręci. Jeśli żółtki próbują przejąć rynek hery, załatwia to Roger za pośrednictwem Ling-Ling.

– A ten za co siedzi?

– Wlepili mu dożywocie za gwałt i mord na dwóch nastolatkach. Miały szesnaście i czternaście lat. Robiły dla niego na ulicy. Uznał, że się opieprzają i obsługują za mało klientów, więc je zadusił smyczą. Najpierw jednak obie zgwałcił i odgryzł im piersi.

Willa przeszły dreszcze po krzyżu.

– Dlaczego nie dostał czapy?

– Poszedł na układ. Władze się wystraszyły, że się powoła na niepoczytalność... tak między nami, nie byłoby to nawet szczególnie naciągane, bo Roger to skończony świr. Nie po raz pierwszy złapano go z ludzkim mięsem w zębach.

Will wzdrygnął się i spał.

– A te jego ofiary? – dociekał dalej.

– Dziewczyny na gigancie, które wpadły w narkotyki i prostytutkę. Ich rodziny wierzyły w karę boską, a nie w zasadę oko za oko.

Will znał ten typ.

- Zapewne uciekły nie bez powodu.
- Jak większość młodych dziewcząt.
- A siostra mimo to wciąż go wspiera?

Spojrzała na niego znacząco.

– Nie daj się zwieść pozorom, Will. Julia ma gadane, ale wierz mi, bez zmrużenia oka poderżnęłaby ci gardło. Z tymi ludźmi lepiej nie zadzierać. Trzeba się stosować do ich procedur. Musisz im okazywać najgłębszy szacunek.

– Do żółtków nie możesz sobie wejść ot tak. Trzeba mieć zaproszenie. – Will zacytował słowa Boyda.

– Ty to masz pamięć!

Sprawdził numer następnego zjazdu. Kierowali się na autostradę Buford. Do Chambodży.

– Może Boyd tylko częściowo miał rację – powiedział. – Heroina uzależnia o wiele bardziej niż koka. Jeśli Żółci Buntownicy zaleją rynek tanią herą, to Los Mexicanos stracą klientów na kokainę. To by wskazywało na walkę o władzę, ale nie wyjaśnia, dlaczego dwaj Azjaci i Texicano szukali czegoś w domu Evelyn Mitchell. – Urwał. Amandzie znów udało się go wmanewrować w zmianę tematu. – Hironobu Kwon i Benny Choo – podjął. – Jak brzmi nazwisko Ricarda?

Uśmiechnęła się.

– Brawo. Ricardo Ortiz. – Przekazała tę informację, jakby to była kolejna nagroda. – Był najmłodszym synem Ignatia Ortiza.

Nawet morderców, którzy zarabali kogoś siekierą, nie musiał aż tak ciągnąć za język podczas przesłuchania.

– I robił za kuriera przemycającego heroinę.

– Owszem.

– Zamierzasz mi powiedzieć, co łączyło tych facetów, czy muszę się tego dowiedzieć na własną rękę?

– Ricardo Ortiz dwukrotnie wylądował w poprawczaku, ale nigdy nie zetknął się z Hironobu Kwonem. Nic nie wiadomo, żeby któregoś z nich łączyło coś z Bennym Choo, a jak już mówiłam, Hector Ortiz był zwykłym sprzedawcą samochodów. – Śmignęła przed maską

dostawczaka, przy okazji zajeżdżając drogę hyundaiowi. – Wierz mi, gdybym zauważyła jakiś związek między nimi, już byśmy nad tym pracowali.

– Pomijając Choo, to sami młodzi ludzie, niewiele po dwudziestce – rzekł Will, dumając nad tym, gdzie mogli się zetknąć. Na mityngach anonimowych alkoholików. W klubach nocnych. Na meczu koszykówki albo w kościele. Miriam Kwon nosiła na szyi złoty krzyż. Ricardo Ortiz miał krzyż wytatuowany na ramieniu. Zdarzały się dziwniejsze zbiegi okoliczności.

– Sprawdź numer, pod który Evelyn dzwoniła dzień przed porwaniem. Dwie po piętnastej – poleciła Amanda.

Przejechał palcem po pierwszej kolumnie, szukając nazwiska, a potem przeszedł do następnej. Prefiks wskazywał na okolice Atlanty.

– Powiniennem go skojarzyć? – spytał.

– Zdziwiłabym się, gdyby coś ci mówił. To numer posterunku w Hartsfield. – Hartsfield-Jackson, lotnisko atlanckie. – Komendantem jest tam Vanessa Livingston. Znam babkę od wieków. Kiedy odeszłam z policji miejskiej, została partnerką Evelyn.

Will czekał. W końcu rzucił:

– I?

– Evelyn prosiła ją o sprawdzenie nazwiska na liście pasażerów.

– Ricarda Ortiza – domyślił się.

– Chyba jednak w nocy się wyspałeś.

Do trzeciej nad ranem odsłuchiwał nagrania, tylko po to, żeby dowiedzieć się tego, co Amanda już dawno wiedziała.

– Skąd przyleciał Ricardo? – zapytał.

– Ze Szwecji.

Zmarszczył czoło. Tego się nie spodziewał.

Skreśliła w zjazd prowadzący do autostrady międzystanowej 285.

– Dziewięćdziesiąt procent światowej produkcji heroiny pochodzi z Afganistanu. Oto, na co idą twoje podatki. – Zwolniła przed zakrętem przy Spaghetti Junction. – Większość dostaw do Europy trafia przez Iran do Turcji, a stamtąd dalej na północ.

– Na przykład do Szwecji.

– Na przykład. – Dodała gazu, włączając się w sznur dziarsko mknących pojazdów. – Ricardo spędził tam trzy dni. Potem poleciał z Göteborga do Amsterdamu, a stamtąd bezpośrednio do Atlanty.

– Nafaszerowany heroiną.

– Nafaszerowany heroiną.

Will potarł szczękę, zastanawiając się nad tym, co spotkało tego młodego człowieka.

– Ktoś sprzął go na kwaśne jabłko – powiedział. – Miał w sobie pełno balonów. Może nie zdążył ich przekazać dalej.

– To już jest pytanie dla patomorfologa.

Zakładał, że szefowa dowiedziała się tego wszystkiego w biurze lekarza medycyny sądowej.

– Nie pytałaś go?

– Łaskawie obiecali mi przysłać pełny raport pod koniec dnia. Jak myślisz, dlaczego prosiłam, żebyś kazał Sarze pomyszkować? – rzuciła i dodała: – A swoją drogą, jak wam się układa? Skoro się porządnie wyspałeś, rozumiem, że do niczego nie doszło?

Zbliżali się do zjazdu z autostrady Buford. Droga 23 prowadziła z Jacksonville na Florydzie do Mackinaw City w Michigan. Fragment przecinający Georgię miał nieco ponad sześćset kilometrów, z czego odcinek biegnący przez Chamblee, Norcross i Doraville należał do najbardziej zróżnicowanych rasowo w okolicy, jeśli nie w całym kraju. W zasadzie nie były to nawet dzielnice, raczej ciąg opuszczonych sklepików, obskurnych kamienic i stacji benzynowych, mających w ofercie drogie felgi i szybkie pożyczki pod zastaw samochodów. Braki więzi społecznych nadrabiano rozbuchanym handlem.

Will był niemal pewien, że określenie Chambodża ma wydźwięk pejoratywny, a jednak się przyjęło, mimo nacisków hrabstwa DeKalb, żeby używać nazwy Korytarz Międzynarodowy. Mieszkały tu wszelkie możliwe grupy etniczne, od Portugalczyków po nacje wywodzące się z Półwyspu Indochińskiego. W przeciwieństwie do terenów miejskich nie istniały tutaj wyraźne granice między mniejszościami. W rezultacie obok knajpy meksykańskiej stał bar z sushi, a targ przypominał tygiel, za jaki większość ludzi uważa Stany Zjednoczone.

Ten teren zdecydowanie bardziej przypominał ziemię obiecaną niż bursztynowe łąny zbóż w głębi kraju. Można tu było przyjechać bez grosza przy duszy, tylko z etosem pracy, i szybko załapać się do klasy średniej. Odkąd Will sięgał pamięcią, demografia podlegała tu ciągłym zmianom. Kiedy wprowadzili się czarni, biali zaczęli narzekać. Czarni marudzili na napływ Latynosów. Latynosom nie podobała się migracja Azjatów. Pewnego dnia wszyscy będą zrzędzić na białych, którzy znów się tu pojawią. Amerykański sen zatacza koło.

Amanda zjechała na środkowy pas, z którego można było skrócić w obie strony. Will ujrzał mnóstwo znaków drogowych, ustawionych jeden nad drugim jak klocki jenga. Niektóre były nie do odczytania, przypominały raczej dzieła sztuki niż tekst pisany.

– Z rana wysłałam samochód przed sklep Ling-Ling. Nikt jej nie odwiedzał. – Amanda wcisnęła gaz do dechy i skręciła, o włos unikając zderzenia z minivanem. Nie przejmując się trąbieniem klaksonów, mówiła dalej: – Wczoraj wieczorem zadzwoniłam w parę miejsc. Trzy miesiące temu Rogera przeniesiono do Coastal. Wcześniej spędził pół roku w Auguście, ale po prochach przestał świrować, więc odesłali go do puszki. – Klinika Medyczna w Auguście zapewniała tymczasową opiekę psychiatryczną więźniom. – Pierwszego dnia w Coastal Rogerowi przydarzył się niemiły wypadek z użyciem mydła owiniętego w skarpetę. Wygląda na to, że nowe miejsce zamieszkania nie przypadło mu do gustu.

– Zaproponujesz, że załatwisz mu przyniesienie?  
– Jeśli będzie trzeba.  
– A powołasz się na Boyda?  
– To nie najlepszy pomysł.  
– Liczysz, że Roger powie nam coś konkretnego? – Nagle doznał olśnienia. – Twoim zdaniem to on stoi za uprowadzeniem Evelyn.  
– W sensie klinicznym może i jest wariatem, ale nie jest na tyle głupi, żeby się porwać na taki numer. – Spojrzała na Willa znacząco. – To wyjątkowo inteligentny facet. Myśli długofalowo, nie na jeden ruch naprzód. Na porwaniu Evelyn nic by nie zyskał. Cała jego organizacja poszłaby w rozsypkę.

– Zgoda, czyli uważasz, że on wie, kto za tym stoi?

– Chcesz się czegoś dowiedzieć o zbrodni, pytaj zbrodniarza. – Zabrzęczał jej telefon komórkowy. Sprawdziła numer. Will poczuł, że samochód zwalnia. Amanda zjechała na pobocze. Odebrała, słuchała przez chwilę, a potem odblokowała drzwi auta. – Możesz zostawić mnie samą?

Wysiadł z SUV-a. Poprzedniego dnia panowała wspaniała pogoda, teraz jednak dzień był chmurny i gorący. Will przeszedł na koniec pasażu handlowego. Przy wejściu od strony ulicy mieściła się obskurna restauracja. Patrząc na wymalowany na szyldzie bujany fotel, domyślił się, że serwują tam kuchnię regionalną. O dziwo, na myśl o jedzeniu nie zaburczało mu w brzuchu. A przecież nie miał nic w ustach, odkąd rano wmusił w siebie talerz kaszy kukurydzianej z torebki. Stracił apetyt, co dotychczas zdarzyło mu się tylko raz – kiedy ostatnio przebywał w towarzystwie Sary Linton.

Usiadł na krawężniku. Słyszał warkot przejeżdżających obok samochodów. Z radioodbiorników dudniły rozmaite rytmy. Rzut oka na Amandę wystarczył, by Will wiedział, że trochę to potrwa – gestykulowała, co nie wróżyło nic dobrego.

Wyciągnął telefon i zaczął przewijać listę kontaktów. Powinien zadzwonić do Faith, ale nie miał dla niej żadnych nowych wieści, a ich rozmowa z ubiegłego wieczoru skończyła się nie najlepiej. Sytuacji nie ułatwiało to, co przydarzyło się Evelyn, cokolwiek to było. Werbalne gierki Amandy nie zmieniały brutalnych faktów, tego nie dało się zagadać. Jeśli Azjaci rzeczywiście próbowali wypchnąć Mexicanos z rynku narkotyków, to Evelyn Mitchell musiała tkwić w tym po uszy. Hector może i udawał handlarza samochodów, ale jego tatuaż niedwuznacznie wiązał go z gangiem. No i miał kuzyna, który kierował tymże gangiem z więzienia. W domu Evelyn zastrzelono bratanka Hectora, a on sam skończył jako trup w bagażniku jej samochodu. Policjantka, zwłaszcza emerytowana, nie miała powodu zadawać się z tak szemranym towarzystwem, chyba że sama brała udział w jakichś machlojkach.

Spojrzał na wyświetlacz komórki. Trzynasta. Powinien wejść w ustawienia telefonu i wykombinować, jak przestawić format czasu,

teraz jednak nie miał do tego głowy. Przewinął więc listę kontaktów na numer komórki Sary, zawierający trzy ósemki. Od kilku miesięcy wpatrywał się w niego tyle razy, że aż dziwne, że nie wyrył mu się na siatkówkach oczu.

Jeśli nie liczyć godnego pożałowania nieporozumienia z lesbijką mieszkającą po drugiej stronie ulicy, nigdy nie był na prawdziwej randce. Od ósmego roku życia trzymał się Angie. Kiedyś, dość krótko, łączyła ich namiętność, a nawet coś na kształt miłości, nie pamiętał jednak ani jednej chwili, kiedy był z nią szczęśliwy. Żył w wiecznym lęku przed tym, że Angie znów stanie w jego progach. Jej ostateczne odejście przyjął z niebywałą ulgą. Angie doprowadziła go do stanu zawieszenia, tych rzadkich chwil spokoju, kiedy miewał przebłyski tego, jak może wyglądać ustabilizowane życie. Wspólnie jadali, razem chodzili na zakupy i pracowali w ogrodzie – a raczej pracował Will, Angie tylko się przyglądała – a kiedy później kładli się wieczorem do łóżka, leżał z uśmiechem na ustach, przekonany, że tak już będzie wyglądało jego życie na wieki wieków.

Po czym budził się rano i stwierdzał, że zniknęła bez śladu.

Sęk w tym, że zbyt wiele ich łączyło. Za dużo przeżyli, widzieli zbyt wiele okropności, za często wspólnie doświadczali strachu, odrazy i litości, by postrzegać partnera jako coś więcej niż tylko ofiarę. Ciało Willa stanowiło pomnik tej niedoli – ślady po przypalaniu, blizny, pamiątki po niezliczonych atakach, jakie na niego przypuszczano. Latami pragnął od Angie czegoś więcej, ostatnio jednak uświadomił sobie, że ona nie jest w stanie mu tego dać.

Ani myślała się zmienić. Zdawał sobie z tego sprawę już wtedy, gdy się w końcu pobrali – nie dlatego, że tak planowali, lecz ponieważ założył się z nią, że poważny związek przekracza jej możliwości. Hazard hazardem, ale Angie postrzegała bycie z nim w najlepszym razie jako bezpieczną przystań, w najgorszym jako poświęcenie. Nie bez powodu nigdy go nie dotykała, chyba że akurat chciała coś dzięki temu osiągnąć. Nie bez powodu nie próbował do niej dzwonić, kiedy zniknęła.

Wsunął kciuk w rękaw i namacał początek długiej, biegnącej przez całe ramię blizny. Była grubsza, niż pamiętał. Wciąż bolała przy

dotyku.

Cofnął rękę. Angie wzdrygnęła się, kiedy ostatnim razem przypadkiem dotknęła jego gołego ramienia. Zawsze reagowała na niego emocjonalnie, nigdy na pół gwizdka. Lubiła sprawdzać, na ile może sobie pozwolić. To był jej ulubiony sport – jak wredna musi się okazać, żeby ją porzucił, tak jak porzucali ją wszyscy inni mężczyźni.

Wielokrotnie balansowali na krawędzi, lecz zawsze w ostatniej chwili udawało jej się go zatrzymać. Nawet teraz czuł, że trzyma go na uwięzi. Nie widział Angie od śmierci jej matki. Miała jedenaście lat, gdy Deidre Polaski, ćpunka i prostytutka, po przedawkowaniu zapadła w śpiączkę. Jej ciało poddało się dopiero po upływie dwudziestu siedmiu lat. Od pogrzebu minęły cztery miesiące. W gruncie rzeczy niewiele – kiedyś Angie zniknęła na cały rok – a jednak Will czuł przez skórę, że coś jest nie tak. Wpadła w kłopoty, była ranna albo po prostu zła. Czuł to instynktownie, tak samo, jak wiedział, że musi oddychać.

Ich związek wyglądał tak od zawsze, nawet w czasach, kiedy byli dziećmi. A zwłaszcza wtedy. Will wiedział o swojej żonie tylko jedno – że jeśli działo się jej źle, zawsze do niego wracała. Nie miał pojęcia, kiedy się pojawi, jutro czy za tydzień, wiedział jednak, że pewnego dnia po powrocie z pracy zastanie Angie siedzącą na jego kanapie, wyjadającą jego zapas budyniu i rzucającą obraźliwe uwagi pod adresem jego psa.

Właśnie dlatego poprzedniego wieczoru poszedł do domu Sary. Ukrywał się przed Angie. Walczył z tym, co zawsze okazywało się nieuchronne. I jeśli miał być całkiem szczery, tęsknił za ponownym spotkaniem z Sarą. A skoro kupiła jego bajeczkę o tym, że wpadł, bo ma w domu bajzel, pomyślał, że może ona też go pragnie. Jako dzieciak nauczył się nie pożądać tego, co nieosiągalne – najnowszych zabawek, butów na swój rozmiar, domowych posiłków zamiast żarcia z puszki. Ale ta umiejętność odmawiania sobie wszelkich przyjemności nie dotyczyła Sary Linton. Nie potrafił przestać myśleć o dotyku jej dłoni na swoim ramieniu, gdy stali wczoraj na ulicy. Kciukiem musnęła jego szyję. Stała na palcach, żeby zrównać się z nim wzrostem, i przez mgnienie oka miał wrażenie, że go pocałuje.



– Chryste! – jęknął. Wyobraził sobie jatkę w domu Evelyn Mitchell, kuchnię i pralnię zbryzgane krwią i mózgiem. Zaraz jednak spróbował nie myśleć o niczym, ponieważ był pewny, że myślenie o seksie, a potem wyobrażanie sobie scen przemocy to prosta droga, by zostać seryjnym zabójcą.

SUV szarpnął na biegu wstecznym. Amanda opuściła szybę. Will stał i czekał.

– Dzwonił mój informator z policji miejskiej – oznajmiła. – Zdaje się, że nasz B minus odnalazł się przed śmietnikiem obok Szpitala Grady’ego. Nieprzytomny, ledwo dychał. W torbie na śmieci znaleźli jego portfel. Marcellus Benedict Estevez. Bezrobotny, mieszkający z matką.

Will zachodził w głowę, dlaczego Sara nie zadzwoniła do niego w tej sprawie. Może wyszła wcześniej z pracy. A może informowanie go nie należało do jej obowiązków.

– Ten Estevez coś powiedział? – zapytał.

– Zmarł pół godziny temu. Potem zajrzemy do szpitala.

Pomyślał, że to raczej strata czasu, skoro facet nie żyje.

– Mamy coś na niego?

– Nie. Wsiadaj.

– Po co właściwie...

– Will, nie mam czasu. Nie zachowuj się jak piczka-zasadniczka, tylko wskakuj i w drogę.

Wsiadł do SUV-a.

– Potwierdzili, że Estevez miał grupę krwi B minus? – spytał.

Wdusiła pedał gazu.

– Tak. A jego odciski palców zidentyfikowano jako jeden z ośmiu zestawów zdjętych w domu Evelyn.

I znów czegoś tu brakowało.

– Trochę długo trwała ta rozmowa, jak na tak mało informacji – zauważył.

Przynajmniej raz nie zastosowała uników.

– Oddzwonili w sprawie Chucka Finna. Dlaczego nie mówiłeś, że wczoraj wieczorem rozmawiałeś z jego kuratorem?

– Pewnie dlatego, że jestem małostkowy.

– No toś się na mnie odegrał. Rano kurator zajechał do Chucka i dowiedział się, że od dwóch dni nie ma go w domu.

– Chwileczkę. – Odwrócił się do niej. – Wczoraj wieczorem kurator mówił mi, że Chuck stawia się na wezwania. Nie opuścił ani jednego terminu.

– Na pewno biuro kuratora w Tennessee jest równie przeciążone pracą jak nasze i też ma za mało ludzi. Ten przynajmniej miał dość jaj, żeby się rano przyznać, co i jak. – Spojrzała na Willa znacząco. – Dwa dni temu Chuck Finn wypisał się z terapii.

– Z terapii?

– Był w Healing Winds. To jego trzeci miesiąc trzeźwości.

Will poczuł się częściowo zrehabilitowany.

– Hironobu Kwon też był na odwyku w Healing Winds – ciągnęła. – Przebywali tam w tym samym czasie.

Na chwilę go zatkało.

– Kiedy się dowiedziałas tego wszystkiego?

– Właśnie teraz, Will. Nie nadymaj się. Mam taką starą kumpele, pracuje w sądzie dla narkomanów. – Najwyraźniej Amanda wszędzie miała jakąś starą kumpele. – Za pierwsze przestępstwo Kwon wylądował w Izbie Nadziei. – To znaczy, że został hospitalizowany na oddziale zamkniętym, podlegającym specjalnym sądom rozpatrującym sprawy narkomanów, którzy nie popełnili poważniejszych zbrodni. – Sędzia nie był skłonny dać mu drugiej szansy na koszt państwa, więc wkroczyła mama Kwon i załatwiła synowi miejsce w Healing Winds.

– Gdzie poznał Chucka Finna.

– To olbrzymi ośrodek, ale masz rację. Twierdzenie, że akurat ci dwaj zupełnym przypadkiem trafili tam w tym samym czasie, byłoby mocno naciągane.

Zaszokowany, że przyznała mu rację, dalej drażył temat:

– Jeżeli Chuck powiedział Kwonowi, że Evelyn gdzieś skitrała forszę... – Uśmiechnął się. W końcu zaczynało to mieć jakiś sens. – A co z tym drugim? Z tym B minus, który odnalazł się przy Grady? Czy coś go łączyło z Chuckiem albo Hironobu?

– Marcellus Estevez nigdy nie był aresztowany. Urodził się

i wychował na Florydzie, w Miami. Dwa lata temu przeniósł się do Carrollton, gdzie zaczął studia w West Georgia College. Opuścił ostatnie pół semestru. Od tej pory rodzina nie miała od niego znaku życia.

Kolejny dwudziestokilkulatek, który zadał się z szemranym towarzystwem.

– Coś podejrzanie dużo wiesz o tym Estevezie – rzekł Will.

– Policja rozmawiała już z jego rodzicami. Złożyli zawiadomienie o zaginięciu syna, gdy tylko uczelnia dała im znać, że przestał chodzić na zajęcia.

– Odkąd to policja Atlanty dzieli się z nami informacjami?

– Powiedzmy, że dotarłam do starych przyjaciół.

Will wyobraził sobie siatkę starych, twardych jak stal herod-bab, które albo wisały Amandzie przysługę, albo w trakcie długiej kariery na jakimś etapie pracowały z Evelyn.

– Sęk w tym, że nie wiemy, co wspólnego ma z tym wszystkim nasz B minus, Marcellus Estevez – ciągnęła Amanda. – Pomijając Hironobu Kwona i Chucka Finna, ludzi obecnych w domu Evelyn nie łączy najmniejszy istotny szczegół. Chodzili do różnych szkół. Tylko niektórzy studiowali, ale każdy na innej uczelni. Nie zetknęli się w więzieniu. Nie należeli do tych samych gangów ani klubów. Wszyscy różnią się pochodzeniem i przynależnością etniczną.

Will czuł, że przynajmniej w tej kwestii szefowa jest szczerą. W każdym śledztwie obejmującym wielu sprawców najważniejsze zawsze było ustalenie wzajemnych powiązań. Ludzie zazwyczaj są bardzo przewidywalni. Wiedząc, gdzie się poznali, jak dobrze się znają albo dlaczego się skrzyknęli, zwykle można znaleźć kogoś spoza grupy, ale trzymającego się blisko niej, chętnego do podzielenia się swoją wiedzą.

Powiedział Amandzie, co sobie pomyślał, kiedy zobaczył demolkę w domu Evelyn.

– To sprawia wrażenie zemsty z powodów osobistych.

– Jak niemal każda wendeta.

– Nie, mam na myśli to, że tu chodzi o coś więcej niż pieniądze.

– To będzie jedno z wielu pytań do tych kretynów, kiedy już

założymy im obrączki. – Obróciła kierownicę i wzięła zakręt tak ostro, że Will poleciał na drzwi. – Przepraszam.

Nie pamiętał, żeby Amanda kiedykolwiek kogoś przeproszała. Spojrzał na jej profil. Szczękę miała bardziej wysuniętą niż zwykle. Cerę ziemistą. Wyglądała na skonaną. A jednak w ciągu ostatnich dziesięciu minut udzieliła mu więcej informacji niż przez minione dwadzieścia cztery godziny.

– Czy coś jeszcze jest na rzeczy? – zapytał.

– Nie. – Zatrzymała samochód przed wielkim przemysłowym magazynem z sześcioma rampami dla dostawców. Nie było ciężarówek, przed wielkimi drzwiami stało jednak kilka pojazdów. Każdy z nich kosztował więcej niż roczna pensja Willa: bmw, mercedesy, a nawet bentley.

Amanda objechała cały plac, upewniając się, że obejdzie się bez niespodzianek. Miejsca było tyle, że swobodnie zawróciłby tu tir z naczepą. Amanda bez pośpiechu zakręciła o sto osiemdziesiąt stopni i cofnęła się po swoich śladach. Zaparkowała z piskiem opon, tak daleko od budynku, jak to było możliwe bez wjeżdżania na trawę. Zgasiła silnik. SUV stał dokładnie na wprost czegoś, co wyglądało na główne biuro. Od magazynu dzieliło ich jakieś piętnaście metrów otwartej przestrzeni. Wyszczerbione betonowe schody prowadziły do szklanych drzwi. Przerdzewiała poręcz chyliła się na bok. Szyld nad wejściem miał rysunek przedstawiający zestaw szafek kuchennych. Na wietrze powiewała flaga konfederatów. Will odczytał pierwsze słowo szyldu, a resztę odgadł.

– Szafki z Południa? – zdziwił się. – Niecodzienna przykrywka dla handlu narkotykami.

Spojrzała na niego z ukosa.

– Zupełnie nieprawdopodobna – odparła.

Wysiadł z wozu i dołączył do szefowej, która stała przy bagażniku. Otworzyła go pilotem. Rano, zanim weszli do więzienia w Valdosta, schowali w samochodzie swoją broń. Czarny SUV należał do standardowego wyposażenia GBI, a zatem całą przestrzeń z tyłu zajmowała wielka stalowa szafa z sześcioma szufladami. Amanda wstukała na klawiaturze kod otwierający zamek i wyciągnęła

środkową szufladę. Jej glock leżał na ciemnofioletowej zamszowej torbie z wyhaftowanym na brzegu logo Crown Royal. Wrzuciła go do torebki, a tymczasem Will przypiął kaburę do pasa.

– Zaczekaj – rzuciła Amanda.

Sięgnęła w głąb szuflady po pięciostrzałowy rewolwer. Ten model smith & wesson nazywano „staruszką”, bo nosili go przeważnie ci ze starej gwardii. Był lekki i miał wewnętrzny kurek, dzięki czemu łatwo można go było schować. Mimo wyrytego nad spustem napisu „Lady Smith”, odrzut mógł nieźle posiniaczyć całą rękę aż po bark. Evelyn Mitchell miała taki sam model rewolweru, z rękojeścią z drewna wiśniowego, a nie typowego orzechowego, jak Amanda. Willowi przyszło do głowy, że obie sprawiły sobie tę broń podczas wspólnej wyprawy na zakupy.

– Stój prosto – poleciła. – Staraj się niczego po sobie nie pokazywać. Jesteśmy w obiektywie kamery.

Próbował wypełnić rozkaz, kiedy sięgnęła mu pod kurtkę na plecach i wepchnęła rewolwer za pasek. Patrzył prosto przed siebie, na magazyn – metalowy, szeroki i niski, o długości mniej więcej połowy boiska piłkarskiego. Całość wspierała się na betonowym fundamencie, wystającym nad ziemię na metr dwadzieścia – standardową wysokość ramp załadunkowych. Do drzwi frontowych prowadziły strome betonowe schodki. To było jedyne wejście i wyjście, chyba że ktoś chciałby się wdrapać na rampę i sforsować olbrzymie metalowe wrota.

– Gdzie ludzie, którym kazałaś obstawić ten teren? – spytał.

– Doraville poprosiło o wsparcie. Jesteśmy zdani tylko na siebie.

Patrzył, jak kamera nad wejściem obraca się w prawo i lewo.

– Przedni pomysł – skwitował.

– Wyprostuj się. – Klepnęła go w plecy, sprawdzając, czy broń jest na miejscu. – Tylko, na miłość boską, nie przesuwaj rewolweru na brzuch, bo spadnie na ziemię. – Musiała się wspiąć na palce, żeby zamknąć bagażnik. – Nie rozumiem, dlaczego nosisz pasek tak luźno. Nie ma sensu go używać, skoro nie zapinasz jak należy.

Gdy skierowała się do wejścia, ruszył za nią. Dziarskim krokiem pokonali piętnaście metrów otwartego terenu. Kamera już się nie

obracała, teraz śledziła ich ruchy. Równie dobrze mogli wymalować sobie na piersiach tarcze strzelnicze. Will utkwiał wzrok w Amandzie, patrząc, jak jej włosy wirują na czubku głowy.

Kiedy dotarli do betonowych schodów prowadzących do wejścia, otworzyły się szklane drzwi. Osłaniając oczy przed słońcem, Amanda spojrzała na wyraźnie wściekłego Azjatę. Facet był ogromny, jego cielsko składało się po połowie z tłuszczu i mięśni. Stał bez słowa, przytrzymując otwarte drzwi, i patrzył, jak idą po schodach. Will wszedł za Amandą do środka. Dopiero po dłuższej chwili jego oczy przyzwyczyliły się do mroku panującego w ciasnej, dusznej kanciapie. Sztuczna boazeria na ścianach, spaczona od wilgoci. Brązowa wykładzina w odcieniu, który ktoś bardziej wybredny uznałby za odpychający. Wszędzie unosił się odór trocin i oleju napędowego. Will słyszał odgłosy pracujących w magazynie maszyn – szlifierek, sprężarek, tokarek. Z radia leciał kawałek Guns N' Roses.

– Jestem umówiona z panią Ling – poinformowała Amanda olbrzymą, uśmiechając się do zamontowanej nad drzwiami kamery.

Facet ani drgnął. Amanda sięgnęła do torebki, jakby szukała szminki. Will nie wiedział, czy dobywa broni, czy naprawdę chce się umalować. Tymczasem w drzwiach stanęła wysoka, smukła Azjatka z szerokim uśmiechem na twarzy.

– Mandy Wagner, kopę lat. – Kobieta sprawiała wrażenie, jakby rzeczywiście się ucieszyła. Mniej więcej w wieku Amandy, szczupła jak nastolatka, miała krótkie siwe włosy. Koszulka bez rękawów odsłaniała umięśnione ramiona. Mówiła powoli i przeciągle, z wyraźnie południowym akcentem. Poruszała się leniwie, z kocią gracją, na co może wpływał spowijający ją zapach trawki. Na stopach miała mokasyny z paciorkami, takie, jakie można kupić na straganie z pamiątkami dla turystów przed indiańskimi rezerwatami.

– Julia. – Amanda uśmiechnęła się przekonująco. – Miło cię widzieć.

Kiedy się ścisnęły, Will zwrócił uwagę, że dłoń Azjatki ciut za długo zatrzymała się na talii jego szefowej.

– To Will Trent, mój współpracownik. – Trzymając dłoń na dłoni Julii, Amanda odwróciła się do niego. – Chyba ci nie przeszkadza, że

go ze sobą przywlokłam. Jest w trakcie szkolenia.

– Ma szczęście, że uczy się od najlepszej – zagruchała Julia. – Niech zostawi broń na blacie. Ty też, Mandy. Wciąż nosisz tę starą torebkę crown royal?

– W niej iglica nie zapaskudzi się jakimiś paprochami. – Torebka z pistoletem z głuchym stukiem spadła na blat. Ponury olbrzym sprawdził jej zawartość, po czym skinął głową swojej szefowej. Will nie kwapił się z wykonaniem polecenia. Nie lubił rozstawać się z bronią.

– Will, nie rób mi wstydu przed przyjaciółmi – zgañała go Amanda. Odpiął kaburę od pasa i położył glocka na blacie.

Julia Ling ze śmiechem wskazała im drzwi. Magazyn był jeszcze większy, niż wydawało się z zewnątrz, ale stanowisko pracy było tak małe, że zmieściłoby się w garażu na dwa samochody. Kilkunastu robotników składało szafki. Will nie potrafił określić, czy są Azjatami, czy Latynosami, ponieważ nosili nisko opuszczone czapki i stali plecami do niego. Tak czy siak, widać było, że praca wre. W powietrzu unosił się ostry zapach kleju. Podłogę pokrywały trociny. Stanowisko pracy oddzielała od najwyraźniej pustej tylnej części magazynu kolosalna flaga konfederatów, z żółtymi gwiazdami zamiast białych.

Julia zaprowadziła ich przez następne drzwi do małego, ale ładnie umeblowanego gabinetu. Na podłodze leżał dywan. Stały tam dwie kanapy z przesadnie wypchanymi poduchami. Na fotelu pod oknem siedział tłusty pies rasy chihuahua, mrużąc oczy przed wpadającymi przez żaluzje paskami światła. Widok na alejkę na tyłach budynku przesłaniały grube metalowe kraty.

– Will też ma chihuahue – oznajmiła Amanda, jakby jeszcze nie dość podważyła dziś jego męskość. – Przypomnij mi, jak się wabi?

– Betty – wychrypiał takim głosem, jakby w gardle utkwiał mu drut kolczasty.

– Naprawdę? – Julia podniosła psa i usiadła z nim na kanapie. Poklepała miejsce obok siebie, na co Amanda również usiadła. – A to jest Arnoldo. Kawał grubaska. Pańska suczka jest długo- czy krótkowłosa?

Will nie bardzo wiedział, jak zareagować. Sięgnął do tylnej kieszeni po portfel. Dopiero poniewczasie przypomniał sobie o rewolwerze od Amandy, który przesunął się niebezpiecznie. Usiadł na kanapie naprzeciw Azjatki, otworzył portfel i pokazał zdjęcie Betty.

Julia Ling zacmokała.

– Uroczy psiak.

– Dziękuję. – Wziął od niej zdjęcie i schował portfel do kieszeni marynarki. – Pani też jest ładny.

Ale Julia już go nie słuchała. Przesunęła dłonią po nodze Amandy.

– Co cię tu sprowadza, kwiatuszku?

Amanda skutecznie wyłączyła Willa z rozmowy.

– Przypuszczam, że słyszałaś o Evelyn?

– Jasne – wycedziła Julia przeciągle. – Biedna Almeja. Mam nadzieję, że dobrze ją traktują.

Will usilnie próbował nie rozdziawić ust ze zdumienia. Almeją była Evelyn Mitchell.

Amanda nakryła dłoń Julii swoją. Ale nie strąciła jej z kolana, przeciwnie.

– Nie obito ci się o uszy, gdzie ona się teraz podziewa?

– Nic a nic, ale wiesz, że gdybym coś usłyszała, od razu dałabym ci znać.

– To oczywiste, że robimy, co w naszej mocy, żeby bezpiecznie wróciła do domu. Pociągnę za wszelkie sznurki, żeby nam się udało.

– Jasne – przytaknęła Julia. – Została babcią, prawda? Znów to samo. No wiesz, strasznie płodna ta rodzina. – Roześmiała się, jakby był to ich prywatny żart. – Jak to jest, kochana, zajmować się słodkim maleństwem?

– To trudny okres dla całej rodziny.

– Jasne. – Wyglądało na to, że to ulubione słówko Julii.

– Nie wątpię, że słyszałaś o Hectorze – ciągnęła Amanda.

– Niech mu ziemia lekką będzie. A już się zastanawiałam, czy nie zmienić samochodu na cadillaca.

– Myślałam, że twój interes kwitnie.

– W dzisiejszych czasach lepiej jeździć czymś mniej rzucającym się w oczy. – Julia zniżyła głos. – Wywlekają kierowców z aut i kradną



im bryczki.

– Nie może być. – Amanda pokręciła głową.

– Z tymi młodymi są same kłopoty – Azjatka zacmokała. Will pomyślał, że przynajmniej ta część rozmowy jest dla niego jasna. Julia Ling miała na myśli młodych ludzi, którzy włamali się do domu Evelyn. – Nic tylko oglądają tych gangsterów w telewizji i sądzą, że to takie łatwe. Człowieka z blizną. Ojca chrzestnego. Rodzinę Soprano. Widać, jak kombinują w tych swoich małych mózdkach. Ani się obejrzysz, wbijają sobie do łbów te głupoty i zaczynają rozrabiać, nie zastanawiając się nad konsekwencjami. – Znowu zacmokała. – Przez taką bezmyślną akcję właśnie straciłam jednego pracownika.

Mówiła o Bennym Choo, człowieku w hawajskiej koszuli. Will miał rację. Julia Ling wysłała swojego cyngla, żeby posprzątał bajzel, jakiego narobili Ricardo i jego kumple. A potem Faith go zabiła.

Amanda również musiała zdawać sobie z tego sprawę, ale tylko powiedziała ostrożnie:

– Ryzyko jest nieodłącznym elementem twojej branży. Pan Choo wiedział o tym tak samo jak wszyscy.

Julia Ling milczała tak długo, że Will zaczął się obawiać o Faith.

– Tak. Takie są koszty prowadzenia interesów – przyznała w końcu powoli. – Niech więc Benny spoczywa w spokoju.

Amandzie wyraźnie ulżyło, nie mniej niż Willowi.

– Słyszałam, że twój brat radzi sobie w nowym otoczeniu – rzuciła.

– Tak – odparła Azjatka. – Radzi sobie to właściwe określenie. Roger nigdy nie lubił upałów. A w Savannah jest jak w tropikach.

– Wiesz, że w Coastal mają wolne miejsca? Zobaczą, może uda mi się coś tam dla niego załatwić. Zmiana środowiska wyszłaby mu pewnie na dobre.

Julia udała, że się nad tym zastanawia.

– Tam też jest ciut za gorąco. – Uśmiechnęła się. – A co powiesz na Phillips?

– Całkiem miły zakład. – Właśnie tam wyrok za usiłowanie zabójstwa odsiadywał Ignatio Ortiz. Amanda pokręciła głową, jakby z przykrością musiała oznajmić, że akurat te wczasy wykupiła już inna rodzina. – Ale raczej nie dla niego.

– Do Baldwin mam lepszy dojazd.  
– Baldwin zupełnie nie pasuje do temperamentu Rogera. – Pewnie dlatego, że było to więzienie o złagodzonych środkach bezpieczeństwa. – Może Augusta? Leży blisko, ale nie za blisko.

Azjatka skrzywiła się.

– Razem z przestępcami na tle seksualnym?  
– Co racja, to racja. – Amanda udała, że się zastanawia, chociaż na pewno już wcześniej dogadała się z prokuraturą. – Wiesz co, do Arrendale zaczęli przyjmować skazańców z więzień o zaostrzonym rygorze. Oczywiście w nagrodę za dobre sprawowanie, ale jestem pewna, że Roger da sobie z tym radę.

Julia zachichotała.

– Oj, Mandy. Przecież znasz mojego brata. Stale pakuje się w kłopoty.

Oferta Amandy nie podlegała jednak dyskusji.

– Mimo to obstaję przy Arrendale. Z pewnością możemy mu załatwić transport w przyjemnych warunkach. Evelyn ma wielu przyjaciół, którzy niczego tak nie pragną jak tego, żeby wróciła cała do domu. Przy okazji Roger mógłby na tym skorzystać.

Julia pogłaskała psa.

– Podczas następnych odwiedzin zapytam, co on na to.

– Myślę, że lepiej do niego zadzwonić – podsunęła Amanda. – Na pewno wolałyby się dowiedzieć o Bennym od ciebie niż od kogoś obcego.

– Panie świeć nad jego duszą – dorzuciła Julia, ściskając nogę Amandy. – Strasznie jest tracić ludzi, na których ci zależy.

– To prawda.

– Wiem, że byliście bardzo zżyte z Evelyn.

– I wciąż jesteśmy.

– Odeślij tego swojego fagasa, zabawimy się – zaproponowała Julia.

Amanda roześmiała się tak, jakby naprawdę była zachwycona. Poklepała Julię po kolanie i wstała z kanapy.

– Jules, miło było cię znów spotkać. Powinniśmy powtarzać to częściej.

Will już chciał wstać, gdy naraz przypomniał sobie o rewolwerze. Włożył ręce do kieszeni, żeby napiąć spodnie i utrzymać broń na miejscu. Tylko tego brakowało, żeby wypadający z nogawki jego spodni gnat spaprał to, w co grała szefowa.

– Daj znać w sprawie Arrendale – powiedziała Amanda. – To naprawdę urocze miejsce. Na oddziale o zaostrzonym rygorze okna są szersze o dziesięć centymetrów. Mnóstwo słońca i świeżego powietrza. Moim zdaniem Roger będzie tam zachwycony.

– Przekażę ci jego decyzję. Chyba wszyscy się zgadzamy co do tego, że niepewność szkodzi interesom.

– Powiedz mu, że jestem na każde jego zawołanie – zapewniła Amanda.

Will otworzył jej drzwi. Razem wyszli przez magazyn. Robotnicy chyba zrobili sobie przerwę. Maszyny nie pracowały, stanowiska były opuszczone. Z przyciszonego radia wydobywał się ledwie szum.

– To było ciekawe – mruknął Will do szefowej.

– Przekonamy się, czy Julia robi to, co powinna – odparła. Widział, że odzyskała nadzieję. Wrócił jej sprężysty krok. – Głowę daję, że Roger dokładnie wie, co zaszło wczoraj w domu Evelyn. Julia sama mu pewnie doniosła. Za nic by nas tu nie wpuściła, gdyby nie chciała dobić targu. W ciągu godziny czegoś się dowiemy. Wspomnisz moje słowa.

– Pani Ling robi, co może, żeby cię zadowolić.

Stanąła, zadarła głowę i spojrzała na niego.

– Naprawdę tak myślisz? Nigdy nie wiem, czy po prostu jest serdeczna, czy... – Urwała i wzruszyła ramionami.

W pierwszej chwili Will pomyślał, że szefowa żartuje, lecz potem zdał sobie sprawę, że mówiła serio.

– Pewnie tak – wybąkał. – Znaczy... – Poczul, że oblewa się potem. – Ty nigdy nie...

– Dorośnij, Will. Mieszkałam w akademiku.

Idąc w kierunku kanciapy, wciąż miał w uszach jej śmiech. Podejrzewał, że ta kobieta do końca życia będzie na nim grała jak na banjo. Taki już jego los. Była niemal równie wredna jak Angie.

Właśnie sięgał do klamki, gdy usłyszał pierwszy trzask, zupełnie

jakby ktoś odkorkował butelkę szampana. Nagle poczuł ukłucie w ucho, zobaczył, że z drzwi przed nim posypały się drzazgi, i zrozumiał, że to kula. A potem kolejna. I jeszcze jedna.

Amanda była od niego szybsza. Wyszarpnęła rewolwer zza paska jego spodni, okręciła się na pięcie i zanim padł na podłogę, zdążyła oddać dwa strzały.

Ciszę rozdarł terkot pistoletu maszynowego. Kule świstały kilka centymetrów od głowy Willa. Nie potrafił ocenić, skąd nadchodzi niebezpieczeństwo. Może strzelała Ling-Ling, może robotnicy, którzy montowali szafki, a może wszyscy naraz.

– Rusz się! – ryknęła Amanda. Will wyważył barkiem drzwi do kanciapy. Oczywiście na blacie nie było już ich broni. Niezadowolony Azjata, który ich wpuścił, leżał martwy na podłodze. Will poczuł, że coś twardego uderza go w tył głowy. W pierwszej chwili osłupiał i dopiero po dłuższej chwili uświadomił sobie, że to Amanda cisnęła w niego torebką.

Włożył torebkę pod pachę i wykopał drzwi frontowe. Oślepiiony ostrym światłem słonecznym, potknął się na betonowych schodach. Stara poręcz ugięła się pod jego ciężarem, ratując przed upadkiem, który mógł się źle skończyć. Will pozbierał się szybko i pobiegł przez parking w kierunku zaparkowanego SUV-a. Szukając kluczyka, gubił za sobą zawartość torebki Amandy. Wcisnął przycisk pilota – klapa bagażnika uniosła się w chwili, gdy dotarł na tył pojazdu. Wstukał szyfr zamka. Szuflada wysunęła się z szafki.

Wiedział z doświadczenia, że jedni preferują śrutówki, inni wolą karabiny. Faith posługiwała się pompką, co było o tyle sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem, że odrzut tej broni mógł rozerwać staw barkowy. Will wolał karabin – czysty, precyzyjny i niezwykle celny, nawet z odległości pięćdziesięciu metrów... a mniej więcej tyle dzieliło SUV-a od wejścia do magazynu. GBI wyposażało swoich agentów w colta AR-15A2. Will przyłożył karabin do ramienia w chwili, gdy drzwi wyleciały z trzaskiem.

Spojrzał w celownik. Amanda lepiej znosiła ostre światło niż on. Nie tracąc rytmu, zbiegła betonowymi schodami, strzelając za siebie, tuż obok przysadzistego mężczyzny, który ją gonił. Ten miał na nosie

okulary przeciwsłoneczne, a w ręku pistolet maszynowy. Zeskakując ze schodów, nie oddał łatwego strzału w plecy Amandy, tylko trzymał spluwę uniesioną nad głową. Ta kowbojska sztuczka stworzyła szansę Willowi – pociągnął za spust. Facetem szarpnęło i padł na ziemię.

Will opuścił karabin, rozglądając się za Amandą. Wracała do leżącego na ziemi mężczyzny, trzymając rewolwer w opuszczonej ręce. Widocznie wystrzelała się z amunicji. Will znów przyłożył oko do celownika, osłaniając szefową na wypadek, gdyby ktoś jeszcze wyszedł z budynku. Kopniakiem odrzuciła pistolet maszynowy na bok. Widział, że porusza ustami.

Nagle, bez ostrzeżenia, zanurkowała pod betonowe schody. Oderwał oko od celownika, próbując namierzyć nowe zagrożenie. To był ten facet na ziemi. Chociaż to niemożliwe, wciąż żył. Trzymał glocka Willa, celując w SUV-a. Wypalił szybko trzy razy. Will wiedział, że osłania go gruba stalowa szafa, a jednak skulił się, gdy pociski zagrzechotały o metal.

Kanonada ucichła. Willowi łomotało serce, czuł przyśpieszony puls w całym ciele. Zaryzykował rzut oka na budynek. Strzelec musiał się schować za mercedesem, prawdopodobnie po drugiej stronie zbiornika z benzyną. Will wycelował, licząc na to, że tamten zrobi coś głupiego, na przykład wystawi głowę. Ale zobaczył tylko glocka. Wystrzelił, na co pistolet szybko zniknął.

– Policja! – krzyknął, bo tak nakazywały przepisy. – Wyjdź z podniesionymi rękami!

Facet na oślep wypalił w kierunku SUV-a, pudłując o dobre kilka metrów.

Will zaklął pod nosem. Spojrzał na Amandę, jakby chciał spytać, jaki ma plan. Pokręciła głową – nie w geście zakazu, tylko z irytacji. Gdyby trafił za pierwszym razem, nie doszłoby do tej niemej wymiany zdań.

Bez wystawiania się na ostrzał nie mógł jej pokazać, że oddał strzał, w ramach pytania wskazał więc magazynek swojego karabinu. Czy zabrakło jej amunicji? W rewolwerze miała pięć kul. Jeżeli nie wzięła z torebki zapasowego wkładu do bębena, niewiele mogła na to poradzić.

Nawet z tak daleka zobaczył jej wściekłą minę. Oczywiście, że wzięła zapas amunicji. Po drodze pewnie się zatrzymała, żeby poprawić makijaż i zadzwonić w kilka miejsc. Przeniósł więc wzrok z powrotem na wielkiego mercedesa, śledząc kontury limuzyny. Gdy znów spojrzął na szefową, zdążyła już wyrzucić puste łuski z rewolweru na ziemię i załadować nowe naboje. Ruchem ręki dała mu znak, żeby sobie nie przeszkadzał.

– Halo! – krzyknął Will. – Ostrzegam po raz ostatni, niech pan się podda!

– Wal się! – Facet znów strzelił do Willa, trafiając w drzwi SUV-a.

Amanda w kucki przesunęła się na skraj betonowych schodów i przyłożyła głowę do ziemi, sprawdzając, gdzie ukrył się napastnik. Po chwili podniosła czoło. Nie patrzyła na Willa, nie traciła czasu na dokładne celowanie. Po prostu oparła rękę na trzecim stopniu od dołu i pociągnęła za spust.

Telewizja wyrządza bandytom wielką krzywdę. Nie pokazuje, że kule przebijają gipsowe ściany oraz metalowe drzwi samochodów. Nie wyjaśnia też, że rykoszet to nie kula gumowa. Wystrzelony z wielką prędkością początkową pocisk chce lecieć jak najdalej. Strzał w ziemię nie oznacza, że kula odbije się w powietrze. Ale strzał pod zawieszenie samochodu powoduje, że kula odbija się od chodnika, przebija oponę i jeśli ktoś siedzi w odpowiednim miejscu, trafia go w pachwinę.

Tak też się stało tym razem.

– Jezus, Maria! – wrzasnął facet.

– Pokaż mi dłonie! – rozkazał Will.

Dwie ręce wystrzeliły nad karoserię.

– Poddaję się! Poddaję!

Podchodząc do mercedesa, Amanda trzymała już faceta na muszce. Kopniakiem odrzuciła glocka i wbiła kolano w plecy mężczyzny, jednocześnie nie spuszczać wzroku z drzwi kanciapy.

Obserwowała nie te drzwi, co trzeba. Otworzyły się wrota jednej z ładowni i z piskiem opon wyskoczyła w powietrze czarna furgonetka. Gdy grzmotnęła o asfalt, spod kół trysnęły iskry. Paląc gumę, wpadła w poślizg, zanim koła złapały przyczepność. Will

zobaczył w szoferce dwóch mężczyzn. Mieli na sobie czarne ocieplane kurtki i czarne bejsbolówki. Furgonetka na chwilę zasłoniła mu szefową. Uniósł karabin, ale nie mógł strzelać – istniało ryzyko, że kule przebiją karoserię pojazdu i trafią Amandę. Rozległy się kolejne dwa trzaski, jeden za drugim. Strzały. Furgonetka odjechała na pełnym gazie.

Will wybiegł na parking, składając się do strzału. Zatrzymał się. Jego szefowa leżała na ziemi.

– Amanda...? – Poczul ucisk w piersi. Gardło odmawiało mu posłuszeństwa. – Amanda, ty...?

– Jasna cholera! – wrzasnęła, przeturlała się i usiadła. Twarz i pierś miała utyłane krwią. – Szlag by to trafił!

Przyklęknął na jedno kolano. Położył rękę na jej ramieniu.

– Trafili cię?

– Nic mi nie jest, idioto. – Strąciła jego rękę. – Ten tu nie żyje. Odjeżdżając, dwa razy palnęli mu w łeb.

Tyle to sam widział. Mężczyzna miał odstrzeloną twarz.

– Taki strzał z pędzącego samochodu to nie lada sztuka. – Łypała na Willa wściekłym wzrokiem, gdy pomagał jej wstać. – Dużo lepszy niż twoje. Kiedy ostatnio ćwiczyłeś na strzelnicy? Tak być nie może. To absolutnie niedopuszczalne.

Miał dość rozumu, żeby się z nią nie sprzeczać, ale gdyby chciał się kłócić, zauważyłby, że zostawienie broni na blacie to kiepski pomysł, a wchodzenie tam bez wsparcia – czysta głupota.

– Klnę się na Boga, Will, kiedy to się skończy... – Nie dokończyła. Odeszła, depcząc plastikową puderniczkę, która wypadła z jej torebki. – Do ciężkiej cholery!

Ukląkł przed zabitym mężczyzną. Odruchowo sprawdził mu puls. W czarnej ocieplanej kurtce, mniej więcej pięć centymetrów od serca, ziała dziura, na tyle duża, by mógł włożyć w nią palec. Szarpnął suwak, odsłaniając wierzch taktycznej kamizelki szturmowej używanej przez wojsko. W zderzeniu z płytą kuloodporną metalowy płaszcz naboju rozpląszczył się jak pies na wypastowanej podłodze.

Strzał w dziesiątkę, w sam środek piersi.

Wróciła Amanda. Bez słowa spojrzała na zabitego. Gdy zarobił

dwie kulki, widocznie stała za blisko niego – twarz miała zbryzganą jego mózgiem, a w kołnierzyku bluzki utkwił fragment kości.

Will wstał. Z braku lepszego pomysłu podał szefowej chusteczkę.

– Dziękuję. – Jej ręka nie drżała, gdy ocierała twarz. Rozmazana krew wyglądała jak makijaż klauna. – Bogu dzięki, że mam w aucie ubranie na zmianę. – Spojrzała na Willa. – Masz podartą marynarkę.

Zerknął na rękaw. W miejscu, gdzie uderzył ramieniem o asfalt, widniało małe rozdarcie.

– Powinieneś zawsze wozić w samochodzie drugi komplet ubrania – doradziła mu. – Nigdy nie wiadomo, co nas czeka.

– Tak jest, psze pani – rzucił, opierając dłoń na kolbie karabinu.

– Ling-Ling uciekła. – Amanda otarła czoło. – Wyszła z gabinetu z tym durnym psem pod pachą. Waliła do wszystkiego, co się rusza. Nie mam wrażenia, że próbowała mnie ratować, ale to raczej oczywiste, że ją również usiłowali zabić.

Will przez chwilę przetrawiał tę nową informację.

– Zakładałem, że zabójcy pracowali dla Ling-Ling.

– Gdyby Julia życzyła nam śmierci, załatwiłaby nas w gabinecie. Nie zauważyłeś tego obrzyna, którego trzymała pod poduchą kanapy?

Skinął głową, chociaż nie zwrócił uwagi na tę broń; na samą myśl o tym oblał się zimnym potem.

– Zabójcy pracowali w jej warsztacie – powiedział. – Poznałem, że to ci sami, których widzieliśmy zaraz po wejściu. Montowali szafki. Po co mieliby zabijać Julię? Czy nas, skoro już o tym mowa?

– To chyba oczywiste? – Po chwili uświadomiła sobie, że jednak tak nie jest. – Nie spodobało im się, że ze mną rozmawiała. I na pewno nie chcieli, żeby gadała z Rogerem. Ona musi coś wiedzieć.

Próbował poskładać to do kupy.

– Julia mówiła, że młodzi rwą się do działania. Próbują zostać gangsterami. Nie wyobrażam sobie, żeby banda napakowanych testosteronem dwudziestoparolatków dała sobą dyrygować babce w średnim wieku.

– A ja myślałam, że mężczyźni to uwielbiają. – Amanda spojrzała na zabitego. – Spocił się jak świnia. Niewątpliwie coś kombinował.

Coś na tyle ważnego, że zdołał przyjąć na pierś uderzenie kuli



kalibru 223, o wadze pięćdziesięciu pięciu granów, i zaraz potem strzelać jak rewolwerowiec.

Trąciła trupa czubkiem buta i przeturlała go tak, żeby mogła sięgnąć po jego portfel.

– Ci młodzi nie lubią zostawiać świadków, bez dwóch zdań. – Wyjęła z portfela prawo jazdy. – Juan Armand Castillo. Dwadzieścia cztery lata. Mieszka przy Leather Stocking Lane w Stone Mountain. – Pokazała dokument Willowi. Castillo wyglądał jak nauczyciel, a nie jak ktoś, kto z pistoletem maszynowym w garści gonił na parkingu agentów GBI.

Rozpięła do końca kurtkę Castilla. Za paskiem miał jej glocka.

– Dobrze chociaż, że nie strzelał do mnie z mojej własnej broni – powiedziała, odbierając swój pistolet.

Will pomógł jej rozpiąć zatrzaski kevlarowej kamizelki.

– W dodatku śmierdzi. – Zadarła koszulę zabitego, odsłaniając mu pierś. – Żadnych tatuaży. – Obejrzała jego ramiona. – Nic.

– Sprawdź na dłoniach.

Castillo miał zaciśnięte pięści. Amanda rozwarła jego palce gołą ręką. Formalnie rzecz biorąc, było to wbrew wszelkim procedurom, ale nie miało znaczenia, skoro Will i tak już był jej współnikiem.

– Nic – oznajmiła.

Rozejrzał się po parkingu. Stały już tylko dwa samochody, bentley i mercedes.

– Myślisz, że ktoś został w środku? – zapytał.

– Bentley należy do Ling-Ling. Wyobrażam sobie, że pod ręką ma zawsze drugi samochód, którym właśnie teraz ucieka, żeby się zapaść pod ziemię. Merc należy do Perry'ego. To ten truposz w kanciapie od frontu – wyjaśniła.

– Skąd tyle wiesz o tych ludziach, Mandy?

– Nie jestem w nastroju do takich żartów, Will.

– Julia Ling stoi bardzo wysoko w kolejności dziobania. Ściśle mówiąc, jest na samym szczycie.

– Co takiego się stało, że gderasz jak ten disneyowski Kurak?

– Ja tylko chcę powiedzieć, że trzeba mieć wyjątkowo twarde jaja albo być wyjątkowo głupim, żeby się porwać na kogoś takiego jak

Julia. Jej brat nie puści tego płazem. Sama mówiłaś, że to w zasadzie wariat. Strzelanie do jego siostry oznacza wypowiedzenie otwartej wojny.

– Nareszcie gadasz do rzeczy. – Oddała mu chusteczkę. – Dobrze się przyjrzałeś tym w furgonetce?

Pokręcił głową.

– Chyba młodzi. Okulary słoneczne. Czapki. Kurtki. Nic, co mógłbym zeznać pod przysięgą.

– Nie proszę, żebyś mi przysięgał. Proszę cię o... – Nagle rozległo się przeszywające wycie syren. – Coś im się nie śpieszyło.

Will ocenił, że od pierwszych strzałów upłynęło niecałe pięć minut. Jego zdaniem odsiecz przybyła wyjątkowo szybko.

– A ty im się przyjrzałaś? – spytał.

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Sądzę, że powinniśmy szukać człowieka z doświadczeniem w strzelaniu z jadącego samochodu.

Miała rację. Trafienie kogoś w głowę z pędzącego pojazdu, i to dwukrotnie, nawet z bliskiej odległości nie było kwestią szczęścia. To wymagało dużej praktyki, a zabójca Castilla najwyraźniej nie obawiał się, że spudłuje.

– Dlaczego nie zastrzelili ciebie? – zapytał Will.

– Składasz zażalenie czy zadajesz mi pytanie? – Amanda starła coś z ręki. Spojrzała na Castilla. – Zdaje się, że zostało nam już tylko dwóch. Przynajmniej mamy większe szanse.

Mówiła o odciskach palców zebranych w domu Evelyn.

– Trzech – sprostował.

Pokręciła głową, nie odrywając wzroku od zwłok.

– Evelyn zabiła Hironobu Kwona. – Zaczął odliczać na palcach. – Faith zajęła się Ricardem Ortizem i Bennym Choo. Marcellus Estevez umarł w Grady. Razem z Juanem Castillo tutaj to daje pięciu. – Nie skomentowała tego, więc zaniepokoił się, czy dobrze policzył. – Osiem zestawów odcisków palców w domu Evelyn minus pięciu sztywnych daje trzy.

Patrzyła na pędzące szosą radiowozy.

– Dwa – powiedziała. – Godzinę temu jeden z nich próbował zabić

Sare Linton.

## Rozdział 11

Do pokoju lekarskiego wpadł Dale Dugan.

– Przybiegłem jak najszybciej, wcześniej nie mogłem się wyrwać.

Sara zamknęła oczy, zatrzasnąwszy szafkę. Przez blisko dwie godziny składała zeznania na policji. Potem przez godzinę maglowały ją władze szpitala. Na pozór chcieli jej pomóc, ale szybko zdała sobie sprawę, że w gruncie rzeczy boją się, że pozwie ich do sądu. Gdy tylko podpisała dokument zwalniający szpital z wszelkiej odpowiedzialności, zniknęli równie szybko, jak się pojawili.

– Przynieść ci coś? – zapytał Dale.

– Dzięki, nie trzeba.

– To może odwiozę cię do domu?

– Dale, ja...

Otworzyły się drzwi i w progu stanął Will. Na jego twarzy malowało się przerażenie.

Na kilka sekund czas się zatrzymał, nic już się nie liczyło. Sara dostrzegła wyłącznie Willa, jakby straciła zdolność widzenia obwodowego. Przed oczami miała wyłącznie jego postać. Nie zauważyła wychodzącego Dale'a. Nie słyszała nieprzerwanego wycia syren karetek, dzwoniących telefonów ani krzyków pacjentów.

Widziała tylko Willa.

Puścił drzwi, ale kiedy się za nim zamknęły, nie zrobił kroku w jej kierunku. Jego czoło lśniło od potu. Oddychał z trudem. Nie miała pojęcia, co mu powiedzieć, jak się zachować. Po prostu wytrzeszczała na niego oczy, jakby nic nadzwyczajnego się nie stało.

– Sprawiaś sobie nową kreację? – zażartował.

Parsknęła śmiechem, który uwiązał jej w gardle. Musiała się przebrać w fartuch chirurgiczny, bo jej ubranie policja skonfiskowała jako dowód rzeczowy.

Jego usta drgnęły w wymuszonym uśmiechu.

– Podkreśla zieleń twoich oczu – dorzucił.

Zagryzła wargę, żeby się nie rozplakać. Pragnęła zadzwonić do niego zaraz po tym, jak to się stało. Miała w ręku komórkę, wybrała

już nawet jego numer, lecz schowała telefon do torebki, bo wiedziała, że jeśli zobaczy Willa, zanim się na to przygotuje, to pęknie i rozsypie się w drobny mak niczym delikatna porcelana.

Rozległo się pukanie do drzwi i weszła Amanda Wagner.

– Przykro mi, że przeszkadzam, doktor Linton, ale mogłybyśmy zamienić słówko?

Twarz Willa wykrzywił gniew.

– Ona nie...

– W porządku – przerwała mu Sara. – Tylko że niewiele mogę wam powiedzieć.

Amanda uśmiechnęła się, jakby to było spotkanie towarzyskie.

– Będziemy wdzięczni za każdy drobiazg.

W ciągu ostatnich kilku godzin Sara opowiadała to tyle razy, że teraz zrelacjonowała przebieg wypadków, jakby czytała z kartki. Streściła im pokrótce swoje zeznania, nie wdając się w szczegółowy rysopis narkomanki, który – na papierze – pasował do każdej ćpunkki, jaką kiedykolwiek widziała. Nie opisywała też śmieci walających się obok śmietnika ani ratowników medycznych czy procedur, którymi się kierowała. Od razu przeszła do sedna – do młodego mężczyzny, który spojrzał na nią zza zasłony. Który uderzył ją w pierś. I który dwa razy strzelił jej pacjentowi w głowę. Był chudy, biały, dwadzieścia kilka lat, w czarnej ocieplanej kurtce i bejsbolówce. Przez ten krótki czas, jaki upłynął, odkąd go ujrzała aż do jego śmierci, nie wypowiedział ani słowa. Usłyszała tylko jęk, a potem świst powietrza wydobywającego się z jego szyi.

– Ścisnął moją dłoń. Nie mogłam się uwolnić. Nie żyje. Obaj nie żyją – zakończyła.

– Zrobił ci krzywdę – wykrztusił Will. Najwyraźniej mówienie przychodziło mu z trudem.

Sara przytaknęła ruchem głowy, lecz przed oczami stanął jej widok tego, co zobaczyła w lustrze w łazience: paskudny podłużny siniak nad prawą pierś, w miejscu, w które uderzył ją napastnik.

Will odchrząknął.

– No nic. Dziękujemy za współpracę, pani doktor. Na pewno chce pani wrócić do domu. – Odwrócił się do drzwi, ale Amanda ani

myślała pójść w jego ślady.

– Doktor Linton, w poczekalni zauważyłam automat z napojami. Może przynieść pani coś do picia? – spytała Amanda.

– Ja... – Sara zajęknęła się, kompletnie zbita z tropu.

– Will, bądź tak miły i przynieś mi dietetyczny sprite oraz... przepraszam, pani doktor. Czego się pani napije?

Will zacisnął szczęki jak imadło. Nie był głupi. Wiedział, że Amanda chce zostać z Sarą sam na sam. Z kolei Sara wiedziała, że jego szefowa nie odpuści, dopóki nie dopnie swego. Postarała się więc ułatwić mu wyjście z sytuacji.

– Poproszę coca-colę – powiedziała.

Nie dał się zbyć tak łatwo.

– Na pewno?

– Tak, na pewno.

Wyszedł, choć wciąż był zły.

Amanda wyjrzała na korytarz, upewniając się, że odszedł, po czym spojrzała na Sarę.

– Trzymam za was kciuki – oświadczyła.

Sara nie miała bladego pojęcia, o czym ona mówi.

– Za ciebie i Willa – wyjaśniła Amanda. – Trafiła mu się o jedna wredna jędra za dużo, a ja raczej nie zniknę.

Sara nie była w nastroju do żartów.

– Czego chcesz? – zapytała.

Amanda przeszła do rzeczy.

– Zwłoki wciąż leżą na dole w kostnicy. Chcę, żebyś je zbadała i przekazała mi, co o nich sądzisz jako lekarz. Lekarz medycyny sądowej – uściśliła.

Na myśl o ponownym oglądaniu tego człowieka Sarę przeszedł zimny dreszcz. Przy każdym mrugnięciu okiem widziała nad sobą jego beznamietną twarz. Nie mogła dotknąć swojej dłoni, żeby nie poczuć zaciśniętych na niej palców bandyty.

– Nie mogę ich otworzyć – powiedziała.

– Nie, ale możesz mi udzielić odpowiedzi na kilka pytań.

– Na przykład jakich?

– Czy używali narkotyków, należeli do gangów, a także czy jeden

z nich ma żołądek wypchany heroiną.

– Tak jak Ricardo.

– Właśnie, tak jak Ricardo.

Sara nie dała sobie czasu na przemyślenie tej prośby.

– Zgoda. Zrobię to.

– Co zrobisz? – Will wrócił. Na pewno biegł przez całą drogę tam i z powrotem. Znow był zasapany. W jednej dłoni trzymał dwie puszki.

– O, jesteś – rzuciła Amanda, jakby zaskoczona jego widokiem. – Właśnie wybierałyśmy się na dół do kostnicy.

Spojrzał na Sarę.

– Nie – powiedział.

– Ale ja chcę – zaprotestowała, choć sama nie wiedziała dlaczego. Od trzech godzin nie marzyła o niczym, tylko o powrocie do domu, lecz teraz, skoro zjawił się Will, perspektywa, że miałyby się znaleźć w pustym mieszkaniu, była nie do zniesienia.

– Nie będą nam już potrzebne. – Amanda wzięła od Willa puszki i wyrzuciła do kosza na śmieci. – Pani doktor?

Prowadząc ich korytarzem do wind, Sara miała wrażenie, że od rana, kiedy rano szła tą samą drogą, minęła całą wieczność. Obok nich wieziono pacjenta na noszach, ratownicy medyczni wykrzykiwali informacje o jego stanie, lekarze wydawali polecenia. Wyciągnęła rękę, popychając Willa pod ścianę, żeby nie tarasował drogi. Dłoń zawisała przed jego krawatem. Sara wyczuła czubkami palców jedwab. Will, jak zawsze w pracy, miał na sobie garnitur, ale tym razem bez kamizelki. Marynarka była granatowa, a koszula w tym samym kolorze, tylko o jeden odcień jaśniejsza.

Gliniarz. Sara zapomniała o gliniarzu.

– Nie powiedziałam, że...

– Zatrzymaj to chwilowo dla siebie – wpadła jej w słowo Amanda, jakby się bała, że ściany mają uszy.

Kiedy czekali na windę, Sara gotowała się ze złości na siebie. Jak mogła zapomnieć o gliniarzu? Czyżby już całkiem straciła głowę?

Otworzyły się drzwi. Winda była zatłoczona. Zanim przesunięto stare skrzypiące nosze i wyciągi, minęły wieki. Piętro niżej większość

pasażerów wysiadła. Do podziemi zjechali z nimi tylko dwaj młodzi sanitariusze. Po wyjściu z windy skierowali się wprost na schody, jak nic umówili się na potajemną schadzkę

Amanda odczekała, aż znajdą się poza zasięgiem słuchu.

– O co ci chodziło? – spytała.

– Kiedy wróciliśmy spod śmietnika, był tu jakiś człowiek. Omal go nie staranowałam. Kazałam mu zejść z drogi, na co machnął jakąś blachą. W każdym razie to wyglądało jak blacha, chociaż teraz już nie jestem pewna. Zachowywał się jak gliniarz.

– To znaczy jak?

– Jakby miał prawo mnie wypytywać, i wściekał się, kiedy nie odpowiadałam od razu. – Sara spojrzała na Amandę znacząco.

– Rzeczywiście brzmi to jak opis gliny – przyznała oschle. – Czego chciał?

– Chciał wiedzieć, czy pacjent z tego wyjdzie. Powiedziałam mu, że niewykluczone, chociaż było jasne, że... – Sara zawiesiła zdanie, wyteżając pamięć. – Miał na sobie ciemny garnitur, grafitowy. Białą koszulę. Był bardzo chudy, jak szczapa. Śmierdział papierosami. Czułam je, nawet kiedy już zniknął.

– Widziałaś, w którą stronę poszedł?

Sara pokręciła głową.

– Biały? Czarny?

– Biały. Siwy. Dostyc stary. Wyglądał staro. – Dotknęła twarzy. – Miał zapadnięte policzki. I nabrzmiące powieki. – Przypomniała sobie coś jeszcze. – Nosił czapkę. Bejsbolówkę.

– Czarną? – spytał Will.

– Niebieską. Z logo Atlanta Braves.

– Na zapisach z monitoringu pewnie obejrzymy sobie, jak pięknie wygląda jej czubek – skwitowała Amanda. – Musimy podzielić się tą informacją z policją. Mogą cię poprosić, żebyś spróbowała sporządzić z rysownikiem portret pamięciowy.

Sara była gotowa na wszystko.

– Przepraszam, że dopiero teraz sobie przypomniałam. Nie wiem, co mi...

– Byłaś w szoku. – Will najwyraźniej chciał dodać coś jeszcze, ale



zerknąwszy na szefową, wskazał tylko dwuskrzydłowe drzwi na końcu korytarza. – To chyba tam.

W kostnicy nie było Juniora ani Larry’ego. Stały tam za to dwie pary noszy ze zwłokami zakrytymi białym prześcieradłem. Sara przypuszczała, że to mężczyzna, którego znalazła przed śmietnikiem, oraz ten, który go zastrzelił, a później próbował zabić ją.

Kiedy weszli do pomieszczenia, spojrzęła na nich, podnosząc wzrok znad blackberry, starsza kobieta. Stała oparta o drzwi chłodni. Nie miała na sobie białego fartucha, lecz świetnie skrojony czarny żakiet i spodnie, z kieszeni których wystawała jej szpitalna plakietka. Najwyraźniej należała do kadry kierowniczej szpitala. Miała swoje lata, w jej włosach było więcej siwizny niż czerni. Odepchnęła się od drzwi i podeszła do nich. Kroczyła prosta jak struna, dumnie wypychając do przodu wydatny biust, niczym dziób statku.

Nie traciła czasu na przedstawianie się. Wyjęła z żakietu mały notes w spiralnej oprawie i odczytała:

– Zabójca nazywał się Franklin Warren Heeney. Policja znalazła przy nim portfel. Miejscowy, mieszka z rodzicami w Tucker. Na drugim roku wyleciał z Perimeter College. Brak danych o zatrudnieniu. Jako dorosły nie był aresztowany, ale w wieku trzynastu lat trafił na pół roku do poprawczaka za wybijanie okien. Ma dziecko, sześciolletnią córkę, która mieszka z ciotką w Snellville. Mamusia siedzi w mamrze za kradzieże w sklepach oraz za działkę metamfetaminy, którą znaleźli w jej torebce. Nic więcej o nim nie wygrzebałam. – Wskazała na drugie zwłoki. – Marcellus Benedict Estevez. Jak mówiłam przez telefon, jego portfel znaleziono w pobliżu śmietnika. Zakładam, że pani sama już go sprawdziła? – Widząc, że Amanda kiwa głową, zamknęła notes. – To by było na tyle. Przez telefon nic więcej nie udało się ustalić.

Amanda znów skinęła głową.

– Dziękuję.

– Załatwiłam wam godzinę, potem zjawią się chłopcy od krojenia sztywnych. Doktor Linton, zdjęcia Esteveza, o które pani prosiła, są z dokumentami przewozowymi. Przyniosłam trochę narzędzi, które mogą się przydać. Przykro mi, że nie byłam w stanie zrobić więcej.

Zrobiła aż nadto. Sara spojrzała na cztery tace z narzędziami chirurgicznymi, ustawione obok zwłok. Kimkolwiek była ta kobieta, miała pojęcie o medycynie i stała w szpitalnej hierarchii dostatecznie wysoko, by móc tu przewieźć szafkę ze sprzętem bez wszczynania alarmu.

– Dziękuję – powiedziała Sara.

Kobieta pożegnała ich skinieniem głowy i wyszła.

– Niech no zgadnę, kolejna z twoich starych kumpeli? – zwrócił się Will do Amandy ostrym tonem.

Szefowa potraktowała go jak powietrze.

– Pani doktor, możemy zacząć? – spytała.

Sara musiała się zmusić do działania, inaczej zapuściłaby tam korzenie i stała, dopóki budynek nie ległby w gruzach. Na wystającym ze ściany kołku wisiała paczka sterylnych rękawic. Wzięła jedną parę i z trudem naciągnęła na spocone dłonie. Talk zrolował się w małe kulki, które przyłgnęły do jej dłoni jak drobiny wyrabianego ciasta.

Bez zbędnych wstępów odrzuciła prześcieradło zakrywające pierwsze zwłoki i ukazał się Marcellus Estevez – mężczyzna, którego znalazła przy śmietniku. W czole miał dwie dziury po kulach, jedna tuż obok drugiej. Skóra była spalona od prochu. Sara wyczuła zapach kordytu – zważywszy na to, że mężczyznę zastrzelono kilka godzin wcześniej, było to zgoła nieprawdopodobne.

– Dwie kule w środek czoła, dokładnie tak, jak u faceta przed magazynem, zastrzelonego z jadącego samochodu – powiedziała Amanda.

– Nie musisz tego robić – rzucił Will ściszym głosem.

– Nie ma problemu – odparła Sara. Zmuszając się do pracy, zaczęła od najprostszych czynności. – Wiek mniej więcej dwadzieścia pięć lat – mruknęła. – Metr siedemdziesiąt trzy, może pięć. Jakies osiemdziesiąt kilogramów. – Otwierając jego oczy, poczuła, że wpada w rytm badania. – Śniady. Oznaki żółtaczki. Jego rana została zakażona. Sekcja prawdopodobnie wykaże, że zakażenie objęło większe narządy. Kiedy go znaleźliśmy, był w stanie śmierci klinicznej. – Zsunęła niżej prześcieradło, by znów obejrzeć brzuch

ofiary, tym razem okiem patomorfologa, a nie lekarki, która próbuje pomóc pacjentowi.

Mężczyzna był nagi, podczas transportu na ostry dyżur rozcięto jego ubranie. Sara wyraźnie widziała głęboką ranę kłutą w dolnej lewej części brzucha.

– Przebicie jelita cienkiego. Wygląda na to, że cios zadano z dołu do góry. Zrobił to ktoś praworęczny, leżący na wznak.

– To znaczy, że na niej leżał? – wtrąciła się Amanda.

– Tak przypuszczam. Mówimy o Evelyn, prawda? – upewniła się Sara.

Will zachował stoicki spokój, Amanda zaś przytaknęła ruchem głowy.

– Ostrze weszło ukośnie w linii Langer'a na brzuchu, czyli między naturalne fałdy w skórze. Jeśli zmienię to zgięcie, o tak... – przekreśliła skórę, by wyglądała jak w chwili zadania ciosu – zobaczcie, że sądząc po umiejscowieniu rany, Evelyn leżała na plecach, najprawdopodobniej na podłodze, a napastnik przygniatał ją swoim ciałem. Był lekko wygięty w talii. Nóż wszedł tak. – Sięgnęła po skalpel na tacy, lecz rozmyśliła się i wzięła nożyczki. Zademonstrowała cios, trzymając rękę przy biodrze, z nożyczkami uniesionymi do góry. – Dźgnęła go raczej w odruchu obronnym, a nie celowo. Być może walczyli ze sobą i przewrócili się jednocześnie. Nóż zagłębił się w ciało. Mężczyzna stoczył się z Evelyn, z ostrzem w brzuchu... Wyraźnie głębsze nacięcie z boku rany świadczy o ruchu ciała, widzicie?

– Nóż kuchenny? – spytała Amanda.

– Statystycznie rzecz biorąc, to najczęstsze narzędzie zbrodni, a skoro walka toczyła się w kuchni, to ma sens. Żeby się upewnić, po sekcji patomorfolog przeprowadzi badania porównawcze. Czy znaleźli na miejscu narzędzie zbrodni?

– Tak – odparła Amanda. – Jesteś pewna swoich wniosków? Ona leżała na plecach?

Sara widziała, że Amandzie nie spodobały się jej wnioski. Bo wolałaby, żeby przyjaciółka pokonała napastnika w zażartej walce, a nie przez szczęśliwy traf.

– Większość śmiertelnych ran kłutych można znaleźć po lewej stronie piersi – powiedziała. – Jeśli chcemy kogoś zabić, celujemy w serce, od góry, prosto w pierś. To był cios obronny. – Wskazała cięcie na dłoni mężczyzny. – Evelyn nie miała jednak łatwo. W pewnym momencie musiała zaatakować go wprost, bo chwycił ostrze noża.

Ta informacja nieco udobruchała Amandę, ale nie do końca.

– Czy on ma coś w żołądku? – spytała.

Sara sięgnęła pod nosze i wyciągnęła dokumenty przewozowe, przeznaczone dla lekarza sądowego hrabstwa Fulton. Podczas gdy składała zeznania na policji, Krakauer wypełnił większość rubryk. Był to standardowy formularz. Patomorfolog przeprowadzający sekcję zwłok musiał wiedzieć, jakie leki podano zmarłemu, jakie zastosowano procedury, które ślady na ciele powstały w szpitalu, a które w bardziej szemranych okolicznościach. Na ostatniej stronie znalazła kserokopie zdjęć rentgenowskich.

– Wygląda na to, że w jamie brzusznej nie ma żadnych obcych ciał – powiedziała. – Pewność zyskają dopiero wtedy, kiedy go otworzą, ale zakładam, że taką ilość heroiny, o jakiej mówimy, taką, dla której warto umrzeć, łatwo byłoby zauważyć.

Will odchrząknął.

– Czy Evelyn była bardzo zachlapana krwią tego faceta? – spytał niechętnie.

– Mało prawdopodobne. Krwawienie nastąpiło głównie w jamie brzusznej, nawet po wyciągnięciu noża. Rana na jego dłoni powstała dlatego, że się bronił, ale tętnice łokciowa i promieniowa nie zostały uszkodzone, podobnie jak tętnice palców. Znacznego upływu krwi można by się spodziewać, gdyby rana dłoni okazała się głębsza albo gdyby stracił palec. Ale tak się nie stało, więc domyślam się, że na ubraniu Evelyn krwi było niewiele.

– Za to na podłodze było jej mnóstwo – rzekł Will. – Na posadzce zostały ślady stóp prowadzące w obu kierunkach.

– Jak duże jest to pomieszczenie?

– Jak to kuchnia – odparł. – Większa od twojej, ale niewiele, i zamknięta. To dosyć stary dom, w stylu rancho.

Sara przemyślała to sobie.

– Musiałabym zobaczyć zdjęcia z miejsca zbrodni, ale jestem niemal pewna, że jeśli na podłodze zostało dość krwi, żeby utrwaliły się ślady walki, to ta krew nie pochodziła z dłoni ani brzucha Esteveza. W każdym razie nie cała.

– Czy z takimi ranami mógł wstać i wyjść o własnych siłach?

– Nie bez pomocy. Wszelkie uszkodzenia ściany brzusznej bardzo utrudniają oddychanie, a co dopiero poruszanie się. – Dotknęła brzucha. – Pomyślcie, jak wiele mięśni bierze udział w zwyczajnym wstawaniu.

– Do czego zmierzasz? – zwróciła się Amanda do Willa.

– Zastanawiam się, z kim walczyła Evelyn, skoro ten tutaj nie mógł wstać o własnych siłach i nie krwawił zbyt silnie.

Sara w lot pojęła jego tok rozumowania.

– Uważasz, że Evelyn została ranna.

– Niewykluczone. Sprawdzili grupy krwi pobranej na miejscu zbrodni, ale nie zebrali wszystkiego, a na badania DNA poczekamy jeszcze kilka dni. – Wzruszył ramionami. – Skoro Estevez nie bardzo krwawił, taką ilość krwi tłumaczyłyby jedynie rany Evelyn.

– Jestem pewna, że nawet jeśli została ranna, to nie jest to nic poważnego. – Amanda zbyła teorię Willa takim ruchem ręki, jakby odganiała uprzykrzoną muchę. Na logikę, każdy powinien realnie ocenić, że szanse przeżycia Evelyn Mitchell po upływie tak długiego czasu są raczej mizerne. Tymczasem Amanda najwyraźniej była przeciwnego zdania.

Sara nie zamierzała wyprowadzać jej z błędu.

Na jednej tacy leżała wielka lupa. Sara opuściła górną lampę i wróciła do badania, sprawdzając ciało mężczyzny od stóp do głów, w poszukiwaniu śladów, ukłuć po strzykawkach, czegokolwiek, co mogłoby ich naprowadzić na jakiś trop. Kiedy nadeszła pora, żeby przewrócić zwłoki na brzuch, Will włożył rękawice chirurgiczne i pomógł jej przeturlać ciało.

– No proszę, a to ciekawe – rzuciła Amanda z właściwą sobie powściągliwością.

Estevez miał na plecach wytatuowanego wielkiego anioła.

Pokrywający całe barki i sięgający aż po krzyż rysunek był tak misterny, że wyglądał niemal jak płaskorzeźba.

– Gabriel – powiedziała Sara. – Archanioł.

– Skąd wiesz? – zainteresował się Will.

Wskazała róg w ustach anioła.

– Biblia nic na ten temat nie wspomina, ale niektóre odłamy religijne wierzą, że dzień Sądu Ostatecznego nastąpi wtedy, kiedy Gabriel zadmie w róg. – Wiedziała, że Will nigdy nie postawił nogi w kościele. – Takich rzeczy uczą dzieci w szkółkach niedzielnych. Poza tym to pasuje do jego imion... Marcellus Benedict. Zdaje się, że takie imiona przybrało dwóch papieży.

– Jak sądzisz, kiedy wykonano ten tatuaż? – spytała Amanda.

Skóra na krzyżu wciąż nosiła ślady podrażnienia od igły.

– Tydzień, może pięć dni temu. – Sara nachyliła się i z bliska obejrzała malunek. – Ktoś to robił na raty i wyraźnie się nie śpieszył. Mogło mu to zająć kilka miesięcy. Takiej roboty się nie zapomina, no i wyobrażam sobie, że kosztowała ciężkie pieniądze.

Will ujął dłoń mężczyzny.

– Zaglądałaś mu pod paznokcie?

– Widziałam, że są brudne – przyznała. – U mężczyzn w tym wieku to normalna. Nie mogę pobrać próbek. Patomorfolog by się wkurzył, a nawet gdybym coś znalazła, sąd nie przyjąłby tego jako dowodu rzeczowego.

Will powąchał palce zabitego.

– Na mój gust śmierdzi olejem napędowym.

Sara też powąchała.

– Czy ja wiem? Policjanci mówili mi, że sprawdzili zapisy z kamer monitoringu na zewnątrz. Są ruchome. Ogarniają cały plac na tyłach szpitala, ale bandyci na pewno o tym wiedzieli, skoro udało im się wejść w ich zasięg, kiedy porzucali ciało. Estevez leżał przy śmietniku co najmniej dwanaście godzin. Ten zapach o niczym nie świadczy. – Odwróciła dłoń zmarłego i pokazała coś Willowi. – Natomiast to jest ciekawe. Jak widać, pracował fizycznie. Na kciuku i z boku palca wskazującego widać zgrubienie skóry. Przez dłuższy czas posługiwał się jakimś narzędziem. Musiało być dosyć ciężkie i przesuwające się

w jego ręku.

– Mówiłaś, że nigdzie nie pracował? – zwrócił się Will do szefowej.

– Według oficjalnych danych od blisko roku pobierał zasiłek dla bezrobotnych.

Sarze coś przyszło do głowy.

– Możesz mi je podać? – Wskazała szkło powiększające. Will wziął je i czekał, aż Sara otworzy usta Esteveza. Szczęki zeszytywniały. Kiedy je rozwarła, trzasnęło ścięgno. – Przytrzymaj – poleciała Willowi, pokazując, żeby się skupił na górnych zębach. – Widzisz te małe wgłębienia z boku przednich górnych zębów? – spytała. Nachylił się, a potem zrobił miejsce Amandzie, żeby też się przyjrzała. – One się powtarzają. Powstały dlatego, że stale trzymał coś między zębami. Takie coś widuje się u szwaczek, które odgryzają nici, albo u stolarzy, którzy wkładają do ust gwoździe.

– Albo u monterów szafek? – podsunął.

– Możliwe. – Sara jeszcze raz spojrzała na dłoń Esteveza. – Te odciski mogły powstać od trzymania gwoździarki. Musiałabym mieć takie narzędzie do porównania, ale gdybyś mi powiedział, że pracował jako stolarz, przyznałabym, że jego dłonie na to wskazują. – Ujęła lewą dłoń trupa. – Widzisz te blizny na palcu wskazującym? Dokładnie takie same powszechnie występują u stolarzy. Młotek się ześlizguje, gwóźdź przebija skórę. A ten naskórek zdarł się od dokręcania muter. Widzisz tę szramę biegnącą wzdłuż paznokcia? – spytała, na co skinął głową. – Zachodzi na skórę. Stolarze używają specjalnych noży do modelowania tapicerki albo nacinania drewna. Czasami ostrze ześlizguje się po paznokciu albo ścina skórę z boku palca. Drugą ręką, tą mniej sprawną, często wygładzają kit albo uszczelniając, co niszczy czubki palców. Jego odciski palców mogły się zmieniać z tygodnia na tydzień, a nawet z dnia na dzień.

– Czyli że pracował w tym fachu przez dłuższy czas? – wtrąciła się Amanda.

– Moim zdaniem tym, od czego zniszczył sobie palce, zajmował się przez jakieś dwa, trzy lata.

– A co nam powiesz o Heeneyu, zabójcy?

Sara sięgnęła pod prześcieradło, żeby obejrzeć dłonie drugiego

mężczyzny. Nie chciała więcej oglądać jego twarzy.

– Był leworęczny, ale zaryzykowałabym twierdzenie, że pracował w tej samej branży co Estevez.

– Nareszcie mamy coś, co ich łączy – rzekł Will. – Obaj pracowali dla Ling-Ling.

– Kim jest Ling-Ling? – spytała Sara.

– Zaginiona osoba pozostająca w kręgu naszego zainteresowania. – Amanda spojrzała na zegarek. – Czas goni, doktor Linton. Mogłaby pani obejrzeć naszego drugiego przyjaciela?

Sara wolała się nad tym nie zastanawiać. Bez namysłu jednym szybkim ruchem odrzuciła prześcieradło. Po raz pierwszy, odkąd próbował ją zabić, spojrzała na twarz Franklina Warrena Heeneya. Miał otwarte oczy, a usta zaciśnięte na rurce, którą wepchnięto mu do gardła, żeby ułatwić oddychanie. Na szyi, wokół otwartej rany, zakrzepła skorupa krwi. Wciąż był ubrany od pasa w dół, rozcięto tylko jego marynarkę i koszulę, żeby personel medyczny mógł podjąć próbę ratowania mu życia. Te wysiłki były zresztą symboliczne, facet sam przeciął sobie żyłę szyjną. Zanim udało się go przewieźć na stół operacyjny, stracił niemal połowę krwi. Sara wiedziała o tym, ponieważ to właśnie ona się nim zajmowała.

Spojrzała w górę. Amanda i Will wlepiali w nią wzrok.

– Wybaczcie – powiedziała. Musiała odchrząknąć, żeby odzyskać normalny głos. – Jest mniej więcej w wieku Esteveza. Dwadzieścia pięć lat, w każdym razie przed trzydziestką. Za chudy jak na swój wzrost. – Wskazała ślady po igłach strzykawki na jego ramieniu. Wenflon, do którego podłączyła kroplówkę, wciąż był przylepiony do skóry. – Brał od niedawna, przynajmniej dożylnie. – Wzięła otoskop i zajrzała mężczyźnie do nosa. – Przewody nosowe są wyraźnie uszkodzone, prawdopodobnie od wciągania proszku. – Wepchnęła sondę głębiej. – Przeszedł operację rekonstrukcji przegrody nosowej, więc pewnie brał kokę, amfę albo oxy. Te prochy najbardziej uszkadzają chrząstki.

– A heroinę? – spytał Will.

– Tak, oczywiście, heroinę też. – Sara znów się usprawiedliwiła. – Przepraszam, ale większość heroinistów, z którymi się stykam, albo ją



pali, albo sobie wstrzykuje. Ci, którzy wciągają, zwykle od razu lądują w kostnicy.

Amanda założyła ręce pod biustem.

– A co z jego żołądkiem?

Sara nie musiała zaglądać do akt. Nie zrobiono prześwietlenia. Facet wykorkował, zanim zdążyli zlecić jakiegokolwiek badania. Ale zamiast zająć się dalszym badaniem, znów zapatrzyła się na jego twarz. Franklin Heeney nie był świętoszkiem, a jednak tę ospowatą cerę i zapadnięte policzki ktoś gdzieś pamiętał. Miał matkę. Miał ojca, dziecko, a być może również brata czy siostrę, którzy właśnie w tej chwili dowiadawali się, że ktoś, kogo kochali, nie żyje.

Ktoś, kogo kochali, a kto z zimną krwią zabił człowieka i walnął Sarę tak silnie, że nie była w stanie oddychać. Na samo wspomnienie poczuła, jak siniak na jej piersi faluje od łomotania serca. Ona także ma matkę, siostrę i ojca, którzy umieraliby z przerażenia na wieść o tym, co jej się dziś przydarzyło.

– Pani doktor... – odezwała się Amanda.

– Przepraszam. – Podchodząc do paczki rękawic i wkładając nową parę, zdołała wziąć się w garść. Nie zwracając uwagi na zatroskane spojrzenie Willa, przycisnęła palcami brzuch zmarłego. – Nie wyczuwam nic nietypowego. Narządy wewnętrzne są normalnej wielkości i na swoim miejscu. Nie ma opuchlizny ani skurczenia jamy brzusznej czy żołądka. – Ściągnęła rękawiczki i wyrzuciła do kubła na śmieci. W zlewie była tylko zimna woda, ale i tak umyła ręce. – Nie mogę go wysłać na prześwietlenie bez podania jego danych osobowych, a zresztą dla zaspokojenia ciekawości nie zamierzam skazywać żywych pacjentów na czekanie. O rozstrzygnięcie tej kwestii zwróćcie się do patomorfologa. – Wcierając w dłonie żel antybakteryjny, starała się utrzymać spokojny głos. – Czy to wszystko?

– Tak – rzekła Amanda. – Dziękuję, pani doktor.

Sara darowała sobie odpowiedź. Nie zwracała uwagi na Willa. Nie zwracała uwagi na zwłoki dwóch mężczyzn. Nie spuszczała wzroku z drzwi, dopóki nie wyszła z kostnicy. W korytarzu skupiła się na windzie, na przycisku, który powinna nacisnąć, na cyferkach, które

się zaświecą nad drzwiami. Pragnęła myśleć wyłącznie o tym, co ma przed sobą, a nie o tym, co przeszła. Musiała się stąd wyrwać, wrócić do domu, położyć się na kanapie z psem i otulić kocem, by wyrzucić ten koszmary dzień z pamięci.

Usłyszała kroki za plecami. Will znów biegł. Szybko ją dogonił. Odwróciła się. Zatrzymał się o metr od niej.

– Amanda rozesłała do wszystkich organów ścigania prośbę o namierzenie autora tego tatuażu – powiedział.

Dlaczego tak stoi? Po co ją gonił, skoro teraz nic nie robi?

– Może znajdziemy... – dorzucił.

– Mam to gdzieś, naprawdę.

Świdrował ją wzrokiem. Dłonie trzymał w kieszeniach. Rękaw marynarki opinał się na jego bicepsie. W materiale widniała niewielka dziura.

Sara oparła się ramieniem o ścianę. Wcześniej nie zauważyła, że na płatkach ucha miała świeżą ranę. Chciała go o nią zapytać, ale pewnie by odparł, że zaciął się przy goleniu. Może zresztą wolała nie wiedzieć, co mu się stało. W pamięci wciąż miała polaroidowe zdjęcie jego pociętych ust. Co jeszcze mu zrobili? Co jeszcze zrobił sobie sam?

– Jak to jest, że żadna z kobiet mojego życia nie wzywa mnie, kiedy potrzebuje pomocy? – zapytał.

– A co, Angie już do ciebie nie dzwoni? – dogryzła mu.

Wbił wzrok w podłogę między nimi.

– Przepraszam – mruknęła. – To było poniżej pasa. Miałam naprawdę ciężki dzień.

Nie spojrzał na nią. Ale wziął ją za rękę. Splótł palce z jej palcami. Jego skóra była ciepła, niemal parzyła. Przesunął kciukiem po wnętrzu jej dłoni, po skórze między palcami. Sara zamknęła oczy, a tymczasem on badał każdy centymetr kwadratowy jej ręki, pieścił wszystkie linie i zagłębienia, delikatnie naciskał kciukiem pulsującą żyłę na jej nadgarstku. Jego dotyk działał jak środek uśmierzający. Sara poczuła odprężenie, ogarniające całe ciało. Zwolniła oddech, teraz oddychała w tym samym tempie co on.

Drzwi kostnicy otworzyły się ze świstem. Sara i Will cofnęli ręce w tym samym momencie. Unikali swojego wzroku. Wyglądali jak

dzieciaki przyłapane na tylnym siedzeniu samochodu.  
Amanda triumfalnym gestem uniosła telefon komórkowy.  
– Roger Ling chce z nami pogadać.

## Rozdział 12

Faith czuła, że nigdy w życiu nie była tak bliska załamania nerwowego. Oblewała się potem, a jednak szczękała zębami. Zwróciła śniadanie, a potem zmusiła się do przełknięcia lunchu. Miała taką migrenę, że nawet zamykanie oczu sprawiało jej ból. Jej poziom cukru nie wyglądał lepiej. Musiała zadzwonić do gabinetu lekarskiego, żeby dowiedzieć się, co ma robić. Postraszyli ją, że jeśli sama nie poprawi wyników, wpakują ją do szpitala. Obiecała, że zadzwoni ponownie, a potem poszła do łazienki, puściła gorący prysznic i stojąc w strugach wody, przez pół godziny płakała.

Po głowie krążyły jej wciąż te same myśli, niczym koła ryjące koleiny w polnej drodze. Tamci byli w jej domu. Dotykali jej rzeczy. Dotykali rzeczy Jeremy'ego. Znali jego datę urodzenia. Wiedzieli, gdzie się uczył. Dowiedzieli się, co lubi, a czego nie. Zaplanowali to wszystko w najdrobniejszych szczegółach.

Niebezpieczeństwo wisiało jak wyrok śmierci. Gęba na kłódkę. Oczy otwarte. Faith nie sądziła, by mogła otworzyć oczy jeszcze szerzej i milczeć jeszcze bardziej. Dwukrotnie przeszukała dom. Nieustannie sprawdzała telefon, pocztę elektroniczną, profil syna na Facebooku. Była trzecia po południu. Od blisko dziesięciu godzin tkwiła uwięziona w tym domu jak zwierzę w klatce.

I wciąż nic.

– Hej, mammo?

Do kuchni wszedł Jeremy. Faith siedziała przy stole i gapiła się na podwórko za domem, gdzie detektyw Taylor i Rudy zażarcie dyskutowali o niczym. Widząc ich znudzenie, domyśliła się, że czekają, aż szef ich odwoła i będą mogli wrócić do prawdziwej pracy. Z ich punktu widzenia sprawa utknęła w martwym punkcie. Minęło zbyt wiele godzin. Nikt nie nawiązał kontaktu. Faith potrafiła wyczytać prawdę w ich oczach. Naprawdę uważali, że Evelyn Mitchell już nie żyje.

– Mamo?

Faith potarła ramię syna.

– O co chodzi? Emma się obudziła? – W nocy córeczka spała aż za długo. Marudziła, dawała w kość i darła się niemal godzinę, zanim w końcu zapadła w popołudniową drzemkę.

– Nic jej nie jest – zapewnił Jeremy. – Wybieram się na spacer. Chcę się stąd wyrwać choć na chwilę. Odetchnąć świeżym powietrzem.

– Nie – powiedziała. – Zabraniam ci wychodzić z domu.

Po jego minie poznała, jak ostry był jej ton. Ścisnęła go za ramię.

– Masz zostać w domu, rozumiesz?

– Czuję się tu jak w pierdłu, mam tego dość.

– Ja też, ale musisz mi obiecać, że nie wyjdiesz z domu. – Po czym zagrała na jego uczuciach. – Wystarczy, że się martwię o babcię. Nie każ mi jeszcze martwić się o ciebie.

– Dobra – zgodził się niechętnie.

– Zajmij się czymś z wujkiem. Pograjcie w karty albo co.

– On nie potrafi przegrywać, od razu się bzdyczy.

– Ty też. – Faith wygoniła syna z kuchni. Słyszając skrzypienie desek podłogowych i stopni na schodach, wiedziała, że idzie do swojego pokoju. Powinna zaprząć Zeke'a do roboty nad długą listą drobnych napraw domowych. Tyle że w tym celu musiałaby z nim porozmawiać, a próbowała unikać brata na wszelkie możliwe sposoby. O dziwo, wyglądało na to, że on również stara się schodzić jej z drogi. Od dobrych trzech godzin siedział w garażu i pracował na swoim laptopie.

Wstała ciężko od stołu i zaczęła krążyć po kuchni, licząc na to, że dzięki temu rozładuje choć trochę nerwowej energii. Nie trwało to długo. Nachyliła się nad stołem i postukała w klawiaturę laptopa, żeby go odpalić. Kliknęła myszą, chcąc wejść na profil syna na Facebooku. Patrzyła na obracające się koło we wszystkich kolorach tęczy. Widocznie Jeremy na górze w coś grał, skoro bezprzewodowe połączenie z siecią działało tak wolno.

Zadzwonił telefon. Faith podskoczyła. Wzdrygała się na każdy niespodziewany dźwięk. Była nerwowa jak kotka. Rozsunęły się tylne drzwi. Rudy stał i czekał, aż Faith odbierze. Jego zmęczona mina świadczyła o tym, że swoje zadanie uważa nie tylko za zbędne, lecz

również poniżej jego zdolności.

Przyłożyła słuchawkę do ucha.

– Halo?

– Faith?

Dzwonił Victor Martinez. Ruchem reki odprawiła Rudego.

– Cześć.

– Jak się masz?

Wyglądało na to, że kiedy już tę łatwiznę mieli z głowy, żadne z nich nie bardzo wiedziało, co powiedzieć. Faith nie rozmawiała z Victorem od trzynastu miesięcy, kiedy to poinformowała go SMS-em, że jeśli nie zabierze z jej domu swoich rzeczy, wystawi mu je na ulicę.

W końcu Victor przerwał milczenie.

– Są jakieś wieści o twojej matce?

– Nie. Nic.

– Minęły już ponad dwadzieścia cztery godziny, zgadza się?

Milczała w obawie, że głos ją zawiedzie. Victor miał zwyczaj pleść to, co oczywiste, a jako wielbiciel seriali kryminalnych niewątpliwie wiedział równie dobrze jak Faith, że czas działa na ich niekorzyść.

– Jeremy się trzyma?

– Tak. Dzięki, że przywiozłeś go wczoraj do domu. I że z nim posiedziałeś. – Nagle coś jej przyszło do głowy. – Kiedy tu byłeś, nie widziałeś przypadkiem czegoś niezwykłego? Może ktoś kręcił się wokół domu?

– Oczywiście, że nie. Inaczej powiedziałbym o tym policji.

– Jak długo tu siedziałeś, zanim przyjechali?

– Niedługo. Mniej więcej po godzinie zjawił się twój brat, więc sobie poszedłem.

Wyczerpane szare komórki Faith zmagaly się z obliczeniami. Porywacze Evelyn się nie wahali. Przyjechali tu prosto od niej. Znali rozkład domu na tyle dobrze, by wejść na górę do sypialni Faith i włożyć odcięty palec pod poduszkę. Może już wcześniej obserwowali dom. Mogli podsłuchiwać rozmowy telefoniczne albo sprawdzić jej terminarz w laptopie i stąd wiedzieli, że jej nie zastaną. Niczego nie zabezpieczała hasłami, bo jak dotąd zakładała, że u siebie w domu

jest bezpieczna.

Nie dosłyszała słów Victora.

– Możesz powtórzyć?

– Powiedziałem, że ten twój brat to kawał dupka.

– Przeżywa teraz ciężki okres, Victorze – warknęła. – Nasza matka zaginęła. Bóg raczy wiedzieć, czy jeszcze żyje. Zeke rzucił wszystko, żeby być z Jeremym. Przepraszam, jeśli twoim zdaniem był dla ciebie niegrzeczny. Trudno, żebyśmy teraz byli szczególnie mili.

– Hej, wyluzuj. Przepraszam, palnąłem głupotę.

Znów się nakręciła, oddychała coraz szybciej. Powinna wziąć się w garść. Ale miała ochotę wydrzeć się na kogoś, niekoniecznie akurat na Victora.

– Jesteś tam? – zapytał.

Nie mogła odwlekać tego dłużej.

– Wiem, że Jeremy pokazał ci zdjęcie Emmy.

Odchrząknął.

– To, co sobie w związku z nią pomyślałeś... – Przycisnęła palce do zamkniętych oczu. – To prawda.

Miała wrażenie, że jego milczenie ciągnie się w nieskończoność. W końcu rzucił:

– Jest śliczna.

Faith opuściła rękę. Spojrzała na sufit. Hormony tak jej szalały, że nawet największa głupota potrafiła wyprowadzić ją z równowagi. Przytrzymując słuchawkę ramieniem, spróbowała ponownie załadować profil Jeremy'ego na Facebooku.

– Kiedy to się skończy, chciałbym ją poznać – powiedział Victor.

Faith obserwowała wirujące kółko na ekranie komputera – znak, że procesor pracuje. Nie mogła znieść myśli, że Victor miałby spotkać się z Emmą. Trzymać ją w ramionach. Głaskać jej włosy. Opowiadać, że patrząc w jej piwne oczy, czuje się, jakby patrzył w lustro. Potrafiła myśleć wyłącznie o chwili obecnej i o tym, że z każdą upływającą sekundą maleją szanse na to, że Evelyn Mitchell dożyje pierwszych urodzin wnuczki.

– Twoja mama ma duszę wojownika – powiedział Victor i dodał, nieomal z żalem: – Tak samo jak ty.

W końcu strona się załadowała. Osiem minut temu pojawił się wpis GoodKnight92.

– Muszę kończyć. – Faith odłożyła słuchawkę. Jej dłoń zawisała nad laptopem. Wczytała się w tekst na ekranie. Brzmiał dziwnie znajomo.

„Czujesz się tam jak w pierdłu. Wyjdź odetchnąć świeżym powietrzem”.

Znowu skontaktowali się z Jeremym, a jej syn, jej chłopiec, był gotów wyjść na dwór i zaryzykować życie, byleby odzyskać babcię.

– Jeremy?! – zawołała podniesionym głosem.

Czekała. Z góry nie dobiegały odgłosy kroków, schody ani deski podłogi nie zaskrzypiały.

– Jeremy?! – zawołała ponownie, przechodząc do salonu. Minęła wieczność. Faith przytrzymała się oparcia kanapy, żeby nie upaść. Jej głos drżał z panicznego strachu. – Jeremy!

Jej serce zamarło, gdy usłyszała tupanie na górze – ciężkie kroki na podłodze. Ale to Zeke krzyknął do niej ze szczytu schodów:

– Jezu, Faith, co się stało?

Z trudem zdołała się odezwać.

– Gdzie jest Jeremy?

– Pozwoliłem mu się przejść.

Z kuchni nadszedł Rudy, wyraźnie zdziwiony. Zanim zdążył się odezwać, Faith wyrwała mu pistolet z kabury pod pachą i wybiegła z pokoju. Nie pamiętała, jak otwierała drzwi wejściowe i jak pędziła podjazdem. Zatrzymała się dopiero na środku ulicy. Przed sobą ujrzała w oddali jakąś postać, która właśnie miała skręcić za róg. Chłopak był wysoki, chudy, w workowatych dżinsach i żółtej koszulce politechniki.

– Jeremy! – wrzasnęła. Na skrzyżowanie wjechał samochód i stanął o metr od jej syna. – Jeremy! – Ale on jej nie słyszał. Podchodził do samochodu.

Pobiegła co sił w nogach, mocno pracując rękami i tupiąc bosymi stopami o chodnik. Ścisnęła pistolet tak mocno, że niemal się stopił z jej dłonią.

– Jeremy! – krzyknęła. Odwrócił się. Samochód stał dokładnie przed nim. Ciemnoszary. Czterodrzwiowy. Nowy model forda focusa



z chromowanym wykończeniem. Szyba zjechała. Jeremy odwrócił się do pojazdu, schylił i zajrzał do środka. – Stój! – ryknęła Faith przez zduszone gardło. – Odsuń się do samochodu! Odejdź od niego!

Ktoś w aucie nachylał się do Jeremy'ego. Faith ujrzała za kierownicą przerażoną nastolatkę, która z rozdziawionymi ustami gapiała się na uzbrojona wariatkę, pędzącą ulicą. Gdy Faith dobiegła do syna, samochód wystartował z piskiem opon. Wpadła na Jeremy'ego z takim impetem, że omal nie przewróciła go na ziemię.

– Dlaczego? – wysapała, chwytając go za ramię z taką siłą, że zabolowały ją palce.

Wyrwał jej się, masując ramię.

– Jezus, mam, co z tobą? Ona się zgubiła. Pytała mnie o drogę.

Ze strachu i uderzenia adrenaliny Faith kręciło się w głowie. Zgięła się wzdłuż, oparła dłonie na kolanach. Pistolet trzymała u boku. Obok niej stanął Rudy.

Odebrał jej swój pistolet.

– Agentko Mitchell, tak nie uchodzi – powiedział.

Na te słowa zawrzała z gniewu.

– Nie uchodzi? – Walnęła go otwartą dłonią w pierś. – Nie uchodzi?!

– Agentko. – Jego ton sugerował, że Faith zachowuje się histerycznie, co tylko wzmoгло jej wściekłość.

– Ale wypuścić mojego syna z domu, kiedy mieliście go pilnować, to uchodzi, tak? – Znów go pchnęła. – Ty i ten twój partner staliście z fiutami w garści, a tymczasem mój syn wymknął się z domu. – Kolejne pchnięcie. – Takie coś uchodzi, tak?

Rudy podniósł ręce, jakby się poddawał.

– Faith – odezwał się Zeke. Nie zauważyła obecności brata, bo jak dotąd choć raz się nie wtrącał i nie pogarszał sprawy. – Wracajmy do domu.

Wyciągnęła otwartą dłoń do Jeremy'ego.

– Oddawaj iPhone'a.

– Że co? – wykrztusił przerażony.

– Ale już – rozkazała.

– Mam na nim wszystkie gry.

- Guzik mnie to obchodzi.
  - To co ja będę robił?
  - Przeczytaj książkę! – wydarła się na niego piskliwie. – Tylko nie wchodzić do sieci. Słyszałeś? Koniec z internetem.
  - Jezu! – Rozejrzał się, szukając wsparcia, ale nawet gdyby sam Bóg zstąpił na ziemię i kazał jej odczepić się od syna, miałyby to gdzieś.
  - Jeśli będzie trzeba, przywiążę cię do siebie sznurkiem – zagroziła. Wiedział, że matka nie blefuje – kiedyś już tak zrobiła.
  - To nie w porządku – burknął, z rozmachem kładąc telefon na jej dłoni. Gdyby to urządzenie nie było tak cholernie drogie, najchętniej cisnęłaby je na ziemię i rozdeptała. Nie zamierzała jednak odpuścić mu tak łatwo. – Pytałam, czy słyszałeś?
  - Słyszałem! – odkrzyknął. – Chryste!
- Rudy schował pistolet do kabury i wyniośle zapiął zatrzask paska. Ruszył w ślad za Jeremym. Faith pokuśtykała za nimi. Grudki asfaltu obtarły jej stopy. Zeke szedł obok niej. Trącił ją ramieniem. Faith przygotowała się na kolejną tyradę, on jednak miłosiernie milczał przez całą drogę do domu.
- Rzuciła iPhone'a Jeremy'ego na stół w kuchni. Nic dziwnego, że chciał się wyrwać na dwór. Atmosfera domu zaczynała przypominać więzienie. Oparła się ciężko o krzesło. Co ona sobie wyobrażała? Jak ktokolwiek z nich mógłby się tu czuć bezpiecznie? Porywacze Evelyn znali rozkład domu. Niewątpliwie wzięli na cel Jeremy'ego. Nie wiadomo, kto siedział w tamtym samochodzie. Mogli opuścić szybę, przyłożyć jej synowi lufę do głowy i pociągnąć za spust. Wykrwawiłby się na środku ulicy, a ona dowiedziałaby się o tym dopiero wtedy, gdyby przeczytała na jego durnym profilu na Facebooku, że coś jest nie tak.
- Faith? – Na środku kuchni stał Zeke. Jego ton świadczył o tym, że zwraca się do niej nie po raz pierwszy. – Co się z tobą dzieje?
- Trzymała złączone dłonie na podbrzuszu.
- Gdzie się zatrzymałeś po przyjeździe? Nie spałeś u mamy. Nie widziałam u niej twoich rzeczy.
  - W Dobbins – odparł. Mogła się tego domyślić. Brat zawsze lubił

bezduszną anonimowość bazy wojskowej, nawet jeżeli Baza Rezerwy Sił Powietrznych Dobbins była oddalona o godzinę jazdy od szpitala dla kombatantów, gdzie teraz pracował.

– Musisz coś dla mnie zrobić – powiedziała.

Natychmiast stał się sceptyczny.

– Co?

– Zabierz Jeremy’ego i Emmę ze sobą do bazy. Dzisiaj. Od razu. – Tutejsza policja nie była w stanie zapewnić ochrony jej rodzinie, ale mogły to zrobić siły powietrzne. – Nie wiem, na jak długo. Ale musisz zatrzymać ich w bazie. Nie wypuszczaj ich, dopóki nie dam ci znać.

– Dlaczego?

– Bo muszę wiedzieć, że nic im nie grozi.

– A co miałyby im grozić? Co ty kombinujesz?

Faith spojrzała na podwórze za domem, upewniając się, że detektywi ich nie podsłuchują. Rudy patrzył na nią z zaciętą miną. Odwróciła się do brata.

– Musisz mi zaufać.

Parsknął śmiechem.

– Dlaczego nagle miałbym nabrać do ciebie zaufania?

– Dlatego, że wiem, co robię, Zeke. Jestem policjantką. Szkolono mnie do prowadzenia takich spraw.

– Jakich spraw? Nauczyli cię ganiać boso po ulicy, jakbyś związała z wariatkoma?

– Zamierzam odzyskać mamę, Zeke. Choćbym miała poświęcić życie. Sprowadzę ją do domu.

– Przy pomocy jakiej armii? – zadrwił. – Zadzwonisz po ciocię Mandy i wysmarujecie ich szminką?

Uderzyła go pięścią w twarz. Był bardziej zaszokowany niż urażony. Miała wrażenie, że złamała sobie kciuk. Ale widok strużki krwi, ściekającej mu na górną wargę, sprawił jej niemałą satysfakcję.

– Chryste – mruknął. – A to za co?

– Musisz wziąć mój samochód. W corvette nie zamontujesz fotelika dla niemowląt. Dam ci pieniądze na benzynę, jedzenie i...

– Zaczekaj – rzucił stłumionym głosem, bo zasłaniał dłonią usta, sprawdzając, czy nie złamała mu nosa. Spojrzał na nią, naprawdę na

nią spojrział... po raz pierwszy, odkąd przekroczył próg jej domu. Faith już nieraz go biła. Kiedyś przypaliła go zapałką. I sprząła wieszakiem. Ale o ile pamiętała, po raz pierwszy przemoc odniosła jakiś skutek. – No dobrze – zgodził się, przeglądając się w tosterze. Nie miał złamanego nosa, lecz pod okiem wyrastał mu wielki fioletowy siniak. – Tylko nie wezmę twojego mini. I bez tego wyjdę na przygłupa.

## Rozdział 13

Will niełatwo wpadał w gniew, ale jeśli już mu się to zdarzało, trwał w nim z uporem godnym lepszej sprawy. Nie ciskał wprawdzie przedmiotami ani nie używał pięści. Nie wściekał się, nie podnosił głosu. Wręcz przeciwnie – milkł, nie odzywał się słowem. Zupełnie jakby zerwał sobie struny głosowe. Wszystko dusił w sobie, ponieważ bogate doświadczenie z rozgniewanymi ludźmi nauczyło go, że jeśli się da upust wściekłości, ktoś na tym ucierpi.

Ten sposób radzenia sobie z gniewem miał jednak swoje wady. W szkole przez uparte milczenie wielokrotnie zawieszano go w prawach ucznia. Przed laty Amanda zesłała go do piekła gór w północnej części Georgii, bo odmówił odpowiedzi na jej pytania. Kiedyś nie odzywał się do Angie z obawy, że powie coś, z czego nie da się wycofać. Mieszkali ze sobą, sypiali i jadali, wszystko robili wspólnie, a on przez całe siedemdziesiąt dwie godziny nie powiedział do niej ani słowa. Gdyby na paraolimpiadzie funkcjonalni analfabeci i niemowcy w jednej osobie dostali własną dyscyplinę, miałby złoty medal w kieszeni.

To, że podczas pięciogodzinnej jazdy do więzienia stanowego Coastal nie odezwał się do Amandy, w porównaniu z tamtym trzydniowym milczeniem było zaiste niczym. Niepokoiło jedynie to, że jego gniew ani trochę nie słabł. Will nigdy nie czuł do nikogo takiej nienawiści jak wówczas, gdy Amanda mimochodem poinformowała go, że Sary omal nie zamordowano. I ta nienawiść nie przemijała. Czekał, aż sobie odpuści, aż bulgoczący w nim wrzątek zacznie stygnąć, ale ten moment nie nadchodził. Nawet teraz, kiedy Amanda krążyła przed nim od ściany do ściany pustej poczekalni, niczym kaczka na strzelnicy, czuł gorejącą furję.

Najgorsze, że miał ochotę gadać. Słowa same cisnęły mu się na usta. Chciał wyłożyć kawę na ławę, chciał patrzeć, jak mina szefowej rzędzie, gdy uświadomi sobie, że Will szczerze i nieodwołalnie gardzi nią za to, co mu zrobiła. Nigdy nie był małostkowy, teraz jednak naprawdę, z całego serca chciał jej dopiec.

Amanda przestała chodzić i wzięła się pod boki.

– Nie wiem, czego cię uczono, ale strzelanie fochów nie przydaje mężczyźnie uroku – odezwała się.

Siedział, patrząc tępo w podłogę. Linoleum było wyżłobione przez kobiety i dzieci, którzy zabijali tu czas w weekendy, czekając na możliwość odwiedzenia osadzonych.

– Z zasady tylko raz pozwałam, żeby ktoś mnie tak nazwał – ciągnęła. – Chyba wybrałeś sobie odpowiedni moment.

Więc jednak nie zaniemówił do końca. Gdy Amanda powiedziała mu o Sarze, określił ją słowem, które po hiszpańsku rymuje się z jej imieniem. Tylko że użył jego angielskiego odpowiednika.

– Czego ty ode mnie chcesz, Will? Żebym cię przeprosiła? – Roześmiała się ze złością. – W porządku, przepraszam. Przepraszam za to, że nie chciałam cię rozpraszać, żebyś mógł się skupić na zadaniu. Przepraszam, że nie dopuściłam, żeby ci całkiem odbiło. Przepraszam, że...

– Mogłabyś się zamknąć? – Słowa popłynęły, jakby jego usta kierowały się własną wolą.

– Że co, proszę?

Nie powtarzał się. Miał gdzieś, czy go słyszała, czy jego praca wisi na włosku i czy wymyśli dla niego jakieś nowe piekło, żeby się odegrać za to, że jej się przeciwstawił. Nie pamiętał, kiedy ostatnio cierpiał tak bardzo jak tego popołudnia. Zanim policja z Doraville ich puściła, przez bitą godzinę siedzieli przed tym cholernym magazynem. Rozumiał, dlaczego detektywi chcieli z nimi rozmawiać. Na miejscu znaleziono zwłoki dwóch osób, a wszystko było podziurawione kulami. Na stojakach z tyłu budynku leżała sterta pistoletów maszynowych, których posiadanie było nielegalne. W gabinecie Julii Ling stał sejf z otwartymi drzwiami, a na podłodze wałały się banknoty studolarowe. Po przyjeździe w takie miejsce nie wypuszczało się jedynych dwóch naocznych świadków. Należało wypełnić formularze, zadać określone pytania. Will musiał złożyć zeznanie. Potem czekał, aż skończy zeznawać Amanda. Wyraźnie się nie śpieszyła. Siedząc w samochodzie, patrzył, jak rozmawiała z detektywami, i czuł wzbierające w piersi trzęsienie ziemi.

Kilkanaście razy wyjmował i chował telefon komórkowy. Czy powinien zadzwonić do Sary? Czy lepiej zostawić ją w spokoju? Czy potrzebowała jego pomocy? A jeśli tak, to czy zadzwoniłaby do niego? Musiał się z nią zobaczyć. Widząc ją, wiedziałby, jak zareagować, by spełnić jej oczekiwania. Wzięłby ją w ramiona. Pocałowałby w policzek, w szyję, w usta. Tak, żeby poczuła się lepiej.

Albo stałby w korytarzu jak ostatni matoł, miętosząc jej rękę.

Amanda pstryknęła palcami, żeby zwrócić jego uwagę. Nie spojrzał na nią, lecz i tak powiedziała:

– Gdyby stało ci się coś złego, mamy zawiadomić Angełę Polaski. A raczej Angie Trent, skoro to twoja żona. – Teatralnie zawiesiła głos.  
– Bo wciąż jest twoją żoną, dobrze mówię?

Pokręcił głową. Jeszcze nigdy nie pragnął tak bardzo przylać kobiecie.

– Czego ode mnie oczekujesz, Will?

Wciąż kręcił głową.

– Zgoda, powiedziałam ci, że doktor Linton ma kłopoty... nie wiem, kim ona dla ciebie jest. Kochanką? Dziewczyną? Koleżanką? No i co z tego? Mamy rzucić wszystko, żebyś mógł się urwać i gapić na nią ciełym wzrokiem?

Wstał. Dosyć tego dobrego. Jeśli będzie trzeba, wróci do Atlanty autostopem.

Westchnęła, jakby cały świat sprzysiął się przeciwko niej.

– Lada chwila będzie tu naczelnik więzienia – oznajmiła. – Więc nie zachowuj się jak chłopczyk w krótkich spodenkach, bo muszę cię przygotować do rozmowy z Rogerem Lingiem.

Spojrzał na nią po raz pierwszy od wyjazdu ze szpitala.

– Mnie?

– Specjalnie prosił o ciebie.

Krył się w tym jakiś podstęp, lecz Will nie rozumiał, do czego to wszystko zmierza.

– Skąd on w ogóle wie o moim istnieniu? – zdziwił się.

– Wyobrażam sobie, że od siostry.

Z tego, co wiedział, Julia wciąż uciekała przed zabójcami.

– Zadzwoniła do niego do więzienia?

Założyła ramiona pod biustem.

– Roger Ling siedzi w izolatce, za ukrywanie ostrza brzytwy w odbycie. Z nikim go nie łączą. Nikt go nie odwiedza.

Odosobnienie nie utrudniało dostępu do krążących po więzieniu informacji. Mieli tam tyle nielegalnych aparatów komórkowych, że rok temu, podczas ogólnostanowego strajku więźniów, redakcję „New York Timesa” zalała fala telefonów od więźniów zgłaszających swoje żądania.

Mimo to Will upewnił się:

– Prosił specjalnie o mnie?

– Owszem. Prośbę przekazał jego prawnik. On chce rozmawiać tylko z tobą. Oczywiście, najpierw zadzwonili do mnie – przyznała. – Nikt nie wie, coś ty za jeden. Jak widać, z wyjątkiem Rogera.

Will usiadł na krześle. Czuł, jak zaciskają mu się szczęki. Znów miał ochotę pograć się w milczeniu. To pragnienie chodziło za nim jak cień.

– Jak sądzisz, kim był ten gliniarz, który wypytywał w szpitalu doktor Linton? – spytała Amanda.

Pokręcił głową. Nie chciał dłużej myśleć o Sarze. Na wspomnienie o tym, co dzisiaj przeszła, robiło mu się niedobrze. I była wtedy sama.

– Jak sądzisz, kim był ten gliniarz? – powtórzyła Amanda, znów pstrykając palcami, żeby przykuć jego uwagę.

Spojrzał na nią. Miał ochotę złamać jej rękę.

– Nie pytam z czystej ciekawości – ciągnęła. – Tu chodzi o Faith i odzyskanie jej matki. A więc kim był ten gliniarz, twoim zdaniem?

Odchrząknął.

– Skąd ty znasz takich ludzi? – zapytał.

– Jakich?

– Hectora Ortiza. Rogera Linga. Julię Ling. Perry’ego, tego goryla, który prowadzi mercedesa. Jakim cudem jesteś z nimi wszystkimi po imieniu?

Milczała. Najwyraźniej zastanawiała się, czy mu odpowiedzieć, czy nie. W końcu się poddała.

– Wiesz, że zaczęłam pracować w tym fachu z Evelyn. Razem wstąpiłyśmy do szkoły policyjnej. Byłyśmy partnerkami, aż wreszcie



mieli dość, że rozwalaliśmy ich wszystkie sprawy. – Pokręciła głową na to wspomnienie. – Tamci ludzie to złoczyńcy stojący po drugiej stronie. Narkotyki. Gwałty. Morderstwa. Napady z bronią w rękę. Negocjacje w sprawach uwolnienia zakładników. Przystępczość zorganizowana. Pranie pieniędzy. Siedzieli w tym równie długo jak my. Czyli od wielu, wielu lat – dodała ze smutkiem.

– Prowadziłaś śledztwa przeciwko nim?

W poczekalni stało pięćdziesiąt krzeseł, ale usiadła tuż obok niego.

– Ignatio Ortiz i Roger Ling nie wskoczyli na samą górę ot tak. Wdrapali się na szczyt po trupach. Po bardzo wielu trupach. Smutne w tym wszystkim jest to, że kiedyś zachowywali człowieczeństwo. Byli miłymi, normalnymi ludźmi, którzy co niedziela chodzili do kościoła, a w dni powszednie meldowali się w pracy. – Znów pokręciła głową.

Will widział, że te słowa przywołały wspomnienia, o których wolałaby zapomnieć. Mimo to mówiła dalej:

– Wiesz, że każde społeczeństwo ma swoją ciemną stronę, tę, której zwykle nie widać, a która zarazem jest najbardziej bezbronna. To ta druga, słaba strona medalu. Na takie osobniki polują drapieżcy pokroju Rogera Linga i Ignatia Ortiza. Uzależnienie. Chciwość. Bieda. Desperacja. Kiedy już tamci wpadli na pomysł, jak żerować na takich ludziach, nie zeszli z raz obranej drogi. Już mając dwanaście lat, zjedli zęby na kradzieżach samochodów dla handlarzy. Mordowali w wieku, kiedy nie mogli jeszcze legalnie zamówić w barze drinka. Podrzynali gardła, tłukli staruszki na śmierć i robili wszystko, byleby wdrapywać się coraz wyżej i nie stracić raz zdobytej władzy. Więc odpowiadam na twoje pytanie, dlaczego jestem z nimi po imieniu: dlatego, że ich znam. Wiem, kim są. Zaglądałam w mroczne zakamarki ich duszy. Ale masz moje słowo, że to nie działa w drugą stronę. Oni za cholere nie wiedzą, kim jestem, i przez całą karierę dbałam, żeby się nie dowiedzieli.

Will miał już dość uważania na każde słowo.

– Znali Evelyn – powiedział.

– Tak – przyznała Amanda. – Tak sadzę.

Oparł się na krzesło. Wyznanie szefowej było zaskakujące. Nie

wiedział, jak zareagować. Na szczęście – a może niestety – nie dała mu okazji.

Założyła ręce na piersi na znak, że czas szczerości minął.

– Pogadajmy o tym gliniarzu, który zaczepił Sarę w szpitalu.

Wciąż próbował ogarnąć rozumem to, co się właśnie stało. Na chwilę zapomniał o Sarze.

– Chuck Finn – ponagliła go Amanda.

Oparł głowę o zimną betonową ścianę.

– Kiedyś był gliniarzem. Nie traci się tego instynktu, nawet jeśli się wali herę w kanał. Jest wysoki. Przez nałóg prawdopodobnie bardzo stracił na wadze. Sara nie poznałaby w nim człowieka, którego znała ze zdjęcia policyjnego. Zakładam, że teraz pali. Jak większość ćpunów.

– Wracając do szpitala: uważasz, że Chuck Finn wywnioskował ze słów Sary, że Marcellus Estevez może się wykaraskać, więc wysłał Franklina Heeneya, żeby go zabił?

– A ty nie?

Nie kwapiła się z odpowiedzią. Widział, że szefowa wciąż bardzo przeżywa to, co mu powiedziała o Evelyn Mitchell.

– Sama już nie wiem, co o tym sądzić, Will. Klnę się na Boga, że to szczerą prawdą.

Jej głos zdradzał zmęczenie. Siedziała zgarbiona. Sprawiała wrażenie, jakby błądziła myślami gdzie indziej. Wrócił do ich rozmowy, zastanawiając się, co w końcu skłoniło ją do przyznania, że Evelyn Mitchell nie była kryształowo czysta. Nigdy nie widział, żeby Amanda się poddała, bez względu na okoliczności. Z jednej strony było mu żal szefowej, a z drugiej zdawał sobie sprawę, że taka okazja może się nie powtórzyć.

Uderzył, kiedy opuściła gardę.

– Dlaczego cię nie zastrzelili, tam przed szpitalem? – zapytał.

– Bo jestem zastępcą dyrektora GBI. Tylko by sobie nagrabili.

– Porwali wielokrotnie odznaczaną policjantkę. Strzelali do ciebie w magazynie. Zabili Castilla. Dlaczego więc cię nie zabili?

– Nie wiem, Will. – Pomasowała palcami oczy. – Zdaje się, że wdepnęliśmy w sam środek jakiejś wojny.

Wbił wzrok w wiszący na ścianie plakat, ostrzegający przed skutkami zażywania metamfetaminy. Spoglądała na niego bezzębna kobieta o pokrytej strupami skórze. Zastanawiał się, czy tak wyglądała narkomanka, która poinformowała Sarę, że przy śmietniku leży jakiś człowiek. Ile czasu minęło od śmierci Marcellusa Esteveza do chwili, gdy Franklin Heeney walczył z Sarą na podłodze, grożąc, że potnie jej twarz skalpelem?

Kilka minut. Nie więcej niż dziesięć.

Nic nie mógł na to poradzić. Oparł łokcie na kolanach i ukrył twarz w dłoniach.

– Powinnaś mi powiedzieć. – Daleki głos podpowiadał mu, żeby się zamknął, ale nie potrafił. – Nie miałaś prawa tego przede mną ukrywać.

Westchnęła ciężko.

– Może i masz rację. A może dobrze zrobiłam, zatrzymując to dla siebie. Jeśli prawdziwa jest pierwsza wersja, przepraszam. A jeśli druga, zdążysz powyżywać się na mnie później. Chcę, żebyś obgadał ze mną dokładnie całą sprawę. Muszę się zorientować, o co w tym chodzi. Więc mów, jeśli nie ze względu na mnie, to dla dobra Faith.

Sądząc z głosu, była równie zdesperowana jak on. Ten dzień całkiem ją wykończył. Will nic na to nie mógł poradzić. Wprawdzie w tej chwili nienawidził jej z całej duszy, ale nie potrafił być okrutny.

I nagle w tym zamieszaniu zeszła z niego para. Nie zwrócił na to uwagi, lecz w ciągu ostatnich dziesięciu minut gniew zaczął go opuszczać, więc teraz, kiedy pomyślał o tym, co Amanda zrobiła Sarze, był wprawdzie zły, ale już nie kipiał z wściekłości.

Odetchnął głęboko, powoli wypuścił powietrze i usiadł prosto.

– Zgoda – powiedział. – Musimy założyć, że wszyscy zabici pracowali w warsztacie Julii Ling... jedni legalnie, inni na czarno, ale wszyscy zajmowali się jej interesami.

– Sądzisz, że Ling-Ling wysłała Ricarda Ortiza do Szwecji po heroinę?

– Nie, moim zdaniem Ricardo się usamodzielił. Według mnie zebrał wszystkich tych napalonych szczeniaków, którym zdawało się, że mogą przejąć interesy Ling-Ling. Wypuścił się do Szwecji na

własną rękę. – Spojrzał na zegarek. Dochodziła siódma. – Ktoś go torturował, prawdopodobnie Benny Choo.

– Wobec tego dlaczego po prostu nie wykroili z niego narkotyków i go nie załatwili?

– Dlatego, że powiedział im, gdzie mogą skrócić więcej forsy.

– U Evelyn.

– Już dawno tak twierdziłem. – Odwrócił się do niej. – Podczas jednej z sesji grupowych w Healing Winds Chuck Finn wspomniał Hironobu Kwonowi, że jego była szefowa siedzi na kupie szmalu. Teraz przejdźmy do wczorajszego ranka. Ricardo ma brzuch pełen heroiny, a Benny Choo spuszcza mu łomot. Jego kumpel Hironobu Kwon mówi, że wie, skąd mogą zdobyć gotówkę, żeby się wykupić i uratować życie. – Wzruszył ramionami. – Jadą do Evelyn. Benny Choo zabiera się z nimi, żeby nie próbowali dać w długą. Tyle że nie udaje im się znaleźć pieniędzy, a Evelyn nie chce zdradzić, gdzie je trzyma.

– Pewnie nie spodziewali się tam zastać Hectora Ortiza. Ricardo poznałby kuzyna swojego ojca.

Willa korciło, żeby przede wszystkim zapytać o to, co właściwie Hector Ortiz robił u Evelyn, ale nie chciał zmuszać teraz szefowej do kłamstwa.

– Ricardo Ortiz musiał zdawać sobie sprawę, że zabójstwo Hectora wywoła zadymę – rzekł. – I tak już wykołował ojca, szmuglując heroinę. Ling-Ling zażądała krwi, bo dowiedziała się, że ją również wystawił do wiatru. Banda Ricarda nie znajduje pieniędzy w domu Evelyn. A ona nie chce gadać. W tym momencie Ricardo uświadamia sobie, że jego życie nie jest warte funta kłaków. Ma w sobie pełno balonów z herą, której nie może opchnąć. Omal nie zatłukli go na śmierć. A Benny Choo przystawia mu gnata do skroni. – Will odtworzył w pamięci zeznanie Faith na temat jej konfrontacji z Choo i Ortizem. – Ostatnie słowo Ricarda brzmiało „Almeja”. Tak Julia Ling nazywała Evelyn, zgadza się? Skąd Ricardo o tym wiedział?

– Jeżeli twoja teoria, że wszystko zaczęło się od Chucka Finna, trzyma się kupy, to pewnie on mu o tym powiedział.

– Ale dlaczego, wydając ostatnie tchnienie, Ricardo wspomniał

o Evelyn?

– Pod taką ksywką znano ją na mieście. Wątpię, żeby Ricardo znał jej prawdziwe imię – odparła Amanda i wyjaśniła: – Menele nie tylko sobie nadają ksywki. Jeśli pracujesz w narkotykach dostatecznie długo, na ulicy też prędzej czy później ci ją nadadzą. Czasami to się przyjmuje w wydziale. „Hip” i „Hop” to oczywiście skróty od nazwisk. Boyd Spivey miał ksywę Młot. Chuck Finn został Rybą, pewnie dlatego, że nie spamiętaliby czegoś takiego jak Huckleberry. – Uśmiechnęła się z tego żarciku. – Podobno to Roger Ling wymyślił Almeję, co wtedy wszystkim nam wydawało się dziwne, aż się dowiedzieliśmy, że nie zna ani słowa w języku swoich rodziców. Czyli w dialekcie mandaryńskim, jakbyś się pytał.

– A ciebie jak nazywają?

– Ja nie pracuję w narkotykach.

– Ale cię znają.

– Wag – powiedziała. – Skrót od Wagner.

Nie uwierzył jej.

– Dlaczego Roger Ling chce rozmawiać akurat ze mną? – spytał.

Roześmiała się, zaskoczona.

– Chyba nie sądzisz, że jesteś teraz jedynym facetem w tym więzieniu, który mną gardzi.

Rozległ się głośny brzęczyk oraz szcęk otwieranej i zamykanej kraty. Do poczekalni weszło dwóch mężczyzn, a za nimi młodszy, z fryzurą i w okularach à la Harry Potter. Zdecydowanie nie należał do grona starych kumpeli Amandy. Miał na sobie sztruksową marynarkę z zamszowymi łatami na łokciach oraz krawat z bawełnianej dzianiny. Nad górną kieszenią widniała plama. Pachniał naleśnikami.

– Jimmy Kagan – przedstawił się, podając im rękę. – Nie wiem, za jakie sznurki pani pociągnęła, pani wicedyrektor, ale jestem tu naczelnikiem od sześciu lat i po raz pierwszy ściągnięto mnie do pracy w środku nocy.

Amanda z łatwością wróciła do swojej starej skóry, niczym aktor wcielający się w rolę.

– Jestem wdzięczna za współpracę, naczelniku. Każdy z nas musi

robić, co do niego należy.

– Nie dano mi wyboru – odparł Kagan, dając znak strażnikom, żeby otworzyli bramę do głównego kompleksu więzienia, po czym dziarskim krokiem poprowadził ich długim korytarzem. – Ale bez względu na to, komu każe pani do mnie dzwonić, nie zamierzam zakłócać pracy mojego systemu. Agencie Trent, będzie pan musiał się pofatygować do cel. Ling od tygodnia przebywa w karczerze. Może pan z nim porozmawiać przez okienko w drzwiach. Jestem pewien, że zdaje pan sobie sprawę, z kim macie do czynienia, ale przyznam się bez bicia, że nie ma takiej siły, która zmusiłaby mnie do przebywania w jednym pomieszczeniu z Rogerem Lingiem. Prawdę mówiąc, przeraża mnie już sama myśl, że kiedyś mogłoby mi się to przytrafić.

Amanda spojrzała na Willa i uniosła brew.

– W pańskich ustach brzmi to tak, jakby tym zoo rządziły małpy – rzuciła.

Kagan obrzucił ją spojrzeniem niepozostawiającym wątpliwości, że jego zdaniem albo urwała się z choinki, albo sama jest stuknięta.

– Przynajmniej u połowy więźniów, którzy w dowolnym czasie trafiali do amerykańskiego systemu karnego, stwierdzano taką czy inną chorobę psychiczną – zwrócił się do Willa.

Ten skinął głową. Znał te statystyki. W skali kraju więzienia kupowały więcej prozacu niż jakakolwiek inna instytucja.

– Trafiają się lepsi i gorsi – ciągnął Kagan. – Ling jest najgorszy z najgorszych. Powinni go umieścić na oddziale zamkniętym. Takim bez klamek. I wyrzucić klucz.

Kolejne wrota otworzyły się i zamknęły.

Kagan zaczął wyliczać obowiązujące tu zasady:

– Niech pan się nie zbliża do drzwi. Nie wolno panu sądzić, że na odległość wyciągniętej ręki nic panu nie grozi. To niezwykle pomysłowy gość i ma aż nadto czasu. Ostrze brzytwy, które znaleźliśmy w jego tyłku, było owinięte w ręcznej roboty woreczek, który Ling wykonał ze sznurków splecionych z nitek wyciągniętych z pościeli. Zajęło mu to dwa miesiące. W ramach dowcipu wyhaftował na nim gwiazdę Żółtych Buntowników. Pewnie zabarwił nitki moczem.

Naczelnik zatrzymał się przed następnymi drzwiami, czekając, aż się otworzą.

– Nie mam pojęcia, skąd zdobył to ostrze. Przebywa w celi przez dwadzieścia trzy godziny dziennie. Podczas wyjść też z nikim nie ma kontaktu, na spacerunku chodzi sam. Nie ma prawa do odwiedzin, a wszyscy strażnicy śmiertelnie się go boją. – Drzwi się otworzyły, Kagan ruszył dalej. – Gdyby to zależało ode mnie, zgniłby w karcerze. Ale nie ja o tym decyduję. Przesiedzi w odosobnieniu jeszcze tydzień, no chyba że wywinie jakiś paskudny numer. A niech mi pan wierzy, jest zdolny do najgorszej podłości.

Naczelnik zatrzymał się przed podwójną barykadą z metalowych drzwi. Gdy pierwsze z nich otworzyły się ze szczękiem, przeszli dalej.

– Kiedy ostatnio wsadziliśmy go do karceru, następnego dnia napadnięto strażnika, który go tam odstawił. Nie ustaliliśmy winnych, a strażnik stracił oko. Wydłubali mu je palcami.

Drzwi za nimi się zamknęły, a wtedy z trzaskiem otworzyły się te z przodu.

– Będziemy pana obserwowali przez kamery, panie Trent, muszę pana jednak ostrzec, że nasz czas reakcji wynosi sześćdziesiąt jeden sekund, nieco ponad minutę – mówił dalej Kagan. – Szybciej nie damy rady. Gdyby do czegoś doszło, mam w pogotowiu w pełni uzbrojoną ekipę szturmową. – Poklepał Willa po ramieniu. – Powodzenia.

Na twarzy strażnika, który miał zaprowadzić Willa do karceru, widniał ten sam przestach, jaki widuje się u więźniów oczekujących na egzekucję w celach śmierci. Will odniósł wrażenie, że patrzy w lustro.

Odwrócił się do Amandy. W poczekalni przerwał milczenie, żeby mogła go poinstruować, co ma powiedzieć Rogerowi Lingowi, lecz teraz uświadomił sobie, że w sumie niczego mu nie doradziła.

– Masz dla mnie jakąś radę? – zapytał.

– Quid pro quo, Clarice – zacytowała Hannibala Lectera z filmu Milczenie owiec. – Nie wracaj bez przydatnych informacji.

Znów przypomniał sobie, że jej nienawidzi.

Strażnik ruchem reki zaprosił go dalej. Kiedy drzwi się za nimi

zamknęły, powiedział:

– Niech pan idzie pod ścianami. Gdyby zobaczył pan, że coś na pana leci, proszę zakryć oczy i zamknąć usta. To pewnie będzie gówno.

Po drodze Will starał się nie pokazywać, że jądra wnicowały mu się w głąb ciała. W celach było ciemno, tylko korytarz był oświetlony. Strażnik trzymał się ściany, Will poszedł w jego ślady. Byle dalej od więźniów naprzeciwko. Mijając kolejne cele, czuł na sobie ich wpatrujące się w niego oczy. Za plecami słyszał smyrganie latawców – maleńkich skrawków papieru uwiązanych na sznurkach – ciągniętych za nim po betonowej podłodze. W myślach sporządzał spis wszelkiej możliwej kontrabandy znajdującej się w tych celach. Majchry wystrugane ze szczoteczek do zębów albo grzebieni. Ostrza wykonane z kradzionych w kuchni kawałków metalu. Bomby gazowe sporządzone ze zmieszanych w kubkach odchodów i moczu. Sznury splecione z wyrwanych z pościeli nitek, z żyłkami na obu końcach.

Kolejna barykada z podwójnych drzwi. Otworzyły się pierwsze. Przeszli dalej. Pierwsze się zamknęły. Mijały sekundy. Druga metalowa bramka otworzyła się z jękiem.

Doszli do masywnych drzwi ze szklanym wizjerem na wysokości oczu. Strażnik wyciągnął ciężki pęk kluczy i wybrał właściwy. Wetknął go do zamka w ścianie. Rygiel odskoczył z głośnym szczękiem. Klawisz odwrócił się i spojrział w obiektyw kamery na suficie. Obaj czekali na trzask, świadczący, że strażnik w położonym gdzieś daleko pokoju obserwacyjnym zwolnił blokadę. Drzwi się rozsunęły.

Więzienna izolatka. Karcer.

Korytarz, długi na jakieś dziesięć metrów i szeroki na trzy, miał z jednej strony osiem par metalowych drzwi. Z drugiej była tylko lita betonowa ściana. Cele nie wychodziły na zewnątrz więzienia, nie było w nich okien. Ani świeżego powietrza. Światła dziennego. Czy nadziei.

Jak mówił Kagan, tutaj skazańcy mieli wyłącznie czas.

W przeciwieństwie do reszty więzienia, w izolatkach paliły się wszystkie górne światła. Od blasku jarzeniówek Willa natychmiast



rozbolała głowa. W korytarzu było ciepło i parno. Wszędzie wyczuwało się napięcie, atmosfera wręcz przygniatała. Will miał wrażenie, że stoi na środku pola w oczekiwaniu na trąbę powietrzną.

– Siedzi w ostatniej celi – poinformował go klawisz. Znowś szedł przy samej ścianie, ocierając się o nią barkiem.

Will zobaczył wytartą farbę – ślad pozostawiony przez strażników, którzy latami szorowali tu ramionami o beton. Drzwi po drugiej stronie były zaryglowane na cztery spusty, zaopatrzone u góry, na wysokości oczu, w wąskie okienka, takie jak w spelunkach, które w czasach prohibicji serwowały nielegalną gorzałkę. Wąska szczelina u dołu służyła do podawania posiłków i zakuwania rąk w kajdanki. Wszystkie drzwi zabezpieczały masywne rygle i nity.

Strażnik zatrzymał się przed ostatnią celą. Oparł dłoń na piersi Willa, przyciskając go plecami do ściany.

– Będiesz pamiętał, wielkoludzie, że masz stać tutaj? – zapytał.

Will skinął głową.

Wyglądało na to, że facet zbiera się na odwagę, zanim podszedł do drzwi celi. Zacisnął dłoń na zasuwie pozwalającej odsłonić okienko.

– Panie Ling, jeśli otworzę okienko, obiecuje pan być grzeczny?

Zza drzwi dobiegł stłumiony śmiech. Roger Ling mówił z równie silnym południowym akcentem jak jego siostra.

– Chwilowo nic ci nie grozi, Enrique.

Strażnik się pocił. Odsunął zasuwkę i cofnął się tak szybko, że jego buty zaskrzypiały na podłodze.

Will czuł spływające po karku krople potu. Roger Ling musiał stać oparty plecami o drzwi, bo gość widział profil jego szyi, płatek ucha, fragment więziennych dziargów pokrywających jego ramię. Światło w celi było jeszcze ostrzejsze niż w korytarzu. Will widział przeciwległą ścianę celi, skraj materaca na podłodze. Pomieszczenie, mniejsze od zwykłej celi, miało wymiary dwa i pół metra na nieco ponad metr. Musiał tam stać sedes, ale nic więcej. Ani krzesła, ani stołu. Nic, co pozwalałoby się czuć człowiekiem. Tutaj typowy dla więzienia odór – potu, moczu i odchodów – był jeszcze silniejszy. Will uświadomił sobie, że nikt nie krzyczy. Zwykle w więzieniach panował harmider jak w podstawówce, zwłaszcza nocą. Latawce spełniły swoją

rolę. Cały oddział zamarł, bo Roger Ling miał gościa.

Will czekał. Słyszał łomotanie swojego serca i świst wciąganego i wydychanego powietrza.

– Jak się ma Arnoldo? – zapytał Ling.

Tak wabił się chihuahua Julii.

Will odchrząknął.

– Świetnie – odparł.

– Nie przekarmia go? Mówiłem jej, żeby go nie utuczyła.

– Bo ja wiem? – Will gorączkowo szukał właściwej odpowiedzi. – Na pewno nie umrze przy niej z głodu.

– Ta bestia potrafi zachować zimną krew – rzekł Ling. – Zawsze mówiłem, że chihuahua ma takie nerwy jak jego właściciel. Zgodzisz się ze mną?

Will nigdy się nad tym nie zastanawiał.

– Pewnie coś w tym jest. Moja jest raczej wyluzowana.

– Mówiłeś, że jak się wabi?

A jednak ta paplanina miała sens. Ling sprawdzał, czy rozmawia z właściwym człowiekiem.

– Betty – odparł Will.

Zdał egzamin.

– Miło mi poznać pana osobiście, panie Trent.

Ling przesunął się i Will zobaczył większą część jego szyi. Po kręgosłupie biegł tatuaż z wizerunkiem smoka. Rozłożone skrzydła pokrywały łusą czaszkę Chińczyka. Smok miał jaskrawożółte oczy.

– Moja siostra nieźle się wkurzyła – oświadczył Ling.

– Wyobrażam sobie.

– Te nędzne gnojki próbowały ją zabić. – Ling mówił twardym głosem, dokładnie tak, jak można się było tego spodziewać po kimś, kto okaleczył i zabił dwie kobiety. – Gdyby nie to, że tu siedzę, nie porwaliby się na taki numer. Już ja bym im dał nauczkę, bolesną nauczkę. Kumasze?

Will spojrzał na strażnika, spiętego jak buldog szykujący się do walki. Albo do ucieczki, co wydawało się rozsądniejszym wyjściem. Pomyślał o czekającej w pogotowiu grupie szturmowej, zastanawiając się, co Roger Ling potrafi zmalować w ciągu sześćdziesięciu jeden

sekund. Pewnie niemało.

– Wiesz, dlaczego chciałem rozmawiać akurat z tobą? – zapytał Ling.

– Nie mam pojęcia – odparł szczerze Will.

– Bo nie wierzę w ani jedno słowo tej suki.

Bez dwóch zdań miał na myśli Amandę.

– I słusznie – przyznał Will.

Chińczyk wybuchnął śmiechem. Will słuchał, jak dźwięk odbija się echem w celi. Nie był to wesoły śmiech, mroził krew w żyłach, był niemal obłąkańczy. Will zastanawiał się, czy ofiary Linga, duszone smyczą Arnolda, umierały z tym odgłosem w uszach.

– Trzeba z tym skończyć – oświadczył Chińczyk. – Zbyt wiele krwi na ulicach szkodzi interesom.

– Powiedz, jak to osiągnąć.

– Ignatio przysłał mi wiadomość. Jego zdaniem to nie jest sprawa żółtków. Chce zaprowadzić pokój.

Will nie był wprawdzie ekspertem od gangów, wątpił jednak, by przywódca Los Texicanos nadstawił drugi policzek, skoro konkurencja pobiła i zamordowała mu syna. Podzielił się z Lingiem swoimi obawami.

– Podejrzewam, że Ortiz będzie dążył do zemsty.

– E tam, bracie. Nie będzie żadnej zemsty. Ricardo sam sobie wykopał grób. Ignatio zdaje sobie z tego sprawę. Dopilnuj, żeby Faith też miała tego świadomość. Zrobiła to, co musiała. Rodzina przede wszystkim, no nie?

Willowi nie podobało się, że ten człowiek zna imię Faith, i nie wierzył w jego zapewnienia. Mimo to obiecał:

– Przekażę jej.

– Ci młodzi są stuknięci, bracie – rzucił Ling, nawiązując do opinii siostry. – Dla nich życie znaczy tyle co nic. Wypruwamy sobie flaki, żeby żyło im się jak najlepiej. Kupujemy im nowiutkie bryczki, posyłamy do prywatnych szkół, a ci, ledwo staną na własnych nogach, pakują ci kulkę, pif-paf.

Will pomyślał, że „pif-paf” to nader oględne określenie, ale zachował to dla siebie.

– Ricardo chodził do Westminster – rzekł Ling. – Wiedziałeś o tym? Will znał tę prywatną szkołę, w której roczne chesne wynosiło grubo ponad dwadzieścia pięć tysięcy dolarów. Poza tym wiedział z akt Hironobu Kwona, że ten również dostał stypendium matematyczne w Westminster. No proszę, kolejny związek między ofiarami.

– Ignatio uważał, że za pieniądze załatwi synowi inne życie, ale to rozpuszczone gówniarstwo wciągnęło chłopaka w oxy.

– Czy Ricardo był na odwyku?

– Kurde, on prawie z niego nie wychodził. – Chińczyk znów zmienił pozycję. Will słyszał, jak sztywna pomarańczowa koszula ociera się o metalowe drzwi. – Masz dzieci?

– Nie.

– A przynajmniej nic ci o tym nie wiadomo, co? – Ling roześmiał się, jakby powiedział coś zabawnego. – Ja mam troje. Dwie były żony nic, tylko próbują wysepić ode mnie szmal. Płacę im, a co mi tam. W końcu trzymają moich chłopaków w ryzach, pilnują, żeby córka nie nosiła się jak byle kurwizson. Uważają, żeby dzieciaki nie wkładały palca między drzwi. – Wzruszył ramionami w geście zwątpienia. – Chociaż czy można je przed tym chronić? Czasami mają to we krwi. Żeby nie wiem ile razy kierować je na właściwą drogę, w pewnym wieku zaczynają kombinować po swojemu. Uważają, że może nie trzeba się wszystkiego dochrapywać od początku. Patrzą, że inni się dorobili, i sądzą, że mogą im to odebrać, jakby nigdy nic.

Wyglądało na to, że Ling jest dobrze zorientowany w rodzinnych kłopotach Ignatia Ortiza. Dziwne, zwłaszcza że ci dwaj siedzieli pod kluczem w dwóch różnych więzieniach, na dwóch krańcach stanu. Boyd Spivey się mylił. Żółtki nie chciały wysadzić brązowych z siodła. Oni dla nich pracowali.

– Pan i Ortiz macie wspólne interesy – rzekł Will.

– Można tak powiedzieć.

– Ignatio prosił Julię, żeby dała jego synowi pracę w jakimś legalnym przedsięwzięciu.

– Dobrze jest mieć fach w ręku. Ricardo wziął to sobie do serca. Miał smykałkę do pracy. Większość z nich zbija tylko skrzynie albo

dokręca drzwiczki. Ricky był inny. Mądry. Potrafił dobrać sobie do roboty właściwych ludzi. Kiedyś mógłby poprowadzić własny warsztat.

Will zaczynał rozumieć.

– Ricardo dobrał sobie ekipę... Hironobu Kwon i reszta pracowali w warsztacie twojej siostry – powiedział. – Może zobaczyli, ile forsy płynie z nielegalnych interesów, i uznali, że im też należy się działka. Ortiz za nic nie podzieliłby się kawałkiem tortu Los Texicanos z jakimś gangiem nowicjuszy, nawet gdyby chodziło o jego syna.

– Rozkręcenie własnego interesu jest trudniejsze, niż się wydaje, zwłaszcza na franszyzie. Trzeba odpalać działkę.

– Słyszałeś o wyprawie Ricarda do Szwecji.

– Też coś, wszyscy o tym słyszeli. – Ling zachichotał, jakby to było zabawne. – Kłopot w tym, że szczeniaki w tym wieku nie potrafią trzymać języka za zębami. Młode to, durne, sperma im tryska uszami.

– Twoi ludzie rozmawiali z Ricardem o tym jego wyjeździe. – Will nie dodał, że w trakcie tej dyskusji zapewne torturowali chłopaka. – Ricardo wspomniał im, że może uda mu się wykupić. – Wyobrażał sobie, że zanim skończyli torturować młodego człowieka, gotów był im sprzedać własną matkę. – Powiedział, że wie, skąd zdobyć pieniądze. Dużo pieniędzy. Prawie milion dolarów. W gotówce.

– Żaden biznesmen nie odrzuci takiej propozycji.

Wszystko składało się do kupy. Ricardo zajechał ze swoją ekipą do Evelyn, gdzie napotkali opór o niebo większy, niż się spodziewali. Zabili Hectora. Nawet jeżeli Amanda miała rację i Hector Ortiz był zwyczajnym sprzedawcą samochodów, nie zmieniało to faktu, że był również kuzynem Ignatia Ortiza.

– Ricardo zawiózł ich do domu Evelyn po pieniądze – powiedział Will. – Nie przewidzieli jednak, że ona stawi opór. Stracili zbyt wielu ludzi. Musieli się przegrupować. I wtedy napatoczyła się Faith.

– Słyszałeś już tę historię? – spytał Ling.

Will nie przerywał opowieści.

– Wywieźli gdzieś Evelyn, żeby wyciągnąć z niej informacje.

– Znaczą się, mieli plan.

– Tyle że ona nie zdradziła miejsca ukrycia pieniędzy. Inaczej by

mnie tu nie było.

Chińczyk parsknął śmiechem.

– A tego to ja już nie wiem, bracie. Ale w tej twojej historii czegoś brakuje.

– To znaczy?

– Zastanów się.

Willowi nic nie przychodziło do głowy.

– Żeby zabić węża, trzeba odrąbać mu łeb – powiedział Ling.

– No i? – Will wciąż za nim nie nadążał.

– O ile wiem, stary wąż wciąż gdzieś tam pełza.

– Mówisz o Evelyn?

– Kurde, uważasz, że ta stara kurwa mogłaby stanąć na czele grupy chłopaków? Babsko nie potrafiło nawet utrzymać porządku na własnych śmieciach. – Zaczekał, tak samo jak jego siostra. – Nie, bracie, to męska rzecz. Jak myślisz, dlaczego udało im się wykołować moją siostrę? Suki nie mają dość jaj do tej roboty.

Will nie mógł odmówić mu racji. Gangi stanowiły najwyższą formę klubu dla mężczyzn – były patriarchalne, nawet bardziej niż Kościół katolicki. Brat uczynił z Julii Ling szefową wyłącznie dla własnej wygody. Generałowie nie biorą udziału w walce. Na linię frontu wysyłają pionki. Hironobu Kwon zginął w ciągu kilku minut od włamania do domu. Ricarda Ortiza zostawili na pastwę losu. Benny Choo skończył z lufą przystawioną do głowy. Został pobity. Porzucony. Spisany na straty.

Ktoś nadał im skok na Evelyn. Ktoś inny szefował gangowi.

– Chuck Finn – powiedział Will.

Ling roześmiał się, jakby zaskoczyło go to imię i nazwisko.

– Chuckleberry Finn. Myślałem, że ziomal nie żyje. Że już śpi z rybkami.

– Czy to on za tym stoi?

Chińczyk nie odpowiedział.

– Starego Młota też załatwili. Słyszałem, że wyświadczyli mu przysługę. Zginął jak mężczyzna, a nie odstrzelony jak pies. Zawsze to jakaś korzyść z tego wszystkiego.

– Kto stoi za...

– Starczy tego. – Roger Ling załomotał w drzwi celi. – Enrique, zamykaj.

Strażnik chciał zasłonić okienko, lecz Will go powstrzymał. Z otworu, niczym atakujący wąż, wystrzeliła ręka Linga i zacisnęła się na nadgarstku Willa. Chińczyk szarpnął tak silnie, że Will wyrzwał barkiem w drzwi. Z policzkiem przyciśniętym do zimnego metalu, poczuł na uchu gorący oddech.

– Wiesz, bracie, po co tu jesteś?

Will szarpnął się do tyłu. Próbował się odepchnąć, zapierając się stopą o drzwi.

Mimo że Ling ścisnął go z całej siły, mówił tak, jakby wcale nie wkładał w to wysiłku.

– Przekaż Mandy, że już po Evelyn. – Zniżył głos. – Pif-paf. Dwie kulki w głowę. Brzdęk, brzdęk i Almeja nie żyje.

Ling zwolnił uchwyt. Will poleciał do tyłu i grzmotnął ramieniem w betonową ścianę. Serce stukało mu jak metronom. Obejrzał się na drzwi celi. Rozległ się zgrzyt metalu o metal. Zanim okienko się zamknęło, zobaczył oczy Rogera Linga – czarne, pozbawione wyrazu. A jednak coś w nich mignęło – mieszanina triumfu i żądzę krwi.

– Kiedy? – krzyknął Will. – Kiedy to się stało?

Zza drzwi dobiegł stłumiony głos Linga:

– Powiedz Mandy, żeby włożyła na pogrzeb coś ładnego. Zawsze mi się podobała w czerni.

Will odepchnął się od ściany. Wracając korytarzem, zastanawiał się, co gorsze: gorący oddech Rogera Linga omiatający jego szyję czy perspektywa poinformowania Amandy i Faith, że Evelyn Mitchell nie żyje.

## Rozdział 14

Faith odczepiła jeden z wózków stojących w rzędzie przed sklepem. Wyjęła z torebki starą listę zakupów i trzymając ją na widoku, weszła do środka – ot, zwyczajna wyprawa do supermarketu. Policja skonfiskowała jej glocka w celu przeprowadzenia badań balistycznych, nikt jednak nie wiedział, że w skrytce w samochodzie ma nabitego walthera P99 swojego brata. Czuła jego ciężar, zarzucając pasek torebki na ramię. Ten niemiecki pistolet był w sam raz dla Zeke'a, który nigdy nie brał udziału w walce: wielki, drogi – coś, co się nosi na pokaz. Można nim było jednak kropnąć człowieka z odległości stu metrów, a w końcu po to przecież go potrzebowała.

Zaczęła od działu z owocami, gdzie dłużej niż zwykle sprawdzała świeżość wyeksponowanych pomarańczy. Wrzuciła kilka sztuk do foliówki, po czym przeszła do pieczywa.

Powinna wyjść z domu kilka godzin wcześniej, wołała jednak zaczekać na telefon od Zeke'a z wiadomością, że Jeremy i Emma są bezpiecznie ulokowani w oficerskich kwaterach gościnnych w Bazie Rezerwy Sił Powietrznych Dobbins. Upakowanie ich do impali brata trwało całą wieczność. Zeke wydzierał się na siedzenia w samochodzie. Jeremy wciąż się dąsał z powodu konfiskaty iPhone'a. W towarzystwie starszego brata, który ją uspokajał, Emma nie płakała, za to Faith, gdy tylko auto zniknęło za rogiem ulicy, rozbeczała się jak dziecko.

Zakładała, że porywacze jej matki są nie tylko bezczelni, ale i fachowi. Podczas uprowadzenia Evelyn i włamania do domu Faith mieli przewagę taktyczną. Ale na pewno nie spróbują się włamać po raz drugi, skoro w kuchni siedziało dwóch gliniarzy, a jej blisko dwumetrowy brat miotał się po całym domu niczym byk przed corridą.

Uderzyli w Jeremy'ego – najśłabsze ogniwo, nie licząc Emmy. Na myśl o dzieciach Faith poczuła, że się dusi. Zamartwiając się o matkę, zapomniała o reszcie rodziny. To już się więcej nie powtórzy. Zapewni im bezpieczeństwo, choćby miała przypłacić to życiem.



Poczuła na sobie czyjś wzrok. Wrażenie, że ktoś ją obserwował, nie odstępowało jej od wyjścia z domu. Odwróciła się niby przypadkowo. Zobaczyła chłopaka w kombinezonie sieci Frito-Lay, który układał na półkach jakieś torby. Uśmiechnął się do niej. Zrewanżowała mu się tym samym i popchała wózek dalej.

Kiedy była małą dziewczynką, w poniedziałki przychodził ktoś z firmy Charles Chip i napełniał ich brązowe metalowe puszki chipsami ziemniaczanymi. We wtorki i czwartki pod dom zajeżdżała ciężarówka Mathis Dairy i Petro, kierowca, zostawiał świeże mleko na metalowym stojaku pod wiatą obok drzwi. Pół galonu kosztowało pięćdziesiąt dwa centy. Sok pomarańczowy – pięćdziesiąt dwa centy. Maślanka, ulubiony napój jej ojca, była po czterdzieści siedem centów. Jeśli Faith była grzeczna, matka pozwalała jej odliczać drobne dla Petra. Czasami, na specjalne okazje, Evelyn brała mleko czekoladowe, po pięćdziesiąt sześć centów. Z okazji urodzin. Dobrych stopni na świadectwie. Zwycięskich meczów. Pokazów tańca.

Kosmetyki. Witaminy. Szampon. Kartki z życzeniami. Książki. Mydło. Faith wrzucała to wszystko do wózka, pragnąc, żeby ten ktoś nawiązał z nią kontakt. Zwolniła tempo. Wózek był już niemal pełny. Sprawdziła iPhone'a Jeremy'ego. Na jego profilu na Facebooku nie było nowych wpisów, żadnej wiadomości od GoodKnight92. Wróciła po swoich śladach, odkładając szampon i witaminy, i przeglądając znów czasopisma. Spojrzała na zegarek. Przebywała w sklepie od blisko godziny, a nikt do niej nie podszedł. Rudy pewnie zachodził w głowę, dlaczego to tak długo trwa. Młody detektyw bez zmużenia okiem przyjął do wiadomości, że wybiera się na zakupy sama. Wciąż lizał rany po tym, jak odebrała mu broń. Nie była pewna, na ile może sobie z nim pozwolić, zanim się na niej odegra.

Wyminęła wózkiem starszego mężczyznę, który przystanął na środku alejki z płatkami śniadaniowymi. Wiedziała, że chcą ją dopaść na parking. Tam, gdzie będzie sama. Mogła się poddać i mieć to z głowy. Położyła dłoń na torebce, by jak najszybciej móc ją wyjąć z wózka. Powstrzymała ją logika. Nie mogli jej porwać na środku sklepu spożywczego. Nawet gdyby spróbowali, nigdzie by z nimi nie poszła. Musieliby więc się z nią targować albo zastrzelić ją na

miejscu. Nie zamierzała opuszczać sklepu, zanim się nie dogada w sprawie powrotu matki.

Zatrzymała się przed toaletą i zostawiła wózek obok drzwi. Od wejścia do sklepu już po raz trzeci zaglądała do ubikacji. Nie dlatego, że chciała ich tam ściągnąć. Jedną z wielu zalet kłopotów z cukrzycą było to, że stale miała pełny pęcherz. Pchnęła drzwi damskiej toalety, wstrzymując oddech, gdy buchnął w nią panujący tam odór. Ściany z nierdzewnej stali i kamienna podłoga lepiły się od brudu. Miała wrażenie, że nawet powietrze jest tłuste. Gdyby mogła, poczekalaby, aż wróci do domu, ale nie stać jej było na taki luksus.

Sprawdziła wszystkie cztery kabiny, po czym weszła do tej dla niepełnosprawnych, bo była stosunkowo najmniej brudna. Kucnęła nad sedesem, zmagając się z bólem ud. Prawdziwie ekwilibrystyczne ćwiczenie. Musiała przyciskać torebkę do brzucha, ponieważ nie miała jej gdzie powiesić, a bała się, że sztuczna skóra na dobre przyklei się do podłogi.

Otworzyły się drzwi. Faith wyjrzała przez szparę pod kabiną. Zobaczyła damskie buty. Niskie obcasy. Grube kostki obleczone brązowymi pończochami przeciwżyłakowymi. Ktoś puścił wodę z kranu. Szarpnął podajnik ręczników. Woda przestała cieknąć. Drzwi otworzyły się i zamknęły powoli.

Faith zamknęła oczy i zmówiła modlitwę dziękczynną. Zrobiła swoje, splukała muszlę, po czym znów zarzuciła torebkę na ramię. Z zamkiem kabiny był kłopot, brakowało zatrzasku. Żeby otworzyć drzwi, musiała wsunąć mały palec do kwadratowego otworu i przesunąć metalową zapadkę.

– Hola!

W jednej chwili zarejestrowała szczegóły dotyczące stojącego przed nią mężczyzny. Średniej budowy, nieco wyższy od niej, waga około osiemdziesięciu kilogramów. Śniada cera. Czarne włosy. Niebieskie oczy. Plaster na palcu wskazującym lewej ręki. Z prawej strony szyi wytatuowany wąż. Sprane džinsy, z dziurami na kolanach. Czarna ocieplana kurtka, wybrzuszona z boku, niewątpliwe przez pistolet. Daszek bejsbolówki nisko opuszczony na oczy, a jednak widziała fragment twarzy. Lekki zarost. Pieprzyk na policzku. Chłopak, mniej

więcej w wieku Jeremy'ego, stanowił skrajne przeciwieństwo jej potulnego, kochanego syna. Emanował nienawiścią. Faith знаła takich jak on, wielokrotnie miała z nimi do czynienia. Porywczy. Mściwi. Za młodzi, żeby nabrać rozumu, i za głupi, żeby dorosnąć.

Sięgnęła do torebki.

Tamten trącił wybrzuszenie kurtki.

– Na twoim miejscu bym nie ryzykował.

Faith czuła zimną stal walthera. Lufa była wycelowana w chłopaka. Trzymała palec na spuście. Mogła go zastrzelić przez torebkę, zanim pomyślałby, żeby unieść kurtkę.

– Gdzie jest moja matka? – spytała.

– Moja matka – powtórzył. – Mówisz tak, jakby należała wyłącznie do ciebie.

– Nie mieszajcie do tego mojej rodziny.

– Pamiętaj, że nie ty trzymasz ster.

– Muszę mieć dowód, że ona żyje.

Zadarł brodę i mlasnął językiem o tył zębów. Faith знаła ten gest, tak samo reagowała większość bandziorów, których aresztowała.

– Jest bezpieczna.

– Skąd mam to wiedzieć?

Roześmiał się.

– Znikąd, szmato. Ty w ogóle gównu wiesz.

– Czego chcecie?

Potarł palcami o kciuk.

– Szmału.

Faith nie wiedziała, czy uda jej się zablefować po raz drugi.

– Powiedz mi, gdzie ona jest, i załatwimy sprawę. Nikt nie musi ucierpieć.

Znów się roześmiał.

– Ehe, uważasz, że jestem aż tak głupi?

– Ile chcecie?

– Wszystko.

Miała ochotę kłąć jak szewc.

– Ona nigdy nie brała w łapę.

– Próbowала mi sprzedać tę bajeczkę, szmato. Mamy to już za sobą.

Dawaj ten pieprzony szmal, a ja ci oddam to, co z niej zostało.

– Czy ona żyje?

– Nie pożyczę długu, jeśli nie zrobisz, co ci każe.

Faith czuła pot spływający po karku.

– Mogę zdobyć pieniądze na jutro. W południe – powiedziała.

– A co, czekasz na otwarcie banku?

– Skrzynek depozytowych. – Zmyślała na poczekaniu. – W sumie są trzy skrzynki. Rozrzucone po całym mieście. Potrzebuję czasu.

Uśmiechnął się. Na jednym zębie miał koronkę w kolorze srebra. Platynową, pewnie wartą więcej, niż Faith miała na koncie.

– Wiedziałem, że pójdziesz na układ. Mówiłem mamusce, że ukochana córeczka nie zostawi jej na pastwę losu.

– Muszę wiedzieć, czy ona żyje. Dopóki się nie upewnię, że nic jej nie jest, nici z interesu.

– Nie powiedziałbym, że nic jej nie jest, ale kiedy ostatnio do niej zaglądałem, jeszcze dychała.

Wyciągnął z kieszeni iPhone'a, nowszy model niż ten, na który ją było stać dla Jeremy'ego. Przesuwając kciukiem po ekranie, wysuwał język. Znalazł to, czego szukał, i podsunął jej telefon pod nos. Na ekranie zobaczyła matkę z gazetą w ręku.

Przyjrzała się zdjęciu. Twarz Evelyn była tak spuchnięta, że ledwo ją rozpoznała. Dłoń była owinięta zakrwawioną szmatą. Faith zacisnęła usta. Żołądek podszedł jej do gardła. Usiłowała powstrzymać napływające do oczu łzy.

– Nie widzę, co ona trzyma – powiedziała.

Powiększył obraz.

– Gazetę.

– Wiem, że to „USA Today” – warknęła. – Ale to nie oznacza, że moja matka wciąż żyje. Dowodzi tylko tego, że rano, po dostarczeniu gazet do kiosków, zmusiłeś ją, żeby pozowała do zdjęcia.

Spojrzał na ekran. Widziała, że się zaniepokoił. Zagryzł wargę, dokładnie tak jak Jeremy, kiedy przyłapywała go na czymś, czego nie powinien robić.

– To dowód życia – oświadczył chłopak. – Jeśli chcesz, żeby nic się nie zmieniło, musisz się ze mną dogadać.

Faith zwróciła uwagę, że jego gramatyka wyraźnie się poprawiła. I mówił głosem wyższym o oktawę. Brzmiał znajomo, lecz nie potrafiła określić, skąd go zna. Musiała go skłonić, żeby mówił jak najwięcej.

– Masz mnie za idiotkę? – spytała ostro. – To żaden dowód. Moja matka może już nie żyć. Nie dam ci kupy forsy tylko dlatego, że pokazałeś mi jakieś głupie zdjęcie. A jeśli to fotomontaż? Nie wiem nawet, czy to naprawdę ona.

Podszedł bliżej, prężąc klatę. Miał migdałowe oczy, ciemnoniebieskie z plamkami zieleni. Znow odniosła wrażenie, że skądś go zna.

– Kiedyś cię aresztowałam – powiedziała.

– Gówno prawda! – prychnął. – Nie znasz mnie, szmato. Nic o mnie nie wiesz.

– Muszę mieć dowód, że moja matka żyje.

– Przestań się stawiać, bo nie pożyje długo.

Faith poczuła, że coś w niej pęka. Gniew i frustracja z ostatnich kilku dni wylały się z niej potokiem słów.

– Czyś ty w ogóle robił kiedyś coś takiego? Czy jesteś amatorem? Nie wpada się do kogoś ot tak, bez niezbitego dowodu. Od szesnastu lat robię w tej pieprzonej policji. Myślisz, że się nabiorę na takie tandetne zagranie? – Pchnęła go na tyle silnie, by zrozumiał, że nie żartuje. – Wychodzę.

Walnął jej twarzą o drzwi. Uderzenie zaskoczyło Faith. Szarpnął ją i odwrócił. Lewym przedramieniem przycisnął jej szyję. Prawą ręką chwycił ją za twarz, wciskając palce w jej czaszkę. Z ust pryskała mu ślina.

– Mam ci zostawić pod poduszką następny prezent? Może jej oczy?

– Wbił kciuk w jej oczodół. – A może cycki?

Na plecach Faith napały drzwi. Ktoś próbował wejść do toalety.

– Przepraszam! – zawołała jakaś kobieta. – Halo? Czy tu jest otwarte?

Młody człowiek mierzył Faith wzrokiem hieny taksującej ofiarę. Ścisnął jej twarz tak mocno, że z wysiłku trzęsła mu się dłoń. Faith przygryzła sobie policzek do krwi. Zaczęła krwawić z nosa. Gdyby

zechciał, spokojnie mógł zmiażdżyć jej czaszkę.

– Jutro rano przyślę ci instrukcje – zapowiedział. Nachylił się do niej tak blisko, że jego twarz rozmazała się przed jej oczami. – Nie mów o tym nikomu. Nie mów szefowej. I ani słowa temu świrowi, z którym pracujesz. Nie mów bratu ani nikomu z twojej kochanej rodzinki. Nikomu. Jasne?

– Tak – wyszeptała. – Jasne.

Choć było to wręcz niemożliwe, jeszcze bardziej wzmógł ucisk.

– Zabiję cię, ale nie pójdziesz na pierwszy ogień – ostrzegł ją. – Odetnę ci powieki. Słuchasz, co mówię? – A kiedy Faith skinęła głową, ciągnął: – Zmuszę cię, żebyś patrzyła, jak obdzieram ze skóry twojego syna. A potem, kawałek po kawałku, będę odkrawał mu ciało, aż zobaczysz same ścięgna i kości i posłuchasz jego głosu, gdy będzie się darł jak wredny, rozpaskudzony bachor. Bo taki właśnie jest. Później wezmę się za twoją córkę. Z jej skórą pójdzie łatwiej, to będzie jak odrywanie mokrego papieru. Rozumiesz? Kumaszu, co do ciebie mówię? – Znów skinęła głową. – Więc nie prowokuj mnie, szmato. Nawet ci się nie śni, jak mało mam do stracenia.

Puścił Faith równie szybko, jak ją złapał. Upadła na podłogę. Zakaszła, poczuła w ustach smak krwi. Odtrącił ją kopniakiem, by móc otworzyć drzwi. Sięgnęła do torebki. Palcami namacała pistolet. Powinna wstać. Musiała wstać.

– Proszę pani? – powiedziała kobieta. Wsunęła głowę zza drzwi i spojrzała na leżącą. – Mam wezwać lekarza?

– Nie – wyszeptała Faith. Przełknęła zbierającą się w ustach krew. Żuchwę od środka miała rozoraną do kości. A do tego krwotok z nosa.

– Jest pani pewna? Może zadzwonię po...

– Nie – powtórzyła Faith. Nie miała do kogo zadzwonić.

## Rozdział 15

Will zajechał przed swój dom i czekał, aż uniosą się drzwi garażu. W środku wszystkie światła były zgaszone. Miał nadzieję, że Betty czekała z pełnym pęczkiem, może nawet unosząc się dzięki niemu w powietrzu niczym balon na nowojorskiej paradzie w Święto Dziękczynienia, organizowanej przez sieć handlową Macy's. Wymyślił taki optymistyczny wariant, bo nie był w nastroju do sprzątanía.

Czuł się, jak gdyby zabił Amandę. Nie dosłownie, nie gołymi rękami, o czym marzył przez większą część dnia. Ale przekazanie jej słów Rogera Linga o tym, że Evelyn Mitchell nie żyje, odniosło taki skutek, jakby strzelił jej prosto w serce. Na jego oczach oklapła. Jej buńczuczność znikła bez śladu. Uleciała z niej cała arogancja, podłość i małostkowość. Ze stojącej przed nim kobiety została jedynie pusta skorupa.

Miał na tyle wyczucia, że poczekał z przekazaniem tych wieści, aż wyjdą z budynku więzienia. Amanda nie rozplakała się. Ku jego przerażeniu ugięły się pod nią nogi. Wówczas ją podtrzymał. Była zaskakująco koścista. Pod dłonią czuł ostrą kość biodrową. Skuliła się w ramionach. Zanim zapiął jej pas i zatrzasnął drzwi samochodu, na oko postarzała się o dziesięć, dwadzieścia lat.

Podróż powrotna do Atlanty to był istny koszmar, do którego wcześniejsze milczenie Willa nawet się nie umywało. Zaproponował, że zjedzie na pobocze, ale Amanda zabroniła mu się zatrzymywać. Kiedy dojeżdżali do miasta, zobaczył, że szefowa łapie za klamkę drzwi. Jak dotąd nie zaprosiła go do domu. Mieszkała na strzeżonym osiedlu w samym sercu Buckhead. Wielkie budynki o królewskim wyglądzie miały zaokrąglone rogi i olbrzymie, bogato zdobione okna. Amanda wskazała mu drogę pod dom z tyłu osiedla.

Kiedy wrzucił jałowy bieg, nie wysiadła z samochodu. Właśnie się zastanawiał, czy znowu jej pomóc, gdy naraz odezwała się:

– Nie mów o tym Faith.

Spojrzał na drzwi frontowe domu. Z przodu na maszcie wisiła flaga. W wiosenne kwiaty. Motyw sezonowy. Nigdy nie podejrzewał

szefowej o takie upodobania. Nie wyobrażał jej sobie wychodzącej w zakiecie i w szpilkach na werandę i wspinającej się na palce, by wywiesić odpowiednią flagę.

– Najpierw musimy to potwierdzić – ciągnęła, chociaż, zdaniem Willa, słowa Rogera Linga potwierdziły jedynie smutną prawdę, którą przeczuwał od rana.

Amanda również musiała zdawać sobie z tego sprawę. Tylko to wyjaśniało jej poranną kapitulację w więziennej poczekalni. Przyznała, że Evelyn była skorumpowana, bo wiedziała, że nie ma już potrzeby jej chronić. Dwudziestoczworgodzinny okres nadziei dawno minął, a porywacze nie nawiązali kontaktu. Cała podłoga w kuchni Evelyn była zbryzgana krwią, częściowo – a może przede wszystkim – należąca do właścicielki domu. Młodzi ludzie, z którymi mieli do czynienia, okazali się bezlitosnymi zabójcami, zwykłymi mordercami, niewahającymi się zgładzić nawet członków swojej grupy.

Szansę, że Evelyn Mitchell przeżyła noc, były żadne.

– Faith musi się dowiedzieć – odparł Will.

– Kiedy uzyskam pewność, sama jej o tym powiem – odparła bezbarwnym, martwym głosem. – Jutro spotykamy się o siódmej rano. Cała ekipa. Jeśli się spóźnisz choćby o minutę, w ogóle możesz się nie fatygować.

– Będę punktualnie.

– Znajdziemy ją. Muszę ją zobaczyć na własne oczy.

– Zgoda.

– A jeśli okaże się, że Roger mówił prawdę, znajdziemy gnojków, którzy ją zabili, i urządzimy im piekło. Wyłapiemy ich co do jednego. Będziemy ich ścigać do upadłego.

– Tak jest.

Ze zmęczenia mówiła tak cicho, że ledwo ją słyszał.

– Nie spocznę, dopóki każdy z nich nie dostanie czapy – ciągnęła. – Chcę patrzeć, jak wbijają im igły, jak ich twarze się wykrzywiają, jak oczy wywracają im się w głąb czaszki, a oddech ustaje. A jeśli państwo ich nie zabije, zrobię to sama.

Pchnęła drzwi i wysiadła z samochodu. Will widział, ile wysiłku kosztuje ją wyprostowanie się i wejście po schodach. Gdyby to



zależało od niej, gdyby siłą woli mogła sprawić, żeby przyjaciółka nie umarła, wówczas Evelyn z całą pewnością by żyła.

Niestety, nie miała takich możliwości.

Wróciwszy do siebie, Will odczekał, aż drzwi garażu w końcu się uniosą, wjechał do środka i zamknął je za sobą pilotem. Pierwotnie dom nie miał garażu – Will dobudował go w czasach, kiedy dzielnica zmieniała charakter, a ćpuny wciąż pukały do niego z nadzieją, że nadal mieści się tu melina. Niewygodne wejście do domu prowadziło przez sypialnię dla gości. Na widok Willa Betty uniosła głowę z poduszki. Żadne z nich nie miało ochoty poruszać tematu kałuży w kącie pokoju.

Obszedł dom, po drodze zapalając światła. W środku było zimno. Uchylił drzwi kuchenne, żeby Betty mogła wyjść na dwór. Zawahała się.

– Śmiało – zachęcił ją, siląc się na łagodny ton. Rany suczki się goiły, ale wciąż pamiętała, jak w zeszłym tygodniu pikujący jastrząb próbował ją porwać z podwórka. A Will nie mógł zapomnieć śmiechu fryzjera dla zwierząt, gdy opowiedział mu, jak to drapieżny ptak wziął jego psa za szczura.

W końcu Betty wyszła z domu, najpierw jednak ostrożnie obejrzała się przez ramię. Will powiesił kluczyki do samochodu na kołku, a portfel i broń odłożył na blat kuchenny. W lodówce wciąż miał wczorajszą pizzę. Wyjął pudełko, ale nie miał siły na nic więcej, gapił się tylko na galaretowate kawałki.

Miał ochotę zadzwonić do Sary, tym razem z czysto egoistycznych powodów. Chciał opowiedzieć jej o tym, co się dziś wydarzyło. Chciał usłyszeć jej zdanie na temat tego, czy dobrze robi, zwlekając z poinformowaniem Faith o śmierci matki. Chciał opisać, co czuł, widząc tak zdołowaną Amandę – swój strach na widok topniejącej bryły lodu, która miała nigdy nie skruszeć.

Schował jednak pizzę z powrotem do lodówki, upewnił się, że kuchenne drzwi są uchylone, i poszedł wziąć prysznic. Dochodziła północ. Od piątej rano był na nogach, a poprzedniej nocy spał raptem kilka godzin. Stojąc w strugach gorącej wody, próbował zmyć z siebie ten dzień. Brud więzienia stanowego Valdosta. Magazyn, w którym do

niego strzelano. Szpital Grady'ego, w którym odchodził od zmysłów ze strachu. Coastal, gdzie pocił się tak bardzo, że wracając do domu, wciąż miał plamy na koszuli pod pachami.

Suszając włosy, myślał o Betty. Przez cały dzień była zamknięta w domu. Wina za kałużę spadała i na nią, i na niego. Mimo późnej pory nie sądził, żeby udało mu się zasnąć. Powinien wyprowadzić suczkę na spacer. Obojgu im się przyda rozprostować nogi.

Ubrał się w dżinsy i wyjściową koszulę, zbyt znoszoną, by mógł ją wkładać do pracy. Miała wystrzępiony kołnierzyk, a na nitce dyndał złamany guzik.

Poszedł do kuchni po smycz Betty.

Przy stole siedziała Angie.

– Witaj w domu, skarbie – rzuciła. – Jak ci minął dzień?

W tej chwili Will wolałby wrócić do Coastal i znów spotkać się twarzą w twarz z Rogerem Lingiem niż rozmawiać z żoną.

Angie wstała. Objęła go, przysuwając usta do jego ust.

– Co to, nie przywitasz się ze mną?

Gładziła jego kark dłonią, ale jakże daleko było temu gestowi do dotyku Sary.

– Przestań! – warknął.

Odsunęła się, udając, że się dąsa.

– To tak się wita własną żonę?

– Gdzie się podziewałaś? – zapytał.

– A od kiedy cię to obchodzi? – odcięła się.

Zastanowił się nad jej słowami. Pytanie było ze wszech miar uzasadnione.

– Właściwie wcale mnie nie obchodzi. Tylko że... – Nie sądził, że tak łatwo zdobędzie się na te słowa. – Nie chcę cię tu widzieć.

– Hmm... – Zwiesiła głowę i założyła ręce pod biustem. – No cóż, pewnie musiało do tego dojść. Ale nie mogę cię zostawić samego.

Otworzył tylne drzwi, które zamknęła za sobą. Do domu wbiegła Betty. Na widok Angie warknęła, a ta skwitowała:

– Wygląda na to, że moja obecność zawadza wszystkim kobietom twojego życia.

Poczuł, że włosy jeżą mu się na karku.

– O czym ty mówisz, u licha?  
– Sara ci nie powiedziała? – Zamilkła, ale nie mógł wydobyć głosu.  
– Ma na imię Sara, prawda? – Parsknęła chropawym śmiechem. – Powiem ci, że jak dla ciebie, jest za mało wystrzałowa. Od góry nawet niczego sobie, ale w zasadzie nie ma tyłka, no i prawie dorównuje ci wzrostem. Myślałam, że lubisz bardziej kobiece kształty.

Wciąż nie był w stanie się odezwać. Krew zastygła mu w żyłach.

– Była tu, kiedy wczoraj wróciłam do domu. Szwendała się po sypialni. Nie mówiła ci o tym?

Sara nic o tym nie wspomniała. Dlaczego?

– Ona farbuje włosy. Wiedziałaś o tym? Te pasemka nie są naturalne.

– Coś ty...

– Ja tylko cię uświadamiam, że Sara nie jest takim idealnym aniołkiem, jak ci się wydaje.

– Coś ty jej nagadała? – wykrztusił wreszcie.

– Zapytałam ją, dlaczego się rżnie z moim mężem.

Serce mu zamarło. To dlatego wczoraj po południu Sara płakała. I dlatego kiedy zjawił się u niej ubiegłej nocy, z początku traktowała go tak chłodno. Jego serce skurczyło się jak ściśnięte w imadle.

– Nie waż się z nią rozmawiać! – warknął. – Nigdy więcej.

– Próbujesz ją chronić? – Roześmiała się. – Jezu, Will. To dosyć komiczne, zważywszy, że to ja próbuję chronić ciebie.

– Nie waż się...

– Ją kręcą gliniarze. Wiesz o tym, prawda? – Pokręciła głową nad jego głupotą. – Przejrzałam akta jej męża. Było z niego niezłe ciacho. Rżnął wszystko, co się rusza.

– Tak jak ty.

– No wiesz, skarbie... Postaraj się, stać cię na coś lepszego.

– Nie chce mi się starać. – I w końcu wypowiedział na głos to, o czym myślał od roku: – Chcę z tym skończyć. Masz zniknąć z mojego życia.

Roześmiała mu się w twarz.

– To ja jestem całym twoim życiem.

Wlepił w nią wzrok. Uśmiechała się. Jej oczy promieniały. Jak to

jest, że bywała szczęśliwa tylko wtedy, gdy próbowała go zranić?

– Dłużej już tak nie mogę – powiedział.

– Miał na imię Jeffrey. Wiedziałaś? – spytała. Nie odpowiedział. Oczywiście, że wiedział, jak miał na imię mąż Sary. – Mądry gość. Studiował... na prawdziwej uczelni, a nie na jakichś tam kursach korespondencyjnych, po których każą sobie dodatkowo płacić za to, że prześlą dyplom pocztą. W policji kierował całym wydziałem. Byli tak kurewsko zakochani, że na zdjęciach ona ma maślane oczy. – Wzięła torebkę z krzesła. – Chcesz je obejrzeć? Gazety w tej zapyziałej dziurze drukowały je tydzień w tydzień. Po jego śmierci zamieścili na pierwszej stronie pieprzony kolaż.

– Wyjdź, proszę.

Angie odłożyła torebkę.

– Czy ona wie, że jesteś głupi?

Ugryzł się w język.

– Jasne, oczywiście, że wie. – Powiedziała to niemal z ulgą. – To wszystko tłumaczy. Ta baba lituje się nad tobą. Biedny Willy, co to nie potrafi czytać.

Pokręcił głową.

– Pozwól, że coś ci powiem, Wilburze – ciągnęła. – Kiepska z ciebie partia. Nie jesteś przystojny. Ani mądry. Nie jesteś nawet przeciętniakiem. Żebyś chociaż był dobry w łóżku, ale gdzie tam.

Mówiła mu to już tyle razy, że jej słowa spływały po nim jak woda po gęsi.

– Mogłabyś przejść do puenty? – powiedział.

– Puenta jest taka, że nie chcę, żebyś przez nią cierpiał.

Wbił wzrok w podłogę.

– Nie rób tego, Angie – poprosił. – Choć raz powstrzymaj się i tego nie rób.

– Niby czego? Mam ci nie mówić prawdy? Przecież masz takie klapki na oczach, że kompletnie nie widzisz, w co ona pogrywa. – Przysunęła twarz do jego twarzy. – Nie rozumiesz, że kiedy ona cię całuje, dotyka albo pieprzy, za każdym razem myśli tylko o nim? – Urwała, jakby spodziewała się riposty. – Jesteś tylko surogatem, Will. Dopóki nie trafi jej się ktoś lepszy. Inny lekarz. Prawnik. Ktoś, kto

potrafi przeczytać gazetę, nie ruszając przy tym ustami.

– Co ty tam wiesz – wykrztusił przez ściśnięte gardło.

– Znam się na ludziach. Znam kobiety. Znam je bez porównania lepiej niż ty.

– W to akurat nie wątpię.

– I słusznie. A najlepiej znam ciebie. – Przerwała, żeby ocenić skalę spustoszeń, jakich dokonała. Najwyraźniej uznała, że to za mało. – Zapominasz, skarbie, że ja przy tym byłam. Zawsze, kiedy wypadał dzień odwiedzin, kiedy przychodzili chętni do adopcji, stawałeś przed lustrem, czesałeś się, sprawdzałeś ubranie i stroiłeś się, żeby jakaś mamusia czy tatuś zwrócili na ciebie uwagę i zabrali cię do siebie, do domu. – Pokręciła głową. – Ale nikt cię nie chciał, zgadza się? Nikt nie wziął cię ani na jeden dzień. Nikt nigdy się tobą nie zainteresował. A wiesz dlaczego?

Nie był w stanie oddychać, bolały go płuca.

– Dlatego, że jesteś, jaki jesteś, Will. Dziwny. Coś jest z tobą nie tak. Przyprawiasz ludzi o gęsią skórę. Dlatego uciekają od ciebie jak najdalej.

– Przestań. Dobrze? Po prostu skończ z tym.

– Skończyć? Z czym? Z uświadamianiem ci tego, co oczywiste? Jak sobie wyobrażasz wasze życie? Pobierzecie się, spłodzicie dzieci i będziecie prowadzili normalne życie? – Parsknęła śmiechem, jakby nie słyszała dotąd czegoś równie absurdalnego. – Nie przyszło ci do głowy, że podoba ci się to, co jest między nami?

Na czubku języka poczuł smak krwi. Wyobraził sobie, że dzieli ich mur. Gruby betonowy mur.

– Nie bez powodu na mnie czekasz. Nie bez powodu nie chodzisz na randki, nie wpadasz do barów ani nie płacisz za rypanko jak każdy normalny chłop.

Mur był coraz wyższy i grubszy.

– Podoba ci się to, co jest między nami. Wiesz, że nie potrafisz być z nikim innym. Związać się z kimś naprawdę. Nie dałbyś rady balansować na takiej linii. Nie możesz się otworzyć przed żadną inną, bo wiesz, że w końcu i tak zawsze cię zostawi. I właśnie tak robi twoja ukochana Sara, skarbie. Jest dorosła. Miała już męża. Była

w prawdziwym związku. Z kimś, kto zasługiwał na miłość i kto potrafił odwzajemnić jej uczucie. Więc migiem się zorientuje, że ty nie jesteś do tego zdolny. A wtedy cię rzuci i zniknie.

Smak krwi w jego ustach się nasilał.

– Za wszelką cenę próbujesz znaleźć kogoś, kto by poświęcił ci choć trochę uwagi. Zawsze taki byłeś. Żałosna, wiecznie spragniona uczucia przylepa.

Nie mógł znieść jej bliskości. Podszedł do zlewu i nalał sobie szklanek wody.

– Nic o mnie nie wiesz – rzucił.

– Opowiadałeś jej o tym, przez co przeszedłeś? Jest lekarką. Wie, jak wyglądają ślady po przypalaniu papierosem. Wie, co się dzieje, kiedy ktoś przykładła ci do skóry dwa kable pod napięciem.

Wychylił szklanek duszkiem.

– Popatrz na mnie – rozkazała. Nie spojrzął na nią, ona jednak mówiła dalej: – Dla niej jesteś pacjentem. Lituje się nad tobą. Biedny Will, sierotka. Jesteś Helen Keller<sup>3</sup>, a ona tą głupią cipą, co nauczyła ją czytać. – Chwyciła go za brodę i zmusiła, żeby się do niej odwrócił. Ale i tak uciekł wzrokiem. – Ona po prostu chce cię wyleczyć. A kiedy znudzi się próbami naprawienia ciebie, kiedy uświadomi sobie, że nie istnieje magiczna pigułka na głupotę, wyrzuci cię do tego samego śmietnika, w którym cię znalazła.

Coś w nim pękło. Jego determinacja. Siła. Ten cienki mur.

– I co wtedy?! – wrzasnęła. – Wróć do ciebie na klęczkach?

– Jak zawsze.

– Wolę zostać sam. Wolę zgnieć samotnie w jakiejś norze, niż dalej dusić się z tobą.

Odwróciła się do niego plecami. Wstawił szklanek do zlewu i grzbietem dłoni otarł usta. Angie rzadko płakała, chyba że na niby. Wszystkie dzieciaki, z którymi Will się wychowywał, miały się różnych metod, żeby przeżyć. Chłopcy posługiwali się pięściami, dziewczęta zapadały na bulimię. Niektóre, jak Angie, wykorzystywały w tym celu swoją seksualność. Jeżeli seks nie działał, wybuchały płaczem, a jeśli i łzy nie pomagały, znajdowały inny sposób, by zmiękczyć czyjeś serce.

Gdy znów się do niego odwróciła, miała w ustach lufę jego pistoletu.

– Nie...

Pociągnęła za spust. Zamknął oczy i zasłonił rękami twarz przed rozbryzgami mózgu i kawałków czaszki.

Ale nic się nie stało.

Powoli opuścił ręce i otworzył oczy.

Wciąż miała lufę broni w ustach. Suchy strzał. Will odniósł wrażenie, że echo trzasku opadającego kurka przeszło mu bębienki uszu jak igła. Na stole zobaczył magazynek. Obok leżał wyjęty z komory zamka nabój.

– Nigdy więcej... – odezwał się drżącym głosem.

– Czy ona wie o twoim ojcu, Will? – Angie wpadła mu w słowo. – Opowiedziałeś jej, co się stało?

Trząśnięcie na całym ciele.

– Nigdy więcej tego nie rób.

Upuściła pistolet na stół i oburącz ujęła jego głowę.

– Kochasz mnie, Will. Wiesz o tym. Czuleś to w chwili, kiedy pociągałam za spust. Wiesz, że nie potrafisz żyć beze mnie.

Do oczu napłynęły mu łzy.

– Tylko będąc razem, jesteśmy w pełni ludźmi. – Pogłaskała go po policzku, po brwiach. – Przecież wiesz. Nie pamiętasz, skarbie, co dla mnie zrobiłeś? Chciałeś poświęcić dla mnie życie. Dla niej nigdy byś tego nie zrobił. Dla nikogo oprócz mnie nie podciąłbyś sobie żył.

Wyrwał się z jej objęć. Pistolet wciąż leżał na stole. Czując chłód stali, włożył do niego magazynek i przeładował, wprowadzając nabój do komory. Wyciągnął broń do Angie, z lufą wycelowaną w swoją pierś.

– Śmiało, zastrzel mnie – rzucił. Ani drgnęła, więc spróbował ją ująć za rękę. – Strzelaj.

– Przestań. – Uniosła rękę. – Dość tego.

– Zastrzel mnie – powtórzył. – Albo mnie zastrzel, albo pozwól mi odejść.

Odebrała mu pistolet i rozłożyła, rzucając poszczególne części na blat. A kiedy już miała wolne ręce, uderzyła go w twarz. I jeszcze raz.

Potem zaczęła go okładać pięściami. Złapała ją za ramiona. Szarpnęła się, odwróciła do niego plecami. Nie znosiła sytuacji, gdy ktoś ją przytrzymał. Naparł na nią całym ciałem, przyciskając do zlewu. Walczyła wściekle, wrzeszcząc i rzucając się na niego z pazurami.

– Puszczaj! – Wierzgnęła nogą, wbijając obcas w jego stopę. – Przestań!

Wzmógł uścisk. Angie przyłgnęła do niego. Frustracja i gniew z ostatnich dwóch dni zlały się w jedno. Poczuł, jak jego ciało reaguje na jej bliskość, jak pragnie spełnienia. Udało jej się odwrócić. Złapała go za kark, przyciągnęła jego głowę. Dotknęła ustami jego ust. Rozchyliła wargi.

Cofnął się. Spróbowała objąć go ponownie, ale zrobił kolejny krok w tył. Dyszał tak ciężko, że nie był w stanie się odezwać. Oto ich rytualny taniec. Gniew. Strach. Przemoc. Zero współczucia. Zero dobroci.

Zdjął z kołka smycz Betty. Suczka zaczęła podskakiwać wokół jego nóg. Ręce tak mu się trzęsły, że ledwo zdołał przypiąć smycz do obroży. Zdjął z kołka klucze i włożył portfel do tylnej kieszeni spodni.

– Kiedy wrócę, ma cię tu nie być – zapowiedział.

– Nie możesz mnie zostawić.

Poprawił broń i przypiął kaburę do dzinsów.

– Potrzebuję cię – szepnęła.

Odwrócił się twarzą do niej. Z potarganymi włosami wyglądała jak gotowa na wszystko desperatka. Miał tego dość. Powyżej uszu.

– Czy ty nic nie rozumiesz? – rzucił. – Ja nie chcę, żeby kobieta mnie potrzebowała. Chcę, żeby mnie pragnęła.

Nie znajdując na to ciętej riposty, uciekła się do groźby.

– Jeżeli teraz wyjdiesz, zabiję się. Przysięgam.

Wyszedł z pokoju.

Ruszyła za nim korytarzem.

– Nałykam się prochów. Podetnę sobie żyły. To twoja ulubiona metoda, zgadza się? Po powrocie zastaniesz mnie z podciętymi nadgarstkami. I jak się wtedy poczujesz, Wilburze? Jak będziesz się czuł, kiedy zerznieš swoją kochaną doktorkę, a potem wrócisz do domu i w łazience znajdziesz moje zwłoki?



Podniósł Betty z podłogi.

– Annie Sullivan – powiedział.

– Że co?

– Tak się nazywała kobieta, która uczyła Helen Keller.

Wyszedł. Zanim zamknął za sobą drzwi, ujrzał jeszcze Angie, stojącą z zaciśniętymi pięściami w korytarzu. Począł, aż brama garażu się uniesie, wycofał samochód na podjazd i zaczął, aż się zamknie.

Kiedy odjeżdżał, Betty uśmiechnęła się na siedzeniu obok niego. Uchylił okno, napawając się nocnym powietrzem. Nie zastanawiał się, dokąd zmierza, aż w końcu skręcił na parking przed domem Sary. Wziął suczkę na ręce i zaniósł ją do wejścia. Sara mieszkała na ostatnim piętrze. Nacisnął przycisk domofonu. Nie musiał się odzywać – rozległ się brzęczyk i trzask otwieranych drzwi.

Gdy wsiadał do windy, Betty wierała mu się na rękach. Postawił ją na podłodze. Na ostatnim piętrze natychmiast wybiegła na korytarz. Drzwi do mieszkania były otwarte, a Sara stała na środku pokoju. Rozpuszczone włosy opadały jej na ramiona. Miała na sobie dzinsy i cienki biały T-shirt, który bynajmniej nie służył do tego, by ukryć to, co jest pod spodem.

Zamknął drzwi. Miał jej tak wiele do powiedzenia, ale zanim wreszcie zdołał się odezwać, wszystko wyleciało mu z głowy.

– Dlaczego nie powiedziałaś, że się spotkałaś z Angie?

Nie odpowiedziała. Stała bez ruchu, patrząc na niego. On z kolei gapił się na nią. Na tę obcisłą koszulkę. Widział nabrzmiałe piersi i napierające na cienki materiał sutki.

– Przepraszam. – Głos mu się załamał. Nie wybaczy sobie tego, że wmieszał Angie w życie Sary. Nigdy nikomu nie wyrządził tak strasznej krzywdy. – Za to, co ci nagadała. Nigdy nie chciałem...

Podeszła do niego.

– Tak strasznie mi przykro – powiedział.

Ujęła jego dłoń i odwróciła wnętrzem do góry. Jej palce zwinnie uporały się z guzikami rękawa.

Chciał się odsunąć. Musiał się odsunąć. Ale nie był w stanie się ruszyć. Nie potrafił zmusić mięśni do działania. Nie mógł

powstrzymać jej dłoni, palców ani ust.

Przycisnęła wargi do jego gołego nadgarstka. Nikt nigdy nie pocałował go tak delikatnie. Leciutko przesunęła językiem po jego skórze, wzdłuż biegnącej w górę ramienia blizny. Miał wrażenie, jakby go podłączyli do prądu, tak że zanim pocałowała go w usta, płonął już z pożądania. Przyłgnęła do niego całym ciałem. Wsunęła mu język do ust. Zarzuciła mu ręce na szyję, drapiąc paznokciami skórę pod jego włosami. Zakreśliło mu się w głowie. Miał wrażenie, że szybuje w powietrzu. Nie mogąc utrzymać rąk przy sobie, zaczął nimi błądzić po jej wąskich biodrach, lekko wklęsłych plecach, idealnych piersiach.

Wstrzymał oddech, gdy wsunęła mu dłoń pod koszulę. Musnęła palcami jego pierś i zjechała niżej. Nie wzdrygnęła się. Nie zawahała. Dotknęła czołem jego czoła, spojrzała mu prosto w oczy i szepnęła:

– Oddychaj.

Odetchnął tak, jakby wstrzymywał dech przez całe życie.

# Poniedziałek

## Rozdział 16

Sarę obudził szum prysznic. Odwróciwszy się na drugi bok, przesunęła ręką po wgłębieniu na poduszce. Leżała rozczochrana, zaplątana w pościel. Wciąż czuła zapach Willa w pokoju, czuła jego smak w ustach, pamiętała dotyk obejmujących ją ramion.

Nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio tak bardzo nie chciało jej się wstawać rano z łóżka. Rzecz jasna, zdarzało się to za życia Jeffreya, ale po raz pierwszy od czterech i pół roku ani trochę nie zaprzętał jej myśli. Nie bawiła się w porównania. Nie doszukiwała się różnic. Od lat najbardziej bała się tego, że duch zmarłego męża będzie jej towarzyszył w sypialni. Ale tak się nie stało. Był tylko Will oraz niewysłowiona radość z przebywania w jego towarzystwie.

Jak przez mgłę pamiętała, że jej ubrania leżą rozrzucone gdzieś między kuchnią a jadalnią. Wyjęła z szafy czarny jedwabny szlafrok i ruszyła korytarzem. Gdy weszła do salonu, psy leniwie spojrzały na nią z kanapy. Betty spała na poduszce. Billy i Bob ułożyły się wokół niej w półksiężyc. Gdyby nie to, że Will za godzinę musiał być w pracy, dołączyłaby do niego pod prysznicem. Poprzedniego dnia tłumaczyła kierownictwu szpitala, że mimo tego, co przeszła, nie potrzebuje wolnego dnia, teraz jednak cieszyła się, że kazali jej zostać w domu. Musiała spokojnie przemyśleć sobie to, co się wydarzyło. No i chciała powitać Willa, kiedy wróci z pracy.

Jej ciuchy leżały starannie złożone na stole. Uśmiechnęła się na myśl, że stół w jadalni nareszcie na coś się przydał. Włączyła maszynkę do kawy. Na ścianie nad miskami psów wisiała karteczka samoprzylepna. Will narysował na środku uśmiechniętą buźkę. Taką samą karteczkę z tym samym rysunkiem zobaczyła nad smyczami. To, że pozwolił jej się wyspać, a sam nakarmił psy i wyprowadził je na spacer, dobrze o nim świadczyło. Zapatrzyła się na niebieski atrament, na oznaczający uśmiech łuk i dwie kropki zamiast oczu.

Dotychczas nie goniła za mężczyznami, zawsze to ją podrywano. Zeszłej nocy zdała sobie jednak sprawę, że jeśli nie wykona

pierwszego kroku, do niczego między nimi nie dojdzie. A chciała, żeby do czegoś doszło. Od lat nikogo i niczego nie pragnęła tak bardzo jak Willa.

Z początku był nieśmiały. Najwyraźniej wstydził się swojego ciała. Śmiechu warte, zważywszy na to, że był po prostu piękny. Nogi miał silne i smukłe. Ramiona nabite mięśniami. Jego pośladki idealnie nadawałyby się na billboardy z reklamą bielizny na środku Times Square. Ale na tym nie koniec. Jego dłonie doskonale wiedziały, gdzie mają jej dotykać. Miał cudowne usta. Cudowny język. W ogóle cały był cudowny. Pasowali do siebie jak ulał. Sarze nawet się nie śniło, że jeszcze kiedyś będzie tak swobodna w obecności mężczyzny.

Gdyby miała cokolwiek porównywać, to tylko siebie – jaka była teraz i kiedyś. Zaszła w niej głęboka zmiana, wykraczająca daleko poza kwestie moralne. Z Willem czuła się inaczej. Nie musiała natychmiast wiedzieć wszystkiego o mężczyźnie, z którym poszła do łóżka. Nie czuła potrzeby wypytywania go o szczegóły tego, jak się nad nim znęcano. Po raz pierwszy w życiu była cierpliwa. Dziewczyna, która wyleciała ze szkoły niedzielnej za kłótnie z nauczycielką, która rodziców, siostrę, a wreszcie męża doprowadzała do szału nieustannym dopytywaniem się o najmniejsze drobiazgi, w końcu zaczęła się uczyć luzu.

Być może widok pozszywanych ust Willa na zdjęciu z polaroidu dał jej nauczkę, żeby nie wtykać nosa w nie swoje sprawy. A może tak to już w życiu jest, że uczymy się na własnych błędach. Chwilowo wystarczało jej samo bycie z Willem. Reszta przyjdzie z czasem. Albo i nie. Tak czy inaczej, czuła się bezgranicznie szczęśliwa.

Rozległo się natarczywe pukanie do drzwi – pewnie Abel Conford z naprzeciwka. Ten prawnik obwołał się samozwańczym władcą parkingu. Każde posiedzenie rady mieszkańców, w którym Sara brała udział, zaczynało się od jego narzekania na gości parkujących na cudzych miejscach.

Otuliła się szlafrokiem i otworzyła drzwi. Zamiast sąsiada w progu ujrzała Faith Mitchell.

– Przepraszam, że wpadam bez uprzedzenia. – Faith precyzyjnie się obok Sary i weszła do środka. Miała na sobie obszerną granatową

kurtkę z kapturem, nasuniętym nisko na czoło. Jej twarz maskowały ciemne okulary. Strój uzupełniały džinsy i trampki. W przekonaniu mamusiek z komitetu rodzicielskiego wyglądała pewnie jak uosobienie włamywaczki.

– Jak ci się udało wejść? – Sara nie wymyśliła niczego lepszego.

– Powiedziałam twojemu sąsiadowi, że jestem z policji, więc mnie wpuścił.

– No pięknie – mruknęła Sara, zastanawiając się, ile czasu minie, zanim wszyscy lokatorzy budynku dowiedzą się, że została aresztowana. – Co się dzieje?

Faith zdjęła okulary przeciwsłoneczne. Na twarzy miała pięć maleńkich sińców.

– Musisz zadzwonić do Willa w moim imieniu. – Podeszła do okna i wyjrzała na parking. – Myślałam nad tym przez całą noc. Sama sobie nie poradzę. Po prostu nie dam rady. – Choć słońce jeszcze nie wzeszło, osłoniła ręką oczy. – Nie wiedzą, że tu jestem. Rudy zasnął. Taylor wyszedł w nocy. Wymknęłam się przez podwórko za domem. Wzięłam samochód Roz Levy. Wiem, że podsłuchują moje telefony. Śledzą mnie. Nie mogą się dowiedzieć, co robię. Ani tego, że z kimś rozmawiałam.

Mogłaby robić za żywą reklamę ostrzegającą przed hipoglikemią.

– Usiądź – zaproponowała Sara.

Faith wciąż wyglądała na parking.

– Wyprawiłam dzieci z miasta. Są z moim bratem. On w życiu nie zmieniał pieluchy. A dla Jeremy'ego to za duża odpowiedzialność.

– W porządku, porozmawiajmy o tym. Chodź, usiądź koło mnie.

– Muszę ją odzyskać, Saro. Bez względu na koszty. Nieważne, co będę musiała zrobić.

Mówiła o matce. Will opowiedział Sarze o wyprawie do więzienia stanowego Coastal i o rozmowie z Rogerem Lingiem.

– Usiądź, Faith.

– Nie mogę, bo nie miałabym siły wstać. Potrzebny mi jest Will. Możesz do niego zadzwonić?

– Ściągnę go, słowo. Ale najpierw usiądź. – Sara zaprowadziła ją do stołka przy kuchennym blacie. – Jadłaś śniadanie?

Faith zaprzeczyła ruchem głowy.

– Żołądek mi się buntuje.

– A jak z poziomem cukru we krwi?

Faith przestała kręcić głową. Jej skruszona mina wystarczała za odpowiedź.

– Posłuchaj, nie kiwnę palcem, dopóki nie doprowadzimy cię do ładu – oświadczyła Sara stanowczo. – Rozumiemy się?

Faith nie protestowała, zapewne w głębi ducha zdawała sobie sprawę, że wymaga pomocy. Pogrzebała w kieszeniach kurtki, wyjęła garść cukierków i rzuciła je na blat. Następnie wyciągnęła wielki pistolet, portfel, pęk kluczy z wygrawerowaną pochyloną literą „L” na łańcuszku i w końcu zestaw do pomiaru poziomu cukru we krwi.

Sara przejrzała pamięć testera, sprawdzając wyniki. Ani chybi od dwóch dni Faith zabawiała się w rosyjską ruletkę cukierkami. To powszechna sztuczka wśród diabetyków – podwyższanie zbyt niskiego poziomu cukru i zbijanie zbyt wysokiego za pomocą słodyczy. Niezły sposób na przetrwanie trudnych chwil, ale jeszcze lepszy na to, żeby ostatecznie zapaść w śpiączkę.

– Powinam natychmiast zabrać cię do szpitala. – Sara ścisnęła tester. – Masz przy sobie insulinę?

Faith znów sięgnęła do kieszeni i położyła na blacie cztery jednorazowe dozowniki insuliny.

– Kupiłam je rano w aptece – wybełkotała pośpiesznie. – Nie wiedziałam, ile sobie zaaplikować. Pokazali mi, ale nigdy z nich nie korzystałam, a są takie drogie, że nie chciałam czegoś popsuć. Ketony mam w normie. Sprawdziłam na pasku wczoraj w nocy i dzisiaj rano. Pewnie powinnam sobie załatwić pompę.

– Pompa insulinowa to całkiem niezły pomysł – przyznała Sara, wsuwając pasek do monitora. – Zjadłaś wieczorem kolację?

– Powiedzmy.

– Czyli nie – mruknęła Sara. – A przekąsiłaś coś? Cokolwiek?

Faith zwiesiła głowę i podparła rękami.

– Od wyjazdu Jeremy’ego i Emmy nie potrafię jasno myśleć. Rano dzwonił Zeke. Powiedział, że się zakwaterowali, ale słyszałam, że jest wkurzony. Nigdy nie radził sobie z dziećmi.

Sara ujęła jej palec i wycelowała lancet.

– Kiedy to się skończy, czeka nas dłuższa pogawędka o tym, że nie przestrzegasz zaleceń lekarza. Wiem, że ogłędnie mówiąc, żyjesz teraz w wielkim stresie, ale cukrzycy nie da się cudownym sposobem odwiesić na kołek. Twój wzrok, krążenie krwi, zdolności motoryczne... – Sara nie dokończyła. Wbijała to w głowy tyłu cukrzykom, że miała wrażenie, jakby czytała z podręcznika. – Albo zaczniesz dbać o siebie, albo w najlepszym przypadku skończysz jako niewidoma na wózku inwalidzkim.

– Wyglądasz inaczej – rzuciła Faith zniechęcona.

Sara przyglądała się nastroszone z tyłu głowy włosy.

– Promieniujesz szczęściem – ciągnęła Faith. – Jesteś w ciąży?

Sara roześmiała się, zaskoczona pytaniem. W wieku dwudziestu kilku lat, na skutek ciąży pozamacicznej, przeszła usunięcie części macicy. Will nie był aż takim cudotwórcą.

– Bierzesz sto trzydzieści? – spytała.

– Sto trzydzieści pięć.

Sara ustawiła odpowiednią dawkę na podajniku.

– Wstrzyknij to sobie, a ja tymczasem zrobię ci śniadanie. Nie waż się nic robić, dopóki nie zjesz co do ostatniego kęsa.

– Ten piecyk kosztował więcej niż mój dom. – Faith wychyliła się za blat, żeby się lepiej przyjrzeć. Sara pchnęła ją z powrotem na stołek. – Ile ty zarabiasz?

Sara wzięła ją za rękę i zacisnęła jej palce na podajniku insuliny.

– Załatw to, a ja ściągnę Willa.

– Zadzwoń do niego stąd. I tak wiem, co mu powiesz.

Sara nie zamierzała się tłumaczyć, zwłaszcza że Faith wyraźnie miała trudności z przyswajaniem informacji. Wzięła z blatu ubranie i przeszła do sypialni. Will stał przed komodą i wkładał koszulę. Ujrzała w lustrze odbicie jego szerokiej klatki piersiowej i ciemne plamy po przypaleniach prądem, biegnące w dół płaskiego brzucha pod dzinsy. W nocy dotknęła ustami każdy centymetr kwadratowy ciała Willa, ale w świetle dziennym w jego towarzystwie poczuła się skrępowana.

Zobaczył ją w lustrze. Mocniej związała szlafrok w talii. Zdążył już

pościelić łóżko. Poduszki leżały ułożone starannie u wezgłowia. Nie tak sobie wyobrażała ten ranek.

– Coś się stało? – zapytał.

Położyła złożone ubranie na łóżku.

– Przyjechała Faith.

– Tutaj? – Odwrócił się. W jego głosie zabrzmiał paniczny strach. – Po co? Skąd się dowiedziała?

– Ona o niczym nie wie. Prosiła, żebym po ciebie zadzwoniła. Boi się, że jej telefon jest na podsłuchu.

– Czy już wie o matce?

– Nie sądzę. – Uniosła rękę do piersi. Poprawiając szlafrok, czuła nagość pod spodem. – Mówiła, że ktoś ją śledzi. Zachowuje się jak paranoiczka. Jej poziom cukru jest poniżej wszelkich norm. Właśnie bierze insulinę. Jeśli wmusimy w nią coś do jedzenia, powinna dojść do siebie.

– Mam zrobić śniadanie?

– Sama coś jej przygotuję.

– Mogę... – Urwał, wyraźnie nieswój. – Może lepiej, żebym ja się tym zajął? Wiesz, dla Faith. A ty później coś mi ugotujesz.

No i po miesiącu miodowym. Teraz przynajmniej wiedziała, dlaczego poprzedniej nocy Bob pachniał jajecznicą.

– Zostanę tutaj, nie będę wam przeszkadzać – zaproponowała.

– A nie mogłabyś... – Zawahał się. – Chyba lepiej, żebyś przy tym była. Będę musiał ją poinformować o matce.

– Myślałam, że Amanda kazała ci z tym poczekać.

– Amanda mówi wiele rzeczy, z którymi się nie zgadzam.

Pokazał jej, żeby wyszła pierwsza. Idąc korytarzem, czuła, że jest tuż za nią. Mimo tego, co zaszło między nimi w nocy – między innymi w tym korytarzu – wydawał jej się obcy. Ścisnęła szlafrok, żałując, że nie zdążyła się przebrać.

Faith nadal siedziała przy kuchennym blacie. Część jej nerwowej energii wyparowała.

– Och! – rzuciła na widok Willa.

Był wyraźnie zażenowany. Podobnie jak Sara. Może dlatego był taki nieprzystępny. Zważywszy na to, co stało się z Evelyn Mitchell,



ich zażyłość wydawała się niestosowna.

– Wyluzujcie – uspokoiła ich Faith. – Cieszę się, że jesteście razem.

Will puścił tę uwagę mimo uszu.

– Doktor Linton mówi, że musisz coś zjeść – powiedział.

– Najpierw muszę z tobą porozmawiać.

Spojrzał na Sarę. Pokręciła głową.

– Najpierw śniadanie – zarządził.

Wyciągnął ze zmywarki patelnię. Jajka i chleb znalazł tam, gdzie być powinny. Faith patrzyła, jak szykuje śniadanie. Nie odzywała się. Sara nie wiedziała, czy to objaw kryzysu, czy po prostu nie wiedziała, co powiedzieć. Pewnie i jedno, i drugie. Z kolei Sara nigdy jeszcze nie czuła się tak skrepowana we własnym domu. Obserwowała Willa, gdy rozbijał jajka i smarował grzanki masłem. Robił to z zaciętą twarzą, nie patrząc na Sarę. Równie dobrze mogła zostać w sypialni.

Wyjął z szafki trzy talerze i nałożył jedzenie. Sara i Faith usiadły, ale on, mimo że był tam trzeci stołek, jadł na stojąco, opierając się o blat. Sara skubnęła nieco jedzenia. Faith wmusiła w siebie połowę jajecznicy i jedną grzankę. Will zmiotł talerz do czysta, dojadł grzanki Faith i Sary, po czym wyrzucił resztki do śmieci i wstawił talerze do zlewu. Obmył miskę, w której rozbełtał jajka, zalał wodą patelnię, a potem umył ręce.

W końcu odezwał się:

– Faith, muszę ci coś powiedzieć.

Pokręciła głową. Prawdopodobnie wiedziała, czego się spodziewać.

Oparł się plecami o blat. Nie nachylił się, nie wziął jej za rękę. Po prostu przekazał jej wieści, bez ogródek.

– Wczoraj wieczorem byłem w więzieniu stanowym Coastal. Rozmawiałem z facetem, który ma wysoką pozycję wśród handlarzy narkotyków. Nazywa się Roger Ling. – Nie spuszczał wzroku z Faith. – Nie ma dobrego sposobu, żeby ci o tym powiedzieć. Według niego twoją matkę zabito. Strzałem w głowę.

W pierwszej chwili nie odpowiedziała. Siedziała oparta łokciami o blat, z opuszczonymi rękami i otwartymi ustami.

– Nie, to nieprawda – odezwała się w końcu.

– Faith...

- Znaleźliście ciało?
- Nie, ale...
- Kiedy to się stało? Kiedy ci o tym powiedział?
- Późno, koło dziewiątej wieczorem.
- To nieprawda.
- To prawda, Faith. Ten facet wie, co mówi. Amanda twierdzi...
- Mam gdzieś, co twierdzi Amanda. – Znów sięgnęła do kieszeni. – Mandy nie ma pojęcia, o czym mówi. Facet, z którym gadałeś, kłamie. Zerknął na Sarę.
- Spójrz – powiedziała Faith, trzymając iPhone'a. – Widzisz? To profil Jeremy'ego na Facebooku. Wysyłają mu wiadomości. Odepchnął się od blatu.
- Co takiego?
- Wczoraj wieczorem spotkałam jednego z nich. W spożywczym. To jego dzieło. – Wskazała siniaki na twarzy. – Powiedziałam mu, że żądam dowodu życia matki. A dziś rano wysłał mi e-mail na konto Jeremy'ego na Facebooku.
- Co takiego? – powtórzył Will. Krew odpłynęła z jego twarzy. – Spotkałaś się z nim sam na sam? Dlaczego do mnie nie zadzwoniłaś? Mógł cię...
- Popatrz na to. – Pokazała mu telefon. Sara nie widziała obrazu, słyszała jedynie dźwięk.
- Jest poniedziałek, piąta trzydzieści osiem rano – rozległ się głos jakiejś kobiety. Potem przez chwilę słychać było tylko odgłosy w tle. – Faith, posłuchaj mnie. Nie rób nic z tego, co ci każą. Nie ufaj im. Po prostu zostaw tę sprawę. Ty, twój brat i dzieci jesteście moją rodziną. Jediną rodziną... – Nagle głos przybrał na sile. – Faith, to bardzo ważne. Przypomnij sobie okres, który spędziłyśmy razem, zanim Jeremy...
- Tutaj nagranie się urywa – oznajmiła Faith.
- O czym ona mówi? – spytał Will. – Okres, który spędziłyście razem przed Jeremym?
- Kiedy byłam w ciąży – wyjaśniła Faith. Zaczerwieniła się, choć od tamtej pory minęło blisko dwadzieścia lat. – Mama zamieszkała ze mną. Ona... – Pokręciła głową. – Bez niej nie dałabym sobie rady.

Wciąż mi powtarzała, że muszę być silna, że kiedyś to minie i wszystko się ułoży.

Sara oparła rękę na jej ramieniu. Nie potrafiła sobie wyobrazić cierpienia, jakie było udziałem tej kobiety.

Will gapił się na iPhone'a.

– Co leci w telewizji za jej plecami?

– „Dzień dobry Atlanto”. Sprawdziłam w stacji telewizyjnej. To prognoza pogody, emitowali ją pół godziny temu. Nad logo stacji widać zegar. Dwie minuty później dostałam ten plik.

Will podał telefon Sarze, wciąż jednak unikał jej wzroku.

Ciekawość zawsze była jej słabą stroną. Na blacie leżały okulary do czytania. Włożyła je, chcąc dostrzec najdrobniejsze szczegóły. Na ekranie widać było Evelyn Mitchell, siedzącą obok wielkiego telewizora plazmowego ze ściszoną dźwiękiem. Sara zobaczyła pogodynkę, która przedstawiała prognozę na najbliższe pięć dni. Evelyn patrzyła nie w obiektyw kamery, tylko gdzieś w bok, zapewne na filmującego ją mężczyznę. Z jej twarzy została krwawa miazga. Poruszała się sztywno, jakby odczuwała potworny ból. Pierwsze słowa, „Jest poniedziałek”, ledwo wybełkotała.

Kiedy film dobiegł końca, Sara odłożyła telefon.

Faith obserwowała ją uważnie.

– Co powiesz o jej stanie? – spytała.

Sara zdjęła okulary. Trudno wydawać opinię medyczną na podstawie ziarnistego nagrania filmowego, dla każdego było jednak oczywiste, że Evelyn Mitchell została ciężko pobita.

– Wygląda na to, że się trzyma – odparła.

– Też tak myślałam – rzekła Faith i zwróciła się do Willa: – Powiedziałam im, że się spotkamy w południe, ale w e-mailu podają dwunastą trzydzieści. W domu mamy.

– W domu twojej matki? – zdziwił się. – Przecież wciąż jest zabezpieczony jako miejsce zbrodni.

– Może już nie. Policja o niczym mnie nie informuje. Poszukam tego e-maila. – Faith znów przesunęła kciukiem po ekranie i podała iPhone'a Willowi. – Och – rzuciła, próbując mu go odebrać. – Zapomniałam, że...

– Mam go. – Wziął z blatu i włożył okulary Sary. Przez kilka sekund gapił się na wyświetlacz. Sara nie wiedziała, czy rzeczywiście odczytał wiadomość, czy tylko zaryzykował domysł, kiedy rzekł: – Chcą dostać forszę.

Faith odebrała mu telefon.

– Nie ma żadnej forsy – burknęła.

Patrzył na nią bez słowa.

– To nieprawda – ciągnęła. – Nie miała pieniędzy. Niczego nie udało ci się udowodnić. Nie była skorumpowana. Boyd i cała reszta brali w łapę, ale mama nigdy nie wzięła ani centa.

– Faith, twoja matka miała konto w banku – powiedział.

– I co z tego? Wszyscy mają konta.

– To rachunek założony w innym stanie. Na nazwisko twojego ojca. Ona wciąż nim dysponuje. Z tego, co wiem, przeszło przez niego jakieś sześćdziesiąt kawałków. Może istnieją konta w innych stanach, na inne nazwiska. Nie wiem.

Faith pokręciła głową.

– Nie. Kłamiesz.

– Dlaczego miałbym cię okłamywać?

– Bo nie potrafisz się przyznać, że nie miałeś racji. Że w nic nie była umoczona. – Do jej oczu napłynęły łzy. Wyglądała jak ktoś, kto zna prawdę, ale nie chce jej przyjąć do wiadomości. – A nie była.

Znów ktoś zapukał do drzwi. Sara uznała, że Abel Conford w końcu zauważył na parkingu dodatkowe samochody, ale znów się pomyliła.

– Dzień dobry, pani doktor. – Dla Amandy Wagner czekanie w korytarzu wyraźnie nienależało do przyjemności. Miała czerwone oczy, a na nosie ślady startego pudru. Skóra na policzkach była ciemna od podkładu i rumieńców.

Sara szerzej otworzyła drzwi. Znów mocniej ścisnęła szlafrok, zastanawiając się, skąd jej się wziął ten nerwowy tik. Pewnie stąd, że nie miała nic pod spodem, a czarny jedwab był cienki jak bibułka. Nie planowała podejmowania gości z samego rana.

Na widok Amandy Faith wpadła w furję.

– Co ty tu robisz? – spytała ostro.

– Dzwoniła Roz Levy. Podobno ukradłaś jej samochód.

– Zostawiłam jej kartkę.

– Dziwne, ale nie potraktowała tego jako prośby o zgodę na użyczenie auta. Na szczęście wyperswadowałam jej wzywanie policji.

– Amanda uśmiechnęła się do Willa. – Witam, doktorze Trent.

Udał, że nagle zainteresowały go płytki na podłodze kuchni.

– Chwileczkę – rzuciła Faith. – Skąd wiedziałas, gdzie mnie szukać?

– Roz zamontowała w wozie LoJacka. Dyspozytor był mi winien przysługę.

– LoJacka? Jej corvair ma dziewięćset lat. Nikt nie dałby za niego pięciu dolarów.

Amanda zdjęła żakiet i podała go Sarze.

– Przepraszam, że zakłócam pani poranek, pani doktor. Pięknie pani wygląda w rozpuszczonych włosach.

Wieszając żakiet do szafy, Sara zdobyła się na wymuszony uśmiech.

– Napije się pani kawy?

– Chętnie, dziękuję. – Amanda odwróciła się do Willa i Faith. – Chyba powinnam się pogniewać, że nie zostałam zaproszona na to przyjęcie?

Nikt się nie kwapił z odpowiedzią. Sara wyjęła z szafki trzy kubki i nalaa kawy. Usłyszała dochodzący z iPhone’a głos Evelyn Mitchell, gdy Faith puszczała nagranie nowemu gościowi.

Amanda kazała odtworzyć nagranie ponownie, a potem trzeci raz, po czym spytała:

– Kiedy to nadeszło?

– Nieco ponad pół godziny temu.

– Przeczytaj mi dołączoną do tego wiadomość.

– Dwunasta trzydzieści przy Little John trzysta trzydzieści dziewięć – odczytała Faith. – Przynieś forszę w czarnej płóciennym torbie. Nikogo nie zawiadamiaj, obserwujemy cię. Jeśli nie wykonasz instrukcji co do joty, ona zginie, a potem ty i twoja rodzina. Pamiętaj, co ci mówiłem.

– Roger Ling. – W głosie Amandy zabrzmiała powstrzymywana wściekłość. – Wiedziałam, że ten drań kłamie. Tym gnojkom nie wolno wierzyć na słowo. – Chyba uświadomiła sobie, że zabrzmiało to nieco dwuznacznie, więc ze zdumieniem rozdziawiła usta. – Ona

żyje! – Roześmiała się. – Mój Boże, wiedziałam, że staruszka nie podda się bez walki. – Złapała się za pierś. – Jak mogłam uwierzyć, że... – Pokręciła głową. W uśmiechu otworzyła usta tak szeroko, że w końcu zakryła je ręką.

Will zadał bardziej istotne pytanie:

– Dlaczego chcą się spotkać w domu twojej matki? Tam nie jest bezpiecznie. Nie będą mieli przewagi. To bez sensu.

– Znają teren – odparła Faith. – I łatwo go mieć na oku.

– Niemożliwe, żeby już zwolnili miejsce zbrodni – zaprotestował. – Czynności śledcze potrważą jeszcze ładne kilka dni.

– Widocznie porywacze wiedzą coś, o czym my nie wiemy – podsunęła Amanda.

– Może ją sprawdzają – upierał się. – Jeśli wycofamy stamtąd techników, wyjdzie na to, że Faith zawiadomiła policję. Albo nas. – Po czym zwrócił się do partnerki: – Podjeżdżając pod dom, wystawisz się na odstrzał. Wchodząc do środka, wpadniesz prosto w ich ręce. Co ich powstrzyma przed zabiciem cię i zabraniem pieniędzy? Zwłaszcza że nie możemy obstawić terenu przez jednostkę specjalną.

– Da się załatwić – zaprzeczyła Amanda. – Do dzielnicy prowadzą tylko trzy drogi, muszą wyjeżdżać jedną z nich. Bez względu na to, którą wybiorą, zasadzimy się na nich.

Nie zwracając uwagi na chojraczenie szefowej, otworzył szufladę obok lodówki i wyjął długopis oraz notatnik. Niezdarnie ujął długopis, trzymając go między środkowym i serdecznym palcem. Sara patrzyła, jak rysuje wielkie T na całą stronę, a następnie dodaje dwa koślawe kwadraty – jeden na końcu ramienia litery T, drugi u jej podstawy. Miał o wiele lepszą pamięć przestrzenną, niż sądziła, a z drugiej strony zapewne wielokrotnie bywał w domu swojej partnerki.

– Dom Faith stoi na rogu, tutaj – wyjaśnił. – Evelyn mieszka tu, przy Little John. – Nakreślił palcem literę L między tymi domami. – A tutaj mamy otwartą przestrzeń. W tym miejscu mogą zablokować skrzyżowanie i ją zdjąć. Albo zaparkować furgonetkę w tym samym miejscu i zastrzelić ją z dystansu. Jeżeli Faith wjedzie na podjazd, tutaj, zastawią ją tym czarnym furgonem. Dwie kulki w głowę, tak jak

z Castillo w magazynie, ewentualnie ją porwą i pięć minut później będą na międzystanowej albo na Peachtree Road. Mogą też ułatwić sobie życie i ustawić się tutaj... – Narysował okrąg obok domu Evelyn. – Pod wiatą Roz Levy. Jest tam murek, za którym można się ukryć ze strzelbą. Okno łazienki domu Evelyn wychodzi na dom pani Levy, a że jest położony na spadku terenu, z posesji staruszki można obserwować drzwi kuchenne, samemu pozostając niewidocznym. Faith podejdzie do drzwi z torbą pełną gotówki i wtedy ją kropną.

Amanda wzięła ołówek i przerobiła podstawę T na kółko.

– Little John zawraca – powiedziała. – W całej dzielnicy ulice się zawijają. – Narysowała więcej krzywizn. – To jest Nottingham Friar Tuck. Robin Hood. Beverly. Lionel. – Na końcu kreski zakreśliła wielki krzyżyk. – Tutaj Beverly łączy się z Peachtree, którą prędzej czy później musi przejechać każdy pojazd. Jadąc nią w drugą stronę, wpadamy w niekończącą się pętlę Ansley Park. Tak samo jest na Lionel. To wąskie gardła. Mieszkańcy większości posesji w tej okolicy mają miejsca parkingowe na ulicach. Moglibyśmy postawić po dziesięć samochodów w każdym punkcie i nikt nie zwróciłby na to uwagi.

– Nie przejmuję się ich drogą ucieczki – rzekł Will. – Mnie martwi to, że Faith miałaby wejść do tego domu sama. Jeżeli obserwują dom, to nie przeoczą, gdy pojawi się tam ktoś, kogo być nie powinno. Na rozpracowanie rozkładu dzielnicy mieli co najmniej bite trzy dni, albo i więcej. Nawet jeżeli wycofamy techników, tamci będą liczyć, ile osób wchodzi do domu, a ile wychodzi.

Amanda przewróciła kartkę na drugą stronę. Naszkicowała z grubsza rozkład domu, opisując każde pomieszczenie.

– Faith wchodzi przez kuchnię. Tutaj jest hol, wychodzący na salon. Tutaj, po lewej... mojej lewej... są półki z książkami, zajmujące całą ścianę. Sofa stoi tutaj, a tu, po prawej, jest taki wielki fotel. Tutaj i tutaj stoją dwa inne fotele. Tu jest aparatura stereo. Na wprost holu mamy przesuwane szklane drzwi. – Postukała długopisem w coś, co miało być główną sypialnią. – Będą trzymali Ev tutaj, dopóki Faith nie zjawi się z pieniędzmi, a wtedy zaprowadzą ją do salonu. Idealne pomieszczenie – aż prosi się, żeby właśnie tu dokonać wymiany.

– W tej sprawie nic nie jest oczywiste. – Will wziął długopis. – Nie możemy obstawić okien od frontu, bo nie wiemy, kto obserwuje dom. Nie możemy obstawić podwórka na tyłach posesji, bo sąsiedzi mają na nie doskonały widok i dostrzegliby z okien każdy ruch. Nadal nie wiemy, ilu młodziaków zostało w ich ekipie. Może jeden, może trzech, a może setki. – Rzucił długopis. – Nie podoba mi się to, Faith – rzekł stanowczo. – Nie możesz tam wejść. Nie na ich warunkach. Wymyślimy inny sposób, jak to załatwić. Zaproponujemy inne miejsce, które będziemy mogli zabezpieczyć z takim wyprzedzeniem, żeby nic ci nie groziło.

– Nie bądź takim fatalistą, Will. – Ton Amandy świadczył o jej irytacji. – Mamy sześć godzin. Znamy rozkład domu, to równoważy wszystkie ich atuty. Znam wszystkie starsze babki w tej dzielnicy. To ulica willowa. Kręcą się tam ci, co uprawiają jogging, dostawcy, technicy od kablówki, faceci sprawdzający parkomaty, listonosze i spacerowicze, między których możemy się wmieszać. W ciągu kilku godzin mogę wprowadzić tam cztery ekipy i nikt się nie zorientuje. Nie jesteśmy malowanymi policjantami. Wymyślimy, jak to przeprowadzić.

– Pójdę zamiast niej – zaproponował Will, na co Sarze serce podeszło do gardła.

– Raczej trudno cię będzie ucharakteryzować na Faith.

– Wyślemy im e-mail z wiadomością, że to ja dokonam wymiany. Roger Ling wie, jak wyglądam. Nawet jeśli nie jest w to zamieszany, to z przyjemnością śledzi ten spektakl. Wie, kim są ci ludzie. Może ich zapewnić, że jestem godny zaufania.

Sara z ulgą zobaczyła, że Amanda kręci głową, zanim jeszcze skończył mówić.

– Tak będzie bezpieczniej – upierał się. – Bezpieczniej dla Faith.

Jak zwykle, Amanda się nie cackała.

– W życiu nie słyszałam od ciebie równie kretyńskiego pomysłu. Przemyśl sobie wydarzenia z ostatnich dwóch dni. Julia Ling wyłożyła nam kawę na ławę. To amatorszczyzna. Mamy do czynienia z bandą durnych gówniarzy, którym się zdaje, że to zabawa w policjantów i złodziei. Zanim się połapią, co jest grane, trafią za



kratki albo do piachu.

Will nie był przekonany.

– Może to są gówniarze, ale nie wiedzą, co to strach. Zabili już mnóstwo ludzi. Wiele razy głupio ryzykowali.

– Nie ma głupszego ryzyka niż wysyłanie ciebie zamiast Faith. To najpewniejsza metoda, żeby ktoś zginął. Zrobimy to po mojemu – zawyrokowała Amanda. – Opracujemy strategiczny plan rozstawienia naszych ludzi. Ani na chwilę nie spuścimy Faith z oczu. Zaczekamy, aż porywacze przywiozą Evelyn. Faith dokona wymiany, a wtedy zgarniemy ich podczas próby ucieczki.

Will nie zamierzał rezygnować i nadal obstawał przy swoim.

– Ona nie może tego zrobić. Nie może pójść tam sama. Albo ją zastąpię, albo wymyślimy coś innego.

– Jeśli nie pójdę sama, moja matka zginie – zaprotestowała Faith.

Will spuścił wzrok. Najwyraźniej nadal poważnie brał pod uwagę możliwość, że Evelyn Mitchell nie żyje. Sara w duchu przyznawała mu rację. Ten plan nie stwarzał nadziei na odzyskanie Evelyn. Brzmiało to jak plan wystawienia Faith na pewną śmierć. Amanda tak się zawzięła na uratowanie przyjaciółki, że była ślepa na skutki uboczne.

Z tego wszystkiego Sara zupełnie zapomniała o kawie. Jeden kubek zatrzymała dla siebie, a pozostałe podała Amandzie i Willowi.

– Dzięki. – Wziął kubek niezdarnie, zupełnie jakby uważał, żeby ich dłonie przypadkiem się nie zetknęły.

– On nie pije kawy – powiedziała Faith. – Ja ją wezmę.

Sara poczuła, że policzki palą ją żywym ogniem.

– W tej chwili kawa może ci tylko zaszkodzić – powiedziała.

Will odchrząknął.

– Nie ma sprawy, od czasu do czasu pijam. – Upił łyk z kubka i skrzywił się, przełykając.

Sara miała już tego serdecznie dość. Czowała się nie na miejscu, jakby wyśpiewywała polki, wtórując sobie na akordeonie.

– Zostawię was, żebyście mogli pogadać spokojnie – mruknęła.

– Jeśli wolno, pani doktor, wolałabym, żeby był przy tym ktoś bezstronny – zatrzymała ją Amanda.

Chociaż to niemożliwe, pod obstrzałem spojrzeń wszystkich obecnych Sara poczuła się jeszcze bardziej naga. Spojrzała na Willa, szukając u niego pomocy, lecz odpowiedział jej wzrokiem tak beznamietnym, jakim pewnie patrzył na urzędniczki w banku albo na śmieciarza.

Z braku wyboru usiadła obok Faith.

Amanda zajęła drugi stółek.

– No dobra, powtórzmy sobie wszystko, co wiemy, żebyśmy byli na bieżąco. Will, opowiedz nam, co i jak – poleciła.

Odstawił kubek kawy i zaczął mówić. Zdał Faith pełną relację o tym, co się wydarzyło od czasu uprowadzenia Evelyn, nie pomijając szczegółowego opisu ich wizyt u Boyda Spiveya w Coastal oraz u jego małomównych byłych kolegów w więzieniu stanowym Valdosta. Faith otworzyła usta ze zdumienia, gdy usłyszała, że Roz Levy zrobiła zdjęcia adoratorowi Evelyn. Nie odezwała się jednak, a Will opisał jej ze szczegółami przejścia Sary w szpitalu i strzelaninę w magazynie Julii Ling. Podczas tej części opowieści Sara poczuła znajomy ucisk w piersi. Rozcięte ucho. Kula świsnęła dosłownie o włos od jego czaszki.

– Ricardo Ortiz i Hironobu Kwon znali się ze szkoły – ciągnął Will.

– Obaj chodzili do Westminster. Najprawdopodobniej pracowali razem przy montażu szafek u Ling-Ling. Wbili sobie do głów, że założą własny biznes. Dobrali ekipę złożoną z innych pracowników warsztatu. Ricardo poleciał do Szwecji i przywiózł trochę heroiny, żeby mieli czym pohandlować. Jeśli wierzyć Rogerowi Lingowi, chłopaki przechwalały się tym na prawo i lewo. Benny Choo, cyngiel na usługach Żółtych Buntowników, dorwał Ricarda i sprzął go na kwaśne jabłko. Już miał go załatwić, kiedy Ricardo, a może Hironobu, powiedział mu, gdzie mogą zdobyć naprawdę duże pieniądze.

Faith, która dotąd słuchała w milczeniu, mruknęła:

– U mamy.

– Otóż to – przytaknął Will. – Chuck Finn i Hironobu Kwon co najmniej przez miesiąc przebywali na odwyku w tym samym ośrodku. Widocznie Chuck powiedział Hironobu o pieniądzach. Skoro Ricardowi groziła śmierć, Hironobu powiedział: „Wiem, skąd zdobyć

prawie milion w gotówce”. A Benny Choo przyjął jego ofertę.

– I właśnie tego szukali w domu Evelyn – przejęła pałeczkę Amanda. – Sądzieli, że trzyma pieniądze w domu. A że nie chciała ich oddać, porwali ją.

Sara pomyślała, że Amanda wyjątkowo zręcznie pominęła taki drobiazg, że w bagażniku Evelyn znaleziono zwłoki Hectora Ortiza, kuzyna jednego z najpotężniejszych baronów narkotykowych w Atlancie. Powinna wprowadzić język za zębami, ale w końcu była u siebie, oni wtrynili się bez uprzedzenia. Zresztą miała powyżej uszu silenia się na grzeczność.

– To nie wyjaśnia, co tam robił Hector Ortiz – powiedziała.

Amanda uniosła brew.

– Istotnie, nie wyjaśnia – rzuciła.

Sara nie pracowała dla niej. I nie zamierzała się z nią certolić.

– A pani nie zamierza tego wytłumaczyć? – zapytała.

Usta Amandy wykrzywił krokodylowy uśmiech.

– W tym wszystkim najważniejsze jest to, że porwano ją dla okupu – odparła. – A z ludźmi, którym zależy na forsie, można negocjować.

– Tu nie chodzi o pieniądze – oświadczył Will.

– Nie mamy czasu na zgłębianie kobiecej intuicji damy twojego serca – warknęła Amanda.

Nie ustąpił.

– Próbuje zwabić Faith do tego domu z konkretnego powodu – powiedział zmęczonym głosem. – Jeżeli wkroczymy, nie znając ich intencji, to się źle skończy. Dla nas wszystkich. – W tym, co mówił, był głęboki sens, a jednak Sara widziała, że Amanda tego nie kupuje. Mimo to próbował dalej. – Słuchajcie, gdyby chodziło o pieniądze, to zażądałiby okupu już pierwszego dnia. Nie graliby z nami w ping-ponga za pośrednictwem Facebooka. Nie ryzykowałiby spotkania sam na sam z Faith w sklepie spożywczym. Byłaby to prosta transakcja. Zadzwoń. Odebrać forszę. Zostawić gdzieś zakładniczkę i hulaj dusza.

Znów rozsądny argument. I znów Amanda go zignorowała.

– To nie jest żadna tajemnicza rozgrywka – powiedziała. – Zależy im na gotówce, więc ją dostaną. Wepchniemy im ją do gardeł tak głęboko, że w drodze do mamra będą srali papierem.

– Will ma rację. – Faith słuchała tej wymiany zdań wpatrzona tępo przed siebie, ale odkąd wyrównał się jej poziom cukru, zaczęła myśleć jak detektyw. – A co z tym kontem?

Amanda wstała, żeby dolać sobie kawy.

– Konto nie ma tu nic do rzeczy – odparła.

Will wyglądał, jakby chciał zaprotestować, ale z siebie tylko wiadomych powodów milczał.

– Twój ojciec był hazardzistą – zwróciła się Amanda do Faith.

Ta pokręciła głową.

– To nieprawda.

– Co weekend grał w pokera.

– Stawki wynosiły ćwierć dolara. – Faith wciąż kręciła głową. – Tata sprzedawał polisy ubezpieczeniowe. Nie znosił ryzyka.

– Wcale nie ryzykował. Grał bardzo ostrożnie. – Amanda obeszała wyspę w kuchni i usiadła obok Faith. – Jak często wyjeżdżał z Kennym do Vegas, kiedy byłaś mała?

Faith nie dała się przekonać.

– To były wyjazdy służbowe.

– Sama wiesz, że twój ojciec podchodził do tego metodycznie. Jak zresztą do wszystkiego. Potrafił blefować i wiedział, kiedy odejść od stolika. Kenny nie był równie mądry, ale to historia na inną okazję. – Spojrzała na Willa. – Bill nie płacił podatków od wygranych. Dlatego trzymał to konto w tajemnicy.

Sara wyczytała z twarzy Willa, że jest równie zbity z tropu jak ona. Po przekroczeniu pewnej kwoty wygranej nie da się wyjść z kasyna w Vegas, zresztą z żadnego legalnego kasyna w Stanach Zjednoczonych, nie zapłaciwszy podatku.

Faith nie podjęła tematu.

– Nie wyobrażam sobie, żeby tata mógł tak ryzykować. On nie znosił hazardu. Stale ochrzaniał swojego brata za to, że gra.

– Nie za to, że grał, tylko za to, że idiotycznie trwonil pieniądze – odpaliła Amanda. Gorycz w jej głosie przypomniła Sarze, że szefowa Willa przez wiele lat była z Kennym. – Tata traktował to wyłącznie jak zabawę, chwilę relaksu. Czasami wygrywał kupę forsy, czasami trochę przegrywał, ale zawsze wiedział, kiedy przerwać. Nie był od

tego uzależniony. Grał dla sportu.

Will w końcu zabrał głos:

– Dlaczego Evelyn nie powiedziała mi tego, kiedy prowadziłem śledztwo przeciwko niej?

Amanda uśmiechnęła się.

– Podczas przesłuchań praktycznie nic ci nie powiedziała.

– Owszem – przyznał. – Ale łatwo mogła się oczyścić z podejrzeń, gdyby tylko...

– Nie było żadnych podejrzeń – wpadła mu w słowo Amanda, po czym zwróciła się do Faith: – To twoja matka wsypała swoją ekipę. I dlatego nazwali ją Almeja. Była kapusiem.

– Słucham?! – Zdumienie Faith było niemal namacalne. Rzuciła okiem na Willa, jakby potrafił jej to wyjaśnić. – Dlaczego nic mi nie powiedziała?

– Dlatego, że próbowała cię chronić – odparła Amanda. – Im mniej wiedziałas, tym mniej ci groziło.

– Wobec tego dlaczego mówisz jej o tym teraz? – spytał Will.

Amanda się wkurzyła.

– Bo nie odczepicie się od tego durnego konta, choćbym wam powtarzała do usranej śmierci, że to nie ma nic do rzeczy.

Will, który wcześniej odstawił kubek na blat, przekręcił go tak, że uchwyt był równoległy do ściany.

Faith wyraziła na głos to, co również Sarze chodziło po głowie:

– Jak wpadła na to, że podbierali pieniądze?

Amanda wzruszyła ramionami.

– Czy to ważne?

– Owszem – rzekł Will. Najwyraźniej chciał poznać całą historię, żeby móc znaleźć w niej dziury.

Amanda odetchnęła głęboko i zaczęła opowieść:

– Zrobili nalot na osiedle w East Point, na południu miasta. Evelyn wkroczyła ze swoją ekipą do mieszkania. Skoro świt. Tamci wciąż spali, skacowani po upojnej nocy, a na stoliku leżała sterta forsy i tyle koki, że można by uśpić słonia. – Uśmiech wrócił na jej twarz, wyraźnie lubiła tę historię. – Ludzie Evelyn zgarnęli ich i wyprowadzili na ulicę. Skuli ich i rzucili na kolana przed drzwiami

radiowozów, żeby nie zapomnieli, kto tu rządzi. Wtedy zleciały się media, a Boyd nigdy nie potrafił im się oprzeć. Ustawił ekipę do zdjęcia, z bandziorami w tle. Scena jak z Aniołków Charliego. Twoja matka tego nie znosiła. Kiedy zjawiała się prasa, zwykle zmykała do biura i zajmowała się papierkami. Tym razem ulica była zablokowana, więc wróciła do mieszkania, żeby się rozejrzeć. Sama. – Amanda wydeła usta. – Na początek zwróciła uwagę, że sterta forsy nie jest już taka wielka jak przedtem. Mówiła, że kiedy wyważyli drzwi, banknoty były ułożone w piramidę. Wiesz, że twoja matka zawsze wchodziła pierwsza. – Faith przytaknęła ruchem głowy. – Powiedziała, że od razu zauważyła tę piramidę, bo Zeke...

– Wszystko ustawiał w piramidy – dokończyła za nią Faith i dodała:  
– Kiedy miał dziesięć, jedenaście lat, zaczął stawiać piramidy ze wszystkiego... z książek, klocków Lego, modeli samochodów.

– Twoja matka podejrzewała go o autyzm. Może i miała rację – ciągnęła Amanda. – Tak czy siak, grunt, że zauważyła tę piramidę. Bo kiedy wróciła do mieszkania, został z niej mały klocek. Od tej pory zaczęła uważnie przyglądać się swojej ekipie, słuchała, co w trawie piszczy, sprawdzała, które śledztwa zakończyły się sukcesem, a które klapą, bo przepadły dowody rzeczowe albo zaginął świadek. A kiedy już nabrała pewności, przysłała z tym do mnie.

– A podobno nie wiedziałaś, kto kablował... – zauważył Will.

– Evelyn należało przeświecić tak samo jak wszystkich innych. Nie mieliśmy do czynienia z aniołkami. Boyd i cała ekipa zgarniali tony szmalu. Poza tym brali w łapę za przymykane oka. Ktoś, kto paskudzi ludziom taki interes, ryzykuje życie. Evelyn należało chronić. Dlatego postanowiliśmy ogłosić, że dostaliśmy anonimowy cynk, i wymaglować ją tak samo jak wszystkich.

– Przecież musieli podejrzewać, że to mama ich sypnęła – powiedziała Faith. – Tylko ona nie brała w tym udziału.

– Podejrzewać a wiedzieć to wielka różnica. – W głosie Amandy zabrzmiało napięcie. – Poza tym Boyd Spivey ją osłaniał. Rozpuścił wieści, że nie wolno jej tknąć. Zawsze brał jej stronę. Przypuszczam, że właśnie dlatego go sprzątnęli. Nie przejmowali się inwigilacją przez GBI i policję, ale ktoś z jajami jak Boyd mógł im zaleźć za skórę

dużo bardziej niż my.

Faith milczała, pewnie rozmyślała o zabitym mężczyźnie, który osłaniał jej matkę. Z kolei Sara zadumała się nad tym, ile czasu i pieniędzy ktoś zechciał poświęcić na zgładzenie faceta, który i tak żył przecież w oczekiwaniu na wyrok śmierci. Wszystko zostało starannie zaplanowane i wykonane przez ludzi, którzy znali słabe punkty Evelyn Mitchell – jej mięśniaka, Boyda Spiveya; jej córkę, Faith; no i najlepszą przyjaciółkę, Amandę. Coraz bardziej wyglądało to na akt zemsty, a nie porwanie dla okupu. Sara widziała, że Will doszedł do tych samych wniosków. Ale kiedy się odezwał, jak zwykle nie poruszył tego, co oczywiste.

– To ty usunęłaś wzmiankę o koncie z mojego raportu? – zapytał Amandę.

– Nie jesteśmy skarbówką – odparła, wzruszając ramionami. – Nie ma powodu karać człowieka za to, że postąpił, jak należy.

Sara widziała, że Will jest wściekły, ale nie odpowiedział. Nawet nie zagotował się ze złości. Włożył tylko ręce do kieszeni i oparł się plecami o blat. Dotąd się z nim nie pokłóciła, a i teraz nie zakładała, że kiedyś może do tego dojść, ale gdyby jednak, wyobraziła sobie, że wszelkie próby awanturowania się z nim byłyby z góry skazane na niepowodzenie.

Faith najwyraźniej nie dostrzegała dziur w opowieści Amandy. Ale zważywszy na to, że jej poziom cukru od kilku dni skakał w górę i w dół jak dziecięce jojo, to i tak cud, że w ogóle nie spadała ze stołka. Dlatego Sara pomyślała, że się przesłyszała, kiedy w końcu usłyszała słowa Faith:

– Zostawili mi pod poduszką jej palec.

Amanda nawet nie mrugnęła okiem.

– Gdzie go masz? – spytała.

– W szafce na lekarstwa. – Faith zakryła usta ręką. Wyglądała, jakby miała zwymiotować. Sara zerwała się z miejsca i chwyciła kosz na śmieci, ale Faith dała jej znak, że nie trzeba. – Nic mi nie jest. – Kilka razy odetchnęła głęboko.

Sara wyjęła z szafki szklanekę i nalała wody. Faith wypijała łąpczywie, przełykając głośno.

Sara znów napełniła szklanekę i postawiła przed nią. Oparła się o blat, nie spuszczać z niej wzroku. Niecały metr dalej stał Will. Wciąż trzymał ręce w kieszeniach. Miała wrażenie, że między nimi powiało chłodem jak zimny przeciąg.

Faith upiła łyk wody i odezwała się:

– Próbowali dorwać Jeremy’ego. Wysłałam go z miasta pod opieką brata. Emmę też. A potem poszłam na zakupy i ten facet dopadł mnie w łazience.

– Jak wyglądał? – spytała Amanda.

Faith podała im szczegółowy rysopis: wzrost, wagę, strój, akcent.

– Moim zdaniem to Latynos. Ale miał niebieskie oczy. – Spojrzała na Sarę. – Czy to normalne?

– Niezbyt częste, ale wcale nie takie rzadkie – odparła Sara i wyjaśniła: – Meksyk zasiedlili Hiszpanie. Niektórzy zmieszali się z rdzenną ludnością. Nie wszyscy Meksykanie mają śniadą skórę i czarne włosy. Niektórzy są blondynami o jasnej cerze. I mają niebieskie albo zielone oczy. To gen recesywny, ale się ujawnia.

– I ten facet miał niebieskie oczy? – upewniła się Amanda.

Faith skinęła głową.

– A jakieś tatuaże?

– Wąż na szyi.

Tym razem to Amanda kiwnęła głową.

– Roześlemy rysopis. W najgorszym wypadku dostaniemy listę Latynosów w wieku od osiemnastu do dwudziestu lat, o niebieskich oczach. – Nagle coś sobie przypomniała. – Sprawdzanie salonów tatuażu nie dało rezultatów. Ten, kto wytatuował archanioła Gabriela Marcellusowi Estevezowi, mieszka w innym stanie, nie jest oficjalnie zarejestrowany albo nie chce gadać.

– Było w nim coś znajomego – dorzuciła Faith. – Myślałam, że kiedyś go aresztowałam, ale powiedział, że nie.

– I na pewno mówił prawdę. – Amanda wyciągnęła blackberry i nie przestając mówić, zaczęła pisać. – Każę tym z archiwum przejrzeć wszystkie twoje raporty. Znam kogoś w policji, kto po cichu zajrzy do spraw, które prowadziłaś przed przejściem do nas.

– Wątpię, żebyś coś znalazła. – Faith pomasaowała skronie. – On jest



w wieku Jeremy'ego. Może się znają. Może chodzili razem do szkoły. Sama nie wiem.

Amanda skończyła pisać e-mail.

– Pytałaś syna?

Faith przytaknęła ruchem głowy.

– Opisałam mu go z grubsza wczoraj wieczorem. Nie zna nikogo, kto tak wygląda. W każdym razie nikogo takiego nie pamięta.

– A ty pamiętasz coś jeszcze? – spytał Will.

Widać było, że Faith nie ma ochoty o tym mówić.

– W sumie to głupie. Może... – Spojrzała na Sarę. – Poziom cukru mi wariował. Pewnie miałam halucynacje.

– Jakie? – zapytała Sara.

– No... – Pokręciła głową. – To głupie. Sztućce w szufladzie leżały nie tak. – Roześmiała się z własnych urojeń. – To naprawdę głupota. Nie ma o czym mówić.

– Słuchamy – ponagliła ją Sara. – Co było nie tak?

– Widelce leżały zwrócone w odwrotną stronę. Łyżki też. A długopisy znalazłam nie w tej szufladzie. Zawsze odkładałam je na to samo miejsce, i... A potem przeszłam do salonu i wszystkie śnieżne kule stały odwrócone do ściany. Normalnie stoją frontem do pokoju. Bardzo o nie dbam, należały do mojego ojca. Co tydzień je odkurzam. Synowi nie wolno ich ruszać, a Zeke ma je gdzieś, więc... – Pokręciła głową. – Bo ja wiem? Może sama poprzestawiałam je w nocy i nie pamiętam. A może tylko mi się zdawało, że są odwrócone. Ale pamiętam, że je odwracałam z powrotem, więc... – Ukryła twarz w dłoniach. – Odkąd to się stało, wciąż mijam się z rozumem. Nie wiem, co się dzieje naprawdę, a co nie. Może rzeczywiście zwariowałam? Czy to mogą być halucynacje?

– Twoje wyniki są zmienne, ale nie wskazują na obłąd z powodu zaburzenia metabolizmu – powiedziała Sara. – Nie jesteś odwodniona, ale niewątpliwie żyjesz w wielkim stresie. Czy czujesz się, jakbyś się przeziębila albo złapała jakąś infekcję? – spytała, na co Faith pokręciła głową. – Spodziewałabym się mętliku w głowie, co widzieliśmy, oraz paranoi, do której masz pełne prawo, ale nie prawdziwych halucynacji. Odwracanie śnieżnych kul to coś, co raczej

robią dzieci, żeby zwrócić na siebie uwagę – dodała. – Jesteś pewna, że to nie sprawka twojego syna?

– Nie pytałam go. Krępuję się o tym mówić. To na pewno nic takiego.

Jednak Amanda kręciła głową.

– Jeremy by tego nie zrobił, zwłaszcza w obecnej sytuacji. Nie narażałby cię na jeszcze większy stres. Ma prawie dwadzieścia lat. Już wyrósł z takich rzeczy.

– Może sobie to tylko wyobraziłam – powiedziała Faith. – Po co tamci mieliby odwracać śnieżne kule? – Nagle przypomniała sobie coś jeszcze. – I wykręcać żarówki?

Amanda westchnęła.

– Nieważne. Teraz liczy się to, żebyśmy opracowali wspólny plan. – Spojrzała na zegarek. – Dochodzi siódma. Musimy uruchomić szare komórki.

– Will ma rację – oświadczyła Faith. – Oni obserwują dom mamy. Mój również, wiem o tym. Jeżeli sprowadzimy policję...

– Nie planuję robić czegoś tak głupiego – przerwała jej Amanda. – Nadal nie wiemy, czy Chuck Finn maczał w tym palce, czy nie. – Faith otworzyła usta, żeby zaprotestować, lecz Amanda powstrzymała ją ruchem ręki. – Wiem, że waszym zdaniem Chucka sprowadzono na złą drogę, na którą inni weszli z własnej woli, ale albo jest winny, albo nie, tu nie ma stadiów pośrednich. Wziął pieniądze. Wydał je. Przyznał się do swoich przestępstw, a teraz wyszedł na wolność i krąży gdzieś, zżerany wyjątkowo kosztownym nałogiem. Nie zapominajcie też, że on wciąż ma przyjaciół w tutejszej policji, a w razie czego stać go na to, żeby każdego przekupić. Wiem, że wam się to nie podoba, ale nie da się ukryć, że albo dał cynk Hironobu Kwonowi, albo to on sam pociąga za sznurki w tej nowej grupie młodych cyngli.

– To zupełnie niepodobne do Chucka – zaprotestowała Faith.

– Kradzież pieniędzy z nalotów też była do niego niepodobna, a co się okazało? – odparła Amanda i zwróciła się do Willa: – Mówiłeś, że przed domem Roz Levy jest dobre miejsce na zasadzkę. Nie ma mowy, żeby udało im się tam ulokować. Gdyby tylko zjawili się na

podjeździe, wystrzelałyby ich jak kaczki.

– To prawda – przyznała Faith. – Pani Levy nie umknie nic z tego, co dzieje się na ulicy.

– Chyba że u sąsiadki akurat kogoś zabijają albo porywają – mruknął Will.

Amanda puściła tę kąśliwą uwagę mimo uszu.

– Chodzi o to, Will, że równie dobrze to my, a nie oni, możemy się tam zasadzić. Raczej nie zapakujemy cię do największego pudła na świecie, więc musimy wymyślić, jak cię przemycić z karabinem do wiaty Roz Levy w taki sposób, żeby nikt tego nie zauważył. – Spojrzała na Faith. – Jesteś pewna, że nikt cię nie śledził w drodze tutaj?

Faith pokręciła głową.

– Byłam bardzo ostrożna. Nikt za mną nie jechał.

– Dzielna dziewczynka – pochwaliła ją Amanda. Znow była w swoim żywiole, rwała się do działania. – Muszę podzwonić tu i tam i sprawdzić, co się dzieje w domu Evelyn. Tamci nie zaproponowaliby spotkania w takim miejscu, gdyby wiedzieli, że ekipa techników wciąż pracuje. Zobaczymy, może Charliemu też uda się czegoś dowiedzieć. A gdyby nic z tego nie wyszło, w strefie szóstej pracuje jeszcze kilka starych kumpeli, które są mi winne przysługę i które chętnie pokażą małodatom, jak się załatwia sprawy. Doktor Linton?

Sara z zaskoczeniem usłyszała swoje nazwisko.

– Tak?

– Dziękuję, że poświęciła nam pani czas. Wierzę, że zachowa pani to nasze spotkanko dla siebie?

– Oczywiście.

Faith stanęła za Amandą.

– Dziękuję – powiedziała. – Po raz kolejny.

Sara uściskała ją.

– Uważaj na siebie.

Przyszła kolej na Willa. Podał jej rękę.

– Pani doktor – rzekł.

Spojrzała w dół, zastanawiając się, czy też ma halucynacje, tak jak Faith. Will podawał jej rękę na pożegnanie.

Faith mruknęła coś, czego Sara nie dosłyszała.

Amanda podeszła do garderoby przy wyjściu. Sara pomyślała, że uśmiech na jej twarzy nie wynikał z radości na widok swojego żakietu.

– Znam wielu sąsiadów Evelyn. To głównie emeryci. Myślę, że z wyjątkiem tej jędzy z naprzeciwka wszyscy bez problemu pozwolą nam skorzystać ze swoich domów. Muszę skombinować forszę. Sądzę, że mi się uda, chociaż kiepsko stoimy z czasem. – Włożyła żakiet. – Faith, wracaj do domu i czekaj na sygnał od nas. Przypuszczam, że będziesz musiała wyskoczyć do jednego czy dwóch banków. Will, idź do domu i zmień koszulę. Ta ma wystrzępiony kołnierzyk i brakuje guzika. A przy okazji zacznij budować konia trojańskiego albo wymyśl, jak uwieść Roz Levy. Przed godziną była gotowa zapuszkować Faith. Bóg wie, co ją dziś ugryzło w ten pomarszczony tyłek.

– Tak jest.

Sara otworzyła im drzwi. Amanda ruszyła do windy. Will, jak zawsze szarmancki, przepuścił Faith przodem.

Sara zamknęła za nią drzwi.

– Co... – zdążył powiedzieć, zanim zamknęła mu usta palcem.

– Kochany, wiem, że masz zadanie do wykonania, i wiem, że to będzie niebezpieczne. Ale jeśli jeszcze raz zrobisz mi to, co tej nocy, a potem spróbujesz się wykpić uściskiem ręki, to dopiero wtedy będziesz w prawdziwych opałach. Rozumiemy się?

Przełknął ślinę.

– Zadzwoń później. – Pocałowała go na pożegnanie i otworzyła mu drzwi.

## Rozdział 17

Will prenumerował wiele czasopism motoryzacyjnych, głównie ze względu na zdjęcia, czasami jednak czuł się w obowiązku przeczytać jakiś artykuł. Stąd wiedział, że należący do Roz Levy chevrolet corvair 700 sedan z roku 1960, w kolorze awokado, jest wart znacznie więcej niż pięć dolarów, na które wyceniła go Faith.

Było to istne cacko, jeden z klasycznych modeli, które przyniosły sławę amerykańskim producentom samochodów. Sześciocylindrowy silnik typu bokser – aluminiowy, chłodzony powietrzem i montowany za tylną osią – zaprojektowano z myślą o bezpośredniej rywalizacji z coraz bardziej popularnymi niewielkimi autami europejskimi, wchodzącymi właśnie na rynek. Nowatorskie rozwiązanie niezależnego zawieszenia tylnej osi zasłużyło nawet na osobny rozdział w książce Ralpha Nadera Niebezpieczne przy każdej prędkości. W bagażniku pod maską, tam, gdzie w innych samochodach mieścił się silnik, zapasowe koło sąsiadowało ze zbiornikiem benzyny do nagrzewnicy wnętrza kabiny – wciąż pełnym, mimo że zima dawno się skończyła. Will wiedział o tym, bo podczas gdy Faith wiozła go do domu pani Levy, głowę miał przyciśniętą do metalowego kanistra. Bulgot benzyny przywodził na myśl rozbijające się o brzeg fale oceanu. I przypominał, że tylko milimetr rdzy dzieli jego twarz od kotłującego się, silnie wybuchowego paliwa.

Samochód wyprodukowano wiele lat przed zarządzeniem NHTSA (urzędu do spraw bezpieczeństwa ruchu drogowego) z roku 2001, na mocy którego wszyscy producenci musieli montować świecące w ciemności klamki, umożliwiające otwarcie bagażnika samochodu od środka, w razie gdyby ktoś się w nim zatrzasnął. Will nie sądził jednak, że sięgnąłby takiej klamki, nawet jeśli istniała. Głęboki, lecz wąski bagażnik przypominał dziób pelikana. Will kulił się więc w przestrzeni mającej pomieścić koło zapasowe i ze dwie walizki – takie z początku lat sześćdziesiątych, a nie współczesne walizy na kółkach, do których ludzie pakują cały dom, wybierając się na weekend w góry.

Krótko mówiąc, musiał się liczyć z całkiem realną perspektywą, że umrze tam, zanim Roz Levy przypomni sobie, że miała go wypuścić.

Przez sparciałą gumową uszczelkę przy zawiasach wpadał cienki pasek światła. Will zbliżył telefon komórkowy do oczu, sprawdzając, która godzina. Tkwił w bagażniku już od dwóch godzin, a czekało go jeszcze co najmniej trzydzieści minut tej męki. Karabin zaklinowany między jego nogami nie poprawiał komfortu. Kabura na biodrze przekreśliła się tak, że glock uparcie dźgał go w bok jak palec natręta. Z butelki wody, którą dostał od Faith, już dawno został sam plastik. W tym metalowym grobowcu było gorąco jak w piecu i Will, który stracił czucie w rękach i nogach, zaczął podejrzewać, że był to jednak bardzo kiepski pomysł.

Podsunęły mu go słowa „koń trojański”. Rozmowa telefoniczna z Roz Levy wykazała, że baba nie zamierza pójść im na rękę. Wciąż była wkurzona, że Faith bez pytania wzięła jej samochód. Absolutnie nie zgodziła się wpuścić ich do domu. O dziwo, to Will zaproponował ten idiotyczny pomysł. Faith miała odstawić corvaira pod wiatę. Will zaś miał się ukrywać w bagażniku i dopiero kilka minut przed godziną spotkania Roz Levy powinna wyjść ze śmieciami, a po drodze otworzyć klapę bagażnika. Wtedy miał się wyczołgać na zewnątrz i zapewnić Faith osłonę.

Słyszając, jak szybko Roz Levy zgodziła się na ich zapasowy plan, nabrał podejrzeń, że baba prowadzi jakąś własną grę, tyle że do tej pory minęła kolejna godzina i żadne inne wyjście nie wchodziło już w rachubę.

Były też inne konie trojańskie, w większości bardziej rozsądne niż pomysł Willa. Dawne kumpele Amandy miały jedną zaletę – jako kobiety, w dodatku stare, raczej nie budziły podejrzeń. Ci, którzy obserwowali okolicę, wypatrywali buzujących testosteronem, ostrzyżonych na jeża młodych mięśniaków, rwących się do strzelaniny. Amanda wysłała do okolicznych domów sześć swoich przyjaciółek. Każda z nich niosła paterę z wypiekami, a na ramieniu miała torebkę. Niektóre trzymały Biblie. Ewentualny obserwator uznałby, że panie wybrały się do kogoś z wizytą.

Z zewnątrz teren obstawiały furgonetka kablówki, kombi fryzjera

dla zwierząt oraz jasnożółta toyota prius, do której nie wsiadłby żaden szanujący się glina. Te trzy pojazdy monitorowały ruch samochodów poruszających się dwiema drogami prowadzącymi do części dzielnicy, w której mieszkała Evelyn Mitchell.

A jednak Will miał zastrzeżenia do tego planu. Było to mniejsze zło – większym byłby całkowity brak policji na miejscu. Nie podobało mu się, że Faith zostanie skazana na własne siły, mimo że miała broń i dowiodła przeciwnikom, że bez wahania zastrzeli każdego, kto stanie jej na drodze. Czuł przez skórę, że Amanda się myli. Tu nie chodziło o okup, chociaż na pierwszy rzut oka mogło tak wyglądać. Możliwe, że nawet porywacze wierzyli, że gra idzie o dużą kasę. Ale koniec końców ich zachowanie przeczyło takiej motywacji. To była sprawa osobista. Ktoś próbował się odegrać. Najbardziej prawdopodobnym sprawcą był Chuck Finn. Jego pomagierzy chcieli się wzbogacić, on pragnął się zemścić. Każdy miał na tym zyskać, z wyjątkiem Faith.

I z wyjątkiem idioty zamkniętego w bagażniku corvaira z 1960 roku.

Will skrzywił się, próbując zmienić pozycję. Bolała go głowa. Swędział go nos. Tyłek miał obolały, jakby od dwóch godzin naciskał całym ciężarem ciała na płytę z hartowanej stali. Z perspektywy czasu wyglądało to tak, jakby pomysł wyszedł od Amandy. Miało go zaboлеć. Upokorzyć. I źle się dla niego skończyć. Widocznie kierowało nim pragnienie śmierci. A może po prostu chciał spędzić kilka godzin w niehumanicznym upale, bo inaczej nie znalazłby czasu na zastanowienie się, w co się właściwie wpakował. I nie miał tu na myśli samochodu.

Nigdy nie palił papierosów. Nie zażywał nielegalnych środków odurzających. Nie znosił smaku alkoholu. Jako dziecko napatrzył się, jak nałóg rujnuje ludziom życie, a jako gliniarz – czym to się dla nich kończy. Nigdy go nie korciło, żeby się upić. Nie rozumiał, dlaczego inni są gotowi oddać życie i poświęcić wszystko, co mają, byleby jeszcze raz zapewnić sobie odlot. Kradli. Prostytuowali się. Porzucali dzieci albo je sprzedawali. Mordowali. Robili wszystko, byle tylko uniknąć głodu narkotykowego – stanu, w którym ciało domaga się szprycy tak bardzo, że atakuje samo siebie. Skurcze mięśni. Kłujące

bóle brzucha. Migreny, od których pęka głowa. Suchość w ustach. Palpitacje serca. Pocenie się dłoni.

Fizyczny dyskomfort Willa nie wnikał jedynie z ciasnoty w bagażniku corvaira pani Levy.

Will był na głodzie narkotykowym spowodowanym tęsknotą za Sarą.

Trzeba mu oddać, że zdawał sobie sprawę, że jego reakcja na nią stoi w skrajnej dysproporcji do tego, co każdy normalny facet powinien odczuwać w tym momencie. Nie dość, że i tak już wyszedł na durnia, to zamierzał zrobić z siebie jeszcze większego głupka. Nie potrafił się zachować w jej towarzystwie, w każdym razie nie po tym, jak uprawiali seks. A że było tych uniesień aż nadto jak na jedną noc, Sara dopiero po jakimś czasie w pełni dostrzegła jego niebywałą głupotę. Pięknie się zachował, nie ma co! Podał jej rękę niczym agent nieruchomości oprowadzający ją w ramach dni otwartych po domu. Dziwił się, że nie dała mu w twarz. Nawet Amanda i Faith nie wiedziały, co powiedzieć, kiedy w korytarzu czekali na windę. Na taki pokaz kretynizmu z jego strony zaniemówiły z wrażenia.

Zaczął podejrzewać, że może fizycznie jest z nim coś nie tak. Może ma cukrzycę, jak Faith. Bez przerwy rugała go za popołudniowe lukrowane drożdżówki, za to, że jada drugie śniadanie, że uwielbia serowe nachos z automatu na parterze. Przebiegł w myślach listę swoich objawów. Nadmiernie się pocił. Przeskakiwał myślami z tematu na temat. Miał mętlik w głowie. Chciało mu się pić i koniecznie, ale to koniecznie musiał się wysikać.

Żegnając się z nim, Sara nie wyglądała na wściekłą. Powiedziała do niego „kochany”. Tylko raz ktoś go tak nazwał, i wtedy to słowo też padło z jej ust. Pocałowała go. Nie było w tym namiętności, pocałunek przypominał raczej cmoknięcie. Coś, co w serialach telewizyjnych z lat pięćdziesiątych robił mąż przed włożeniem kapelusza i wyjściem do pracy. Kazała mu zadzwonić później. Czy naprawdę chciała, żeby się odezwał, czy tylko dawała mu coś do zrozumienia? Will przywykł do tego, że kobiety jego życia zabawiały się jego kosztem. Ale co oznaczało to „później”? Miała na myśli dzisiejszy wieczór czy jutrzejszy ranek? A może powinien zadzwonić



za kilka dni?

Jęknął. Był trzydziestoczteroletnim mężczyzną, pracującym i z psem na utrzymaniu. Musiał wziąć się w garść. Nie zadzwoni do Sary, nie ma mowy. Ani dziś wieczorem, ani za kilka dni. Był dla niej za prosty. Niewyrobiony towarzyszko. I za bardzo mu na niej zależało. Nauczył się na własnej skórze, że jeśli czegoś tak bardzo się pragnie, najlepiej wybić to sobie z głowy, bo i tak się tego nie zdobędzie. I właśnie w ten sposób musiał potraktować znajomość z Sarą. Zakończyć to, zanim dałby się postrzelić albo dopuścił do zabicia Faith, zachowując się jak zadurzona nastolatka.

Najgorsze, że Angie miała stuprocentową rację.

No, może jednak nie we wszystkim.

Sara nie farbowała włosów.

Zawibrowała jego komórka. Wtykając do ucha słuchawkę, próbował nie wykastrować się karabinem. Mimo że bagażnik miał niezłą izolację, zniżył głos do szeptu.

– Tak?

– Will? – Właśnie tego mu było trzeba, usłyszeć głos Amandy. – Co robisz?

– Pocę się – wyszeptał, zastanawiając się, czy mogła mu zadać jeszcze głębsze pytanie. Wcześniej wyobrażał sobie, że wyskoczy z bagażnika jak bohater filmów akcji. Ale po tych paru godzinach zdał sobie sprawę, że będzie miał szczęście, jeśli nie sturla się na ziemię jak dziecko po wywrotce na górze saneczkowej.

– Ulokowaliśmy się u Idy Johnson. – To sąsiadka, której posesja graniczyła od tyłu z działką Evelyn. Will nie wiedział, w jaki sposób Amanda skłoniła tę kobietę, żeby wpuściła do domu zgraję gliniarzy. Może obiecała, że Faith już nigdy więcej nie zastrzeli na jej podwórku handlarzy narkotyków. – Właśnie usłyszałam przez skaner wezwanie. Strzelanina we wschodniej Atlantycie, z samochodu. Dwie ofiary śmiertelne. Ahbidi Mittal z ekipą opuścili dom Evelyn i pojechali przebadać samochód. Duża sprawa. Kobieta z dzieckiem. Biała blondynka z klasy średniej, ładna.

A więc wiedzieli już, w jaki sposób porywacze Evelyn postanowili wywabić ekipę z domu. Wcześniej Amanda dyskretnie wywiedziała

się przez telefon, że technikom zejdą tam jeszcze przynajmniej trzy dni. Wiedzieli, że porywacze mają doświadczenie w strzelaniu z pędzącego samochodu. Jak widać, ta banda nie wzdragała się przed zabójstwem niewinnych przechodniów i doskonale orientowała się, jaki profil ofiar da im pewność, że wszystkie stacje informacyjne w Atlancie przerwą program i zaczną nadawać bezpośrednie relacje z miejsca tragedii.

Willa najbardziej niepokoiło to, że bez wahania byli gotowi zabić matkę z dzieckiem.

– Przekopali podwórko Evelyn – poinformowała Amanda.

Może to z powodu upału wyobraził sobie psa poszukującego kości.

– Widocznie im powiedziała, że pieniądze są na podwórku za domem. Jest całe zryte dziurami.

Z początku podejrzewał tak samo i dopiero teraz uświadomił sobie swoją głupotę. Ludzie nie ukrywali już pieniędzy w ten sposób. Nawet Evelyn miała konto w banku. Obecnie wszystko znajdowało się w plikach komputerowych.

– Czy pani Levy widziała, jak kopali? – zapytał cicho.

O dziwo, Amanda milczała.

– Amando?

– Nie odbiera telefonu, podejrzewam, że się zdrzemnęła.

Willowi zaschło w gardle. Żart szefowej był mało zabawny, to się mogło zdarzyć naprawdę.

– Na pewno nastawiła sobie budzik – uspokoiła go Amanda.

Zastanawiał się, jak staruszka miałaby usłyszeć budzik, skoro nie usłyszała telefonu. Nagle przestał się martwić, przekonany, że zanim do czegoś dojdzie, i tak z upału dostanie udaru.

– Mam ze sobą dwie przyjaciółki i jedną starą kumpelę na ulicy – ciągnęła Amanda. – Będzie miała na oku Faith podczas podchodzenia do domu. Bev służy w Secret Service. Zarekwirowała furgon pocztowy.

Jakoś go ta informacja nie zaskoczyła. Gdyby szefowa powiedziała mu, że zadzwoniła do starej kumpeli z Białego Domu i pożyczyła sobie kody nuklearne, skinąłby tylko głową.

– Wszystko idzie jak po maśle. – Tuż przed akcją Amanda zawsze

stawiała się gadatliwa i dzisiaj też nie zrobiła wyjątku. – Faith czeka u siebie w domu. Rano poszła do trzech banków, żeby uwiarygodnić bajeczkę o skrzynkach depozytowych. W ostatnim załatwiliśmy, żeby dali jej gotówkę. Wszystkie banknoty są spisane. A pod podszewką torby jest urządzenie naprowadzające. – Zamilkła na chwilę. – Myślę, że nic jej się nie stanie. Sara doprowadziła ją do formy. Martwię się, że Faith o siebie nie dba.

Willa również to martwiło. Zawsze uważał, że jego partnerka jest niezniszczalna. Potrafiła przetrwać najcięższy kryzys. Może wynikało to z tego, że została matką, zanim była na to gotowa. Przypomniał sobie słowa pani Levy o tym, jak ciąża wywołała skandal na całą dzielnicę. Najwyraźniej Faith nie pozbyła się całkiem poczucia wstydu. Spiekła raka, wyjaśniając Sarze sens słów matki, chociaż Evelyn najwyraźniej skorzystała z ostatniej okazji, żeby uwolnić córkę od poczucia winy. Przez ciążę całe życie Faith legło w gruzach. A jednak się pozbierała. Evelyn, będąc na miejscu, służyła jej pomocą, jednak to Faith sama musiała się podnieść. Skończyć szkołę średnią. Wstąpić do akademii policyjnej. Wrócić na studia. Wychowywać dzieci. Należała do najsilniejszych kobiet, jakie spotkał na swojej drodze. W pewnym sensie była silniejsza nawet od Amandy.

I zasługiwała na prawdę.

– Dlaczego nakłamałaś Faith, że jej ojciec był hazardzistą? – spytał szeptem.

Amanda nie odpowiedziała.

Spróbował ponownie.

– Dlaczego...

– Dlatego, że nim był – wpadła mu w słowo. – Myślałam, że po dzisiejszym poranku zdałeś sobie sprawę, że w przypadku mężczyzny hazard niekoniecznie ogranicza się do pieniędzy.

Przełknął resztki śliny w ustach. W tym momencie nie miał ochoty na zagadki szefowej.

– Evelyn była umoczona – oświadczył.

– Dawno temu popełniła błąd, za który płaci przez całe życie.

Usilnie starał się nie podnosić głosu.

– Wzięła pieniądze...

– Coś ci obiecuję, Will. Jeśli ją z tego wyciągniemy, wyzna ci całą prawdę na ten temat. Będziesz miał pełną godzinę sam na sam z nią. Odpowie ci na wszystkie pytania.

W promyczku światła wpadającym przez sparciałą uszczelkę rozejrzał się po bagażniku.

– A jeśli nam się nie uda?

– Wtedy to nie będzie miało żadnego znaczenia, prawda? – W tle usłyszał jakieś rozmowy. – Muszę kończyć. Zadzwoń, jeśli będzie miała coś nowego.

Znów przesunął karabin, by móc się rozłączyć. Zamknawszy oczy, próbował oczyścić umysł. Po plecach spływała mu strużka potu. Poczłł pieczenie w krzyżu, w miejscu, w które podrapała go Sara.

Potrząsnął głową, usiłując wyrzucić z myśli jej obraz, by karabin nie oskarżył go o molestowanie seksualne. Wyobraził sobie, że jego broń zasiada na miejscu dla świadków i spustem ociera łąę z celownika.

Jeszcze raz potrząsnął głową. Upał coraz bardziej dawał mu się we znaki. Żeby się skupić, zaczął powtarzać sobie szczegóły sprawy. Amanda zawsze kazała mu zdawać relację od początku. To najlepsza metoda na zorientowanie się, co przegapili. W zamieszaniu trudno było poskładać wszystkie elementy łamigłównki. Teraz zabrał się do tego krok po kroku, patrząc na sprawę pod każdym kątem i analizując wszelkie kłamstwa i półprawdy, które usłyszeli od przestępców i które padły z ust Amandy.

Jak poprzednio, wciąż wracał myślami do Chucka Finna. Była to kwestia eliminacji. Chuck jako jedyny z byłej brygady Evelyn wciąż stanowił niewiadomą. Leczył się w Healing Winds razem z Hironobu Kwonem. Najwyraźniej znał również Rogera Linga, który przeżywał go Chuckleberry Finn.

Poza tym Roger wspomniał o ucinaniu głowy węża. Wszystkim z pewnością kierował jeden człowiek. Mógł więc być nim Finn. Przemawiało za tym kilka argumentów: chciał się zemścić na Evelyn za to, że go wsypała; jego pobyt w więzieniu nie był usłany różami; no i ten szanowany funkcjonariusz policji stoczył się tak, że idąc pod prysznic, musiał pilnować własnego tyłka.

Prawdopodobnie uzależnił się od prochów w pudle, a po wyjściu na zwolnienie warunkowe nałóg ujawnił się w całej krasie. Heroina i crack kosztują немало. Nawet jeśli teraz Chuck już nie brał, to szmal dawno mu się skończył. Spośród wszystkich detektywów, których rozpracowywał Will, Chuckowi zostało najmniej forszy z przestępczej działalności. Przepuścił ją na luksusowe podróże, zwiedzając najdalsze zakątki świata w takim stylu, jakby był multimilionerem. Sama wyprawa do Afryki kosztowała go około stu tysięcy dolarów. Aresztowanie Chucka Finna tak naprawdę zmartwiło tylko jego agenta podróży.

Will przypuszczał, że już wkrótce się dowie, czy rzeczywiście to Chuck stoi za porwaniem. Usłyszał skrzypienie otwieranych drzwi wiaty i szuranie kapci po betonie. Uchyliła się kłapa bagażnika i do środka, niczym woda, wlało się dzienne światło. Zobaczył człapiącą panią Levy, z białą torbą na śmieci w ręku. Gdy wyrzucała ją do śmietnika, rozległ się grzechot plastiku.

Will jedną ręką chwycił karabin, a drugą przytrzymał kłapę bagażnika. Poruszał się zgodnie z przewidywaniami – niczym zmordowany upałem pies pokładający się leniwie na beton, a nie Superman wkraczający do akcji. Roz Levy minęła go ze stoickim spokojem, patrząc prosto przed siebie. Nieznacznym ruchem ręki bez wysiłku zamknęła bagażnik. Nie zaszczyciwszy Willa spojrzeniem, zniknęła w głębi domu, zamykając za sobą drzwi. Pomyślał, że ta stara nie tylko potrafiłaby z zimną krwią zabić męża, lecz również przez ostatnie dziesięć lat okłamywać Amandę w żywe oczy.

Przez kilka sekund leżał na betonie, napawając się jego chłodem i wdychając rześkie, świeże powietrze zmieszane z zapachem oleju, wyciekającego spod tylnej części corvaira. Wsparł się na łokciach. Dobrze zapamiętał tę wiatę, lecz na niewiele się to zdało. Otwarta na przestrzał, wyglądała jak przejazd pod mostem, tyle że była bardziej niebezpieczna. Z jednej strony stał dom Roz Levy. Z drugiej był wysoki na metr dwadzieścia murek, a na końcach podtrzymujące dach dwie metalowe kolumny. Spod samochodu Will miał widok na ulicę, ale brakowało punktu obserwacyjnego, z którego mógłby się zorientować, czy nikt go nie śledzi.

Spojrzał w bok. Śmietnik stał w pół drogi między samochodem a murkiem. Will zdawał sobie sprawę, że jeśli ktoś obserwuje dom, może zauważyć ruch, ale nie miał wyboru. Przykucnął nisko. Wstrzymując oddech i myśląc o tym, że nie ma czasu do stracenia, czmychnął za wielki śmietnik.

Nie usłyszał świstu kul ani krzyków, jedynie łomot serca w piersi.

Od murku dzielił go jeszcze metr. Spiał się do skoku, lecz nagle wymyślił lepsze rozwiązanie niż siedzenie pod murem z wiszącym nad głową neonem. Powoli popychając śmietnik i chowając się za nim, zmniejszył dystans między samochodem a murem. Przynajmniej miał teraz osłonę na wypadek, gdyby ktoś czyhał na ulicy. Gorzej było od strony podwórka. Ceglany murek mógł go osłonić przed strzałami z domu Evelyn, lecz gdyby ktoś zaszedł Willa od tyłu, miałby go jak na dłoni.

Nie mógł tak kucać w nieskończoność. Przyklęknął na jedno kolano i zaryzykował rzut oka ponad murkiem. Pusto. Dom Evelyn stał nieco niżej. Will nie mógłby sobie wymarzyć lepszego widoku na okno w łazience. Było umieszczone stosunkowo wysoko, prawdopodobnie pod prysznicem. Dziecko zapewne precyzyjnie się przez wąski otwór, ale nie dorosły. Zwłaszcza tak potężny mężczyzna jak on. Żaluzje były podniesione, dzięki czemu miał doskonały widok na korytarz. Przez celownik karabinu dostrzegł słoje drewna na drzwiach wychodzących na wiatę Evelyn. Były zamknięte. Na białej powierzchni widniały czarne ślady w miejscach, w których policyjni technicy zbierali odciski palców.

Obgadali to zawczasu. Faith miała skorzystać z tego wejścia do domu.

Zawibrował telefon. Will wcisnął do ucha słuchawkę.

– Jestem na pozycji.

– Właśnie zauważyli na Beverly czarną furgonetkę. Nadjechała od strony Peachtree.

Mocniej ścisnął kolbę.

– Gdzie jest Faith?

– W tej chwili wyszła. Idzie tu pieszo.

Nie musiał nic mówić. Oboje wiedzieli, że nie taki był plan. Faith

miała podjechać samochodem, a nie urządzać sobie spacerek.

Z ulicy dobiegł go warkot silnika. Przy krawężniku zatrzymała się czarna furgonetka. Nie zjawili się tu incognito – boczne ściany pojazdu nosiły ślady po kulach. Will odbezpieczył karabin. Wycelował w środkową część furgonetki w chwili, gdy otworzyły się boczne drzwi. Z zaskoczeniem zlustrował wnętrze wozu.

– Jest ich tylko dwóch – szepnął do Amandy. – Mają Evelyn.

– Wyrażam zgodę na strzał.

Ba, tylko jak miał to zrobić? Każdy z młodych ludzi po bokach Evelyn celował z pistoletu w jej głowę. Robiło to wrażenie, tyle że gdyby któryś z nich pociągnął za spust, załatwiłby nie tylko zakładniczkę – kula przebiłaby jej czaszkę i trafiła w łeb drugiego bandyty. Amanda uznałaby to za palec Boży, gdyby nie taki drobiazg, że jej najlepsza przyjaciółka była między tymi dwoma Einsteinami.

Wywlekli Evelyn z furgonetki, przez cały czas zasłaniając się nią jak tarczą. Spokojne popołudnie przeszły jej krzyki bólu. Nie związali Evelyn Mitchell, bo przecież i tak by im nie uciekła. Jedną nogę miała prymitywnie usztywnioną za pomocą dwóch odłamanych kijów od szczotki, obwiązanych taśmą klejącą. Widać było, że jest ciężko ranna, ale jej porywacze mieli to gdzieś.

Obaj chłopcy byli ubrani w czarne kurtki i czarne bejsbolówki. Nieustannie kręcili głowami w prawo i lewo, jakby wypatrywali potencjalnego zagrożenia. Szli gęsiego, z Evelyn wciśniętą między nich. Ten z tyłu dźgał ją lufą glocka w żebra, poganiając tak, jakby spinał ostrogami konia. Najwyraźniej nie była w stanie iść o własnych siłach. Ten z glockiem podtrzymywał ją w talii. Przy każdym kroku odchyłała się do tyłu na niego, z wykrzywioną z bólu twarzą. Ten z przodu szedł na ugiętych kolanach. Dla zachowania równowagi Evelyn trzymała się go za ramię. Młody człowiek szedł pewnym krokiem, omiatając front domu pistoletem szturmowym Tec-9. Palec trzymał na wyjątkowo czułym spuście. Will nie widział tego modelu od czasu, gdy na mocy federalnego zakazu zabroniono sprzedaży Tec-9 i w rezultacie fabryka zaprzestała produkcji. Właśnie tej broni użyto podczas masakry w liceum Columbine. Był to pistolet samopowtarzalny, ale jeśli się ma w magazynku pięćdziesiąt naboii, to

żaden problem.

Will na sekundę oderwał oko od celownika i sprawdził ulicę. Pusto. Ani śladu Chucka Finna. Żadnych młodych cyngli w czarnych kurtkach i czarnych bejsbolówkach. Will znów spojrzął w celownik i upadł na duchu. Niemożliwe, żeby ich było tylko dwóch.

– Masz czysty strzał? – spytała zwięźle Amanda.

Will celował prosto w pierś Tec-9. Może jednak ci gówniarze nie byli kompletnymi amatorami. Tec-9 szedł dokładnie przed Evelyn, tak że każda kula, która by go trafiła, przeszłaby także zakładniczkę. Tak samo postępował Glock, przyciśnięty do jej pleców. Strzał w głowę nie wchodził w rachubę. Nawet gdyby udało się zdjąć Tec-9, to Glock wpakowałby kulkę w Evelyn, zanim Will zdążyłby go wziąć na cel. Zabijając jednego z porywaczy, ryzykowałby zastrzelenie porwanej.

– Nie mam – odparł szeptem. – Za duże ryzyko.

Nie spierała się z nim.

– Nie rozłączaj się. Dam ci znać, kiedy Faith dotrze do domu.

Śledził trzy postaci, aż w końcu zniknęły pod wiatą. Okręcił się, wycelował w drzwi kuchenne i czekał, wstrzymując dech. Ktoś kopniakiem otworzył drzwi. Will trzymał palec na osłonie spustu, gdy do kuchni wtoczyła się Evelyn Mitchell. Glock wciąż nie odstępował jej na krok. Jego twarz zdradzała wysiłek, kiedy ją podtrzymywał i dźwigał. Tec-9 nadal szedł z przodu, tak jak przedtem na ugiętych kolanach. Czubek jego bejsbolówki był na wysokości piersi Evelyn. Will przyjrzał się jej twarzy. Jedno zapuchnięte oko miała zamknięte. Na policzku ziała otwarta rana.

Weszli do holu. Evelyn skrzywiła się, gdy Glock puścił ją, żeby mogła usiąść. Była wprawdzie chuda, ale szczeniak musiał ją taszczyć jak balast. Dyszał ciężko. Oparł głowę o jej plecy. Podobnie jak w przypadku Tec-9, bliżej mu było do nastolatka niż mężczyzny.

Oświetlenie się zmieniło – w holu pociemniało. Widocznie spuścili żaluzje w oknach od frontu. Były winylowe, miały chronić przed zbyt silnym światłem, ale nie odcinać go całkowicie. Will wciąż wyraźnie widział całą trójkę. Evelyn znów częściowo zataszczono, częściowo popchnięto dalej, tym razem do salonu. Widział czarną czapkę oraz pistolet Tec-9, którym wymachiwał jeden z nich. Potem zniknęli. Will



patrzył na przestrzał domu, aż do kuchni.

– Są w salonie – poinformował Amandę. – Wszyscy. – Nie dodał, że jej oczywisty plan spalił na panewce. Nie trzymali Evelyn w sypialni z tyłu domu. Chcieli ją mieć z przodu i na środku, kiedy wejdzie Faith.

– Opuszczają żaluzje z tyłu, zasłaniając się Evelyn – odparła Amanda. – Nie mam strzału. – Zakłęła pod nosem. – Nic nie widzę.

– Gdzie jest Faith?

– Niedługo powinna się zjawić.

Will spróbował się rozluźnić, bolały go ramiona. Nie ma Chucka Finna. Nie ma ukrytej Evelyn. Ci dwaj nie sprawdzili, czy w domu nie czają się policjanci. Nie zabezpieczyli terenu. Nie zabarykadowali drzwi od frontu, nie zrobili nic, żeby ułatwić sobie ucieczkę.

Niedopełnienie każdego z tych obowiązków oznaczało, że na szyi Faith zaciska się pętla.

A tymczasem Willowi nie pozostawało nic innego, jak czekać.

## Rozdział 18

Przed wyjściem z domu Faith nagrała komórką Jeremy'ego film dla swoich dzieci. Powiedziała im, że je kocha, że są dla niej wszystkim i że bez względu na to, co się dziś wydarzy, powinny zawsze pamiętać, że uwielbia każdy włoszek na ich kochanych główkach. Jeremy'emu wyznała, że decyzja o urodzeniu go była najlepszą w jej życiu. Że to on jest całym jej życiem. To samo powiedziała Emmie, dodając, że cieszy się, że jej córeczka w końcu pozna swojego ojca, bo Victor Martinez to porządny człowiek.

Zeke określiłby ten film jako „dramatyczny”. Jemu też nagrała wiadomość. Zaskoczyło ją, że w przekazie dla brata ani razu nie użyła zwrotu „ty palancie”. Powiedziała mu, że go kocha. I przeprasza za to, co musiał przez nią przechodzić.

Potem próbowała jeszcze nagrać film dla matki. Przerzywała i zaczynała od początku dobre kilkanaście razy. Miała jej tyle do powiedzenia. Że ją przeprasza. Że ma nadzieję, że matka nie wini jej za decyzje, jakie podejmowała. Że wszystkie swoje dobre cechy zawdzięcza rodzicom. Że przez całe życie pragnęła jedynie zostać równie dobrą policjantką, matką i osobą jak jej matka.

Ostatecznie zrezygnowała z tego, bo szanse, że Evelyn Mitchell kiedykolwiek obejrzy to nagranie, były raczej znikome.

Faith nie żyła złudzeniami. Zdawała sobie sprawę, że pakuje się w pułapkę. Rano, w kuchni Sary, w przeciwieństwie do Amandy, uważnie słuchała Willa. Dostrzegła logikę w jego twierdzeniu, że tu chodzi o coś więcej niż tylko o kasę. Amanda była podniecona akcją, możliwością pokazania gnojkom, którzy mieli czelność uprowadzić jej najlepszą przyjaciółkę, że nie ujdzie im to na sucho. Will, jak zwykle, na trzeźwo oceniał sytuację. Wiedział, jak zadawać właściwe pytania, a co najważniejsze, potrafił słuchać odpowiedzi.

Kierował się logiką i – przynajmniej zdaniem Faith – nie ulegał emocjom. Trudno było powiedzieć, co mu się roi w tej jego głowie. Sarę Linton czekała herkulesowa praca. Dzisiejszy uścisk dłoni to wcale nie najgorsze, co mogło ją spotkać. Nawet jeśli uda jej się

usunąć Angie Trent w cień – co Faith uważała za niemożliwe – wciąż zostanie ten ośli upór Willa. Faith tylko raz w życiu widziała, żeby jakiś facet zmył się tak szybko jak on z mieszkania Sary – kiedy powiedziała ojcu Jeremy’ego, że jest w ciąży.

A może myliła się co do Willa? Czytała w nim z taką łatwością, z jaką on czytał książki. Mogłaby jedynie przysiąc, że miał niesamowitą zdolność wczuwania się w psychikę innych ludzi. Sądziła, że nabrał tego, wychowując się w domu dziecka, gdzie błyskawicznie musiał rozstrzygać, czy stojący przed nim człowiek jest przyjacielem, czy wrogiem. Był mistrzem w wyłuskiwaniu faktów z najdrobniejszych poszlak, na które normalni ludzie przeważnie nie zwracali uwagi. Wiedziała, że to kwestia czasu, zanim dojdzie do tego, co przed laty przydarzyło się Evelyn. Sama wpadła na to dopiero dziś rano, kiedy – kto wie czy nie po raz ostatni – przeglądała rzeczy Jeremy’ego.

Rzecz jasna, nie mogła się zdać wyłącznie na telepatyczną dociekliwość Willa. Jak zawsze stuknięta na punkcie kontrolowania sytuacji, opisała w liście wszystko – co i dlaczego się zdarzyło. Wysłała go na adres Willa z ostatniego banku, do którego zajrzała. Policja przejrzy filmy z iPhone’a Jeremy’ego, ale Will nigdy nie zdradzi im treści jej listu.

Co do tego akurat nie miała najmniejszych wątpliwości: Will potrafił dochować tajemnicy.

Wychodząc z domu, przestała myśleć o liście. Przestała myśleć o matce, Jeremym, Emmie, bracie – o wszystkich, którzy mogliby zmącić jej umysł. Była uzbrojona po zęby. W płóciennym torbie miała nóż kuchenny, schowany pod pieniędzmi. Walthera swojego brata włożyła z przodu za pasek spodni. Nad kostką starannie przypięła kaburę z jednym z zapasowych smith & wessonów Amandy. Metal ocierał jej skórę. Miała wrażenie, że olbrzymi rewolwer z daleka rzuca się w oczy, i musiała się skupiać na tym, żeby nie kuśtykać.

Minęła swój samochód. Nie zgodziła się pojechać nim do domu matki. Za bardzo przypominałoby to każdy inny dzień, kiedy pakowała do mini Emmę i swoje manele, po czym jechała półtorej przecznicy dalej, do Evelyn. Od małego była uparta i teraz też nie

zamierzała się zmieniać. Tego dnia przynajmniej jedną rzecz chciała zrobić po swojemu.

Na końcu podjazdu skręciła w lewo, a potem w prawo, w stronę domu matki. Omiotła wzrokiem długi odcinek ulicy. Samochody stały pod wiatami albo w garażach. Nikt nie siedział na werandach od frontu, chociaż w tym akurat nie było nic dziwnego. W tej dzielnicy przesiadywano na gankach z tyłu domów. Ludzie zazwyczaj pilnowali tu własnego nosa.

W każdym razie tak było teraz.

Po prawej zobaczyła zaparkowany furgon pocztowy. Gdy go mijała, wysiadła z niego listonoszka. Faith nie poznała jej – była to starsza kobieta w typie hipiski, z siwiejącymi włosami zebranymi w koński ogon à la Cystal Gayle. Kucyk podskakiwał, kiedy szła do skrzynki na listy pani Cable i wkładała do niej katalogi z bielizną.

Skrecając w lewo w ulicę matki, Faith przełożyła torbę do drugiej ręki. Wypchana pieniędzmi płócienna torba była ciężka, ważyła prawie osiem kilogramów. Gotówkę przygotowano w sześciu spakowanych plikach, każdy miał dziesięć centymetrów wysokości. Zgodzili się na pięćset osiemdziesiąt tysięcy dolarów, w banknotach studolarowych, głównie dlatego, że akurat tyle Amanda mogła pobrać z magazynu dowodów rzeczowych. Jeżeli Evelyn rzeczywiście brała udział w korupcji, która pogrążyła jej brygadę, taka suma wyglądała wiarygodnie.

Tyle że ona nie miała nic wspólnego z korupcją. Faith nigdy nie wątpiła w niewinność matki, dlatego potwierdzenie tego z ust Amandy nie przyniosło jej ulgi. W głębi duszy czuła, że ta historia ma drugie dno. Matka była zamieszana w inne, równie obciążające sprawy, ale Faith, ten rozpieszczony bachor, od tak dawna przymykała na to oczy, że teraz nie potrafiła przyjąć prawdy do wiadomości.

Evelyn nazywała takie wypieranie faktów ze świadomości „ślepotą na własne życzenie”. Zwykle opisywała tak konkretny typ idiotów – na przykład matkę twierdzącą, że jej syn zasługuje na drugą szansę, mimo że ma już na koncie dwa wyroki za gwałt. Mężczyznę upierającego się, że prostytutka to przestępstwo bez ofiar. Gliniarzy,

którzy uważali, że mają prawo do brudnych pieniędzy. Córki tak zajęte swoimi problemami, że nie dostrzegały cierpienia innych ludzi.

Skrecając na podjazd do domu matki, Faith poczuła wiatr we włosach. Na ulicy, dokładnie naprzeciw skrzynki na listy, stała czarna furgonetka. Nie zauważyła nikogo w szoferce, a z tyłu nie było szyb. Z boku metalowej karoserii widniały dziury po kulach. Nie potrafiła odczytać numerów rejestracyjnych. Na chromowanym zderzaku była wyblakła naklejka z Obamą.

Podniosła żółtą taśmę policyjną, zagrządzającą wstęp na podjazd. Impala Evelyn wciąż stała pod wiatą. To na tym podjeździe Faith grała kiedyś w klasy. Uczyła Jeremy'ego rzutów do kosza, a konkretnie do starej zardzewiałej obręczy, którą ojciec Faith przyśrubował do okapu dachu. Od kilku miesięcy niemal codziennie zostawiała tu Emmę, całowała swoją matkę i córkę w policzek, po czym jechała do pracy.

Wchodząc pod wiatę, mocniej ścisnęła torbę. Była spocona i na chłodnym wietrze pod daszkiem zrobiło jej się zimno. Rozejrzała się. Drzwi szopy nadal stały otwarte. Nie mogła uwierzyć, że minęły ledwie dwa dni, odkąd w tym małym budynku zobaczyła zamkniętą Emmę.

Zawróciła w stronę domu. Wyważone drzwi kuchenne wisały krzywo na zawiasach. Zobaczyła krwawy odcisk dłoni matki i pustkę w miejscu, w którym na drewnie powinien się odcisnąć jej serdeczny palec. Przekraczając próg, wstrzymała oddech. Spodziewała się, że zarobi kulkę w głowę. Zamknęła nawet oczy. Ale nic się nie stało. W pustej kuchni straszyły jedynie rozbryzgi krwi.

Kiedy przed dwoma dniami weszła do tego domu, miała w głowie tylko jedno – odnaleźć matkę. Dlatego nie całkiem kojarzyła, co widzi. Teraz zrozumiała, jak dynamiczna była akcja, która się tu rozegrała. Wielokrotnie badała miejsca zbrodni. Wiedziała, jak może wyglądać takie pobojuwisko. Mimo że zwłoki z pralni już dawno usunięto, wciąż miała w pamięci miejsce, gdzie leżał zabity, w co był ubrany i jego wyciągniętą na podłozie rękę.

Will powiedział jej, jak się nazywał ten chłopak, ale nie mogła sobie przypomnieć. Nie pamiętała nazwisk żadnego z nich – ani tego,

którego zastrzeliła w sypialni, ani tego, którego zabiła na podwórku pani Johnson.

Po tym, co zrobili, nie zasługiwali na to, żeby pamiętała, jak się nazywali.

Skupiła się na kuchni. Przez okienko do salonu widziała pusty korytarz. Było wczesne popołudnie, lecz w domu panował mrok. Drzwi do sypialni pozamykano. Żaluzje w wielkich oknach po obu stronach drzwi frontowych zaciągnięto. Jedyne światło padało z okna łazienki. Tutaj żaluzja była podniesiona. Faith minęła jadalnię i weszła do holu od frontu. Po prawej miała korytarz, po lewej kuchnię, a przed sobą salon. Powinna wyciągnąć broń, ale nie sądziła, żeby chcieli ją zabić. W każdym razie jeszcze nie teraz.

W salonie panował mrok. Zaciągnięte zasłony prześwitywały. Łagodny wietrzyk wydymał materiał w miejscu, gdzie w szklanych drzwiach wybito dziurę. Pokój wciąż był wywrócony do góry nogami. Faith nie potrafiła sobie przypomnieć, jak wyglądał wcześniej, choć spędziła w nim osiemnaście lat. Pełne książek półki zajmujące całą ścianę po lewej. Oprawione w ramki zdjęcia rodzinne. Wieża stereo z trzeszczącymi głośnikami. Wyściełana kanapa. Fotel z uszakami, w którym jej ojciec zasiadał do czytania. Teraz siedziała w nim Evelyn. Lewą dłoń miała owiniętą przesiąkniętym krwią ręcznikiem. Prawa była tak spuchnięta, że mogłaby należeć do manekina. Wyciągniętą do przodu nogę usztywniono jej za pomocą dwóch kijów od szczotki i taśmy klejącej. Na białej bluzce odcinały się plamy krwi. Skołtunione włosy miała ulizane z boku głowy. Usta zaklejone taśmą. Na widok córki wytrzeszczyła oczy.

– Mamo – szepnęła Faith. Słowo to odbiło się echem w jej głowie, przywołując wszystkie wspomnienia z ostatnich trzydziestu czterech lat. Kochała matkę. Darła z nią koty, wymyślała jej. Okłamywała ją, wypłakiwała się w jej ramionach. Uciekała od niej. Wracała. A teraz doszło do tego.

Po drugiej stronie pokoju stał chłopak ze sklepu spożywczego, oparty o biblioteczkę. Ustawił się w idealnym miejscu, na szczycie trójkąta. Evelyn siedziała przed nim po lewej. Faith, oddalona od matki o pięć metrów, tworzyła ostatni wierzchołek. Tamten trzymał

się w cieniu, lecz broń w jego ręku rzucała się w oczy. Lufa Tec-9 celowała prosto w Faith. Mieszczący pięćdziesiąt nabojów magazynek wystawał na dobre trzydzieści centymetrów. Z kieszeni kurtki chłopaka sterczały następne.

Faith rzuciła torbę na podłogę. Korciło ją, żeby sięgnąć po Walthera. Chciałaby wpakować cały magazynek w pierś gówniarza. Nie celowałaby w głowę. Pragnęła widzieć jego oczy, słyszeć jego krzyki w chwili, gdy kule dziurawiłyby jego ciało.

– Wiem, o czym myślisz. – Uśmiechnął się, błyskając odbitym w resztkach światła platynowym zębem. – Czy zdążysz wyciągnąć broń, zanim pociągnę za spust.

– Nie – odparła. Potrafiła szybko dobyć broni, lecz Tec-9 był już wycelowany w głowę jej matki. Arytmetyka przemawiała na jej niekorzyść.

– Odbierz jej gnata.

Poczuła zimny dotyk lufy, przystawionej do głowy. Ktoś stał za jej plecami. Drugi mężczyzna. Wyrwał walthera zza dzinsów, chwycił torbę. Szarpnął za suwak. A potem wybuchnął śmiechem, jak dziecko na widok prezentów pod choinką.

– Ja pierdolę, facet, patrz, ile tu sałaty! – Ruszył do kumpla, balansując na piętach. – Ja cię kręcę, ziom! Jesteśmy bogaci! – Wrzucił walthera do torby. Swojego glocka zatknął za pasek spodni. – Ja cię kręcę! – powtórzył, pokazując torbę Evelyn. – Widzisz, szmato? I jak ci się to podoba? W końcu je dostaliśmy!

Faith nie spuszczała wzroku z chłopaka ze spożywczego. Nie cieszył się tak jak jego współnik, ale należało się tego spodziewać. Tu nigdy nie chodziło o pieniądze. Will wyraził to jasno wiele godzin temu.

– Ile tego jest? – zapytał chłopak.

– Trochę ponad pół miliona – odparła.

Gwizdnął cicho.

– Słyszałaś, Ev? Aleś się nakradła.

– Od cholery. – Jego współnik pomachał plikiem banknotów. – Mogłaś powstrzymać to wszystko dwa dni temu, szmato. Jak widać, mieli powód, żeby cię nazwać Almeja.

Faith nie była w stanie patrzeć na matkę.

– Weźcie je – powiedziała. – Taki był układ. Bierzcie pieniądze i idźcie stąd.

Wspólnik tego ze sklepu dokładnie to chciał zrobić. Rzucił torbę obok fotela Evelyn i podniósł z podłogi rolkę taśmy klejącej.

– No, facet, spadajmy stąd od razu do Buckhead. Skołużę se dzaga i...

Rozległy się dwa strzały, jeden po drugim. Rolka taśmy spadła na podłogę. Wtoczyła się pod fotel, na którym siedziała Evelyn, a obok niej po chwili zwałił się chłopak. Tył jego głowy wyglądał, jakby ktoś popracował nad nim młotkiem. Na podłogę trysnęła krew, zbierając się w kałużę wokół nóg fotela i stóp matki Faith.

– Za dużo gadał – powiedział młody człowiek. – Nie sądzisz?

Serce Faith łomotało tak głośno, że ledwo słyszała własne słowa. Rewolwer ukryty w kaburze na łydce był tak gorący, że niemal parzył jej skórę.

– Naprawdę sądzisz, że uda ci się ujść stąd z życiem? – spytała.

Znów celował z Tec-9 w głowę jej matki.

– Skąd pomysł, że mam ochotę stąd wychodzić?

Faith zaryzykowała rzut oka na matkę. Po twarzy Evelyn spływał pot. Skraj taśmy klejącej oderwał się od policzka. Nie związali jej. Ze złamaną nogą i tak nie mogła uciec. A jednak siedziała w fotelu prosto. Ze ściągniętymi ramionami. Z rękami splecionymi na kolanach. Matka nigdy się nie garbiła. Nigdy niczego po sobie nie pokazywała... dopiero teraz. W jej oczach czaił się strach. Jednak nie bała się mężczyzny z pistoletem, tylko tego, co ten typ powie jej córce.

– Ja wiem – zwróciła się Faith do matki. – Wszystko w porządku. Wiedziałam o tym już wcześniej.

Chłopak przekręcił pistolet na bok i zmrużył oczy, celując w jej matkę.

– Niby o czym wiesz, szmato?

– O tobie – odparła Faith. – Wiem, kim jesteś.



## Rozdział 19

Kiedy gruchnął wystrzał z pistoletu Tec-9, Will siedział z okiem przyciśniętym do celownika karabinu. Najpierw zobaczył dwa błyski, które mignęły jak stroboskop. Po upływie milisekundy usłyszał huk. Wzdrygnął się mimowolnie. Gdy znów popatrzył przez celownik, ujrzał Faith. Wciąż stała w progu holu, zwrócona twarzą do salonu. Chwiała się. Odliczał sekundy, czekając, czy nie upadnie.

Nie upadła.

– Co to było, do diabła?

Po drugiej stronie corvaira przykucnęła Roz Levy. Will zerknął pod samochód i zajrzał w lufę błyszczącego, niklowanego colta model python. Nie miał pojęcia, jak udawało jej się utrzymać tę spluwę bez drżenia ręki. Lufa miała co najmniej piętnaście centymetrów długości. Naboje kaliber .357 magnum mogły spowodować szok hydrostatyczny – wybuch przy postrzale w pierś był tak silny, że wywoływał wylew krwi do mózgu.

Starając się mówić spokojnie, poprosił:

– Czy mogłaby go pani skierować gdzieś indziej?

Cofnęła rewolwer i opuściła kurek.

– Kurwa mać! – mruknęła, dźwigając się z trudem. – Oho, jest Mandy.

Will ujrzał Amandę, pędzącą przez podwórko za domem. Biegła boso. W jednej ręce ścisnęła krótkofalówkę, w drugiej glocka.

– Faith nic się nie stało – poinformował ją. – Wciąż jest w domu. Nie wiem, kto...

– Za mną! – rozkazała Amanda, przebiegła obok corvaira i wpadła do domu Roz Levy.

Will nie słuchał rozkazów. Przez celownik jeszcze raz zajrzał do korytarza w domu Evelyn. Faith nadal tam stała, z wyciągniętymi przed siebie rękami, jakby się z kimś sprzeczała. Czy błyski oznaczały strzały ostrzegawcze, czy strzelano, by zabić? Ten spec od strzelania z jadących samochodów preferował dwa celne trafienia, jedno po drugim. Ale gdyby zabili Evelyn, Faith nie stałaby tam

z wyciągniętymi rękami. Will czuł przez skórę, że gdyby coś się stało jej matce, Faith albo też by leżała na podłodze, albo siedziała na zabójcach.

– Will! – warknęła Amanda.

Biegając obok samochodu do domu, trzymał karabin wzdłuż ciała. Kobiety stały na zabudowanej werandzie, która teraz służyła za pralnię. Zanim zamknął za sobą drzwi, Roz Levy wydarła się na Amandę.

– Oddaj mi go! – zażądała.

Amanda trzymała jej pythona.

– Mogłaś nas wszystkich zabić. – Wysunęła wkład z bębena i wysypała na suszarkę naboje 38 special. – Powinnam cię z miejsca aresztować.

– Chciałabym to widzieć.

Nie tylko Roz Levy była wkurzona. Will czuł, jak zaciska gardło, próbując się powstrzymać i nie krzyczeć.

– Mówiłaś, że to będzie prosta wymiana – powiedział. – Mówiłaś, że wezmą pieniądze, oddadzą Evelyn i...

– Zamknij się, Will. – Amanda wsunęła pusty wkład do bębena i rzuciła rewolwer na pralkę.

Jego milczenie wzięła za przejaw posłuszeństwa, on jednak był tak wściekły, że na wszelki wypadek wolał się nie odzywać. Kłótnia niczego by nie zmieniła, Faith wciąż tkwiłaby w tym domu, bez jasno sprecyzowanego planu ucieczki. Nie mogli zrobić nic, jak tylko czekać na jednostkę SWAT i udawać, że Faith poszła tam negocjować uwolnienie zakładniczki, a nie z samobójczą misją.

Chyba że on też by wszedł do tego domu. Ścisnął karabin. Powinien tam wejść. Powinien zrobić dokładnie to samo, co Faith dwa dni temu – wykopać drzwi i zastrzelić drani.

Amanda złapała go za nadgarstek.

– Nie waż się wychodzić z tego pokoju – ostrzegła go. – W razie czego sama cię zastrzele.

Od zaciskania zębów rozbolały go szczęki. Odsunął się od niej i wpadł na metalowy stółek ogrodowy, stojący na środku pomieszczenia. Odruchowo zlustrował wzrokiem otoczenie. Na

stojaku stał aparat fotograficzny do robienia seryjnych zdjęć, wycelowany w okno w drzwiach. Roz Levy zakryła szkło czarnym kartonem, zostawiając tylko niewielki otwór na obiektyw. Obok drzwi stała oparta strzelba. Nic dziwnego, że nie wpuściła Willa do domu. Nie chciała, żeby zasłaniał jej widok.

Spojrzał w wizjer aparatu – dawał ostrzejszy obraz niż celownik karabinu. Widział pot spływający po policzku Faith. Wciąż coś mówiła. Próbowwała dogadać się z zabójcą.

Jeden zabójca. Tylko jeden trzymał się na nogach.

Do domu weszło dwóch bandytów. Obaj ubrani w czarne kurtki i czapki. Jeden został postrzelony. Przynajmniej tego Will był pewny. Widział, jak dwaj gówniarze wlekli Evelyn przez trawnik do domu. Ten z tyłu wziął całe taszczenie na siebie. Był spisany na straty, tak samo jak Ricardo, jak Hironobu Kwon oraz wszyscy inni, którzy próbowali położyć łapę na pieniądzach Evelyn.

Tylko że tu ani przez chwilę nie chodziło o pieniądze. To nie Chuck Finn pociągał za sznurki. Nikt nie kierował tym z ukrycia. Mówiąc słowami Rogera Linga, oto była głowa węża – przepełniony gniewem gówniarz o niebieskich oczach, z pistoletem Tec-9 w ręku i żądzą zemsty w sercu.

– Został już tylko on – syknął Will przez zęby. – Od początku właśnie o to mu chodziło.

– Nie wyda ani centa z tych pieniędzy.

Z trudem hamował się, żeby mówić cicho.

– Jemu nie zależy na forsie.

– Więc na czym? – Amanda chwyciła go za ramię i odciągnęła od aparatu. – Śmiało, geniuszu. Wyjaśnij mi, czego on chce.

– Sama wiesz, czego – mruknęła pani Levy, ładując naboje do rewolweru.

– Przymknij się, Roz. Mam cię powyżej uszu jak na jeden dzień. – Amanda przeszła Willa wściekłym wzrokiem. – Proszę mnie oświecić, doktorze Trent. Zamieniam się w słuch.

– On chce ją zabić. Chce zabić je obie. – Will w końcu pozwolił sobie na największe „a nie mówiłem” w swoim życiu. – Gdybyś choć raz raczyła mnie posłuchać, nie doszłoby do tego.

W oczach Amandy błysnął gniew.

– Mów dalej. Wywal kawę na ławę.

Ta jej uległość w końcu spowodowała, że puściły mu nerwy.

– Mówiłem ci, żeby się nie śpieszyć. Tłumaczyłem, żeby najpierw ustalić ich motywy, a dopiero potem wysłać tam Faith, z wymalowaną na plecach tarczą strzelniczą. – Zmniejszyła dystans między nimi, aż w końcu przycisnęła Amandę do pralki. – Chciałaś udowodnić, że masz większego fiuta niż ja, i tak się w tym zapomniałaś, że w ogóle nie dopuszczałaś racji po mojej stronie. – Nachylił się, aż poczuł na twarzy jej oddech. – Masz na rękach krew wszystkich, którzy zginęli przy tej okazji, Amando. To ty wpakowałaś w to Faith. Ty tak urządziłaś nas wszystkich.

Odwróciła od niego głowę. Nie odpowiedziała, ale w jej oczach dostrzegł prawdę. Wiedziała, że to on ma rację.

Jej nieme potwierdzenie nie stanowiło dla niego żadnej pociechy, a jednak się cofnął. Stał nad nią groźnie jak oprych, ściskając karabin tak mocno, że drżały mu ręce. W końcu wstyd okazał się silniejszy niż gniew. Rozluźnił uścisk na kolbie, przestał zaciskać zęby.

– No proszę! – Pani Levy parsknęła śmiechem. – Ścierpisz to, że zwraca się do ciebie takim tonem, Wag? – Załadowała naboje, wcisnęła bębenek na miejsce i zwróciła się do Willa: – Wołali ją Wag nie od nazwiska, tylko od „wagina”, bo na widok każdego chłopaka głupiała i myślała cipą.

Zaszokowały go te słowa, głównie dlatego, że – jego zdaniem – były tak dalekie od prawdy, jak to tylko możliwe.

Pani Levy zważyła pythona w rękę.

– Opowiedz, jak wymachiwałaś fiutem. Mogłaś to powstrzymać dwadzieścia lat temu, gdybyś miała jaja i zmusiła Ev, żeby...

– Daruj sobie te świętoszkowate brednie, Roz – syknęła Amanda. – Gdyby nie ja, przez ten twój przepis na ciasto siedziałabyś teraz w celi śmierci.

– Ostrzegałam cię, kiedy to się stało. Nie krzyżuje się kundli z rasowymi sukami.

– Nie masz pojęcia, o czym pleciesz. Nigdy nie miałaś. – Amanda ostrym tonem wydała rozkazy przez krótkofalówkę. Drżenie jej głosu

zaniepokoilo Willa w tym samym stopniu co pozostałe wydarzenia z ostatnich dziesięciu minut. – Zdejmijcie tę czarną furgonetkę. Macie przestrzelić wszystkie koła. Jak najszybciej ewakuujcie ludzi z całego kwartału. Wezwijcie policję, kaźcie im to załatwić po cichu, i w ciągu pięciu minut podajcie mi, kiedy się zjawią czarni ze SWAT, albo nie fatygujcie się jutro do roboty.

Will znów spojrzal w obiektyw aparatu. Faith wciąż mówiła. W kaźdym razie ruszała ustami. Stała z rękami splecionymi pod biustem. Zaczal się zastanawiać nad nieco rasistowskim słownictwem Roz Levy: kundle i rasowe suki. Pani Levy sypała mądrościami ludowymi jak z rękawa, jak choćby ta, którą zaserwowała mu dwa dni temu: kobieta szybciej biega z zadartą kiecką niż chłop z opuszczonymi gatkami. Dziwne słowa w odniesieniu do ciężarnej czternastolatki, która za kilka miesięcy ma powić dziecko.

– Dlaczego nie poszła pani z tym pythonem do Evelyn, kiedy dwa dni temu usłyszała pani strzały? – zapytał starszą panią.

Spuściła wzrok na rewolwer.

– Ev zabroniła mi się wtrącać, bez względu na rozwój wypadków – odparła z rozdrażnieniem.

Nie widzial w niej kogoś, kto ślepo wykonuje polecenia, ale moze była mocna tylko w gębie. Truciznę wybierają tchórze, którzy mordują z zimną krwią, ale tak, żeby nie ubrudzić sobie rąk. Spróbował skłonić ją do wyznania, jak to było naprawdę.

– Ale słyszała pani strzały?

– Sądziłam, że Evelyn załatwia jakieś stare porachunki. – Wskazała kciukiem Amandę. – Zauważ, że do niej nie zadzwoniła po pomoc.

Amanda oparła brodę na krótkofalówce. Obserwowała Willa, jakby czekała, aż się zagotuje. Zawsze wyprzedzała go o dziesięć kroków. Wcześniej niż on wiedziała, w którą stronę podążą jego myśli.

– Wiedziałam, że Evelyn znów się spotyka z Hectorem – zwróciła się do pani Levy. – Powiedziała mi o tym wiele miesięcy temu.

– Akurat! Na widok tego zdjęcia przeżyłaś taki sam szok jak ja, kiedy je robiłam.

– Czy to ważne, Roz? Czy po tylu latach ma to jeszcze jakieś znaczenie?

Starsza pani najwyraźniej uważała, że tak.

– Nie moja wina, że w zamian za dziesięć sekund rozkoszy postawiła na szali swoje życie.

Amanda roześmiała się z niedowierzaniem.

– Dziesięć sekund? Nic dziwnego, że zamordowałaś swojego męża. Czy tylko tyle ten stary drań potrafił ci dać... dziesięć sekund? – Mówiła uszczypliwie, ze smutkiem, tak samo jak pół godziny temu przez telefon.

W przypadku mężczyzny hazard niekoniecznie ogranicza się do pieniędzy.

Miała wtedy na myśli Willa i Sarę. Ryzyko, nieodłącznie związane z miłością.

Will wrócił do aparatu fotograficznego. Faith nadal mówiła. Czy Roz Levy ustawiła aparat dzisiaj, czy stał tam przez cały czas? Dawał znakomity widok na wnętrze domu. Co by zobaczyła przed dwoma dniami? Evelyn szykującą kanapki. Hectora Ortiza wnoszącego zakupy. Czuli się swobodnie w swoim towarzystwie. Kiedyś coś ich łączyło. Coś, co Evelyn próbowała ukryć przed swoją rodziną.

Kundle i suki.

Oderwał się od wizjera aparatu.

– To syn Evelyn – oświadczył.

Obie kobiety zamilkły.

– Ojcem był Hector, mam rację? – ciągnął. – To właśnie jest ten błąd, który Evelyn popełniła dwadzieścia lat temu. Miała syna z Hectorem Ortizem. Czy pieniądze z tego konta bankowego szły na jego utrzymanie?

Amanda westchnęła.

– Mówiłam ci, to konto nie ma nic do rzeczy.

Roz prychnęła z niesmakiem.

– No cóż, nie zamierzam dłużej trzymać tego w tajemnicy. – Po czym triumfalnie poinformowała Willa: – Sama nie mogła wychowywać brązowego dziecka, no nie? Wciąż jej tłumaczyłam, żeby zamieniła się na dzieci z Faith. Ta dziewczucha była szurnięta. Nikt by się nie zdziwił, gdyby wyszło na jaw, że się puściła z jakimś brudasem. – Widząc zdumienie na twarzy Willa, zarechotała. –

Dwadzieścia lat później i tak to przecież zrobiła.

– Dziewiętnaście. Jeremy ma dziewiętnaście lat – uściśliła Amanda. Rozejrzała się i w końcu zrozumiała, co kombinowała Roz Levy. – Jezu, powinniśmy ci policzyć za miejsca w pierwszym rzędzie.

– Co się stało? – zapytał Will.

Amanda przysunęła oko do wizjera aparatu.

– Evelyn oddała dziecko dziewczynie, która z nami pracowała. Sandrze Espisito. Była żoną innego gliniarza. Nie mogli mieć własnych dzieci.

– Możemy ich tu ściągnąć? Żeby z nim pogadali?

Amanda pokręciła głową.

– Paul zginął na służbie dziesięć lat temu. Sandra umarła w zeszłym roku. Na białaczkę. Potrzebowała przeszczepu szpiku. Wtedy wyjaśniła synowi, dlaczego nie może być dawcą. – Odwróciła się do Willa. – Najpierw sprawdził rodzinę swojego ojca. Pewnie Sandra uznała, że tak będzie prościej. Hector zaprosił go na spotkanie. W ten sposób chłopak poznał Ricarda. I zadał się z Los Mexicanos. Wciągnął się w narkotyki. Zaczął od trawki, aż doszedł do heroiny i już nie było odwrotu. Evelyn i Hector na okrągło wysyłali go na odwyk.

Will poczuł, że pali go w trzewiach.

– Do Healing Winds?

Skinęła głową.

– Przynajmniej ostatnim razem.

– Tam poznał Chucka Finna.

– Nie znam szczegółów, ale podejrzewam, że tak.

Gdyby wiedział o tym wcześniej, za nic nie pozwoliłby, żeby Faith poszła do tego domu sama. Choćby miał ją zwięzać. Choćby miał zamknąć Amandę w bagażniku samochodu pani Levy. Ściągnąłby tu jednostki SWAT z całego kraju.

– Śmiało, wyrzuć to z siebie – powiedziała Amanda. – Zasłużyłam sobie.

Na opieprzanie jej stracił już dość czasu.

– Jak wygląda rozkład tyłu domu? – spytał.

Nie zrozumiała pytania.

– Co takiego?

– Rozkład domu z tyłu. Faith stoi w holu. Patrzy w kierunku salonu. Całą tylną ścianę zajmują okna i przesuwne szklane drzwi. Mówiłaś, że zasłony zaciągnięto. Są z cienkiej bawełny. Widzisz jakiś cień albo ruch?

– Nie. Na zewnątrz jest za jasno, a światła w środku są zgaszone.

– Kiedy dotrze tu SWAT?

– Co ci chodzi po głowie?

– Musimy ściągnąć śmigłowiec.

Choć raz powstrzymała się od pytań. Przez krótkofalówkę połączyła się bezpośrednio z dowódcą antyterrorystów ze SWAT.

Kiedy się targowała o śmigłowiec, Will spojrział w wizjer aparatu. Faith nadal stała w holu. Ale już nie mówiła.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi, że Evelyn miała nieślubne dziecko z Hectorem Ortizem?

– Dlatego, że to by zabiło Faith – odparła Amanda, na pozór nie zdając sobie sprawy z ironii tych słów. Kolejne zdanie skierowała nie tyle do Willa, co do Roz: – Poza tym Evelyn nie chciała, żeby inni o tym wiedzieli, bo gównu komu do tego.

Will wyciągnął komórkę.

– Co robisz?

– Dzwonię do Faith.



## Rozdział 20

W kieszeni Faith zawibrował telefon komórkowy. Ani drgnęła. Patrzyła na matkę. Po twarzy Evelyn płynęły łzy.

– Nic nie szkodzi – powiedziała Faith. – Nic się nie stało.

– Nic się nie stało? – powtórzył młody człowiek. – Wielkie dzięki, siostrzyczko.

Wzdrygnęła się na te słowa. Jak mogła być aż tak ślepa! I tak egoistyczna. Teraz wszystko nabrało sensu. Przedłużone zwolnienie matki z pracy. Nagłe wyjazdy ojca w interesach i jego gniewne milczenie. Wakacje, na które Evelyn wyjechała z Amandą miesiąc przed narodzinami Jeremy'ego. Faith wpadła w furję, kiedy po ośmiu miesiącach wymuszonego przebywania z matką w domu ta oznajmiła, że wyjeżdża na tydzień, poszaleć na plaży z ciocią Mandy. Faith czuła się zdradzona. Porzucona. A teraz zrobiło jej się po prostu głupio.

Przypomnij sobie okres, który spędziłyśmy razem, zanim Jeremy...

Właśnie tak powiedziała Evelyn na filmie. Nie cofała się wspomnieniami, tylko podsuwała córce wskazówkę. Przypomnij sobie ten czas. Postaraj się zrozumieć... nie tylko to, co się działo z tobą, lecz także ze mną.

W tamtym okresie Faith była tak pochłonięta sobą, że myślała wyłącznie o własnej niedoli, o zmarnowanym życiu, o utraconych szansach. Teraz, z perspektywy czasu, dostrzegała oczywiste oznaki. Za dnia Evelyn nie ruszała się z domu. Nikomu nie otwierała drzwi. Wstawała o świcie, żeby pojechać po zakupy na drugi koniec miasta. Telefony się urywały, ale nigdy nie odbierała. Odseparowała się, odcięła od świata. Nie sypiała w małżeńskim łóżku, tylko na kanapie. Pomijając Amandę, z nikim nie rozmawiała, nie spotykała się ani nie kontaktowała. I przez cały ten czas poświęcała Faith to, o czym w skrytości ducha marzy każde dziecko – wyłączną, niepodzielną uwagę.

I nagle, po powrocie z wakacji z Amandą, wszystko się zmieniło. Evelyn nazywała ten wyjazd „urlopem”, jak gdyby wybrała się do wód na kurację. Wróciła odmieniona, szczęśliwsza, jakby ktoś zdjął

ciężar z jej piersi. Faith zżerała zazdrość na widok całkiem innej, pozornie beztroskiej matki. Przed wyjazdem nurzały się we wspólnej niedoli i Faith nie rozumiała, dlaczego matka nagle tak się zmieniła.

Za kilka tygodni miała urodzić Jeremy'ego, a tymczasem Evelyn zaczęła żyć normalnym życiem – w każdym razie na tyle normalnym, na ile to możliwe z nabydyczoną, rozpaskudzoną nastolatką w ostatnim stadium ciąży. Znowu robiła zakupy w tym samym sklepie spożywczym, co kiedyś. Na wyjeździe zrzuciła kilka kilogramów i uparła się, że dzięki ścisłej diecie i ćwiczeniom schudnie jeszcze bardziej. Zmuszała córkę do długich spacerów po lunchu i z czasem znowu zaczęła wydzwaniać do starych przyjaciółek, dając do zrozumienia, że najgorsze ma już za sobą, więc na nowo jest gotowa ruszyć do boju. Przeniosła poduszkę z kanapy do łóżka, które dzieliła z mężem. Rozpuściła wieści, że po narodzinach Jeremy'ego wraca do pracy. Zmieniła fryzurę – ostrzygła się na krótko. W sumie wróciła do swej dawnej skóry. Albo do jej nowej wersji.

W tej szczęśliwej masce istniały jednak pęknięcia, z których Faith dopiero teraz zdała sobie sprawę.

W pierwszych tygodniach życia Jeremy'ego Evelyn płakała za każdym razem, kiedy go brała na ręce. Faith pamiętała, jak zastała matkę zapłakaną, siedzącą na bujaku i tulącą Jeremy'ego tak, że o mało go nie udusiła. Faith była zazdrosna o łączące ich więzy, jak zresztą o wszystko. Szukała sposobów na ukaranie matki, na odebranie jej swojego syna. Przesiadywała z nim do późna. Zabierała go do galerii handlowych, do kina i wielu innych miejsc zupełnie nie dla dzieci. Robiła to z mściwości. Tylko po to, żeby się odegrać.

A Evelyn przez cały ten czas cierpiała z powodu dziecka – nie pierwszego lepszego dziecka, tylko własnego syna. Tego wściekłego, bezdusznego młodego człowieka, który właśnie przystawiał jej lufę pistoletu do głowy.

Faith poczuła, że telefon przestał dzwonić, ale niemal natychmiast zaczął wibrować z powrotem.

– Wybacz, że nie miałś we mnie wsparcia – zwróciła się do matki.

Evelyn pokręciła głową na znak, że to nieważne. Ale było ważne.

– Tak mi przykro, mamó.

Evelyn na chwilę spuściła wzrok, a potem znów spojrzała na córkę. Siedziała na skraju fotela, z wyciągniętą przed siebie połamaną nogą. Pół metra od niej leżał na podłodze zabity porywacz. Zza jego spodni wystawał glock, ale broń równie dobrze mogłaby być oddalona o wiele kilometrów. Evelyn nie była w stanie zerwać się z fotela i po nią sięgnąć. Nic jednak nie stało na przeszkodzie, żeby uniosła rękę i pozbyła się taśmy z ust, zwłaszcza że i tak już się odklejała. Srebrne rogi się zawijały. Dlaczego udawała, że nie może się odezwać? Dlaczego przyjęła tak bierną postawę?

Faith przyglądała się matce. Czego Evelyn od niej oczekiwała? Co Faith mogła dla niej zrobić?

Ich uwagę przykuł głośny huk. Obie spojrzały na chłopaka.

Wyrzucił po kolei pozostałe książki z biblioteczki.

– Jak to było wychowywać się w tym domu? – zapytał.

Faith milczała. Nie zamierzała dać się wciągnąć w tę rozmowę.

– Mamusia i tatuś siedzący przy kominku. – Kopnął leżącą na podłodze Biblię tak, że trzepocząc kartkami, poleciała na drugą stronę pokoju. – Fajnie było wracać do domu, gdzie co dzień czekało mleko i ciasteczka. – Z bronią u boku ruszył do Evelyn. W pół drogi zawrócił i zaczął krążyć tam i z powrotem. Jego uliczny slang znów dał znać o sobie. – Sandra harowała dzień w dzień. Jak już wracała do domu, nie miała czasu sprawdzać, czy odrobiłem lekcje.

Evelyn też nie miała na to czasu. Bill pracował w domu i to on pilnował, żeby dzieci miały kanapki do szkoły, i sprawdzał dzienniczki.

– Trzymałaś całe to badziewie w szafie. Po cholere?

Chodziło mu o pamiątki po Jeremym. Faith nie odpowiedziała. To matka zmuszała ją do ich przechowywania, wiedząc, że kiedyś będą dla córki najdroższym skarbem, tak samo jak rzeczy Emmy.

Spojrzała na Evelyn.

– Wybacz.

Matka znów spuściła wzrok na zabitego chłopaka i glocka. Faith nie wiedziała, czego Evelyn do niej oczekuje. Stała dobre pięć metrów od niego.

– Pytałem cię o coś. – Przestał chodzić tam i z powrotem. Stanął na

środku pokoju, dokładnie naprzeciwko Faith. Tec-9 celował prosto w głowę Evelyn. – Odpowiadaj.

Nie zamierzała mówić prawdy, dlatego rzuciła mu ostatnią wskazówkę, dzięki której poskładała wszystkie elementy łamigłówek.

– To ty zmieniłeś kosmyk włosów.

Uśmiech chłopaka zmroził jej krew w żyłach. Rano Faith zdała sobie sprawę, że kosmyk włosów Jeremy'ego nie pociemniał z upływem czasu. Jasnoniebieska wstążka różniła się od tej, którą związała włosy syna. Krańce miała proste, a nie wystrzępione, chociaż w ostatnich miesiącach ciąży z Emmą Faith międlila je w palcach jak talizman.

Sztuńce. Długopisy. Śnieżne kule. Sara miała rację. Takie rzeczy robią dzieci, chcąc zwrócić na siebie uwagę. Kiedy Faith pierwszy raz zobaczyła tego chłopaka w toalecie supermarketu, tak się skupiła na zapamiętaniu jego rysopisu, że nie skojarzyła tego, co widzi. Był w wieku Jeremy'ego. Mniej więcej jej wzrostu. Zagryzał wargę dokładnie tak, jak to robił Jeremy. Próbował ją zastraszyć wybuchami wściekłości, tak jak Zeke. No i miał niebieskie oczy Evelyn.

Ten sam migdałowy kształt. Ten sam ciemnoniebieski odcień z zielonymi cętkami.

– Jak widać, twoja matka cię kochała – powiedziała Faith – Przecież zachowała kosmyk twoich włosów.

– Która matka? – Jego pytanie ją zaskoczyło.

Czyżby to Evelyn trzymała jego włosy przez te wszystkie lata? Faith wyobraziła ją sobie, jak leży w szpitalu i tuli swoje dziecko, wiedząc, że robi to po raz ostatni. Czy to Amanda wpadła na pomysł, żeby skombinować nożyczki? Czy pomogła Evelyn odciąć kosmyk włosów i związać go niebieską wstążką? Czy matka trzymała go przez dwadzieścia lat, by raz na jakiś czas wyjąć i popieścić palcami miękkie, dziecięce włoski?

Oczywiście, że tak.

Nie da się oddać własnego dziecka w obce ręce i nie myśleć o nim dzień w dzień, co chwila, aż do końca życia. To niemożliwe.

– Nawet cię nie interesuje, jak mam na imię? – zapytał chłopak.

Faith ugięły się kolana. Miała ochotę usiąść, wiedziała jednak, że

nie jest w stanie się ruszyć. Stała w holu od frontu. Po lewej ręce miała drzwi do kuchni. Za plecami drzwi wejściowe. Po prawej był korytarz, który kończył się łazienką. A na zewnątrz czekał wyśmienity strzelec, Will, z coltem AR-15A2. Gdyby tylko udało się jej skłonić tego drania, żeby do niej podszedł.

Wycelował w nią, odwracając pistolet bokiem, tak jak to robią gangsterzy.

– Spytaj, jak mam na imię – rozkazał.

– Jak ci na imię?

– Jak ci na imię, braciszku – poprawił ją.

Poczuła na języku smak żółci.

– Jak ci na imię, braciszku?

– Caleb – odparł. – Caleb. Ezekiel. Faith<sup>4</sup>. Zdaje się, że mamuśka gustuje w biblijnych imionach.

Rzeczywiście tak było, i dlatego Jeremy dostał na drugie Abraham, a Faith miała na pierwsze imię Hannah. Czy dlatego wybrała dla córki imię Emma, że chciała się postawić tradycji matki? Evelyn sugerowała Elizabeth, Esther albo Abigail, ale Faith uparła się przy swoim.

– On też tu się wychowywał, tak? – Caleb omiótł dom pistoletem. – Twój ukochany Jeremy?

Faith zadrzała, słysząc, jak wymawiał imię jej syna. Chętnie by mu je wbiła pięścią w gardło.

– Oglądał telewizję. Czytał książki. Grał w coś. – Dolne drzwiczki biblioteczki były otwarte. Nie spuszczać wzroku z Faith, wyciągnął jakieś gry planszowe i rzucił na podłogę. – Monopol. Cluedo. Chińczyk. – Wybuchnął śmiechem. – Sorki!

– Czego od nas chcesz?

– Cholera, gadasz całkiem jak ona. – Odwrócił się do Evelyn. – Czy nie to ciągle mi powtarzałaś, mamusiu? „Czego ode mnie chcesz, Caleb?”. Jakbyś mogła mnie spłacić. – Wrócił spojrzeniem do Faith. – Proponowała mi pieniądze. I co ty na to? Dziesięć tysięcy zielonych za to, żebym się zmył.

Nie uwierzyła mu.

– Ona dbała tylko o to, żeby chronić ciebie i twojego bękarta. –

W nikłym świetle błysnął platynowy ząb. – Teraz masz dwa bachory, co? Mamusia nie mogła zatrzymać swojego brązowego dzidziusia, ale ty ze swoimi nie miałaś problemu.

– Teraz jest inaczej – powiedziała. Nawet jeżeli ciąża Evelyn była utrzymywana w tajemnicy, to przecież Faith okryła hańbą całą rodzinę na wieki. Jej ojciec stracił wieloletnich klientów. Brat został zmuszony do wyjazdu. Jak by potraktowali Evelyn Mitchell, gdyby wychowywała dziecko, po którym na pierwszy rzut oka widać, że nie spłodził go jej mąż? Tutaj nie było dobrego wyjścia. Faith nawet nie wyobrażała sobie skali cierpienia, jakie stały się udziałem jej matki. – Nie masz pojęcia, jak to wyglądało kiedyś.

– Brawo. Mama mówiła tak samo. – Wskazał na jej kieszeń. – Nie odbierzesz?

Jej telefon znów zaczął wibrować.

– Chcesz, żebym odebrała?

– SP – rzucił. Standardowa procedura. – Chcą wiedzieć, jakie są moje żądania.

– A czego żadasz?

– Odbierz, to się dowiemy.

Otarła spoconą dłoń o nogawkę, po czym wyjęła telefon.

– Halo?

Usłyszała głos Willa:

– Faith, ten facet to...

– Wiem, kim jest. – Patrzyła na Caleba z nadzieją, że wyczyta w jej wzroku, że nienawidzi go do szpiku kości. – Ma jakieś żądania. – Wyciągnęła komórkę do chłopaka, modląc się, żeby po nią podszedł.

Ale on stał, jakby wrósł w podłogę.

– Chcę mleka i ciasteczek. – Urwał, jakby się zastanawiał. – Chcę, żeby mama codziennie czekała na mnie, kiedy wracam ze szkoły. Chcę pewnego dnia trafić tam, gdzie o świcie nie będą ciągnęli mnie do kościoła, a kolana nie będą mnie bolały od modlenia się co wieczór. – Zatoczył ręką łuk w kierunku biblioteczki. – Chcę, żeby mama czytała mi bajki o szczęśliwych jagniątkach i księżycach. Tak jak czytałaś Ptaszkowi, dobrze mówię?

– Nie waż się wymawiać jego imienia – wykrztusiła Faith z trudem.

– Zabierałaś małego Ptaszka do parku, do wesołego miasteczka, do Disney Worldu i na plażę.

Widocznie zapamiętał wszystkie zdjęcia z pudełka Jeremy’ego. Ile czasu spędził w jej domu? Ile godzin poświęcił na grzebanie w jego rzeczach?

– Przestań mówić o moim synu.

– Bo co? – Roześmiał się. – Powiedz im, że tego właśnie chcę. Macie mnie wszyscy zabrać do Disney Worldu.

Ręka, którą Faith wyciągała do niego telefon, drżała.

– Co mam im przekazać?

Prychnął z niesmakiem.

– Że teraz niczego mi nie trzeba. Mam przy sobie rodzinę. Mamę i starszą siostrę. Czego więcej można chcieć? – Wrócił do biblioteczki i oparł się o półki. – Fajne jest takie życie.

Faith odchrząknęła. Przyłożyła telefon do ucha.

– On nie zgłasza żadnych żądań.

– Nic ci się nie stało? – spytał Will.

– Ja...

– Przełącz na głośnik – polecił Caleb.

Spojrzała w dół na telefon, szukając właściwego klawisza.

– On cię słyszy – uprzedziła Willa.

Zawahał się.

– Czy twojej mamie jest wygodnie? Może siedzieć?

Prosił o jakieś wskazówki.

– Siedzi w fotelu taty, ale się o nią martwię. – Faith odetchnęła głęboko, patrząc matce prosto w oczy. – Jeśli to się przeciągnie, będę potrzebowała insuliny. – Caleb myszkował w jej lodówce. Wiedział, że ma cukrzycę. – Rano miałam cukier na poziomie osiemnaście. Mama jest na piętnastce. Ostatnią dawkę brałam w południe. Najpóźniej o dziesiątej muszę dostać następną, inaczej mój cukier będzie skakał jak szalony.

– Załatwione – obiecał Will. Modliła się, żeby naprawdę zrozumiał, co chciała przekazać, a nie rzucił tego na odczepne.

– Twój telefon... – Urwała. Myślała zdecydowanie zbyt wolno. – Czy gdybyśmy czegoś potrzebowali, mamy dzwonić na twój numer?

Na twoją komórkę?

– Tak. – Zamilkł na chwilę. – Insulinę możemy ci dostarczyć za pięć minut. Daj nam znać. Mnie daj znak.

Caleb zmrużył oczy. Za dużo gadała, a ani ona, ani Will nie mieli w tym wprawy.

– Bądź ostrożny. – Faith nie musiała udawać, że się boi. Jej głos i tak drżał sam z siebie. – On zabił swojego współnika. Ma...

– Koniec – rzucił Caleb.

Próbowała znaleźć klawisz.

– Rozłącz się! – ryknął.

Telefon wypadł jej z ręki. Gramoląc się na kolanach, próbowała podnieść go z podłogi. Przypomniała sobie o rewolwerze przypiętym do kostki. Pod palcami wyczuła zimny metal smith & wessona.

– Nie! – krzyknęła matka. Otworzyła usta tak szeroko, że taśma w końcu odpadła. Caleb wbił lufę pistoletu w jej żebra. Wolną ręką ścisnął jej złamaną nogę. – Nie! – wrzasnęła znów Evelyn. Faith nigdy nie słyszała takiego dźwięku z ust człowieka. A ponieważ wydobył się z ust matki, miała wrażenie, jakby wnikał w jej pierś i wyrwał serce.

– Przestań! – rzuciła błagalnie, wstając i wyciągając ręce. – Proszę cię, przestań! Błagam, po prostu...

Caleb zwolnił uścisk, ale wciąż trzymał rękę tuż nad złamaną nogą.

– Kopnij tego gnata tutaj. Powoli, albo zabiję tę szmatę.

– Zgoda. – Uklękła. Drżała na całym ciele, jakby dostała ataku. – Robię, co kazałeś. Dokładnie wypełniam twoje polecenie. – Zadarła nogawkę i ujęła broń kciukiem i palcem wskazującym. – Tylko nie rób jej więcej krzywdy. Spójrz.

– Powoli – przestrzegł ją.

Pchnęła broń po podłodze na skos od niego, modląc się, żeby wrócił tam, gdzie stał wcześniej. On jednak nie sięgnął po rewolwer, został obok Evelyn.

– Tylko spróbuj czegoś takiego jeszcze raz, zdziro – rzekł.

– Obiecuję, że już tego nie zrobię – przyrzekła.

Oparł pistolet na skraju fotela, celując w głowę Evelyn. Z jej twarzy zwisła taśma. Zerwał ją.

Gwałtownie zaczerpnęła powietrza. Oddychała ze świstem przez



złamany nos.

– Nie przyzwyczajaj się za bardzo do świeżego powietrza – zadrwił.

– Puść ją – wychrypiła Evelyn. – Nic ci nie zrobiła. Nie miała pojęcia o twoim istnieniu. Była jeszcze dzieckiem.

– Ja też byłem dzieckiem.

Evelyn zakaszłała krwią.

– Puść ją, Caleb. To mnie chcesz ukarać.

– Czyś ty kiedyś o mnie pomyślała? – Kłękając obok niej, wciąż mierzył w jej głowę. – Czy przebywając z tym jej małym bękartem, choć raz pomyślałaś o mnie?

– Nigdy nie przestałam o tobie myśleć. Nie było dnia, żebym...

– Gówno prawda. – Wstał.

– Sandra i Paul kochali cię jak rodzzonego syna. Świata za tobą nie widzieli.

Odwrócił wzrok.

– Okłamywali mnie.

– Bo chcieli, żebyś był szczęśliwy.

– Czy ja wyglądam na szczęśliwego? – Wskazał leżącego na podłodze trupa. – Wszyscy moi przyjaciele już nie żyją. Ricky, Hiro, Dave. Sztuka w sztukę. Zostałem tylko ja. – Najwyraźniej zapomniał o swoim udziale w tej jatce. – Mój fałszywy ojciec nie żyje. Moja fałszywa matka też.

– Wiem, że płakałeś na jej pogrzebie – powiedziała Evelyn. – Wiem, że kochałeś Paula i...

Otwartą dłonią uderzył ją w skroń. Faith bez namysłu rzuciła się na niego, ale zamarła, gdy wycelował pistolet w jej stronę.

Spojrzała na matkę. Evelyn siedziała ze zwieszoną głową. Z jej ust ciekła krew.

– Nigdy o tobie nie zapomniałam, Caleb – powtórzyła. – W głębi duszy dobrze o tym wiesz.

Znów ją uderzył, tym razem jeszcze mocniej.

– Przestań! – zawołała Faith błagalnie. Choć sama nie wiedziała, czy zwraca się do matki, czy do Caleba. – Proszę cię, przestań.

– Zawsze cię kochałam, Caleb – wyszeptała Evelyn.

Uniósł karabin i wyrzucił ją kolbą w skroń. Cios był tak silny, że

spadła z fotela i grzmotnęła na podłogę. Zawyla z bólu, gdy jej złamana noga się wykręciła. Łubki z kijów od szczotki się złamały, kość przebiła udo na wylot.

– Mamo! – Faith rzuciła się w jej kierunku.

Coś brzdęknęło i z podłogi odprysnął kawałek drewna.

Faith zamarła. Nie wiedziała, czy została postrzelona. Widziała jedynie matkę na podłodze i Caleba, który stał nad nią z uniesioną pięścią. Kopnął Evelyn. Mocno.

– Proszę cię, przestań – błagała Faith. – Obiecuję...

– Stul dziób! – Spojrzał na sufit. W pierwszej chwili Faith nie poznała, co to za warkot. Śmigłowiec. Łopaty wirnika cięły powietrze, przesywały bębenki uszu.

Teraz Caleb celował z Tec-9 w Faith. Musiał podnieść głos, żeby przekrzyczeć hałas.

– To był strzał ostrzegawczy – zapowiedział. – Następną kulkę wpakuję ci między oczy.

Spojrzała na podłogę, na dziurę w drewnie. Cofnęła się o krok, powstrzymując krzyk, który wyrywał się z jej piersi. Warkot ucichł, bo śmigłowiec wzbił się wyżej.

– Proszę cię, nie rób jej krzywdy – wycharczała z trudem. – Ze mną rób, co chcesz, ale...

– A tobą też wkrótce się zajmę, siostrzyczko. Spuszczę ci konkretny łomot. – Uniósł ręce, jakby występował na scenie. – A co, o to właśnie biega. Pokażę twojemu kochanemu synalkowi, jak to jest dorastać bez mamy. – Cały czas celował w Faith. – Dobrześ się wczoraj sprawiła, jak poleciałaś za nim po ulicy. Jakby się zbliżył jeszcze trochę, już by leżał trupem.

Żołądek podszedł jej do gardła.

Trącił Evelyn trampkiem.

– Spytaj ją, dlaczego mnie oddała.

Faith nie odzywała się z obawy, że głos ją zawiedzie.

– Spytaj ją, dlaczego mnie oddała – powtórzył Caleb. Uniósł nogę, jakby chciał kopnąć Evelyn w złamane udo.

– Dobra! – krzyknęła Faith. – Dlaczego go oddałaś?

– Dlaczego go oddałaś, mammo? – poprawił ją Caleb.

– Dlaczego go oddałaś, mamó?

Evelyn nie poruszyła się. Leżała z zamkniętymi oczami. Faith zaczęła wpadać w panikę, gdy naraz usłyszała głos matki:

– Nie miałam wyboru.

– Tak? A co mi powtarzałaś od roku, mamó? Że każdy ma wybór, zgadza się?

– To były inne czasy. – Otworzyła nieuszkodzone oko. Miała zlepione rzęsy. Spojrzała na córkę. – Tak mi przykro, kochanie.

Faith pokręciła głową.

– Nie masz mnie za co przeproszać.

– No proszę, jak milusio. Mamusia i córeczka nareszcie się pogodziły. – Pchnął fotel pod ścianę z taką siłą, że złamała się tylna noga. – Ona się mnie wstydziła, oto dlaczego. – Zaczął krążyć między nimi a biblioteczką. – Nie wiedziała, jak wytłumaczyć, że wysnęło się z niej brązowe dziecko. Nie to co ty, prawda? Inne czasy. – Znów zaczął krążyć tam i z powrotem. – A tobie się zdaje, że tatuś był taki kochany. Powiedz jej, mamó, co ci kazał zrobić. Powiedz jej, do czego cię zmusił.

Evelyn leżała na boku, z zamkniętymi oczami i rękami przed sobą na podłodze. Tylko płytkie falowanie piersi świadczyło o tym, że żyje.

– Twój kochany ojczulek oświadczył jej, że albo ja, albo on. I co ty na to? Przez sześć lat był w Galveston agentem ubezpieczeniowym roku, a powiedział twojej mamie, że nie może zatrzymać swojego syna, bo jeśli to zrobi, już nigdy nie zobaczy pozostałych dzieci.

Faith starała się nie pokazywać po sobie, że w końcu trafił w jej czuły punkt. Uwielbiała ojca tak, jak to potrafią tylko rozpaskudzone córeczki tatusia, ale jako dorosła bez trudu potrafiła wyobrazić sobie Billa Mitchella stawiającego matce takie ultimatum.

Caleb wrócił na swoje miejsce przy biblioteczce. Pistolet trzymał u boku, lecz Faith wiedziała, że w każdej chwili może znów wycelować. Stał plecami do przesuwanych szklanych drzwi. Po lewej ręce miał Evelyn. Faith, oddalona od niego o jakieś cztery metry, czekała, aż rozpęta się piekło.

Modliła się, żeby Will zrozumiał, co próbowała mu przekazać. Pokój był zegarem. Faith miała cukier na poziomie osiemnaście, czyli

stała na godzinie szóstej. Evelyn była na piętnastce, czyli na trzeciej. Caleb krążył pomiędzy dziesiątą a dwunastą.

W ciągu ostatniego miesiąca Faith co najmniej dwadzieścia razy proponowała Willowi, że przestawi czas w jego komórce na normalny. On jednak uparcie odmawiał, przepelniony dziwną mieszanką wstydu i dumy w związku ze swoją ułomnością. W tej chwili obserwował ją przez okno łazienki. Powiedział, żeby go zawiadomiła. Przeczesała więc włosy, składając kciuk i palec wskazujący na znak, że może zaczynać.

Spojrzała na leżącą na podłodze matkę. Evelyn patrzyła na nią jednym sprawnym okiem. Czy zauważyła, że córka przekazała Willowi sygnał? Czy była w stanie pojąć, co się zaraz stanie? Oddychała z trudem. Miała obtarte wargi. Ciemne sińce na szyi zdradzały, że ją duszono. Skroń była skaleczona, a z paskudnej rany na policzku płynęła krew. Faith poczuła, jak fala miłości przepływa od niej wprost do leżącej matki. Zupełnie jakby jej ciało emitowało promienie światła. Ile razy zwracała się do tej kobiety o pomoc? Ile razy wypłakiwała się na jej ramieniu?

Tyle, że już dawno straciła rachubę.

Evelyn uniosła rękę. Jej palce drżały. Zakryła twarz. Faith odwróciła się. Z okien od frontu błysnął oślepiający promień. Przebił się przez cienkie żaluzje, oświetlając wnętrze domu.

Faith padła na podłogę. Widocznie pamięć mięśniowa utrwaliła wyćwiczone przed laty nawyki. A może czując, że stanie się coś strasznego, człowiek odruchowo stara się ukryć?

W pierwszej chwili nic się nie wydarzyło. Mijały sekundy. Faith tymczasem odliczała: ... dwa... trzy... cztery.

Zadarła głowę i spojrzała na Caleba.

Przy dźwiękach rozbijanego szkła poleciał w tył, jakby ktoś walnął go w ramię. Na jego twarzy szok mieszał się z bólem. Faith dźwignęła się z podłogi. Skoczyła na niego. Skierował lufę pistoletu na jej twarz. Zajrzała w wylot gwintowanej lufy, która odpowiedziała jej spojrzeniem ciemnego oka. Poddała się gorejącej w niej furii. Chciała zabić tego człowieka. Chciała przegryźć mu gardło. Wyciąć mu serce z piersi. Chciała patrzeć na ból w jego oczach, gdy będzie robiła mu

to, co zrobił z jej matką, jej rodziną, z ich życiem.

Nie dostała takiej szansy.

Głowa Caleba eksplodowała. Poderwał rękę. Z sufitu posypał się biały tynk po kulach z Tec-9. Pamięć mięśniowa. Dwa strzały jeden po drugim, w krótkim odstępie.

Powoli zwałił się na podłogę. Faith słyszała tylko huk padającego na ziemię ciała. Najpierw uderzył w twarde drewno biodrem, potem ramieniem, w końcu głową. Oczy pozostały otwarte. Ciemnoniebieskie. Jakże znajome. Wyprane z życia.

Żegnaj.

Faith spojrzała na matkę. Evelyn zdołała oprzeć się o ścianę. W prawej ręce wciąż trzymała glocka. Lufa zachwiała się. Broń była za ciężka. Evelyn opuściła rękę. Pistolet spadł na podłogę.

– Mamo... – Faith ledwo trzymała się na nogach. Podczołgała się do Evelyn. Nie wiedziała, gdzie może jej dotknąć, która część ciała matki nie jest posiniaczona albo złamana.

– Podejź – wyszeptała Evelyn. Objęła córkę i pogłaskała ją po włosach. Faith rozbeczała się jak dziecko, nic na to nie mogła poradzić. – Już dobrze, maleńka. – Evelyn przycisnęła usta do czubka głowy córki. – Wszystko będzie dobrze.

## Czwartek

### Rozdział 21

Idąc szpitalnym korytarzem do pokoju Evelyn Mitchell, Will włożył ręce do kieszeni. Ze zmęczenia kręciło mu się w głowie. Wzrok miał tak wyostrzony, że postrzegał świat niczym na filmie Blue-ray. Jednym uchem słyszał przenikliwy pisk. Czuł wszystkie pory swojej skóry. Dlatego nigdy nie pijał kawy. Był dostatecznie naelektryzowany, by zapewnić energię elektryczną całemu miasteczku. Ostatnie trzy noce spędził z Sarą. Przez ten czas jego stopy prawie nie dotykały podłogi.

Zatrzymał się przed pokojem Evelyn, zastanawiając się, czy nie powinien przynieść kwiatów. Miał gotówkę w portfelu. Zawrócił do wind. W sklepiku z upominkami mógł przynajmniej kupić jej baloniki. Wszyscy lubią balony.

– Hej. – Faith otworzyła drzwi pokoju matki. – A ty dokąd?

– Czy twoja mama lubi balony?

– Na pewno lubiła jako siedmiolatka.

Uśmiechnął się. Ostatnio widział swoją partnerkę, kiedy płakała w ramionach matki. Teraz wyglądała lepiej... no, trochę lepiej.

– Jak się trzyma? – zapytał.

– Nieźle. Ubiegła noc minęła spokojniej niż poprzednia, ale wciąż ją boli.

Will potrafił to sobie wyobrazić. W asyście policyjnej eskorty Evelyn natychmiast przewieziono do Grady. Na stole operacyjnym spędziła ponad szesnaście godzin. Wpakowali jej w nogę tyle metalu, że wystarczyłoby na luksusowy zestaw „Małego ślusarza”.

– A jak u ciebie?

– Mam sporo do przemyślenia. – Faith pokręciła głową, jakby wciąż trudno jej było pojąć, co się stało. – Zawsze marzyłam o drugim bracie, bo liczyłam, że potrafiłby sprać Zeke’a.

– Wygląda na to, że dajesz sobie radę.

– To wymaga więcej zachodu, niż sądzisz. – Oparła się bokiem o ścianę. – Musiało jej być niesamowicie ciężko. Przez co ona

przeszła! Nawet sobie nie wyobrażam, że mogłabym oddać któreś ze swoich dzieci. Prędzej wyrwałabym sobie serce.

Spojrzał nad jej ramieniem na pusty korytarz.

– Przepraszam, nie pomyślałam, że ty też... – bąknęła.

– Nie ma sprawy – uspokoił ją. – Wiesz, że zaskakująco wiele sierot kończy w zakładach karnych. – Podał jej kilka głośnych przykładów. – Albert DeSalvo. Ted Bundy. Joel Rifkin. Syn Sama.

– Zdaje się, że Aileen Wuornos też była porzucona przez rodziców.

– Dam znać pozostałym. Dobrze jest mieć wśród nas kobietę.

Zaśmiała się. Will znów spojrzał nad jej ramieniem. Korytarzem szła pielęgniarka z wielkim bukietem kwiatów.

– Byłam pewna, że już nie wyjdziemy z tego domu – wyznała Faith.

Jej ton świadczył o tym, że jeszcze nie przeszła do porządku nad tym, co spotkało jej rodzinę. Może nigdy się z tego nie otrząśnie. Niektórych rzeczy w żaden sposób nie da się wyrzucić z pamięci.

– Na wypadek, gdyby coś takiego miało się powtórzyć, trzeba by opracować lepszy szyfr – powiedział.

– Śmiertelnie się bałam, że mnie nie zrozumiesz. Dzięki Bogu, że klóciliśmy się o przestawienie formatu czasu w twojej komórce.

– Prawdę mówiąc, w ogóle cię nie rozumiałem. – Uśmiechem skwitował jej zaskoczoną minę. Rozmawiając z Faith, miał włączony głośnik. Gdy tylko się rozłączyli, Roz Levy wyraziła swoje zdanie: że pokój to zegar i że z wielką chęcią wpadłaby tam ze swoim pythonem i skosiła tego gnojka, stojącego na dwunastej. – Chciałbym wierzyć, że prędzej czy później sam bym do tego doszedł – wyznał.

– Zdajesz sobie sprawę, że taki poziom cukru, jaki ci podałam, oznaczałby, że albo nie żyję, albo zapadłam w taką śpiączkę, z której już się nie wychodzi?

– Jasne, że tak.

– Rany boskie – szepnęła. – Nie ma co, pięknie się dogadujemy.

Poczuł, że powinien jej coś wyjaśnić.

– Śmigłowiec to był tylko mój pomysł. Kamery na podczerwień pokazały nam wasze pozycje i potwierdziły, że jego współnik nie żył.

– Nie zrobiło to na niej wrażenia, więc dorzucił: – Światła to też mój pomysł. – Ustawili dwa radiowozy, które zalały okna od frontu

blaskiem ksenonowych reflektorów. Widoczna przez zasłony sylwetka Caleba umożliwiła im strzał.

– W każdym razie dzięki, że go zabiłeś. – A widząc jego minę, spytała: – Co jest, Will? To nie ty strzelałeś?

Odetchnął głęboko.

– Amanda obiecała, że odda mi jedno z moich jąder, jeżeli odstąpię jej ten strzał.

– Mam nadzieję, że dała ci to na piśmie. Ale nie trafiła w dziesiątkę.

– Zwała winę na mój karabin. Podobno to dlatego, że jestem leworęczny.

Uchwyt był uniwersalny, lecz Faith się nie spierała.

– Ale i tak się cieszę, że tam byłeś. Dzięki temu czułam się bezpieczniej.

Uśmiechnął się, chociaż był przekonany, że i bez niego daliby sobie radę. Amanda była pomysłowa, Will zaś w gruncie rzeczy chował się za murem, podczas gdy Faith nadstawiała głowę.

– Cieszę się, że jesteś z Sarą – powiedziała.

Próbował powstrzymać głupawy uśmieszek, który cisnął mu się na usta.

– Jestem z nią, dopóki nie znajdzie sobie kogoś lepszego.

– Mam nadzieję, że żartujesz – obrugła go.

On też miał taką nadzieję. Nie rozumiał Sary. Nie wiedział, co ją w nim kręci ani dlaczego chce z nim być. A nie dość, że z nim była, to jeszcze wydawała się szczęśliwa z tego powodu. Tego dnia rano śmiała się tak bardzo, że z trudem złożyła usta, by pocałować go na do widzenia. Myślał, że może został mu na twarzy kawałek papieru toaletowego po tym, jak zaciął się przy goleniu, ale wyjaśniła mu, że śmieje się, ponieważ dzięki niemu jest szczęśliwa.

Nie bardzo wiedział, co z tym począć. To nie miało sensu.

Faith wiedziała, jak zetrzeć uśmieszek z jego twarzy.

– A co z Angie?

Wzruszył ramionami, chociaż Angie tyle razy nagrała mu się na sekretarkę w domu i pocztę głosową w komórce, że kompletnie zatkała obie skrzynki. Każda kolejna wiadomość była coraz bardziej



ohydna. Każda groźba coraz poważniejsza. Odsłuchał je wszystkie. Nie potrafił się powstrzymać. Wciąż widział Angie z lufą pistoletu w ustach. Wciąż czuł łomotanie serca na myśl, że wchodzi do swojej łazienki i widzi ją, wykrwawiającą się w jego wannie.

Na szczęście Faith się nad tym nie rozwodziła.

– Przyznałeś się Sarze, że się boisz szympansów? – spytała.

– Jak na razie ten temat nie wypłynął.

– Ale prędzej czy później wypłynie. Tak to już jest w związkach. Czy ci się to podoba, czy nie, w końcu wszystko wyjdzie na jaw.

Szybko skinął głową, licząc na to, że w ten sposób ją uciszy. Ale nic z tego.

– Posłuchaj. – Przybrała ton swojej matki, ten sam, którym go strofowała, kiedy się garbił albo miał krzywo zawiązany krawat. – Nie spieprzysz tego, no chyba że wciąż się będziesz zamartwiał, że jednak spieprzysz.

Wolałby wrócić do bagażnika samochodu pani Levy, niż ciągnąć tę rozmowę.

– Bardziej się martwię o Betty.

– Coś takiego.

– Naprawdę się do niej przywiązała. – To akurat była prawda. Rano suczka odmówiła opuszczenia mieszkania Sary.

– Obiecuj mi tylko, że odczekasz przynajmniej miesiąc, zanim jej wyznasz, że ją kochasz.

Westchnął, marząc o odosobnieniu w kufrze corvaira.

– Wiedziałaś, że Bayer zastrzegł heroinę jako znak towarowy? – spytał.

Pokręciła głową na taką zmianę tematu.

– To ci od aspiryny?

– Stracili ten znak towarowy po pierwszej wojnie światowej. Na mocy zapisu w Traktacie Wersalskim.

– Człowiek codziennie uczy się czegoś nowego.

– W katalogu Searsa mieli strzykawki napełnione heroiną. Dwie sztuki za półtora dolara.

Położyła rękę na jego ramieniu.

– Dziękuję, Will.

Poklepał grzbiet jej dłoni raz i drugi, bo jeden raz to by było za mało.

– Powinnaś podziękować Roz Levy, nie mnie. To ona wszystko rozgryzła.

– To raczej nie jest urocza, miła staruszka, prawda?

Oględnie powiedziane. Starucha dla sportu obserwowowała, jak Evelyn przeżywa najgorszy koszmar w życiu.

– To diabeł w ludzkiej skórze.

– Palnęła ci wykład na temat kundli i suk?

Słyszając czyjeś głosy, Faith odwróciła się. Otworzyły się drzwi do pokoju matki i na korytarz wyszedł Jeremy. Za nim pojawił się wysoki, obcięty na jeża mężczyzna z ostro zarysowaną szczęką, wyglądający na żołnierza z formacji marines. Na potężnym ramieniu trzymał Emmę. Dziecko wyglądało jak torba mrożonej fasolki zwisająca z wieżowca. Ciałkiem małej wstrząsnęła czkawka.

– Będzie ubaw. – Faith jęknęła, odpychając się od ściany. – Will, to mój brat Zeke. Zeke, to jest...

– Wiem, kim jest ten cymbał.

Will wyciągnął rękę.

– Dużo o panu słyszałem.

Emma czknęła. Zeke łytał wilkiem. Nie uścisnął ręki Willa.

Partner Faith spróbował załagodzić sytuację.

– Cieszę się, że pańska matka dochodzi do siebie.

Zeke wciąż łytał na niego spode łba. Emma znów czknęła. Will współczuł bratu Faith. Jako właściciel chihuahuy, doskonale wiedział, jak trudno jest zgrywać twardziela, trzymając na rękach maleństwo.

Jeremy przerwał im ten pojedynek na mierzenie się wzrokiem.

– Cześć, Will. Dzięki, że wpadłeś.

Will podał mu rękę. Chłopak wyglądał mizernie, ale miał silny uścisk.

– Słyszałem, że twoja babcia ma się lepiej.

– Jest twarda. – Jeremy objął Faith. – Tak jak mama.

Emma czknęła.

– Chodźmy, wujku. – Jeremy wziął Zeke'a pod rękę. – Obiecałem babci, że przyniesiemy moje łóżko na parter, żeby mama mogła się

nią opiekować, kiedy już wyjdzie ze szpitala.

Zeke jeszcze przez chwilę mierzył Willa wzrokiem. Nieustająca czkawka Emmy skłoniła go jednak do tego, by w końcu pójść za siostrzeńcem.

– Przepraszam – rzuciła Faith. – Czasami wychodzi z niego straszny palant. Nie wiem, jak do tego doszło, ale Emma go kocha.

Pewnie dlatego, że nie rozumiała ani słowa z tego, co mówił.

– Chcesz teraz pogadać z mamą? – spytała Faith.

– Wpadłem, żeby sprawdzić, jak się trzymasz.

– Ona już dwa razy pytała o ciebie. Myślę, że chciałaby o tym porozmawiać.

– A nie może tego obgadać z tobą?

– Mnie tylko z grubsza powiedziała co i jak. Nie ma powodu, żebym miała poznać wszystkie drastyczne szczegóły. – Zmusiła się do uśmiechu. – Amanda powiedziała jej, że obiecała ci godzinę sam na sam z nią.

– Nie sądziłem, że naprawdę do tego dojdzie.

– Od czterdziestu lat są najlepszymi przyjaciółkami. Dotrzymują danego sobie słowa. – Jeszcze raz poklepała go po ramieniu i ruszyła do wyjścia. – Dzięki, że zajrzałeś.

– Zaczekaj. – Sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął kopertę, którą znalazł w porannej poczcie. – Jeszcze nigdy nie dostałem listu. Tylko rachunki.

Obejrzała zaklejoną kopertę.

– Nie otworzyłeś – zauważyła.

Nie musiał. Faith nigdy się nie dowie, jak wiele znaczyła dla niego jej pewność, że będzie potrafił przeczytać ten list.

– A mam go otworzyć? – zapytał.

– Nie, do cholery. – Wyrwała mu kopertę z ręki. – Wystarczy, że Zeke i Jeremy obejrzeliby filmy, które im nagrałam. Nie miałam pojęcia, że taka ze mnie beksa.

Nie mógł odmówić jej racji.

– Poza tym – spojrzała na zegarek – muszę wziąć insulinę i coś zjeść. Gdybyś mnie potrzebował, będę w stołówce.

Will odprowadził ją wzrokiem. Zatrzymała się przed windami

i obejrzała. Na jego oczach przedarła list na pół, a potem na mniejsze kawałki. Zasalutował jej, po czym pchnął drzwi do pokoju Evelyn, który tonął w kwiatach. Od silnego zapachu perfum zakręciło mu się w nosie.

Evelyn Mitchell odwróciła ku niemu głowę. Leżała w łóżku, z nogą na wyciągu. Z grubego gipsu sterczały śruby, przywodzące na myśl Frankensteina. Ręka spoczywała na podpórce z pianki. Na miejscu palca serdecznego miała upakowaną gazę. Z jej ciała biegły w różne strony jakieś rurki. Ranę na policzku zalepiał biały plaster. Na oko Evelyn wydawała się mniejsza, niż ją zapamiętał, ale po tym, co przeszła, każdy by zmizerniał.

Usta miała spierzchnięte i popękane. Mówiąc, starała się prawie nie poruszać szczęką. Zaskoczyła go jednak siła jej głosu.

– Agencie Trent.

– Kapitan Mitchell.

Wskazała kroplówkę z morfiną.

– Przykręciłam ją, bo chciałam z panem porozmawiać.

– Nie musi pani. Nie chcę sprawiać pani jeszcze więcej bólu.

– Skoro tak, to niech pan siada. Od zadzierania głowy boli mnie kark.

Jedno z krzeseł było przysunięte do jej łóżka. Will usiadł.

– Cieszę się, że dobrze się pani czuje – powiedział.

– Dobrze to lekka przesada – odparła, prawie nie poruszając ustami. – Powiedzmy, że jakoś się trzymam.

– Zawsze to coś.

– Mandy opowiedziała mi o pańskim udziale w tej sprawie – rzekła. Will pomyślał, że była to raczej krótka rozmowa. – Dziękuję, że chronił pan moją córkę.

– Pani ma na tym polu większe zasługi.

Jej oczy zaszyły łzami. Nie wiedział, czy z bólu, czy na myśl, że mogłaby stracić Faith.

A potem przypomniał sobie, że straciła przecież inne dziecko.

– Współczuję pani śmierci syna.

Z wyraźnym trudem przełknęła ślinę. Prawie całą jej szyję pokrywały czarne sińce. Evelyn Mitchell dwukrotnie była zmuszona

wybierać między rodziną, którą tworzyła z Billem Mitchellem, a synem, którego miała z Hectorem Ortizem. Za każdym razem podjęła tę samą decyzję. Inna sprawa, że za drugim razem Caleb zdecydowanie jej to ułatwił.

– To był szalenie trudny młody człowiek – powiedziała. – Nie wiedziałam, jak mogę mu pomóc. Był taki pełen gniewu.

– Nie musi mi pani o tym opowiadać.

Parsknęła chropawym śmiechem.

– Nikt nie chce, żebym o nim mówiła. Chyba wszyscy woleliby, żeby w ogóle nie istniał. – Wskazała szklankę wody na stoliku. – Mógłby pan...

Will podniósł szklankę i przekreślił słomkę tak, by mogła się napić. Nie była w stanie unieść głowy. Delikatnie sięgnął za plecy Evelyn i ją podtrzymał.

Piła prawie przez minutę, zanim wypuściła słomkę z ust.

– Dziękuję.

Usiadł i spojrzał na bukiet kwiatów stojący na stole naprzeciwko. Do białej wstążki była przyczepiona wizytówka firmowa. Rozpoznał logo policji miejskiej Atlanty.

– Hector był TI – oznajmiła Evelyn. Tajnym informatorem. – Donosił na swojego kuzyna. Należeli do gangu. Na początku to nie było nic wielkiego, włamywali się do samochodów i kradli torebki, żeby móc pograć na automatach, ale szybko wpakowali się po uszy.

– Los Mexicanos – powiedział.

Powoli pokiwała głową.

– Hector chciał się wycofać. On mówił, a ja słuchałam, bo służyło to mojej karierze. – Machnęła zdrową ręką. – A potem jakoś to poszło samo. – Zamknęła oczy. – Wysłałam za agenta ubezpieczeniowego. Był miłym człowiekiem i bardzo dobrym ojcem, ale... – Kiedy odetchnęła, z jej ust wydobył się świst. – Pan wie, jak to jest ścigać przestępców na ulicach. Serce łomocze, ma się wrażenie, że cały świat leży u naszych stóp, a potem wracamy do domu i co... Gotujemy kolację? Prasujemy koszule i kąpiemy dzieci?

– Kochała pani Hectora?

– Nie – odparła stanowczo. – Ani przez chwilę. Dziwne tylko, że

uświadomiłam sobie, jak bardzo kocham Billa, dopiero kiedy zraniłam go tak, że omal go nie straciłam.

– Ale został z panią.

– Na swoich warunkach. Ja już nie miałam w tej kwestii prawa głosu. Mąż spotkał się z Hectorem. I zawarli dżentelmeńską umowę.

– Konto bankowe.

Spojrzała na sufit. Powoli zamknęła oczy. Pomyślał, że zapadła w sen, lecz nagle odezwała się:

– Sandra i Paul siedzieli po uszy w długach, bo musieli pomagać swojej rodzinie. Nie stać ich było na dziecko, mimo że nic nie stało na przeszkodzie, żeby mieli własne. Część pieniędzy wpłacał na to konto Hector, część pochodziła ode mnie. Dziesięć procent z każdej pensji przeznaczałam dla Caleba. Coś w rodzaju dziesięciny, chociaż nie dla Kościoła... a jednak w ramach pokuty. – Kącik jej ust drgnął w namiastce uśmiechu. – Ale podejrzewam, że Sandra co tydzień sporo dawała na Kościół. Byli bardzo religijni. Katolicy. Nie przeszkadzało mi to tak bardzo jak mojemu mężowi. Liczyłam, że wpoją dziecku silne zasady moralne. – Zaśmiała się. – No i proszę, co z tego wyszło.

– A kiedy Sandra zachorowała, Caleb dowiedział się o pani?

Spojrzała na niego.

– Zadzwoiła do mnie. Odniosłam wrażenie, że chce mnie ostrzec, ale wtedy nie miało to sensu, więc zignorowałam jej słowa. Po raz pierwszy zobaczyłam go jako dorosłego człowieka na jej pogrzebie. – Pokręciła głową na to wspomnienie. – Boże, wyglądał dokładnie jak Zeke, kiedy był w jego wieku. Jeśli mam być szczerą, był od niego przystojniejszy. Sęk w tym, że pałał również większym gniewem. – Wciąż kręciła głową. – Nie dostrzegłam tego w porę. Nie miałam pojęcia.

– Rozmawiała pani z Calebem na pogrzebie?

– Próbowałam, ale odwrócił się i odszedł – odparła. – Kilka tygodni później, sprzątając dom, zauważyłam, że niektóre rzeczy są poprzestawiane. Ktoś przeszukał mój gabinet. Załatwił to wyjątkowo sprawnie, nie zorientowałabym się, gdyby nie to, że szukałam czegoś konkretnego. – Po czym wyjaśniła: – Trzymałam kosmyk jego włosów,

odciętych zaraz po urodzeniu. W miejscu, o którym moje dzieci nie wiedziały. Kiedy chciałam go wyjąć, okazało się, że zniknął. Wtedy powinnam się była zorientować. Zrozumieć, że ma obsesję na moim punkcie. I że mnie nienawidzi z głębi duszy.

Przerwała dla nabrania oddechu. Will widział, że jest zmęczona, ale podjęła opowieść:

– Poprosiłam Hectora o spotkanie. Odkąd Sandra zachorowała, znów się kontaktowaliśmy. Nie mieliśmy dla siebie zbyt dużo czasu. Żeby się nie nadziać na kogoś znajomego, jeździliśmy do Starbucksa przy lotnisku. Zupełnie jak przed laty... całe to ukrywanie się. To wymykanie się ukradkiem, żeby rodzina się nie zorientowała. – Znów zamknęła oczy. – Caleb stale pakował się w kłopoty. Próbowалам wszystkiego... zaproponowałam mu nawet pieniądze, żeby mógł pójść na studia. Faith borykała się z opłatą za czesne Jeremy'ego, a ja chciałam dać temu chłopakowi wszystko jak na tacy. Roześmiał mi się w twarz. – W jej głosie pojawił się ostry, gniewny ton. – Następnego dnia zadzwoniła do mnie stara znajoma z antynarkotykowego. Nakryli Caleba z dużą ilością towaru. Musiałam się zwrócić do Mandy, żeby pociągnęła za sznurki. Nie chciała. Powiedziała, że i tak już zbyt często dawaliśmy mu szanse. Ale jakoś ją ubłagałam.

– Chodziło o heroinę?

– O kokę – odparła. – W przypadku heroiny nie byłabym w stanie nic zrobić, ale koka leżała w zasięgu moich możliwości. Umorzyli sprawę, bo obiecaliśmy skierować go na odwyk.

– I wysłaliście go do Healing Winds.

– Hector mieszka o rzut beretem stamtąd. W ośrodku przebywał już syn jego kuzyna, Ricardo. No i Chuck. Biedny Chuck. – Urwała i przełknęła ślinę. – Na początku roku zadzwonił do mnie, obiecywał poprawę. Od ośmiu miesięcy nie brał. Wiedziałam, że udziela się w Healing Winds jako wolontariusz, więc pomyślałam, że Caleb będzie tam bezpieczny.

– Ale Chuck opowiedział im swoją historię.

– Najwyraźniej od tego się zaczęło. Powiedział im o pieniądzach. Zapewniał ich, że nie miałam z tym nic wspólnego, ale oczywiście mu nie uwierzyli.

– Wtedy w szpitalu to był Chuck. To on udawał gliniarza, który wypytywał Sarę, czy chłopak się wylize.

Kiwnęła głową.

– Zobaczył w wiadomościach, co mi się przydarzyło, i przyjechał, oferując swoją pomoc. Nie zdawał sobie sprawy, że z jego przeszłością nikt nie będzie chciał jego pomocy. Wcześniej prosiłam Mandy, żeby postarała się coś załatwić z jego kuratorem. W gruncie rzeczy to ja wpakowałam go w kłopoty. Moi ludzie zawsze brali moją stronę, nawet jeśli było to wbrew ich interesom.

– Czy pani zdaniem Caleb uważał, że była pani skorumpowana tak jak pozostali?

Pytanie wyraźnie ją zaskoczyło.

– Nie, agencie Trent. Nie sądzę, żeby tak myślał. Był uprzedzony do mnie, uważał, że jako matka jestem zimna, obojętna i że go nie kocham. Powiedział mi, że odziedziczył po mnie jedynie podłość.

Will przypomniał sobie piosenkę, która leciała z odtwarzacza, kiedy Faith przyjechała do domu.

– Back in Black – mruknął.

– To była jego ulubiona piosenka. Zmusił mnie do wysłuchania tekstu, ale diabli wiedzą, co ten jazgot ma wyrażać.

– Mówi o zemście na ludziach, którzy nas opuścili.

– Aha. – Nareszcie zrozumiała i wyraźnie jej ulżyło. – Puszczal ją na okrągło na moim odtwarzaczu w kuchni. A kiedy przyjechała Faith, muzyka ucichła. Byłam przerażona. Chyba nigdy nie wstrzymywałam oddechu tak długo. Ale im nie chodziło o Faith. W każdym razie nie bandzie Caleba. Benny Choo powiedział im, że sam się wszystkim zajmie. Miał za sobą Ricarda. Heroina w brzuchu Ricarda była warta kupę forsy, ale kazał pozostałym chłopcom zabrać mnie i odjechać, więc go posłuchali.

Will chciał się upewnić co do kolejności wydarzeń.

– Caleb był tam w tym samym czasie co Faith? – spytał.

– Obserwował ją przez okno. – Głos Evelyn drżał. – W życiu tak się nie bałam. W każdym razie do tamtej pory.

Will aż za dobrze znał ten rodzaj strachu.

– A co się działo przed przyjazdem Faith? Szykowała pani kanapki,



tak?

– Wiedziałam, że Faith się spóźni. Te szkolenia zwykle się przeciągają. Zawsze trafi się jakiś osioł w pierwszym rzędzie, który chce zabłysnąć. – Urwała i przez chwilę zbierała myśli. – Hector podjechał po mnie do sklepu. Znał mój rozkład dnia. Taki już był. Zwracał uwagę na wszystko, co mu się mówiło. – Zamilkła na chwilę, zapewne z szacunku dla byłego kochanka. – Pojechał odwiedzić Caleba na odwyku i dowiedział się, że chłopak się wypisał. To nie jest ośrodek zamknięty. Caleb po prostu wyszedł. Nie powinno nas to dziwić. Już wcześniej zadzwoniłam tu i tam i dowiedziałam się, że Ricardo pakuje się w coś, co nikomu z nich nie wyjdzie na dobre.

– W heroinę.

Odetchnęła powoli.

– Dodaliśmy z Hectorem dwa do dwóch, kiedy odwoziłam go do domu. Wiedzieliśmy, że Ricardo pracuje w warsztacie Julii, tak samo jak wiedzieliśmy, że jeśli ci chłopcy skrzykną się razem, będą z tego same kłopoty. Folie à plusieurs.

Will spotkał się z tym określeniem. Oznaczało syndrom psychologiczny, polegający na tym, że grupa pozornie normalnych ludzi, przebywając w swoim towarzystwie, wpada w zbiorową psychozę. Rodzina Mansona. Sekta Davida Koresha. W centrum zawsze stał niezrównoważony przywódca. Roger Ling nazywał to głową węża. A kto jak kto, ale on znał się na rzeczy.

– W głębi duszy pragnęłam, żeby Faith wróciła wcześniej – podjęła Evelyn. – Chciałam, żeby poznała Hectora, bo wtedy musiałabym jej wszystko wyjaśnić.

– Czy to Caleb zabił Hectora?

– Moim zdaniem to musiała być jego robota. Podstępna, tchórzliwa. Usłyszałam strzał... kto raz usłyszał dźwięk wydawany przez broń z tłumikiem, nigdy go nie zapomni... więc wyjrzałam na dwór. Bagażnik malibu był zamknięty, nikogo nie zauważyłam. Nie namyślałam się wiele, pewnie zawsze podejrzewałam, że kiedyś do tego dojdzie. Chwyciłam Emmę i zamknęłam ją w komórce. Wróciłam z rewolwerem, a w pralni był jakiś mężczyzna. Zastrzeliłam go, zanim zdążył otworzyć usta. A kiedy się odwróciłam, ujrzałam Caleba.

– Walczyła z nim pani?

– Nie mogłam go zastrzelić. Nie miał broni. I był moim synem. Ale dałam mu radę. – Spojrzała na ranną dłoń. – Moim zdaniem, nie spodziewał się tak zażartego oporu, kiedy próbował mi odciąć palec.

– Odciał pani palec już wtedy? – Wcześniej Will zakładał, że doszło do tego później.

– Jeden z chłopaków usiadł mi na plecach, a Caleb mi go uciał. Nożem do chleba. Piłował w tę i z powrotem, tak jak piłuje się drzewo. Chyba cieszyło go moje wycie.

– Jak udało się pani wyrwać mu nóż?

– Sama nie wiem. Takie rzeczy dzieją się same, nikt się nad tym nie zastanawia. Prawdę mówiąc, niewiele pamiętam z tego, co było dalej, poza tym, że ten drugi chłopak padł na mnie, a ja poczułam, jak ostrze noża wchodzi w jego brzuch. – Odetchnęła głośno. – Popędziłam do komórki po Emmę, chciałam się stamtąd wynieść w cholerę. Wtedy usłyszałam, jak Caleb woła: „Mamo, mamo!”. – Znowu zamilkła na chwilę. – Krzyczał tak, jakby był ranny. Nie wiem, co mnie podkusiło, żeby wrócić do środka. Zrobiłam to odruchowo, tak jak z nożem, tyle że wtedy to była obrona własna, a teraz samobójstwo. – Najwyraźniej wciąż męczyło ją wspomnienie tej sytuacji. – Zdawałam sobie sprawę, że popełniam błąd. Pamiętam, że biegnąc obok samochodu do domu, doskonale wiedziałam, że to jedna z najgłupszych rzeczy, jakie w życiu zrobiłam. I miałam rację. Ale nie mogłam się powstrzymać. Słyszając, że mnie woła, po prostu wbiegłam tam z powrotem.

Znów przerwała, zabrakło jej tchu. Will zauważył, że zachodzące słońce świeci jej teraz prosto w oczy. Wstał i przekreślił żaluzje.

– Dziękuję – wysapała z wysiłkiem.

– Może chce pani odpocząć?

– Chcę z tym skończyć raz na zawsze i więcej do tego nie wracać.

Dokładnie tak powiedziałaaby Faith. Will wiedział, że lepiej się nie sprzeczać. Usiadł na krześle i czekał na ciąg dalszy.

Evelyn nie podjęła opowieści od razu. Przez dobrą minutę leżała bez ruchu i tylko jej pierś falowała przy każdym oddechu.

– Przez trzy lata od jego narodzin, mniej więcej raz w miesiącu,

mówiłam mężowi i dzieciom, że muszę jechać do pracy nadrobić zaległości papierkowe. Przeważnie w niedzielę, kiedy szli do kościoła, bo tak było łatwiej. – Zakaszłała. Mówiła coraz bardziej ochryple. – A tak naprawdę to chodziłam do parku na końcu ulicy, siadałam sama na ławce albo, jeśli padało, w samochodzie, i wypłakiwałam oczy. Nawet Mandy o tym nie wiedziała. Zwierzałam jej się ze wszystkiego, ale o tym jej nie powiedziałam. – Spojrzała na Willa znacząco. – Nie ma pan pojęcia, jak trudne życie miała z Kennym. Nie mogła urodzić mu dzieci, a on chciał założyć rodzinę. Mieć własne dziecko. Bardzo na to nalegał. Opowiadanie, jak bardzo tęsknię za Calebem, byłoby wobec niej okrucieństwem.

Will poczuł się nieswojo, słuchając tak intymnych szczegółów na temat swojej szefowej. Spróbował naprowadzić Evelyn z powrotem na relację z dnia, kiedy została porwana.

– Caleb podstępnie zwabił panią z powrotem do domu – rzekł. – To dlatego nie wzięła pani Emmy i nie uciekła?

Milczała na tyle długo, żeby dotarło do niego, że zmiana tematu nie uszła jej uwagi.

– Nie można oszukać kogoś, kto nie chce być oszukany – odparła.

Skinął głową, choć wcale nie był tego taki pewien.

– Wbiegłam do kuchni. Był tam Benny Choo. Bo któżby inny? Wszędzie jatka. Był w swoim żywiole. Szamotaliśmy się, ale wygrał, głównie dlatego, że miał pomoc. Chciał pieniędzy. Oni wszyscy chcieli pieniędzy. Dookoła było pełno wściekłych mężczyzn pragnących forsy.

– Z wyjątkiem Caleba – domyślił się Will.

– Z wyjątkiem Caleba – przytaknęła. – Siedział na kanapie, jadł kanapkę z mięsem, trzymając ją przez torebkę, i patrzył, jak tamci rozbebeszają mi dom. Moim zdaniem, był zachwycony. Pewnie miał największy ubaw w życiu... Gapił się, jak siedzę, śmiertelnie przerażona, a jego kumple miotają się jak kurczaki z odciętymi łbami w poszukiwaniu czegoś, czego, jak dobrze wiedział, tam nie było.

– O co chodziło z tym „A” pod siedzeniem krzesła?

Parsknęła urywanym śmiechem.

– To była strzałka. Zakładałam, że technicy ją znajdą. Chciałam

wskazać, gdzie siedział główny sprawca. Caleb na pewno zostawił tam włosy, jakieś włókna, odciski palców.

Will zastanawiał się, czy ekipa Ahbidiego Mittala zrozumiałaby to przesłanie. Bo on spartolił sprawę.

– Proszę mi powiedzieć, czy oni naprawdę skopali mój ogród? – spytała.

Uświadomił sobie, że Evelyn mówi o bandzie Caleba, a nie ekipie Ahbidiego Mittala.

– Powiedziała im pani, że tam schowała pieniądze? – odparł pytaniem.

Zachichotała, zapewne wyobrażając sobie, jak tamci chłopcy biegali po ogrodzie z łopatami.

– Pomyślałam, że to będzie wiarygodne, zupełnie jak z filmu.

Nie przyznał się, że naoglądał się takich filmów aż za dużo.

Nagle zachowanie Evelyn się zmieniło. Znowu wbiła wzrok w poplamiony brązowy sufit. Jakby było na co patrzeć. Will potrafił poznać, kiedy ktoś stosuje uniki.

– Ciągle nie mogę się uporać z tym, że zabiłam syna – wyszeptała.

– On zamierzał zabić panią. I Faith. Zabił mnóstwo innych ludzi.

Wciąż wpatrywała się w sufit.

– Mandy radziła mi, żebym nie rozmawiała z panem o strzelaniu – powiedziała.

Wiedział, że policja bada śmierć Caleba Espisito, zakładał jednak, że w ciągu kilku dni oczyszczą Evelyn z zarzutów, tak jak to wcześniej zrobili z Faith.

– To była obrona własna – powiedział.

Odetchnęła powoli.

– Myślę, że chciał, żebym dokonała wyboru. Między nim a Faith.

Nie potwierdził, że podziela jej zdanie.

– Ojcu potrafił wybaczyć – ciągnęła. – Hector miał poukładane życie, ale nigdy się nie ożenił i nie miał więcej dzieci. Za to kiedy Caleb zobaczył, jak ja żyję... co z trudem udało mi się odbudować z mężem i dziećmi... zaczęła go zżerać zazdrość. Ależ on mnie nienawidził. – W jej oczach zalśniły łzy. – Pamiętam ostatnią rzecz, jaką mu powiedziałam, zanim do tego doszło: że chowanie takiej

urazy to jak wypicie trucizny i czekanie, aż umrze ktoś inny.

Will domyślił się, że to jedna z rad, jakich matki udzielają swoim dzieciom. Niestety, sam musiał się o tym przekonać na własnej skórze.

– Czy pamięta pani, gdzie panią przetrzymywali? – zapytał.

– W jakimś magazynie. Opuszczonym, jestem pewna. Tak się dałam, że obudziłabym umarłego.

– Ilu ich było?

– W domu? Wydaje mi się, że ośmiu. W magazynie było tylko trzech, wliczając Caleba. Juan i David, tak mieli na imię. Próbowali unikać zwracania się do siebie po imieniu, ale nie byli zbyt uważni. Wie pan, jak to jest.

Juan Castillo został zastrzelony przed magazynem Julii Ling. Davida Herrere Caleb zamordował z zimną krwią na oczach Evelyn i Faith. Benny Choo, Hironobu Kwon, Hector Ortiz, Ricardo Ortiz. W sumie zginęło osiem osób, tylko dlatego, że jeden chłopak przez dwadzieścia lat nosił w sercu urazę.

Evelyn chyba myślała o tym samym. W jej głosie pojawiła się nuta desperacji.

– Myśli pan, że mogłam go jakoś powstrzymać?

Willowi nie przyszedł do głowy lepszy pomysł, niż zabicie Caleba, zanim doszło do tej jatki.

– Taka nienawiść się nie wypala – odparł.

Nie pocieszył jej tym.

– Mąż uważał, że to przeze mnie wzięły się kłopoty Faith. Mówił, że romansując z Hectorem, przestałam pilnować dzieci. Może i miał rację.

– Faith za wszelką cenę próbuje robić wszystko po swojemu.

– Pańskim zdaniem ma to po mnie. – Ruchem ręki zbyła jego protesty. – Nie, ona jest dokładnie taka jak ja. Niech Bóg ma ją w swojej opiece.

– Istnieją gorsze rzeczy.

– Hm. – Znów zamknęła oczy. Will przyglądał się jej twarzy, trudnej do rozpoznania pod opuchlizną. Evelyn miała mniej więcej tyle lat co Amanda, była równie dobrą policjantką, ale zupełnie

innego rodzaju kobietą. Will latami zazdrościł innym ludziom tego, że mieli rodziców. Dumanie o tym, co by było gdyby, to strata czasu. Ale po rozmowie z Evelyn Mitchell, kiedy dowiedział się, jak się poświęcała dla swoich dzieci, mimowolnie poczuł ukłucie zazdrości.

Wstał, sądząc, że powinna się przespać, ona jednak otworzyła oczy. Wskazała na dzbanek wody. Pomógł jej się napić przez słomkę. Tym razem nie była już tak spragniona, za to zobaczył, że jej ręka wędruje do dozownika morfiny.

– Dziękuję – szepnęła, kładąc głowę na poduszkę. Znow naciśnęła przycisk dozownika.

Nie wrócił na krzesło.

– Czy przed wyjściem mogę pani jeszcze czymś służyć?

Albo nie usłyszała pytania, albo je zignorowała.

– Wiem, że Mandy ostro cię traktuje, ale to dlatego, że cię kocha – powiedziała.

Uniósł brwi. Morfina działała wyjątkowo szybko.

– Jest z ciebie taka dumna, Will. Wychwała cię na prawo i lewo. Jaki to jesteś mądry. Jaki silny. Traktuje cię jak syna. Pod każdym względem. Nawet nie wiesz jak.

Obejrzał się przez ramię, podejrzewając, że w progu stoi Amanda i kona ze śmiechu.

– Powinna być z ciebie dumna – ciągnęła Evelyn. – Dobry z ciebie człowiek. Nie wymarzyłabym sobie dla córki lepszego partnera. Kiedy zaczęliście pracować razem, byłam taka szczęśliwa. Miałam tylko nadzieję, że połączy was coś więcej.

Jeszcze raz zerknął na drzwi. Ani śladu Amandy. Gdy odwrócił się do łóżka, Evelyn spoglądała na niego.

– Mogę być z tobą szczerą? – spytała.

Kiwnął głową, zastanawiając się, czy to oznacza, że do tej pory nie była szczerą.

– Wiem, że miałeś trudne życie – ciągnęła. – Wiem, ile wysiłku cię kosztowało, żeby wyjść na ludzi. I wiem, że zasługujesz na szczęście. Ale twoja żona tego akurat ci nie da.

Jak zwykle, w pierwszej chwili chciał wziąć Angie w obronę.

– Ona też dużo przeszła.

– Zaslługujesz na kogoś lepszego.  
Poczuł, że musi jej coś wyznać.  
– Mnie też prześladują demony.  
– Ale to są dobre demony, te, które cię czynią silniejszym. –  
Spróbowwała się uśmiechnąć. – Gdybym się pozbyła swoich demonów,  
straciłabym też moje anioły.

– Hemingway? – zaryzykował domysł.

– Tennessee Williams.

Otworzyły się drzwi. Amanda postukała w zegarek.

– Czas minął. – Ruchem ręki pokazała mu, że ma wyjść.

Sprawdził godzinę na wyświetlaczu komórki. Rzeczywiście, dała  
mu godzinę, co do minuty.

– Skąd wiedziałaś, że tu jestem? – zapytał.

– Pogadamy na zewnątrz. – Klasnęła w dłonie. – Dziewczyna musi  
odpocząć.

Will dotknął łokcia Evelyn, jedynej części jej ciała nie spowitej  
bandażami ani nie wiszącej na wyciągu.

– Dziękuję, pani kapitan.

– Niech pan uważa na siebie, agencie Trent.

Wychodząc, Amanda pchnęła go tak, że omal nie staranował  
pielęgniarki w korytarzu.

– Wymęczyłeś ją – powiedziała.

– Sama chciała porozmawiać.

– Wiele wycierpiała.

– Czy będzie miała kłopoty w związku z zabójstwem Caleba  
Espisito?

Amanda pokręciła głową.

– Powody do zmartwienia ma wyłącznie Roz Levy. Gdyby to  
zależało ode mnie, postawiłabym jej zarzut utrudniania śledztwa.

Nie protestował, tyle że pani Levy po mistrzowsku opanowała  
odgrywanie miłej staruszki. Żaden sąd na świecie by jej nie skazał.

– Kiedyś dopadnę tę starą jędzę – zapowiedziała Amanda. – Jest jak  
ten patyk... stale musi się grzebać w gównie.

– To prawda. – Chciał zakończyć tę rozmowę. Pięć minut temu Sara  
skończyła pracę. Rano zaproponował jej, żeby zjedli razem lunch, ale

nie był pewien, czy pamiętała. – Do jutra – pożegnał się z Amandą i ruszył do windy. Ku jego konsternacji poszła za nim.

– Co ci powiedziała Evelyn? – spytała.

Wydłużył krok, próbując ją zgubić, a przynajmniej zmusić do wysiłku.

– Mam nadzieję, że prawdę – odparł.

– Na pewno trochę jej przemyślała.

Nie mógł znieść, że Amanda tak łatwo zasiała w nim wątpliwości. Evelyn Mitchell była jej najlepszą przyjaciółką, chociaż skrajnie się różniły. Evelyn nie uprawiała gierki. Upokarzanie innych ludzi nie sprawiało jej przyjemności.

– Myślę, że powiedziała mi wszystko, co powinienem wiedzieć. – Nacisnął przycisk windy. Nie mógł się jednak powstrzymać, by nie dorzucić: – Według niej jesteś ze mnie dumna.

Amanda roześmiała się.

– No, to zupełnie niepodobne do mnie.

– Faktycznie. – Nagle coś mu przyszło do głowy. Może jednak Evelyn tylko krążyła wokół prawdy. Czyżby przekazała mu szyfrem jakiś trop? Poczuł, że ogarniają go mdłości.

Traktuje cię jak syna. Pod każdym względem. Nawet nie wiesz jak.

Odwrócił się do Amandy, szykując się na najgorszy dzień w swoim życiu.

– Czy zamierzasz mi wyznać, że jesteś moją prawdziwą matką?

Jej śmiech odbił się echem w korytarzu. Oparła się o ścianę, żeby się nie przewrócić.

– Nie ma sprawy. – Znów wcisnął przycisk windy. I jeszcze raz. I jeszcze. – Rozumiem. Bardzo śmieszne.

Otarła łzy z oczu.

– Will, ty naprawdę sądzisz, że z mojego syna mógłby wyrosnąć ktoś taki jak ty?

– Wiesz co? – Schylił się, żeby spojrzeć jej prosto w oczy. – Potraktuję to jako komplement, nic na to nie poradzisz.

– Nie bądź śmieszny.

Ruszył do schodów awaryjnych.

– Dziękuję, Amando, że powiedziałaś mi coś tak miłego.



– Wracaj tu!

Pchnął drzwi.

– Zachowam te słowa w sercu na wieki – rzucił.

– Nie waż się ode mnie uciekać.

Ale uciekł od niej, przeskakując po dwa stopnie na raz, z miłą świadomością, że na swoich krótkich nóżkach go nie dogoni.

## Rozdział 22

Sara zdjęła okulary do czytania i przetarła oczy. Od co najmniej dwóch godzin siedziała przy stole w pokoju lekarskim. Karta pacjenta na ekranie tabletu rozmazywała jej się przed oczami. Przez ostatnie cztery dni przespała w sumie sześć godzin. Ta skala zmęczenia przypominała jej czasy, gdy była stażystką. Sypiała wtedy na łóżku połowym w kanciapie z przyborami sprzątaczek, za pokojem pielęgniarek. Łóżko wciąż tam stało. Od czasu, gdy Sara pracowała na ostrym dyżurze, w Grady dokonano modernizacji za miliard dolarów, ale żaden szpital nie marnuje pieniędzy na ułatwianie życia stażystom.

Nan, praktykantka ze szkoły pielęgniarstwa, znów siedziała na kanapie. Po bokach miała na wpół puste opakowanie ciasteczek oraz torbę chipsów ziemniaczanych. Stukała w klawiaturę iPhone'a tak zawzięcie, że ledwie widać było jej szybkie kciuki. Co kilka minut zaśmiewała się, pewnie z przychodzących e-maili. Sara zastanawiała się, czy to możliwe, że ta dziewczyna młodnieje na jej oczach. Jedynej pociechy upatrywała w tym, że za kilka lat Nan zacznie się wystrzegać śmieciowego jedzenia, które tak lubiła.

– Co słyszeć? – spytała Nan, odkładając telefon. – W porzo?

– W porzo – odparła Sara z ulgą, bo dziewczyna znów zaczęła z nią rozmawiać. Nan dąsała się, odkąd uświadomiła sobie, że Sara nie zdradzi jej soczystych szczegółów swojego udziału w szpitalnej strzelaninie.

Pielęgniarka wstała, strzepując okruszki z fartucha.

– Zjesz lunch? – spytała. – Zdaje się, że Krakauer chce zamówić coś z Pizza Hut.

– Dzięki, ale jestem umówiona. – Sara spojrzała na zegarek. Will zaprosił ją na lunch. To miała być ich pierwsza randka. Nic dziwnego, że tak wyglądało ostatnio jej życie, skoro przez niego prawie wcale nie sypiała.

– Nara. – Nan nie pchnęła drzwi, lecz naparła na nie całym ciałem.

Przez chwilę Sara napawała się ciszą i spokojem. Sięgnęła do

kieszeni i wyjęła złożoną kartkę. Przez roztargnienie zostawiła rano okulary w aucie i musiała wracać po nie schodami na parking. To wtedy znalazła tę kartkę, zatknietą za wycieraczkę jej samochodu. Dziwne, lecz to nie pierwszy raz ktoś zostawiał napis „pizda” na jej wozie. Pewnie powinna być wdzięczna, że tym razem nie wydrapał tego na lakierze.

Nie potrzebowała grafologa, by stwierdzić, że wiadomość pochodzi od Angie Trent. Poprzedniego dnia rano również miała na samochodzie karteczkę, tyle że obelga czekała na nią, gdy wyszła z mieszkania. Angie się wyrabiała – drugi epitet bił celniej niż niewinna „kurwa” dzień wcześniej.

Sara zmięła kartkę i rzuciła w kierunku kosza na śmieci. Oczywiście nie trafiła. Wstała, żeby ją podnieść. Zamiast jednak cisnąć papier do kosza, gdzie jego miejsce, rozłożyła go i jeszcze raz spojrzała na obelgę. Była paskudna, bez dwóch zdań, a jednak Sara nie mogła się pozbyć uczucia, że sobie na to zasłużyła. W całym tym ferworze ani razu nie pomyślała o obrączce na palcu Willa. Ale za dnia sprawa wyglądała inaczej. Był żonaty. Zresztą nawet bez formalnego papierka i tak wciąż coś go łączyło z Angie. Coś, czego ona nigdy w pełni nie pojmie.

Angie jasno dawała do zrozumienia, że nie zamierza się poddać z klasą. Pozostawało pytanie, ile czasu upłynie, zanim zdoła wciągnąć Sarę za sobą do rynsztoka.

Rozległo się pukanie do drzwi.

Sara upewniła się, że kartka jest w koszu, i dopiero wtedy otworzyła. W progu stał Will. Trzymał ręce w kieszeniach. Mimo że obcowali ze sobą na wszelkie możliwe sposoby, przez pierwsze dziesięć minut zawsze czuli się w swojej obecności niezręcznie. Zupełnie jakby za każdym razem czekał, aż to ona wykona pierwszy ruch i da mu znak, że jeszcze się nim nie znudziła.

– Przyszedłem nie w porę? – zapytał.

Otworzyła drzwi szerzej.

– Ależ skąd.

Rozejrzał się.

– Wolno mi tu przebywać? – upewnił się

– W drodze wyjątku.

Stanął na środku pokoju. Wciąż trzymał ręce w kieszeniach.

– Jak się ma Evelyn? – spytała Sara.

– Nieźle. Przynajmniej tak mi się zdaje. – Wyjął ręce z kieszeni, po czym zaczął kręcić obrączką na palcu. – Faith weźmie wolne, żeby się nią zaopiekować. Moim zdaniem, obu im dobrze zrobi, jeśli spędzą ze sobą trochę czasu. A może źle na tym wyjdą? Nigdy nie wiadomo.

Nie mogła się powstrzymać, żeby nie zajrzeć do kosza na śmieci. Dlaczego on wciąż nosi tę obrączkę? Pewnie z tego samego powodu, z jakiego Angie zostawiała jej karteczki za wycieraczką.

– O co chodzi? – zapytał.

Wskazała na stół.

– Możemy usiąść? – zaproponowała.

Zaczekał, aż usiądzie pierwsza, po czym zajął krzesło naprzeciw niej.

– Zabrzmiało to groźnie – zauważył.

– Owszem – przytaknęła.

Zabębnił palcami po stole.

– Chyba wiem, co chcesz mi powiedzieć.

Mimo to i tak wyraziła swoje myśli na głos.

– Lubię cię, Will. Naprawdę cię lubię.

– Ale?

Dotknęła jego dłoni, przytrzymując palec na obrączce.

– No tak – bąknął. Ani słowa wyjaśnienia. Żadnej wymówki. Nie zaproponował, że ściągnie obrączkę i wyrzuci ją w cholerę. Albo że przynajmniej schowa ją do którejś z tych swoich kieszeni.

– Wiem, że Angie odgrywa w twoim życiu ważną rolę – ciągnęła z przymusem. – Szanuję to. Szanuję to, ile ona dla ciebie znaczy.

Liczyła na odpowiedź, ale się nie doczekała. Ujął jej rękę i przesunął palcem po liniach na dłoni. Nie miała wpływu na to, jak jej ciało zareagowało na jego dotyk. Spojrzała na ich splecione dłonie. Wsunęła palec pod mankiet koszuli Willa. Poczuła szorstką bliznę. Pomyślała o tych wszystkich rzeczach, których o nim nie wiedziała... O torturach, jakim go poddawano. O bólu, jaki sam sobie zadawał. I to wtedy, kiedy Angie była u jego boku.

– Nie mogę z nią konkurować – wyznała. – I nie mogę być z tobą, skoro się martwię, że wolałbyś być z nią.

Odchrząknął.

– Wcale nie chcę z nią być – zaprzeczył. Czekala, aż powie, że to z nią chciałby być. Ale tego nie powiedział.

Spróbowała jeszcze raz.

– Nie potrafię być tą drugą. Nie zniosę świadomości, że choćbym nie wiem jak cię potrzebowała, i tak najpierw pobiegłbyś do Angie.

I znów czekała, żeby powiedział cokolwiek, coś takiego, co by ją przekonało, że się myli. Z upływem każdej sekundy miała wrażenie, że to trwa całą wieczność.

Kiedy się w końcu odezwał, mówił tak cicho, że ledwo go słyszała.

– Stale podnosiła fałszywy alarm. – Zwilżył językiem wargi. – To znaczy, kiedy byliśmy dziećmi. – Spojrzał na Sarę, upewniając się, że go słucha, i znów wbił wzrok w swoje dłonie. – Kiedyś mieszkaliśmy razem. W rodzinie zastępczej, która przypominała fermę przemysłową. Robili to dla pieniędzy. W każdym razie żona. Mężowi chodziło o nastolatki.

Sara poczuła ucisk w gardle. Próbowala zwalczyć odruch współczucia dla Angie.

– Więc jak mówiłem, ona często wszczynala fałszywy alarm. Dlatego kiedy oskarżyła tego faceta, że ją molestuje, gość z opieki społecznej jej nie uwierzył. Nawet nie zalozył akt sprawy. Nie słuchał mnie, kiedy mówiłem, że tym razem ona nie kłamie. – Wzruszył ramionami. – Czasami słyszałem ją w nocy. Krzyczała, kiedy robił jej krzywdę. A krzywdził ją na okrągło. Inne dzieciaki miały to w nosie. Pewnie się cieszyły, że nie padło na nie. Ale ja... – Urwał. Patrzył na kciuk, którym przesuwal po jej palcach. – Wiedziałem, że gdyby ktoreś z nas zostało ranne, musieliby wszcząć dochodzenie. Albo gdybyśmy sami zrobili sobie krzywdę. – Ścisnął jej dłoń. – No więc powiedziałem Angie, że tak zrobię. I zrobiłem. Z szafki na lekarstwa wialem żyletkę i się pochlastalem. Wiedziałem, że nie mogę tego zrobić na pół gwizdka. Widziałaś rezultat. – Posłał jej wymuszony uśmiech. – Poszedłem na całość.

– To prawda – przyznała. Nie mogła zrozumieć, jakim cudem nie

zemdlał wtedy z bólu.

– W rezultacie zabrali nas stamtąd, zamknęli interes i odebrali tym ludziom prawo do prowadzenia rodziny zastępczej. – Spojrzał w górę i zamrugał kilka razy, żeby osuszyć oczy. – Pamiętasz, jak Angie powiedziała ci wtedy, że dla ciebie nigdy bym tego nie zrobił... nie podciąłbym sobie żył? Pewnie miała rację. – Uśmiechnął się smutno. – Nie dlatego, że mi na tobie nie zależy, tylko dlatego, że ty nigdy byś mnie nie postawiła w takiej sytuacji. Nie poprosiłabyś mnie, żebym dokonał takiego wyboru.

Spojrzała mu w oczy. W sącącym się przez okno świetle dziennym jego rzęsy były białe. Nie potrafiła sobie wyobrazić, przez co przeszedł i jak bardzo musiał być zdesperowany, by sięgnąć po tę żyletkę.

– Nie powinienem ci przeszkadzać. – Nachylił się i przycisnął usta do jej dłoni. Kiedy się wyprostował, zaszła w nim zmiana. Mówił stanowczo, z naciskiem. – Wiedz, że gdybyś kiedyś mnie potrzebowała, jestem do dyspozycji. Bez względu na to, co się stanie, zawsze możesz na mnie liczyć.

Powiedział to bezdyskusyjnym tonem, jak gdyby wszystko było już ustalone. Wyglądało na to, że te słowa sprawiły mu ulgę.

– Will...

– Nie ma sprawy. – Roześmiał się, skrepowany. – Jak widać, mój nieodparty urok na ciebie nie działa.

Poczuła, że w gardle rośnie jej gula. Nie mogła uwierzyć, że się tak poddał. Chciała, żeby o nią walczył. Chciała, żeby walnął pięścią w stół i oświadczył, że to jeszcze nie koniec, że wcale tak łatwo z niej nie zrezygnuje.

A jednak tego nie zrobił. Puścił jej ręce i wstał.

– Dziękuję. Wiem, że to głupie. – Zerknął na nią, a potem na drzwi. – Po prostu dziękuję.

Usłyszała jego kroki i odgłosy z korytarza, kiedy otworzyły się drzwi. Przycisnęła palce do oczu, powstrzymując łzy. Nie mogła się pogodzić z tonem, jakim dał do zrozumienia, że nie będzie o nią walczył. Z tym, że tak łatwo poddał się czemuś, co uważał za nieuniknione. Nie miała pojęcia, co chciał osiągnąć, opowiadając jej

tę historię o Angie. Czy chciał w niej wzbudzić współczucie wobec rywalki? Czy może powinna docenić, jaki jest romantyczny, skoro gotów był się zabić, byleby uratować Angie?

Zdała sobie sprawę, że Will przypomina Jeffreya o wiele bardziej, niż była skłonna przyznać. Może jednak kręcili ją strażacy, nie gliniarze. Obaj wykazywali skłonność do wskakiwania do płonących budynków. Tylko w ciągu ostatniego tygodnia do Willa strzelali gangsterzy, grozili mu psychopaci, zastraszały go co najmniej trzy kobiety, upokarzały na oczach obcych ludzi, całymi godzinami gniół się w bagażniku samochodu, a wreszcie na ochotnika wpakował się w sytuację, w której – o czym doskonale wiedział – ryzykował życie. Przez ten swój cholerny upór, by ratować wszystkich dookoła, nie zdawał sobie sprawy, że w gruncie rzeczy to on potrzebuje ratunku przed samym sobą. Wszyscy go wykorzystywali. Wszyscy nadużywali jego dobroci, przyzwoitości, uprzejmości. Ale nikt nie interesował się tym, czy przypadkiem on czegoś nie potrzebuje.

Całe życie spędził w cieniu – dzieciak ze stoickim spokojem siedzący w ostatniej ławce, który boi się odezwać, żeby go nie zauważyli. Angie utrzymywała go w tym mroku, ponieważ zaspokajało to jej egoistyczne pobudki. Po pierwszej nocy z Willem Sara szybko się zorientowała, że nigdy nie był z kobietą, która naprawdę wiedziała, jak go kochać. Nic dziwnego, że kiedy mu powiedziała, że to koniec, skapitulował bez walki. Przyjmował za pewnik, że jeśli spotka go w życiu coś dobrego, to nie potrwa długo. Stąd ta ulga w jego głosie. Balansował na krawędzi. Za bardzo bał się skoczyć na głęboką wodę, bo nigdy tak naprawdę nie upadł.

Otworzyła usta ze zdumienia. Była równie winna jak cała reszta. Tak gorąco pragnęła, żeby o nią walczył, że nie przyszło jej do głowy, że to Will czekał, aż ona zacznie walczyć o niego.

Nie zdążyła posłuchać głosu logiki – nagle wypadła przez drzwi i popędziła korytarzem. Na ostrym dyżurze, jak zwykle, roiło się od ludzi. Pielęgniarki biegały z kroplówkami. Pchano nosze. Sara dopadła windy. Z dziesięć razy wcisnęła przycisk windy, modląc się w duchu, żeby wreszcie nadjechała. Schody wychodziły na tył szpitala. Parking był od frontu. Zanim obiegałyby budynek, Will

zdążyłby wrócić do domu. Spojrzała na zegarek, zastanawiając się, ile czasu straciła na uzalanie się nad sobą. Will był już pewnie w połowie drogi na parking. Trzy budynki. Sześć pięter dla samochodów. Albo i więcej, jeżeli skorzystał z parkingu uniwersyteckiego. Powinna poczekać na ulicy. Spróbowała odtworzyć w głowie mapę terenu. Bell. Armstrong. A może zaparkował przed Zakładem Karnym Grady'ego?

W końcu nadjechała winda. W środku stał strażnik George z ręką na pistolecie, a obok niego Will.

– Wszystko w porządku, pani doktor? – zaniepokoił się George.

Zdołała tylko kiwnąć głową.

Will wysiadł z windy, wyraźnie zmieszany.

– Zapomniałem, że Betty została w twoim mieszkaniu – rzekł, uśmiechając się z zażenowaniem. – Zabrzmi to jak tekst piosenkarza country, ale zaryzykuję... Mogę ci oddać serce, ale psa ci nie oddam.

Sarę potrąciła ekipa ratowników medycznych. Ratując się przed upadkiem, oparła się o pierś Willa. Stał z rękami w kieszeniach i uśmiechał się do niej z dziwnym wyrazem twarzy. Czy ktoś się kiedyś o niego troszczył? Na pewno nie rodzice, którzy oddali go pod opiekę państwa. Nie rodzina zastępcza, dla której nic nie znaczył. Nie lekarze, którzy prowadzili eksperymenty na jego rozbitych ustach. Nie nauczyciele ani pracownicy opieki społecznej, którzy jego dysleksję brali za głupotę. A zwłaszcza nie Angie, która tak łatwo igrała jego życiem. Bezcennym życiem.

– Saro? – rzucił z troską w głowie. – Nic ci nie jest?

Oparła ręce na jego ramionach. Poczowała znajome twarde mięśnie pod koszulą i żar ciała. Rano ucałowała go w oczy. Miał delikatne rzęsy, jasne i miękkie. Pieściła go, całując w brwi, w nos i w brodę, omiatając włosami jego twarz i pierś. Ile godzin spędziła w ciągu tego roku, zastanawiając się, jak by to było, dotknąć ustami blizny nad jego górną wargą? Ile razy śniła nocami o tym, że budzi się w jego objęciach?

Tak wiele godzin. Tak wiele nocy.

Staneła na palcach, by spojrzeć mu prosto w oczy.

– Chcesz być ze mną? – spytała wprost.

– Tak.



Pewność, z jaką to powiedział, nappełniła ją ulgą.

– Ja też chcę być z tobą – odparła.

Pokręcił głową. Wyglądał, jakby czekał na puentę wyjątkowo kiepskiego żartu.

– Nie rozumiem.

– Zadziałał.

– Co zadziałało?

– Twój nieodparty urok.

Zmrużył oczy.

– Jaki urok?

– Zmieniłam zdanie.

Najwyraźniej wciąż jej nie wierzył.

– Zmieniłam zdanie – powtórzyła. – Pocałuj mnie.

## Podziękowania

Jak zawsze, wielkie dzięki dla mojej agentki Victorii Sanders oraz redaktorek, Kate Miciak i Kate Elton. W tym miejscu powinno się też znaleźć nazwisko Angeli Cheng Caplan. Chciałabym również podziękować wszystkim pracownikom moich wydawców za nieustające wsparcie. Miło mi było poznać Ginę Centrello i Libby McGuire. Adamie Humphreyu, dziękuję, że pozwoliłeś, żebym cię zabiła. Pokonała. Upokorzyła. I zrobiła ci inne rzeczy, które dla Claire są chlebem powszednim.

Dziękuję niezrównanemu Vernonowi Jordanowi za opowieści o Atlancie z lat siedemdziesiątych. Jest pan legendą. Davidzie Harperze, już dziesięć lat pomagasz mi tworzyć postać Sary tak, żeby wyglądała na lekarkę. Jak zawsze, jestem ci niezmiernie wdzięczna za pomoc i przepraszam za błędy, które popełniłam dla dobra akcji. To samo dotyczy agenta specjalnego Johna Heinena. Błędy w opisach broni to tylko moja sprawka. Dziękuję wielu ludziom z GBI, w tym Pete'owi Stuartowi, Wayne'owi Smithowi, Johnowi Bankheadowi oraz dyrektorowi Vernonowi Keenanowi. Poświęciliście mi tyle czasu i jesteście tak oddani swojej pracy, że możliwość przebywania w waszym towarzystwie to prawdziwa przyjemność. Doceniam też nieustające wsparcie rzeczownika Davida Ralstona.

W tej książce nie poświęciłam wiele miejsca tatusiom, ale dziękuję mojemu za to, że był tak wspaniałym ojcem. Napisałabym książkę o tobie, tyle że nikt by nie uwierzył, że jesteś aż tak dobry. A skoro już mowa o dobroci – DA, jak zawsze jesteś w moim sercu.

Czytelnikom przypominam, że jest to fikcja literacka. Mimo że spędziłam w Atlancie ponad pół życia, jako pisarka zmieniłam nazwy ulic oraz wygląd budynków i dzielnic pod kątem moich nikczemnych potrzeb. (Nie gniewaj się, Sherwood Forest, wiesz, że na to zasłużyłaś!)

- 
- <sup>1</sup> „Księga Przysłów” 3:5 w przekładzie Biblii Tysiąclecia (wszystkie przypisy tłumacza).
  - <sup>2</sup> William Szekspir, *Kupiec wenecki*, przekład Stanisława Barańczaka.
  - <sup>3</sup> Helen Keller – Amerykanka, która straciwszy w dzieciństwie wzrok i słuch, pod opieką Anny Mansfield Sullivan (A.M. Macy) opanowała alfabet Braille’a i została znaną pisarką.
  - <sup>4</sup> Faith (ang.) – wiara.

# Spis treści

[Okładka](#)

[Strona tytułowa](#)

[Strona redakcyjna](#)

[Dedykacja](#)

[Sobota. Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Niedziela. Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Poniedziałek. Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Czwartek. Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Podziękowania](#)

[Przypisy](#)

Slaughter *znaczy rzeź*

KARIN  
**Slaughter**



**UPADEK**

*Strzeż się, jeśli mnie nie kochasz...*

